



Andrew M.
GREELEY

IRLANDKA I JANKO W DUBLINIE PRÓBUJĄ
ROZWIĄZAĆ TAJEMNICĘ
ZAGINIONEGO ZŁOTA POWSTAŃCÓW

**IRLANDZKIE
ZŁOTO**

«Książnica»



Andrew M.

GREELEY

IRLANDZKIE ZŁOTO

Dermot, młody Amerykanin irlandzkiego pochodzenia, przyjeżdża do Dublinu, by dowiedzieć się, co przed laty zmusiło jego dziadków do ucieczki z ojczyzny ogarniętej wojną domową. Próby wyjaśnienia mrocznych tajemnic z przeszłości szybko przekształcają się w niebezpieczną grę. Kiedy Dermot odkrywa dzienniki swej babki spisane w tamtych burzliwych czasach, okazuje się, że stawka w rozgrywce jest nie tylko wyjaśnienie rodzinnej zagadki, ale zaginionego ładunku złota przeznaczonego dla walczących Irlandczyków. Przy pomocy pięknej studentki dublińskiego uniwersytetu Dermot rozpoczyna własne śledztwo...

ISBN 83-7132-967-8



9 788371 329678 >

ISBN 978-83-7132-967-8

P T W A 0 4 4 0 0 0 1

Cena det. 29,90 zł

www.klajzniczka.com.pl

Andrew M.
GREELEY
**IRLANDZKIE
ZŁOTO**

Przełożyła z angielskiego
Barbara Cendrowska

Wydawnictwo „Książnica”

Typoŕ oryginału
Irish Gold

Opracowanie graficzne
Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce
Copyright © Keliy Cline

Copyright © 1993 by Andrew M. Greeley
Wszelkie prawa zastrzeżone

For the Polish edition
Copyright © by Wydawnictwo „Książnica”, Katowice 2006

ISBN 83-7132-967-9
978-83-7132-967-8

Dla Andrew, Neila, Kathryn, Kristine. Nory,
Brigit i pozostałych

Ukazany w tej książce obraz Irlandii z czasu Wypadków odpowiada prawdzie historycznej. Jednakże historia Brygady Ochotników z Galway, jej sukcesów, przywódców i wewnętrznych sporów jest dziełem mojej wyobraźni. Ani Daniel O'Kelly, ani William Ready nie mieli odpowiedników w rzeczywistym świecie.

Co więcej, o ile mi wiadomo, nie istnieje żadne Konsorcjum św. Jerzego i św. Patryka, a zatem nie może ono również mieć żadnych członków.

Śmierć Michaela Collinsa jest nadal osnuta mgłą tajemnicy. Podjęta tu próba jej wyjaśnienia pozostaje dziełem mej wyobraźni, opisem nie tego, co się naprawdę zdarzyło, lecz co mogło się wydarzyć.

Kalendarium Wypadków znajduje się na końcu książki.

Kochankowie powinni się nawzajem odnosić do siebie
jak nieśmiałe dzieci.

Ingmar Bergman

Młodym kochankom wydaje się, że na zawsze
pozostaną we władzy hormonów,
mają jednak określone pochodzenie społeczne i cele,
a to pociąga za sobą pewne konsekwencje.

Intymne chwile miłości
Święcone w ekstatycznych interludiach wiosennych swobód
Nieuchronnie obejmują też swym kręgiem rodziny,
Z których pochodzą,
Oraz rodzinę, ku której zmierzają.

Patrick O'Connor

Dramat jego śmierci jest szczególnie wstrząsający, dlatego że nastąpiła wprawdzie na polu walki, lecz w wyniku zabójstwa. Młody Irlandczyk o ujmującej powierzchowności i szlachetnej postawie... był czymś więcej niż tylko geniuszem partyzantki. Już w wieku trzydziestu jeden lat został uznany postacią na arenie narodowej i międzynarodowej, choć w życiu publicznym pojawił się zaledwie pięć lat wcześniej. Wielkość musnęła go swoim skrzydłem i pozostawiła u progu kariery, która prowadzić mogła na wyżyny, jakich nie osiągnął jeszcze żaden Irlandczyk. Tak myślał o nim lud irlandzki, oczekując, że waleczność Collinsa, jego dar przewodzenia oraz zdolności organizacyjne i charakter prawdziwego męża stanu służyć będą narodowi jeszcze długie lata... Najbardziej tragiczne w śmierci Collinsa jest to, że w ogóle się zdarzyła — tak samo niepotrzebna jak ząbarta i krwawa wojna domowa, której ów pełen współczucia realista tak bardzo pragnął uniknąć i tak wiele dla tej sprawy zaryzykował.

Leon O'Broin, Michael Collins (1980)

Miedzy jedenastą a jedenastą piętnaście wieczorem rozległo się pukanie do drzwi mojego domu. Gospodyni otworzyła. Przywołała mnie mówiąc, że ktoś czeka przed domem. W drzwiach stali żołnierz i cywil, który mieszkał w okolicy. Żołnierz poprosił, bym wyszedł, bo zastrzelono innego żołnierza.

Noc była ciemna, stara karbidowa lampa, którą niósł żołnierz, ledwo rozjaśniała drogę. Podeszedłem do szosy, gdzie zatrzymał się konwój. Płasko na ziemi leżał tam żołnierz, jego głowę trzymał na kolanach młody oficer. Młody oficer łkał i szlochał i nie odezwał się ani słowem.

Na twarzy zmarłego była krew. Odmówiłem akt skruchy oraz inne modlitwy i przeżegnałem się. Powiedziałem oficerowi, by zaczekał, aż przyniosę święte oleje. Poszedłem do domu, lecz gdy wróciłem, konwój już odjechał.

Oświadczenie proboszcza z West Cork

— Irlandczycy są inni — przekonywałem czarnowłosą dziewczynę o twarzy celtyckiej boginki z czasów przedchrześcijańskich. — Wyglądają jak my i mówią językiem nieco zbliżonym do naszego. Niektórzy mają nawet takie same nazwiska jak my. Ale są inni — niemal jak przybysze z obcej planety.

Nigdy wprawdzie nie spotkałem celtyckiej boginki z czasów przedchrześcijańskich, ale czytając pradawne sagi, tak właśnie ją sobie wyobrażałem.

— Gówno prawda. — Przypatrywała mi się znad kufelka wypionego ciemnym guinnessem, nieco urażona, lecz zaintrygowana.

Niewyszukany język, co?

Z głęboko uzasadnionych powodów raz na zawsze wyrzekłem się kobiet — przynajmniej tak mi się zdawało. Ale jak dowodził mój brat George, który jest księdzem, hormony działają z nieodpartą mocą.

— Kobiece wdzięki — mówił George — niewiele znaczą w porównaniu z inteligencją czy siłą osobowości. Jednakże dla nabrzmiewającego młodego samczyka nie są całkiem bez znaczenia.

Typowa gadka George'a.

Nie chciałem odbiegać od tematu, tłumacząc mojej irlandzkiej boginie, że skatologiczny wydźwięk jej wypowiedzi doskonale współgra z frazeologią Jimmy'ego Joyce'a, rodaka dziewczyny. Tęskniłem za domem, czułem się zbity z tropu i nieco wystraszony. Bolało mnie całe ciało po bójkę na Baggot Street, w którą się wdałem poprzedniego dnia. Obawiałem się, że Pa, mój ukochany dziadek, był za młodu terrorystą i mordercą. Potrzebowałem współczucia.

Kobiecego współczucia.

Kilku słów pociechy z ust młodej kobiety.

— To tylko potwierdza moją tezę — pochyliłem się, by lepiej mnie słyszała w pubie pełnym rozhlukanych studentów. Siedzieliśmy u O’Neilla, przy Suffolk Street, naprzeciw kościoła św. Andrzeja.

— Nie dosłyszałem, jak masz na imię.

— Bo nie mówiłam — zmarszczyła brwi. Był to sygnał ostrzegawczy, dawała mi do zrozumienia, że przerwałem jej wywód na temat gospodarki światowej i jeśli nadal będę się tak zachowywał, z godnością opuści mój stolik.

— Ja się nazywam Dermot — powiedziałem żwawo. — Dermot Coyne, Dermot Michael Coyne; przybysz z za wielkiej wody, jak już się pewnie zdażyłaś zorientować.

— Pierdzielonynadzianyjanek.

Dziewczyna — mogła mieć najwyżej dwadzieścia lat — była uderzająco piękna. Przynajmniej biała jak mleko cera i opadające na piersi czarne włosy zwiastowały wielką urodę. Resztę skrywała szara bluza z ciemnoniebieskim napisem Dublin Millennium, dzinsy i ciemnoniebieska płócienna kurtka z kapturem. Nie takie szaty przystoją bogince. Jej twarz, szczupła i o delikatnych rysach, przypominała dziewczyny, które z okładek kobiecych tygodników wpatrują się w przechodnia — tyle że głęboko błękitne ich oczy nie przywodzą na myśl bagien, druidów ani poezji staroirlandzkiej, a ich spojrzenie nikomu nie zakłóca spokoju ducha. Dolna połowa jej twarzy tworzyła śmiały, elegancki łuk i aż się prosiła, by męskie palce pieściły ją, spokojnie i czule. Pośrodku łuku tkwił jednak solidny podbródek, ostrzegający męskie palce, które by wkraczały na ów teren lub tylko zamierzały to zrobić, aby nie narażały się naszej młodej znajomej, bo spotkają je spore nieprzyjemności.

Kawał romantyka ze mnie, no nie?

Inaczej po cóż wysiadywałbym w pubie O’Neilla, tuż obok Trinity College, nie mając nic lepszego do roboty prócz gapienia się na śliczne buzie, których obraz każdemu mężczyźnie zapadnie w pamięć do końca życia?

Mgły snujące się przed ciemnym pubem, który roztaczał wonie niczym browar Guinnessa w dżdżysty dzień, wpełzały chyba do środka, na trwałe przesycając mokrym oparem ściany, podłogę, stoliki, ubrania hałaśliwej młodzieży. Siedząca naprzeciw mnie dziewczyna zdawała się oazą światła i ciepła pośród mrocznej i wilgotnej pustki. Błękitnooka, druidyczna jutrzienka.

No dobra. Jestem strasznym romantykiem. Co gorsza, jak się przekonacie, gdy dojdę do końca tej opowieści, jestem durnym romantykiem.

— To przesądza sprawę — ciągnąłem, nie mogąc oderwać wzroku od jej podejrzliwie spoglądających, lecz promiennych oczu. — Mówisz po irlandzku?

— Lepiej niż ty po angielsku — warknęła. — I usiłuję przygotować się — machnęła szczupłą wytworną ręką — do tego pierdzielonego quizu na temat gospodarki światowej i właśnie z tego powodu nikt ze mną nie siedzi przy stoliku.

— Ależ ktoś siedzi, niejaki Dermot Coyne. Powiedz mi teraz, bezimienna — uśmiechnąłem się najbardziej czarująco, jak umiem, eksponując dołeczki w policzkach — jakie nieprzyzwoite, skatologiczne słowa występują w twoim języku?

Odrzuciła głowę do tyłu i uniosła podbródek, gotowa do walki.

— To szlachetny i subtelny język.

— Ach tak — pochyliłem się bardziej, tak że jej usta znalazły się ledwie trzydzieści centymetrów od moich, i poczułem ból w żebrach po wczorajszej bójce. — A już myślałem, że mi opowiesz, jaki to pierdzielony szlachetny język.

Czyżbym dostrzegł cię uśmiechu? Jak by wyglądała, gdyby zdjęła kurtkę?

Nie jest to kwestia zupełnie bez znaczenia, jak by powiedział George.

— Pozwól — kontynuowałem swój logiczny wywód — że opowiem ci o incydencie, który przypadkowo zaobserwowałem podczas badań nad tą obcą rasą, utrzymującą, że łączy ją dalekie pokrewieństwo z moimi poczciwymi anglo-irlandzkimi rodakami. W trakcie pracy nad swoim tematem uczęszczam na zajęcia kółka kulturalnego w ośrodku artystycznym, który, o uroczą bezimienna, na pewno jest ci znany — Croke Park.

Kąciki jej ust uniosły się nieco. Jestem mocno zbudowanym Amerykaninem, z pewnością bogatym, jak wszyscy Amerykanie, i prawdopodobnie szykuję się, by ją poderwać, jak wszyscy bogaci Amerykanie płci męskiej, ale jestem też dość zabawny. Serce, które powinno było wynieść jakąś nauczkę z poprzednich zawodów miłosnych, zabiło mi mocniej.

Gwoli ścisłości chciałbym dodać, że nie szykowałem się do podrywu. Dość miałem kłopotów bez wplątywania się w jakieś historie z kobietą. W tej chwili potrzebowałem jedynie trochę matczynej tkliwości z powodu niedawnych i bardzo niefortunnnych porywów z Wydziałem Specjalnym, co jest eufemizmem stosowanym przy określaniu miejscowej tajnej policji. Niemniej jednak nieobarczony rodziną dwudziestopięcioletni samiec naszego

gatunku nieuchronnie będzie oceniał młodą samicę tego samego gatunku pod kątem jej atrakcyjności w łóżku i może jako przyszłą towarzyszkę życia, choć moja matka żywi niezłomne przeświadczenie, że jest mi pisany los typowego irlandzkiego starego kawalera. Ocena ta będzie mieć jeszcze silniejsze zabarwienie emocjonalne, jeżeli kobieta siedząca naprzeciw niego w zadymionym pubie ma najpiękniejszą twarz, jaką kiedykolwiek widział, tym cudowniejszą, że wolną od najmniejszych choćby śladów makijażu.

— Może w Irlandii znajdziesz sobie jakąś młodziutką, miłą dziewczkę i sprowadzisz ją do domu — powiedziała mama podczas naszej ostatniej rozmowy telefonicznej.

— Kogoś takiego jak twoja matka?

— No, kiedyś była młodziutka — roześmiała się mama.

Powiadasz, że niewiele brakuje, żebym się zakochał? O, przyjacielu, codziennie jestem o krok od zakochania się, lecz dwukrotnie srodze poparzony, rzadko ów krok robię. Gdy ogarniają mnie miłosne zapały, jest to co najwyżej oszołomienie i flirt, nie zaś uczucie, które mogłoby stanowić fundament trwałego związku. Poznałem i ten rodzaj miłości i na razie serdecznie dziękuję — nie chcę go ponownie przeżywać.

Powiadasz, że to dziewczę z bagien jest atrakcyjniejsze niż większość kobiet, którym dotąd udało się wzbudzić dreszcz w moim sercu? I że naprawdę z nią rozmawiałem, co na początku romansu stanowi u mnie ewenement?

To najszczęśliwsza prawda.

Bezimienna zmusiła mnie już do zrewidowania poglądu, jakoby wszystkie urodziwe żeńskie geny wyemigrowały do Ameryki.

— Poszedłeś na mecz reprezentacji Irlandii do Croke Park, zgadza się? — niecierpliwie postukała długopisem w notatnik. Musiałem szybciotko powiedzieć, co miałem do powiedzenia, bo inaczej jej królewska wysokość ześle mnie aż na krańce swojego imperium.

Jak zdążyłem się zorientować, w rozmowie Irlandczyków większość kwestii kończy się znakiem zapytania. Próbowałem przystosować się do tego zwyczaju, ale jak na razie z miernym powodzeniem.

— Czy się zgadza? — snułem swą opowieść o Croke Park. — Zgadza się, że Cork zwyciężył Mayo? A zgadza się, że siedziałem tuż obok uroczej starszej damy z Mayo, która odmawiała różaniec, nim zabawa, to znaczy — chciałem powiedzieć — mecz, się rozpoczął? I zgadza się, że odłożyła różaniec i zaczęła dopingować zawodników? Zacytuje typowy zwrot, który przewidująco zapisałem w notatniku — wyjąłem kołonotatnik ze swojej szpanerskiej kurtki — „Jezus, Maria, Józefie

święty! Slattery, na miłość boską, nie stój jak zasrany jełop, weź no, wypieprz gównu z gaci i wkop tę pierdzieloną piłkę do tej pierdzielonej siatki!”

Zamknąłem z trzaskiem notatnik; zrobiłem wszystko, co mogłem. Bezimienna roześmiała się dźwięcznym, szczerym, zniewalającym śmiechem. Zapewne nie miała pojęcia, jak bardzo jest piękna ani że w ogóle jest piękna — niewinne dziecię z bagien.

Z czasem okaże się, że pierwsza część mojej oceny była słuszna. Druga do dziś pozostaje problematyczna.

— Jak na obcą rasę — przyznała — czyż nie jesteśmy barwni?

— Na ten temat, uroczą bezimienna, nie usłyszysz ode mnie ani słowa.

— Zaśpiewaj, Nualo — zażądał jakiś krzepki bysio z silnym akcentem z Cork. — Nadszedł czas na którąś z twoich pieśni.

— Nie widzisz, że się uczę ekonomii światowej? — broniła się moja towarzyszką z wyraźnym brakiem szczerości.

— Wcale się nie uczysz! — krzyknęła jakaś kobieta. — Gadasz sobie z pierdzielonymnadszianymjankesem. Zaśpiewaj nam coś.

— Zaśpiewaj, Nualo — poparł ją chór głosów, wzmacniając swe żądanie waleniem kuflami w obskurne chybotliwe stoliki.

— O przენajświętsza Brygido — westchnęła głośno Nualo, bo tak zapewne miała na imię.

Mrugnęła do mnie, wstała, zdjęła kurtkę i sięgnęła po leżącą pod stolikiem gitarę.

Wskutek tego ruchu jej tors znalazł się urzekająco blisko mojej twarzy. Widok przeszedł moje najbardziej szalone lub raczej sprośne oczekiwania.

Dla młodego mężczyzny to rzecz niewątpliwie zwyczajna, niemniej uroda dziewczyny była tak wspaniała, że zareagowałem spazmem rozkoszy i bólu, aż musiałem zagryźć wargę.

Prawie przestałem ślać jej uwodzicielskie spojrzenia, gdy zaczęła śpiewać — po irlandzku. Z jej ust popłynęła bezsprzecznie pieśń miłosna, a ponieważ była to irlandzka pieśń miłosna, brzmiała nad wyraz smutno. Nualo miała głos słodki i czysty, a przy tym bardzo silny. Wypełniła nim pub, sprowadzając hałaśliwe rozmowy swoich kolegów do szeptu — choć nadal ktoś ciągle wchodził i wychodził. Stąpali jednak na paluszkach.

Jak już mówiłem, wciąż nie opuszczał mnie podziw dla jej zdumiewająco cudownych piersi. Podobne uczucia żywił pewnie każdy samiec w pubie. Łagodna, melancholijna pieśń sprawiała, że moje

zadziwienie stawało się coraz przyjemniejsze, bardziej dojmujące i zatrważające.

Śpiewając, zerknęła na mnie kilka razy — nerwowo, jak mi się wydawało.

Ach, gdybym to ją przywiózł do domu, do matki, w całej rodzinie zapanowałaby radość.

Reszta szczeniaków w pubie wznosiła entuzjastyczne okrzyki, a ja byłem tak oszołomiony, że zapomniałem bić jej brawo. Zauważyła moje odrętwienie i zaszczyliła mnie nieskromnym spojrzeniem.

Ach, nie wdawaj się w żadne historie, byle nie z nią, w ogóle z nikim.

Żądali następnej piosenki. Udając niechęć, która nikogo nie zwiódła, Nuala zaśpiewała kołysankę, tak wzruszająco, że zapragnąłem znów powrócić do lat dziecińczych. Zauważyłem, że jej kufel, podobnie jak mój, jest pusty, toteż usiłując stąpać jak najciszej podszedłem do baru, by oba napełnić guinnessem. Czulem, jak płonące błękitne oczy wypalają mi dziury w plecach.

Uaaa! Chyba popełniłem błąd.

Zdążyłem wrócić, akurat gdy skończyła kołysankę. Unikała moje-
go wzroku. Obawiałem się, że nie wróci do naszego stolika.

— Udanego przedstawienia, Nualo! — ktoś krzyknął.

— Wypadniesz fantastycznie — dorzucił inny głos.

Stała przy stoliku, górując nade mną.

— Przedstawienia? — spytałem ostrożnie.

— Zespół aktorski Trinity College. — Rzuciła mi groźne spojrzenie, gotowa zgarnąć notatki z ekonomii i wypaść z pubu. — Gramy Wesółka.

— Będziesz ją grała?

— Ją?

— Pegeen Mike. Kogóż by innego?

— Owszem.

— „Aach — zacząłem — sześć jardów materiału na żółtą suknię. Para sznurowanych bucików na wysokich obcasach i z miedzianymi okuciami. Kapelusz odpowiedni na ślub. Gęsty grzebień. Dostarczyć razem z trzema baryłkami portera wiklinowym wózkiem Jimmy’ego Farrella pod wieczór w dzień jarmarku panu Michaelowi Jamesowi Flaherty’emu z unizonymi wyrazami szacunku. Margaret Flaherty”.

Nuala w skupieniu słuchała, jak recytuję pierwszą kwestię z *Wesółka*.

— Wychodzi ci to lepiej niż mnie — przyznała, kładąc gitarę z powrotem pod stół i tym samym zniewalającym ruchem przesuwając tors koło mojej twarzy. — Pegeen grana przez mężczyznę w kobiecym przebraniu! To byłby dopiero skandal, no nie? I Niall Jordam lepszego by nie wymyślił.

— To były piękne piosenki, Nualo.

— Och, ta pierwsza jest idyjotyczna. Dziewczyna oplakuje jełopa, który ją rzucił.

Słowo „idyjotyczna” wymówione normalnie traci czułe zabarwienie, które przebija z gwarowej wersji. Pragnę też zaznaczyć, że ze względu na wrażliwość czytelników w toku dalszej opowieści będę raczej pomijał przykłady barwnego języka, w jakim Nuala zaczęła naszą znajomość, choć żywię niezłomne przekonanie, że Irlandczycy, jako nacja upajająca się słowami, sprośności i skatologii używają z większą biegłością niż którykolwiek naród w świecie. Jeśli chcielibyście dogłębniej wniknąć w szczegóły, sięgnijcie do prozy Roddy’ego Doyle’a.

— W irlandzkich piosenkach — powiedziałem, ostrożnie posuwając w jej stronę napelniony kufel — przewijają się trzy tematy: oplakiwanie straconej miłości, pożegnanie z Irlandią i nieszczęsna Irlandia.

— Nie chcę twojego pierdzielonego piwka — odepchnęła je z gniewem.

— Nuala... to skrót od Fionnuala, zgadza się...? Nie próbuję cię uwodzić... Zapewne byłoby to nad wyraz interesujące i przyjemne, ale jak powiadają nadzianijankesi, nie to jest teraz grane. Chcę, byśmy zostali przyjaciółmi, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

Z wahaniem sięgnęła po kufel.

— Nie jesteś przypadkowo gejem?

— Kobieto, gdybyś wiedziała, jakie myśli chodziły mi po głowie, kiedy śpiewałaś, nie zadałabyś mi takiego pytania.

— Nie ma w tym nic złego, że jest się gejem. — Splonęła lekkim rumieńcem i odwróciła wzrok.

Zauważyłem jeszcze jedną różnicę między jej twarzą a buźkami modelek z okładek magazynów. Oblicze modelki jest beznamiętne, rade ze swej zastygłej urody. Natomiast rysy Nuali pozostawały w ciągłym ruchu, ujawniając wartki strumień emocji: gniewu, zainteresowania, nieśmiałości, rozbawienia. Była albo zbyt prostolinijna, żeby je skrywać, albo w ogóle o to nie dbała. Później, znacznie później zrozumiałem, że będąc dobrą aktorką, Nuala potrafi budzić w sobie emocje wedle woli — a potem umie sobie wmówić, że naprawdę je odczuwa.

— Więc jak, Nualo, umowa stoi?

— Stoi. — Nie odrywała wzroku od kufła, który przesuwała tam i z powrotem po nierównym blacie.

— To znaczy, zdradzisz mi swoje nazwisko?

Zawahała się, niepewna, czy chce przekroczyć tę granicę.

— McGrail — wyznała wreszcie, nie mając pewności, czy nie robi przypadkiem wielkiego błędu.

— Wspaniale. A skoro już jesteśmy przyjaciółmi, chyba możesz wychylić ten kufelek?

Uniosła wzrok i uśmiechnęła się.

— Jasne, przecież usycham z pragnienia po zaśpiewaniu tych paru piosenek.

Próbowałem zidentyfikować jej akcent. Jeszcze nie słyszałem takiego przez cały czas pobytu w Irlandii, a mimo to wydawał mi się znajomy: miękki, delikatny, uroczy, kryjący w sobie leciutką nutkę ironii.

— A więc, Fionnualo McGrail, studiujesz muzykę i dramaty?

— Jasne, że nie — prychnęła gniewnie. — Nie mam zamiaru przymierać głodem; w tym kraju jest już wystarczająco duże bezrobocie. Byłabym chyba skończoną idyotką, gdybym nie uczyła się księgowości.

Rozważałem, czy jej głos jest na tyle dobry, by mogła z niego wyżyć. Chyba jednak nie. W Irlandii wszyscy umieją śpiewać ballady.

— Masz głos tak piękny jak ty sama, Nualo.

— W zamku Blarney znajduje się czarodziejski kamień. Kto go pocałuje, umie prawić słodkie słówka. Byłeś tam może?

— Nie chciałem cię rozgniewać.

— Jezu, Dermocie Coyne, ależ z ciebie straszliwy idyjota. Nie zdążyłeś się jeszcze zorientować, że podoba mi się twoja gadka, chociaż trochę mnie przeraża? — Znowu się zarumieniła. — Pierdzielonadzianyjankes, a taki jełop.

A więc pociągałem ją i przerażałem. Lecimy chyba trochę za szybko. Mimo całej urody i talentu była tylko nastolatką z... właśnie — skąd?

— A w jaki sposób zarabiasz na te kosztowne londyńskie ciuchy?

Serce we mnie zamarło. Odpowiedź na to pytanie budziła wśród większości kobiet przeświadczenie, że jestem kompletnym świrem.

— Gdybym wiedział, że to klub studencki, włożyłbym inne ubranie — odparłem. — Nie chcę wyglądać jak pierdzielonadzianyjankes.

— Myślisz, że mam coś przeciwko twoim ciuchom?

Chyba raczej nie, Nualo McGrail. Ale z pewnością będziesz miała wiele przeciw temu, skąd biorę pieniądze.

Co więcej, nawet jeśli nie masz nic przeciwko temu, nie chcę przygnębiać cię moją opowieścią o irlandzkiej tajnej policji. Jesteś na to zbyt młoda i niewinna i być może za bardzo cię kocham,

2

Z tego gliniarza był kawał drania. Dlatego postanowiłem, że nie będę zwracał uwagi na to, co mówi, chyba i tak zrobię coś wręcz przeciwnego.

— Nie miałby pan nic przeciwko temu, żebyśmy chwilkę porozmawiali, panie Coyne? — Słowa, które usłyszałem w przeddzień poznania Nuali McGraill, brzmiały dość uprzejmie, lecz sposobem bycia usiłował mnie zastraszyć, zachowywał się jak gracz z bocznej linii udający, że szykuje się do błyskawicznego ataku.

— Owszem, miałbym — odparłem, strząsając z ramienia jego łapsko.

— Nadinspektor Conlon — powiedział, znów chwytając mnie za ramię. — Naprawdę musimy chwilę pogadać. Wydział Specjalny.

— Jeśli chciał pan zrobić na mnie wrażenie, to nie wyszło. Jakoś nie potrafię wzbudzić w sobie takiej reakcji.

Był to potężny mężczyzna, nie tak wysoki jak ja i nie tak mocno zbudowany, lecz znacznie cięższy. Co więcej, wiedział, jak posłużyć się swoją posturą, by zastraszyć przeciwnika, jak stworzyć wrażenie, że w czarnym meloniku, czarnym płaszczu przeciwdeszczowym, z czarnym parasolem oraz gęstym czarnym wąsem jest człowiekiem silnym i zdecydowanym, któremu nie ma co się stawiać. Krótko mówiąc, był to kawał drania.

Na swoją obronę (a będę musiał porządnie się bronić w tej opowieści) chciałem powiedzieć, że normalnie jestem człowiekiem spokojnym i nie znoszę przemocy. Odszedłem z drużyny piłkarskiej w Fenwick, bo zraził mnie jeden z pomocników trenera, który stosował wobec zawodników terror fizyczny i psychiczny — z niego też był kawał drania. Zostałem w zespole zapaśników, gdyż walka jeden na jednego nie wymaga użycia zbędnej przemocy, a poza tym dranie zawsze tu przegrywają.

Uważałem, że tylko mięczaki próbują zastraszać. Odmówiłem gry w drużynie futbolowej w Notre Dame, choć może postawiłbym zespół na nogi. Ale i tak bym wyleciał ze szkoły, może nawet trochę wcześniej.

Próbowałem sportów walki, u pewnego japońskiego mistrza uczyłem się panowania nad sobą i odporności na ból. Japończyk trenował mnie, póki się nie przekonałem, że sporty walki też przyciągają mięczaków, którzy chcą zastraszać innych, choć sami są słabeuszami.

Nie wiem, dlaczego czuję taką odrazę do tych drani. Ani mój ojciec ani starsi bracia nigdy mnie nie zastraszaali. Jako dzieciak byłem dla nich zbyt zabawny albo zbyt niezdolny, by chciało im się mnie terroryzować, nawet gdyby leżało to w ich naturze.

Pewnie jako zupełny szczeniak kilka razy kogoś poskromiłem. Ale ciężko wzdychający nadinspektor, o barczystych ramionach i wydatnym brzuchu, obrał jednak w stosunku do mnie złą metodę.

To się zdarza. Ludziom się wydaje, że jest ze mnie kawał niefrasobliwego bęcwała bez jaj. Trzeba przyznać, że zazwyczaj mają rację. Najbliższa uwaga, że o jakąś kwestię nie warto się spierać, wystarczy, bym dla świętego spokoju wyciągał rękę do zgody. Ale niech no ktoś próbuje mnie zastraszyć, od razu w mrocznych zakamarkach mojej duszy zaczyna coś warczeć.

Toteż czasami zupełnie niepotrzebnie wplątuję się w mnóstwo różnych kłopotów. Tak było i tym razem.

— Ma pan jakąś odznakę, identyfikator czy coś w tym rodzaju?

— Owszem. — Wzdychając wyjął laminowany kartonik.

— Nie robi specjalnego wrażenia.

— Tylko parę słów. — Ruszył cielsko w moją stronę, popychając mnie w kierunku pubu Dubliner, mieszczącego się w hotelu Jury, w którym mnie przydybał, akurat gdy zdołałem umknąć przed dublińskim deszczem.

Kiedy taki facet napiera na ciebie całym ciężarem, w zasadzie powinieś się posuwać w pożądanym przezeń kierunku. Jeśli tak postąpisz, to już cię ma.

Opierałem się. Toteż dalej mnie popychał. Klincz.

— Oddział Specjalny Gwardii, zgadza się? — przejąłem irlandzki sposób porozumiewania się za pomocą pytań. — To rodzaj tajnej policji, czy tak? Coś na kształt irlandzkiego gestapo?

Przyznaję, że w scenie tej nie wypadłem zbyt sympatycznie. W końcu zwracał się do mnie tylko z uprzejmą prośbą. Rzecz w tym, że usiłował mną dyrygować. Nie chodzi o to, byście mnie w tym momencie podziwiali, spróbujcie tylko zrozumieć moje zachowanie.

— Wolimy uważać się za irlandzkie FBI. — Przystał na mnie napierać, najwyraźniej zbity z tropu niepowodzeniem swojej z reguły nie zawodnej techniki zastraszania.

— Właśnie to miałem na myśli — faszyci.

Jego wielka płaska twarz oblała się złowieszczą czerwienią. Zraz wyjdzie z siebie. A wolałbym nie znajdować się z nim oko w oko w pokoju przestłuchań, gdy wychodzi z siebie.

— Chcę z panem porozmawiać o pańskim dziadku, Liamie O'Riada.

Dlaczego, głupi sukinsyn, od razu mi tego nie powiedział?

— Dla nas to Bill Ready.

— Aha — westchnął.

— No dobra. — Poprowadziłem go do Dublinera, hotelowego baru, dość udatnie naśladowującego typowy dubliński bar (tyle że trochę czystszy), kiwnąłem na kelnera, po czym zamówiłem kufelek dla mojego gościa i wodę mineralną dla siebie. Jeśli dostał skuteczną nauczkę podczas wstępnej wymiany zdań, może nie będzie o czym Opowiadać.

— Dziadek umarł przed rokiem — powiedziałem.

— Aha. — Wielkie brzuszysko policjanta podskoczyło i opadło.

— Niech spoczywa w pokoju.

Czekałem. On powinien zrobić następny krok.

— Nigdy nie przyjechał do Irlandii? — Wielkie czarne oczy Conlona błysnęły, jakby znał jakąś straszliwą tajemnicę.

— Chyba nie — próbowałem zlekceważyć temat. — Osobiście nic mi o tym nie mówił.

— Wyjechał podczas Wypadków i nigdy już nie wrócił?

„Wypadki” to oględna nazwa okresu po zakończeniu Wielkiej Wojny, z lat 1916—1923. Obejmuje Powstanie Wielkanocne z roku 1916 (Srogie zrodziło się piękno!), wojnę irlandzko-angielską (w Irlandii jest nazywana wojną o niepodległość) oraz irlandzką wojnę domową w latach 1921—1923. Wybuchła ona, gdy Brytyjczycy opuścili Irlandię, a toczyła się między zwolennikami i przeciwnikami traktatu ustanawiającego Wolne Państwo Irlandzkie. Innymi słowy, przez parę lat Irlandczycy zajmowali się zabijaniem przyjaciół, krewnych oraz świadków przy swoich ślubach.

Rebelianci z 1916 roku byli poetami i marzycielami. Gdyby Brytyjczycy uwięzili ich po ostrzelaniu i zdobyciu nielicznych buntowniczych posterunków, cała sprawa na tym by się skończyła, gdyż większość w Irlandii uważała bojowników za bandę idyotów. Lecz Brytyjczycy, jak to oni, zareagowali zbyt nerwowo i wielu powstańców rozstrzelali, czyniąc z nich bohaterów. Również jak to oni, nie wyłapali ludzi rzeczywiście niebezpiecznych — takich jak choćby zręczny polityk

Eamon De Valera oraz wybitny przywódca wojny partyzanckiej Michael Collins. W 1919 roku, po zakończeniu Wielkiej Wojny, Collins zmienił dotychczasową taktykę powstańców. Zamiast walnych bitew Ochotnicy Irlandzcy (którzy później przyjęli miano Irlandzkiej Armii Republikańskiej) przeprowadzali serię błyskawicznych ataków, z wolna wydzierając Brytyjczykom panowanie w Irlandii.

Zajęta innymi powojennymi problemami Brytania zaproponowała rozejm, a następnie pokój. Collins, jako dowódca zbrojnych oddziałów, dobrze wiedział, że brakuje amunicji do dalszej walki i że ludność ma już dosyć zabijania — z czego wielu młodych zapaleńców nie zdawało sobie sprawy. Uznał, acz z niechęcią, zaproponowany przez Brytyjczyków traktat, argumentując, że choć nie doprowadził do powstania republiki w takim kształcie, jak pragnęła IRA, więcej tymczasem nie da się osiągnąć, lecz mimo wszystko jest to początek własnego państwa. Chociaż frakcja Collinsa wygrała wybory, młodzi radykałowie odrzucili traktat i zbuntowali się przeciw rządowi tak zwanego Wolnego Państwa Irlandzkiego. Collinsa, jedynego człowieka, który mógł być zaprowadzić pokój, zabito nieopodal jego własnego domu w Cork, a krwawa wojna domowa ciągnęła się, póki nie wyginęli prawie wszyscy przywódcy i nie wyczerpała się amunicja.

— Chyba nie. Z pewnością miał nieprzyjemne wspomnienia z tych krwawych jatek.

— Aha. — Nadinspektor oparł kufel guinnessa na brzuchu.

Moja babka Mary Anne, alias Neli Pat, powiedziała mi kiedyś, że nie mają odwagi wracać, bo ich zastrzelą. Nie zdradziła dlaczego, a teraz ta wspomniała i dobra kobieta również nie żyje.

Nie miałem zamiaru nic z tych rzeczy opowiadać gliniarzowi z Wydziału Specjalnego.

— Nie mówił wiele na ten temat. Stał się Amerykaninem.

— I świetnie mu się to udało, racja?

— Średnio.

— Nie aż tak dobrze jak panu, prawda? W każdym razie nie był tak młody? — Czarne oczy Conlona znowu błysnęły, jakby udało mu się wygrzebać jakąś straszną i wstydliwą tajemnicę z mojej przeszłości.

— Zależy, jak patrzeć.

— Mówią, że wypytuje pan o niego. To chyba bujda, co?

Punkt dla pana, panie nadinspektorze. Siedziałem z nosem w starych gazetach, czytając opowieści o ponurych czasach rewolucji, którą rozpoczęli poeci, a zakończyli rewolwerowcy. Spotkałem się z tłustym

profesorkiem z UCD (University College Dublin), nazwiskiem Seamus Nolan, który przed dwudziestoma laty napisał ostrożną książkę o Wypadkach. Odpowiedzi Nolana były równie wymijające jak jego książka i wzbudziły moje podejrzenia. To on mnie zakablował w Oddziale Specjalnym? Czyby mu się chciało? To się zdarzyło przed sześćdziesięcioma pięcioma laty, gdy Bill Ready miał lat osiemnaście, a Neli, jedyna miłość jego życia, zaledwie szesnaście. Przecież żaden z głównych bohaterów tej historii już nie żyje, zgadza się?

— No i co z tego? Irlandzkie prawo nie zabrania chyba czytania gazet czy książek historycznych, nie zakazuje rozmów z profesorami?

— Dokładnie rzecz biorąc, prawo nie. — Conlon opróżnił kufel. — Ale można wpaść w tarapaty, zadając pytania absolutnie dozwolone prawem.

— Myślałem, że to cywilizowany i demokratyczny kraj.

— Nie zabijamy naszych prezydentów, przyzna pan?

Jeszcze jeden punkt dla niego, co oczywiście zwiększyło moją wściekłość.

— Skończmy z tą idiotyczną irlandzką zabawą w niedomówienia, panie nadinspektorze. Ostrzega mnie pan, bym przestał zajmować się dziadkiem i Wypadkami, choć moje zainteresowanie jest całkiem powierzchowne.

Drgnął, co jest reakcją typową dla Irlandczyków, gdy zwrócić się do nich bezpośrednio, obracając wniwecz ich kunsztownie konstruowane wypowiedzi.

— Dlaczego pan tak uważa? Przecież wcale tego nie powiedziałem.

— Więc co pan powiedział?

Muszę zaznaczyć, że moje zainteresowanie historią dziadka było zupełnie powierzchowne. Zawsze go uwielbiałem, a i on chyba mnie, najmłodszego, lubił bardziej niż wszystkich swoich wnuków. Nieszczęsna babcia Neli strasznie się nade mną trzęsła. Opowiadała mi wiele historii o Powstaniu i Wypadkach, nie dzieliła się nimi natomiast Z moją matką ani z innymi swoimi dziećmi.

Nieraz pytałem, co Pa (jak go nazywałem, naśladowując matkę) robił w czasie walk.

— To było dawno — odpowiadała z błyskiem odległych wspomnień w oku. — Pa nie chce już do tego wracać.

Gdy umarł, nie było mnie w kraju. O jego śmierci dowiedziałem się dopiero po pogrzebie. Matka była tak nieszczęśliwa z tego powodu, że

od tej pory częściej dzwoniłem do domu. Toteż zdążyłem na pogrzeb babci Neli.

Z żadnym z nich jednak nie pożegnałem się, choć oboje kochałem bardzo, prawie jak własnych rodziców. Może chciałem zmazać tę winę, przemyślując o napisaniu książki o nich i wczesnych latach ich życia — param się piórem po amatorsku.

Nie był to jednak poważny zamiar. W życiu bardzo rzadko żywiłem poważne zamiary. Gdyby nie usiłowano zmusić mnie groźbami do porzucenia tego projektu, najprawdopodobniej sam bym zrezygnował, co jest już szczytem ironii.

Co za różnica, po upływie dwóch trzecich stulecia, dlaczego mój dziadek i babcia byli uciekinierami z Irlandii, dlaczego nigdy tam nie powrócili ani nie nawiązali kontaktu z krewnymi w ojczyźnie? W Ameryce powiodło się im, byli szczęśliwi i mieli udane życie. Jeśli na reputacji dziadka w Irlandii widnieje jakaś skaza, no to co z tego? Czyż nie był szanowanym i podziwianym pośrednikiem w handlu nieruchomościami w Chicago? Czyż nie był powszechnie znany ze swej niezależności? Kogo obchodzi, co o nim myślą osiemdziesięcioletnie irlandzkie dziadki i jacyś prowincjonalni historycy?

— Uważam — policjant wpatrywał się smętnie w opróżniony kufel — że nie ma co rozgrzebywać starych sprawek.

— Chyba na tym właśnie polega praca historyków.

— Z całym szacunkiem, panie Coyne, ale zdaje się, że nie jest pan historykiem?

— Zajmuję się tym po amatorsku.

— Aha — powiedział, znacząco kiwając głową, jakby wygłaszał sąd niezwyklej wagi. — Czy nie lepiej zostawić niektóre rzeczy zawodowym historykom, zwłaszcza że mnóstwo ważnych osobistości poczułoby się zaniepokojonych?

— A jeśli mam gdzieś mnóstwo ważnych osobistości?

— Cóż — uniósł się z fotela — czyż robota Gwardii nie polega na ochronie amerykańskich turystów, tych zwłaszcza, którzy są bogaci i pochodzą ze znanych rodzin? I czy nie staramy się jak najlepiej? Ale czyż zdołamy zapobiec każdemu nieszczęściu, skoro niektórzy turyści sami szukają guza?

Gwardia Obywatelska (po irlandzku Garda Siochana) to nieuzbrojona policja o ogólnokrajowym zasięgu działania, która powstała w miejsce Królewskiej Policji Irlandzkiej po ustanowieniu Wolnego Państwa. Gwardia (Garda) jest rzeczownikiem stosowa-

nym zarówno w liczbie pojedynczej, jak i mnogiej, a gwardziści (Guardai) to zbiorowość — na przykład: „Właściciel pubu wezwał Gwardię i czy po półgodzinie nie zjawilo się pięciu podzielonych gwardzistów? Wystarczyłby jeden, byleby przyszedł od razu”.

— Chyba rozumiem, co chciał mi pan przekazać, panie nadinspektorze. — Ja również się podniosłem. — Pozwoli pan, że udowodnię, jak bardzo się już zamerykanizowałem, dając za pańskim pośrednictwem jednoznaczną odpowiedź tym, którzy pana przysłali. Proszę im ode mnie przekazać, żeby się odpierdolili.

Ostro, co? Przyznacie, że się nie opieprzałem?

Gdy tylko policjant wyszedł z hotelu, ze zdumienia potrząsając głową nad moim grubiaństwem, uświadomiłem sobie, jaki ze mnie dureń. Jadąc windą do swego apartamentu w nowym skrzydle hotelu zdałem sobie sprawę, że — kimkolwiek są — przerobili mnie jak dziecko, sam sobie bowiem narzuciłem obowiązek, którego nie miałem zamiaru się podejmować.

A teraz już się nie mogę wycofać. Niech się dzieje co chce, dowiem się, dlaczego Liam O’Riada i Neli Pat Malone, niech Bóg ma w opiece ich wspaniałe, dobre dusze, uciekli z ojczyzny i nigdy już do niej nie powrócili.

3

Choć Nuala McGrail gwałtownie protestowała przeciw opuszczeniu pubu w moim towarzystwie, szliśmy jednak uliczką przez College Green skuleni pod moim parasolem. Nuala na jednym ramieniu niosła torbę z podręcznikami, przez drugie przewieszony miała sfatygowany futerał na gitarę. Dziewczyna była wysoka, mogła mieć pięć stóp i osiem cali, zaledwie sześć cali mniej niż ja. Wytworzyła się już między nami pewna zażyłość, jak to między dwojgiem młodych, którzy idą przytuleni do siebie, a od reszty świata odgradza ich ciemność i mgła.

— Nie mogę ci opowiedzieć historii mojego życia w tym hałaśliwym pubie — przekonywałem.

— Ale nie wyjdę razem z tobą. Pomyślą, że już mnie uwiodłeś.

— Nie staram się ciebie uwieść, Nualo Anne.

— Skąd wiesz, że na drugie imię mam Anne? — spytała, groźnie marszcząc brwi.

— Każda Irlandka — próbowałem ją ułagodzić — otrzymuje imię matki Jezusa albo jego babki. Jeśli nie na pierwsze, to przynajmniej na drugie. Jako drugie typowałbym Moire.

— Naprawdę nazywam się Marie Fionnuala Anne — uniosła kufel guinnessa — wymawia się Moire, a pisze Marie. I nie wierzę w Jezusa, jego matkę, babkę ani w Boga.

Tak nawiasem, „ua” w jej imieniu wymawia się tak jak „ou” w „Lou”.

— Dlaczego? Za dużo zła na tym świecie?

— Wprost przeciwnie. — Oczy jej zalśniły niczym iskry błyskawicy migocące na moczarach w ciemną noc. — Jakież Bóg chciałby marnować czas na takich jak my? Bóg, jeśli jest, nie powinien zawracać sobie dupy głupimi człowieczkami.

— Ciekawe podejście.

— A ty masz na drugie imię John?

— Nie. Mówiłem ci już.

— Nie mówiłeś.

— Ależ z pewnością.

— Patryk?

— Jasne że nie.

— Michael?

— Zgadłś.

— Dermot Michael Coyne? Ładnie brzmi.

— I jeszcze raz powtarzam: Dermot Michael Coyne nie ma uwodzicielskich zamiarów, choć przynaję ponownie, iż nie zaprzecza on, że zdjęcie z ciebie ubrania byłoby interesującym przeżyciem. On chce się tylko z tobą zaprzyjaźnić.

— Nie boję się uwiedzenia — odsunęła kufel — ani rozbieranki. Sama potrafię zatroszczyć się o siebie. Nie chcę przyjaźnić się z żadnym jankesem. Nie lubię jankesów, wprost nie znoszę.

Mówiła to jednak trochę bez przekonania.

— Nie interesuje cię więc, czym się zajmuję?

Ale, wiecie, była jednak ciekawa.

I gdzie to już słyszałem tę uroczą melodię, która pobrzmiwała w akcencie Nuali?

— Gównu mnie obchodzi, jak zarabiasz tę całą forszę... a jeśli wyjdziemy stąd razem, pomyślą, że idę do Shelbourne, żeby się z tobą przespać.

— Dla ścisłości: mieszkam w Jury, ale sądząc ze sposobu, w jaki się do ciebie zwracają, nie może być żadnych, najmniejszych wątpliwości co do cnoty nadobnej Fionnuali.

— Uważają, że jestem oziębła — odparła zwięźle. — Może i jestem.

— Nie chcę na ten temat dyskutować — powiedziałem. — Pragnę tylko zaznaczyć, że wydaje mi się to z gruntu nieprawdopodobne. Użyjmy fortelu. Wyjdę i zaczekam na ciebie pośród dublińskiej mgły. Ty pozbierasz swoje notatki ekonomiczne i dołączysz do mnie za pięć minut, a ja odprowadzę cię, dokąd zechcesz, i po drodze opowiem fascynującą historię życia i miłosnych przygód Dermota Michaela Coyne'a.

Przez chwilę rozważała atrakcyjność tej propozycji, a potem roześmiała się.

— Właściwie co mnie obchodzi moja reputacja. Niech sobie myślą, że jestem w łóżku z...

— Pierdzielonymnadzianymjankesem!

Znowu się zaśmiała. O Boże, jaka była piękna, gdy się tak śmiała.

— Idź sobie — odprawiła mnie. — Może wyjdę do ciebie, a może nie.

Impulsywnie i głupio pochyliłem się i dotknąłem ustami jej warg. Były tak słodkie, mimo lekkiego posmaku guinnessa, że powtórzyłem to jeszcze raz.

Zamknęła oczy i przełknęła ślinę. Bez oporu, bez protestu.

Zrobiło mi się słabo, poczułem zawrót głowy. Niewiele brakowało, a wyszedłbym na kompletnego dumnia. Pospiesznie opuściłem pub, nim zdążyłem się zorientować, czy ona również jest tego bliska.

To jeszcze dzieciak — pomyślałem, przepychając się do drzwi, idąc wśród kłębow papierosowego dymu — a do tego działałem z zaskoczenia. Postąpiłem nieszlachetnie. Wykorzystałem ją.

Z drugiej strony, mówiłem sobie, czekając na nią przed kościołem św. Andrzeja (narodowego wyznania irlandzkiego — nie naszego) pośród dublińskich ciemności, przypominających cmentarz w czasie nocnej burzy, nie przyjęła mego pocałunku niechętnie, mimo że jestem pierdzielonymnadzianymjankesem.

Cóż, gdy wyjdzie z tej obskurnej zadymionej knajpy, wcale nie musi szukać schronienia pod moim parasolem.

Dublin był tego wieczora w paskudnym nastroju. Być może wskutek stanu mojego libido wyobrażam sobie to miasto jako przystojną matronę koło czterdziestki, kulturalną, zadbaną, czarującą. Z jakichś

przyczyn lubi wystrychnąć cię na dudka, udając przy wielu okazjach, że jest nieatrakcyjna — zwłaszcza gdy postara się o brzydka pogodę.

— Parasol, panienko? — Rozpostarłem go nad głową Nuali dokładnie pięć minut później.

Wsunęła się pod niego bez komentarza.

— No dobra, posłuchajmy tej fascynującej historii.

Ani słowa o skradzionym pocałunku. Nawet jeśli ją rozgniewałem, już mi przebaczyła. Może powinienem skraść jeszcze jeden.

Zauważyłem, że rękawy kurtki miała wystrzępione, džinsy znożone, kaptur kurtki, który naciągnęła głęboko, świecił dziurą, a niewyczyszczone buciki były popękane.

Nuala jest biedna. Może nie być najwdzięczniejszą słuchaczką mojej historii.

Opowiadałem ją już wielokrotnie, zwłaszcza młodym kobietom. Stanowi dla mnie sprawdzian decydujący o tym, czy zakochać się w danej dziewczynie. Niektóre są zdumione tą opowieścią, uznając mnie za człowieka nieudolnego i nieodpowiedzialnego. Inne są zdania, że miałem nieprzyzwoicie dużo szczęścia, za co do końca moich dni będzie mnie prześladował pech. Te pierwsze chcą umie całkowicie zmienić, te drugie nie chcą mieć ze mną nic wspólnego. Nie mogłem znaleźć takiej, która by mnie zrozumiała.

— No więc na początek muszę powiedzieć, że w niczym nie jestem zbyt dobry...

— Masz gadane.

— Chyba że w tym... Jestem najmłodszy z siedmiorga rodzeństwa.

— To żaden grzech. Ja również.

— Ciągłe mi przerywasz. Nigdy nie dojdę do sedna.

— Niczego ci nie obiecywałam.

Ta kobieta przypominała chochlika — pięknego, niewinnego, zabiedzonego chochlika o cudownych piersiach i słodkich ustach. Czegóż jeszcze mógłby pragnąć samotny romantyk?

Postanowiłem zmienić autoryzowaną wersję mojej opowieści.

— Widzisz, Nualo McGrail, kompletnie niczym się nie zajmuję.

— Zupełnie, absolutnie niczym? — Odwróciła się, patrząc mi w twarz, sceptyczna, pełna podejrzeń, może nieco przerażona.

— Zupełnie i absolutnie.

— Taki kawał zdrowego byka? I w ogóle nie pracujesz, ani ani?

Aha, obudziłem diabła w chochliku.

— Ani ani.

— I jesteś na utrzymaniu swoich nieszczęsnych rodziców?
— Tego przecież nie powiedziałem.
— My, Irlandczycy, możemy prawdę owijać w bawełnę, ale wy, jankesi, musicie mówić wprost.

Pierwsze prawo Nuali.

— No więc jestem na emeryturze. Od czasu do czasu coś pisuję. To tyle.

Minęliśmy frontową bramę Trinity i weszliśmy w Grafton Street, na której znajduje się pomnik Molly Malone. Dzieło to — Dublin je otrzymał przy okazji obchodów swego tysiąclecia — natychmiast z oczywistych względów nazwano „cycastą niewiastą”.

(Natomiast statua Anny Livii, Joyce'owskie wyobrażenie Anny Liffey River, przed budynkiem Poczty Głównej — gdzie zastąpiła posąg lorda Nelsona — zyskała miano „fladry w kąpeli” lub „kurwy w rynsztoku”).

— Na emeryturze? W wieku dwudziestu czterech lat? A idźże.

Aha, zastanawia się, ile mogę mieć lat. Zainteresowałam ją.

— Tak naprawdę dwadzieścia pięć. Jak już mówiłem, mam straszno-pecha. Jestem najmłodszy z rodzeństwa i jedyny, który nie przyniósł chluby swoim rodzicom. Dwaj moi bracia i siostra są lekarzami. Moja siostra Linda jest wziętym prawnikiem. Inny brat jest księdzem. Obie siostry są mężatkami i mają rodziny. Chyba byłem rozpieszczany jako dziecko, spełniali każdą moją zachciankę, bo nie miałem żadnych ambicji.

Ani słówka z ust nadobnej Nuali.

— Podobno jestem dość inteligentny. Na to przynajmniej wskazuje mój iloraz inteligencji. Rzekomo mam też zdolności twórcze, ale stopnie w szkole nie sięgały średniej. Jak powiedziałaś, jestem wielkim, zdrowym bykiem, który powinien być gwiazdą sportu. Odszedłem z drużyny piłkarskiej w szkole średniej, bo się pobiliśmy z trenerem.

— Pobiliście się z nim?

Chyba jej zaimponowałem. Czy też mocniej przytuliła się do mnie, bo zaczęło jeszcze bardziej padać?

Grafton Street, zazwyczaj zatłoczony deptak, opustoszała z powodu brzydkiej pogody. Szliśmy ku St. Stephen's Green, oddalając się od Trinity. Czy Nuala wybrała dłuższą trasę, bo chciała wysłuchać mojej opowieści do końca, czy może spacer ze mną pod rękę sprawiał jej taką samą przyjemność jak i mnie?

— Był strasznym brutalem. Gdybyśmy grali tak, jak nam kazał, mogliśmy komuś zrobić krzywdę... W każdym razie poszedłem do

Notre Dame — to duży uniwersytet katolicki ze słynną drużyną piłkarską.

Poklepała mnie po ramieniu. Słowo daję.

— Nie jestem taką ciemną masą, Dermocie Michaelu Coyne. Słyszałam o Walczących Irlandczykach, choć większość z nich w ogóle nie Irlandczyków nie wygląda. Grałeś tam w piłkę?

— Nie — odparłem, nieświadomie podchwytyjąc irlandzką wymowę. — Co prawda niektórzy uważali, że to dobry pomysł i mój ojciec byłby ze mnie bardzo dumny. Prawdę mówiąc, większość Walczących Irlandczyków to teraz czarni baptyści. Nie żeby było w tym coś złego.

— Nie — przytaknęła żarliwie. — Nie ma nic złego w tym, że się jest protestantem.

— Najprawdopodobniej i tak by mnie nie wzięli, bo miałem strasznie marne stopnie. Ale fantastycznie wypadłem na sprawdzianach i trochę się uczyłem w pierwszym semestrze ostatniego roku w szkole średniej, a ponieważ moi bracia, jedna z moich siostr i ojciec tam studiowali, może przekonaliby mnie, żebym zmienił zdanie na temat futbolu...

— Na jakiej pozycji byś teraz grał?

— Oglądasz jankeską piłkę nożną w telewizji, chociaż nie lubisz jankesów?

— Jasne. — Słowo daję, że znowu poklepała mnie po ramieniu. — Czyż to nie dziki sport, w sam raz dla dzikich jankesów?

— Grałem w obronie.

— Czy tam nie trafiają największe dzikusy, jak ten wasz Richard Dent?

Żeby dziewczyna z zachodniej Irlandii kibicowała drużynie Chicago Bears!

— Nie byłem taki dobry. Pewnie i tak nie dostałbym się do drużyny Notre Dame. Najwyżej byłbym w rezerwie. Wyleciałem pod koniec drugiego roku.

— Czy to nie było straszne dla twojej biednej matki?

Teraz byłem już pewien. Miała ten sam akcent co Neli Pat Malone, babcia Neli. Nuala Anne McGrail pochodziła z Gaeltacht, była rodowitą Irlandką, ostatnią z druidycznych kapłanek. Jeszcze jeden punkt dla niej.

— Mama przestała się martwić o dzieci po urodzeniu czwartego. Pochwalała wszystko, co zrobiłem. Jak widzisz, byłem rozpaskudzony do szpiku kości.

— A co robiłeś przez cały dzień? Pewnie chlałeś i ćpałeś?

Poklepałem ją po ramieniu — zmiana frontu z pewnością mieści się w regułach gry.

— Byłby z ciebie wspaniały prokurator, Nualo Anne McGrail. Przeważnie czytałem, łąziłem jak śnięty, marzyłem i rozmyślałem. To o wiele przyjemniej niż chodzić do szkoły. Poszedłem więc do Marquette na dwa lata i niczego nie oblałem, ale i nie miałem na tyle dobrych stopni, by dostać dyplom, więc doszedłem do wniosku, że nic z tego nie będzie, i rzuciłem studia.

— I nie było w twoim życiu żadnej dziewczyny?

Całkowicie uzasadnione pytanie, zadane bez śladu najmniejszego zaangażowania.

— Ach, było ich mnóstwo, a każda chciała wyprowadzić mnie na właściwą drogę i wprząc w kierat.

— To nie jest powód do małżeństwa — powiedziała stanowczo.

— Pewnie, że jeśli partner nie odpowiada ci przed ślubem, to po ślubie na pewno się nie zmieni.

— Czyż nie jesteś za mądra jak na swój wiek, Nualo Anne? Tak czy tak moja rodzina stanęła przed problemem. Mieli absolutnie zdrowego syna, który nie nadawał się do college'u. Nie dało się z niego zrobić ani lekarza, ani prawnika, ani księdza, ani nawet księgowego.

— Po raz drugi poklepałem ją po ramieniu. — Co mieli z nim począć?

— To rzeczywiście straszny problem — westchnęła.

Znalazłem kobietę, która chce mnie wysłuchać, nawet jeśli nie mogę opowiedzieć jej o mojej wczorajszej rozmowie z nadinspektorem ani o łobuzach, którzy mnie napadli wczorajszego wieczoru. Jeszcze czułem żebra, trzymając parasol nad jej głową.

— Więc zrobili to, co robi każda irlandzka rodzina z Chicago, jeśli ma trochę pieniędzy i syna, który do niczego się nie nadaje. Kupili mi miejsce na Gieldzie Towarowej i dali mi kapitałik, żebym sobie pograł — tak jak sto czy dwieście lat temu posyłało się najmłodszego syna do wojska albo do kolonii. Grałem na zmiany indeksu Standard and Poors — nie orientujesz się chyba w transakcjach terminowych, Nualo?

Tym razem trzepnęła mnie w ramię na znak protestu.

— Uważasz, że jestem taką skończoną idyotką? Mówiłam ci chyba, że studiuje księgowość?

— Znasz różnicę między grą na wyżkę i na niżkę?

— Pójdę sama w tę straszną ulewę, jeśli zadasz mi jeszcze jedno takie pytanie.

— Robiłem, co mogłem, naprawdę się starałem, ale niestety nie bardzo mi szło.

— Pewnie w ogóle nie powinieneś był się do tego zabierać, co?

— Niewiele straciłem, ale i niewiele zyskałem. Kilku znajomych ojca, lekarzy tak jak i on, odpało mi część swoich interesów. Starałem się nie sfuszerować zbytnio ich zleceń.

Z własnymi transakcjami po prostu za bardzo się guzdrałem. Musiałem się chwilę zastanowić, podczas gdy inni kupcy w moim wieku działali instynktownie.

— Biedaczek. — Westchnęła zupełnie jak babcia Neli.

— Tak czy tak, kiedy ostatnim razem na giełdzie znowu zawirowało, stałem sobie w S and P kompletnie oglupiały i zacukany. Część moich przyjaciół zarabiała fury pieniędzy, inna część traciła fury pieniędzy, a ja nie robiłem nic, bo nie wiedziałem, co się dzieje. W piątek rynek doszedł do siebie i wszyscy kupowali jak szaleni, w nadziei że załapią się na wyżkę indeksu. Jeden z moich nielicznych klientów dał zlecenie sprzedaży — trzysta kontraktów...

— Uważał, że hossa długo nie potrwa, i postanowił wyjść z rynku?

— I oczywiście miał rację. Ale mnie się wszystko pokiciało i kupiłem trzysta kontraktów...

— Rany boskie! — krzyknęła, stając jak wryta i przykładając rękę do ust. — Biedaku!

— Też tak myślałem w sobotę rano, gdy poszedłem na giełdę, by załatwić papierkową robotę. Wisiałem na sześćset kontraktów — trzysta, które klient dał mi do sprzedaży, i drugie trzysta, które kupiłem na własny rachunek. Miliony dolarów, których nie miałem, Nualo Anne.

Zadrzałem na samo wspomnienie. Spędziłem wtedy straszliwy weekend, którego jedynym jasnym promykiem było niedzielne zwycięstwo drużyny Chicago Bears.

— I co stało się później?

— Poszedłem na giełdę w poniedziałek rano, przygotowany na najgorsze. Starałem się kupować jak najszybciej, zanim ceny znów skoczą.

— A tymczasem spadły? — Znowu ruszyła naprzód, obejmując już co nieco z mojej historii.

— Jak lawina. Cały dzień patrzyłem, jak spadały, i kupiłem tuż przed końcowym dzwonkiem.

— Chwała Bogu. — Aż jej dech zapało. — I świętej Brygidzie, świętemu Patrykowi i Columcille też. Musiałeś zbić majątek!

— Trochę ponad trzy miliony dolarów. Co prawda zupełnie niezasłużenie. Popeniłem głupi błąd, lecz miałem niesamowite szczęście. Wiem, że nie wierzysz w Boga ani wszystkich tych świętych, których właśnie wezwałaś, a pewnie i wszystkich aniołów stróżów, niech nam Bóg przebaczy. W każdym razie ci ostatni chyba harowali dla mnie po godzinach. To tak jakbym wygrał na loterii, choć nie kupiłem losu.

— A co zrobiłeś potem?

— Sprzedałem miejsce na giełdzie, zwróciłem ojcu pieniądze i kapitał, zapłaciłem podatek od dochodu, całą resztę zainwestowałem w wolne od podatku obligacje państwowe i odszedłem na emeryturę.

— Nie może być! — krzyknęła.

— Owszem! I wcale nie czuję się jak idyjota. Znalazłem wreszcie kobietę, która rozumie, co się stało, i wie, jaki naprawdę ze mnie idyjota.

Zdzieliła mnie pięścią w ramię.

— Jesteś największym idyjotą na całym świecie, Dermocie Michaelu Coyne — oznajmiła. — Pobiłeś wszelkie rekordy.

Na końcu Grafton Street obróciła mnie zdecydowanym ruchem i skierowała na powrót do głównej bramy Trinity. Długi czas szliśmy w milczeniu.

— Wiem — potwierdziłem bojaźliwie. Nadeszła ta chwila: tak jak inne kobiety będzie mnie teraz namawiać, bym wrócił na parkiet.

— Wyraźnie nie chcesz się dowiedzieć, dlaczego uważam cię za takiego nieprawdopodobnego idyjotę.

— Naprawdę bardzo chciałbym wiedzieć.

— Jesteś idyjota — znów przystanęliśmy, tuż przed wejściem do Trinity College — bo myślisz, że nim jesteś.

— Co takiego?

— A masz bardzo dobrze poukładane w głowie.

— Więc jestem idiotą, przepraszam: idyjotą, bo wydaje mi się, że jestem idyjota, a tymczasem wcale nie powinienem tak o sobie myśleć?

— A nie powiedziałam tego przed chwilą?

— A powiedziałaś?

Niech to szlag! Znowu ją przedrzeźniam! Jakoś nie zwróciła na to uwagi. Spojrzała na mnie, unosząc w górę twarz mokrą od deszczu, lecz promienną.

— Każdemu może się poszczęścić. Ale tylko mądry człowiek wie, co zrobić ze swoim szczęściem.

A więc doczekałem się: spotkałem wreszcie kobietę, która rozumie i pochwała moją decyzję.

— Więc nie masz mi tego za złe?

Wbiła mi w pierś ostro zakończony paznokieć.

— A co to za różnica, czy mam ci to za złe czy nie. Czy świat nie będzie lepszy, jeśli znajdzie się na nim paru ludzi, którzy potrafią pójść własną drogą i marzyć, a któregoś dnia może opowiedzą innym o swoich marzeniach?

Ach, Nualo, jesteś zabiedzonym i nieśmiałym dzieciakiem z Gaeltacht, być może bystrym i utalentowanym, lecz bojaźliwym i niedoświadczonym. A jednak przemawia przez ciebie cała mądrość wieków. Chciałbym wziąć cię w ramiona, tulić i całować, bo drugiej takiej nie znajdę.

Nie zrobiłem tego oczywiście, i tym gorzej dla mnie. Gdybym się zdecydował, moje życie mogłoby się potoczyć zupełnie inaczej.

Podziwiała mnie i darzyła sympatią. Nie protestowała, gdy pocałowałem ją raz, nie, dwa razy. Podczas wspólnie spędzanych lat pewnie często byśmy się kłócili, a potem godzili, Kochając się jeszcze mocniej. Być może miałem dość rozumu, by uwierzyć w swoje szczęście w interesach. Nie byłem jednak na tyle mądry, by uwierzyć w swoje szczęście w miłości.

Dlaczego tak się stało? Dlaczego zabrakło mi odwagi tam w deszczu pod latarnią, przed Trinity College, tuż obok Molly Malone, gdy miałem w nozdrzach cierpki zapach morza, a w uszach ponure zawołanie rogu mgłowego?

Czyż nie mówiłem, że jestem romantykiem? I czy może być bardziej romantyczna sytuacja? Dlaczego zmarnowałem okazję? Dlaczego zabrakło mi odwagi?

Chyba dlatego, że jestem też nieśmiały. Opowiadam tylko o wielkich podbojach. Wobec pięknych i inteligentnych kobiet czuję pietra.

A ponadto kobiety przysporzyły mi mnóstwo kłopotów.

A więc, nadal w charakterze wielkiego uwodziciela, powiedziałem:

— Mogę ci zadać osobiste pytanie, Nualo?

— A jakie by ono było?

Czy nie wydaje się nieco rozczarowana? Może ona też jest niepoprawną romantyczką?

— Jesteś z hrabstwa Galway, prawda?

— Owszem. — Była zdumiona, że jankes może na to wpaść.

— Z Connemary?

— A skąd to wiesz?

— Carraroe?

— Boże kochany! — odskoczyła ode mnie. Schwyciłem ją za ramię i z powrotem wciągnąłem pod parasol.

— Który nie istnieje.

— A jeśli nawet, nic go nie obchodzimy... Ale skąd wiesz, że jestem z Carraroe?

— Irlandzki jest twoim językiem macierzystym? — Objąłem ją przez plecy za drugie ramię, uniemożliwiając ucieczkę.

— Jestem pierdzielonym eksponatem muzealnym.

Zdołała się jednak wysunąć z moich objęć i znowu obróciła mnie w stronę Trinity.

— Moja babka, Neli Malone, niech spoczywa w pokoju, pochodziła z Carraroe.

Wyrzebałem z portfela zdjęcia jej i dziadka Billa, po czym wręczyłem Nuali, by obejrzała te fotografie w mdłym świetle latarni, stojącej tuż obok posągu Molly Malone.

Nuala uważnie im się przyjrzała pod osłoną mego parasola.

— Ależ to piękna kobieta, prawda?

— Miała nie tylko urodę. Dziadek pochodził z Costelloe, to jest kawałek dalej. Bill Ready, pewnie byś go nazwała Liam O’Riada.

— Nikt o takim nazwisku już tam nie mieszka. Nie ma też żadnych Malone’ów.

— To ich ostatnia fotografia, jaką mam, oboje byli już po osiemdziesiątce.

Nie budziło w niej zdziwienia, że jakiś jankeski osiłek nosi przy sobie fotografię dziadków niczym ojciec zdjęcie syna.

— Wspaniali ludzie, co? Wyglądają jak i my wszyscy z tamtych okolic, no nie? Kapitalni!

„Wspaniały” i „kapitalny” to najczęściej używane przymiotniki w pięknym mieście Dublinie, przy czym ten pierwszy oznacza stopień wyższy, drugi zaś najwyższy, zwłaszcza w zwrotach: „kapitalny jak kurwa”, a nawet „kapitalny jak pierdzielona kurwa”!

— Tu mam odbitkę ich ślubnej fotografii.

— Ach, nie mówił ci dziadek, że jesteś do niego podobny jak dwie krople wody?

— Babcia zawsze to powtarzała. Pewnie dlatego mnie rozpuścili jak dziadowski bicz.

— Do niemożliwości... A w tych ślubnych strojach nie wyglądają jak dzieci, piękne dzieci?

Ma nie była tak wysoka jak Nuala, miała może z pięć stóp i trzy cale wzrostu, włosy krótkie i rude, nie zaś długie i czarne, a kibić nie tak kształtną jak moja nowa znajoma. Lecz do późnego wieku zachowała promienny błękit oczu, taki sam jak oczu Nuali. Była niebez-

piecną kobietą, co do tego nie ma wątpliwości. Czy Nuala jest równie niebezpieczna?

Najprawdopodobniej.

— Nawet młodsze niż ty, Nualo Anne. Uciekli podczas Wy-
padków i nigdy nie wrócili.

— Idyotyczne czasy i idyotyczni ludzie. No, ale mieli siebie.

— A także mnóstwo dzieci i wnuków. — Pieczołowicie umie-
ściłem fotografie na powrót w portfelu.

Przeszliśmy obok posągów Burke'a i Goldsmitha, dwóch straź-
ników u frontowej bramy Trinity.

Nazwiska te nic jej nie mówiły. Skandale sprzed siedemdzie-
sięciu lat nie obchodzą dzisiejszej młodzieży z Connemary. To
dawne dzieje, tak mało ważne jak i historia Wolfe'a Tone'a albo
Briana Boru.

Nuala McGrail bacznie mi się przyglądała. Byłem zdrowo rąb-
nięty, nawet jak na jankesa. Ale w sumie może nie tak strasznie.
Doszliśmy do frontowego dziedzińca college'u.

— Biorę teraz rower i jadę do domu — powiedziała. — Dzięki
za użyczenie parasola.

Wyciągnęła z torby tanią plastikową pelerynę i okryła nią gło-
wę i ramiona. Potem zaczęła odpinać od stojaka samotny rower,
którego przedtem nie zauważyłem.

— Nie możesz wracać na rowerze w taką pogodę, Nualo —
zaprotekowałem.

— Czyż nie robię tego codziennie? — Poprowadziła rower
przedsionkiem i wyszła przez frontową bramę, posłuszna zakazowi
jazdy w obrębie bramy.

— Sprowadzę taksówkę.

— Nie ma mowy.

— Ale...

— Żadnych ale... — Wsiadła na rower, po czym znierucho-
miała, jeszcze raz zastanawiając się nad moją osobą. — Nie podo-
ba mi się sposób, w jaki na mnie patrzyłeś, kiedy śpiewałam.

— Coś podobnego!

— Jakbyś rozbierał mnie wzrokiem.

— Kobieto, w żadnym razie!

— Ależ owszem!

— Wiem, kiedy to robię i kiedy tego nie robię. Podziwiam cię,
ale z szacunkiem. Nie mogę natomiast zagwarantować, co moja
wyobraźnia będzie wyczyniać następnym razem.

Zawahała się.

— Nie bardzo jest co podziwiać.
— Ależ co niemiara. Jesteś piękną kobietą, Nualo Anne McGrail.
— Nie jestem kimś takim i nie pozwałam ci w ten sposób do mnie mówić. — Kopnęła pedał i już miała odjechać w mgłę.
Chwycił ją za ramię.
— Mężczyzna może pożądać kobiety, a mimo to traktować ją z szacunkiem.
— Pierdzielony obiekt seksualny — próbowała uwolnić ramię.
— Seksowna osobo — nie miałem zamiaru jej puścić. — Zrozum mnie!
Przestała się wrywać.
— Wygadany jankes... Czuję się strasznie zażenowana. Wcale mi się to nie podoba, ani ani.
— Za nic w świecie nie chcę cię wprawiać w zakłopotanie, Nualo. Bardzo mi przykro, jeśli tak się stało. Ale jesteś precudowna i nie mogę cię nie podziwiać.
— Wcale nie jestem. — Uwolniła rękę. Po czym jakby żałując tych słów, dodała:
— Ale lubię, jak mi się tak przypatrujesz.
— Przed chwilą powiedziałaś, zdaje się, że ci się to nie podoba.
— Nie bądź głupcem. Nie podoba mi się, ale to lubię.
Jak już wspomniałem, Irlandczycy nie są podobni do reszty ludzi. Zaczęła pedałować.
— Zaczekaj chwilę! Gdzie mieszkasz? Jaki masz numer telefonu?
— Nie mam telefonu! — odkrzyknęła przez ramię. — I nie twój interes, gdzie mieszkam.
— Jak cię mogę odnaleźć?
— Nie zajrzesz czasem do pubu O’Neilla?
I zniknęła w deszczu i mgłę.

4

Osamotniony w wilgotnym mroku, który oddzielał mnie od reszty świata, zacząłem się nad sobą litować. Czyż nie postradałem ostatniej wielkiej celtyckiej boginki zachodniego świata?

Więc nadal była to gra: fascynacja, flirt, rozczulanie się nad sobą.

Nacieszywszy się tą aluzją do Johna M. Synge'a uświadomiłem sobie, że mogę się dowiedzieć, gdzie i kiedy grają Wesołka, i w ten sposób wytropić Nualę — z czego najprawdopodobniej zdawała sobie sprawę, jeszcze zanim umknęła w deszczową noc jak nieśmiały i zawstydzony dzieciak.

Nieśmiała, zawstydzona, ale coś ją do mnie ciągnęło.

Powinna była wyczuć pismo nosem.

Jak miała wyczuć pismo nosem?

Chyba powinienem jej bronić.

Przed czym?

Przed mną.

Nie bądź idyotą.

Wybij ją sobie z głowy. Nie wracaj do O'Neilla i nie staraj się dowiedzieć, gdzie będą grali Wesołka.

Cóż, tak właśnie zrobię. Najprawdopodobniej.

Nie jest druidyczną boginką, lecz strachliwą katolicką dziewicą. Chyba nie powinienem mieć obiekcji. Są z nich znacznie lepsze żony niż z tych twoich druidycznych boginek.

Rozejrzałem się niepewnie. Zdawało mi się, że za sobą, na Dawson Street, słyszę ciche kroki. Od hotelu dzieliło mnie pół godziny marszu, a nigdzie nie było śladu taksówki. Gdyby chcieli znów mnie zaatakować, mają znakomitą okazję. Tym razem przyślą większych oprychów.

Próbowali zeszłej nocy, po nieprzyjemnej rozmowie, jaką miałem z gliniarzem z Oddziału Specjalnego. Była to piękna ciepła noc, przejrzyste powietrze tchnęło świeżością, księżyc w trzeciej kwadrze skapał w magicznej poświacie ulice dublińskiego grodu, wilgotne jeszcze od popołudniowego deszczu. W takie noce Dublin sprawia wrażenie baśniowego miasta, w którym Walt Disney mógłby kręcić swe bajki. Wyszedłem z hotelu Jury, jak zwykle na wędrówkę bez celu. Ciągle jeszcze byłem wściekły na Conlona, że tak niezdarnie próbował mnie nastraszyć. Byłem w końcu obywatelem Stanów Zjednoczonych. Irlandia należy do wolnego świata. A co to musiałby być za profesor, który by doniósł gnomom z Oddziału Specjalnego, że ktoś zadał mu parę uczciwych pytań?

Jeszcze im pokażę. Opiszę całą historię, prawdziwą historię Billa i Neli Pat Ready, a potem opublikuję jako amerykański bestseller.

Ach tak, powiadasz, że nie jesteśmy całkiem pozbawieni ambicji? Dermot Coyne chce być pisarzem, co? I do tego sławnym?

Nie pragnąłem jednak tego aż tak żarliwie, by po kolacji wrócić do apartamentu i zabrać się do pracy. Gdyby sława literacka przychodziła

równie łatwo jak dochody z obrotu towarowego, to wtedy być może... Ale mając do wyboru spacerek wolnym krokiem przez Pembroke Road i Baggot Street aż do St. Stephen's Green albo zbieranie materiałów do książki — zawsze zdecyduję się na tę pierwszą możliwość.

Jezdnią ciągnął sznur samochodów, co nie było niczym nadzwyczajnym o tej porze; także na chodnikach roiło się od przechodniów. Samotność mi tu nie grozi. Niektórych ulic w Dublinie, zwłaszcza na północ od Liffey, należy unikać o pół do dziesiątej w jesienny wieczór, ale nie dotyczy to Pembroke Road.

Zauważyłem trzech podejrzanych typów, którzy szli w przeciwną stronę, akurat gdy przeszedłem Grand Canal — czarną aksamitną wstęgę, lśniąca w blasku księżyca.

Nie było w nich nic szczególnego, nastoletnie szczeniaki w dżinsach i czarnych kurtkach, o długich włosach i szyderczym wyrazie twarzy. W okolicy Liberties, za katedrą Christ Church, albo po północnej stronie Liffey, na wschód od katolickiego kościoła katedralnego, mogliby budzić strach. Ale nie na Upper Baggot Street tak wczesnym wieczorem.

Więcej czasu zabiera opis mojej reakcji na tę trójkę, niż trwał? sama reakcja.

Gdy poczułem, że ktoś łapie mnie za ramię od tyłu, wiedziałem, kto zac.

Musiałem wyglądać na mięczaka — przeważnie sprawiam takie wrażenie. Kawal frajera, mocno zbudowanego, ale jednak frajera. Stanowczo nie biały Richard Dent, jak to następnego dnia sugerowała Nuala Anne. W każdym razie wszyscy trzej rzucili się na, jak uznali, mięczaka.

Pozwoliłem, by mnie ściągnęli z dwóch kondygnacji żelaznych schodów na betonowy placyk przed ciemnymi oknami mieszczącej się w podziemiach herbaciarni. Zastanawiałem się, czy nie zacząć krzyzczeć, ale doszedłem do wniosku, że nie dorwaliby mnie, gdyby ktoś był w pobliżu. Poczekali na właściwy moment.

— Damy ci nauczkę, skurwysynu — syknął szyderczo jeden z nich, wbijając mi pięść w żołądek.

Musiał czuć się całkiem bezpieczny, bo dwóch jego kumpli trzymało mnie za ręce. Jak powiedziałem, pierdzielony jankes był mięczakiem.

Nie spodziewał się więc, że kopnę go w pachwinę.

Wrzasnął i zwinął się wpół z bólu, bluzgając przekleństwami. Potem wyrwałem się łobuzowi, który przytrzymał mi lewe ramię, i cis-

nałem nim o betonową podstawę schodów. Następnie odwróciłem się i z całej siły trzasnąłem drania, który usiłował mnie kopnąć. Poleciał na przeciwległą ścianę, rąbnął o nią głową i stał tak, ogłuszony.

Drugi zaszedł mnie z tyłu.

— Odetnę ci jaja, skurwysynu!

W rękę trzymał nóż sprężynowy o bardzo długim ostrzu.

Zanurkował w kierunku mojego podbrzusza.

Gdy od niego odskakiwałem, przeciął mi nogawkę. Obrócił się i chciał znowu spróbować — tym razem zamierzając się w moją twarz.

Odkoczyłem w bok, chwyciłem go za ramię i wykręciłem je aż na plecy. Zaryczał jak zraniona furia i wypuścił nóż.

Właściwie powinienem był złamać mu rękę. Nie przepadam jednak za bójkami w ciemnych uliczkach.

Teraz drugi szczeniak wyciągnął nóż i natarł wściekle. Uskoczyłem przed pierwszym ciosem. Rąbnął więc o ścianę herbaciarni, odbił się od niej i znów się na mnie rzucił. Wskoczyłem na parapet okienny i nadstawiłem gówniarzowi nogę.

Poleciał naprzód, runął na ławkę, podniósł się jednak błyskawicznie i znów się na mnie rzucił.

Wystarczył jeden cios w rękę, by nóż śmignął w powietrzu.

Bluzgając przekleństwami odskoczyli z wściekłością, po czym rzucili się na mnie i zwalili na zimny beton. Tuż przy swojej głowie zobaczyłem donicę z pelargoniami, która w razie potrzeby mogłaby posłużyć mi za broń.

Ryknąłem niczym zraniony byk, strząsnąłem ich z siebie i chwiejnie stanąłem na nogi. Znowu na mnie skoczyli. Czuję ból w całym ciele i trzęsła mną wściekłość.

Gwałtownym wymachem ramion wrzuciłem dwu z nich przez witrynę ze szlifowanego szkła do środka herbaciarni. Trzeci gnojek — wciąż lamentował nad uszkodzeniem, jakiego doznały jego genitalia — śmignął w moim kierunku, wywijając nożem jak pijany.

Chwyciłem donicę z czerwonymi kwiatami i grzmotnąłem go w głowę. Upadł jak rażony piorunem. Podniosłem go z ziemi i cisnąłem do koleżków, w ruiny herbaciarni. Mam nadzieję, że właściciele byli ubezpieczeni.

Strzepnąłem ręce i starając się nie zwracać uwagi na obolałe zebra i poranione ramię, wszedłem schodami z powrotem na Baggot Street.

Rozejrzałem się za nadinspektorem Conlonem, by i jego przerzucić przez witrynę. Ale nie było po nim śladu.

W hotelu stwierdziłem później, że nie doznałem większych szkód oprócz rozciętych dżinsów, obolałych żeber i zranionego ramienia. Wziąłem proszki przeciwbólowe, powiesiłem ubranie, brudne od tarzania się po mokrym betonie, i padłem na fotel.

Wtedy nastąpiła reakcja. Zdałem sobie sprawę, co się stało, i zacząłem się trząść.

Czy powinienem zadzwonić do Conlona, by mu powiedzieć, gdzie znajdzie swoich bandziorów? Zawiadomić ambasadę amerykańską i złożyć protest? Zgłosić się do miejscowej Gardy i zameldować o napadzie?

Postanowiłem absolutnie nic nie robić.

To oni zatelefonowali do mnie.

Podniosłem słuchawkę.

— Dobry wieczór.

Nie był to głos Conlona, a w każdym razie nie rozpoznałem go.

— Dziś daliśmy ci tylko zakosztować, co cię czeka, jeśli nie pozwolisz zmarłym spoczywać w pokoju.

— Jeszcze nie widziałeś swoich oprychów. Dziś dostali tylko próbkę tego, co cię czeka, jeśli nie zostawisz mnie w spokoju, skurwielu jeden.

Odłożyłem słuchawkę.

Umowa stoi.

Ale dlaczego? Przed czym mnie ostrzegali? Czy warto się tak wysilać, żebym tylko przestał gmerać w historii moich dziadków? Wydawało się to bezsensowne.

Sporo czasu minęło, nim się odprężyłem i zasnąłem. Rano obudził mnie hałas sprzątanania na korytarzu. Bolało mnie wszystko.

I po raz pierwszy naprawdę miałem pietra.

Ale nie aż takiego, by porzucić zamiar dokopania się prawdy o losach moich dziadków w czasie wojny domowej.

Trzymałem się jednak z daleka od głównej czytelni biblioteki w Trinity, gdzie szperałem przez kilka dni, ani nie odwiedziłem już profesora Nolana, który najprawdopodobniej mnie zakablował.

W zamian zatelefonowałem do domu.

— Dermot, kochanie, jak miło, że dzwonisz. Rozmawialiśmy wczoraj o tobie. Poznałeś jakieś miłe irlandzkie dziewczęta?

— Nie ma takich. Wszystkie piękne dziewczyny, jak ty czy babcia Neli, są w Ameryce.

— Nie mów tak, kochanie. Na pewno jakaś urocza dziewczyna czeka właśnie na takiego Amerykanina jak ty.

— Całe mnóstwo... Mamo, czy babcia i dziadek zostawili jakieś papiery albo coś w tym rodzaju?

— Cóż — odparła mama — dziadek nie miał szczególnych skłonności do pisania. Ale babcia przechowywała różne papiery, pamiętasz, że niczego nie wyrzucała. W piwnicy stoi pięć czy sześć pudeł. Nie mam pojęcia, co z nimi zrobić.

A więc mama, będąc sobą i wierząc, że jeśli poczeka się dostatecznie długo, wszystkie problemy, również problemy z synem, same się rozwiążą, nie zrobiła nic.

— Mamo, czy możesz poprosić George'a, by je zapakował i wysłał mi przez Federal Express do Dublina, do hotelu Jury? Jeszcze dziś, jeśli by dał radę. Próbuję napisać książkę o ich młodych latach w Irlandii.

— Ach, kochanie, cóż za cudowny pomysł. George z pewnością chętnie ci pomoże. Dużo czasu zajmie ci pisanie?

George w mniejszym stopniu aniżeli reszta rodzeństwa uważał, że się do niczego nie nadaje. Twierdził nawet, że mam niejaki talent do pisania.

— Niezbyt dużo. Wrócę niebawem. Mogłabyś poprosić George'a, by dzisiaj wysłał pudła przez Federal Express? - Powtórzyłem instrukcję, by mama nie zapomniała o niej, jej głowę bowiem zaprzętała w tej chwili tylko jedna sprawa: bym znalazł sobie miłą irlandzką dziewczynę. — Przyślę mu czek.

— Oczywiście, kochanie. I szukaj miłej, rozsądnej irlandzkiej dziewczyny.

— Ale nie ma takiej, mamo. Na całej wyspie nie ma ani jednej rozsądnej kobiety.

— Twoja babka pochodziła z Irlandii, kochanie.

— To było dawno temu, mamo. I nie była zanadto rozsądna.

Neli Pat Malone Ready kierowała się w życiu raczej namiętnością — rzucała się w wir spraw z mieszaniną determinacji i uniesienia, niczym Grace O'Malley z impetem ruszająca z gór.

Gdybym był do niej podobny, kupiłbym z miejsca dwa bilety (pierwszej klasy) do Chicago, zgarnął Nualę Anne McGrail i przywiózł ją do mamy.

Nie, babcia Neli z pewnością nie należała do rozsądnych. Może była sprytna, rezolutna — ale rozsądna? Na pewno nie.

Mama była równie ładna jak babcia Neli, a także słodka i kochająca, lecz ani rozsądna, ani sprytna. Nie musiała.

Tego dnia spodziewałem się kolejnej napaści lub kolejnego telefonu. Tymczasem nic się nie stało. Może myśleli, że moja nieobecność

w bibliotece o czymś świadczy. A może byli amatorami. Wszedłem więc w mgłę, z obolałymi ciągle zębami, i zajrzałem do O'Neilla, by wypić jeden głębszy — i ewentualnie poszukać towarzystwa kobiety, która okazałaby mi współczucie.

I znalazłem Nualę. Nie druidyczną kapłankę, jak się okazało, lecz dziewiczo czystą katolicką agnostyczkę z zachodniej Irlandii, która śpiewała, występowała na scenie, nie miała nic przeciwko temu, że ją całuje, i dość chętnie tuliła się do mnie pod parasolem.

Później tego wieczoru, oszołomiony młodą kobietą, która mi umknęła w mrok, poszedłem w górę Dawson Street ku błoniom, nasłuchując kroków za sobą i marząc, że trzymam Nualę w ramionach.

Z całym szacunkiem, oczywiście.

Nie mam zresztą wyboru — muszę być pełen szacunku.

Doszedłem już prawie do krańca Dawson Street, gdy usłyszałem wyraźny odgłos kroków za sobą. Przystanąłem. Kroki również ucichły. Może słyszałem własne echo.

Mając głowę nadal zaprzątniętą oszałamiającą i niepokojącą Nualą Anne McGrail, jak ostatni dureń wszedłem na błonia, zamiast je ominąć. Powinienem był pójść wzdłuż Lesson Street do kanału, a potem wrócić na Pembroke Road. Mgła i opary kłębiły się teraz tak gęste, że widziałem ledwie na kilka stóp przed sobą. Błonia były opustoszałe. Kroki rozlegały się teraz tuż za mną i zbliżały się coraz szybciej.

Dałem nura ze ścieżki i skryłem się za krzakami nad stawem. Tym razem ja ich zaskoczę.

Z ciemności wyłoniły się dwie sylwetki. Zawyłem jak upiór i skozyłem, zamykając je w potężnym niedźwiedzim uścisku. Już miałem wrzucić swe ofiary do stawu.

Ale moi więźniowie zaskomleli ze strachu i wtedy spojrzałem w ich twarze.

Dwoje dzieciaków, chłopiec i dziewczyna, młodsza nawet od Nuali. Para młodych kochanków spacerujących w parku.

Uwolniłem ich.

— Nigdy nie skradajcie się za mężczyzną podczas mgły — ostrzegłem ich, starając się mówić jak najgrubszym głosem.

Dziewczyna z krzykiem pomknęła w mgłę. Chłopak — niższy ode mnie chyba o połowę — przystanął, jakby rozważał możliwość sprawienia napastnikowi porządnego lania. Potem odwrócił się i pobiegnął za ukochaną.

— Eileen! Eileen! — krzyczał. — Zaczekaj na mnie.

Uciekłem, nim Gwardia będzie miała sposobność przeczesać błonia.

Następnego dnia wielki tytuł w „Irish Independent” głosił: Olbrzym zaatakował na błoniach dwoje spacerujących!

Wedle owej notatki młodzi powiedzieli gwardzistom, że „jakiś straszliwy potwór” pochwycił ich w ramiona — niedźwiedź, goryl, może yeti — pokrzykując w obcym języku. „Ani chybi, on by nas zabił — powiedziała gazecie Eileen McGovern — a ze mną by wyprawiał jakieś straszne rzeczy, nim odgryzłby mi głowę, ale Henry go przegonił”.

Szczęściarz z tego Henry'ego, skoro jest obiektem takiego uczucia.

Gwardziści przeszukali błonia i znaleźli tylko duże odciski butów koło stawu. „To olbrzymie ślady — powiedział sierżant Gardy Tomas O’Cuiv. — Nie mógł ich zostawić zwykły człowiek”.

Numer jedenaście, sierzancie? Musiał pan za dużo wypić.

Sierżant Gardy zauważył, że ten atak przypomina napaść nieznanego sprawcy na trzech młodych ludzi, którzy poprzedniej nocy zostali wrzuceni przez witrynę do środka herbaciarni przy Lower Baggot Street.

— Ten olbrzym sporo narozrabiał w tym tygodniu — powiedział sierżant Gardy.

Opowieść kończyła się uwagą, że ani zoo, ani cyrk nie zgłosiły ucieczki jakiegokolwiek zwierzęcia.

Bez wątpienia olbrzym pojawi się jeszcze nieraz w mieście i na wsi. Zapoczątkowałem fałę przestępstw.

Ostatni olbrzym zachodniego świata!

Co sobie pomyśli Nuala, gdy jej o tym opowiem?

Ale najpierw muszę ją odnaleźć.

I oczywiście znów ją pocałować.

Po kilku dniach wróciłem do Biblioteki Berkeley w Trinity College, przeszukując wzrokiem twarz każdej kobiety o długich czarnych włosach, żeby się przekonać, czy to przypadkiem nie Nuala, i szperając w gazetach z 1922 roku. Gdy wróciłem do hotelu Jury, czekały już na mnie pudła z Ameryki, sześć dużych kartonów wypełnionych pamiątkami. Przyszło mi do głowy, że te materiały mogłyby stanowić cenny nabytek dla jakichś archiwów emigracji. Powinienem je uporządkować albo zapłacić komuś za tę robotę. Nie posortowałem ich sam, bo jeszcze nie wiedziałem, czego szukam.

Ale byłem już najzupełniej pewny, że to profesor Nolan na mnie doniósł. Prawie się zdecydowałem pójść do jego gabinetu, przycisnąć do muru i zaproponować, że wrzucę go w najbliższą witrynę.

ZDANIEM POLICJI NIE MA ŻADNEGO ZŁOTA

Nadinspektor Roderick McShane z Irlandzkiej Policji Królewskiej w Galway złożył dziś zapewnienie, że w zachodniej Irlandii nie stwierdzono zaginięcia złota, do czego jakoby miało dojść w następstwie aresztowania sir Rogera Casementa, który przebywa teraz w więzieniu Kilmanhaim pod zarzutem zdrady.

„Poszukiwacze skarbów mogą rozpalać sobie wyobraźnię takimi opowieściami — powiedział nadinspektor — prawda zaś jest taka, że skonfiskowaliśmy wszystkie sztaby, które sir Roger próbował przemyścić do kraju z nieprzyjacielskiej łodzi podwodnej. Przywódcy rebeliantów nie powinni zwodzić ani siebie, ani innych nadziejami, że istnieją jakiegokolwiek fundusze na realizację ich akcji wyrotowych”.

Wycinek, zbrowsowały ze starości i kruszący się w palcach, nie był opatrzony datą. Ale musiał pochodzić z okresu późnej zimy lub bardzo wczesnej wiosny 1916 roku. Neli Malone miała wówczas zaledwie jedenaście lat. Dlaczego zachowała ten wycinek z gazety z Galway — i umieściła go na samym szczycie stosiku, który znalazłem w jej archiwum?

Czyżby stanowił początek jej historii?

Sir Roger Casement, agent tajnego Irlandzkiego Bractwa Republikańskiego, którego Anglicy powiesili po ujawnieniu jego „czarnych dzienników”, pełnych opisów przeróżnych zbrodni seksualnych, usiłował przeszmuglować do Irlandii niemiecką broń i pieniądze, by wesprzeć Powstanie, które zgodnie z planami Ochotników Irlandzkich miało wybuchnąć na Wielkanoc 1916 roku.

(Nie od rzeczy będzie tu przedstawienie pewnych rozróżnień: zagadkowe tajne stowarzyszenie, zwane Irlandzkim Bractwem Republikańskim — potępione przez Kościół — stanowiło prawdziwą władzę irlandzkiego ruchu republikańskiego. Ochotnicy, którzy później przekształcili się w Irlandzką Armię Republikańską [IRA], stanowili siłę zbrojną manipulowaną [bez ich wiedzy] przez tajne stowarzyszenie. Michael Collins w 1919 roku został przywódcą Irlandzkiego Bractwa Republikańskiego, które popierało traktat pokojowy, ale wówczas już utraciło kontrolę nad IRA).

Donosiciel dał Anglikom cynk o próbie wyniesienia na ląd ładunku z niemieckiej łodzi podwodnej. Tożsamości zdrajcy nigdy nie ustalono. Pośród Irlandczyków zawsze znajdowali się chętni do denuncjowania buntowników.

W kraju, gdzie tyle jest nędzy i cierpienia, a tak mało nadziei, donosicielstwo stało się jednym z najpowszechniejszych sposobów zarobkowania.

Kilka dalszych wycinków zawierało opisy Powstania Wielkanocnego w kwietniu 1916 roku w Dublinie oraz wykonywanych po nim egzekucji. Przywódcy Irlandzkiego Bractwa Republikańskiego, wiedząc, że ich walka nie ma szans bez niemieckiej broni i pieniędzy, usiłowali odwołać zaplanowane powstanie. Jednakże oddział dubliński w przekonaniu, że taki gest rozbudzi ducha irlandzkiego ludu, przystąpił do działania. W Poniedziałek Wielkanocny Ochotnicy Irlandzcy wspólnie z Armią Obywatelską opanowali Poczta Główną — ponieważ był to najważniejszy budynek na Sackville (czyli O'Connell) Street, głównej ulicy miasta — oraz inne punkty o kluczowym znaczeniu. Po kilku dniach ostrzału artyleryjskiego buntownicy skapitulowali. Większość Irlandczyków była przerażona rebelią i rozlewem krwi, do którego doszło w Dublinie podczas walk, a winą za to obarczali przywódców powstania.

Jednakże Anglicy, dając kolejny klasyczny dowód nieznamość Irlandii, pospiesznie rozstrzelali przywódców, niejako przeobrażając ich w bohaterów. Srogie zrodziło się piękno!, jak napisał Willy Yeats, dając hasło do ostatecznej walki o wolność, teraz już mającej powszechne poparcie irlandzkiego ludu.

ZACHÓD POWSTAŁ!

Czerwiec 1916

Zachód powstał! Oddziały Ochotników Irlandzkich na zachodzie kraju nadal walczą mimo kapitulacji ich kolegów w Dublinie. A oto komunikat wydany przez Domhnalla O'Ceallaigha, dowódcę Brygady Galway.

„Nie zamierzamy się poddać — głosi komunikat. — Będziemy walczyć, dopóki nie przepędzimy ze świętej irlandzkiej ziemi ostatniego brytyjskiego najeźdźcy. W Dublinie poeci chwycili za broń. Na zachodzie mamy tylko bojowników. Nie pozostaje nam nic innego prócz walki. Będziemy walczyć aż do zwycięstwa”.

Nadinspektor Roderick McShane z Irlandzkiej Policji Królewskiej zlekceważył ten manifest. „To tylko pijackie majaczenia garstki roman-

tycznych marzycieli. Ani w Galway, ani gdziekolwiek na zachodzie nie wybuchła żadna rebelia”.

Daniel O’Kelly, jak pisano by nazwisko dowódcy Brygady Galway w wersji angielskiej. Czy babcia lub dziadek kiedykolwiek je wymienili?

Chyba nie. A jednak ten manifest musiał mieć dla niej znaczenie, skoro go umieściła w swoich zbiorach.

McSHANE ZASTRZELONY

Grudzień 1919

Z ostatniej chwili. Jak się właśnie dowiedzieliśmy, dziś rano został zastrzelony w Claddagh nadinspektor Roderick McShane z Irlandzkiej Policji Królewskiej. Do zabójstwa doszło, gdy nadinspektor wracał z niedzielnej mszy. Oficerowie policji podejrzewają, że to dzieło republikańskich buntowników.

Zastrzelony, gdy wracał z niedzielnej mszy? A więc katolicy zabijają już innych katolików? Sprawy mogą ulec tylko pogorszeniu. I do tego w Claddagh, starej dzielnicy miasta Galway, gdzie nadal stoją domy kryte słomą w pobliżu doków (stąd jej nazwa oznaczająca „klucz”). Zawsze była to niebezpieczna okolica. Co tam robił oficer policji w niedzielny poranek?

Zaczęła się wojna partyzancka.

Kilka następnych wycinków z lat 1919—1921 przedstawiało szczegółową relację z tak zwanej wojny anglo-irlandzkiej, między armią brytyjską, jej osławioną najemną policją posiłkową i znienawidzonymi Brunatnymi a Ochotnikami Irlandzkimi, którzy wkrótce (z własnego nadania) przyjęli miano Irlandzkiej Armii Republikańskiej. Brytyjczycy byli zmęczeni Wielką Wojną i nie mieli chęci na prowadzenie długiej, być może bezcelowej, kampanii w Irlandii. Tym razem Irlandczycy najwyraźniej postanowili doprowadzić swe zamiały do końca. Nagłówki nie pozostawiały żadnych co do tego wątpliwości:

TRZY KOLEJNE DOMOSTWA SPALONE

Kwiecień 1920

Funkcjonariusze policji podali dziś do wiadomości, że ubiegłej nocy spalono trzy kolejne domy będące siedzibami właścicieli ziemskich. Ochotnicy szaleją, niszcząc wszystkie szlacheckie rezydencje.

Wielu ziemian wyjeżdża do Anglii. Wedle niektórych doniesień okolic wiejskie, zwłaszcza w North Galway i South Mayo, opustoszały jak w czasie „małego głodu” przed czterdziestu pięciu laty.

POLICJANCI Z ODDZIAŁÓW POSIŁKOWYCH ZASTRZELENI

Listopad 1920

Dziś rano przed gospodą Harp and Shamrock w Oughterard znaleziono ciała pięciu członków Oddziałów Posiłkowych. Mieszkańcy miasta twierdzą, że nic im nie wiadomo o okolicznościach tej śmierci, oficerowie policji jednak podejrzewają, że pięciu mężczyzn piło w pubie, gdy zaatakował ich lotny oddział partyzancki pod dowództwem „komendanta” Daniela O’Kelly’ego.

Podczas nocnych wydarzeń w Harp and Shamrock dopuszczono się znacznych szkód. Właściciel powiada, że nie wie, co się stało ani kto zdemolował lokal: policjanci z Oddziałów Posiłkowych czy też partyzanci.

Motocykl należący do zabitych zniknął z wioski. Według ostatniej wiadomości, którą uzyskaliśmy telefonicznie z domu lorda Crowe, policja jeszcze nic odzyskała pojazdu.

Z Cork do Galway mają zostać przeniesione dodatkowe oddziały wojska, by położyć kres zbójckim poczynaniom Kelly’ego.

ZASADZKA W CLARE

Maj 1921

Według doniesień, które otrzymaliśmy wczoraj późnym wieczorem, na drodze między Limerick i Ennis wpadł w zasadzkę konwój wojskowy. Zniszczono kilka ciężarówek i dwa osobowe crossleje. Nie ma wiadomości o ofiarach w ludziach. Według pogłosek krążących w Galway wczorajszej nocy, atak jest dziełem połączonych brygad partyzanckich z Clare i Galway pod dowództwem komendanta Daniela O’Kelly’ego.

DWIE EGZEKUCJE

Czerwiec 1921

Wczoraj w Maam Cross, w Connemarze, znaleziono ciała dwóch mężczyzn, powieszonych na szubienicy. Tożsamości ofiar nie udało się ustalić od razu. Przypuszcza się jednak, że ich śmierć jest kolejnym brutalnym wyczynem komendanta Daniela O’Kelly’ego z lotnego oddziału Irlandzkiej Armii Republikańskiej, działającego w Connemarze.

IRA NISZCZY ŁODZIE RYBACKIE.

Sierpień 1920

Lotny oddział Brygady Galway Irlandzkiej Armii Republikańskiej przeprowadził wczoraj najśmielszą z dotychczasowych akcji: na rzece Corrid zniszczono pięć łodzi rybackich. Mówi się, że rybacy odmówili płacenia „podatku”, który nałożył na nich pułkownik Daniel O’Kelly, dowódca brygady.

Policja przyznaje, że nie jest w stanie zapobiec zuchwałym atakom O’Kelly’ego. „Śpiewają o nim ballady w każdym pubie w zachodniej Irlandii — przyznał jeden z oficerów. — Jak długo ludność będzie nie tylko tolerować, lecz i podziwiać te zbrodnie, nie będziemy w stanie im zapobiec”.

IRA, na której czele stał teraz Michael Collins, jeden z wielkich wojskowych i politycznych geniuszy dwudziestego stulecia, nauczyła się prawdy, którą głosił później przewodniczący Mao: partyzantka musi pływać w morzu ludzi.

Czy dziadek Bill Ready, jowialny, czuły bohater mojej młodości, człowiek, który chętnie opowiadał zabawne dykteryjki, często podśpiewywał i każdego dnia aż do śmierci przystępował do komunii, też palił angielskie dwory, strzelał do Brunatnych, wieszał podejrzanych o zdradę, urządzał zasadzki na angielskie konwoje, niszczył łodzie rybackie i dopomógł wreszcie poskromić brytyjskiego lwa, będąc o rok młodszy niż ja, gdy wywalili mnie z Notre Dame?

Czy był kimś, kogo dzisiaj określamy mianem „terrorysty”, i to jeszcze brutalnym?

Babcia wspominała niejasno, że dziadek był jakoś zamieszany w sprawy rozgrywane się podczas Wypadków. Ale jako zabójca? Nie mogłem w to uwierzyć.

Dlaczego jednak przechowywała te wycinki niczym cenny skarb?

Na pewno nie wstydziła się jego działalności, nigdy nie wstydziła się niczego, cokolwiek zrobił czy powiedział jej mężczyzna.

Usiłowałem sobie wyobrazić, jak wyglądało życie w Galway po Wielkiej Wojnie. Więcej miało ono wspólnego z odległą przeszłością niż z naszą erą. Nie było radia, telewizji ani elektryczności. Działało zaledwie parę telefonów, po drogach jeździły nieliczne pojazdy — autobusy i od czasu do czasu auto jakiegoś bogacza. Wiadomości gazetyowe podawano w zwężonej formie, gdyż nie było — szczególnie w takich prowincjonalnych miastach jak Galway — zespołów reporterów, tak że redaktor mógł właściwie przedrukowywać tylko plotki. Poruszano

się pieszo lub konno albo może rowerem (wynalezionym w Belfaście dwadzieścia lat wcześniej). Porozumiewano się ustnie.

A jeśli ktoś był młody i skończył szkołę średnią, może i marzył o wielkich czynach w imię wolności Irlandii. W naszych bardziej wyrefinowanych czasach może się to wydawać patriotycznym nonsensem — choć nie podzielają tej opinii terroryści z żadnej części świata.

Babcia i dziadek terrorystami? Też coś!

Ale czy godzi mi się ich osądzać? Co bym zrobił, gdybym się natknął na oddział Brunatnych, gwałcicieli i morderców terroryzujących bezbronne miasto?

Często powiada się, że IRA wynalazła wojnę partyzancką. Wynalazła też współczesny terroryzm, a przynajmniej go udoskonaliła.

Czyż babcia i dziadek uwikłani byli w te złowieszcze wynalazki?

Czy zdołam wykazać, że to nieprawda? Partia Sinn Fein (My Sami), obiecując ustanowienie republiki irlandzkiej, wygrała wybory w Irlandii w roku 1918. Jej delegaci odmówili udania się do Westminsteru, sami ukonstytuowali Dail Eireann (parlament) w Dublinie i ogłosili niepodległość Irlandii. O dziwo, Brytyjczycy pozwolili im na zwołowanie zgromadzeń. Pod koniec roku 1920 sytuacja była jednak mocno niepewna. Co prawda Brytyjczycy nie byli w stanie pokonać Michaela Collinsa, ale buntownicy też nie żywili wielkich nadziei na wyparcie Brytyjczyków z Irlandii.

Wyczerpana Wielką Wojną Brytania nie miała dość sił na kampanię w Irlandii. Generał sir Neville McCreeady, dowódca oddziałów brytyjskich, z całą szczerością poinformował premiera Davida Lloyda George'a, że nie widzi szans na militarne zwycięstwo. McCreeady był pierwszym, choć nie ostatnim generałem w tym stuleciu, który odkrył, że niewielka grupa ludzi, walecznych i oddanych sprawie, może przetrącić kręgosłup sporej i nowoczesnej armii.

Collins i co bardziej umiarkowani przywódcy IRA zdawali sobie sprawę, że zaczyna im brakować broni i amunicji i że wkrótce nie będą zdolni prowadzić walk na taką skalę.

Obydwie strony resztkami sił doczołgały się do stołu konferencyjnego w Londynie, by podczas zimy i wiosny 1921 roku opracować traktat pokojowy.

Traktat ustanowił „Wolne Państwo Irlandzkie”, coś jakby dominium w ramach Imperium Brytyjskiego. Brytania miała zatrzymać dla siebie dwa „porty traktatowe” w Irlandii — Cobb i Kingstown. Prowincja Ulster, w nieokreślonych ściśle granicach, której protestanci mieszkańcy przysięgli walczyć przeciwko unii z resztą terytorium

Irlandii, de facto otrzymała status części Zjednoczonego Królestwa, a wszyscy członkowie rządu Wolnego Państwa Irlandzkiego obowiązani byli składać przysięgę na wierność Koronie Brytyjskiej.

Collins, Arthur Griffith, William Cosgrave i Kevin O'Higgins, przywódcy umiarkowanego skrzydła rewolucjonistów, nie byli zachwyceni tym traktatem. Ale mając już dosyć walk i mordów, wiedzieli, że udało im się ubić najlepszy interes, jaki w tych warunkach był możliwy. Podpisali traktat (dla dwóch podpisy te okazały się wyrokami śmierci) i przekonali większość Dail do ratyfikowania dokumentu.

Jak powiedział Collins (zwany Wielkim Facetem z powodu szerokich barków i władczej osobowości): „Nie jest to całkowita wolność, o którą nam chodzi, ale zmienimy ją w całkowitą wolność”.

De Valera, prezydent Republiki Irlandzkiej (przezwany Długim Facetem ze względu na swój wzrost), nie zgodził się z tą ideą, zrezygnował z urzędu prezydenckiego i odrzucił traktat. Na początku 1921 roku ci dwaj ludzie i reprezentowane przez nich frakcje weszły w ostry konflikt, chociaż Collins opiekował się rodziną Deva, gdy został on uwięziony za udział w Powstaniu Wielkanocnym. Collins wręcz zorganizował ucieczkę De Valery z więzienia.

I tak zaczęła się irlandzka wojna domowa, w której niedawni sojusznicy z wojny anglo-irlandzkiej z szaleńczym zapałem masakrowali, szlachtowali i mordowali się wzajemnie. Obie strony wyzywały się od zdrajców i wybijaly jedna drugą bez litości.

Wielki Facet zginął jako jeden z pierwszych — sam przewidział, że nie przeżyje walk.

Po latach, gdy wojna domowa dawno już dobiegła końca, De Valera podjął myśl Collinsa, by Wolne Państwo powoli przekształcać w niepodległy naród. Przez całe swoje długie życie Dev miał jednak wrażenie, że działa w cieniu Collinsa.

Otworzyłem książkę, którą miałem zamiar czytać, i wyszukałem całostronicowe zdjęcie Michaela Collinsa — barczystego Irlandczyka o szerokiej twarzy, falujących włosach i nieco złośliwym uśmiechu. Znałem dobrze ten typ ludzi: dusza każdego towarzystwa, dowcipny, wesoły, przystojny, elokwentny, o dużej inteligencji — podobny nieco do mego brata George'a.

Zdjęcie to pochodziło z początku wojny angielsko-irlandzkiej. Collins musiał wtedy mieć około dwudziestu pięciu lat. Podobno pod koniec był wychudzony, wyczerpany i bliski desperacji z powodu dawnych towarzyszy broni mordujących się nawzajem.

Kto mieczem wojuje...

W bardzo starym i zniszczonym od częstego brania do ręki wy-cinku z „Cork Examiner”, który znalazłem w zbiorach babci, podano pierwszą relację o śmierci Collinsa.

GENERAŁ COLLINS ZABITY

Sierpień 1922

Z ostatniej chwili. Wedle wiadomości, które ostatnio nadeszły z Cork, Michael Collins, minister obrony w Wolnym Państwie Irlandzkim, zginął w zasadzce między Skibbereen i Crookston w Bealnablath. Wydaje się, że generał Collins jest jedyną ofiarą potyczki między członkami swego konwoju a bandą partyzantów. Generał Collins, pochodzący z Sam's Cross w West Cork, miał trzydzieści jeden lat.

Zabity we własnym kraju, gdzie — jak mu się zdawało — powinien być bezpieczny, zabity podczas wyprawy na front, gdzie przewodniczący Rządu Tymczasowego i naczelny dowódca armii Wolnego Państwa (oraz dusza tegoż rządu) nie powinien się znajdować, zabity na czele kolumny walczącej w potyczce. Zabity w niewyjaśnionych okolicznościach.

Wielka strata dla Irlandii i dla świata.

Znałem tę całą sprawę, ponieważ czytałem o nim książki, zanim jeszcze Oddział Specjalny przestrzegł mnie przed zagłębianiem się w historię wojny domowej na zachodzie Irlandii oraz udziału w niej Liama O’Riady.

Nie wiadomo dokładnie, co zaszło. Najwyraźniej większość ludzi oczekujących w zasadzce odeszła z miejsca wydarzeń, gdyż konwój się opóźniał. Tylko garstka napastników wzięła pod ogień wóz opancerzony, samochód terenowy i crossley, gdy skręcili w ponurą dolinę. Collins umarł, kiedy strzelanina ustała, zabity pojedynczym strzałem w głowę.

Nie jest też pewne, kto zorganizował zasadzkę ani dlaczego. Krążą pogłoski, że partyzanci obawiali się próby pochwylenia De Valery, który znajdował się w pobliżu, choć konwój udawał się w celu przeprowadzenia inspekcji, a nie operacji wojskowej, ponadto Dev chyba nie zapomniał, że to Collins zorganizował jego ucieczkę z londyńskiego więzienia. Później, kiedy się dowiedział o śmierci Collinsa, żałował głęboko, że oto zginął ostatni człowiek, który byłby w stanie powstrzymać wybuch wojny domowej.

Erskine Childers, angielski oficer walczący wspólnie z Irlandczykami (stracony później przez Wolne Państwo), który został dowódcą

„partyzantów” (jak rząd Wolnego Państwa nazwał siły przeciwne traktatowi), znajdował się zaledwie o dziesięć mil od tego miejsca i nic nie wiedział ani o konwoju, ani o zasadzce.

Choć IRA (jak nazwały się oddziały partyzantów) uznała Collinsa za zdrajcę, nie chciała wziąć na siebie odpowiedzialności za jego śmierć. Według jej dowództwa nic nie wiadano o ataku.

Co więcej, fakt, że Collins zginął już po zakończeniu potyczki, naruszał podejrzenia, iż Collinsa zastrzelił członek jego konwoju, który żywił jakąś urazę do generała lub może chciał zająć jego miejsce.

Obecnie dominuje przeświadczenie, że był to wypadek, jaki może się zdarzyć podczas działań wojennych — przypadkowe spotkanie dwóch małych oddziałków w górach zachodniego Cork, krótka zacięta wymiana ognia, ostatni strzał oddany w kierunku wysokiego raną oficera (z czerwonymi wypustkami przy kołnierzu zielonego munduru) przez wycofującego się żołnierza. Najprawdopodobniej był nim pochodzący z Kerry Dennis „Sonny” Neill, strzelec wyborowy w armii brytyjskiej podczas pierwszej wojny światowej — który codziennie przystępował do komunii. Jednakże nikt — a już zwłaszcza żaden Irlandczyk — nie porzuci dobrowolnie teorii spisku.

Drżącą ręką wziąłem ostatni wycinek z babcinego zbioru. Czy Ma go przechowała, bo dziadek zabił Michaela Collinsa? Bezsprzecznie zabijał innych, jeśli był w lotnym oddziale Daniela O’Kelly’ego. Z pewnością nie wiedział, że oficer z czerwonymi wypustkami to Collins. A co lotny oddział w Galway mógł robić w West Cork dwudziestego drugiego sierpnia 1922 roku?

Pamiętam, co Ma mówiła o Collinsie. „Cóż, kochasiu, to był wielki człowiek. Tak, tak. I nie słuchaj, jeśli będą ci mówili inaczej. Może nie miał racji co do traktatu, ale czyż jego śmierć nie była wielką stratą dla nas wszystkich? I czy wielu z tych, którzy stali po drugiej stronie, nie płakało na wieść, że został zabity, i to we własnej ojczyźnie?”

Czy mówiłaby tak spokojnie, gdyby wiedziała, że Pa go zabił, choćby i nieumyślnie? Czy dlatego nigdy nie powróciła do Irlandii?

Przypominałem sobie resztę historii wojny domowej, spoglądając przez okno na deszcz padający do odkrytego hotelowego basenu. Powiniennem zejść i popływać. Dotrzymać postanowienia, że będę ćwiczył nawet w czasie deszczu.

De Valera dowiedział się o całym wydarzeniu, gdy partyzanci zaczęli tracić morze ludzi, w którym pływali. Większość Irlandczyków była zadowolona z istnienia Wolnego Państwa. Amerykanie pochodzenia irlandzkiego, którzy finansowo wspierali rewolucję, przestali się

nią interesować po podpisaniu traktatu. Czy warto się bić o dwa „porty traktatowe”? A jeśli protestanci z sześciu hrabstw chcieli pozostać częścią Anglii, to dlaczego im tego zabraniać?

I tak po dwóch latach Wojny Domowej Długi Facet nakazał partyzantom „wywalić w diabły” broń i kandydować do Dail. Gdy po rocznej odsiadce w 1927 roku wybrano go do parlamentu, znalazł sposób, by złożyć przysięgę na wierność Koronie Brytyjskiej. Uspokoiwszy tym własne sumienie, z wodza rebelii przeciw Wolnemu Państwu przedzierzgnął się w przywódcę opozycji w Dail. W 1932 roku wygrał wybory i został prezydentem Rady Wykonawczej, czyli premierem (i Taoiseach — szefem rządu — w 1937 roku, zgodnie z nową konstytucją). Od tej pory władzę sprawowały na przemian partia „protraktatowa” i „antytraktatowa”. W końcu Dev zdelegalizował IRA — garstkę nieprzejednanych, którzy nie podporządkowali się jego decyzji, by od zabijania przejść do głosowania.

Oni jednak nie odeszli.

Zastanawiałem się przez chwilę, która partia jest teraz u steru. Partia Deva, przeciwna Wolnemu Państwu. Irlandia błyskawicznie przestała usuwać różnice za pomocą wojny domowej i zaczęła to robić na drodze wyborów. Zmiana bardzo rozsądna.

Ale dlaczego...

Spojrzałem wreszcie na ostatni, nie, przedostatni wycinek.

O'CEALLAIGH ZAMORDOWANY

Wrzesień 1922

Ciało Domhnalla O'Ceallaigha, dowódcy brygady partyzantów z Galway, znaleziono wczoraj późnym wieczorem w Maam Cross, miejscu, gdzie przeprowadził on egzekucje wielu osób podejrzanych o zdradę. Jego ciało podziurawione było kulami. Garda Sióchana nie podejrzewa nikogo o dokonanie zabójstwa, choć przypuszcza, że jest to wynik kolejnej kłótni wśród resztek oddziałów partyzanckich.

W ostatnich miesiącach O'Ceallaigh stracił większość popleczników i kilkakrotnie omal nie został schwytany przez Gardai Sióchana. Komendant O'Ceallaigh miał trzydzieści lat.

Na wieść o śmierci komendanta generał porucznik Richard Mulcahy, naczelny wódz Armii Narodowej, powiedział w Dublinie: „Był to dzielny człowiek i pod wieloma względami wielki irlandzki patriota. Niestety nie do końca rozumiał, na czym polega patriotyczny obowiązek. Nie umniejsza to jednak jego niepodważalnych talentów dowódczych”.

Krążą pogłoski, że adiutant komendanta O’Ceallaigha, kapitan Liam O’Riada, zajął jego miejsce na stanowisku dowódcy uszczupłej obecnie brygady.

A więc dziadek walczył u boku Daniela O’Kelly’ego! I zastąpił go jako dowódca partyzantów. Ale zaraz, zaraz — było to pod koniec 1922 roku, gdy Pa i Ma już się pobrali i opuścili Irlandię, by nigdy więcej tu nie powrócić.

Brygady najprawdopodobniej nie trzeba było rozpuszczać, bo mało kto w niej pozostał. Ale może dołączył do Deva i dalej działał legalnie? Czy też Wolne Państwo nałożyło na jego głowę zbyt wysoką cenę, by mogło się tak stać? Czy w Nowej Irlandii nie było miejsca dla zabójcy Michaela Collinsa, choć sam czyn skłonna była przebaczyć?

Zastanawiałem się nad tym przez parę minut. Nie zapomniao dawnych uraz. Chociaż wojna domowa wedle oficjalnych danych pochłonęła osiemset ofiar (więcej niż wojna anglo-irlandzka), to w rzeczywistości zginęło chyba nie mniej aniżeli cztery tysiące ludzi. Było wiele powodów do nienawiści. Lecz owe właśnie miały mniejsze znaczenie dla tych, którzy pozostali w Irlandii i dokładali starań, by nowy naród mieszkał w państwie pokojowym i demokratycznym, niż dla emigrantów z wczesnych lat dwudziestych podtrzymujących dawne animozje.

Syn Childersa został prezydentem Irlandii, a syn Cosgrave’a pracował dla niego jako Taoiseach. Może nie byli przyjaciółmi, ale przynajmniej nie chcieli się pozabijać. Wręcz przeciwnie, najprawdopodobniej podczas sesji Dail usiłowali okazywać sobie wzajemnie jak najdalej posuniętą uprzejmość.

Nie można jednak powiedzieć, by Pa i Ma nienawidzili kogokolwiek. Nie zwracali też szczególnej uwagi na wieści z Irlandii ani na wydarzenia polityczne w starym kraju. Pa działał na rzecz partii demokratycznej i był zapalonym kibicem Cubs. Siedząc mu na kolanach oglądałem, jak w 1969 roku Cubs stracili proporzec, ku głębokiej naszej konsternacji. Cokolwiek zaszło w przeszłości, przecięli wszystkie więzy z Irlandią, stracili nawet wszelkie nią zainteresowanie.

Dlaczego ktoś miałby zawracać sobie tym głowę ponad siedemdziesiąt lat później? Tajemnica zabójstw Michaela Collinsa i Daniela O’Kelly’ego mogłaby stać się osnową fascynującego kryminału historycznego, lecz kogo ta sprawa naprawdę obchodzi — z wyjątkiem paru kłótliwych facetów, którzy za dużo wypili w pubie?

Nie ma to wielkiego sensu.

Spojrzałem na mapę hrabstwa Galway. Maam Cross nie było specjalnie odległe od Carraroe — kawałek drogi, można by rzec. Czy Nuala należała do szpiegującej mnie grupy?

Po chwili zdałem sobie sprawę z bezsensowności moich podejrzeń. Nikt nie mógł z góry wiedzieć, że w deszczowe jesienne popołudnie wstąpię do pubu O’Neilla.

Chociaż, jeśli się później zorientowali, że się nią interesuję...

Było to możliwe, ale mało prawdopodobne.

Ostatni wycinek pochodził z 1932 roku — w którym urodziła się moja mama. Było to podpisane zdjęcie.

PREMIER ODSŁANIA POMNIK W OUGHTERARD

Premier De Valera na uroczystości odsłonięcia pomnika komendanta Daniela O’Kelly’ego w Oughterard. Komendant O’Kelly był bohaterem wojny anglo-irlandzkiej. Wraz ze swym oddziałem Brygady Ochotników Irlandzkich z Galway ocalił miasto przed rozbojem ze strony Brytyjskich Oddziałów Posiłkowych, zienawidzonych Brunatnych.

Czy Ma dołączyła to zdjęcie ze względu na subtelną ironię kryjącą się w takim obrocie wydarzeń? Czy chciała przez to powiedzieć, że ten drań Kelly znowu jest bohaterem, a jej mąż nadal zbiegiem?

O co w tym wszystkim chodzi? A jeśli nawet się dowiem, czy będzie to miało jakiegokolwiek znaczenie?

Stanąłem jednak wobec fascynującej, tajemniczej zagadki, którą koniecznie chciałem rozwiązać.

Zszedłem do holu i zrobiłem ksero ze zbiorów Ma. Stary papier niedługo się skruszy. Potem wróciłem do pokoju, włożyłem odbitki do cienkiej teczki, którą schowałem do walizki, oryginały zaś wsunąłem do biografii Michaela Collinsa pióra Margery Forester. Książka leżała na stoliku w salonie mojego apartamentu. Później jeszcze raz przeczytałem zamieszczony w gazecie artykuł na temat Collinsa i porównałem go z biografią. Stos wycinków odłożyłem do archiwum Ma, które ciągnęło się wzdłuż całej jednej ściany mego apartamentu.

Czy Pa, który odkąd pamiętam, opowiadał mi bajki i śpiewał piosenki, był zabójcą Michaela Collinsa? A może zamordował Daniela O’Kelly’ego?

A może ich obu?

Poszedłem jednak zobaczyć ją w Wesółku, choć sobie przysięgałem, że tego nie zrobię.

Spacerowałem po klasycznych placach i boiskach Trinity College, szukając jej wśród chmary studentów, teraz w przeważającej części Irlandczyków i katolików, którzy krążyli żwawo między różnymi budynkami i salami wykładowymi — jakby nie wiedzieli, że po ukończeniu studiów dla większości z nich i tak nie będzie pracy.

Na tablicy ogłoszeniowej zespołu aktorskiego, umieszczonej między frontową bramą a Kolegium Głównym, podano, że aktorzy zaprezentują „niegdyś kontrowersyjną” sztukę Johna M. Synge’a w gmachu Kolegium Głównego, w sali 103, o pół do ósmej w piątek, sobotę i niedzielę. W roli Pegeen Mike wystąpi Marie Fionnuala McGrail.

A więc tak się pisze jej imię.

Grzebałem w archiwach babci Neli w piątek i sobotę wieczór, a w niedzielne popołudnie postanowiłem pojechać koleją do Houth i obejrzeć odpływ. Albo może przyptyw. No, cokolwiek tam się dzieje.

I zostanę w Houth aż do końca przedstawienia.

Wsiadłem w pociąg i podziwiałem szmaragdowe morze w złotym blasku zachodzącego jesiennego słońca, połyskujące czerwienią i fioletem, niczym kosztowne ornaty proboszcza od św. Marka w mojej parafii w Stanach. Proboszcz je ekshumuje od czasu do czasu, a normalnie leżą w skarbcu razem z innymi zabytkami z czasów sprzed Soboru Watykańskiego.

Potem wróciłem do Dublinu i spacerkiem poszedłem do Trinity College.

„Teatr” był mały, a do tego w połowie pusty — siedziało tam trochę młodzieży, która niewielkim kosztem chciała spędzić czas na randce, kilka starszych osób, niemających nic lepszego do roboty, paru „jankeskich” turystów — teraz umiałem ich już rozpoznać — i garstka zasuszonych pracowników uczelni.

Czeka was chyba duża niespodzianka, mruknąłem pod nosem.

Mój obraz Wesółka ukształtował film, który dwadzieścia lat temu wyreżyserowała Siobhan McKenna. Umieściła ona akcję w nadmorskim miasteczku Inch w Dingle Bay. Aktorzy uniwersyteccy nie mogli wykorzystać dodatkowych efektów, jakich dostarczały cudowne krajobrazy Kerry. Co więcej, widok wnętrza oberży na zachodzie Ir-

landii pod koniec dziewiętnastego wieku pozostawiono w dużej mierze wyobraźni widzów.

Nie mieli też Siobhan McKenny, niech spoczywa w pokoju.

Lecz mieli Nualę, moją Nualę.

Bardzo rozsądnie nie usiłowała być drugą McKenną. Grała Pegeen Mike na swój sposób — stworzyła postać narwanej dziewczyny o nieposkromionej energii, krewkim temperamencie i ostrym języku.

Reszta zespołu była najwyraźniej uszczęśliwiona, że razem z nią może przebywać na scenie.

Z początku czułem się nieco skonsternowany tym, że moja nadobna Nuala nie jest jednak Siobhan McKenną. Że też ta dzierlatka z Carraroe śmie grać Pegeen Mike, jakby heroina Synge'a była energiczną nastoletnią łobuzią!

Jednakże w miarę jak przedstawienie nabierało rozmachu dzięki pełnej namiętności grze Nuali Anne McGrail, która całkowicie zdominowała zespół, zacząłem rozumieć jej koncepcję. Przedstawiała inteligentną i oryginalną interpretację dramatu. Synge'owi pewnie by się to nie spodobało (choć najprawdopodobniej podobałaby mu się Nuala) lecz takie odczytanie sztuki dawało do myślenia.

Publiczność była zachwycona, ponieważ — jak podejrzewam — mieli świadomość, że ta „dziewuszka” na scenie jest jedną z nich. Gdy wyrzekła ostatnią, smutną kwestię, tylko niewiele oczu pozostało suchych.

„O doło moja nieszczęsna, na zawsze go postradałam. Straciłam ostatniego wesołka Zachodniego Świata”.

Będę szczery: moje nie pozostały.

Poszedłem na początek korytarza i przyparłem do muru jedną z młodych bileterek.

— Dałaby pani tę miotłę naszej gwieździe?

— Co tu mamy? Dwanaście róż? — ucieszyło się rumiane dziecko, mierząc mnie wzrokiem. — Czy nie byłaby szczęśliwa, gdyby pan sam jej to dał?

— Ach, czy to wypada, żebym ją nachodził?

„Od jednej Pegeen Mike dla drugiej, o wiele lepszej” nabazgrałem na bileciku dołączonym do bukietu i wcisnąłem go dzieciakowi.

— Powiedzieć jej, od kogo to? — spytała niepewnie.

— A czy się nie domyśli, jak tylko je zobaczy? Ale mogłabyś powiedzieć, że to od wysokiego jankesa? Czy nie powącha ich i nie powie: „No, ten jeszcze nie jest najgorszy”?

— A czyż w naszym kraju to nie jest komplement?

Spojrzała na róże tak smętnie, że zaprzagnąłem przynieść drugi buket dla mego posłańca.

Spiesznie wyszedłem z budynku, aby gwiazda nie wybiegła za mną jak szalona. Umiała śpiewać, grać na scenie i uczyła się księgowości.

Była też detektywem. Jak się później dowiedziałem, rozwiązywała zagadki niczym młoda irlandzka panna Marple, ktoś, kto widzi całość układanki na długo, zanim wszystkie jej elementy będą złożone do kupy. Wspominając naszą przygodę dopiero teraz uzmysłowiłem sobie, że przez większość czasu byłem jej Watsonem, a ona Holmesem. Jest tak sprytna, że aż do końca nie zdawałem sobie sprawy z mojej roli.

A nie lubię być niczym Watsonem.

W pięknym grodzie Dublinie znowu kapał deszczyk, drobny, kroplisty — „łagodny”, jak powiedzieliby miejscowi. Pomyślałem, że równie dobrze mógłbym w tej chwili znajdować się w Gary w stanie Indiana.

Litując się niezmiernie nad sobą, co stanowi ulubioną rozrywkę Irlandczyków, zwłaszcza gdy pada, powędrowałem Grafton Street na błonia św. Stefana, jednym uchem nasłuchując kroków z tyłu i zastanawiając się, czy „olbrzym” nie zrobi jeszcze jednego skoku.

Z przyjemnością wróciłem do hotelowego apartamentu. Gdy nie padało, z okna mojej sypialni można było widzieć w oddali Góry Dublińskie. Z okien saloniku miałem widok na Christ Church i Liberties. Apartament to nie dom, ale od dawna nie czułem się tak bardzo w domu jak tutaj.

Wybrałem hotel Jury, bo ma i basen, i siłownię. Wynająłem apartament, bo jeśli mieszka się tu przez miesiąc, przysługuje duża zniżka, a jak dowodziłem sobie, by uspokoić sumienie, muszę mieć pokój, w którym mógłbym pracować na komputerze. Mój apartament, z tapetą w delikatny kwiatowy wzorek i umeblowany w tonacji zielonej, był wygodny i działał kojąco. Wprawdzie dokuczała mi nieco samotność, ale sam mogłem sobie za to gotować nieduże posiłki. Oszlone atria i fontanny tętniły życiem — hotel pełen był amerykańskich turystów, irlandzkich biznesmenów oraz młodych kobiet i mężczyzn, którzy przychodzili tu wieczorem na kolację, czując się nieswojo w wyjściowych ubraniach. Ożywienie przenikające hotelową atmosferę omijało mnie — tak jak sobie tego życzyłem.

Póki nie poznałem Pegeen Mike.

Po wypiciu mikroskopijnego łyeczka Bushmill's Single Malt westchnąłem niemal równie ciężko, jak gdybym był tubylcem, i podjąłem melancholijne dzieło systematycznego przeglądania pamiątek po bab-

ci. Gorliwie zbierała papiery: wycinki prasowe o jej mężu, ogłoszenia o ślubach dzieci i wnuków, zdjęcia z chrztu prawnuków, rysunki wykonane kredką przez kolejnych potomków. Obawiam się, że połowę tych dzieł sztuki stanowią szalone majaczenia jej ulubieńca („bo to żywy obraz «jego»„), niejakiego Dermota czy też jak wołała mnie nazywać. Diramuida Coyne'a.

— Mamo, zepsujesz go do cna — protestowała moja własna matka z wyraźnym brakiem szczerości.

— Ależ z tego biedaczka taki anioleczek — odpowiadała Ma (bo tak zwracałem się też do babci). — Czy można go nie kochać?

To fakt, że wszyscy mnie uwielbiali: rodzice, rodzeństwo, ciotki, wujowie i kuzyni. Możliwe, że mnie rozpieszczali. Może geny przekazujące ambicję zdążyły się już wyczerpać. A może rodzice, przyjmując mnie jako miłą niespodziankę, nie mieli już sił, by zaszczyścić mi etos pracy.

Nigdy nie powiedzieli do mnie złego słowa, nawet gdy postępowałem naprawdę nagannie — jak wtedy gdy wyleciałem z uniwersytetu albo odszedłem z drużyny piłkarskiej Fenwick. Ustawiali się w kolejce, z babcią na czele, by jakoś mnie usprawiedliwić.

Przez tydzień odbywały się przyjęcia, by uczcić mój sukces na giełdzie — to „wspaniałe osiągnięcie, naprawdę wspaniałe” — zachwycała się Ma, jakby zwykły łut szczęścia mógł stanowić jakiegokolwiek osiągnięcie.

Pół roku później Pa zmarł, a babcia zawięła się cztery miesiące po mężu.

Przeglądając jej archiwum, miałem oczy pełne łez. Mówiłem sobie, że nie ma powodu do płaczu. Babcia miała bogate, szczęśliwe i pełne namietności życie, ze skrajnej nędzy doszła do względnego dostatku, wychowała siedmioro dzieci i doczekała się prawnuków.

— Ach, Dermocie, to żaden wyczyn, naprawdę nic wielkiego. Trzeba tylko wcześniej wyjść za mąż i długo żyć.

Dlaczego więc płakałem za babcią?

Bo mi jej brakowało. I dlatego, że nie byłem przy niej, kiedy nadszedł koniec, gdy — jak mi powiedziano — ciągle się o mnie dopytywała i co charakterystyczne, usprawiedliwiała moją nieobecność.

Na dnie drugiego pudła znalazłem stosik obłożonych w papier notesików, starannie poukładanych i ściągniętych gumką. W sumie mogło ich być ze trzydzieści. Otworzyłem pierwszy. Pisany był po irlandzku, drobnym druczkiem, którego nie mogłem odcyfrować. Zdołałem jednak odczytać liczby na pierwszej stronie: 14, 05, 19. Kartkowałem dalej. Wszystkie stroniczki miały daty. Dziennik! Dziennik

babci. W maju 1919 roku miała czternaście lat!

Ma nie robiła notatek codziennie. Zapisywała tylko to, co jej zdaniem warte było upamiętnienia. Ma prowadziła dziennik! Nigdy mi o tym nie mówiła. Prawdopodobnie nie powiedziała nikomu oprócz „niego”, a sekret jemu zawierzony był tak bezpieczny, jakby zdradziła go posagowi Iwa stojącemu przed Instytutem Sztuki.

Gdy tak przeglądałam notesiki, zaczął mi kielkować w głowie pewien pomysł. A może w tych zeszytach, wyblakłych ze starości, znajdę wyjaśnienie, dlaczego babcia z dziadkiem nigdy nie wrócili, powód, dla którego — słyszę jej głos szepczący mi do ucha, gdy miałem chyba z osiem lat: — „Gdybyśmy wrócili, gołąbeczku, jak nic zastrzeliliby nas oboje!”

Znowu zadrzałam — na wspomnienie owego drżącego ośmiolatka.

Co więcej, czy notatki babci nie tworzą pamiętnika godnego publikacji, a przynajmniej nie stanowią bogatego materiału źródłowego, który byłby cennym nabytkiem dla Towarzystwa Historycznego w Chicago?

Przyszło mi do głowy, że być może powinienem zadzwonić do domu. Mama i tato będą w saloniku oglądać mecz Chicago Bears, prawdopodobnie w towarzystwie wielbego George'a, by opracować Strategię dla Mike'a Ditki, ponieważ Bears grają w Green Bay. Może pogadać z rodziną?

(Czy śledziłem kalendarz rozgrywek Bears, choć włóczyłem się po Świecie? Oczywiście, że tak! Który kibic by tego zaniedbał?)

Szczyściem trafiłem na przerwę po pierwszej połowie, a Bears prowadzili — inaczej rozmowa skończyłaby się błyskawicznie i nie dane by mi było nacieszyć się tym lekiem na tęsknotę, nawet jeśli działa tak krótko.

— Mamo, wiedziałaś, że Ma prowadziła dziennik?

— Z pewnością nie, kochanie. Nie miała przed nami sekretów.

— Ależ tak, mamo. Od czternastego maja 1919 do... — otworzyłem ostatni notesik — ostatnią notatkę zrobiła na trzy tygodnie przed śmiercią.

— Tak? I co napisała? — Mama wykazała pewne zainteresowanie, lecz nie poczuła się zaniepokojona. Mama rzadko okazywała niepokój — czy w ogóle pamiętam takie wydarzenie? Była pogodnym dzieckiem szalonej i namiętnej kobiety.

— Nie mam pojęcia. Wszystko jest po irlandzku.

— Naprawdę? Nie wiedziałam, że pamiętała stary język. Ach, Dermocie, to była wielka dama!

— Wiem.

— Może i lepiej, że nie potrafimy tego odczytać. Nie chciałyby, żebyśmy grzebali w jej sekretach.

— W takim razie zniszczyłyby je, nie uważasz?

— Może i tak... Spotkałeś już jakąś sympatyczną irlandzką dziewczynę?

Z jakichś niezrozumiałych powodów powiedziałem jej, że tak. Po prostu usłyszałem w głosie matki nutkę tęsknoty — święcie wierzyła, że jeśli tylko jej najmłodsze dziecko pozna „miłą dziewczynę”, ustakuje się, wróci do domu i wykorzysta swe rozliczne talenty roztropnie i z pożytkiem — chociaż wszystko to razem było zgoła nieprawdopodobne.

— Jak jej na imię? — zapytała mama uszczęśliwionym głosem.

— Nuala Anne McGrail. Pierwsze imię to skrót od Fionnuala. Studiuje w Trinity College w Dublinie, to znaczy uczy się księgo-wości, ale też występuje na scenie i śpiewa.

Dlaczego paplałem o tym wszystkim? Prawdopodobieństwo przyjazdu Nuali ze mną do domu, do mamy, jest równie niskie jak wstąpienia Borysa Jelcyna do partii Młodych Republikanów.

— Czy jest ładna?

— Prześliczna.

Niech mi to Bóg wybaczy.

Później podszedł tato i przekazał mi analizę błędów, które Be-ars popełnili w czasie pierwszej połowy. Po nim zgłosił się „probarszcz” George, jak go nazywałem.

— Dziewczyna? — zapytał z niedowierzaniem.

— To nic poważnego, George. I nigdy nie będzie.

— Wygląda jak Ma?

George, jak zdążyście się jeszcze zorientować, jest bardzo by-strym młodym duchownym.

— Wcale a wcale.

Ma była niska i krępa, miała płonące zielone oczy (które po niej odziedziczyłem, blond włosy zaś i wzrost przejąłem po dziad-ku), a w młodości miała rudą grzywę. „Moja Cyganeczka” — drażnił się z nią Pa, a ona udawała, że wpada w furję.

W istocie nie pamiętam, by kiedykolwiek rozgniewała się na męża.

— Naprawdę? — powiedział sceptycznie probarszcz.

— Wysoka, czarnowłosa, smukła, o niebieskich oczach i nie-wyparzonym języku.

— Zdaje się, że to twój typ.

Gdybym powiedział George'owi, że Nuala pochodzi z Carraroe Gaeltacht, byłby zupełnie rozanielony. „Model odpowiada danym” — piałby z radości.

Lubię George'a, podziwiam i szanuję, co uważam za zupełnie naturalne. Ale nie znoszę, gdy ćwiczy na mnie hipotezy psychologiczne rodem z podrzędnych poradników.

— Nieważne, George. Rozmawiałem z nią tylko raz.

— Czasem to wystarczy — powiedział ostrożnie. George doskonale wiedział o moich kłopotach z kobietami i bardzo uważał, by nie rozdrapać jakiejś świeżej rany.

— Nazwała mnie zasranym jankeskim gadułą.

— Wygląda na to, że jest bardzo spostrzegawcza — roześmiał się.

Przerzuciłem rozmowę na temat drużyny Notre Dame, z którą nadal czuję się związany, choć mnie wyrzucili.

Gdy się pożegnałem z rodziną, znowu zacząłem się nad sobą rozkliwiać. Było to wspaniałe uczucie.

Macie pełne prawo zapytać: na czym właściwie polega problem Dermota Coyne'a? Czy cierpi na niedostatek hormonów? Oto mamy Utalentowaną, inteligentną i niezwykle atrakcyjną młodą kobietę, na tyle kłótniwą, by wzbudzała zainteresowanie, na tyle delikatną, by była pociągająca, i na tyle nim zainteresowaną (w końcu pozwoliła się pocałować, tak czy nie?), by warto było się za nią uganiać.

Dlaczego więc Dermot Coyne nie podejmuje żadnych kroków W tym kierunku? Czyż nie jest w takim wieku, że kobieta klasy nadobnej Nuali Anne powinna wywołać w nim falę najrozmaitszych reakcji chemicznych? Nie mówiąc już o sprośnym (choć pełnym szacunku) fantazjowaniu?

Czyż biedaczek nie przyznał się już do reakcji i fantazjowania?

Dlaczego, nieszczęsny idyjota, nie poszedł za kulisy ze swym tuzinem róż i nie wręczył ich wyżej wymienionej młodej kobiecie? Być może byłyby to pierwsze kwiaty, jakie w ogóle otrzymała w swym krótkim życiu.

Dałoby mu to prawo do następnego pocałunku, no nie? A może objęłaby go w pospiesznym uścisku wdzięczności?

Musicie zrozumieć, że mając szczęście na giełdzie, nie miewałem go w miłości. Dwa razy w życiu byłem poważnie zakochany, naprawdę poważnie. Jeden z tych związków zakończył się tragedią, drugi katastrofą, choć owa katastrofa wywoływała może efekty komediowe.

Nie. jeśli sięgnąć myślą wstecz, zdecydowanie była to komedia, chociaż ja wyszedłem na kabotyna.

Zebrałem dzienniki Ma w stosik i włożyłem je do paczki, w której przyszły, upewniając się, czy są złożone równie starannie, jak je zostawiła. Wspomniałem już, że Ma nie miała obsesji na punkcie porządku. Ale lubiła, żeby wszystko było starannie poukładane.

Zadzwoił telefon. Kto do diabła zakłóca mi spokój tutaj, w Jury, w zimny, mglisty dubliński wieczór?

— Dermot Coyne — powiedziałem. Cisza.

— No, co tam? — powiedziałem niecierpliwie, choć serce zabiło mi gwałtownie i poczułem nagłą suchość w ustach.

— Podobało się panu dzisiejsze przedstawienie, co? — Głos brzmiał ochryple, był celowo zmieniony, lecz nie tak jak ostatnio.

— A jeśli tak, to co?

— Nic w tym złego, no nie? Pod warunkiem że nadal będziesz grzeczny i nie zadasz już ani jednego pytania, którego nie należy zadawać. Chyba rozumiesz, o co mi chodzi?

— Odpierdol cię! — wrzasnąłem i cisnąłem słuchawkę.

Natychmiast pożałowałem, że nie dodałem dowcipu o olbrzymie.

Na przykład: „Nigdy nie przypierdzielajcie się do Olbrzyma, pierdziele!”

Jak już powiedziałem, wszelkie próby zastraszenia natychmiast mobilizują mnie do ataku.

No i co z tego, że poszli za mną do teatru? Ładna mi pierdzielona umowa!

7

Jako dziecko nazywała się Kelly Anne Morrissey. Gdy stała się nastolatką, kazała mówić na siebie Kellianne. Potem po prostu Keli. Dla mnie zawsze była Kel.

Moja pierwsza miłość.

Znałem ją od zawsze. I od zawsze kochałem.

Nasi ojcowie byli kolegami w Akademii Medycznej. Jej matka i moja w tym samym roku ukończyły Trinity High School w River Forest. Urodziła się na miesiąc przede mną, ostatnim z siedmiorga ro-

dzeństwa, niespodzianką i być może pomyłką, która stała się ukochanym dzieckiem.

Od początku wyczuwałem — a sięgało to moich tak wczesnych lat, że nie pamiętam, kiedy zrodziło się we mnie owo przekonanie — iż w porównaniu z nią miałem szczęście do rodziców. Mama i tato są ludźmi o nieskazitelnym manierach i łagodnym usposobieniu. Nie przypominam sobie, by któreś z nich kiedykolwiek się upiło. Jej ojciec natomiast to krzykliwy bufon, choć niewątpliwie ma wzięcie jako urolog. Matka jest pozbawioną gustu otyłą jędrą, a tych epitetów w żadnym razie nie można odnieść do mojej rodzicielki.

Jednakże państwo Morrisey stanowili część otoczenia, w którym urodziłem się i wzrastałem. Byli tak mocno osadzeni w moim osobistym krajobrazie, jak i parafia Św. Marka, klub Oak Park, jezioro Geneva oraz mój brat, który chciał być księdzem. Dopiero jako nastolatek zdałem sobie sprawę nie tylko z tego, że ich nie lubię, lecz i że nigdy nie lubiłem. Później zorientowałem się, że rodzice również ich nie lubili.

— Gdybyśmy potrzebowali dowodu — powiedział George, na którego ustach zagrał ironiczny uśmiezek, zapowiadający jakąś bystrą i złośliwą uwagę — że oboje nasi rodzice są świętymi, wystarczy wziąć pod uwagę, że od trzydziestu dwóch lat tolerują tych pijaków.

George nie wygląda ani nie zachowuje się jak mój brat. Ma pięć stóp osiem cali wzrostu, włosy czarne, a nie blond, twarz o wyrazistych rysach, gęste brwi i żywy uśmiech. Jest bystry, uczuciowy, pełen wewnętrznej siły. Epigramy i cytaty śmigają z jego ust jak pociski z broni automatycznej. Gdy mówi lub myśli albo robi jedno i drugie (co dzieje się niemal bez przerwy), chodzi wielkimi krokami niczym bokser wagi koguciej przed walką.

— Pijakami?

— Nie jesteś bardzo spostrzegawczy, co, Derm? Oboje są alkoholikami. Bez dwóch zdań.

— Nigdy w ten sposób o nich nie myślałem.

— Jasne, że nie — powiedział na poły z irytacją, na poły z podziwem.

Miał rację co do starszych Morriseyów: oboje rzeczywiście byli alkoholikami. Ich nałogowe pijaństwo należało do świata, w którym wzrastałem, podobnie jak i jasnobłond włosy, błękitne oczy i prześliczna twarzyczka ich córki. Tak jak z góry uznałem, że Kel jest śliczna, Zawsze też uważałem za naturalne, iż jej rodzice piją na potęgę i dość głupio się zachowują.

Jak daleko sięgam pamięcią, zawsze byliśmy z Kel nierozłącznymi przyjaciółmi. Nie przypominam sobie, kiedy pocałowaliśmy się po raz pierwszy, choć najprawdopodobniej to ona mnie pocałowała. Z pewnością zainicjowała pocałunki w pierwszych latach szkoły podstawowej, a wróciła do nich w siódmej klasie, gdy chłopcy nie wstydzili się już całować dziewcząt, lecz chwalili się swymi podbojami — ja jednak nigdy nie chełpiłem się tym, że ja pocałowałem.

Kel i ja byliśmy zawsze razem. Budowaliśmy zamki z piasku na brzegu jeziora Geneva i opryskiwaliśmy się wodą, spacerowaliśmy bocznymi drogami i zrywaliśmy dzięki maliny, razem oglądaliśmy telewizję i odrabialiśmy lekcje, czasem obrzucaliśmy się śnieżkami, lecz zazwyczaj ciskaliśmy nimi w innych, udając, że oni zaczęli.

Każdego dnia rano na dziedzińcu szkoły św. Marka, udając brak zainteresowania, szukałem jej wzrokiem — i napotykałem wpatrujące się we mnie jej oczy. Oboje chichotaliśmy i odwracaliśmy się, nie chcąc przed nikim zdradzić, jak wiele dla siebie znamy.

Podczas prywatek i potańcówek w liceum nigdy nie poczułem się swobodnie, dopóki nie wytropiłem Kel — co zazwyczaj nie było trudne, gdyż jej perlisty śmiech wskazywał, gdzie ją znaleźć.

Zapewne zręczniejszemu sobie poczynając, ona też miała na mnie oko.

— Przyszedłeś dziesięć po dziewiętej — rzekła oskarżycielskim tonem po jakiejś imprezie. — Późno.

— Pilnujesz mnie?

— Jasne. — Zarzuciła mi ręce na szyję. — A co ja bym bez ciebie robiła?

Czy kochała mnie bardziej, niż ja kochałem ją? Czy też młodej dziewczynie łatwiej jest okazywać miłość?

Nie wiem. Może i jedno, i drugie.

Gdy weszliśmy w wiek dorastania, pocałunki stały się bardziej namiętne, co działało się za moją sprawą, choć ona nie protestowała. Rodzice mieli wobec nas mieszane uczucia. Nasza wzajemna miłość była „słodką” i na pewno tworzylibyśmy „uroczą” parę. Martwili się jednak, czyśmy się „zbyt nie zaangażowali”, co znaczy, że obawiali się, by młodzieńcza namiętność nie zniweczyła naszych planów na przyszłość.

Jak już wspomniałem, rodzina zanadto się nie trapiła moimi szansami na karierę — może trochę przejmowali się cenzurkami. Rodzina Kel natomiast zawsze bardzo poważnie myślała o jej przyszłych losach.

Wszyscy z mojego rodzeństwa zasłużyli na miano „ludzi sukcesu”, a więc byłem kimś w rodzaju Czarnego Piotrusia, latoroślą na

pewno obdarzoną licznymi talentami, która niekoniecznie jednak musi przyczyniać się do świetności rodu.

Co się tyczy Toma Morriseya, był on człowiekiem rozczarowanym, żadne bowiem z jego dzieci nie przejęło po nim zawodu lekarza.

— To najgodniejszy zawód na świecie — powiedział kiedyś do mego ojca.

— Jeśli się go lubi — odparł tata, oględnie udzielając mu lekcji życiowej mądrości, o której Tom nie miał pojęcia.

Rzecz nie w tym, że dzieci Morriseyów nie starały się zostać lekarzami. Ale niestety albo się nie dostawały na akademię medyczną, albo je stamtąd wylewano, co stanowiło hańbę gorszą niż moja porażka w Notre Dame.

— Nie nadają się do tego — powtarzał ojciec. — Odziedziczyły prezencję ojca i inteligencję matki.

— Jim, jak możesz tak mówić — upominała go matka tonem świątobliwie nieszczerym, którym posługiwała się, gdy chciała okazać, że całkowicie zgadza się z jakimiś co bardziej bulwersującymi uwagami ojca.

Kel, ostatnie i najbardziej złote dziecię, była inna. Poczynając od przedszkola, wszędzie zajmowała pierwsze miejsce — miała najlepsze stopnie w klasie, była gospodynią klasową, wygłaszała mowę pożegnalną po rozdaniu świadectw, sprawowała funkcję przewodniczącej samorządu studenckiego, uzyskiwała najlepsze oceny na koniec semestru, okrzyknięto ją królową studenckich potańcówek i wybrano na kapitaną drużyny siatkówki... Zdobywała wszelkie honory, jakie można sobie wyobrazić.

Natura obdarzyła ją wszystkimi tymi talentami, które ja też miałem, i jeszcze trochę dorzuciła. Co więcej, Kel pracowała na swoje sukcesy.

— Różnica między tobą a małą Kelly Anne — powiedziała kiedyś moja matka — polega na tym, że ona wykorzystuje swe zdolności, a ty nie.

— Ależ ona jest dziewczyną — zaprotestowałem z wyraźnym brakiem logiki.

— Ach, zauważyłeś to — uśmiechnęła się szelmowsko mama. — Zawsze zachowywałeś się, jakby była którymś z twoich kolegów.

— Tym też jest — upierałem się. — Nie zadziera nosa jak inne dziewczyny.

— To biedne dziecko ma nerwy w strzępach — ciągnęła mama, ze smutkiem potrząsając głową. — A rodzice wymagają od niej strasznie dużo.

Nie miałem o tym pojęcia. Przeciwnie, wydawało mi się, że Kel zależało na sukcesach bardziej aniżeli jej rodzicom i tak ciężko pracowała nad wszystkim — ciężiej, niż musiała, biorąc pod uwagę jej wrodzone zdolności — bo lubiła się zaharowywać.

Cisnęła mnie silniej niż moi rodzice. Jej reakcji na moje marne oceny lękałem się bardzo, o wiele bardziej niż opinii rodzzonego ojca i matki. Na wieść, że opuściłem drużynę piłkarską, wściekła się bez porównania gwałtowniej niż oni.

— Jesteś uparty, zarozumiały i leniwy — wypaliła prosto z mostu, gdy usiadłem na przednim siedzeniu jej mustanga kombi. Mielismy randkę wieczorem tego właśnie dnia, gdy wyszedłem z szatni, by nigdy już tam nie wrócić.

— Ale nadal mnie kochasz.

— Pewnie, że nadal cię Kocham. — Przytuliła się twarzą do mnie. — Ale chcę także być z ciebie dumna.

— Przecież zdarzają mi się też oceny celujące — dotknąłem zuchwałej młodziutkiej piersi.

Nie odsunęła się. Lubiła te pieszczoty chyba jeszcze bardziej niż ja. Nasza gra miłosna była niezmiernie interesującym sportem, a uprawiałem go w przeświadczeniu, że mógłbym się posunąć znacznie dalej, niż się odważałem.

— Zbierz ich jak najwięcej — westchnęła z zadowoleniem. — Bez ciebie będę się czuła w Notre Dame bardzo samotna.

Posłusznie podwyższyłem moją średnią, ledwo, ledwo dostałem się do Notre Dame, by się przekonać, że ojciec Kel widział ją gdzie indziej — w Yale.

Tworzyliśmy dziwnie dobraną parę: Kel zawsze tryskała radością, była duszą każdej zabawy, wiodła prym na uczelni i na boisku. Ja stanowiąc kawał zdrowego byka (co w ustach Ma brzmiało czule), który się za nią włócił.

Kel intonowała piosenki w autobusie podczas wyjazdów na pikniki w szkole średniej, pocieszała samotne i nieszczęśliwe dzieciaki z naszej klasy, organizowała randki na dwie pary, planowała tańce, brała ster w swoje ręce, gdy ktoś musiał go wziąć, a nawet kiedy właściwie wcale nie musiał. Ja ustawiałem krzesła i sprzątałem, kiedy było już po wszystkim.

Zdobyłem parę nagród — w konkursach na wiersz i opowiadanie, ale komu potrzebny pismak, jeśli mają królową studenckich balów, która otrzymuje też najlepsze oceny i jest asem siatkówki, a przy tym nie odchodzi w połowie sezonu?

Co prawda przez moment szkoła i parafia czuły się mile połączane moimi nagrodami, lecz nie stanowią one przepustki do Notre Dame.

— Dobre stopnie może mieć mnóstwo osób — oznajmiła Ma rodzinie — ale poeci to rzadkie ptaki.

— Rzadkie ptaki, jak najbardziej — przytaknął Pa, który do katerycznych sądów małżonki podchodził w ten sposób, że powtarzał dwa ostatnie słowa, dodając stanowcze „jak najbardziej”, czemu towarzyszył wesoły uśmiezek, najogólniej mówiący, że „ta kobieta to istny postrach”.

W późniejszych latach często się zastanawiałem, czy nasza znajomość przerodziłaby się w miłość, gdybyśmy nie byli przyjaciółmi od tak dawna, jeszcze zanim do naszych krwiobiegów przeniknęły hormony. Zaklinowaliśmy się w związku, do którego może w ogóle by nie doszło, gdybyśmy byli sobie obcy mając po czternaście lat. Ale wpadliśmy w pułapkę młodościowej miłości, nim zyskaliśmy możliwość zastanowienia się, chociaż w tamtych czasach żadne z nas tego nie żądało.

Słoneczna, dynamiczna osobowość Kel miała też mroczną stronę. Wypijała parę puszek piwa więcej, niż powinna, i ku mojemu niekłamnemu przerażeniu eksperymentowała z marihuaną i kokainą.

Gdy zaklinałem ją, by skończyła z narkotykami i piła mniej piwa, usłuchała natychmiast, przeprosiła, że dała mi powód do zmartwienia, i błagała, bym jej wybaczył.

— Nie chcę cię stracić, Derm — powiedziała ze łzami w oczach. — Nie wiem, jak przeżyłabym bez ciebie.

Odpowiadałem, że do niczego nie jestem jej potrzebny, a ona tuliła się do mnie, chowała mi głowę na piersi i mówiła: „Jesteś mi bardzo potrzebny, Dermocie. Po prostu strasznie”.

Nie na tyle jednak, by potrafiła odmówić, gdy przyjęto ją do Yale, a doktor — jak rodzina zawsze zwracała się do Toma Morriseya — nakazał córce studiować właśnie w tej uczelni, a nie w Notre Dame.

Ale to są już późniejsze refleksje. W owych czasach uważałem Kel za idealną dziewczynę, a siebie za najszcześniejszego faceta na świecie.

Czy byłem zrozpaczony, kiedy mi powiedziała, że „musi” iść do Yale?

Tak szczerze, gdy sięgnę pamięcią wstecz, to nie. Pocieszałem ją, kiedy tonęła we łzach, i przekonywałem, że nieobecność sprzyja miłości. Przypominając sobie tę rozmowę, zastanawiam się, czy gdzieś w głębi duszy nie czułem pewnej ulgi.

Ale wówczas nigdy bym się do tego nie przyznał. Byłem nią oszłamiony, zafascynowany jej dowcipem i energią, urzeczony urodą, zdumiony miłością do mnie, oczarowany wspaniałością jej młodego ciała.

W istocie nie była jednak piękna, nie tak jak Nuala. Miała ładną buzię i zmysłowe kształty, przypominała bardziej marzenie młodzieńca o kobiecie, którą chciałby widzieć nago, niż ideał piękna dojrzałego mężczyzny.

Nigdy nie widziałem jej całkiem rozebranej, choć miałem po temu okazję.

Nasi znajomi byli pewni, że ze sobą śpimy. Powiadali, że nasza znajomość jest zbyt zażyła, byśmy zdołali oprzeć się cielesnym pokusom. Nie będę udawał, że ta myśl nie przyszła mi do głowy. Nigdy bym tego jednak nie zaproponował Kel. Zastanawiałem się, jak złożyć najbliższej przyjaciółce taką propozycję.

Sama mi się ofiarowała w dniu poprzedzającym szkolny bal.

— Chcesz się ze mną kochać po balu, Dermocie? — spytała ze zwykłą dla niej rozbrajającą szczerością. — Może w lecie powinniśmy zostać kochankami, byśmy mieli co wspominać, gdy pod koniec sierpnia rozjedziemy się do college'ów?

Jakież młody mężczyzna odrzuciłby taką propozycję? Zapewne taki, którego by ta wizja przerażała.

— Chyba jesteśmy trochę za młodzi, Kel. Zbyt cię szanuję, by ci to teraz zrobić. A będę cię pamiętał i bez seksu.

Westchnęła — najpewniej wskutek rozczarowania.

— Jak zwykle masz rację. Ale mimo wszystko będę twoja, kiedy tylko mnie zechcesz.

— To porywająca propozycja, Kel. — Wziąłem ją w ramiona. — Będę pamiętał.

Powiesiła się w Dniu Ojca. W balowej sukni. Przed obiektywem kamery wideo. Wykrzyczawszy całą swą nienawiść do rodziców. Tuż przed kopnięciem krzesła zawołała: „Przykro mi, Derm. Kocham cię!”

O taśmie dowiedziałem się później. Denise Reid, jej najlepsza przyjaciółka, zadzwoniła do mnie o czwartej w to pogodne popołudnie, gdy wiosna dobiegała już końca.

— Derm, w domu Kel stało się coś strasznego — powiedziała z histerią w głosie. — Podobno... podobno się zabiła. — Nie mogła mówić z przerażenia.

Przebiegłem koło dwóch bloków oddzielających nasze domy. Przed bramą stała karetka i dwa wozy policyjne, na zewnątrz w milczeniu

czekała gromada około pięćdziesięciorga ludzi. Przepchnąłem się przez tłum i podszedłem do drzwi. Zatrzymał mnie policjant.

— Niestety, synu, nie możesz tu wejść.

— Chciałbym porozmawiać z jej ojcem albo matką — wykrztusiłem, ledwo dysząc. — Nazywam się Dermot Coyne.

Policjant popatrzył na mnie i domyślił się, że jestem jej chłopakiem.

— Przyrowadzę kogoś z nich — obiecał.

Doktor ukazał się w drzwiach chwilę później, rozsiewając silną woń burbona. — Niech go pan arestuje! — krzyknął. — Zabił moją córuchnę! Zamordował mojego małego doktora!

Przez tłum za mną przeszedł pomruk zakłopotania.

— W jaki sposób, proszę pana? — zapytał policjant, rozumiejąc, zdaje się, że ma do czynienia z człowiekiem, który zupełnie nad sobą nie panuje.

— Wiedział, że ona chce to zrobić, i nic nam nie powiedział. To jego wina!

— Nnie... Nie wiedziałem, doktorze Morrisey — wybąkałem — Słowo honoru... Ale ona przecież żyje?

— Chciał, żeby pojechała z nim do Notre Dame. Dlatego ją zabił. Ten gówniarz to morderca!

Kątem oka dostrzegłem, że jakaś młoda kobieta pospiesznie coś zapisuje w notatniku. Reporterka — to wszystko będzie w gazetach i w telewizji. Byłem tak zrozpaczony, że nic mnie to nie obchodziło. Nie chciałem uwierzyć, że moja przyjaciółka Kel nie żyje. Ta prawda jednak zaczęła do mnie docierać.

Życie wydało mi się straszliwie puste, niczym otwarty grobowiec bez dna.

— Niech pan wraca do domu, doktorze — powiedział cicho policjant. — Zajmiemy się wszystkim. — A potem do mnie: — Wracaj do domu, synu. Potem przyjdziemy do ciebie i porozmawiamy. Nie martw się.

Szedłem do domu, jakbym zmierzał na koniec ziemi.

Tego wieczoru moja wykrzywiona smutkiem twarz wypełniła ekran telewizyjny podczas wiadomości o dziesiątej. O śmierć królowej balu rodzice obwiniają jej chłopaka! głosił nagłówek w porannej „Tribune”. Tom i jego żona Dot wpadli w histerię, gdy w poniedziałek wieczór wszedłem do domu pogrzebowego w otoczeniu moich rodziców, Ma i Pa, George'a (który w tym właśnie roku uzyskał święcenia) oraz mojej siostry Lindy, która jako prawnik ostrzegła jednego z adwokatów

(płci męskiej) z klanu Morriseyów, że mimo całej żałoby rodzice Kel aż się proszą, by im wytoczyć proces o zniesławienie. Doktor zaczął wykrzykiwać plugawe słowa pod adresem nas wszystkich. Ojciec odwrócił się na pięcie i ruszył w kierunku drzwi. Wśród zgromadzonych zapadła cisza, jakby ktoś właśnie umarł. Wyszliśmy w ślad za ojcem w ciepły wiosenny wieczór. Ma i Pa w ariergardzie, by nie stracić okazji do bójki, gdyby ktoś ją wszczął.

Kiedy opuszczałem dom pogrzebowy, mając wszędzie wokół siebie ponure twarze, czułem wdzięczność, że nie będę musiał oglądać Kel w trumnie.

Jej przyjaciele powiedzieli mi, że wyglądała przepięknie. Nie chciałem im wierzyć.

— Potrzebują kozła ofiarnego, na którego mogliby zrzucić winę — cedził George przez zaciśnięte zęby. — Nie chcą przyjąć na siebie odpowiedzialności.

— Cicho, kochanie — ucięła jego wywody Ma. — O tym wszyscy wiedzą.

— Wszyscy wiedzą, jak najbardziej — przytaknął jej mąż. Siedziałem w ostatniej ławce w kościele św. Marka na mszy żałobnej, później stanąłem przed kaplicą cmentarza Królowej Niebios. Byli ze mną rodzice; reszta rodziny nie pojawiła się, nawet Ma ani Pa, choć Ma chciała przyjść, bo a nuż dojdzie do bójki.

Niektóre starsze zakonnice z Trinity powiedziały dziewczętom, które przybiegły do nich, by usłyszeć słowa pociechy, że jeśli Kel tuż przed śmiercią nie odmówił w całości aktu skruchy, pójdzie prosto do piekła. Proboszcz od św. Marka, który nienawidził wszystkich nastolatków, w swym kazaniu całkowicie pominął tę kwestię. Złożył hołd ojcu i matce Kel, o niej samej prawie nie wspominając.

Później George, wściekły na zakonnice i na proboszcza, zapytał:

— Kochałeś ją, Derm?

— Jasne.

— Myślisz, że Bóg kochał ją mniej?

— Pewnie, że nie.

— Możemy więc ufać, że się o nią zatroszczy, o to małe biedactwo, jak mówi Ma.

— Chyba tak.

George miał rację, lecz ja zastanawiałem się, dlaczego Bóg pozwolił umrzeć istocie tak pełnej życia. Nadal się nad tym zastanawiam, gdy myślę o Kel. Albo gdy widzę ją w swoich snach.

Gdybym kochał się z nią tamtej wiosny, może byłaby jeszcze wśród nas?

Sam George, nie wiedząc o jej propozycji, twierdził, że Kel na moment wpadła w piekło rozpaczy.

— Gdyby przetrzymała do następnego tygodnia, doszłaby do siebie. Ale w waszym wieku zawsze się sądzi, że nigdy nie uda się odbić od dna.

Oto co się zdarzyło następnego dnia po pogrzebie. Puścili taśmę wideo w wiadomościach o piątej — zasłaniając się wymówką, że pomoże to innym rodzicom radzić sobie z pogrążonymi w depresji dziećmi. Musiałem włączyć telewizor, żeby dowiedzieć się, ile bramek zdobyli Cubs, i ujrzałem Kel, która w balowej sukni wołała do mnie. Patrzyłem jak skamieniały, z pilotem w ręku.

— Jedyne, co się liczy w moim życiu — krzyczała — to miłość do Dermota! Jestem zerem, bezwartościowym zerem. Wszystko robiłam tylko po to, by zadowolić rodziców. Nienawidzę siebie. Ich też nienawidzę. To para pijanych drani. Nienawidzę wszystkich nagród, odznak i trofeów. Możecie je sobie zatrzymać, mamó i tato, ale mnie już nie będziecie mieli. Nie mam po co żyć. Absolutnie! Nie ma ze mnie żadnego pożytku. Przynajmniej teraz robię to, co chcę. Dermocie, Kocham cię! Przepraszam!

Po czym pojawiła się spikerka i zaczęła nakłaniać rodziców, by wsłuchiwali się w uczucia swych dorastających dzieci.

Zwymiotowałem na ekran telewizora.

Następnie w środkach masowego przekazu toczył się ohydny spór na temat sposobu, w jaki owa stacja zdobyła taśmę, oraz moralnego prawa do jej wykorzystania. Dało to pretekst do wyświetlania kasety raz po raz. Nie pokazano, jak Kel się wiesza, choć „Tribune” podała, że w ostatnich słowach prosiła mnie o przebaczenie.

— Kochała cię, i to wystarczy, by poszła do nieba. — George wymierzył palec w moim kierunku. — Całkowicie bezinteresowna miłość stanowi przepustkę do rajów.

Mam taką nadzieję. Nie minął tydzień, jak Dot i Tom przeniesli się do Kalifornii, nie odzywając się słowem do moich rodziców, którzy — jak mi się wydaje — przyjęli to z ogromną ulgą. Nigdy już o nich nie usłyszeliśmy. Ja spędzałem czas na przekonywaniu innych dziewcząt, by nie szły w ślady Kel, i zapewnianiu chłopaków, że nie powinni obwiniać siebie za to, co się stało.

Pewnie nurtowało mnie wówczas jakieś poczucie winy, ale byłem za bardzo zajęty, by poświęcić mu uwagę. Przede wszystkim czu-

łem się samotny, brakowało mi Kel. W moim życiu powstała pustka, która nigdy się nie wypełni.

— Dlaczego Bóg pozwala na takie rzeczy? — zapytałem George'a.

— Chyba dlatego, że nie może im zapobiec. — George wzruszył ramionami. — Z pewnością jednak możesz liczyć, że Bóg boleje nad nią tak samo jak ty, a właściwie nawet bardziej.

— Bóg boleje?

— Zapomnij o greckiej filozofii, głupku. — Wymierzył znów palec w moim kierunku. — Bóg Izajasza i Bóg Jezusa jest wrażliwy, to nieśmiałe, skrzywdzone dziecko, jak Denise, dla której byłeś taki dobry. Musimy troszczyć się o Boga, tak jak troszczymy się o wszystkich naszych skrzywdzonych, wrażliwych znajomych.

— Nieśmiałe dzieci?

— Jasne. Pamiętasz film Bergmana? Ingrid Thulin powiada, że kochankowie powinni się nawzajem odnosić do siebie jak nieśmiałe dzieci. Słusznie, zważywszy, że również Bóg znajduje się na liście kochanków.

— Mam opiekować się Bogiem jak słabą kobietą?

— Wreszcie zaskoczyłeś! — Rozpromienił się. — Gdy opiekujesz się słabymi kobietami, opiekujesz się Bogiem. Denise jest Bogiem, a Bóg jest Denise.

— Czy to przypadkiem nie herezja?

— To porządny katolicki mistycyzm.

Probarszcz George ma zapewne rację. Rzadko się myli. Czy Bóg był Kel? A Kel Bogiem? Prawdopodobnie coś mi się pomieszało w tej delikatnej kombinacji. A może nie. Może robiłem, co mogłem, czyli wszystko, czego się można spodziewać od kochanka.

Czyż nie?

Przez długi czas tylko się snułem, obarczony ciężarem straty, o której z nikim nie mogłem rozmawiać. Zastanawiałem się, dlaczego musiała umrzeć? Co poszło nie tak? Co przeoczyliśmy? Czy kiedykolwiek zobaczę jej figlarne oczy, usłyszę perlisty śmiech?

O Boże, jak mi jej brak.

Najprawdopodobniej i tak wyleciałbym z Notre Dame.

Nie, to nieprawda. Gdyby Kel mnie pogoniła, zebrałbym wszystkie potrzebne oceny celujące. I grałbym w drużynie Lou Holtza — na drugiej linii.

Albo może na trzeciej.

Ciągle odczuwam pustkę. Po opuszczeniu Marquette usiłowałem ją wypełnić, lecz zaczęło się to i skończyło szaleńczymi wybrykami.

Czasami, nawet ostatniej jesieni w Dublinie, rano budziłem się przekonany, że Kel żyje i zobaczę się z nią po śniadaniu.

Nadal szukam jej twarzy wśród przechodniów na Dawson i Grafton. Czasem wydaje mi się nawet, że ją widzę, jej jasnyniebieskie oczy wypatrują mnie w tłumie.

8

Spotkałem Nualę Anne McGrail, wybitną agnostyczkę z zachodniej Irlandii, gdy wychodziła z kościoła pod wezwaniem św. Teresy przy Clarendon Street. Minęły trzy dni, odkąd jej umknąłem, zostawiając tuzin róż. Nie spałem dobrze, chociaż codziennie przez godzinę pływałem w hotelowym basenie. Archiwa babci przygnębiły mnie bardziej niż cokolwiek na świecie z wyjątkiem śmierci Kel.

Przekonałem się, że tęsknię też za Ma prawie tak samo jak za Kel.

Co więcej, moje sny przerodziły się w dręczące koszmary, w których na nowo staczałem walki na zachodzie Irlandii czasu Wypadków. Nie udało mi się obronić Oughterard przed Brunatnymi. Byłem partyzantem, który jednym strzałem zabił Michaela Collinsa. Ciało Daniela O'Kelly'ego podziurawiłem jak rzeszoto. Zabiłem Ma i Pa podczas próby ucieczki z Irlandii.

W nocy budziłem się kilkakrotnie, zlany potem, mimo że okno było otwarte, a powietrze chłodne. Jesienią w Irlandii człowiek raczej się nie poci.

Co ranka zwlekając się z łóżka powtarzałem sobie, że powinienem wrócić do River Forest i obejrzeć rozgrywkę o Puchar Świata. Moje miejsce nie jest w Dublinie. Zagadki, które postanowiłem rozwiązać, są nierozwiązalne — i niewarte rozwiązania.

Szedłem na spacer, często wstępując do kościoła na część mszy — czy też eucharystii, jak zdaniem probarszcza George'a powinno się mówić w dzisiejszych czasach — zjadałem śniadanie i postanawiałem zostać jeszcze przynajmniej jeden dzień w nadziei, że a nuż coś się zdarzy.

Następnie otrzymałem telefon od attache kulturalnego ambasady amerykańskiej z zaproszeniem na kolację w domu lorda Longwooda-Jonesa przy Merriion Square. Powiedziałem sobie, że powinienem zostać w Dublinie, by przynajmniej wziąć udział w tym wydarzeniu,

zwłaszcza że zachodziłem w głowę, z jakich powodów jego lordowska mość chciałby się ze mną spotkać.

Wiedziałem oczywiście, jaką pozycję w świecie zajmują lord Martin Longwood-Jones i jego żona, lady Elizabeth. Wystarczy czytać „Irish Times” przez tydzień, by nie mieć najmniejszych wątpliwości. On jest przewodniczącym Ligi Przyjaźni Irlandzko-Brytyjskiej, ona zaś patronką klasycystycznych ogrodów. Byli zaangażowani we wszystkie słuszne i honorowe przedsięwzięcia o charakterze obywatelskim i kulturalnym.

„Postępowcy”, jak to się mówi w Chicago.

A więc lordowi L.-J., który czyta wszystkie anglojęzyczne pisma literackie, spodobały się moje dwa opowiadania. A więc wspomniał o nich attache kulturalnemu. A więc młodszy urzędnik w ambasadzie powiedział attache kulturalnemu, że jestem w Irlandii.

Cała sprawa wyglądała podejrzanie. Czy był to nowy wariant odstraszania mnie od niebezpiecznej historii, bardziej wyrafinowany, misterny, subtelniejszy?

Zapomniałem dodać, że podczas licznych wędrowek no Dublinie nadal spacerowałem w pobliżu Trinity College. Wpatrywałem się w twarz każdej młodej kobiety, którą mijałem, w nadziei że spotkam Nualę. Nie widziałem już wszędzie krótkich jasnych kosmyków Kel, teraz miałem przed oczami długie czarne włosy dziewczyny z Carraroe.

Wedle groteskowych kalkulacji, które sam wykombinowałem, byłoby źle, gdybym jej poszukiwał, ale przypadkowe spotkanie jest całkiem do przyjęcia.

Bóg — czy ktokolwiek inny — wziął mnie za słowo, a będąc komikiem, zaaranżował to spotkanie w kościele karmelitów — chyba najbrzydszej świątyni na świecie. Ujrzałem ją, jak wraca od ołtarza po przyjęciu komunii.

Był pogodny rzeński poranek, jeden z tych dni, kiedy się wydaje, że życie w Irlandii może nie jest w sumie takie złe. Świt rozproszył już wszystkie nocne cienie, gdy zaszedłem do kościoła św. Teresy od strony Johnson Court, małej uliczki, przy której mieści się pasaż handlowy i która łączy Grafton Street z Clarendon Street. W kościele jednak było wciąż jeszcze ciemno, wewnątrz rozjaśniały tylko świece i świeciątka w prezbiterium oraz niesamowita niebieskawa poświata z któregoś z okien, sprawiająca, że świątynia wewnątrz wyglądała jak mauzoleum.

Młody ksiądz, który odprawiał eucharystię o pół do ósmej, był w tym samym wieku co probarszcz George i przypominał go stylem. Wygłosił zjadliwe akademickie kazanie, którego — prawdę mówiąc

— nie bardzo słuchałem, zajęty rozglądaniem się po kościele i wypatrywaniem młodej kobiety, która mogłaby być Nualą — mimo jej zapewnień, że jest niewierząca.

Przed sobą, po lewej, ujrzałem czarne włosy na błękitnym zakieście, połączenie, które tysiącami przewija się na ulicach Dublina. Powiedziałem sobie, że zakręciła mi w głowie dziewczyna, której prawie nie znam, i że zachowuję się jak usychający z miłości nastolatek.

Prawidłowa diagnoza, przynajmniej o tyle, o ile to możliwe. Na nieszczęście dla siebie dopiero znacznie później zdałem sobie sprawę, że nie była ona dostatecznie wnikliwa.

Po przyjęciu sakramentu powinienem był się pomodlić. Jednakże bardziej absorbowała mnie Nuala niż Bóg. Okazała się wyższa, aniżeli przypuszczałem. Mogła mieć pięć stóp i z osiem i pół, może dziewięć cali. Posągowa sylwetka. Nie garbiła się wszakże, by ukryć swój wzrost. Wracając od ołtarza poruszała się wyniosłe, niemal z królewską gracją — hrabina w dżinsach i płóciennym zakieście.

Hrabina w dżinsach, o giętkim smukłym ciele, długich czarnych włosach, jasnej, bladej cerze i udatnym konturze twarzy z wyraźnie zarysowanym podbródkiem, który świadczy o zdecydowanym charakterze właścicielki.

Obawiam się, że jeszcze bardziej poluzowałem wodze wyobraźni. Spytałem kiedyś George'a, co sądzi o młodych kobietach strzelających oczami w kościele. Odparł: „Takie już Bóg je stworzył, głupku. Ich piękność jest odbiciem Bożego piękna, chyba więc nie ma Ona nic przeciwko temu”.

Jeśli Bóg jest równie atrakcyjny jak Nuala, pomyślałem, starając się odegnać pożądlive myśli, musi być Ona bardzo pociągająca.

Czekałem przed kościołem; w porannym słońcu Dublin sprawiał wrażenie oprawy scenograficznej do musicalu, lecz domniemana Nuala była nadal pogrążona w modlitwie. Przy wejściu do Johnson Court ujrzałem kłodę drewna za szkłem. Nie była to jednak, jak podejrzewałem, relikwia Krzyża, lecz wyeksponowany dowód gnicia drewna, co miało zachęcić wiernych do składania ofiar na renowację kościoła.

— Czyż to nie Pegeen Mike we własnej osobie? — rzuciłem, gdy wyszła na jaskrawe słońce z torbą na książki przewieszoną przez plecy.

Zmrużywszy na chwilę oczy, by przyzwyczać wzrok do światła, poznała mnie i wybuchnęła potokiem słów.

— Co z ciebie za idyjota, by marnować czas na naszą koszmarną sztukę? I jaki jełop tak wyrzuca forszę na różę? A czy ja nie pochrzaniłam wszystkiego tamtego wieczoru?

Położyłem jej rękę na ustach.

— Posłuchaj mnie, Nualo Anne McGrail z Carraroe w hrabstwie Galway. Byłaś wspaniała. Czyż to nie sam „Irish Times” napisał, że jesteś bardzo utalentowaną młodą kobietą? I porzuc ten irlandzki zwyczaj samobiczowania się, które — jak wiadomo — jest tylko w połowie szczerze. Jasne?

Nie próbowała się uwolnić od mojej dłoni. Przeciwnie, z szeroko otwartymi oczyma skinęła głową.

— Jakbym powiedział, że grałaś fatalnie, a sztuka była straszna, miałbym szczęście, gdyby udało mi się ująć z życiem, zgadza się?

Poczułem, że jej usta poruszają się w uśmiechu. W oczach błyskało rozbawienie. Energicznie skinęła głową.

— A teraz pierwsza rzecz, jaką zrobisz, gdy pozwolę ci mówić, to podziękujesz mi za róże. Zrozumiano?

Znowu skinęła głową.

— W porządku.

— Dziękuję ci bardzo za piękne róże, Dermocie Michaelu Coyne — powiedziała posłusznie. — Gdybym nie była taką idyotką, od razu bym ci za nie podziękowała. Wszyscy powiedzieli, że mój pierdzielonynadzianyjankes — uśmiechnęła się szelmowsko — musi być słodki.

— A co ty na to?

— Zadarłam nos do góry i powiedziałam, że owszem, jest nawet nie najgorszy.

— Bardzo słusznie. — Ująłem ją pod ramię. — A teraz postawię ci śniadanie.

Wyrwała mi się.

— Sama sobie postawię śniadanie, jeśli pozwolisz.

Chochlik w mgnieniu oka zmienił się w furję. Nie miałem zamiaru z nią walczyć.

— A więc zjemy razem śniadanie?

Podejrzliwie odniosła się do tego zaproszenia.

— Gdzie?

— Gdzie sobie życzysz.

— U Bewleya! — Gestem wskazała kawiarnię o parę kroków od Johnson Court.

— Może być. Masz rower?

Machnęła ręką w kierunku znaku na małym dziedzińcu kościoła św. Teresy zakazującego parkowania rowerów.

— A czy księża pozwalają je tu trzymać?

— Zdaje się, że masz antyklerykalne poglądy.

— Ależ nie — zaproponowała. — Po prostu nie lubię księży.

Znów ująłem ją pod ramię i weszliśmy do kawiarni. Bewley jest też cudowną herbaciarnią, gdzie można dostać tak smaczne placuszki i napić się tak aromatycznej kawy albo herbaty, jak mało gdzie w Irlandii. W lokalu tym nie podaje się pożywnych posiłków, na których tak zależy Amerykanom, lecz Irlandczycy nie przywiązują wielkiej wagi do wartości odżywczych — pewnie dlatego, że ich na to nie stać. Jest to też fantastyczne pole obserwacji zabaw rodziców z dziećmi. Nie ma kraju, w którym by tak przyjemnie było spędzać dzieciństwo jak w Irlandii, tujejsza kultura bowiem ma w sobie wiele elementów zabawy, a obecność dzieci daje dorosłym okazję, żeby znowu zachowywać się jak one.

— I powiadasz, że nie wierzysz w Boga?

— A czy kiedyś mówiłam, że wierzę? — Ponuro zmarszczyła brwi.

— Ale chodzisz codziennie na mszę, tak czy nie?

— A jeśli tak, to co?

— Skoro nie wierzysz w Boga, to czemu codziennie chodzisz na mszę?

— A czy odkąd pamiętam, nie chodziłam codziennie z mamą na mszę?

— Ale teraz matka już cię nie pilnuje, nadobna Nualo.

— Ale Bóg pilnuje. — Z uporem pochyliła głowę, nie chcąc ustąpić ani o cal.

— Czy nie powiedziałaś przed chwilą, że nie wierzysz w Boga?

— A jeśli się mylę?

— Hę?

Przystanęła i odwróciła się do mnie. Jej twarz miała wyraz przebiegłości, który miałem oglądać jeszcze wiele razy w nadchodzących tygodniach. Taką minę ma chytry kmiotek albo uboga gospodyni, kiedy targuje się zawzięcie o cenę funta bekonu lub pół funta masła.

— Skoro nie ma Boga, to nic złego się nie stanie, jeśli się pójdzie na mszę, no nie? Czy mnie to na szczęście nie wrywa rano z łóżka? A jeżeli Bóg jest, to chyba dobrze, że przynajmniej utrzymuję z Nim stosunki dyplomatyczne?

— Z Nią.

— Hę?

— Mój brat George, który jest księdzem, twierdzi, że Bóg ma tyleż cech kobiecych, co i męskich.

— Więcej. O ile Ona w ogóle istnieje, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

— Dlaczego nie chodzisz na mszę do kaplicy w college'u?

Wiedziałem, jaka będzie odpowiedź. Nuala ukrywała swą pobożność przed kolegami, tak jak swoim antyklerykalnym wybuchem próbowała ją osłonić przede mną.

— Myślisz, że chciałabym się modlić w kościele tych protestantów? — warknęła, rzucając mi triumfujące spojrzenie, bo udało się jej uniknąć odpowiedzi.

— Poddaję się, Nualo. Chodźmy coś zjeść.

— Moment. — Ostatnie słowo musiało należeć do niej. — Może akurat jesteś protestantem? Bo ja właściwie nic przeciwko nim nie mam.

U Bewleya było gorąco i jak zawsze — ciemno od dymu tytoniowego. Ale światło za żółtymi witrażowymi oknami sprawiało, że lokal wyglądał nadzwyczaj sympatycznie. Zdjąłem niebiesko-złotą kurtkę z nadrukiem Marquette U. Nuala była w dżinsach, a gdy zdjęła żakiet, ujrzałem ciemnoniebieski sweter, który pamiętałem lepsze czasy, mniej więcej sprzed dziesięciu lat — był to typowy łasek ze starszej siostry. Oddawał on jednak znacznie większą sprawiedliwość cudownym pierścionkom Nuali niż bluza z nadrukiem Dublin Millennium.

Kupiliśmy herbatę, placuszki i sok pomarańczowy dla mnie, płacąc młodej smutnej Azjatce, ubranej w strój narodowy, włożony na uniform Bewleya. Patrzyłem, jak Nuala starannie odlicza monety, z troską biedaka, który nie ma ich dość, by mógł pozwolić sobie na pomyłkę.

— Dzień dobry, Shirley — odezwała się do Azjatki. — Cudowny ranek, prawda?

— Ach tak, Nualo — kobieta uśmiechnęła się promiennie. — Dla ciebie chyba bardzo dobry.

— Taki, jaki może być, jeśli włączy się za mną ten wielki jełop. — Wskazała głową w moim kierunku.

Azjatka zachichotała.

— Czy znasz wszystkich w tej części Dublina?

— Mam zajęcia z tym biedactwem.

We frontowym narożniku sutereny znaleźliśmy we wnęce stół z trzech stron osłonięty ścianami z tapetą w różyczki.

— Powinnaś pić z rana sok pomarańczowy, młoda kobieto — powiedziałem stanowczo. — To ci dobrze zrobi.

— Naprawdę?

— Owszem, zwłaszcza że nie widziałem w Irlandii ładniejszych zębów. Powinnaś o nie dbać.

— Poważnie?

— Poważnie.

Sprawiła wrażenie, jakby miała zamiar podjąć inny temat, lecz zmieniła zdanie.

— Może i rzeczywiście.

— Mogę ci teraz przynieść?

— Nie powiedziałam, że sama sobie stawiam śniadania?

— Szklanka soku pomarańczowego to nie śniadanie. Rozważała tę kwestię przez chwilę, po czym roześmiała się.

— Ale ze mnie straszna jędza. Przynieś dużą szklankę, jeśli łaśka.

Rozanielony poszedłem do bufetu. Kupiłem też dzban herbaty i talerz placuszków.

— A po co tyle placuszków? — spytała podejrzliwie.

— Smakują mi, kobieto, jeśli nie masz nic przeciwko temu. A jeśli mi zabierzesz choć jeden, czyż nie obetnę ci ręki?

Znowu się roześmiała. I zuchwale sięgnęła po placuszek. Schwyciłem rękę i pocałowałem ją. Mówiłem już, że jestem romantyczny. Zarumieniła się gwałtownie.

— Jesteś desperatem, Dermocie Michaelu Coyne. Absolutnym desperatem. A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, zjem placuszek, skoro go już buchnęłam.

— Możesz zaryzykować zwęddzenie jeszcze jednego. Ale wypij sok.

— Tak, proszę pana.

Gdy dość chętnie wypijała sok, bacznie się jej przyglądałem. Ubranie Nuali można by w zasadzie określić jako nędzne łachy, lecz jej twarz była porządnie wymyta i znowu bez makijażu, sweter i dzinsy też były czyste. Co więcej, roztaczała woń jakiegoś niezbyt kosztownego pachnidła. Matka dobrze ją wychowała.

— Cieszę się, Nualo, że nie wpadłaś w szpony straszliwego irlandzkiego nałogu, jakim jest palenie papierosa za papierosem.

— Tak, czy to nie okropny nałóg i czy ludzie naprawdę nie mają na co wydawać pieniędzy? Ale nie można mieć do nich pretensji. — Rozejrzała się po sali. — Niewiele mają z tego życia.

— Opowiedz mi o swoim życiu, Nualo.

— O czym tu opowiadać? — Odstawiła szklankę po soku i zgrabnie przesunęła na swoją stronę stolika cały talerz placuszków. — Jeśli chcesz jeszcze placuszków, może byś poszedł do bufetu i kupił trochę?

Napełniłem jej filiżankę. Dziewczyna była głodna. O Boże, w jakiej nędzy musi żyć.

— Opowiedz mi o swojej rodzinie i Carraroe.

— Nie bardzo jest o czym opowiadać. Mamy parę akrów marnej ziemi, kilka krów i małą herbaciarnię, do której zajeżdżają autokary z turystami. Było nas siedmioro, teraz wszyscy założyli własne rodziny, oprócz mnie, ale ja nigdy nie wyjdę za mąż, nigdy w świecie. Brat i siostra mieszkają w Londynie, drugi brat w San Francisco, inny w Bostonie, jeszcze inny w Montrealu, a siostra w Christ Church, to jest w Nowej Zelandii.

— A gdzie będziesz mieszkać, gdy skończysz uniwersytet?

— W Carraroe — powiedziała z uporem. — Nie zostawię tych biedaków, moich rodziców. Na pewno dostanę pracę w Galway.

Zastanawiałem się, ile też w całej Irlandii może być posad dla księgowych.

— Zdaje się, że twoje rodzeństwo często tu zjeżdża?

— Jak dla mnie, o wiele za często. — Nałożyła bitą śmietaną i dżem malinowy na kolejny placuszek. — Popisują się swoją forszą, udają jankesów i zatrzymują się w eleganckich hotelach w Salt Hill, razem ze swymi rozwydrzonymi bachorami

Miałem wrażenie, że zaraz wybuchnie płaczem.

— Nie przepadasz za nimi?

— Nie masz pojęcia, jak ich kocham.

— Naprawdę?

— Nie mówiłam o tym? Właśnie dlatego nigdy nie wyjdę za mąż. Człowiek rodzi dzieci, które są odtąd jego oczkiem w głowie, zaharowuje się, żeby je wychować i wykształcić, a one potem wyjeżdżają i zostajesz sam.

Znowu zmarszczyła brwi, na jej twarzy pojawił się wyraz gniewu i gorczy.

— Czy twoi rodzice mają żal do dzieci, że wyjechały?

— Skądże znowu! — wykrzyknęła. — Czy nie są dumni, że tym wszystkim idyotom tak się dobrze powodzi? I czy wciąż nie tęsknią za nimi? Zachodnia Irlandia eksportuje wyłącznie ludzi i swetry.

— Ludzi przystojnych i utalentowanych.

— Ale czy nie mam racji?

— Niektórzy z nich uroczo wyglądają w swetrach.

— Daj spokój. — Znów zarumieniła się i odwróciła wzrok.

— Naprawdę nie masz zamiaru emigrować?

— Och! — Uśmiechnęła się złośliwie. — Już przecież mówiłam, nie? Ale czy można mi wierzyć? Czy sam nie powiedziałeś, że jestem dość dobrą aktorką? A może udaję? Skąd możesz mieć pewność, że

nie chcę uwieść jakiegoś pierdzielonego nadzianego jankesa, żeby się wyrwać z tej mokrej i biednej wyspy?

Odchyliła się na krzesło, ciągle z tym samym uśmiechem na twarzy. Jak się znaleźć w tej sytuacji?

— Wydaje mi się, Nualo Anne McGrail — zacząłem mówić, z wolna i ostrożnie — że gdybyś zabrała się do uwiedzenia kogoś, dokonałabyś tego bardzo skutecznie.

Jej uśmiech znikł.

— Naprawdę tak uważasz?

— Naprawdę, kobieto.

Na jej twarz powrócił uśmiech, tym razem mniej pewny siebie.

— Musimy po prostu poczekać i przekonać się, tak?

— Z rozkoszą.

— Oczywiście byłeś już raz zaręczony, zgadza się?

Przełknąłem wielki łyk herbaty.

— Skąd wiesz?

— Z tą, co umarła czy z jakąś inną?

— Z inną... A skąd w ogóle o nich wiesz?

— Po prostu wiem, Dermocie... Nie wiem skąd. — Ze smutkiem potrząsnęła głową. — Jestem trochę czarownicą.

Dlatego właśnie później okazała się pierwszorzędnym detektywem. „Po prostu wiedziała” różne rzeczy. Nie wiem, czy to przenikliwość ostatniego ludu z epoki kamiennej, umiającego z szybkością komputera łączyć oderwane fakty, które inni widzieli, lecz właściwie ich nie zauważali, czy też rzeczywiście była z krainy wrózek. A może stanowiła połączenie jednego i drugiego.

— A jesteś?

— A nie mówiłam już, że jestem?... Czy to cię przeraża?

Zastanawiałem się przez chwilę.

— Jesteś przez to jeszcze bardziej fascynująca.

— Chcesz mi opowiedzieć o swoich zaręczynach?

Zapytała wprost, zdumiewająco bez ogródek jak na Irlandkę.

Tak, chciałem o tym porozmawiać. Nie ma to jak odrobina kobiecego współczucia — powiedział Pa.

— To idiotyczna historia, Nualo. Przypomina raczej komedię. Poznałem tę dziewczynę, miała na imię Christina, w barze na Rush Street — tam mieści się najwięcej barów dla samotnych — latem tego roku, gdy rzuciłem college. Była Irlandką ze strony ojca, a Włoszką ze strony matki. Teraz w Chicago nikogo to nie deprecjonuje. Jedna z moich siostr i jeden z moich braci powychodzili za Włochów. To

dobre połączenie. W każdym razie wpadliśmy sobie w oko i zaczęliśmy regularnie się spotykać. Prawie nie chodziłem na randki, odkąd... odkąd ukończyłem szkołę średnią.

Nie miałem zamiaru opowiadać czarodziejce z zachodniej Irlandii o tym, że Tina jeszcze tego samego wieczoru, gdy się poznaliśmy, zaprosiła mnie do siebie i że się kochaliśmy, w czym ona wykazała znacznie większą biegłość i doświadczenie niż ja.

— Była ode mnie dwa lata starsza i miała wspaniałą posadę w wydziale finansowym First Chicago, to jest bank...

— Czy nie trzeba uważać z tymi księgowymi?

Oboje wybuchliśmy śmiechem. Poczułem się, jakbym leżał na kozetce u psychiatry.

Nie zamieszkaliśmy razem, lecz nasze stosunki seksualne miały temperaturę tropików. Najlepsze w nich było to, że zapomniałem o Kel. A przynajmniej tak mi się wydawało.

— Jej rodzina polubiła mnie, a moja — ją, z wyjątkiem babci i księdza George'a, którzy mieli pewne wątpliwości, czy doceni e... e... marzycielską stronę mojej natury.

— A jeśli nie, czy nie byłaby straszliwie głupia?

Dobry Boże, to urocze dziecię już mnie broni.

Tina była drobna i szczupła, nie nadzwyczajnie zmysłowa, lecz — mówiąc ogólnie — niezwykle seksowna. Żyliśmy oboje jak zauroczeni, rozmawialiśmy o sporcie, o interesach i oczywiście o seksie, lecz właściwie już o niczym więcej.

— Zareczyliśmy się w Boże Narodzenie następnego roku, ślub miał się odbyć w czerwcu. Jej matka i włoska babka zajęły się przygotowaniami, co nam bardzo odpowiadało, bo mieliśmy już dosyć ślubów.

Mnie pchało do tego, prawdę mówiąc, poczucie osamotnienia i namiętne pożądanie; nie byłem przekonany, że George ma rację, lecz nie chciałem przyznać, iż może warto by tę możliwość rozważyć.

— W końcu poznałem jej włoskiego dziadka, padrino, wodza klanu. Nie mają monopolu na takich ludzi, wśród nas, dumnych Irlandczyków, też się panoszą. Ale ten facet, kruchy, z pozoru miły staruszek, który z niczego zbudował rodzinny przemysł elektroniczny, sprawował bezwzględniejszą władzę niż większość naszych patriarchów.

— Nie bardziej bezwzględna niż matriarchat — powiedziała cicho.

Nie spodobał mi się ten stary drań, ale z początku nie sądziłem, by miał wiele do gadania. Aż do chwili gdy mnie zapytał, jak zarabiam na życie.

Kiedy się dowiedział, że pracuję na giełdzie, wpadł w szał. Jestem zwykłym spekulantem. Na domiar złego irlandzkim spekulantem. Nie pozwoli, by jego wnuczka poślubiła irlandzkiego spekulanta, do tego pewnie oszusta i pijaka.

Ten wybuch zaskoczył Tinę, jej rodzinę także, lecz nie oponowali.

— Naprawdę leży mu na sercu twoje dobro — powiedziała mi potulnie po pierwszej erupcji wulkanu padrina.

Wydaje się niewiarygodne, że w latach osiemdziesiątych naszego stulecia dziadek może nie dopuścić do małżeństwa. Parę dni później jej ojciec, który zajmował stanowisko wiceprezesa rodzinnej firmy i w istocie nią zarządzał, bo wujek Tiny, syn padrina, był wprawdzie uroczym człowiekiem, ale zupełnie nie miał głowy do interesów, zadzwonił do mnie, by mi zaproponować posadę w ich przedsiębiorstwie. Wiceprezydent z pensją osiemdziesięciu tysięcy dolarów rocznie, z czym nie łączyły się żadne konkretne obowiązki.

— O święta Brygido, Patryku i Columcille!

— Odmówiłem.

— Absolutnie powinieneś być odmówić. — Twarz jej znów poczerwieniała, tym razem nie z zażenowania, lecz z gniewu.

— Moja rodzina, znowu z wyjątkiem George'a, uznała to za bardzo hojną propozycję. Nie musieliby już się o mnie martwić. Byłbym ustawiony na całe życie. Tina nie posiadała się z radości. Jakże mógłbym nie przyjąć tak hojnego daru? Ale ja nadal odmawiałem.

— Twardziel.

— Ja czy padрино?

— Wy obaj, ale zwłaszcza ty.

— Nie sądziłem, że to poważna propozycja. Nie mogłem uwierzyć, aby posada była warunkiem sine qua non, nikt tak już dzisiaj nie postępuje. Zdaje się, że byłem strasznym naiwniakiem. Jak się później miałem przekonać, nie tylko ja stawałem przed taką ścianą. Większości facetów proponuje się pracę jako warunek małżeństwa, a wszyscy, z którymi rozmawiałem, przyjęli go z entuzjazmem. Nie rozumieli, dlaczego nie chcę skorzystać z tak fantastycznej możliwości.

— Bo masz jaja. — Sięgnęła do talerza z placuszkami. Był pusty.

— Chyba jestem raczej po prostu uparty. Przyniosę jeszcze placuszków.

— I może trochę tych zabawnych rogalików, jeśli możesz.

— Mogę.

— I... — uśmiechnęła się nieśmiało — co myślisz o tym, żeby mi przynieść jeszcze trochę soku pomarańczowego?

— Ach, kobieto, masz spust.

— Niesamowity, zwłaszcza gdy ktoś opowiada mi historię miłosną.

— Nie jestem taki pewien, czy to rzeczywiście historia miłosna.

Kłóciliśmy się z Tiną zażarcie. Byłem samolubny i niewdzięczny.

A poza tym dziadek miał rację. Większość handlarzy zniknęła z parkietu. Na podstawie moich dotychczasowych osiągnięć trudno było wysnuć wnioski, że kiedykolwiek odniosę sukces. Dlaczego nie chcę tej posady? Bo nie mam zamiaru nikomu się wysługiwać ani teraz, ani nigdy.

— Kontynuując — powiedziałem po powrocie z tacą — nigdy do końca nie dotarło do mnie, że Tina i wszyscy z jej rodziny podchodzą do tego ze śmiertelną powagą. Wiedziałem, że odmawiając z uporem przyjęcia tej posady, unieszczęśliwiam Tinę, ale nie wyobrażałem sobie, że mnie rzuci z tego powodu.

— Czy uprzedziła, że cię rzuci? — Nadobna Nuala łączywie pochłaniała rogalik z grubą warstwą kremu i z dżemem malinowym.

— Dwa tygodnie przed ślubem. Mieliśmy kolejną gigantyczną awanturę. Powiedziała, że nie jest pewna, czy chce za mnie wyjść, skoro jestem tak niewdzięcznym i samolubnym człowiekiem. Wszystko było przygotowane: kościół, klub, zrobiliśmy naradę na temat uczty weselnej, wypełniliśmy formularze, jej rodzina rozesłała ponad tysiąc zaproszeń, w gazetach ukazały się nasze zdjęcia. Byłem pewien, że już za późno na odwrót. Niesłusznie.

Do awantury doszło po szczególnie efektownej sesji w jej łóżku. Potem zaświtało mi, że specjalnie to sobie obmyśliła, by przełamać moją niechęć do wejścia w skład jej rodziny.

— Mój ojciec nikomu się nie wysługuje, tak czy nie? — zapytała gorączkowo. — Dlaczego z tobą miałoby być inaczej?

— Ale chyba nie jest zupełnie niezależny — odparłem. — Z tym że on lubi tę robotę, a mnie by ona nie odpowiadała.

Te niefortunne słowa rozpięły piekło. Uderzyła mnie i wyszła z mieszkania.

— A co było potem? — Zainteresowanie Nuali nie przeszkodziło jej wytrąbić całej szklanki soku pomarańczowego.

— Przez kilka dni nie odzywałem się do niej. Gdy emocje opadną, pogodzimy się. I akurat tego dnia, gdy miałem do niej zadzwonić, pocztą zaczęły napływać zawiadomienia o odwołaniu ślubu.

— Szantaż? — przerwała jedzenie.

— Chyba tak. Jak powiedziała, gdy spotkaliśmy się parę dni później, żeby zobaczyć, czy można to jeszcze uratować, tylko w ten sposób mogła dać mi do zrozumienia, że nie żartuje. W gruncie rzeczy

to wcale nie sprawa dziadka. Zawsze martwiła się o moją przyszłość, a dziadek po prostu jej to uzmysłowił.

— Och! — Nuala wciąż wpatrywała się we mnie.

— Teraz, skoro poznałem już sytuację, była gotowa wysłać następny komplet zaproszeń. Powiedziałem, że przemyślę sprawę. Wtedy rozmawialiśmy ze sobą przedostatni raz.

— Biedactwo. — Jej oczy wypełniły się łzami.

— To było w czerwcu. Tego samego roku, w październiku, zarobiłem swoje trzy miliony. Tina zadzwoniła, by mi pogratulować. Dzwonił też jej ojciec. A także padrino. Niezwykle uprzejmie dziękowałem im za miłe słowa. W sumie więc była to komedia.

— Nie wydaje mi się. — Osuszała oczy papierową chusteczką, którą wyjęła z torebki. — Ciągle jeszcze tęsknisz za tą biedną dziewczyną, która umarła, prawda? Więc nie bardzo starannie wybierałeś jej następczynię?

To się nazywa mieć nosa. I jakże mogą się na nią gniewać, widząc łzy spływające po jej policzkach?

— Nie można tego lepiej wyrazić, Nul. To właśnie robiłem. Tak samo wyraził to George po moim zerwaniu z Tiną. Ale wtedy nie chciałem przyjąć tego do wiadomości.

Skinęła głową.

— Chcesz opowiedzieć mi o tej zmarłej dziewczynie?

— Może kiedy indziej. Nigdy się nie dowiedziałem tyłu rzeczy o sobie co podczas tej rozmowy. Rzeczywiście jest w tobie coś z czarownicy, Nul, ale bardzo dobrotliwej i uroczej.

— Daj spokój...

Przyszło mi do głowy, że mógłbym jej zadać pewne pytanie.

— Nualo, czy znasz miasteczko Oughterard?

— Nie leży ono przypadkiem w górę szosy od Carraroe?

— Za Maam Cross?

— A nie sprawdziłeś na mapie?

— Byłaś tam kiedy?

— Chyba ze sto razy. Czyż mój brat nie ożenił się z tamtejszą dziewczyną, która tak zadzierała nosa, że nie widziała końskiego łajna na drodze?

— Pamiętasz posąg na rozstaju?

Zmarszczyła brwi, usiłując sobie przypomnieć.

— Daniela O'Kelly'ego?

— Kim on był?

— Komendantem Brygady IRA z Galway podczas Wypadków.

Pierdzieleni idyjoci — skwitowała jego i jemu podobnych szybkim machnięciem ręki.

— Być może. Jednak w 1919 roku panoszyła się tam banda Oddziałów Pomocniczych, Brunatnych, którzy niszczyli miasto, bili mężczyzn, napastowali kobiety, rozwalali co się dało. Kelly i jego ludzie uratowali Galway.

— Wybili wszystkich Brytyjczyków?

— Tak.

— Dzikusy... Teraz przypominam sobie ten pomnik. Pierdzielona ohyda.

— Gdybyś była młodą kobietą i mieszkała wtedy w mieście, może chętnie powitałabyś Daniela O'Kelly'ego i jego chłopców.

Zastanawiała się przez chwilę.

— Może i tak. To były inne czasy. Ale przecież i tak po wojnie Brytyjczycy dawali nam autonomię, no nie? To na co było to powstanie i Wypadki?

I tak, za jednym obrazoburczym zamachem, cała patriotyczna przeszłość została spisana na straty. W dublińskim Trinity College muszą nauczać rewizjonistycznej wersji historii.

— Na pewno słyszałaś o Michaelu Collinsie?

— Czy to nie był jakiś idyjota, co sprzeciwiał się traktatowi i dla tego wykończył go któryś z jego najlepszych przyjaciół?

— Prawdopodobnie masz na myśli Cathala Brughe. Michael Collins był przewodniczącym Rządu Tymczasowego i dowódcą armii Wolnego Państwa. Najprawdopodobniej zginął od kuli w Cork, swoim rodzinnym hrabstwie.

Obojętnie wruszyła ramionami.

— To wszystko byli idyjoci.

— Collins zmarł w wieku trzydziestu jeden lat. To on ostatecznie wypędził Anglików z Irlandii.

— Przecież i tak wychodzili?

— Był jednym z geniuszy dwudziestego wieku, Nul. Jego śmierć jest wielką stratą dla Irlandii i dla świata.

— Tym gorzej dla niego. Szkoda, że zginął podczas głupiej strzelaniny.

— Mój dziadek — nazywał się Liam O'Riada, dla nas Bill Ready, a dla mnie Pa albo dziadek Bill — walczył w Galway Brigade. Nie wiem, co zaszło, ale on i Ma — babcia Neli — wyjechali tuż po zabójstwie O'Kelly'ego i nigdy nie wrócili do Irlandii. Powiedziała mi kiedyś, że gdyby wrócili, zastrzelono by ich oboje.

— Biedaczyska. Może wtedy byłabym po ich stronie. — Potrząsnęła głową, jakby próbując zrozumieć szaleństwo ludzkości.

— To byli uroczy, łagodni ludzie, Nul. Codziennie chodzili do kościoła, tak jak ty.

— Cóż — wysunęła ku mnie podbródek — możesz mi wierzyć, że nie mam nic wspólnego z tymi dzisiejszymi idyotami z IRA. Może wtedy byli potrzebni, ale dzisiaj — w żadnym wypadku. A do tego codziennie chodzę na mszę.

Nie interesował jej irlandzki nacjonalizm, przeszły ani obecny, i najwyraźniej nigdy nie słyszała o Danielu O'Kellym, Williamie Readym czy Brygadzie Galway. Moje podejrzenia, że jest po przeciwnej stronie — jakakolwiek by ona była — są zupełnie bezpodstawne.

Ale czy rzeczywiście? Okręg Connemara zawsze był gniazdem nacjonalizmu i republikanizmu. Ludność Gaeltacht nie podzielała nastrojów rewolucyjnych, ale też nie była do nich wrogo nastawiona. A dziadkowie Nuali? Gdzie byli i co robili podczas Wypadków?

Później będzie czas na zadawanie pytań. Nuala wydawała się nie tyle poirytowana moim zainteresowaniem przeszłością, co raczej bagatelizowała je, widząc w tym uganianie się za błahostkami.

— Eucharystię.

— Co?

— Probarszcz George powiada, że powinniśmy ją nazywać eucharystią.

— Sakramencka msza — zachichotała — to sakramencka msza, bez względu na to, jak ją będziesz nazywał. Powiedz to ode mnie księdzu George'owi.

— Nie omieszkam. Będzie zachwycony.

— Naprawdę? Ciekawy z niego ksiądz, co?... Boże przenajświętszy, którą to mamy godzinę? Nie zdążę na zajęcia ze starożytnej literatury irlandzkiej i nigdy nie dowiem, czy Diramuid dostanie Granne. — Podniosła się w pośpiechu. — I musisz wiedzieć, że nikt nie był lepszy od niej, nikt na całym świecie.

— Odprowadzę cię na zajęcia.

— Mowy nie ma. — Zaczęła wciskać się w zakiet. Pomogłem jej.

— Ależ owszem.

Przerzuciła przez ramię torbę z książkami.

— Cóż, to wolny kraj i człowiek może chodzić gdzie chce, zgadza się?

— Jasne.

— I dzięki — nagle wydała się bardzo krucha — za uzupełnienie mojego śniadania.

— Powtórzmy to?

— Pewnie. — Naciągnęła na głowę cienką obcisłą czapeczkę. — Czy nie muszę się dowiedzieć więcej o tobie, a zwłaszcza — zawałała się — o tej biednej dziewczynie, która umarła?

Nagle przyszedł mi do głowy pomysł, i to całkiem niezły.

— Nualo — powiedziałem, gdy wyszliśmy na zalaną słońcem ulicę — czy mogłabyś wyświadczyć mi przysługę?

— A mogłabym?

— A nie powiedziałem tego wyraźnie? Potrzebuję osoby towarzyszącej. Na kolację. W domu lorda Longwooda-Jonesa na Merrion Square. Namotał to wszystko attache kulturalny ambasady amerykańskiej. Chcą, żebym przyszedł z osobą towarzyszącą.

Ostatnie zdanie było bezczelnym kłamstwem.

— Na Merrion Square? Smoking i tak dalej?

— Organizują takie imprezy codziennie. Pełna gala.

— Święci Pańscy! A ty chcesz zabrać dziewczynę z zachodniej Irlandii, która tylko raz w życiu ubrała się uroczyście — na ślub siostry? Musisz mieć nie po kolei, kompletnie nie po kolei!

— Zawsze jesteś właściwym człowiekiem na właściwym miejscu, Nualo.

— Daj spokój. Znam swoje miejsce.

— Twoje miejsce jest wszędzie tam, dokąd chcesz iść.

— Nie! Nie chcę tego słuchać!

A jednak byłem pewien, że chciała, choćby z ciekawości. Musiałem dodać dziewczynie pewności siebie i przekonać ją. Za pierwszym razem poniosłem porażkę.

— Jesteś piękną młodą kobietą, Nualo. Zrobisz furorę.

Przystanąła i odwróciła się ode mnie, jakby miała zamiar pójść w przeciwną stronę Grafton Street, ku błoniom.

— Nie jestem piękna. Nie będę słuchać takiego głupiego gadania.

Chwyciłem ją za rękę.

— Ależ jesteś.

— Nie jestem. I ...

Znowu położyłem jej rękę na ustach. Nie wrywała się.

— Powiedziałem ci już chyba, że nie będę tolerował tego twojego samoponizania się. Nie zartowałem, kobieto, nie możesz tego pojąć?

Paru mijających nas starszych gości uśmiechnęło się do siebie. Pomyśleli pewnie, że to sprzeczka kochanków.

Musiałem się chyba zachowywać nieco bardziej szorstko, niż zamierzałem. W oczach Nuali ujrzałem obawę. Lekką obawę. Dobrze jej to zrobi.

— Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Skwapliwie skinęła głową.

— No, nareszcie. — Odsunąłem rękę od ust Nuali, ująłem ją pod ramię i udaliśmy się w północnym kierunku Grafton Street, w stronę Trinity College.

— Pierdzielonybrutal — wymamrotała, uśmiechając się jednak do mnie. — Lubi terroryzować bezbronne kobiety.

— Nie będę tolerował tego gadania, kobieto.

Trąciła mnie łokciem w żebro.

— Jestem przerażona, a ty wreszcie mówisz jak prawdziwy Irlandczyk.

— Zgodziliśmy się już, że jesteś piękna!

— Jasne, czy nie oberwałabym tu na miejscu, na Grafton Street gdybym się ośmieliła nie zgodzić?

— Uznaję to za charakterystyczne irlandzkie potwierdzenie zgody.

Znowu się roześmiała.

— A czy ty nie zachowujesz się teraz jak władczy samiec?

— Nie w warunkach irlandzkiego matriarchatu.

— Tak czy tak, co komu po urodzie? I tak przemienie.

— Zmienia się z wiekiem — cytowałem księdza George'a. — Ale możemy sterować tymi zmianami, sterować odpowiednio do tego, kim i czym jesteśmy. Moja babka była piękna mając osiemdziesiątkę. Ty zachowasz urodę na zawsze.

— Nie na zawsze — powiedziała łagodnie, jakby lękając się, że jej przyłożę.

— Ile lat ma twoja matka?

— Sześćdziesiąt. Jestem najmłodsza z rodzeństwa.

— I nie jest piękna?

— Nigdy tego nie powiedziałam, nigdy, przenigdy! — wrzasnęła.

— Nie znam piękniejszej kobiety.

— A ty nie jesteś do niej podobna? Chyba wszyscy mówią, że jesteś podobna do matki jak dwie krople wody?

— A skąd wiesz?

— Może też jestem trochę czarodziejem, Nualo Anne McGrail.

Oparła się o mnie, jej twarz znowu rozjaśnił uśmiech.

— Widzę, że trafiła kosa na kamień, Dermocie Michaelu Coyne. Dzisiaj wygrywasz na punkty, przerabiasz mnie jak dziecko.

Mogłem otoczyć ją ramieniem. Mogłem poklepać po rewelacyjnym tyłku, nad czym zastanawiałem się cały ranek. Ale nerwy mi puściły. Zamiast tego skręciłem więc w Nassau Street.

— No to jesteśmy umówieni, kobieto. Idziesz ze mną na kolację do domu lorda Longwooda-Jonesa.

— Czy nie przyniosę ci wstydu? — Skinęła głową mijającej nas grupce studentów.

— Dzień dobry.

— Dzień dobry, Nualo.

Dzieciaki obrzuciły mnie uważnym spojrzeniem: pierdzielony-nadziany-jankes.

— Chyba ja o tym decyduję — obstawałem przy swoim.

— Myślę, że nie znasz ani tych ludzi, ani mnie tak dobrze, by podjąć właściwą decyzję.

— A ja myślę, że jestem już dostatecznie dorosły, by samodzielnie decydować.

Nuala wydała z siebie to cudowne zachodnioirlandzkie westchnienie, które zdaje się zapowiadać ciężki atak astmy.

— Nie mam co na siebie włożyć.

Nie udaję, że jestem znawcą kobiet, lecz rozpoznam, kiedy kobieta daje do zrozumienia, że się zgadza.

— Na pewno coś znajdziesz.

— Dzień dobry, Nualo.

— Aa, pięknego dnia życzę.

— Ubiegasz się o jakiś urząd?

— Wszyscy mnie znają, bo śpiewam w pubie.

— Być może... A więc będziesz mi towarzyszyła na kolacji.

— Nie dajesz kobiecie szansy na podjęcie decyzji. Pewnie jak odmówię, brutalnie się na mnie rzucisz, co, ty wielki jełopie?

Znowu zaczęła ją bawić ta gra.

— Zrobiłbym to, gdybym wiedział, gdzie mieszkasz.

— Chyba nie myślisz, że ci powiem?

— A więc zgarnę cię jutro rano sprzed kościoła.

Staliśmy teraz przed wejściem do Trinity College.

— Więc kiedy wypada ta uroczysta kolacja?

— W piątek o pół do dziewiątej.

— Chryste Panie, człowieku, to już za dwa dni.

— Na to wychodzi.

— Dlaczego nie uprzedziłeś mnie wcześniej?
— Skąd mogłem wiedzieć, że cię spotkam dziś rano przed kościo-
łem?
— Ty pierdzielony idyjoto.
A jednak udawało mi się ją rozśmieszyć.
— Jego lordowska mość obiecał, że przyśle po mnie, to znaczy
po nas, samochód. O której po ciebie podjechać?
— O żadnej. Może spotkamy się u ciebie w Jury kwadrans po
ósmej?
— Tak wolisz?
— Czy nie tak zaproponowałam?
Wzięłem do ręki długie pasmo czarnych jak węgiel włosów i obra-
całem je w palcach niczym delikatny materiał.
— Jesteśmy więc umówieni.
Wpatrywała się w chodnik.
— Pewno narobię ci wstydu, Dermocie Michaelu Coyne.
— Chcesz się założyć?
— Nie jestem hazardzistką — słaby uśmieszek.
Ująłem ją pod brodę i pocałowałem w czoło.
— Ja też nie.
— Ale jako handlowiec...
— Były handlowiec... kwadrans po ósmej, Nualo. I żebyś mi tam
była, Nualo Anne McGrail.
— A nie mówiłam, że będę?

9

Drogę do hotelu przebyłem jak na skrzydłach, pijany ze szczęścia, w takim oszołomieniu, że nie zauważyłem subtelnej zmiany w moim apartamencie.

Nucąc pod nosem — wyznam szczerze, że była to kołysanka, którą Nuala śpiewała w pubie — włożyłem spodenki kąpielowe i szlafrok, po czym zjechałem do podgrzewanego basenu.

Byłem z siebie niezmiernie dumny. Czyż nie przeciągnąłem jej precudownej kobiety na swoją stronę? Czyba mnie jednak lubi? I dobrze się czuje w moim towarzystwie? Czyż nie umówiła się ze mną na wieczór, choć jest mocno stremowana? Mogę sobie chyba pochle-

biać, że była dość zadowolona, gdy nieomal wziętem ją w objęcia na środku Grafton Street? A nie puszyła się mną jak paw, gdy po drodze do Trinity spotykaliśmy jej wielbicieli? I czy nie wypadłem rewelacyjnie, gdy uspokajałem to nieśmiałe dziecko, wedle słów George'a — kruchy wizerunek Boga?

Po kwadransie intensywnego pływania opadła ze mnie euforia i zdałem sobie sprawę, że jeśli podczas śniadania ktoś udzielił nieśmiałemu dziecięciu duchowego wsparcia, to Nuala Anne McGrail udzieliła go mnie. Byłem tak dumny ze swego zachowania na początku i na końcu naszej rozmowy, że zapomniałem, co działo się w trakcie. Wspominając to z perspektywy czasu, uświadamiam sobie, że ten ranek mógł być niejako modelem całego naszego związku.

— Jeszcze jej nie opłakałeś — powiedział George po moim z rwanu z Christiną, jak zwykle celując palcem w okolice mojej piersi. — Z nikim nie chciałeś o tym rozmawiać, nawet ze mną. Cały smutek dusisz w sobie. Dlatego właśnie wdepnąłeś w tę znajomość, która — jak teraz przyznajesz — była błędem.

— Przynajmniej nie mówiłeś: „A nie mówiłem?”

— Ja tylko... Nieważne, głupku. Czy rozmawiałeś o swoim smutku z Christiną?

Cholernie bezczelne, wścibskie pytanie. Tak, ale to cały George.

— Próbowałem raz z nią o tym porozmawiać. Nie chciała słuchać o Kel. Powiedziała, że cała sprawa jest zanadto ohydna, by o niej dyskutować.

— Nie okazała ci zbyt wiele serca, co?

— Taka była. Nie lubiła roztrząsać niemiłych stron życia.

— A więc tłamsiłeś cały ten smutek w sobie?

— Można to tak ująć.

— Jeśli więc nie możesz opowiedzieć o tym rodzinie i nie chcesz pójść do psychoanalityka, znajdź sobie dziewczynę, która cię wysłucha i zrozumie,

— Dobrze, George.

— A jeśli nie będzie chciała słuchać i zrozumieć, nie wychodź z nią więcej niż raz.

— Dobrze, George.

— I znajdź tę dziewczynę!

— Dobrze, George.

Nuala ze współczuciem wysłuchiwała mojej szalonej opowieści o Christinie. Będzie słuchać z jeszcze większym współczuciem, gdy

zbiorę się na odwagę, żeby jej opowiedzieć o Kel. Nie mogłem się na to zdecydować, obawiałem się, że mój smutek raz ujawniony może wybuchnąć z całą mocą. Nie chciałem załamać się w obecności kobiety. Nie może do tego dojść.

Nawet w basenie, rozkosznie ciepłym w blasku promiennego dublińskiego słońca (które najprawdopodobniej nie dotrwa do południa), czułem szczypanie w oczach na myśl, że wreszcie porozmawiam z kimś o Kel.

A może nie będę musiał o tym rozmawiać. Może po prostu dam jej do przeczytania opowiadanie.

Nagle poczułem się zażenowany. To dziecko, kłótlive, wrażliwe, o niewyparzonym języku, niewinne, z łatwością otworzyło na oścież wrota mojej duszy. Nie miała prawa tego robić.

A skąd wie o Christinie i o Kel? Powiada, że jest czarownicą?

Nagle zaczęły się we mnie rodzic podejrzenia. Nie wydaje się prawdopodobne, by dzieje bojowników o wolność, używając bardziej współczesnego języka, zwłaszcza z Connemary, były całkowicie nieznanne bystrej uczennicy. Nauczyciele z pewnością musieli o tym mówić. Jak to możliwe, by w Irlandii, nawet w pacyfistycznej Irlandii lat osiemdziesiątych, mogła wyrosnąć młoda kobieta, która prawie nie wie o Michaelu Collinsie?

Na co chce mnie nabrać?

Ale jest piękna i mam się z nią spotkać pojutrze. Opowiem jej swoją historię, może będę nawet łkał w jej ramionach i złożę głowę na jej cudownym biuście.

Ta myśl poprawiła mi samopoczucie. Wróciłem do pokoju, odświeżony po basenie, i znowu zacząłem nucić kołysankę.

Nadal podśpiewując wziąłem prysznic i przebrałem się w strój do joggingu, gdyż musiałem jeszcze rozładować szereg emocji, które wyzwoliło we mnie śniadanie z Nualą Anne.

Usiadłem przy stole w saloniku, gdzie był zainstalowany Compaq 425C, który wozilem po całej Europie; włączyłem go i wystukałem w moim dzienniku kilkanaście akapitów na temat Nuali. Nie był to jednak zwykły zapis, lecz początek opowiadania, którego zakończenie rysowało się w tej chwili bardzo mgliście.

Czy będzie szczęśliwe?

No cóż, początki podniecenia seksualnego zaowocowały przynajmniej wybuchem twórczych mocy. Miejmy nadzieję, że to dobry znak.

Doszedłem do tego punktu opowieści, gdzie przytaczam reakcję Ma na postać Michaela Collinsa. Czy miał lat trzydzieści jeden czy

dwa, kiedy zginął? Sięgnąłem po biografię, którą zostawiłem na stoliku obok mojego prowizorycznego stanowiska pracy.

Książki tam nie było.

Machinalnie rozejrzałem się po pokoju. Byłem przekonany, że zostawiłem ją wraz z plikiem wycinków Ma na tym właśnie stoliku. Miałem zamiar porównać artykuł na temat jego śmierci zamieszczony w „Cork Examiner” z późniejszą relacją, z książki, ale jakoś się do tego jeszcze nie zabrałem — jak i do paru innych rzeczy, które chciałbym zrobić. Odkładanie spraw na później jest chyba trwałą zasadą mojego życia.

Przez chwilę siedziałem jak skamieniały na krześle z twardym oparciem, którego używam podczas pracy. Może i jestem niechlujny, przeważnie jednak odkładam rzeczy na swoje miejsce. Czy ktoś zabrał książkę i zbiór wycinków?

Niemożliwe! Kto by sobie tym głowę zawracał? Książka miała miękką oprawę i była warta najwyżej parę irlandzkich funtów. Po co komu te wycinki?

Zerwałem się z krzesła i przeszkąłem apartament. Ani śladu po książce i wycinkach. Zajrzałem do bagażu. Odbitki były na miejscu.

Stałem na środku saloniku, zupełnie zbity z tropu.

Po co ktoś miałby zabierać całkiem niewinną książkę i stos starych wycinków? Czyż mogliby wierzyć, że ich nie czytałem? Albo że po przeczytaniu zapomniałem, o co w nich tak naprawdę chodzi?

Co się dzieje, u diabła?

Czy zginęły jeszcze jakieś papiery Ma?

Bardzo starannie przejrzałem wszystkie paczki. O ile mogłem się zorientować, niczego tam nie brakowało. Ktoś jednak uważnie spenetrował materiały. Nie potrafiłem wyraźnie określić, skąd to wrażenie, że ktoś w nich grzebał. Zrobiono to nad wyraz sumiennie, zostawiając tylko nieznaczne ślady swej działalności: położona grzbietem do góry teczka, gumka opasująca stosik dokumentów przesunięta w inne miejsce.

A może tak mi się tylko wydaje? Może moja podejrzliwość i romantyczne mrzonki przechodzą w paranoję? Może. A może jednak nie?

Skąd wiedzieli, że wyjdę w porze śniadania i wdam się w dłuższą pogawędkę? Czy mnie w to wmanewrowali?

Przecież nikt nie mógł wiedzieć, że zajrzę do kościoła św. Teresy i spotkam Nualę, no bo skąd?

Chyba że się zorientowali, iż często tam wstępuję kończąc przechadzkę brzegiem Liffey.

Ale nigdy jeszcze nie zastałem Nuali na mszy, czyż nie tak?
W kościele panował półmrok. Mogła więc tam być i w innych dniach.

Może. Podejrzewając Nualę, czułem się jak ostatni drań.

Kimkolwiek by jednak byli tajemniczy „oni”, mogli zakładać, że samotny młody człowiek straci głowę dla ładnej dziewczyny.

Dzienniki Ma były na swoim miejscu. Wyczułem, że ktoś je przewertował, a potem odłożył prawie na to samo miejsce w pudle, gdzie leżały przedtem. Może nieproszeni goście nie potrafili odczytać irlandzkich tekstów i nie zdawali sobie sprawy, że dzienniki są ważne. A może w ogóle nie wiedzieli, że to dzienniki. Na wszelki wypadek zrobię ich odbitki.

Ciężko usiadłem w fotelu, serce waliło mi jak młotem — po części z wściekłości, a po części ze strachu. Ktoś tu naprawdę szperał. Tego sobie nie ubzdurałem. Ostrzeżenie od policjanta, być może przekupionego, napaść w ciemnej uliczce, telefon z pogrózkami, a teraz gmeranie w pokoju. Takie rzeczy zdarzają się w powieściach sensacyjnych nie w prawdziwym życiu.

No i oczywiście piękna młoda kobieta. Tyle że powieściopisarze nie wymyśliliby kogoś tak nieprawdopodobnego jak Nuala McGrail.

Kto zabrał książkę i wycinki? Pokojówka, która zwykle sprzątała mój pokój? Zabawna dziewczuszka o akcencie z Kerry, która podskakiwała ze strachu, gdy się do niej odezwałem?

Mało prawdopodobne. Porządne poślanie łóżka stanowiło dla niej kłopot nie lada. Nie poradziłaby sobie z porządnym przeszukaniem jednej szuflady w komodzie, a cóż dopiero z pięcioma paczkami papierów.

W takim razie ktoś inny. Nie spocznę, póki się nie dowiem, kto przetrząsał moje rzeczy.

Ale czy to się na coś zda? Kimkolwiek byli ci szperacze, na pewno dobrze zatarli ślady, posługując się łapówkami, groźbami czy też rządowymi legitymacjami. A może ich zlekceważyć? To ich zdziwi i ewentualnie mi zapewni lekką przewagę nad nimi.

Zadzwoił telefon.

— Dermot Coyne.

— To pan, panie Coyne? — Głos kobiecy, wyraźny, kulturalny, nieznośny sprzeciwu. Osoba, którą słyszałem, nie urodziła się w Dublinie, nie jest nawet Irlandką angielskiego pochodzenia. Oksford.

— Chyba tak.

Sympatyczny śmieszek. Bawi ją prostaczek z Ameryki.

— Mówi Angela Smith. Piszę się Smythe, z „y” i „e”. Z ambasady brytyjskiej.

— Witam, pani Smythe.

— Dałby się pan namówić na lunch jutro ze mną? Jest kilka spraw, które na prośbę moich pracodawców chciałabym z panem omówić.

— Na przykład?

Gliniarz nie wystraszył tępego jankesa, spróbujmy zatem wystawić kobietę, tak seksowną, że daje się to wyczuć przez kabel. Nie można powiedzieć, by sięgali po szczególnie wyrafinowane metody.

— Zapewniam pana, że to nic ważnego. Jeśli woli pan to odłożyć do przyszłego tygodnia...

— A jeżeli w ogóle nie będę chciał umówić się z panią na lunch?

— To oczywiście zależy wyłącznie od pana. — Zaśmiała się lekko, dając do zrozumienia, że nie jest dla mnie żadnym zagrożeniem. — Jednakże bardzo chcielibyśmy z panem porozmawiać.

— W porządku.

— Powiedzmy o pół do pierwszej. W Julio? Mieści się w dawnych stajniach, za gmachem Banku Irlandii, w prawo od Pembroke Street.

— Wiem, gdzie to jest.

— Rząd Jej Królewskiej Mości z przyjemnością zafunduje panu najlepsze dania w Dublinie.

— Proszę jej ode mnie podziękować.

— Komu? — Wydawała się skonsternowana. Punkt dla ciebie, Dermocie Michaelu Coyne.

— Jej Królewskiej Mości. A także panu premierowi.

— Ach tak. Oczywiście. A więc do jutra.

Znowu opadłem na fotel. Szybka robota. Przeszukali moje archiwa co najwyżej przed dwiema godzinami, a już zdążyła do mnie zadzwonić kusicielka.

Ci Brytyjczycy są cholernie sprawni.

Włożyłem sportowe skarpetki i buty i wyszedłem się przebiec.

Na drodze wzdłuż Grand Canal wreszcie zadałem sobie oczywiste pytanie: dlaczego Brytyjczyków tak bardzo interesuje sprawa śmierci Michaela Collinsa?

Dermot Michael Coyne, od dawna samotny kawaler, ma teraz dzień po dniu randki z jedną kobietą, o której wiadomo, że jest piękna (co nawet sama niechętnie przyznała), oraz z drugą, która przez telefon sprawiała wrażenie bardzo seksownej.

Biedaczek.

Angela Smythe spełniała wszelkie obietnice, jakie czynił jej głos, i to z pewnym nadstatkiem. Być może nie była brytyjską pięknoscią wprost z filmów Jamesa Bonda, lecz 007 (w różnych wcieleniach, z których najbardziej mi odpowiada Sean Connery) nie wstydziłby się z nią pokazać. Uśmiechnęła się do mnie, gdy wszedłem do restauracji — o białych ścianach i z potężnym świetlikiem, co w połączeniu z jasnym oświetleniem sprawiało wrażenie, iż wewnątrz jest skąpane w słonecznym blasku, charakterystycznym bardziej dla Marsylii niż Dublina — i pomyślałem, że cała ta trefna sprawa może okazać się zabawniejsza, niż mi się z początku wydawało.

— Pan Coyne, prawda? — wyciągnęła rękę. Doskonale wiedziała, kim jestem. Czy to ona przeszukała mój pokój? Czyżby była tak niezdar-na, by zabrać papiery Ma, a zostawić niechybny ślad, że tam była?

Tylko wówczas, gdyby ona i jej przełożeni chcieli, żeby go została.

— Chyba tak — potrząsałem jej ręką. — Reaguję na imię Dermot, pani Smythe.

— Angela — szybki promienny uśmiech, dający do zrozumienia, że gdzieś w głębi bucha żar.

Była kilka lat starsza ode mnie, średniego wzrostu, zadbana i szykowna, w beżowej dzersejowej sukni. Krótkie kasztanowe włosy, umiejętnie zrobiony makijaż, mający przywołać obraz hożej angielskiej wieśniaczki, ładny zarys twarzy o pełnych wargach, na których, zda się, zawsze igra uśmiech.

Gdybym nie spotkał Nuali, rzuciłoby mnie na kolana. W istniejącej sytuacji byłem zbity z tropu na tyle, że w początkowej fazie konwersacji ledwie zdołałem wybąkać parę słów: owszem, z chęcią napiłbym się sherry, a do ryby oczywiście białe wino. Nie, nie chcę sam zamawiać. W tej materii chętnie zdam się na mądrość rządu Jej Królewskiej Mości. Naturalnie, w taki dzień jak dzisiejszy Dublin wydaje się piękny. Tak, Londyn jest wspaniały. Nie, nie jest moim najbardziej lubianym miastem w świecie. Zawsze najchętniej wracam do pewnego miejsca na brzegu jeziora Michigan.

Richard M. Daley, burmistrz.

To jedyny punkt dla mnie.

Angela Smythe z pewnością nie należała do istot nieśmiałych, była gładka, doświadczona, wyrafinowana. Żadna tam nieokrzesana dziewczyna z bagien w Connemarze.

— Oksford czy Cambridge? — spytałem

— Oksford, oczywiście. A pan — Harvard?

— Notre Dame, a potem Marquette.

— Marquette?

— Jezuicki uniwersytet w Milwaukee.

— Milwaukee?

— To miasto w Wisconsin.

Zdawało mi się, że lekko uniosła kąciki ust.

— Mam zamiar wkrótce odwiedzić Amerykę. To musi być fascynujący kraj.

— Duży.

— A tak, w istocie.

Podszedł kelner, przynosząc wędzonego łososia z Galway, który z razowym chlebem stanowił główne danie wszystkich moich posiłków w Irlandii. Tym razem jednak nie musiałem go nawet zamawiać.

Po odejściu kelnera zręcznie skierowała rozmowę na sprawy, które miała ze mną omówić.

— Zastanawia się pan pewnie, czemu rząd Jej Królewskiej Mości funduje panu lunch? — uniosła brew, mającą zarys idealnego łuku.

— W ramach pełnienia misji dobrej woli na arenie międzynarodowej?

— To też, naturalnie. Niemniej jednak koledzy prosili mnie, bym przekazała panu niektóre opinie naszego rządu na temat kwestii irlandzkiej. Ich zdaniem jest sprawą niezmiernie wagi, by zrozumiał pan wszystkie aspekty obecnej sytuacji.

— To bardzo przyzwoicie ze strony Jej Królewskiej Mości.

— Owszem. — Tym razem uśmiech był mechaniczny. Może wreszcie zaczęły się przyzwoicie zachowywać.

— Nie wszyscy Amerykanie zdają sobie sprawę, jak bardzo rządowi brytyjskiemu zależy na rozwiązaniu problemu Irlandii Północnej. Bezwzględnie musimy położyć kres przemocy. Ostatnie anglo-irlandzkie ustalenia pokojowe stwarzają najlepsze nadzieje w tym stuleciu. Proszę zauważyć, że Irlandzka Armia Republikańska nie odrzuciła ich.

— Rozumiem. — Położyłem kawałek łososia na kromce chleba. Jeśli nawet poczuła się urażona moimi (umyślnie) prostackimi manierami przy stole, niczego nie dała po sobie poznać.

Co to za dyplomata, który nie wie, gdzie leży Milwaukee? Harvard, akurat!

— Udało nam się osłabić dyskryminację katolików, co mnie cieszy, bo — szybki uśmiech — sama jestem katoliczką.

Brytyjska katoliczka, niezłe zagranie.

— Bezrobocie jest nadal wysokie, wyższe nawet niż tutaj.

— Niemal tak wysokie jak wśród Murzynów amerykańskich.

— Niezupełnie — przełknąłem ostatni kęs prowizorycznej kanapki z łososiem.

— Whitehall ponadto rozumie, że katolicy z Północy winni odgrywać jakąś rolę polityczną. Nasz rząd stawia tę sprawę bardzo wyraźnie i w ciągu ostatnich kilku lat poczyniliśmy szereg kroków w tym kierunku.

— Ale protestanci na to nie pójdą.

— Sytuacja jest bardzo skomplikowana.

— Ludobójstwo bardzo komplikuje sytuację.

— Ludobójstwo? — zmarszczyła brwi. — Czy to nie za mocne określenie?

— Mówmy bez ogródek, Angelo. Nie jestem prawdziwym Irlandczykiem, nie musisz więc rozmawiać ze mną tak aluzyjnie. Nie jestem zacietrzewionym irlandzkim nacjonalistą. W ogóle nie jestem zacietrzewiony. Nie żywię najmniejszej sympatii dla IRA. Co więcej, wy czuwam, że prawdziwi Irlandczycy z republiki często pragną, żeby te sześć hrabstw zepchnąć do Atlantyku i albo przyłączyć do Grenlandii, albo wykorzystać jako cel podczas ćwiczeń Marynarki Jej Królewskiej Mości. Rozumiem te uczucia. Nie płacę na NORAID. Nie należę do tych jankesów, którzy wspierają akty przemocy o tysiące mil od własnego domu.

— Miło to słyszeć — skwitowała krótko, zupełnie zbita z tropu.

— Ale wiesz równie dobrze jak ja, że irlandzkich protestantów osadziła tu poprzednia Elżbieta, ten wasz Cromwell, i inne równie zane osobistości, z wyraźnym zamiarem wytopienia tych dzikusów, Irlandczyków, tak jak dzicy Indianie mieli zostać wytopieni w Ameryce, a dzicy Tasmańczycy w Australii. Wiesz także, iż Cromwell sprzedał pięćdziesiąt tysięcy irlandzkich kobiet i dzieci w niewolę do Indii Zachodnich.

— To twoi przodkowie tępiłi Indian.

— Obecnie nazywamy ich rodowitymi Amerykanami. — Rozsmarowałem grubo masło na następnej kromce razowego chleba. Niech tam, zjem porządny lunch na koszt Jej Królewskiej Mości. — Ci, którzy ich wybijali, nie byli moimi przodkami. Moi cierpieli głód i prześladowania na tej wyspie.

— To działo się dawno temu.

— Czy w odniesieniu do ludobójstwa stosuje się zasadę przedawnienia?

Pokazał się kelner z rybą z wody. Angela przygryzła wargę i wzięła się w garść. Pogratulowałem sobie, że udało mi się wytrącić ją z równowagi. Może też miała irlandzkie korzenie? Niewielu znajdzie się w Wielkiej Brytanii katolików, którzy by nie mieli irlandzkich przodków.

— Naprawdę nie chcę się z tobą kłócić, Dermocie. Ani ja, ani moi koledzy nie mamy zamiaru bronić tego, co dawne rządy brytyjskie wyprawiały w Irlandii. Szczerze mówiąc, ich działań nie da się usprawiedliwić. Mogę się nie godzić na słownictwo, jakiego używasz, ale muszę podzielać twoje ogólne stanowisko. Jednakże problemem nie jest przeszłość, lecz przyszłość.

— Którą ukształtowała przeszłość. — Sącyłem wybrane przez nią wino. Było wyborne.

— Ale nie raz na zawsze... Znasz najnowszą anglo-irlandzką inicjatywę?

— Czytam gazety.

— Mogę ci ją objaśnić?

— Naturalnie.

Również wypita łyk wina i rozpromieniła się z aprobatą.

— Dobry rocznik.

— Jasne. Kalifornijskie Chardonnay były w tym roku gorsze niż zwykle.

Blaguję? Pewnie. Ale co mi szkodzi pobawić się przez chwilę w 007.

— To prawda. — Znów pociągnęła z kieliszka, może usiłując sobie przypomnieć, co czytała o kalifornijskich Chardonnay. — Zgodnie z zawartą umową oba rządy poczyniły dość daleko idące ustępstwa o znaczeniu zarówno symbolicznym, jak i rzeczywistym. Rząd irlandzki formalnie zobowiązał się, że nie będzie wywierał nacisku na Ulster, by stał się częścią republiki, jeżeli protestancka większość nie wyrazi zgody na takie połączenie.

— Chodzi ci o sześć hrabstw, bo trzy pozostałe, wchodzące w skład historycznego Ulsteru, zostały z niego wyłączone wskutek machinacji wyborczych, żeby katolicy nie stanowili większości również w Ulsterze.

— To przeszłość, Dermocie — powiedziała sztywno.

— Owszem. Taoiseach Garret FitzGerald postąpił bardzo szlachetnie, przyrzekając przed kilkoma laty, że nie będzie próbował siłą

wcielić sześciu hrabstw z powrotem do unii, zważywszy, że nie miał ani siły militarnej, by to zrobić, ani woli walki przeciw milionowi protestantów. Wasz człowiek Albert Reynolds, który teraz sprawuje urząd Taoiseach, również nie ma wystarczających sił zbrojnych.

Znowu przygryzła wargę. Ale ze mnie kawał sukinsyna. Chyba pora dać sobie spokój.

— To prawda, ze strony Irlandii jednak było to ważne ustępstwo o znaczeniu symbolicznym. Szczerze mówiąc, rząd Jej Królewskiej Mości poszedł o wiele dalej. Przed paroma laty, gdy na mocy wspólnego porozumienia w Irlandii Północnej powstał Sekretariat Anglo-Irlandzki, uznaliśmy, że zainteresowanie rządu Irlandii problemami Północy jest uzasadnione i legalne. Podsumowując, obydwa rządy zgadzają się, że Wyspa nie zostanie zjednoczona za pomocą siły, ale rząd Irlandii ma niezaprzeczone prawo poświęcać uwagę temu, co dzieje się w Ulsterze. Przyznasz, że to krok naprzód?

— A premier John Major nie wycofał się z tego porozumienia, chociaż protestanci je odrzucili.

— T raczej się nie wycofa... Miałam zaszczyt pracować w Sekretariacie w Ulsterze. Muszę ci powiedzieć, Dermocie, że urzędnicy obydwu krajów osiągnęli znaczne postępy, może niezbyt rzucające się w oczy, lecz ustanawiamy bardzo obiecującą tradycję współpracy między obydwojema krajami.

— Mają szczęście, że do nich trafiłaś.

— Czy to szowinistyczna uwaga? — spytała z wściekłością.

— Nie, pani. — Rzuciłem na szalę mój najbardziej uroczy uśmiech, wydatniający dołeczki w policzkach. — Po prostu stwierdzam fakt. Zdolna i oddana kobieta musi zmienić tamten bunkier w przyjemniejsze miejsce.

— To wcale nie jest bunkier... — uspokoiła się nieco — tylko dawna szkoła średnia. Przyznaję, że dość ponura. Ale... wybaczone, że mówię niczym niepoprawna idealistka, nie zaś urzędniczka państwowa... Myślę, że mamy szansę zakończenia tego tysiącletniego konfliktu i pasma cierpień.

Była jednak niepoprawną idealistką, która może zrobić wrażenie na jankesie snującym jakieś własne mrzonki.

— Życzę jak najwięcej sukcesów — uniosłem kieliszek w toaście. — Myślę, że jesteś idealistką i bardzo ci z tym do twarzy.

— Dziękuję — splonęła rumieńcem. — Rozumiesz teraz, jak ważna jest ostatnia inicjatywa i jak krucho są możliwości jej powodzenia?

— Dlaczego kruche? John Major tak dalece związał swą przyszłość z tą inicjatywą, że wycofanie się z niej jest równie mało prawdopodobne jak to, że papież zostanie mormonem. Tutejszy rząd nic nie traci na jej popieraniu. Katolicy z Północy też są za nią — oprócz terrorystów. Protestanci sprzeciwiają się jej, lecz niektórzy z młodszych przywódców i mnóstwo ludzi chciałoby się dogadać. Więc w czym problem?

Ale przede wszystkim — co ja mam wspólnego z tą lekcją irlandzkiego wychowania obywatelskiego?

Usiłowała dotrzymać mi kroku w tym miażdżącym ataku, przekonana, że już mnie ma po swojej stronie.

— Twoja ocena sytuacji w republice nie jest całkowicie dokładna, Dermocie. Najprawdopodobniej dziewięć dziesiątych obywateli nie popiera aktów przemocy. Identyczny odsetek, jak sam powiedziałaś, nie umieszcza Północy na liście priorytetów. Jednakże nie są całkiem niechętni wobec koncepcji zjednoczonej Irlandii i choć do pojedynczych przybyszów z mego kraju mogą odnosić się z sympatią, to jednak nie mają zaufania do brytyjskiego rządu... A zanim wygłosisz rytualny komentarz, Dermocie, że mają wszelkie powody, by mu nie wierzyć chciałabym powiedzieć, że się z tobą zgadzam.

— Jeśli więc dojdzie do jakiejś konfliktowej sytuacji, tutejszy rząd może zablokować was w tym bunkrze, a także inicjatywę pokojową, w którą Albert Reynolds i John Major tak bardzo się zaangażowali?

— Właśnie. — Odetchnęła z ulgą, udowodniwszy swoją tezę, z którą się przecież zgadzałem i którą rozumiałem jeszcze przed darmowym lunchem.

— Na przykład jak?

— Powtarzając w formie jeszcze bardziej widowiskowej incydent z Gibraltaru, gdy nasz SAS zastrzelił trzech nieuzbrojonych terrorystów. Nie usprawiedliwiam żadnej ze stron, Dermocie. — Dotknęła mojej ręki. — Uwierz mi, nie żywię szczególnego sentymentu do SAS; kiedyś kochałam jednego z ich ludzi, lecz potem przekonałam się, że to bestie.

— Jak wszyscy rewolwerowcy.

— Zgadza się. Załóżmy, że SAS przez pomyłkę wystrzela grupę niewinnych przechodniów. Umowa stanie się wtedy świstkiem papieru.

— Może się tak zdarzyć — powiedziałem z wolna. — To mało prawdopodobne, ale może do tego dojść.

— Nie możesz więc mieć pretensji do mnie ani do moich kolegów, że dmuchamy na zimne?

— Skądże znowu... Ale co ja mam z tym wszystkim wspólnego? Potrząsnęła głową, jakby sama się nad tym zastanawiała.

— Obawiam się, że nie mogę ci dokładnie odpowiedzieć. Szczerze mówiąc, nie wiem. Poinformowano mnie tylko, że zajmujesz się czymś, co tobie pewnie wydaje się nieszkodliwe, ale może mieć bardzo poważny wpływ na nasze działania.

— Czy to ty przeszukałaś wczoraj mój pokój w hotelu Jury?

— Oczywiście, że nie! — Odłożyła widelec. — Pracuję w dyplomacji, nie w tajnych służbach.

— Ale ktoś to zrobił.

— Nic mi o tym nie wiadomo. — Na jej policzkach rozlał się rumieniec gniewu. — Nie zaprosiłam cię tutaj w związku z rewizją.

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę. Może to tylko zbieg okoliczności.

— Dopiero po raz pierwszy przetrząsnęto mi pokój, tak że nie mając wcześniejszych doświadczeń, nie mogę powiedzieć, czy odwiedzili mnie fachowcy czy amatorzy. Nie narobili bałaganu, ale zostawili parę śladów.

— Może celowo? — Pilnie mi się przypatrywała.

— Może. Zabrali tylko książkę o Michaelu Collinsie i plik wycinków prasowych z archiwum mojej babci.

— Coś podobnego! — Znowu potrząsnęła głową.

— Wiesz, kim był Collins.

— Mam o nim mętne pojęcie. Czy to nie jakiś terrorysta zwalczający Wolne Państwo?

— Wręcz odwrotnie. Był dowódcą armii Wolnego Państwa. Podpisał traktat anglo-irlandzki w 1921 roku, który okazał się dla niego wyrokiem śmierci.

— Niewiele wiem o tamtych czasach.

— Wszyscy niewiele wiedzą. A teraz, Angelo Smythe, śliczna i żarliwa idealistka, pozwól, że opowiem ci, czym wzbudziłem niepokój przynajmniej dwu rządów. Moi dziadkowie ze strony matki — wyjąłem ich zdjęcia — opuścili Irlandię w 1922 roku i nigdy już do niej nie wrócili. Umarli w zeszłym roku. Ma, moja babcia, powiedziała, że gdyby wrócili, zostaliby zastrzeleni. To wszystko — położyłem fotografie na stole, mocno uchwyciłem jej podbródek i uniosłem go, tak że nasze oczy się spotkały (ładne szare oczy — i jednak lekkie; ona również jest nieśmiałym dziewczątkiem) — i uwierz mi, że mówię szczerą prawdę: usiłuję tylko dowiedzieć się, dlaczego nie mogli wrócić.

Przesunęła językiem po dolnej wardze, lecz nie próbowała wyrwać się z mojego uścisku.

— Bardzo ci zależy, żeby uzyskać odpowiedź na to pytanie?

— Nieszczególnie.

— Więc może daj sobie z tym spokój... Twoi dziadkowie żyli długo i szczęśliwie?

— O tak, jak najbardziej.

— Nie wiem, dlaczego takie poszukiwania miałyby wzbudzić czyjkolwiek niepokój. Naprawdę nie mam pojęcia. Ale moi koledzy muszą być przekonani, że coś tu jest na rzeczy, bo inaczej nie prosiliby, żebym zjadła z tobą lunch.

Obawiam się, że mój palec głaskał jej podbródek. Była bardzo atrakcyjną kobietą, lecz czuła się urażona i obawiała się mnie.

— A może się dogadamy?

— Bardzo chętnie — uśmiechnęła się. — Ale niczego nie mogę obiecać.

— Gdyby najpierw przystali ciebie, a nie tego chamowatego policjanta, najprawdopodobniej zapomnielibym o całej sprawie. Jestem straszliwym nierobem, Angelo Smythe o szarych oczach, w których można zagłębiać się bez końca, straszliwym, do szpiku kości, jak tu powiadają. Mam taką propozycję: zgodzę się o wszystkim zapomnieć, jeśli ktoś, z któregoś rządu, w najściślejszej tajemnicy wyjaśni mi, na czym polega sekret.

— Dlaczego ci ludzie — wskazała na fotografie — tacy mili, przystojni ludzie, nie mogli z emigracji powrócić do Irlandii?

— Właśnie. A to byli naprawdę mili ludzie. Nigdy nie zajmowali się zbieraniem funduszy dla IRA ani niczym takim. A jednak na zawsze porzucili Irlandię.

— Czy ja z kolei mogę ci zaproponować ugodę, Dermocie Coyne? — Teraz ona złapała mnie za podbródek, co mi się słusznie należało.

— Jeśli pozwolisz, że następnym razem ja zaproszę cię na lunch.

— Zgoda... Zrobię, co będę mogła, żeby wyjaśnić tę sprawę. Obiecuję. Słowo honoru. — Przesunęła palcami po moich wargach, nie zwracając uwagi na kelnera, który podawał nam kartę deserów.

— I?

— I jeżeli nic nie znajdę albo nie będę ci mogła powiedzieć, co znalazłam, lecz zapewnię cię, że z ważnych powodów nie możesz o niczym wiedzieć, czy dotrzymasz obietnicy?

— Prosimy o herbatę, po kieliszku sherry, ciastka z podwójnym kremem i butelkę najlepszego wina deserowego — powiedziałem do

kelnera. — W porządku, Angelo Smythe, dotrzymam obietnicy pod warunkiem, że to ja stawiam wino.

— Jej Królewska Mość z pewnością nie będzie miała nic przeciwko temu — roześmiała się radośnie.

Opuściliśmy restaurację godzinę później jako ostatni goście. Oboje byliśmy na lekkim rauszu. W alejce przed stajniami Angela Smythe rozejrzała się w obie strony, objęła mnie i stając na palcach — pocałowała.

— Pragnę zaznaczyć — przerwała swój gwałtowny atak — że robię to prywatnie, a nie w ramach zadania zleconego mi przez rząd Jej Królewskiej Mości.

— Trzymam cię za słowo. — Zatopiłem palce w jej tyłeczku, uniosłem znad kocich łbów i na pocałunek odpowiedziałem tym samym. Wdzierając się głębiej przez jej wargi, czułem smak wina, herbaty i rybnego sosu. Zwarliśmy się w gwałtownym uścisku, który trwał parę wieczności.

To chyba ja przestałem.

— O Boże — powiedziała słabym głosem. — To nie my. prawda?

— Jasne, że nie — zgodziłem się, drżąc od wybuchu namietności.

— To druga butelka wina.

— Zdecydowanie.

Przytrzymałem ją za prawe ramię i mocnymi ruchami pięści-łem pierś, brzuch, bok, udo, a potem posuwałem się w górę z drugiej strony.

— Dermocie. — Zadrżała i oparła się o mnie. — Proszę... Równie dobrze mogło to znaczyć: „Przestań”, co i: „Nie przestawaj”. Nieco dłużej przytrzymałem rękę na jej piersi, twardej i kuszącej moje palce pod sukienką.

Tak łatwo byłoby zaprowadzić ją do mnie do hotelu.

Pochwyciłem jej drugą pierś. Westchnęła głęboko, ale nie próbowała się wyrwać.

— Nie... błagam cię, nie!

Przez chwilę tuliłem ją mocniej, po czym usłyszałem kroki na końcu alejki i uwolniłem Angelę z uścisku.

— Zdecydowanie wino — głos mi drżał. Szybkim krokiem podeszliśmy do Pembroke Road.

— Przepraszam — wymamrotałem.

— Nie masz za co. — Jej śmiech zdawał się nieco wymuszony. — Było mi przyjemnie. Ale nie powinniśmy...

— Wiem.

— Wracam do ambasady — powiedziała już spokojniej. — Lepiej, żeby nie widziano nas razem.

— Słusznie.

Oboje roześmialiśmy się. Skoro powściągnęliśmy zwierzęcą stronę naszej natury, wróciła nam racjonalna pewność siebie.

— Przepraszam — powtórzyłem.

— Och, Dermocie — uśmiechnęła się łagodnie. — Wiesz przecież, że to ja zaczęłam. I dostałam to, na co zasłużyłam w tych warunkach. Nie obwiniaj się.

— Jeszcze jeden czuły pocałunek — pospiesznie musnąłem jej wargi.

— Idealne zakończenie... — Jej szare oczy spotkały mój wzrok. — Zadzwoń do ciebie w związku z naszą umową. Zawsze mnie złapiesz w ambasadzie. Odezwij się w sprawach urzędowych — głos jej znowu zdrzął — albo osobistych.

— Będę pamiętał.

11

— Wyglądasz całkiem jak on — staruszek siedzący obok mnie na ławce westchnął głęboko. — Jakby skórę zdjął.

Przysiadłem na ławeczce naprzeciw Sussex Terrace, tuż za Grand Paradę, by popatrzeć na kaczki i morskie ptactwo oraz zastanowić się, z czego wynikają moje kłopoty z kobietami. Starzec siedział tak cicho, że zdałem sobie sprawę z jego obecności dopiero, gdy się odezwał.

— Kto?

— Z kogo — poprawił mnie z suchym śmieszkiem. — Mogę liczyć, że wybaczysz staremu nauczycielowi?

— No dobrze, z kogo?

— Czy nie z Liama O’Riada?

Wpatrywałem się ponuro w mętne szare wody Grand Canal, potwarzając sobie, że nie jestem pijany. Może mam trochę krwi w alkoholu, jak mawia ten zmyślny naród, ale w żadnym wypadku, absolutnie nie byłem pijany.

Nie wygłupiłem się też po pijaku wobec Angeli Smythe. Była to zaledwie drobna wymiana czułości i nic poza tym.

To wina Nuali. Gdyby wczoraj nie rozbudziła we mnie namiętności, nie byłbym tak czuły na kobiece wdzięki. Oczywiście wszystko przez Nualę.

A prawda wygląda tak, że nie jestem przyzwyczajony do alkoholu i że tego „stworzenia”, jak powiadają Irlandczycy, nie trzeba wiele, żeby mnie zmogło.

W najlepszym razie zacznam rozrabiać.

A zatem dwa kieliszki sherry i większa część dwóch butelek wina dość szybko wyeliminowały mnie z gry. I jeszcze to wino deserowe, to ono tak naprawdę mnie załatwiło.

Czy już o tym nie mówiłem?

Wpatrywałem się w Grand Canal próbując sobie uprzytomnić, co tak naprawdę zaszło w Julio. Wydawało mi się, że ubiłem z Angielką całkiem dobry interes, choć nie pamiętałem wszystkich szczegółów. Załowałem moich namiętnych uścisków, bo wypadło to jak typowy pijacki podryw; trzeba mi było uprowadzić ją, mówiąc metaforycznie, do mego łóżka w hotelu i tam sobie pobaraszkować. Miłość w ponure popołudnie w Dublinie.

Wszystko to razem nie wyglądało zbyt sensownie.

Jak już mówiłem, nie jestem człowiekiem czynu. Muszę dobrze pomyśleć, nim podejmę decyzję.

A gdy już się namyśle, decyzja często zapada w samym toku wydarzeń.

Jeśli kiedykolwiek byliście w Dublinie, wiecie, że Grand Canal wcale nie jest wielki. To wąska wstęga brudnej wody wijąca się przez Dublin, na szerokość nawet nie taka jak Little Calumet River, przepływająca przez Gary w Indianie, które Dublin przypominał, gdy mgły, deszcz i odór zdechłej ryby znowu napłynęły znad morza.

Czy odór rozkładającej się ryby jest gorszy niż woń z fabryki mydła w Hammond albo z rafinerii naftowej w Whiting?

Trudno powiedzieć.

Potem zagadnął mnie staruszek.

— Jestem podobny do dziadka?

— A nie powiedziałem tego przed chwilą? Choć czy nie był nawet młodszy od ciebie, kiedy go ostatni raz widziałem?

— Znał go pan?

— I twoją babkę też. Czy w tamtych czasach nie była najpiękniejszą dziewczyną w całym hrabstwie Galway?

Zamknąłem oczy i potrząsnąłem głową. Czy to kolejna szalona zagrywka w grze, do której mnie wciągnięto? A może śnić pijacki sen?

— Oboje już nie żyją — odparłem. — Niech spoczywają w pokoju.

— A czy my wszyscy już prawie nie żyjemy? Jasne, nigdy nie wrócili do Dublina, tylko do Cork, by rankiem wsiąść na statek i musisz wiedzieć, że udało im się w samą porę.

Gdybym potrafił usunąć alkohol z krwiobiegu, może byłbym zdolny do zadania kilku pytań tej zjawie z przeszłości.

— Skąd pan wiedział, że tu przysiadę?

— A nie mówili mi, że często przechadzasz się brzegiem Grand Canal? I czy sam sobie w duchu nie powiedziałem, że jeśli posiedzę tu dość długo, to wreszcie się pojawisz?

— Kto mówił?

— No, oni — zrobił niezdecydowany ruch ręką.

Spróbowałem uważnie przyjrzeć się staruszkowi. Był wysoki i chudy, niegdyś może równie silny i solidnie zbudowany jak Pa. Ubranie, płaszcz, krawat i kapelusz miał w kolorze czarnym, ale wszystko było czyste, starannie odprasowane i w modnych fasonach. Pofałdowana i poorana zmarszczkami twarz tchnęła szlachetnością. Guzowate ręce, powykręcane pewnie przez artretyzm, obejmowały kosztowną drewnianą laskę. Niebieskie, bładoniebieskie oczy za grubymi szklami wpatrywały się gdzieś w dal. Nauczyciel, prawdopodobnie wykształcony przez jezuitów, powiedziałem sobie, ani chybi stary kawaler, który całe życie żałował, że nie został księdzem.

Przypominał mi zdjęcia Eamona De Valery, gdy ten wysoki, sztywny, jakby kij połknął, niemal całkowicie ślepy starzec był prezydentem Irlandii. Należał do ostatnich niedobitków Powstania Wielkanocnego.

— A co o mnie mówili?

— Nie opowiadali, że usiłujesz wyniuchać, dlaczego Neli i Liam musieli brać nogi za pas?

— Naprawdę?

Znowu zrobił nieokreślony gest, jakby opuszczała go świadomość.

— Straszne rzeczy się wtedy działy... Złoto i to wszystko, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi?

— Złoto? Jakie złoto?

— Rogera Casementa, a czyjeż by? — Postukał głogową laską o brzeg kanału, jakby każdy głupiec powinien wiedzieć, czyje to było złoto.

— Ach tak.

— Jedyne człowiek, który wiedział, co się z nim stało, już dawno spoczywa w grobie, rozumiesz?

— O'Kelly?

— Strzał w dziesiątkę, chłopcze. — Żwawo poklepał mnie po ramieniu. — Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Straszne rzeczy przydarzyły się jemu i Neli.

— Ma i Pa żyli szczęśliwie w Ameryce. — Chciałem jakoś uspokoić starszka, który najwyraźniej przebywał w świecie własnych marzeń. Albo koszmarów.

— A czyż nie mieli prawa żyć szczęśliwie? Czy oboje nie walczyli za Irlandię? Czy nie mówiłem, że strata Liama to prawie taki sam cios jak utrata Michaela Collinsa, choć niektórzy nazywali go zdrajcą?

Westchnąłem głośno, mając nadzieję, że taka reakcja jest na tyle niezobowiązująca, by nie przerwać toku wymowy starszka.

— Czy nie powtarzałem zawsze, że wyjazd Liama i Neli jest pomysły dla nich, lecz fatalny dla całej reszty?

— Bez wątplenia.

Teraz on z kolei westchnął.

— Wyrządzili mu straszną krzywdę, straszną.

— Nigdy o tym nie mówił.

— A dzielniejszej kobitki nie było w całym hrabstwie Galway, wiesz o tym? I czy ja sam się w niej nie podkochiwałem?

— Prawda, że to wspaniała kobieta?

— Nie była tak dzielna jak mężczyzna, a nawet jeszcze dzielniejsza?

— Jeszcze dzielniejsza. — Powtórzyłem ostatnie słowa, stosując metodę Pa.

— To wszystko razem... Czy nie powiedziałem im, że mimo wszystkich ich podchodów i tak będziesz szukał prawdy, bo inaczej nie byłbyś jej wnukiem?

No, no!

— Ale jakiej prawdy?

— Aa, to długa historia, prawda, synku? Nie daj się im zastraszyć.

— Komu?

— Politykom, a komu by innemu? Czy to nie oni zdradzili republikę, a teraz znów ją zdradzają?

Ci cholerni Irlandczycy zawsze mówią na okrągło i nigdy wyrażnie nie powiedzą, o co chodzi. Na starość już sami siebie nie rozumieją.

— A co ich obchodzi, czy znajdę prawdę, czy nie znajdę? Czy chodzi o złoto?

— Pewnie, kto nie chciałby znaleźć złota? Nie byłoby teraz warte milionów? Ale go nie znajdą do sądnego dnia. Dopóki sir Roger nie powróci i sam nie powie.

— I Daniel O'Kelly.

— Aa, ten też. — Starzec przymknął oczy. — Wspaniale było być młodym w tamtych czasach, synku. Dzisiejsi młodzi ludzie nie mają pojęcia, czym naprawdę jest młodość. Nie obchodzi ich republika, jedna i niepodzielna. — Na chwilę otworzył oczy, w których błyskał teraz płomień. Potem znów je przymknął. — Może z wyjątkiem paru facetów z Północy, ale większość z nich to też idyjoci.

— Też idyjoci.

Martwa cisza. Czyżby przysnął?

— Jak umarł Michael Collins?

Otworzył oczy tak gwałtownie, że aż drgnęły mu powieki. Wyprostował się, przerażony.

— Chyba nie powinieneś zadawać takiego pytania, co?

— A jak dowiem się prawdy o Liamie i Neli, jeśli nie będę znał na nie odpowiedzi?

W zniechęceniu potrząsnął głową.

— To były wspaniałe dni, ale i straszne. Może nie powinniśmy o nich pamiętać, synku, wcale a wcale.

— Muszę się dowiedzieć, jak umarł.

— To długa historia, a taki staruch jak ja nie bardzo już ją pamięta.

Położyłem mu rękę na piersi.

— Kto chciał zabić Neli i Liama?

— Czyż nie ci sami, którzy zdradzili republikę?

— Mnie też będą próbowali zabić?

Otworzył szeroko oczy i wbił we mnie wzrok.

— Jeżeli się dowiesz, co zrobili...

Ciarki przebiegły mi po grzbiecie. A więc to naprawdę niebezpieczna gra.

— Ale wszyscy już chyba nie żyją?

— A czy nie mają dzieci i wnuków, tak jak Liam i Neli? I czy do tej pory nie ciągną korzyści z tego, co się stało? Czy zdrada kiedykolwiek umiera?

Podniósł się z trudem, ciężko opierając się na łasce.

— Wiesz, dlaczego chcieli zabić Liama i Neli?

— Chcieli, żeby raz na zawsze wynieśli się z Irlandii. Twoi dziadkowie chcieli żyć. Wiedzieli, że nie ma co walczyć ze zdrajcami. Więc dochowali tajemnicy.

— Jakiej tajemnicy?! — ryknąłem.

Starzec zaczął oddalać się chwiejnym krokiem. Chwyciłem go za ramię.

— Jakiej tajemnicy?

— Nie daj się zastraszyć, Liamku — wymamrotałem. — Nie daj się zastraszyć. Niech tym razem prawda wyjdzie na jaw, nim znowu zdradzą republikę.

— Jaka prawda, na miłość boską?

Przyłgnałem do mego ramienia.

— Wielki Liam, jak go nazywaliśmy, Wielki Liam i Mała Neli nie mogli powiedzieć prawdy. Ale czasy się zmieniły. Ty możesz powiedzieć. Całą prawdę.

Odsunął się ode mnie i z wolna podreptał w stronę ulicy.

Czy był wtyczką? zastanawiałem się. Pracował dla tej samej strony co Angela Smythe i nadinspektor Conlon? Czy dla przeciwnej? Czy była jakaś inna strona prócz tego drżącego starca, który mgliście tylko pamiętał dawne czasy i żywił niewygasłą miłość do Neli Malone?

Jakkolwiek by wyglądała prawda, jeśli wierzyć starszkowi, stanowiła ona część nie tylko minionej przeszłości, lecz także realnej i niebezpiecznej teraźniejszości.

Musiałbym przeprowadzić jeszcze jedną długą rozmowę z Angellą Smythe, której złożyłem jakąś budzącą teraz moje wątpliwości obietnicę, choć nie bardzo pamiętam, czego dotyczyła.

Jednakże dopiero po randce z Nualą Anne McGrail. Zazwyczaj mam szczęście, gdy myśli zaprzęta mi jedna kobieta. Teraz wpadłem jak śliwka w kompot. Nie miałem pojęcia, jak sobie radzić z dwoma nurtami pożądaniami.

Jeśli starszek mówił prawdę, nie był wtyczką ani zmyślnym aktorem, jeśli nie brał udziału w grze, którą ktoś ze mną toczy... to wydaje mi się, że trzeba zadać podstawowe pytanie, trafiające w sedno sprawy, pytanie, które sprawiło, że starszek aż podskoczył:

Kto zabił Michaela Collinsa?

12

Choć złożony niemocą, Collins upierał się przy wyjeździe do Cork. Oficjalnie miał przeprowadzić inspekcję armijnych garnizonów, lecz

w nocy poprzedzającej wyjazd rozmawiał z panem Moyllem i wtedy wyjawiał swoje prawdziwe zamiary. „Spróbuję przekonać chłopców. Jeśli mi się nie uda, dobiórę się im do skóry”. Dawne więzi nadal trwały, wzmocnione jego niedomaganiem i ponurymi przeczuciami co do przyszłości.

„Myślisz, że to przeżyję?” — zapytał [Liam] Cosgrave’a. — „Mało prawdopodobne”. — „To” zapewne miało oznaczać wojnę domową. Rzucił ten ponury żart w obecności maszynistki, a ona go powtórzyła Joemu O’Reilly’emu. I tak to szło. Rozdarty poczuciem lojalności wobec przeciwstawnych ideałów, pod brzemieniem wojny domowej i związanej z nią swej osobistej odpowiedzialności, zaczął tracić nieispożyte dawniej siły. Trudno mu się było skupić i wciąż miał nim niepokój, którego dawniej nigdy nie odczuwał.

O’Raily obudził się o szóstej rano i ostatni raz widział człowieka, któremu służył tak wiernie, gdy Collins czekał na przyjazd wozu opancerzonego.

Przez plecy miał przezucony mały zielony tornister, pochylił głowę, zatopiony w ponurach medytacjach, a Raily pomyślał, że nigdy nie spotkał człowieka tak straszliwie przygnębionego. Collins, sądząc, że nikt go nie widzi, pogрузił się w ciszy i samotności tego letniego poranka.

Collins udał się do Curragh, gdzie przeprowadził inspekcję jednostek wojskowych. Z Curragh pojechał do Limerick. Stamtąd wyruszył do Mallow w hrabstwie Cork. Był to początek końca podróży jego życia.

Rex Taylor Michael Collins (1961), str.
196—197

13

- George, co wiesz o Michaelu Collinsie?
- Tym astronautie?
- Irlandzkim rewolucjonistcie.
- Absolutnie nic, głupku. Oderwałeś mnie od moich ośmioklasistów, żeby o to zapytać?
- A mógłbyś się dowiedzieć o nim wszystkiego, co się da, zwłaszcza o okolicznościach jego śmierci?

— Czy to ważne?
— Bardzo ważne.
— A nie możesz tam tego zrobić?
— Nie. — Dzwoniłem do George'a z budki telefonicznej przy Pembroke Street, tak jak to robili w powieściach Roberta Ludluma. Prawdziwy 007.

Znowu pomyślałem o Angeli i na chwilę straciłem wątek.

— Już dawno na nic się tak nie napalałeś, głupku. Czy chodzi o dziewczynę?

— Nic z tych rzeczy. Proste są ścieżki waszego człowieka w Dublinie.

— Hej, co z tobą?

Powłokłem się z powrotem do hotelu Jury i po raz drugi tego dnia wskoczyłem do basenu. Oczyszcziłem krew z alkoholu i hormonów i powiedziałem sobie, że straszne ze mnie ciepłe kluski, skoro nie zabrałem się jak trzeba do Angeli, i że nie podejmę żadnych kroków, póki się ze mną nie skontaktuje.

Potem uprzytomniłem sobie, że George mógłby się dowiedzieć dla mnie mnóstwa rzeczy, nie budząc zainteresowania „drugiej strony”, kimkolwiek albo czymkolwiek miałyby ona być.

George ma również kontakty.

— Twój przyjaciel pracuje dla rządu?

— Który?

— Tony.

— Ten detektyw?

— Tajniak. Dowiedz się od niego, po pierwsze, czy jego firma ma jakieś poufne informacje co do śmierci Michaela Collinsa, i po drugie, czy nadal są tajne.

— Tony ma wobec mnie długi wdzięczności. Wyciągnie wszystko, co będzie mógł, bez wzbudzania podejrzeń innych tajniaków.

— I nie mów o tym nikomu, zwłaszcza mamie ani tacie.

— Czy się w coś wplątałeś, głupku?

— Uchowaj Boże.

Co może, ale nie musi być prawdą.

— Papiery od mamy dostałeś bez problemów?

— Bez najmniejszych.

— Zrobiłem odbitki tych, które wydawały mi się ważne, tak na wszelki wypadek.

— Probarszcz jak zawsze przezorny.

— Z wyjątkiem doboru braci.

Głęboko pogrążony w myślach, wolnym krokiem na powrót zmierzałem do hotelu. A przynajmniej usiłowałem głęboko pogrążyć się w myślach. Mój organizm uwolnił się już od alkoholu. Z hormonami to jednak inna sprawa.

Marny ze mnie kochanek. Więc jakim cudem tak szybko ją podnieciłem? I czy rzeczywiście? Czy to wszystko było na zmyłkę?

Czy przyjaciel z SAS głęboko ją zranił? Czy mi się wydawało, że mogę ją z tego uleczyć? Coyne, chyba masz źle w głowie.

Mój układ z nią był całkiem rozsądny. Może, biorąc wszystko pod uwagę, lepiej nie budzić licha? Nawet jeśli staruszek miał rację, że zdrajcy nadal zagrażają republice, co mnie w końcu to wszystko obchodzi?

Zadzwoń do Angeli za parę dni, po przyjęciu u Longwooda-Jonesa, by się dowiedzieć, do czego się dokopała. Później polecę do domu. Telefon do George'a potraktowałem jako środek ostrożności.

Naprawdę się jej spodobałem? Czy była po prostu świetnie wyszkolonym żeńskim odpowiednikiem 007? W wywiadzie Jej Królewskiej Mości?

Stanąłem jak wryty naprzeciw Jury. Skąd ta pewność, że pracuje dla Brytyjczyków? Nie widziałem żadnego dowodu, że jest członkiem korpusu dyplomatycznego. Może to partia tej idiotycznej gry, której reguł nie znałem?

Dlaczego więc mi powiedziała, żebym zadzwonił do ambasady?

Zaczekałem, aż zmienią się światła, i przeszedłem na drugą stronę.

Pewnie jest tym, za kogo się podaje. Ale zrobiłem głupio, że nie poprosiłem jej o jakieś papiery uwierzytelniające.

Sean Connery nie popełniłby takiego błędu.

I natychmiast poszedłby z nią do łóżka.

Z westchnieniem uświadomiłem sobie niewygodny fakt, iż w rzeczywistości sprawy nie układają się tak gładko jak w filmie sensacyjnym.

Jutro będę musiał zająć się niezwykłym zjawiskiem, jakim jest Nuala Anne McGrail. Niewykluczone, że w niej kryje się przyczyna wszystkich moich problemów.

Usiłowałem na Nualę zrzucić winę za wszystko, przekonałem się jednak, że nic z tego nie wychodzi.

Kimkolwiek by była, na pewno nie jest moim wrogiem.

Znów wyobraziłem sobie piersi Angeli pod moimi niecierpliwymi palcami. Potem przyszło mi na myśl, że tak samo obejmowałem Nualę. Nie miałem wątpliwości, który komplet piersi bardziej przypadł mi do gustu.

Gdyby druga z wymienionych kobiet chciała mi się oprzeć, pewnie leżałbym na kocih łbach, rozciągnięty jak długi.

Uśmiechnąłem się do siebie radośnie, po czym zadzwoniłem do ambasady amerykańskiej i oznajmiłem attache kulturalnemu, że na kolację do jego lordowskiej mości przyjdę w towarzystwie.

Powiedział, że tego właśnie oczekiwano.

Zastanawiałem się, czego dokładnie.

Jednakże tej nocy śniłem o Angeli, nie o Nuali. I o Kel Morrisey. A także o rudej kobiecie o błyszczących namiętnych oczach, imieniem Neli Pat Malone.

Dzielniejszej od wszystkich mężczyzn.

14

— Panna McGrail czeka na pana w holu, panie Coyne — poinformował mnie głos recepcjonistki o miękkim dublińskim akcencie.

— Już przyszła?

— O tak — w głosie kobiety posłyszałem uśmiezek i iskierki w oku. — Bez najmniejszych wątpliwości.

— Więc może już zejść?

— O tak, szczerze bym radziła.

Po raz ostatni poprawiłem biały krawat, zerknąłem do lustra, uznałem, że wyglądam idiotycznie, a serce waliło mi jak młotem. Mimo to opuściłem apartament i zjechałem windą.

Gdy skręciłem z korytarza i znalazłem się w holu, ujrzałem Nualę obok wejścia do kiosku z pamiątkami, stojącą w niedbałej pozie młodej niewiasty, która codziennie bywa w holu eleganckiego hotelu. Na jej twarzy błąkał się lekki uśmiezek rozbawienia; dziewczyna zdawała się wcale nie zwracać uwagi na pełne podziwu spojrzenia, które biegły w jej kierunku.

Wyglądała na dwudziestopięcioletnią światową damę, doświadczoną i pewną siebie.

Wyznam, że stanąłem jak wryty. Gdzie wynalazłem tę promienną młodą hrabiankę?

Miała na sobie stosunkowo prosty strój: białą suknię odśnaniającą ramiona i dopasowaną w talii, czarną pelerynę, srebrny łańcuszek wo-

kół szyi. Włosy upięła wysoko, zwiększając jeszcze majestatyczność swej postaci, a lekkim makijażem ożywiła karnację.

W jaki sposób Nuala, pewnie z pomocą przyjaciółek, zdołała osiągnąć tak oszałamiający efekt?

Przecież oglądają telewizję, no nie? I chodzą na filmy, zgadza się? I nawet w zachodniej Irlandii można kupić „Vogue”, prawda?

— Dzień dobry, panno McGrail — wyszeptalem cicho. — Wyglądasz dziś uroczo, jak zawsze.

— Ach, to ty. — Jej akcent zmienił się z Gaeltacht na dubliński. — Jesteś odszykowany jak członek Izby Lordów.

Pocałowałem ją, przez dłuższą chwilę zatrzymując usta na jej wargach. Tolerowała ich obecność, odniosłem nawet wrażenie, że być może, ale tylko być może, sprawiło jej to pewną przyjemność.

— Nawet zamek św. Jakuba nie byłby dla ciebie zbyt skromną oprawą, Nualo.

— Gdybym nie czuła się damą — uniosła brew — mogłabym tę uwagę opatrzyć skatologicznym komentarzem.

— Niewątpliwie godnym hrabianki.

— W istocie usiłuję robić wrażenie wielkiej księżnej.

— Udało się to waszej wysokości.

Jej pewność siebie nagle wyparowała, a urocze białe ramiona przygarbiły się.

— Nie chcę ci przynieść wstydu, Dermocie Michaelu.

— O tym nie ma mowy — delikatnie wyprostowałem ramiona do poprzedniej pozycji.

— Nie mam za bardzo odsłoniętych cycków? — Jej dłoń pomknęła do gardła.

— Nie na oficjalną kolację, Nualo — uspokoiłem ją. — Większy dekolty byłby nieco ryzykowny, a mniejszy trochę pruderyjny.

— Na pewno?

— Absolutnie. — Znowu ją pocałowałem.

— Zetrzesz mi szminkę — protestowała raczej bez przekonania.

— A jednak masz się w co ubrać?

— Wszystko pożyczone — roześmiała się; znowu wróciła jej pewność siebie. — Z wyjątkiem straszliwie nieprzyzwoitej bielizny. Okropnie się wstydziłam, kiedy ją kupowałam i nie jestem pewna, czy to draństwo wytrzyma jak należy przez całą noc.

Otoczyłem ramieniem jej kibić i skierowaliśmy się ku drzwiom.

— Jestem pewien, że bardzo ci się to podobało.

— A mówiłam, że nie?

I oboje roześmialiśmy się radośnie — dwoje młodych ludzi, którzy w tym właśnie momencie byli sobą niezmiernie zachwyceni. W drzwiach ukazał się džentelmen w liberii.

— Pan Coyne? Jego lordowska mość przysłał mnie po państwa. Na imię mi Arthur.

— Dobry wieczór, Arthurze. To panna McGrail.

— Dobry wieczór, panno McGrail.

— Dobry wieczór, Arthurze. — Co najmniej wielka księżna. Nie muszę mówić, że czekał na nas rolls. Nuala podchwyciła moje spojrzenie i przewróciła oczami.

Arthur dyskretnie spuścił szybę między przednią i tylną częścią samochodu, zostawiając mnie sam na sam z tym słodko pachnącym kwiatem z bagien, tą olśniewającą druidyczną księżniczką, celtycką boginką o cudownych piersiach, mityczną heroiną, która powróciła z przeszłości.

Chciałem ją objąć, ale zawiadły mnie nerwy.

Gdy Arthur włączył się w intensywny ruch uliczny na Pembroke Street, szturchnęła mnie w ramię.

— Więc jesteś taką szychą, że lord Longwood zaszczycą cię zaproszeniem na kolację? A czym sobie na to zasłużyłeś? — Jej dubliński akcent był bliski perfekcji. Gdy Nuala odgrywa jakąś rolę, czyni to po mistrzowsku.

— Niczym takim — poruszyłem się niespokojnie. — Lord pochłania wszystkie pisma literackie z obydwu stron Atlantyku. Przeczytał więc dwa moje opowiadanka i powiedział amerykańskiemu attache kulturalnemu, że mu się podobały. Pomyślał, że chyba muszę być Irlandczykiem, bo tylko Irlandczycy umieją pisać dobre opowiadania.

— Niemożliwe!

— Ależ jak najbardziej. W każdym razie attache wspominał, że spotkał mnie na koncercie, a jego lordowska mość nalegał, żebym wpadł na małe co nieco.

Głuche milczenie ze strony mojej młodej przyjaciółki. Przetwarza nowe dane.

— Nigdy mi nie mówiłeś, że jesteś pisarzem, którego utwory są publikowane.

— To zaledwie dwa opowiadanka, Nualo.

— Powiedz Arthurowi, żeby nas zawiózł z powrotem do hotelu.

— Dlaczego? — Panika ścisnęła mi gardło.

— Nie pójdę na kolację, póki nie przeczytam tych opowiadań.

Nie kręć się koło wielkich księżnych. Nie ma na nie siły.

— Tylko o to chodzi? — sięgnąłem do kieszeni marynarki. — Mam je przy sobie.

— Ach, cudowny Dermot. — Poklepała mnie po ramieniu. — Myśli o wszystkim.

— Staram się.

Starąłem się też ująć jej rękę. Cofnęła ją stanowczym gestem. Zapaliłem lampkę z tyłu za nią.

Najpierw przeczytała opowiadanie o wyświęceniu i odprawieniu pierwszej mszy. Słyszałem, jak parska śmiechem.

— Podoba ci się?

— Jest przeżabawne, Dermocie Michaelu. Młody ksiądz to twój brat George?

— Niezupełnie. Opowiadanie nie jest całkiem biograficzne.

Gdy zaczęła czytać drugie opowiadanie, poczułem skurcz żołądka.

Kiedy odwróciła pierwszą stronę, ujęła mnie za rękę i trzymała ją w mocnym uścisku. Nie próbowałem się wyrwać.

— Boże drogi, Dermocie. Więc to ta dziewczyna umarła?

— Mniej więcej.

— Rozpłakałabym się, ale zrzynuję sobie makijaż.

— Nie możesz zrywać przedstawienia.

— No więc popłaczę jutro... i pomodłę się za ciebie, biedny, kochany Dermocie Michaelu. — Uścisnęła mnie za rękę. — Nic dziwnego, że od czasu do czasu masz taką ponurą minę.

— Naprawdę?

— Jakbyś myślał był gdzieś bardzo daleko.

— Przepraszam. — Pod powiekami czułem ukłucia łez. Pragnąłem jej pociechy i zarazem jej nie chciałem.

— Przecież to nie twoja wina, prawda?

— Powiedziałaś, że się będziesz za mnie modlić? Myślałem, że jesteś niewierząca.

— Powiedziałam tylko — z irytacją wysunęła rękę — że jeśli Bóg istnieje, po co miałby tracić czas na takich idyotów jak my. Lecz nic nie zaszkodzi pomodlić się do Szanownego Pana.

— Do Szanownego Pana?

— Jasne. Taki nagłówek mają listy adresowane do głównego lokatora.

Roześmiałem się, ona też się roześmiała i znowu wsunęła rękę w moją dłoń.

— Biedactwo, musiała być strasznie nieszczęśliwa.

— Ale nigdy tego nie okazywała.
 — Wszystko dusiła w sobie?
 Samochód zsunął się po FitzWilliam Street i zbliżał się do Merrion Square.
 — Nigdy się nie zdradziła ani słówkiem.
 Westchnęła głośno.
 — Cóż, ja bym tego nigdy nie zrobiła... Cieszę się, że pozwoliłeś mi to przeczytać. — Zwróciła mi obydwie opowiadania.
 — Chyba nie miałem specjalnego wyboru, co?
 — Święta Brygido, Patryku i Columcille! Dermocie, już prawie jesteśmy na miejscu!
 — Rzeczywiście.
 — Pocałujesz mnie tylko raz, nim zaczniesz przedstawienie?
 — Z chęcią.
 Objąłem ją i pocałowałem, solidnie i efektywnie. Przyłgnęła do mnie, a serce jej waliło.
 — Nie przyniosę ci wstydu, Dermocie Michaelu, naprawdę.
 — Zawsze istnieje możliwość, że ja przyniosę wstyd waszej wysokości.
 — Nie ośmieliłbyś się! — Nadal przywierała do mnie. Było to niezwykle przyjemne doznanie. Pachniała i smakowała wyśmienicie.
 — Jesteśmy na miejscu — poinformował nas Arthur.
 — Dziękuję, Arthurze. — Przesunąłem się do wyjścia, by otworzyć drzwi rollsa.
 Powstrzymała mnie silna dłoń w białej rękawiczce.
 — Niech on otworzy, idyjoto. Czy w ogóle nie umiesz się znaleźć?
 — Racja, proszę pani.
 — Nie chcesz przecież zranić uczuć tego biedaka, co?
 — Nie, proszę pani.
 — Ani narobić mi wstydu — zachichotała — takiej wielkiej pani.
 — Nie, proszę pani. Tak, proszę pani.
 Arthur otworzył drzwi i uchylił kapelusza przed jej lordowską mością, gdy wyprowadzał ją z samochodu.
 — Dziękuję, Arthurze.
 — Do usług. Będę tu czekał, dopóki nie zdecydują się państwo na powrót.
 Podeszliśmy do drzwi. Nuala znowu schwyła mnie za rękę.
 — Świat jest teatrem — powiedziała.
 — Aktorami ludzie — dodałem, podnosząc kołatkę.

— Życz mi powodzenia, Michaelu Dermocie Coyne.
— Największego na świecie i przez całe życie, Mary Nualo Anne McGrail.

Drzwi się otworzyły, umieszczając nas oboje w prostokącie olśniewającego światła. Kurtyna poszła w górę.

15

— Martin Longwood-Jones. — Żwawy mężczyzna o srebrzystych włosach mający około pięciu stóp i ośmiu cali wzrostu energicznie uściśnął mi rękę. — Bardzo nam miło gościć państwa w naszym domu, panie Coyne, panno...

— Nuala McGrail, Martinie.

Nie miałem zamiaru nikogo tytułować z wyjątkiem autentycznego wyrobu, a takiego nie widziałem nigdzie w pobliżu. Longwood-Jones był pełen werwy, rześki i szczupły — zapewne w młodości uprawiał lekkoatletykę, a i teraz był w doskonałej formie. Jednakże w jego piwnych oczach czaił się smutek, jakby widział wiele cierpienia i zdobył wiele życiowej mądrości — przywodził na myśl młodszego Hulme'a Cronyna.

— Miło nam, że zechciała pani przyjąć zaproszenie, panno McGrail.

Przesłała mu promienny uśmiech.

— Przecież zdarzyła mi się wyjątkowa okazja obejrzenia wnętrza najsztywniejszego georgiańskiego domu w Dublinie. Któż by z niej nie skorzystał, milordzie?

Ta mała wiedźma celowo wróciła do wymowy z Carraroe. Longwood-Jones był oczarowany.

A kto by nie był?

Jego lordowska mość był sympatyczny i przystępny, nie sprawiał wrażenia człowieka, który by zaangażował się w spisek mający mnie odciągnąć od moich poszukiwań. Zaproszenie na kolację nadeszło jednak wkrótce po ostrzegawczej rozmowie, którą odbyłem z nadinspektorem Conlonem. Przypadek? Możliwe.

Zanadto byłem zafascynowany wejściem Nuali do anglo-irlandzkiej elity towarzyskiej, by zastanawiać się nad moim prywatnym śledztwem i nad próbami utracenia go.

Mój gust w kwestii umeblowania kształtował się w szeregowych domkach na przedmieściu, toteż gdy weszliśmy do georgiańskiego salonu, autentycznego w każdym szczególe, wydał mi się zagracony, obwieszony zbyt sutymi firanami i draperiami, zatłoczony i przeładowany. Ale i tak wszystkie oczy zwróciły się na moją irlandzką Dianę.

Nic dziwnego.

Odegrała to doskonale, z początku milcząca i pełna rezerwy, choć ciągle uśmiechnięta, powróciła do wymowy dublińskiej, leciutko tylko zaciągając, jak to robią na zachodzie Irlandii, jej królewska pewnośc siebie cały czas trwała niezachwiana, a w błękitnych oczach błyszczały iskierki rozbawienia.

Moja uroczą towarzyszką stała się gwiazdą wieczoru. Jakżeby inaczej.

W istocie zachowywała się tak doskonale, że aż mnie to złościło. Nuala była wielką aktorką, wywierała tak silne wrażenie, że zastanawiałem się, czy w ogóle można jej wierzyć. Weszła w rolę młodej arystokratki z łatwością, która może nasuwać przypuszczenia, że niemal zawsze uda się jej zwieść prawie każdego.

Zastanawiałem się, czy potrafi odróżnić rzeczywistość od scen, które odgrywała w rozmaitych sztukach.

Martin Longwood-Jones miał około pięćdziesiątki, jego żona, lady Elizabeth, jedyna prócz Nuali kobieta w sukni z odsłoniętymi ramionami, była od niego z dziesięć lat młodsza, nieco pulchna i całkiem ponętna. W pełni świadoma siły swoich dojrzałych wdzięków, zupełnie nie czuła się zagrożona przez moją małą Nualę.

Amerykański attache John McGlynn, mężczyzna trzydziestoparoletni, Irlandczyk z pochodzenia, był chudy, nerwowy i łysy. Sądząc po akcencie, urodził się w Bostonie i sprawiał wrażenie gorliwego biurokraty. Jego żona Norine, również z Bostonu, wydawała się jakaś wyblakła, wymęczona i niepasująca do reszty towarzystwa.

Minister kultury Republiki Irlandzkiej, Brendan Keane, jowialny, gładko prawiający słodkie słówka, miał smagłą cerę, przypominał partyjnego pionka z Chicago, tyle że z uniwersyteckim wykształceniem i ogładą. Zastanawiałem się, czy w jego wzroku nie ma odrobiny fałszu, a może po prostu patrzyłem na niego jak na zręcznych irlandzkich polityków nieco podejrzanego autoramentu, którzy za „dawnych do-
brych czasów” grasowali w Chicago.

Jego żona, Fionna, była znacznie od niego młodsza, miała może parę lat więcej niż ja, szczupła, o zaciętej twarzy i świdrujących oczach. Do Nuali poczuła wyraźną antypatię.

A zatem Nuala postanowiła ją podbić pytaniami o dzieci i z najwyższym zainteresowaniem wysłuchiwała drobiazgowych opisów ich zachowania.

Sprytna sztuka. Odniosła pełny sukces. Gdy wychodziliśmy, były z Fionną Keane najlepszymi kumpelkami.

Czy muszę dodawać, że ani jedno nieprzyzwoite, skatologiczne czy bluźniercze słowo nie wyrwało się z jej ust?

Powinienem dodać: ani ani.

Jej strategia z początku polegała na tym, że słuchała i obserwowała, bystre błękitne oczy dostrzegały wszystko, choć w najmniejszym stopniu nie dawała tego po sobie poznać. Mówiła niewiele, lecz zawsze z uśmiechem i dowcipnie. Nadal królowała w salonie, gdy dyskretnie sączyliśmy sherry.

Cóż, to raczej pozostali goście zachowali się dyskretnie. Byłem tak oszołomiony Nualą, że dość szybko wychyliłem dwa kieliszki, a zdałem sobie z tego sprawę, dopiero gdy zaczęło mi się kręcić w głowie.

— A czym się pani zajmuje, panno McGrail? — zapytał uprzejmie minister, gdy rozmowa na chwilę przycichła.

— Trochę występuję i śpiewam, panie ministrze.

— Naprawdę? — Longwood-Jones poczuł się zaintrygowany.

— Przy akompaniamencie harfy irlandzkiej?

— Kiedy tylko na nią się natknę, milordzie.

— Jak mam panią prosić, by zechciała pani zaśpiewać nam po kolacji?

Nuala rzuciła mi spojrzenie, kunsztownie stwarzając pozór, że musi dopełnić formalności i zapytać mnie o zdanie, choć moja opinia nie miała przecież najmniejszego znaczenia.

— Ach, milordzie, bardzo trudno mnie namówić i założę się, że nie jest to warte pańskiego trudu. Ale z pewnością nie będzie pan musiał ponownie mnie prosić.

— Świetnie! Sprawa zatem załatwiona! A przy okazji, czy widziała pani przedstawienie *Wesołka* w Trinity? Niestety, byłem wówczas w Londynie i nie udało mi się go obejrzeć, ale rola Pegeen była podobno znakomicie zagrana.

Na twarzy Nuali nie drgnął ani jeden mięsień.

— Widziałam fragmenty, milordzie.

— I co pani sądzi o Pegeen?

Nawet na mnie nie spojrzała.

— To była uczta duchowa, milordzie. Prawda, Dermocie?

— Jak najbardziej.

Następnie zaprowadzono nas do jadalni. Oświetlona dziesiątkami świec, których migotliwy blask odbijał się w porcelanie i srebrze, niewielka jak na nasze wymagania sala stanowiła — jak mi się wydaje — idealne odwzorowanie jadalni georgiańskiej. Widok służących w liberii, skrzypka grającego nieopodal stołu, szeregu pucharów Waterford o najrozmaitszych kształtach i rozmiarach, a także dwu urodzanych kobiet o nagich ramionach i częściowo odsłoniętych piersiach — wszystko to przeniosło mnie w świat o dwa wieki wcześniejszy, w epokę Haendla, wyszukanych manier, niespiesznych rozrywek, a także krzesel nie zaprojektowanych z myślą o anatomii użytkownika.

W głowie nadal kręciło mi się od sherry. Nuala siedziała naprzeciw mnie, lady Elizabeth obok. Byłem pijany alkoholem, erotycznym pięknem i fantazjami. Miałem wrażenie, że jestem w Dublinie czasów Grattana i panowania brytyjskiego, w szczytowym okresie rządów anglo-irlandzkich protestantów, przed powstaniem z 1798 roku i narzuconą unią irlandzkiego parlamentu z jego angielskim odpowiednikiem. Longwoodowie-Johnsonowie nie wspomnieli ani słowem, z jak skrupulatną wiernością wobec historycznego pierwowzoru odrestaurowano wnętrze. Byłoby to dowodem złego smaku, a kimkolwiek by jeszcze byli, na pewno pozostawali wzorem dobrego gustu.

— Pańska młoda towarzyszka jest urocza — wyszeptła lady Elizabeth. — I przemiała!

— To bardzo niezależna osobka.

— A inaczej podobałaby się panu? — Uśmiechnęła się do mnie.

— Oczywiście, że nie! Ale nie miałbym w sobie irlandzkiej krwi, gdybym się nie skarżył z tego powodu.

— Anglo-irlandzcy samcy cierpią na tę samą dolegliwość — roześmiała się. — W gruncie rzeczy nawet mi się to w nich podoba.

Lady Elizabeth i jej mąż mieli takie samo prawo uważać się za Irlandczyków jak i ja, a może nawet większe. Choć posiadali też dom w Londynie, byli obywatelami republiki i wiele czasu poświęcali sprawom publicznym.

A jednak gdzieś głęboko snuła mi się po głowie myśl, że gdy ich przodkowie wznosili Trinity College, budynek służb celnych, Czterech Trybunałów, siedzibę parlamentu (w której mieści się obecnie Bank Irlandii) i rezydencje w stylu georgiańskim, moi ledwo wegetowali w krytych słomą chatach zachodniej Irlandii.

Gdy zasiedliśmy do kolacji, minister znowu zwrócił się do Nuali.

— Nie urodziła się pani w Dublinie, prawda, panno Grail? Słyszę w pani głosie zachodni zaśpiew.

— To melodia pańskiej okolicy, panie ministrze.

— Clifden? — Zmarszczył brwi, usiłując ją zlokalizować.

— Carraroe.

— Mówi pani po irlandzku? — wyraźnie był zdumiony.

Powiedziała parę słów w tym języku. Brzmiały tak, jakby śpiewała piosenkę albo recytowała wiersz.

Keane odpowiedział również po irlandzku.

— Chodzący eksponat muzealny, panie ministrze. — W jej głosie nie było goryczy, którą posłyszałem, gdy użyła tego samego zwrotu w rozmowie ze mną. Jednakże ton lekkiej ironii sprawiał teraz silniejsze wrażenie.

— Na pewno wart zachowania. — John McGlynn spróbował włączyć się do rozmowy.

— Ach, to trudne zadanie. — W oczach Nuali pojawił się chochlik. — Jesteśmy zupełnie innym ludem, przeżytkiem czasów prehistorycznych, ostatnim plemieniem z epoki kamiennej, jak nazwał nas kiedyś nadworny poeta angielski. Z wyglądu przypominamy niektórych Irlandczyków i mówimy angielszczyzna nieco podobną do waszej. Wielu z nas nosi nawet nazwiska brzmiące tak samo jak i wasze. Ale jesteśmy inni — niemal przybysze z obcej planety.

Figlarny duszek przejął gambit, który zastosowałem wobec niej u O’Neilla, i wykorzystał do własnych celów — rzucając mi tylko krótkie spojrzenie, na dodatek złośliwe.

— Tym ważniejszy powód, by zachować tę rdzenną irlandzką kulturę, moja droga.

— Więcej jest nas w Dublinie, panie ministrze, niż w Gaeltacht. A nasze skupisko w Bostonie Uczy chyba więcej osób aniżeli Carraroe.

— Skutecznie staramy się zmniejszać bezrobocie. — Minister zmarszczył brwi, niezadowolony z tej zręcznej aluzji do społecznych i ekonomicznych problemów Irlandii. — Mam nadzieję, że nie zamierza pani dołączyć do tych w Bostonie.

— Och, w Stanach by mnie nie chcieli — wzruszyła olśniewającymi ramionami i roześmiała się. — Ten tu — skinęła w moją stronę, przyznając, że istnieje — powiada, że w Ameryce mają już dość łapserdaków z Irlandii.

Nigdy tego nie mówiłem, absolutnie nigdy. To dziewczysko jest groźne. Teraz rozumiem, co czuł doktor Frankenstein.

I Henry Higgins.

Rozmowa zesłała na irlandzką gospodarkę. Widziałem, że Nuala w skupieniu przygląda się najrozmaitszym nożom i widelcom otaczają-

cym jej talerz. Uważała, by wziąć ze sztućców tylko ten, który akurat trzyma w palcach lady Elizabeth. Ja również wpatrywałem się w lady Elizabeth, choć moja uwaga (niech mi Bóg wybaczy) skupiała się na jej dekolcie, rzecz jasna tylko dlatego (jak sobie wmawiałem), by oderwać się od Nuali.

Martin Longwood-Jones był szczęściarzem. Sądząc z szybkich spojrzeń, jakie wymieniali, doskonale o tym wiedział.

Miałem silne przeświadczenie, że jej lordowska mość z przyjemnością przyjęła mój pełen zainteresowania wzrok. W każdym razie często się do mnie odwracała, pozwalając w całej pełni podziwiać swe czary, a mogłem bez przeszkód rozkoszować się nimi dzięki mojemu wzrostowi.

Wychyliłem dwa kieliszki wina, toteż byłem w pełni predysponowany do napawania się wdziękami milady.

Nuala nie wiedziała jeszcze, że mam słabą głowę, toteż zakładałem, że nie kontrolowała ilości wypitych przeze mnie trunków.

Jak się później miało okazać, to założenie było błędne.

— Co pani sądzi o opowiadaniach pana Coyne'a, panno McGrail?

— Martin Longwood-Jones wciągnął ją z powrotem do rozmowy

— Zgadza się pani z moją opinią, że w jego obrazowaniu występuję wiele elementów zachodnioirlandzkiego folkloru?

— Ach, milordzie, czy nasz bohater nie jest jeszcze zbyt młody i niedoświadczony, by osiągnąć pisarską dojrzałość? I może trochę niedbały? — W jej oczach igrał diablak. — Myślę, że powinniśmy wstrzymać się z oceną, póki nie stworzy obszerniejszego dzieła.

— Pracuję nad trzecim opowiadaniem — powiedziałem wzburzony, oblewając się rumieńcem.

Lady Elizabeth śmiała się, traktując mnie z pobłażaniem jak miłego chłopczyka.

— Ależ, moja droga, chyba możesz wygłosić wstępną ocenę tych dwóch opowiadań, które już zostały opublikowane.

— Cóż — Nuala zaczęła powoli, jakby głęboko zastanawiając się nad odpowiedzią. — Czyż ten kochany chłopak nie zapowiada się wspaniale jako pisarz? Opowiadanie o wyświęceniu jest cudowne. Frank O'Connor i Sean O'Taolain byliby z niego dumni. Opowiadanie o samobójstwie, smutne i przygnębiające, z ducha jest bardziej słowiańskie aniżeli irlandzkie, chyba jednak zgodzi się pan ze mną, milordzie, że jest doskonale napisane.

No cóż, ta kobieta jest naciągaczką, diablakiem, a do tego po części kostuchą, ale w sprawie moich opowiadań ma rację. — Czy mogę się na nią długo gniewać?

— Całkowicie się zgadzam, milordzie. — John McGlynn wtrącił się do rozmowy. — Oba opowiadania w sposób bardzo zręczny łączą irlandzkie i amerykańskie wątki kulturowe. Nasz młody przyjaciel nie jest pierwszym irlandzko-amerykańskim pisarzem, który podjął się próby ich stopienia, ale uczynił to w sposób dość zmyślny.

— Opowiedz jeszcze — wymamrotałem pod nosem.

Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Wielka księżna Fionnuala, z kieliszkiem białego wina w ręce, nadal ściągała ku sobie oczy wszystkich.

— Trzecie opowiadanie — zrobiła nieznaczny gest elegancką dłonią — jest najbardziej interesujące. Chyba wszyscy przyznamy, że dublińskie kobiety to wspaniały materiał dla literatury. Nasz autor nie jest pierwszym pisarzem, który podejmuje temat zafascynowania wyrostków biustami mieszkańek Dublina. Ale w tym opowiadaniu narrator podśmiewa się z siebie tak dobrodusznie, że postrzegamy go jako postać komiczną, która zmagając się z sobą, zmierza ku dojrzałości. Na pewno mu się to powiedzie. Któregoś dnia...

Żadne trzecie opowiadanie nie istniało. Nie opublikowałem go ani nie napisałem. Jeszcze nie. Ogólny śmiech.

— Jeśli nie masz nic przeciwko temu, Martinie, chciałabym już wrócić do domu.

— Z wielką chęcią przeczytam to opowiadanie. Kiedy się ukaze?

— Lady Elizabeth uśmiechnęła się do mnie łaskawie.

— Mówi jak męski szowinista — warknęła żona ministra.

— Ależ nie, Fionno — poprawiła ją Nuala. — Ten nieszczęśnik, mówię o narratorsze, bo o autorze im mniej, tym lepiej, otóż ów nieszczęśnik w najmniejszym stopniu nie jest szowinistą. Dlatego to opowiadanie jest tak wzruszające. I tak pełne nadziei.

— Jeszcze go nie skończyłem.

Nie miałem zamiaru zepsuć jej występu oznajmiając, że moja towarzyszka snuje tylko przypuszczenia i że nie przeczytała ani jednego słowa z tego opowiadania.

Te przypuszczenia jednak są bardzo trafne.

— A więc, Dermocie — powiedział Brendan Keane, przejmując ster rozmowy, gdy zbierano talerze po rybie, przyszła bowiem kolej na danie mięsne (i na claret w miejsce białego wina) — mieszkasz w Dublinie, by wchłonąć nieco kultury przodków?

— W przeciwieństwie do mego narratorsa, panie ministrze — próbowałem odzyskać przynajmniej część mojej godności — nie

przyjechałem do Dublina po to, by pożerać wzrokiem tutejsze kobiety...

— Nie tylko po to — przyświadczyła Nuala świątobliwym tonem.

Głośniejszy śmiech. Jej mąż do końca swych dni będzie przedmiotem ogólnej wesołości, gdy tylko zaryzykuje włączenie się do towarzyskiej rozmowy z połowicą u boku.

— ...choć, jak właśnie miałem powiedzieć, jest to bardzo przyjemna rozrywka. Ale trudno dokładnie określić, co robię. Wędruję, słucham, myślę, wchłaniam, kolekcjonuję wrażenia i obrazy, widoki i dźwięki, światła i cienie. To jeden z najbardziej fascynujących okresów w całej historii irlandzkiej kultury. Dawne zwyczaje umierają, lecz to, co się rodzi, zważywszy, że trzecia część młodzieży uzyskuje jakiś rodzaj wyższego wykształcenia, wcale nie jest mniej zgodne z duchem Irlandii. Tacy twórcy, jak Friel, Sheridan, Roddy Doyle, Heaney, Jordan, Bono, nie wspominając o młodych poetach, pisarzach i dramaturgach, których są całe tłumy, aż niemal trudno przejść ulicą...

Bredziłem oczywiście, lecz na Nuali najwyraźniej robiło to wrażenie.

— Bardzo interesujące — wymamrotał Martin. — Wielu pisarzy pracuje w ten sposób.

— Nie działałem z jakimś określonym zamiarem — wymyślałem swe koncepcje na poczekaniu. — Nie wiadomo, kiedy się zaczyna ani kiedy kończy. No, ale kiedyś jednak się kończy. Z nadzieją, że zaczniesz się pisać.

— Twoi rodzice tu się urodzili? — zapytał niedbale Brendan Keane. Odrobinę zbyt niedbale jak na mój gust.

A więc wreszcie przyszedł czas, by poruszyć ten temat.

— Nie. Coynowie, moi przodkowie ze strony ojca, z Mayo, niech ich Bóg ma w swojej opiece, przybyli podczas pierwszej fali głodu, w 1875 roku. Rodzice mojej matki, moi dziadkowie, wyjechali w 1923.

— Pod koniec wojny domowej — rozumie się naszej, nie waszej?

— Nie jestem pewien, panie ministrze, czy istnieje związek między ich wyjazdem a końcem Wypadków. Mój dziadek, William Ready, był członkiem Brygady Ochotników z Galway, ale nie wiem nic więcej na ten temat.

Zapadła na chwilę cisza. Wszyscy uważnie słuchali.

— Przed podpisaniem traktatu? — Keane bacznie mi się przypatrywał.

— Po. Niedługo, bo potem ożenił się z moją babcią i oboje wyemigrowali do Ameryki, by nigdy już tu nie wrócić.

— Naprawdę? — zapytał ze zdziwieniem lord Longwood.

— Walczył razem z człowiekiem o nazwisku Daniel Kelly czy O'Kelly.

— Nie słyszałem o nim.

— Jego posąg stoi na skrzyżowaniu w Oughterard, w pańskiej okolicy, panie ministrze.

Zmarszczył brwi, jakby usiłując sobie przypomnieć.

— A tak, miał coś wspólnego z walką z Brunatnymi, prawda? To było tak strasznie dawno. Na pewno większość młodych ludzi z Oughterard zupełnie się w tym nie orientuje, mam rację, panno Grail?

— Nigdy o tym nie słyszałam, panie ministrze. Młodzi ludzie mają inne sprawy na głowie. Patriotyczne gry i zabawy niewiele dla nas znaczą. Choć może powinny.

— Chyba nie — odparł cicho. — Walczyli dawno temu po to, żebyśmy my nie musieli się w to bawić.

Poczułem do niego sympatię. Nieco zbyt ugrzeczniony, wygląda! przy tym na mądrą, lecz był spostrzegawczy, a może i rozumny.

— Babcia powiedziała mi, że gdyby wrócili, dostaliby kulę w łeb.

Brendan Keane z namysłem obrócił w palcach widelec — kompetentny polityk szukający kompetentnej politycznej odpowiedzi.

— Z czasem wszystkich objęła amnestia. Przy całym szacunku dla twoich dziadków, Dermocie, zawsze miałem wrażenie, że emigranci z Irlandii w owych latach chętnie dawali do zrozumienia, że wyznaczono cenę na ich głowę. Brzmiało to dość romantycznie.

— Dziadek nigdy o tym nie mówił, panie ministrze. A Ma, moja babcia, tylko raz coś na ten temat wspomniała.

Minister ciągle bawił się widelcem.

— Aż dziw, że choć obecna struktura polityczna Irlandii w znacznym stopniu ukształtowała się w tamtych latach, to jednak ówczesne konflikty są tak odległe, że już zostały zapomniane. Jestem, jak państwu wiadomo, członkiem partii przeciwnej traktatowi. Wynikałoby z tego, że opozycja — to zdrajcy Republiki Irlandzkiej. A jednak zapewniam państwa, że co najmniej od 1930 roku nikt już nie myśli w tych kategoriach. Nie chcę przez to powiedzieć, że przebaczyliśmy i zapomnieli. Po prostu zachowywali się tak, jak się zachowywaliśmy... Jestem pewien, że gdyby pański dziadek wrócił, byłby zupełnie bezpieczny.

— Dziwny naród, pełen sprzeczności — zauważyła Nuala. — Pamiętliwy i niczego niepomniący.

— Właśnie, moja droga. Nie zapominamy do reszty, ale nie chcemy pamiętać zbyt wiele.

— Jako członek partii wywodzącej się z sił przeciwnych Wolnemu Państwu, ochotników, po których stronie walczył mój dziadek, jak oceniłby pan dzisiaj zdrajcę Michaela Collinsa?

Znów zapadła śmiertelna cisza.

— Nikt chyba nie zaprzeczy — nadal mówił niedbałym tonem — że był to geniusz pierwszej wielkości. Jego śmierć stanowiła wielką stratę dla Irlandii. Gdyby żył, zostałby Taoiseach, a prawdopodobnie również Uachtairan — to znaczy prezydentem — i postacią liczącą się w świecie. Był jedynym człowiekiem po tamtej stronie, który odznaczał się determinacją i przenikliwością polityczną; wykazywał ją też De Valera, a ponadto miał do tego znacznie większą smykałkę. Nasza historia wyglądałaby zupełnie inaczej, o wiele bardziej interesująco.

— Jednak bezsprzecznie wykazywał instynkt agresji — zasugerował lord Longwood-Jones.

— Kit Kiernan bardzo się tym trapiła — wtrąciła Nuala. — Jego ukochana. Biedna dziewczyna.

A więc ktoś odrabiał lekcje, oczywiście nie mówiąc mi ani słowa.

— Bardzo się nim interesujesz, Dermocie — powiedziała lady Liz (okazało się, że tak właśnie ją nazywano).

— Nieszczęśliwie, Liz. Ale przybyszowi z zewnątrz, który chce zrozumieć Irlandię, wydaje się wybitną postacią, gigantem, nawet jeśli obecny rząd nie uczcił setnej rocznicy jego urodzin w 1991 roku.

Minister roześmiał się.

— Nie pominęliśmy tego wydarzenia całkowitym milczeniem. Podkreślaliśmy wielką rolę, jaką odegrał w walce z Brunatnymi, a strona przeciwna sławiła mądrość, jaką wykazał przynosząc Irlandii pokój.

Kelner ponownie napełnił mi kieliszek claretem, najlepszym, jakiego kosztowałem w życiu. Muszę się pilnować. Ostatnim razem, gdy nieco sobie podochociłem, zachowałem się bardzo niewłaściwie, a dziś wieczór znajduję się w towarzystwie kobiety o wiele ponętniejszej — nieśmiałej dziewczyny o niewyparzonym języku.

— Masz zamiar coś napisać o tych czasach, Dermocie? — zapytał Martin.

— Chyba nie. Obrazów z teraźniejszości starczy mi na długie lata.

— W tempie jedno opowiadanie co półtora roku — wtrąciła Nuala. Jeszcze głośniejszy ogólny śmiech.

Światło świec jaśniało na jej odsłoniętych ramionach i głębokim dekolcie. Iskierki w oczach tańczyły szalony ludowy taniec.

Nieodparta.

Złapałaś mnie w swoje sidła, młoda kobieto. Przynajmniej na tę noc w tej jadalni ze snu. W zimnym świetle jutrzejszego ranka, ciemnego pewnie i zasnutego deszczem, może zmienię zdanie. Ale teraz jestem twój, jeśli mnie zechcesz.

Zgrywasz się, to prawda, lecz nadal widzimy prawdziwą Nuale, a przynajmniej jeden aspekt jej bogatej osobowości. Są też inne wersje prawdziwej Nuali. Też mi się podobają.

Byłaby z ciebie niezwykła żona, trudna w pożyciu, swarliwa, namiętna i wrażliwa.

Hołubiłabyś nieśmiałe dziecko, które kryje się we mnie, i pozwoliłaby mi osłaniać nieśmiałe dziecko utajone w tobie.

Byłbym durniem, gdybym pozwolił ci odejść.

Ale zarazem panicznie się ciebie boję. I w dodatku jesteś za młoda, by wiązać się z kimś na stałe. A ja nie jestem jeszcze gotów do małżeństwa.

Zobaczyła, że się na nią gapię, i przygryzła wargi, by powstrzymać uśmiech. Wiedziała, że się jej udało schwycić mnie w pajęczynę swych czarów, i bawiło ją moje uwielbienie. Zerknęła na lady Elizabeth, siedzącą po mojej prawej ręce, i z lekka przewróciła oczami, by dać mi znać, że zauważyła, jak zafascynowany jestem ramionami i biustem tej kobiety. Nie będzie o taki drobiazg robić piekła, ale też nie spuści na to zasłony milczenia.

Czy całe towarzystwo uważa, że niebawem się zaręczymy? Albo że ze sobą żyjemy?

Najprawdopodobniej.

Niech Bóg ma w opiece jej mężczyznę, który będąc pisarzem, nie pisałby. Człowiek, który ją poślubi, nie będzie miał chwili spokoju.

Nie będzie też ani przez chwilę się nudził.

Tak jak dziadek Bill.

Choć tak bardzo kochałem Ma, często sobie myślałem, że nie chciałbym, żeby taka kobieta kierowała moim życiem.

Na twarzy ministra nadal malował się wyraz zamyślenia.

— Cały dowcip polega chyba na tym, by uczyć się z przeszłości, zachłusnąć się nawet jej romantycznością i dramatyzmem, nie wikłając się jednocześnie w dawne problemy i hasła.

— Jak to robią nasi chłopcy — powiedziałem, używając określenia, które często odnosi się do bojowników IRA.

— Właśnie. W pewnym sensie uważają się za potomków przeciwników traktatu. W odróżnieniu od Michaela Collinsa i Deva po roku 1923 — nie wiedzą, kiedy przestać.

— Jak dowódca mojego dziadka, Daniel O’Kelly?

— Zna pan historię lepiej niż ja.

Wszyscy się we mnie wpatrywali, spodziewając się, że jankes przedstawi swój stosunek do aktów przemocy w sześciu hrabstwach. Ile to już razy byłem do tego zmuszany?

— Niezależnie od poglądów mojego dziadka, a nigdy o nich nie mówił — co jest trochę dziwne, nie sądzą państwo? — nie czuję sympatii dla dzisiejszej IRA. Nie wierzę w skuteczność przemocy i mordowania niewinnych ludzi. Zgadzam się jednak z panem Cruisem O’Brienem, że wykorzystują symbole z 1916 roku, że to oni, a nie ktokolwiek z nas, siedzących przy tym stole, są prawowitymi następcami Michaela Collinsa z czasów walk z Brunatnymi oraz Deva z lat wojny domowej. Co więcej, wydaje mi się, że to właśnie akty zabójstw, których dokonywali ci chłopcy przez ostatnie dwadzieścia lat, zmusiły Anglię do podjęcia obecnej anglo-irlandzkiej inicjatywy pokojowej.

— To tragiczne, ale wydaje mi się, że ma pan rację. Jak pan myśli, milordzie?

— Istotnie. Morderstwa nie ustaną, dopóki unioniści z Ulsteru nie przyznają politycznego równouprawnienia katolikom na Północy.

— To nie jest nasza wojna — powiedziała z uporem Fionna Keane.

Nie podniósł się ani jeden głos sprzeciwu.

— Czy to nie paradoks, Dermocie — zauważyła moja towarzyszka — że Północ stanowi kopalnię pomysłów dla pisarza?

— O, moja droga, ten temat można podjąć tylko wówczas, gdy autor czuje się w nim zupełnie swobodnie. Nie wiem, czy kiedykolwiek zrozumie Irlandię na tyle, by pisać o czymś więcej niż o pięknym mieście Dublinie, słynnym z dziewcząt prześlicznych!

Ogólny śmiech, tym razem jako wyraz aplauzu dla mnie.

Biskop w winie z kremem, który podano na deser, przywodził do grzechu śmiertelnego. Jutro jankes będzie musiał wielokrotnie przepłynąć basen.

— Sam będziesz musiał nałożyć sobie podwójną porcję kremu — ostrzegła Nuala.

Jej uwaga, która wywołała ogólny śmiech, jak wszystko co teraz mówiła, oszczędziła mi przynajmniej zażenowania, które niechybnie bym odczuł, prosząc o następną podwójną porcję kremu.

Ku memu zdziwieniu Longwoodowie-Jonesowie nie hołdowali dawnemu arystokratycznemu obyczajowi, wedle którego kobiety i mężczyźni po posiłku udają się do oddzielnych pomieszczeń. Przeszliśmy z powrotem do salonu, gdzie goście, objedzeni po dziurki w nosie (na pewno dotyczyło to mnie), mieli raczyć się portem (żadnych cygar ani w ogóle palenia) oraz śpiewem panny McGrail.

— Jednakże, Dermocie — odezwał się do mnie jego lordowska mość, gdy wstawaliśmy od stołu — ciekawie by było zagłębić się w dzieje twoich dziadków. Mógłbyś podjąć próbę wyjaśnienia paradoksalnych zachowań tych spokojnych ludzi, którzy uciekają się do przemocy, a mając tak wiele wspomnień, tak szybko zapominają.

— W rzeczy samej, Martinie, w rzeczy samej.

Nic wiążącego, w tę ani we w tę. Niech główkują, co mam zamiar zrobić.

Wniesiono celtycką harfę. Siedząc na brzegu antycznego szeszlona, był niewątpliwie ubezpieczony na jakieś siedemdziesiąt, osiemdziesiąt tysięcy funtów, Nuala nastroiła instrument, spojrzała na mnie triumfująco i zaczęła:

*W pięknym mieście Dublinie,
słynnym z dziewcząt prześlicznych,
po raz pierwszy ujrzałem
słodką Molly Malone.
Przez dzień cały krążyła
po ulicach, wołając:
— Matże, matże na sprzedaż!
Świeże matże kupujcie!...
Każdy żywy, o tak!*

*Nic dziwnego, że Molly
handlowała małżami —
wszak robili to też jej rodzice.
Przez dzień cały krążyli po
ulicach, wołając:
— Matże, matże na sprzedaż!
Świeże matże kupujcie!...
Każdy żywy, o tak!*

*Wreszcie zmarła na febrę;
nikt nie umiał jej pomóc*

*/ na zawsze odeszła słodka Molly Malone.
Lecz jej duch ciągle krąży
po ulicach, wołając:
— Matże, matże na sprzedaż!
Świeże matże kupujcie!...
Każdy żywy, o tak!**

Często słyszałem tę piosenkę i chętnie ją śpiewałem. Nigdy nie znaczyła dla mnie tyle co w tej chwili. Nie chciałem słodkiej Molly Malone.

Ale pragnąłem słodkiej, a być może gorzkokwaśnej, Nuali McGrail.

16

— Nie chcę o tym rozmawiać. Daj mi spokój.

Nuala. zwinęta w kłębek, przywarła do ściany rollsa. Głowę miała odwróconą ode mnie.

— Byłaś cudowna. Uwielbiają cię. — Ostrożnie wyciągnąłem rękę, chcąc dotknąć jej ramienia. Odskoczyła, jakbym miał naelektryzowane palce.

— Wcale nie. Oni mnie przejrzeni. Zorientowali się, że ich nabieram.

— Nie nabierałaś ich, Nualo. Byłaś po prostu sobą, jedną z wielu odmian Nuali.

— Chciałam krzyknąć: „Mam was gdzieś, wszystkich pierdzielonych snobów!”

— Czy odezwałabyś się tak przy swojej matce?

— Święta Brygido, Patryku i Columcille, nigdy w życiu!

— A ona jest snobką!

— Powiedziałam kiedyś coś podobnego?

— Jesteś nielogiczna, Nualo.

— Pierdzielię logikę!

To załatwiało sprawę: nie chciała, bym ją pocieszał.

W takim razie najlepiej będzie, jak się zamknę. Była to reakcja na napięcie, jakie wiązało się z odgrywaniem roli wielkiej księżnej Nuali, która niewątpliwie stanowiła jedną z odmian jej osobowości, jednakże niezbyt często demonstrowaną.

* Przeł. Tomasz Wyżyński

— A ty jesteś kompletnie zalany!
— Nie jestem zalany! — zaprotestowałem. — Może trochę wypilem, ale się nie zalałem.

— Gdybym cię nie podtrzymała na progu — wymamrotała — leżałbyś jak długi.

— Nie wywaliłbym się!

— Ależ owszem!

Usiłowała sprowokować mnie do awantury. Cóż, powinna od razu nauczyć się, że taka taktyka w moim wypadku nie działa. Nawet wtedy gdy trochę za dużo wypiję.

Zwinęła się jeszcze ciaśniej. Nie widzę śladu łez, więc pewnie nie będzie płakać.

— Gdzie mieszkasz, Nualo? Arthur zawiezie cię do domu.

— Nie powiem ci! Podjadę od twojego hotelu.

— Mowy nie ma! — Chwyliłem ją i obróciłem ku sobie, tak bym mógł widzieć jej twarz w słabym świetle samochodowej lampki. — A teraz posłuchaj mnie, młoda kobieto! Możesz nienawidzić samej siebie i rozkoszować się tym uczuciem, ile tylko dusza zapagnie — nie będę z tobą na ten temat dyskutował. Ale po randce ze mną nie pozwolę ci samej wracać do domu. — Potrząsnąłem nią porządnie parę razy.

— Rozumiesz, co powiedziałem?

Nie spojrzała na mnie, ale skinęła głową.

— Arthur może mnie podwieźć, gdy odstawi ciebie.

Znowu nią potrząsnąłem.

— Nie z Arthurem się umówiłaś, tylko ze mną.

— Czy nie wypadłam tak strasznie, że przyniosłam ci wstyd?

— Nie wstydzę się ciebie, Nualo Anne McGrail, nawet jeśli zachowujesz się jak pierdzielona dupa wołowa.

— No dobrze, skoro nalegasz — zachichotała. — Chapel Lane, w bok od Irish Road.

— Gdzie mieszkają wszyscy yuppies?

— Pierdzieleni yuppies mieszkają po zachodniej stronie Irish town, wzdłuż Dodder River. My, biedacy, obsiedliśmy je od wschodu. — Po czym odwróciła się i znowu zaczęła smęcić.

Podąłem Arthurowi adres przez tubę.

— Dziewięć kieliszków — wymamrotała. — Dziewięć i pół, wliczając pół kieliszka koniaku na zakończenie. Gdybyś wypił cały kieliszek, czy nie zleciałbyś ze schodów? A ja nie jestem taka silna, by cię podtrzymać. Nie przyniósłbyś mi wstydu?

— A więc liczyłaś, tak?

— Chciałam się przekonać, czy nie jesteś alkoholikiem.

— Nie jestem alkoholikiem! — Zaczynałem się wściekać. — Prawie w ogóle nie piję. Dziś wieczór wina były tak dobre, a towarzystwo tak interesujące, że wypilem więcej niż zwykle. I jak sama przyznajesz, przestałem w porę.

— I przez cały czas wpatrywałaś się w babskie cycki! Mało nie spaliłam się ze wstydu!

— Czy nie po to są, żeby się na nie gapić? A po co się robi suknie bez ramiączek?

— Ale ty już przesadziłeś. — Pociągnęła nosem. — Wyglądałeś, jakbyś prawie chciał je żuć.

— Dlaczego prawie? Chciałem, jak najbardziej. I twoje też, jeśli o to chodzi. Ale utrzymałem się w granicach dobrego smaku.

— Georgiańskiego dobrego smaku. — Nie popuszczą ani na cal.

— Byli dużo większymi zbereźnikami niż my. Gdybyśmy znajdowali się w tej chwili w epoce Jerzych, a ja wypiłbym tyle, ile powiadasz, że wypilem, nie byłabyś ze mną bezpieczna w tej taksówce. Zdarłbym z ciebie suknię, zdarłbym również tę nieprzyzwoitą bieliznę która nawiasem mówiąc, chyba dobrze się spisała.

— Zabradziażona pijaczyna — wymamrotała. — A poza tym bałbyś się spróbować.

To jest wyzwanie. I niezaprzeczalna prawda.

— Prawdopodobnie masz rację, Nualo. Poza tym za bardzo cię szanuję, żeby próbować czegoś takiego.

— Gówno prawda!

Poddałem się, choć ta kłótnia nie wyprowadziła mnie z równowagi, a poza tym wygrałem ją moim zdaniem. Raptem zmieniła front.

— Przepraszam, Dermocie Michaelu. — Odwróciła się i oparła głowę na mojej piersi. — Jestem skończoną wiedźmą i cudownie się bawiłam. Dziękuję, że mnie zaprosiłeś.

— Jesteśmy na miejscu, proszę pana — powiedział Arthur z powątpiewaniem, zanim miałem czas zareagować na zmianę w niej.

— To nie najlepsza dzielnica.

— Panna McGrail jest studentką, Arthurze.

— Tak, proszę pana.

— Odprowadzę cię do drzwi. — Ciasno otoczyłem ją ramieniem.

— Nie rób sceny, nam obu z Arthurem byłoby głupio.

— Jeśli wydaje ci się, że wejdiesz do mieszkania i mnie przelecisz — odepchnęła mnie ze śmiechem — to się grubo mylisz. Nie mieszkają ze mną jeszcze dwie koleżanki?

— I obie czekają na opowieść o twoim triumfie, który zrelacjonujesz ze wszystkimi szczegółami.

— Hi, hi... — zachichotała głupawo, może ze zmęczenia.

O tak, Dermot Coyne wziął górę w sprzeczce i dużo z tego ma.

— Dziękuję ci bardzo, Arthurze — powiedziała do szofera. — To piękny samochód, a ty świetnie prowadzisz.

— Oby zawsze miała pani do dyspozycji piękne auto.

Bez przeszkód pozwoliła, bym odprowadził ją do drzwi odrapanego dwupiętrowego domu, w jakim w czasach wiktoriańskich gnieździł się robotnicy.

— Gdybym chciał cię wziąć siłą, kobieto, i cztery dziewczyny bymnie nie powstrzymały.

Zaśmiała mi się w nos.

— Zabiłybyśmy cię tak czy inaczej.

Po czym przy drzwiach uściśnęła mnie i pocałowała.

— Ależ ze mnie pierdzielona dupa, Dermocie Michaelu Coyne — powiedziała. — Przepraszam. Czy nie bawiłam się świetnie? Dzięki.

Stałem tam jeszcze przez chwilę, miękkie dublińskie mgły omywały mi twarz, w powietrzu czuło się zapach morza. Nadal byłem oszołomiony. Ten wieczór przyniósł mi za wiele wrażeń, stanowczo za wiele.

Ilu subtelnych — i nie tak znowu subtelnych — sygnałów, którymi bombardowano moją głowę, nie zauważyłem zamroczony dobrym winem i czarem pięknych kobiet?

Cóż, jak powiedziałaaby Nuala, pierdziel to wszystko!

Najmilsza część wieczoru, powiedziałem sobie żarliwie, wracając do rollsa, to te ostatnie chwile.

To był cudowny pocałunek, wolny od wszelkiej żądz, pełen natomiast tkliwej czułości.

17

— Proszę z panną Angelą Smythe. Mówi Dermot Coyne.

— Niestety, panie Coyne — odezwał się głos o stuprocentowo brytyjskim brzmieniu — wśród personelu ambasady nie ma nikogo o takim nazwisku.

— Jest pani pewna?

— Absolutnie pewna, panie Coyne.

- Pracowała w Sekretariacie Anglo-Irlandzkim.
- W takim razie nie byłaby oddelegowana tutaj, panie Coyne.
- Mhm, dziękuję bardzo.
- Proszę uprzejmie.

Co jest grane?

Z wolna odłożyłem słuchawkę. Co jest grane?

Nie poprosiłem, by udowodniła swoją tożsamość. Co za głupi błąd. Sean Connery natychmiast by o tym pomyślał.

Nie, to też głupota. Na pewno miałyby odpowiednie dokumenty.

Sean Connery zadzwoniłby do szkolnego kolegi pracującego w ambasadzie, by sprawdzić, czy w skład jej personelu wchodzi dana osoba.

Zdałby sobie sprawę podczas lunchu, że członek Sekretariatu nie działałby z ramienia ambasady w Dublinie, lecz Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Londynie.

Kretyn do kwadratu.

Dlaczego więc powiedziała, że w każdej chwili mogę się z nią skontaktować przez ambasadę?

Zacząłem się nad tym zastanawiać.

Gdybym miał dość sprytu, by zadzwonić do ambasady tuż po jej telefonie, ten sam brytyjski głos prawdopodobnie powiedziałby: „Już łączę, panie Coyne”.

A może nie. Może Angela Smythe pracowała dla kogoś innego i miała pewność, że jestem naiwnym durniem, nie będę więc jej sprawdzał.

Dlaczego podkopała swoją pozycję mówiąc mi, że mogę się z nią skontaktować za pośrednictwem ambasady, zamiast oddzwonić do mnie, by potwierdzić naszą umowę?

Gdy usiłowałem wygłówkować odpowiedź, telefon znowu zadzwonił.

— Hej, głupku! Zaręczyłeś się już z tą piękną dziewczyną o niewyparzonej gębie?

— Kiedy jej powiedziałem, że mszę powinniśmy nazywać eucharystią, odrzekła, że sakramencka msza to sakramencka msza, i żebyś ci o tym powiedział!

— Ha! Zapowiada się świetnie. Ma by za nią przepadała.

Nie żeby aprobata Ma była ważniejsza niż mojej matki. Nie w tym rzecz. Mama na pewno przychylnie odniesie się do każdej „mifej dziewczyny”, zakładając, że jest to rzeczywiście miła dziewczyna, a tę rolę wcale nietrudno odegrać, chociaż Christinie nie całkiem się to udawało.

- Z dziobków by sobie jadły.
- Dzwonię, bo mam kolekcję książek i artykułów o Michaelu Collinsie, które chcę ci przesłać przez Federal Express.
- Wspaniale.
- Rozmawiałem też z moim kumplem
- I co?
- Oddzwon z publicznego telefonu.
- Zrobi się.

Było wtorkowe popołudnie, mroczne, ponure i wilgotne, a ja marzyłem o złotej jesieni na Środkowym Wschodzie Stanów i wrzawie na trybunach podczas meczów piłkarskich rozgrywanych w weekendy w Notre Dame. Ani Angela Smythe, ani Nuala Anne McGrail nie odzywały się. Nie szukałem też tej ostatniej u O’Neilla, Bewleya czy u św. Teresy.

Przez całą sobotę miałem potwornego kaca, niech mi to Bóg wybaczy. Gdy doszedłem do siebie na tyle, by zastanowić się nad przebiegiem poprzedniego wieczoru na Merrion Square, nie byłem pewien, czy jeszcze kiedykolwiek w życiu chcę spotkać tę kobietę, mimo jej czułego pocałunku. Choć była piękna i prowokująca, zbliżenie z nią wymagałoby ciężkiej pracy, i to pracy bez końca.

A więc w to wtorkowe popołudnie Angela Smythe — z „y” i „e” — wydawała się znacznie bezpieczniejszym rozwiązaniem. Wtedy właśnie byłem skłonny poszukiwać bezpiecznych rozwiązań.

Odkryłem wszakże, iż w sumie nie będzie jednak dla mnie cichą przystanią.

Pobiegłem do publicznego telefonu po przeciwnej stronie Pembroke Street i niezgrabnie wepchnąwszy szylinga, by uzyskać połączenie międzynarodowe, bardzo cierpliwie usiłowałem przekazać telefonistce numer mojej międzynarodowej karty kredytowej. Po wielu nieporozumieniach językowych, których oszczędza bezpośrednio połączenie, dodzwoniłem się wreszcie do probarszcza.

- George?
- Tak, głupku. Wiesz, to wszystko jest jakies dziwne.
- A o co konkretnie chodzi?
- Kumpel z rządu odniósł się do mnie podejrzliwie. Skąd wiem o sprawie Collinsa? Przypomniałem mu, że ma wobec mnie długi wdzięczności, że w ten sposób może spłacić jeden z nich i że nie jestem agentem obcego rządu. Domyślał się, że nie chcesz, bym mu opowiedział o tym, co cię interesuje?
- Za nic w świecie.

— W największym skrócie sprawa wygląda tak. Mają zapis w komputerze, że oficjalna wersja śmierci Collinsa jest niewiarygodna. Mają też na nią „niebieską chorągiewkę”, co w ich języku znaczy, że kwestia jest nadal aktualna, czyli delikatna, oraz „czarna chorągiewkę”, co oznacza, że mają jakąś informację na temat wywiadu innego państwa, o której jakoby nic im nie wiadomo. Mój kumpel powiada, że nie ma uprawnień do przeglądania tych materiałów. Moglibyśmy sięgnąć trochę wyżej...

— To sięgnij.

— Może i możemy, a może i nie. Czy ta dziewczyna jest w to wpłątana?

— Nie.

— Ma i Pa?

— Możliwe. Na razie nie mam pewności.

— W nic się nie mieszaj, głupku.

— Spokojna głowa. Nie martw się o mnie.

— Głupku, zrób coś dla mnie. Dzwoń codziennie, co?

Zawahałem się.

— Jasne... Jeszcze jedno. Agencja, w której pracuje twój kumpel, raczej nie namierza wywiadu irlandzkiego, co?

— Może tylko gdy chodzi o terrorystów. Nic więcej chyba ich nie interesuje.

— Jeśli więc mają jakieś informacje, to najprawdopodobniej dotyczą one operacji przeprowadzanych przez Brytyjczyków, co?

— Tak chyba można przypuszczać.

— Nie obchodzi mnie, czy wiedzą, czym się interesuję. A gdyby twój przyjaciel puścił informację, że cała sprawa może odżyć na nowo?

— W ogóle nie będzie chciał o tym słyszeć.

— Zrób, jak uważasz.

— Tylko bez szaleństw, głupku.

— Będzie dobrze, braciszku.

Pognałem do hotelu jak pies, który chwycił trop. Później, jeszcze zanim zszedłem do basenu, trochę się uspokoiłem. Wiedziałem teraz, że jestem przy zdrowych zmysłach. Dzieje się coś dziwnego, coś, co jacyś ludzie, prawdopodobnie Brytyjczycy, chcieliby utrzymać w sekrecie, bo jeszcze dziś ma to znaczenie. Nie interesuje mnie ów cenny sekret. Wszystko, czego pragnąłem — a co teraz stało się już dla mnie obsesją, jak nigdy dotąd — to dowiedzieć się czegoś więcej o losach Ma i Pa. Będę nadal się w nie zagłębiał, nie zdradzając się niczym wobec osób, które mogłyby śledzić moje poczynania. Mam widoki na powodzenie, bo sekret

z pewnością tkwi w dziennikach Ma — a zostawiła je dlatego, że chciała, bym doszedł prawdy.

Druga strona pomyśli, że zarzuciłem poszukiwania. Z czasem przestaną się mną interesować.

Gdy dowiem się prawdy, zobaczę, co dalej. Prawdopodobnie nic.

Jedyny problem polegał na tym, jak prowadzić moje prywatne śledztwo nie alarmując przeciwnika.

Podczas pływania znalazłem rozwiązanie również tej kwestii. Pogratulowałem sobie sprytu; mój pomysł był wprawdzie nieco ryzykowny, krył też w sobie niebezpieczeństwo innego rodzaju.

Sean Connery inaczej by się do tego zabrał. Rozwalałby głowy i uwodził kobiety.

Nie jestem Seanem Connerym. Chociaż w razie potrzeby umiem rozwalać łby — co już zademonstrowałem — są też inne, subtelniejsze sposoby odkrycia prawdy.

Wiedziałem coś, o czym oni nie wiedzieli. Powiedzmy, prawdopodobnie nie wiedzieli. Nie tylko oni znają sekrety.

Co będzie, jeśli poznam ich sekret i dojdę do wniosku, że tak naprawdę wcale nie chcę o tym wiedzieć?

Cóż, to jest ryzyko, które się podejmuje wyruszając na poszukiwanie prawdy.

Prześpię się z moim planem, który mi się kołacza w głowie już od tygodnia. Jutro zacznę działać.

Być może.

Gdy wróciłem do pokoju, wziąłem prysznic i zjadłem podwieczorek — kanapki i placuszki z bitą śmietaną i dżemem — znowu przebiegłem w myślach cały swój plan. Czy są jakieś niebezpieczne punkty?

Najmniejszych. Nikt się nie dowie, co znalazłem, póki nie poznam tajemnic drugiej strony.

Wówczas to założenie wydawało mi się rozsądne. Teraz, gdy patrzę z perspektywy, widzę, że było głupie i naiwne.

18

Następnego ranka zasnęłam. Gdy obudziło mnie słońce, które z rzadka pojawia się nad Dublinem, przypomniałem sobie, że coś miałem zrobić.

Co to takiego było?

Mój pomysł, mój projekt, mój mistrzowski plan wyskoczył z głębin podświadomości niczym rozdokazywane dziecko, swawolące w porannym słońcu.

Znowu zacząłem się nad nim zastanawiać. Czy w ogóle się do tego brać?

Zwlokłem się z łóżka. Ciągle mam jeszcze trochę czasu na podjęcie decyzji. Pospiesznie wziąłem prysznic, wbiłem się w dżinsy, nałożyłem bluzę i kurtkę z nadrukiem Marquette, wsunąłem do kieszeni paczuszkę przygotowaną poprzedniego wieczoru i pognałem przez Pembroke Road i Baggot Street na błonia, a stamtąd na Grafton Street i do Bewley's Cafe.

Nie muszę chyba dodawać, że szukałem Nuali Anne McGrail.

Znalazłem ją w salce w podziemiu, siedzącą w rogu nad filiżanką herbaty i jednym jedynym placuszkami. Nikogo prócz niej tam nie było, o tej porze bowiem panował zastój — wyszli już goście, którzy jadalni tu śniadanie, a na tłumy zwałające się na lunch było za wcześnie. Pochylona nad książką, Nuala pisała coś zawzięcie w notatniku.

Skoczyłem na górę, zamówiłem wielki talerz placuszków, grzanek, bekon, sok pomarańczowy i herbatę, upchnąłem to wszystko na jednej tacy i pomknąłem do jej stolika.

Miała na sobie zieloną koszulę ze złotym napisem Galway Races. Wyglądała na zmęczoną i strapioną, jakby przesiadła do późna kilka nocy z rzędu.

— Można się przysiąść? — zapytałem z najbardziej irlandzkim akcentem, na jaki było mnie stać.

— Gównu mnie to obchodzi. — Nie podniosła wzroku. Usiadłem naprzeciw niej i posunąłem szklanke w jej kierunku.

— Wypij sok, kobieto. Nie będę cię znowu przekonywał, że dobrze ci zrobi.

— Święta Brygido, Patryku i Columcille! — Zdumiona i uradowana podniosła wzrok. — To ty?

— Chyba tak i osobiście przyniosłem pożywne śniadanie. A teraz zamknij książkę, kobieto, jedz, no i porozmawiaj ze mną.

Posłusznie zamknęła książkę.

— To niesamowita niespodzianka, że chcesz mnie w ogóle widzieć, chociaż w piątkowy wieczór zachowałam się jak ostatnia zasrana wiedźma.

— Och, byłaś nie do wytrzymania i tu się zgadzamy, no nie?

Uśmiechnęła się blado.

— Choć nie wypiałam tyle co niektórzy, prawda?

— Nie wiem, nie liczyłem, tak jak niektórzy.

Dotknęła mojego ramienia.

— Dogadywałam ci jak najgorsza dziwka, fakt. Bardzo cię przepraszam. Jeśli jeszcze kiedyś pójdziemy razem gdzieś na imprezę z gorzałką, nie będę liczyć butelek.

— A papież przejdzie na mormonizm.

Oboje roześmieliśmy się.

Po czym spoważniała.

— Naprawdę jestem koszmarna, Dermocie Michaelu.

— Kobieto, ile razy mam ci powtarzać, że nie będę tolerował takiej nienawiści wobec samej siebie? Byłaś wyczerpana po wesoleym, ale niełatwym wieczorze. Dowiedziałaś się jednak, że możesz wejść do każdego salonu na świecie, zachowywać się swobodnie, rozmawiać z każdą grupą ludzi na świecie i oczarować ich. Taka świadomość może człowieka wytrącić z równowagi.

W milczeniu rozważała tę konkluzję. Znowu pomyślałem, że wygląda na strasznie zmęczoną. I zmartwioną. Czyżby zachorował jej ktoś z rodziny?

— Czy to prawda, Dermocie Michaelu? — spytała przerywanym głosem.

— Najprawdziwsza.

— Wiem, że potrafię się dostosować do każdego otoczenia. Całe życie szło mi to jak z płatka. Nie jestem tylko pewna, czy istnieje jakieś moje prawdziwe „ja”. Jestem jedną osobą w obecności mamy, inną przy współlokatorkach, jeszcze inną u O’Neilla. Na tym przyjęciu byłam postacią urojoną, postacią z moich marzeń, wielką księżną Nualą — ale czy ona nie sprawiała wrażenia potwora? Zmieniam maski, by dopasować się do ogółu, a nie mam żadnego rdzenia. Jestem za bardzo przebiegła.

Czyż ja także nie uważałem jej za takiego kameleona?

— Jesteś bardzo nieśmiałą istotką i ukrywasz się za wieloma maskami; niektóre zresztą są bardzo zabawne. — Leciutko, bardzo leciutko pocałowałem ją w policzek.

To podziałało. Odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się.

— Daj spokój!

— Jedz śniadanie, kobieto!

— A czy już nie zaczęłam? — Rozsmarowała grubą warstwę dżemu na rogaliku i łąpczywie go jadła.

— Napisałaś do lady Elizabeth?

— Masz mnie za przedzielną idyotkę? — Uśmiechnęła się, mając usta pełne jedzenia. — Uważasz, że matka nie nauczyła mnie żadnych manier, wcale a wcale? A ty napisałaś?

— Zrobiłem sobie notatkę, żeby nie zapomnieć. Mam ją na biurku.

— Idyjota!

— Następnego ranka posłałem jej róże, a ty myślisz, że matka nie nauczyła mnie żadnych manier!

Znowu się roześmieliśmy.

— Strasznie się z siebie naśmiewałam.

— A miałem coś przeciwko temu?

— Nie. — Jednym haustem wypita sok. Czyżby od piątkowego wieczoru nic nie miała w ustach?

— Pomyliłaś się w jednym punkcie. Opowiadanie o Dublinie nie mówi o dublińskich kobietach w ogóle, a o jednej w szczególności, i wcale tam nie chodzi o słodką Molly Malone.

— Myślisz, że nie wiedziałam? — prychnęła. — Ale ci cholerni zachodni Brytyjczycy mogli sobie pomyśleć, że śpię z tobą. Sam powiedz, czy mogłam na to pozwolić?

Nie wiem, co to miało do rzeczy, ale wolałem nie pytać.

— Broń Boże, zwłaszcza że nie spotkało mnie to szczęście... Lepiej się czujesz?

— Nic tak dobrze nie robi dziewczoi o niewyparzonym języku z hrabstwa Galway jak dwie szklanki soku pomarańczowego... A teraz opowiedz mi o tej dziewczynie, co się zabiła.

Czułem, jak krew odpływa mi z twarzy. Chciałem porozmawiać o Kel, ale jeszcze nie dzisiaj. Może w przyszłym tygodniu.

— Amerykanie powiedzieliby, że to szybki strzał, Nualo Anne.

— Chcę o niej posłuchać, Dermocie Michaelu. Bardzo ją kochałeś, prawda?

Zastanawiałem się chwilę.

— To dziwne, Nul, ale wcale nie jestem pewien. Bez wątplenia ogromnie kochałem Kel — Kelly Anne, dokładnie mówiąc. Znaliśmy się od zawsze. Byliśmy ze sobą bardzo blisko. Ale nie wiem, czy się w niej kochałem. Chyba nie. Łączyła nas przyjaźń mocniejsza niż miłość, a jednak... Trudno to opisać. Nie mogę powiedzieć, że nie brakowało w tym erotyzmu, bo czuliśmy do siebie wielką namiętność. Zdaje się, że nie wypada to bardzo składnie.

— Czy gdyby żyła — cudowne błękitne oczy Nuali pełne były współczucia — ożeniłbyś się z nią?

— Chyba nie. Gdy realnie na to patrzę, mam wrażenie, iż po roku czy dwóch w college'u doszlibyśmy do wniosku, że powinniśmy zostać wyłącznie dobrymi przyjaciółmi. Sęk w tym — czułem igielki w oczach — że nie dane nam było dojść do takiego wniosku. Nigdy nie doszło do takiej rozmowy, bo Kel nie żyła.

— Siebie o to obwiniasz? — Wypiła parę łyków herbaty, odstawiła filiżankę i ujęła moją rękę.

— Tak. Nie. Sam nie wiem. Czasami. Nie można oczekiwać od szczeniaka w moim wieku, by się połapał, co ona przeżywała. Zrozumiałem to po siedmiu latach.

Delikatnie głaskała moje palce. Jakim cudem ktoś tak młody może tak wiele zrozumieć?

— Nie uważałem jej za siostrę. Mam dwie i wiem, że to nie to samo. W gruncie rzeczy nie kochałem się w niej. Była moją najdroższą przyjaciółką. — Łzy płynęły mi teraz strumieniem. Nie mogłem ich pohamować. — Przyjaciółką, której twarzy szukałem wszędzie, gdzie mogłaby się pojawić. Nadal jej szukam... nawet na ulicach Dublina... I tak już będzie zawsze.

Przyłożyła dłoń do mojego policzka i uśmiechnęła się czule. Załamałem się i zacząłem szlochać. Popatrzyłem wokół. W pobliżu nie było nikogo, nikt więc się na mnie nie gapił. Mogłem napawać się współczuciem Nuali.

— Nigdy przedtem jej nie opłakiwałeś. — Poglądziła mnie po jasnych lokach. — Prawda, Dermocie Michaelu Coyne?

Złamany smutkiem, zdołałem tylko skinać głową.

— Mężczyznom strasznie trudno jest się smucić.

Pozwoliła mi wyplakać się w milczeniu.

Gdy doszedłem do siebie, z torby z książkami wyjęła paczuszkę chusteczek i podała mi ją.

— Nigdy nie zapomnisz Kel — powiedziała. — Nigdy. I nie powinienesz.

Powiedziała akurat tyle, ile trzeba.

Duch Kelly Anne Morrisey nie został wypędzony Nadal będzie napawał mnie smutkiem. Nigdy nie wyzbędę się smutku. Ale teraz jej duch staje się dobrotliwy. Zaczynam w końcu wierzyć, że George miał rację, twierdząc, że nic, co dobre, prawdziwe lub kochające nie umyka boskiej uwadze. Jakoś kiedyś, za Jego sprawą, Kel i ja znów się spotkamy

— Masz jej zdjęcie? — Gdy wycierałem łzy, te uważne błękitne oczy wnikały w moją duszę.

— Nie, właściwie nie. W hotelu mam jej fotografię z rozdania świadectw. Ale nigdy nie włożyłem jej do portfela.

— Jednak powinienes. A poza tym — chcę ją zobaczyć.

— Dobrze. I co sądzisz o tej historii, prawdziwej, nie o opowiadaniu?

Zawahała się.

— Biedactwo, tyle tylko mogę powiedzieć. Czy to wystarczy?

— Żadnych innych uwag?

— A kim ja jestem, żeby ją osądzać... Wypij teraz herbatę i zjedz placuszki, Dermocie Michaelu Coyne.

Sesja terapeutyczna dobiegła końca.

A co z moim planem rozwikłania tajemnicy śmierci Michaela Collinsa? Był to od początku do końca szalony pomysł. W porównaniu ze smutkiem, który wyraziłem w słowach oraz wrażliwością i współczuciem, z jakim się spotkałem, moje zagadki, intrygi i chytre pomysły wydawały się zupełnie błahe.

Gawędziliśmy, dojadając placuszki i dopijając herbatę. Któregoś dnia, już niebawem, zabiorę ją na prawdziwe śniadanie do hotelu Jury. Wyglądała na zatroskaną. Czy coś jeszcze zaprzęta jej myśli prócz mnie i mojego tłumionego smutku?

— Nie chcę, żebyś myślała, że zamieniamy się rolami, Nul, ale czy coś cię gnębi?

— Wszystko w najlepszym porządku, Dermocie. Po prostu bardzo dużo się uczę i jestem trochę zmęczona.

Nie patrzyła jednak na mnie.

— Co się stało?

— Nieważne.

— Pozwolisz, że sam to ocenię?

— Mogę ci powiedzieć, że pierdzielonadziajankes nie ma nic do tego.

— Ale nie powiedziałaś?

— Jeszcze nie.

— Więc?

Nalała herbaty dla nas obojga.

— Muszę wracać do domu. W przyszłym semestrze zapiszę się na UCG — University College Galway. Dla mojego rodzeństwa był dobry? A ja niby kim jestem?

— To dlaczego tu przyjechałaś?

— Czy rodzice nie byli ze mnie dumni, że zdobyłam stypendium? Nie puszyli się i nie nadymali, że ich latorośl może iść do Trinity?

— Dlaczego więc nie możesz?
 — Nie mam zamiaru ci mówić.
 — Ale powiesz.
 Urwała i łyknęła herbaty.
 — Lubisz earl greya, prawda?
 — Owszem. I nie zmieniam tematu.
 — Nie mam zamiaru ci powiedzieć, bo będziesz chciał mi pomóc, a ja nie mogę na to pozwolić.
 — Jesteś bez forsy.
 Lekko skinęła głową.
 — Zwolnili mnie z pracy przy sprzedaży swetrów w Brown Thomas. Sezon turystyczny się skończył; zresztą trzymali mnie tak długo, jak tylko się dało.
 — Przyjaciele nie mogą ci czegoś znaleźć?
 — Jestem za dumna, żeby prosić. W Dublinie nie ma pierdzionej roboty. Zaproponują mi pożyczkę. Eleganci. „Czy nie chciałybyś przyjechać do mnie, do South County Dublin na wakacje, Nualo? — Naśladowała typ gogusia z szykownej dzielnicy Dublin 4. — Nie przyjmę jałmużny od nikogo, słyszysz, Dermocie Michaelu Coyne?
 — Słyszę.
 — To i dobrze.
 Twarz miała zaciętą — czysto protestancka etyka, a może niezależność Gaeltach.
 Jak powiada mój brat George, nigdy nie walcz z Duchem Świętym.
 Sięgnąłem do kieszeni mojej szpanerskiej kurtki, wyjąłem małą kopertę, a z niej — pierwszy zeszyt pamiętników Ma.
 — Popatrz na to, Nul.
 Ostrożnie otworzyła pożółkły zeszytek.
 — To stare pismo, tak pisała moja babcia.
 — Możesz to odczytać?
 — Jasne. To twojej babci?
 — Tak.
 — Maj 1919. — Uważnie obejrzała dokument. — Ile miała wtedy lat?
 — Czternaście, piętnaście.
 — Była strasznie napalona na chłopaka. Liam Ready to twój dziadek?
 — Tak.
 — Ile miał wtedy lat?

— Siedemnaście.

— Boże przenajświętszy, on jest członkiem IRA! Ucieka przed Brytyjczykami! Ukrywa się w jej domu! Uwielbia go od lat! Teraz wydaje się jej, że chłopak zaczyna ją zauważać! Szaleje z radości, nieszczęśne stworzenie!

— A więc nie masz kłopotów z tłumaczeniem tego?

— Powiedziałam ci chyba, że jestem eksponatem muzealnym? Nie, to zwykły, stary nowogaelicki — choć pismo dość trudne do odczytania. Niektóre zwroty wyszły już z użycia, ale tak mówiła jeszcze moja babka.

— Dasz radę to przetłumaczyć od początku do końca, Nuli?

— Przetłumaczyć? Czemu nie? Zejdzie mi trochę czasu, ale to niewielki zeszytek, prawda?

— Jest ich około trzydziestu.

— Boże przenajświętszy, jej całe życie?

— Właśnie.

Nuala obejrzała postrzępiony notatnik.

— Muszę powiedzieć, że to interesująca dziewczyna... Całe życie?

— Ostatnie notatki robiła kilka tygodni przed śmiercią.

— Może warto je opublikować, bo już od pierwszej strony widać, że to fascynująca kobieta. Ale chyba potrzebujesz lepszej tłumaczki?

— W końcu może tak, ale zechcesz przynajmniej zacząć, by mi powiedzieć, czy w ogóle jest sens się tym zajmować.

— Powierzysz mi te notatki, żebyś je mogła zabrać do Galway?

— Skądże. Zatrudnię cię, żebyś je tłumaczyła tu na miejscu, w Dublinie... A nim zaczniesz pieklić się na temat dobroczynności, chcę ci zwrócić uwagę, że przyniosłem ten notatnik, zanim się dowiedziałem, że szukasz pracy. Ile godzin dziennie możesz na to poświęcić?

— Co najmniej trzy, czasami cztery. — Usiłowała wykombinować jakąś wymówkę, która pozwoliłaby jej odrzucić moją propozycję, ale nic nie przychodziło biedactwu do głowy.

— Umiesz posługiwać się edytorem tekstu?

— Masz mnie za kompletną idyotkę?

— Nie.

— Nie mam własnego komputera, używam szkolnego, ale mogę go wykorzystywać tylko do celów szkoleniowych.

— Możesz pracować na moim, w hotelu.

Ta propozycja wydawała się Nuali kusząca, och, jak kusząca. Man-na spadała z nieba. W oczach dziewczyny widać było na przemian wahanie i chęć skorzystania z okazji.

— Pomyśl, że jestem twoją dupą.
— Skądże znowu. Powiem kierownikowi hotelu, po co przychodzisz. Jako Irlandczyk, już on się postara, żeby ktoś z personelu miał na ciebie oko.

— Naprawdę?

— Naprawdę. To uczciwa propozycja, Nul. Czysty interes.

— To wiem.

Baczenie mi się przypatrywała, rozważając ewentualne korzyści i straty jak każda dobra księgowa.

— Po prostu mam dla ciebie pracować?

— Wyłącznie. Ile zarabiałas u Browna?

— Dwadzieścia funciaków tygodniowo.

Dwadzieścia pięć dolarów? A więc tyle wynosi różnica między głodowaniem a możliwością przeżycia dla młodej studentki w Dublinie?

— Popytam, ile płaci się początkującym tłumaczom — założę się, że co najmniej dwa razy tyle — i nie dam ani jednego pierdzielonego pensa więcej! Zrozumiano?

Nadal rozważała ryzyko i profity — sprytna, bardzo sprytna kobieta interesu. To ona powinna znaleźć się na miejscu dla maklerów Standard and Poors w Merc.

— W apartamencie będziemy wyłącznie pracować?

— Nualo! Chyba mnie nie znasz, skoro myślisz, że będę się tam do ciebie przystawiał. Nie dam głowy, co się może zdarzyć gdzie indziej, ale na pewno nie wtedy gdy dla mnie pracujesz.

— Ja też nie będę się do ciebie przystawiał. — Wygłosiła tę uwagę bez uśmiechu. Uznałem, że przemawia z pozycji feministycznych.

— Boże przenajświętszy, mam taką nadzieję!

Uśmiechnęła się słabo.

Pewnie uważała, że w dobie feminizmu powinna coś takiego powiedzieć? Chciałem wierzyć, że o to chodziło.

— Kolację możesz zjeść w pokoju w czasie pracy. Ja raczej nie będę się tu kręcił. Mam zamiar dużo ćwiczyć. Powiem ci jedno, kobieto: nie odrywam od pracy kogoś, kto mnie tyle kosztuje.

— Pewnie będziesz odrywał mnie od pracy, Dermocie Michaelu Coyne. — Powzięła decyzję. — Ale potrafię o siebie zadbać, jeśli muszę — i jeśli chcę.

— A więc podejmiesz się tego?

— Czy już nie powiedziałam? — Na jej twarzy rozbłysnął uśmiech, dublińskie słońce wreszcie przepędziło burzę. — Och, Dermocie! Jak cudownie!

Na bardzo króciutko objęła mnie.

To rzeczywiście może rozpraszać. Niepokoje te mogą być bardzo złożonej natury, bo nasze stosunki, zaledwie dwutygodniowe, również miały naturę dość złożoną.

Powiedziałem sobie jednak, że te przerwy w pracy nie będą nieprzyjemne. Wcale a wcale. Lecz układ będzie nadal wyłącznie oficjalny. Nie byłem jeszcze gotów do takiej miłości, która zawiedzie mnie do ołtarza.

Tak bronił się od wieków każdy spietrany irlandzki kawaler.

Patrząc z perspektywy na mój związek z Marie Fionnullą Anne McGrail, myślę, iż wydarzenie to było punktem zwrotnym. Subtelnie zmieniłem swoją rolę. Nie byłem już potencjalnym zalotnikiem, chłopakiem poszukującym partnerki, przelotnej czy na stałe. Teraz stałem się obrońcą. Muszę się opiekować Nualą, szanować ją, zapewnić utrzymanie.

19

— Dzwonił twój brat. — Nuala nie oderwała wzroku od monitora.

— George? — Opadłem na krzesło po drugiej stronie salonu, wyczerpany po półtoragodzinnym pływaniu w hotelowym basenie w mroku jesiennego dublińskiego popołudnia.

— Ksiądz George — skarciła mnie.

— Powiedział, żebym oddzwonił?

— Tak. — Nadal pisała, powoli i uważnie. — Mówił, żebyś zadzwonił z zewnątrz, bo to osobista sprawa i nie chce, bym podsłuchiwała.

— Niemożliwe!

— Owszem. To bardzo miły ksiądz. Jak młody proboszcz w domu. Strasznie miły. Nie obraził się nawet z powodu tej okropnej historii, którą mu o mnie opowiedziałeś.

— Jakiej okropnej historii?

— Kiedy stwierdziłam, że sakramencka msza to sakramencka msza. Nigdy nie używam takiego języka.

— Nualo!

— Przynajmniej nie w mojej obecnej masce. — Obróciła się i spojrzała na mnie zza okularów.

— Nie dość, że dokładnie tak się wyraziłaś — westchnąłem równie głośno jak ona — to powiedziałaś mi jeszcze, żebym mu powiedział, że tak mówiłaś.

— Nie chodziło mi o to, żebyś mu powiedział.

— Myślałem, że nie lubisz księży.

— Czy nie jest twoim bratem, a do tego miłym młodym księdzem?

Nawet w masce odpowiedzialnej i wykwalifikowanej siły Nuala Anne McGrail wyprowadzała mnie z równowagi, tym bardziej że wyraźnie sprawiało jej to wielką frajdę.

Tego popołudnia stawiała się do pracy, wyglądając jak dojrzała kobieta interesu w każdym calu: ciemnoniebieski kostium, biała bluzka, buty na niskim obcasie, ciemne pończochy, włosy surowo ściągnięte w kok i na dodatek okulary. Miała dużą praktyczną torbę na ramię, nowy słownik irlandzko-angielski i notatnik oprawny w sztuczną skórę.

— Okulary, Nualo?

— To szkła powiększające, żebym mogła odczytać drobne pismo twojej babki.

— I żebyś wyglądała jak typowa sekretarka?

— To moja nowa maska. Podoba ci się?

— Bardzo profesjonalna. Pierdzielona kobieta pracująca.

— Nie używam takiego języka w czasie pracy. Chciałabym, żebyś ty też się do tego stosował.

Jej usta wygięły się w swawolnym uśmiešku. To najwyraźniej nie zostało wyłączone z jej nowej osobowości.

Na początku odmówiła wzięcia zaliczki za dwa tygodnie z góry. Przekonywałem, że należy się ona zawodowym tłumaczom. Protestowała trochę, lecz niezbyt przekonująco.

Nie chciałem, by zagłodziła się na śmierć.

Oczywiście, że do tego by nie doszło. Rozumiecie, zostałem jej obrońcą. Rzecz jasna nie wyzbyłem się lubieżnych myśli na jej temat. Ale teraz jestem za nią odpowiedzialny.

Doszedłem też do wniosku, że muszę pozostać w Dublinie. Nie dam rady wrócić do Chicago, by się na własne oczy przekonać, czy drużynie Notre Dame uda się przetrwać ten sezon bez ani jednej porażki — choć w gruncie rzeczy nie brałem poważnie pod uwagę tego planu.

Czy nie mógłbym zostawić jej w Dublinie z komputerem i dziennikami?

Pewnie, że mógłbym.

Ale byłem tak urzeczony i oszołomiony moją uroczą podopieczną, że nie potrafiłem jasno myśleć. Przetrzyma mnie w tym stanie, chyba nie bez jakichś ubocznych myśli, póki nie wyjadę na dobre.

Zastanawiałem się, ile musiała wydać na stroje, by stworzyć swój nowy wizerunek. Najpewniej niewiele. Rzeczy były niedrogie, a wyglądały szykownie, gdyż ich właścicielka była szykowna i umiała je nosić.

A może ciągle jeszcze ma zniżkę u Browna.

Przedstawiłem ją kierownikowi, pokojowej, zarządcy wszystkich skrzydeł oraz kierownicze mojego piętra. Nuala była nieznośnie ugrzecznioma wobec tych osobistości. Nie mogło być cienia podejrzeń, że jest dokładnie taką osobą, za jaką się podaje — tłumaczką jakichś starych dokumentów. Udowodniła to, lękliwie bąkając kilka słów w swej rodzimej mowie do kierownika, który z szerokim uśmiechem aprobaty odpowiedział w tym samym języku.

— Nie ulega wątpliwości, że ta młoda kobieta jest rodowitą Irlandką, panie Coyne. Jej gaelicki jest bezbłędny.

— Miło mi to słyszeć.

Ale z pewnością będą mieć oko na mnie i na nią, by się upewnić, że mówię prawdę — chociaż nie mogliby nic zrobić, gdybym się z nią mijał.

Nuala obrzuciła krytycznym spojrzeniem mój apartament, zwracając uwagę na sztuczne rośliny, dwa telewizory i również dwa obrazy impresjonistyczne — jeden przedstawiający wazon z kwiatami, a drugi żaglówki w Zatoce Dublińskiej.

— Znadto się wysadzili — przyznałem, jak zawsze zażenowany swoją zamożnością.

— Jestem materialistką, Dermocie Michaelu. — Westchnęła głośno. — Co prawda niezbyt żarliwą. Nie zależy mi na bogactwie. Rodzice mają bardzo mało, a są najszczęśliwsi ludźmi na świecie. Chciałabym tylko być trochę mniej biedna.

— Może powinnaś sobie znaleźć pierdzielonegonadzanego jankesa.

— Może powinnam. — Prowokująco pochyliła głowę. — Takiego, który by nie uważał, że trzeba się wstydzić luksusowych pokojów.

— Auuu!

— Nie widzisz, że żartuję? — Dotknęła mojej ręki. — Nie rób takiej rozgniewanej miny.

— Obiecuję poprawę. — Roześmiałem się.

— Teraz pokaż mi, jak działa twój komputer.

— Tak, proszę pani.

Pokazałem jej, jak włączyć mój Compaq, wymieniliśmy uwagi na temat zalet i wad Microsoft Worda i Word Perfecta (jest to jedyna wojna religijna w zachodnim świecie, oprócz sześciu hrabstw i Bośni) oraz udzieliłem wskazówek dotyczących użytkowania MS Worda.

— Gotowa?

— Możesz mnie wylać w każdej chwili, jeśli mi coś nie wyjdzie — rzekła niepewnie.

— Złam kark, na pewno cię wyleję, nie będę miał wyjścia. Teraz idę popływać.

— W Sandymount w taki dzień?

— Nie, w Jury jest podgrzewany basen. Tam, na dole.

Z okularami w ręce stanęła koło mnie przy oknie wychodzącym wprost na basen.

— Boże przenajświętszy, basen! Mówisz, że jest podgrzewany?

— Dla Amerykanów mniej więcej do osiemdziesięciu dwóch, osiemdziesięciu trzech stopni Fahrenheita. Lubimy, żeby nam było ciepło.

— Codziennie pływałyśmy z mamą w oceanie. Pewnie, że to dobrze robi.

— Zimą też?

— Ee, zawsze jest zimno, pięćdziesiąt stopni Fahrenheita.

— Możesz popływać w tym basenie, Nualo. Kierownik na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu.

— Nigdy w życiu! — Pospieszyła do swego stanowiska pracy i zaczęła przeglądać dziennik Ma.

— Jak chcesz... jeszcze jedno. Zadzwoń do obsługi gości, żeby ci przynieśli herbatę. Ja też się napiję, jak wrócę. A nawiasem mówiąc, herbata nie wchodzi w skład posiłku, do którego masz prawo, gdy tu pracujesz.

— Chyba chcesz mnie utuczyć.

— Skądże znowu, Nualo, skądże znowu.

Poszedłem do sypialni, zamknąłem drzwi, włożyłem spodenki kąpielowe i szlafrok, by zaliczyć codzienną wyprawę na basen.

Gdy opuściłem sypialnię, Nuala już była pogrążona w ciężkiej pracy.

— Nie zaharuj się na śmierć od razu pierwszego dnia.

— Obsługa gości, powiadasz — rzuciła mi zza okularów spojrzenie, do którego jak się zorientowałem, będę się musiał przyzwyczać.

— Tak. Podnieś słuchawkę, naciśnij guzik i powiedz im, że prosisz o herbatę i co tam chcesz jeszcze. Ja zamawiam placuszki i kanapki, ale bez sherry, żeby nikt mnie nie podliczał.

- A papież nie przeszedł jeszcze na mormonizm.
- Teraz bierz się do roboty.
- Tak, proszę pana. — Odwróciła się z powrotem do monitora, po czym znowu zerknęła w moim kierunku. — Po prostu zadzwonić do obsługi gości i zamówić, co chcę?
- Tak jak w filmach, Nualo.
- Tak jak w filmach. — Jej twarz rozjaśnił uśmiech podziwu i wdzięczności, który mało nie rozdarł mi serca.
- Idę popływać — powiedziałem bez przekonania.
- Nie zazięb się — zawołała za mną, tak jak babcia i mama wołały niemal codziennie między piętnastym września a piętnastym czerwca, gdy wychodziłem z domu.
- Biedny dzieciak, a ty jesteś bogatym jankeskim zbawcą, który traktuje ją z szacunkiem — co by bez ciebie poczęła? To taka nieśmiała istotka. Musisz jej bronić przed nią samą. Gdyby była ciut bardziej doświadczona, dobrze by wiedziała, jak cię do siebie przywiązać.
- Na szczęście twoje serce jest opancerzone i nie zakochasz się w niej.
- Przypuśćmy, że będzie tłumaczyć przez parę tygodni, a potem pojedziesz do domu, zostawiając jej odblaski dzienników i komputer, by dokończyła pracę. Co wtedy? Czy przejdzie jej ta miłość?
- Chyba tak. Nie, na pewno.
- A tobie przejdzie?
- Najprawdopodobniej. A chcesz, żeby ci przeszła?
- Może tak, a może nie.
- Nuala towarzyszką na pół wieku? Można gorzej trafić. Nie mam jednak zamiaru spędzić życia pod pantoflem.
- Przeżyłbym miłą. Wróciłem do apartamentu i dowiedziałem się o telefonie George'a.
- Właśnie przynieśli herbatę — poinformowała mnie Nualo.
- Nalej sobie.
- Obsługa była sympatyczna?
- Nalałem sobie. Widać Nualo jako siła fachowa nie nalewa herbaty.
- Nie było tak jak w filmie, wcale a wcale. Czy ta dziewczyna, która przyniosła herbatę, nie pochodzi z hrabstwa Galway? Pogadałyśmy sobie bardzo miło... Naleję herbaty.
- Nie musisz.
- Mama dobrze mnie wychowała — pospieszyła do stołu.
- Zdejmij ten mokry kostium, bo się zaziębisz. Mleko czy cukier?

— Przeziębienie jest infekcją wirusową, Nualo. Nie bierze się z noszenia mokrego ubrania w chłodny wieczór.

— Dużo wiesz — prychnęła.

Tak właśnie powiedziałaaby Ma, niech ją Bóg ma w swojej opiece.

— Jak idzie tłumaczenie?

— Dobrze. Jak się przyzwócicie ubierzesz, pokażę ci na monitorze.

— Kto właściwie jest szefem w tej firmie?

Zignorowała zarcik.

— Powinieneś skończyć to opowiadanie, Dermocie Michaelu. Jest dobre.

— Boże przenajświętszy, kobieto! — wykrzyknąłem. — Czytasz wszystkie moje dokumenty?

— Tylko te, które w nazwie pliku mają moje imię. Skoro w kartotece opowiadań widzę Nuala.doc, jak mogę tego nie przeczytać?

Rozumowanie wydało mi się rozsądne.

— Podobało ci się?

— A nie powiedziałam, że tak? — Ostrożnie skubała placuszek dołączając do rzesz kobiet na całym świecie zamartwiających się swoją wagą. — Pewnie, kto by nie zechciał być celtycką boginką, którą opisujesz z taką poządlivością?

— Rumienię się, Nualo Anne McGrail?

Nalała mi jeszcze herbaty.

— Nie mnie to oceniać — odparła sztywno. — Ale opowiadanie jest dobre. Powinieneś je dokończyć. Z pewnością. — Uniosła wzrok znad herbaty, rzucając mi szybkie spojrzenie. — Ani chybi. Gdyby to było o mnie, bardzo by mi pochlebiało, że narrator uznaje mnie za tak interesującą osobę, ale skoro nie jest o mnie, wcale a wcale, nie mnie to oceniać.

— Słusznie.

— Wypij herbatę i nałóż jakieś ciepłe rzeczy, to pokażę ci, co zrobiłam.

— Mam wybór?

— Wcale a wcale.

Pograżamy się coraz bardziej, myślałem, wkładając dres. Jednakże woda jest przyjemnie ciepła.

Gdy wróciłem, by obejrzeć pierwszą część pamiętników Ma, serce biło mi gwałtownie.

Z wielu powodów.

14 maja 1919

Przyszedł wczoraj Liam Tomas. Po raz pierwszy spojrzał na mnie inaczej niż na kurczaki czy owce. Tak się uradowałam tym, co mi mówił, że powiedziałam sobie: czas zacząć pisać dziennik, o czym zresztą od dawna myślałam. To odpowiednia pora, by zacząć spisywać dzieje mego romansu z Liamem Tomasem O’Riada, nawet jeśli między nami nigdy nic nie będzie.

Mam jednak nadzieję, że przeżyjemy romans. Tak bardzo go kocham. Jest taki słodki, taki miły, dobry i taki przystojny. Chcę spędzić z nim całe życie. Moja kuzynka Deal mówi, że jestem za młoda, by cokolwiek wiedzieć o miłości. Masz dopiero czternaście lat, powiada. Liam Tomas O’Riada w ogóle nie zdaje sobie sprawy z twojego istnienia.

Liam Tomas to wielkie chłopisko o gołęmb sercu, słodkim głosie, długich blond włosach i rumianej twarzy — czy nie wygląda jak wykapany wiking albo król starożytnych Celtów, a może niczym święty Columcille we własnej osobie?

A czy mój tata nie mówi, że to cud, jak Brygada z Galway pogoniła Brytyjczyków, chociaż mają tylko dwudziestu ludzi i dwanaście karabinów?

Nikt w Connemarze ich nie zdradzi, a Brunatni zabijają, gwałcą, palą domy i wieszają, kogo chcą i kiedy im się spodoba.

Liam Tomas ma też głowę i ciężko pracuje, a mój tata mówi, że chłopak wysoko zajdzie, jeśli będzie miał choćby cień szansy i w tym kraju będzie trochę spokoju. Na dodatek lubi dzieci, śpiewa tak cudownie w kościele i co dzień odmawia różaniec.

A mama mówi, żebym się nie wygłupiała. Ale dziś rano po mszy zapaliłam świecę za pensa, którego dostałam za zrobienie masła wdowie O’Malley, i modliłam się do Najświętszej Panienki, by sprawiła, żeby Liam się we mnie zakochał.

Jeśli taka będzie święta wola Twego Syna, dodałam, bo zakonnice mówią, że trzeba to dodać, kiedy się zanoszą modlitwę prośbą.

Ale potem powiedziałam Jej: A gdzie by znalazł lepszą żonę? Dlaczego święta wola Twego Syna i Twoja nie miałyby być taka, kiedy młody ksiądz nam mówił, że Ty sama miałaś jakieś piętnaście czy szesnaście lat, gdy się zaręczyłaś ze świętym Józefem.

W każdym razie myślę, że moja modlitwa została wysłuchana, bo się uśmiechnął, kiedy mnie zobaczył, a taki był umęczony walką

w tej strasznej wojnie, która toczy się wszędzie wokół nas, by uczynić Irlandię wolnym narodem, dzielnym i dumnym, tak jak inne wolne narody świata.

Jedyny świat, jaki znam, jest tutaj, w Carraroe, choć czasami jadę z tatą na targ do Galway. W Galway czuję się strasznie nieswojo, bo to takie duże obce miasto i tylu obcych się kręci. Bezczelna to jestem tu, w Carraroe, gdzie po jednej stronie mam zatokę, a po drugiej jezioro, kamienne murki wzdłuż krętych dróg, i miasteczko wygląda tak pięknie, gdy słońce pada na świeżo pobielone domki. Mój dziadek, który był wszędzie, mówi, że to jedno z najpiękniejszych miejsc na świecie, ale ja nic nie mogę powiedzieć, bo nigdzie indziej nie byłam.

A czy mama nie pozwoliła mi zanieść mu herbaty, gdy trzymał straż przy drodze, taki czujny i dzielny z karabinem lee-enfield przewieszonym przez ramię? Wie, że czuję do niego miłość, i nie ma nic przeciwko temu.

Była ciepła wiosenna noc bez księżycy, a niebo wyglądało jak wielka kryształowa kula zwisająca nad nami i nie było słychać nawet szmerku ani z pól, ani z bagien, tylko przyływ szeptał sekrety brzegowi oceanu.

— Jest tylko jedna droga do Carraroe — powiada do Liama Tomasa ten wielki jełop Daniel O’Kelly — a nieprzyjaciel nie odważy się przyjść nią po ciemku. Liamie, czy dasz radę nie zasnąć i stać tu na warcie na wszelki wypadek?

Mogłabym go zabić za to, że taki z niego cham, a cała reszta ryknęła śmiechem.

— Dam radę, komendancie — mówi Liam, bardzo dumny i dzielny.

— No, człowieku, żebyś mi nie skrewił. — I pociąga następną łyk z butelki.

Nie lubię Daniela O’Kelly’ego, niech mi Bóg wybaczy. A więc chyba godzinę później mama daje mi herbatę, żebym mu zaniósła.

— Twoja herbata, Liamie Tomasi — powiadam, a serce wali mi jak szalone.

— Ach, Neli Pat — mówi on, dotykając moich włosów — czy nie masz najpiękniejszych włosów w całej Connemarze?

Mało nie umarłam z radości. Ale oczywiście niczego po sobie nie dałam poznać, tylko odpysknęłam opryskliwie:

— Akurat znalazłeś sobie porę na zachwycanie się rudymi włosami. Podobno walczysz o wolność Irlandii.

— Walczymy za rudowłose piękności, o prawo do ich podziwiania, Neli Pat.

— To strasznie niebezpieczne, co, Liamie Tomasie? — powiedziałam, a wszystko topniało we mnie z miłości.

— Prawda wygląda tak — podrapał się w szopę blond włosów — prawda wygląda tak, że w większości to straszna nuda: mnóstwo wycekiwania, mnóstwo ciężkiej harówki i łożenia nocą po deszczu. Gdy zaczyna się walka, masz straszego pietra przez pół godziny, ale zanim się zorientujesz, już jest po wszystkim. Paru twoich kumpli nie żyje, a po ich stronie mnóstwo. Człowiek się cieszy, że jeszcze nie poszedł do piachu, oplakuje swoich kumpli i jest mu przykro z powodu tamtych.

— Ale to Brytyjczycy albo irlandzcy zdrajcy — powiadam, myśląc sobie, że spokojnie wybiłabym wszystkich wrogów naszej nieszczęsnej wyspy.

— Przecież to nie są źli ludzie, Neli Pat, mają żony, kochanki i matki, które będą zrozpaczone. Pewnie — czy w jego oczach nie błysnęły łzy? — z początku ich nienawidziłem. Później zdałem sobie sprawę, że przed strzelaniną bali się tak samo jak ja i tak samo tęsknią za swoimi bliskimi. Potem nie mogłem już ich nienawidzić. Bóg wie — westchnął — że musimy walczyć, ale będę się cieszył, kiedy to wszystko się skończy i nie będziemy musieli zabijać tych chłopaków, którzy są tacy sami jak my, jak twój brat Tim i ja.

Ja też się chciałam rozplakać, ale zlekłam się, żeby mnie nie wziął za małą głupią dziewczynkę, boby już nie był ze mną taki szczerzy.

— Ty ani Tim nie zginiecie, prawda, Liamie Tomasie? — spytałam.

— Da Bóg, że nie. — Znowu westchnął, a taki był zmęczony, że ledwo mówił. — Ale wszystko w rękach Boga, czyż nie? Tim powiada, że codziennie chodzisz na mszę, żeby się za nas modlić. Nie przestajesz teraz, prawda?

— Nigdy — powiadam. — Póki stara Irlandia nie będzie wolna.

— Tym razem wygramy. — Był bardzo poważny, z jego twarzy biła duma. — Skończymy to, co zaczęło się w latach 1798, w 1848 i 1867. Zmusiliśmy starego brytyjskiego lwa do ucieczki i zanim skończymy, zabierze się z Irlandii na dobre.

Czy serce mi nie płonęło z dumy i miłości, gdy to mówił?

— Szkoda, że nie jestem mężczyzną, żebym mogła walczyć razem z tobą — powiedziałam żarliwie.

— Ach nie, Neli Pat Malone — odrzekł, kładąc mi wielką łapę na głowie. — Ktoś musi przechować wiarę dla następnych pokoleń. Męż-

czyżni nadają się tylko do wygrywania wojen. To kobiety wygrywają pokój.

Mogłabym umrzeć ze szczęścia.

— Wygramy, prawda, Liamie?

— W końcu tak, Neli. — Jego ręka tak jakoś przesunęła się wokół mojej szyi. — Jeśli zginę jutro w nocy, umierając będąc szczęśliwy, że moje siostrzenice i siostrzeńcy, choć nie moje własne dzieci, będą żyć już w wolnej Irlandii.

A nie chodziło mi po głowie, że chętnie zostałabym matką jego dziecka, nawet gdyby miał zginąć jutrzejszej nocy?

Zakonnice powiedziałyby, że to straszny, ohydny grzech. Nic mnie to nie obchodzi. Wokół nas toczy się wojna. Młodzi ludzie powinni się kochać i mieć dzieci. Czy nie powiedziała tak moja własna mama o Timie i Moire, którzy też bardzo młodo się pobierają?

Bóg na pewno nie miałby mi za złe, gdybym urodziła dziecko Liamowi Tomasowi.

Naturalnie tego mu nie powiedziałam. Zapytałam tylko:

— Dlaczego uważasz, że tym razem wygramy?

— Dzięki naszym dowódcom, Neli. Który kraj na świecie ma jednocześnie tylu wielkich przywódców: stary Arthur Griffith, i wcale nie katolik, Dev — Długi Facet, Kevin O'Higgins, Cathal Brugha, Rory O'Connor, no i nasz komendant, rzecz jasna, Daniel O'Kelly.

— No tak — mówię, choć ja osobiście nie przepadam tak strasznie za Danielem O'Kellym, mimo że mój brat Tim go uwielbia.

To duży wysoki mężczyzna, niemal tak wysoki jak mój Liam, lecz szczupły i delikatny jak panienka, o długiej, chudej, skorej do uśmiechu twarzy, gęstych, czarnych falujących włosach i przenikliwych oczach, które przewiercają ci duszę na wylot. Nie jest przystojny, wcale a wcale, chociaż pewnie żadna inna dziewczyna w Connemarze tak nie myśli. Wspaniały z niego kumpel, ciągle się śmieje, żartuje, opowiada wesołe historyjki, podśpiewuje, rzuca dowcipne uwagi, całą noc pije, gra w piłkę ze swoimi ludźmi, a nie ma lepszego niż on zawodnika. Powiadają, że gdyby nie wojna, grałby w drużynie narodowej.

Nigdy bym chyba nie kupiła od niego konia ani krowy, bo tak człowieka zagada, że w ogóle nie patrzy się na zwierzę. Tata mówi, że rodzina O'Kellych od setek lat była biedna jak mysz kościelna; zawsze mieli wielkie ambicje, by zdobyć majątek, lecz stali za drzwiami, gdy rozdawano pracowitość i szczęście. Nie można mieć pretensji do Daniela, mówi tata, że tak lubi być komendantem, bo to pierwsza

oznaka szacunku wobec któregośkolwiek z O'Kellych od czasów jeszcze sprzed wielkiego głodu.

— A przede wszystkim największy z nich — mówi mój Liam — Wielki Facet.

— Wielki Facet?

— Mick Collins. Jak powiada młody ksiądz, czy sam Bóg go nie zesłał, by wyzwolił Irlandię? Co dzień przystępuje do komunii, tak jak ty, i czy nie jest lepszy niż wszyscy inni bohaterowie Irlandii razem wzięci?

— Poznałeś go, Liamie? — spytałam, pełna czci dla tego Micka Collinsa.

— Nie. Myślisz, że nie ma nic lepszego do roboty w Dublinie, tylko żeby tłuc się hen na zachód Irlandii? A jednak nasz komendant powiada, że wcale by się nie zdziwił, gdyby któregoś dnia Mick zjawił się tu niczym grom z jasnego nieba — on tak właśnie robi — by się przekonać, jak tutaj, w Galway, dajemy sobie radę. Takie sztuczki się go trzymają.

— Umarłabym ze strachu, gdybym zobaczyła tego twojego Micka Collinsa.

— Na pewno nie, Neli Pat. — A rękę dalej trzyma mi na karku.

— Na pewno nie. Ci, co go znają, mówią, że nie zgrywa się na wielkiego wodza — gdybyś go zobaczyła na niedzielnej mszy albo zagrała z nim w hokeja w zeszły piątek, wcale byś nie wiedziała, z kim masz do czynienia.

— Musi być wielkim człowiekiem!

— Zesłanym przez Boga, by wyzwolić Irlandię.

I wtedy właśnie ten gbur Daniel O'Kelly woła ze środka, że wzywa brygadę na odprawę. Brygadę, akurat, liczącą wszystkiego tuzin dzieciaków niewiele starszych ode mnie.

Wyszli wcześniej z rana, długo przed świtem. Żaden nie puścił pary z ust, dokąd się udają, ale wyglądali tak srogo i dzielnie, że gdy wymaszzerowywali, chciałam zaśpiewać Znowu jesteśmy narodem.

Wydaje mi się, że Liam Tomas pomachał do mnie. W każdym razie do kogoś machał.

Odmówiłam już za nich tyle różańców, że straciłam rachubę. Najświętsza Panno, ocal go dla mnie.

Nuala szlochała z twarzą ukrytą w dłoniach. Ja też byłem bliski łez.

— Czyż nie jest dzielną i wspaniałą kobietą, Dermocie? Nic dziwnego, że tak ją kochałeś.

— Taka właśnie była — powiedziałem nieco zdławionym głosem. — A jej namiętność nigdy nie wygasła. Mama powtórzyła mi słowa umierającej Ma: powiedziała, że Pa znajduje się z nią razem w pokoju, „by wreszcie zabrać mnie do siebie, a jest tak samo młody i silny, jak wtedy gdy tamtej wiosennej nocy w Galway po raz pierwszy dotknął moich włosów”.

— Wierysz w to, Dermocie? — przykładała chusteczkę do mokrej od łez twarzy.

— Wierzę, że twój przyjaciel ksiądz George ma rację, gdy mówi, że Bóg w swoim sercu i umyśle pamięta o każdej miłości.

Z wolna skinęła głową.

— Myślisz, że jeszcze kiedyś ich zobaczysz?

Czy nie o to właśnie chodzi, gdy przyjdzie co do czego?

— Myślę, że tak, Nualo Anne McGrail, myślę, że tak. Nie wiem, jak to się dzieje, ani nie mogę tego udowodnić, ale naprawdę w to wierzę.

— A ja jeszcze nie całkiem — rzekła z powagą — ale nie mogę też powiedzieć, że w to nie wierzę. Gdy przeczytałam, co ta kobieta napisała, niemal słysząc jej głos, powiedziałam sobie, że ktoś taki nigdy nie umrze.

— Wracaj już do domu, Nualo. Nie chcę, żeby rektor Trinity College — czy jak tam nazywacie swojego dziekana — miał do mnie pretensje, że przeszkadzam w nauce jednej z jego najlepszych studentek. Nie zabieraj ze sobą dziennika, bo jeszcze będziesz nad nim pracować.

Niechętnie zamknęła dziennik i położyła go równo pod kątem prostym do compaqa.

— Znasz mnie aż za dobrze... Rzeczywiście zerknęłam trochę w przód. Spotkała Wielkiego Faceta.

— Micka Collinsa.

— We własnej osobie. Powiedział jej, że zawiązał się jakiś tajny brytyjski spisek, który ma udaremnić ich zwycięstwo.

— O rany! Nualo, może nie powinniśmy na ten temat z nikim rozmawiać, póki nie skończymy.

— Czy nie myślałam o tym samym? — rzekła, zapinając cienki trenz będący uzupełnieniem jej profesjonalnego wizerunku. — Niech to zostanie między nami i nią.

— Racja.

— Aha, Dermocie, mogę cię o coś poprosić?

— A czy i tak byś o to nie poprosiła, nawet gdybym się nie zgodził?

— Chodzi mi o fotografie twoich dziadków, które masz w portfelu. Mogłabym na nie spoglądać podczas tłumaczenia?

— Oczywiście.

— Uważasz, że jestem sentymentalną kretynką?

— Jeśli nawet, to jest dwoje takich w tym pokoju. A teraz zabieraj się do domu, kobieto.

— Teraz możesz zadzwonić do brata stąd.

Cicho zamknęła drzwi. Coś jeszcze przyszło mi do głowy.

— Nualo!

Zatrzymała się w połowie korytarza.

— A przed chwilą sam mnie wygoniłeś!

— Zapytam kierownika, czy możesz korzystać z basenu. A wtedy sama zdecydujesz.

— A gdzie mogłabym się przebrać?

— Czy koło twojego gabinetu nie ma łazienki?

— I wisi tam szlafrok kąpielowy?

— Owszem.

— Są nawet klapki?

— Są nawet klapki.

— No więc?

— Jeszcze się zastanowię.

Nadjechała winda i Nuala myknęła do środka.

Tajny angielski spisek, by obrócić irlandzkie zwycięstwo na korzyść Brytyjczyków? Bezsprzecznie Lloyd George i Winston Churchill robili, co mogli, by zachęcić traktat. Byli starymi wygami w procedurach politycznych. W porównaniu z nimi O'Higgins i Collins to nowicjusze. Griffith był starszy, lecz kiepskiego zdrowia. Dev — jak nazywano Eamona De Valerę — czyli Długi Facet, należał do wielkich działaczy politycznych dwudziestego stulecia, lecz musiałby się jeszcze nauczyć łączenia uporu z elastycznością. To cud, że irlandzkiej delegacji udało się uzyskać cokolwiek, a zwłaszcza „status dominium”, który, jak przepowiedział Collins (a w co Dev nie wierzył), musi doprowadzić do niepodległości. Wszyscy po-

tępiający traktat uważali go za dokument zdradziecki. Collins i inni sygnatariusze, którzy uzyskali ratyfikację traktatu przez niezdecydowany Dail, uważali, że jest on kompromisem pozwalającym dopiąć w końcu wszystkiego, co w ich mocy — przy czym, bez względu na dalszy rozwój wypadków, Ulster nie wydawał się im nie do zdobycia.

Collins miał rację. Współ z O'Higinsem odnieśli ostateczne zwycięstwo, choć zapłacili za nie życiem. Przechytrzyli Lloyda George'a i Churchilla.

Jaką więc tajemnicę zawierał Ma Mike Collins przed siedemdziesięcioma laty?

Churchill nie kochał Irlandczyków. Podczas drugiej wojny światowej raz za razem oskarżał De Valerę i Irlandię o współpracę z Niemcami, choć doskonale wiedział, że wywiad irlandzki współpracował z brytyjskimi tajnymi służbami.

Takie myśli przebiegały mi przez głowę, gdy cierpliwie czekałem na połączenie z George'em w budce Telefon Eireann na Pembroke Road w pobliżu kliniki planowania rodziny.

— George? Tu Dermot.

— Jakaś młoda kobieta odbiera telefony do ciebie, głupku.

— Coś podobnego!

— Jeśli nie sprowadzisz jej do domu, będziesz miał do czynienia nie tylko z mamą, ale i ze mną.

— Zobaczymy.

— Ile ma lat?

— Dwadzieścia... prawie.

— Mogłoby się wydawać, że ze trzydzieści pięć, tak zrównoważona i obyta.

— To taka maska, którą przybiera, gdy dla mnie tłumaczy.

— Chyba podobna do Ma, co?

— Bardziej zwariowana — a sądząc z tego, co znajdujemy w dzienniku, Ma w tym wieku była zdrowo postrzelona.

— Wierzę.

— Masz coś dla mnie?

— Jak zawsze. Tony rozmawiał z kilkoma swoimi znajomymi, którzy bardzo się zainteresowali tym, co ciebie interesuje. Chcą ci pomóc.

— Nie żartujesz?

— Naprawdę, chcą ci pomóc, mówią o udzieleniu wsparcia.

— A dlaczego ta część rządu chciałyby mi pomóc?

— Nie mam pojęcia. Nie wierzyłbym im, tak jak nie uwierzyłbym nikomu z całego Langley w stanie Wirginia. Ale wierzę Tony'emu. Ich propozycje wydają się bezpieczne.

— Dobrze. A czego chcą?

— Człowiek o imieniu Patrick, nie Pat, nie Paddy, ale Patrick, zadzwoni do ciebie jutro albo pojutrze. Powie, że przysłała go Anthony, nie Tony. Zaproponuje ci spotkanie w „bezpiecznym miejscu”, tak dokładnie powiedział. Spotkacie się i pogadacie. Wysłuchaj go, wyklócaj się, jeśli chcesz, ale nie zadawaj żadnych pytań. Po rozmowie możesz wyciągnąć dla siebie jakieś wnioski. Niewykluczone, że zaproponuje ci dalsze kontakty. Obiecują, eee, ochronę, o ile to możliwe, dla ciebie i twoich współpracowników, jeśli masz jakichś.

— Nie rozumiem.

— Nie masz rozumieć, głupku, ale to brzmi bardzo, bardzo interesująco. Bądź ze mną w kontakcie. Codziennie. Pamiętaj.

— Masz to jak w banku.

— I jeszcze jedno, Patrick niekoniecznie pracuje dla, ee, firmy.

— To dla kogo?

— Nie pytaj.

Następnego dnia Nuala przyszła pół godziny wcześniej, z torbą na książki przewieszoną przez ramię, z notatnikiem i słownikiem. Miała na sobie szary kostium i niebieską bluzkę.

— Dziś na szaro?

— To wyczerpuje mój zestaw strojów roboczych. Podoba ci się?

— Jedną z twoich godnych podziwu zalet, młoda kobieto, jest błędny gust.

— Daj spokój. Każdy może przejrzeć magazyn mody. A czy wszyscy wokół nie powtarzają, że fatalnie dobieram sobie chłopców?

— Nie wierzę, by ktokolwiek tak powiedział. A po co torba na książki? Nie pasuje do całości.

— Przecież chyba nie przyniosę kostiumu kąpielowego i całej reszty w walizce, co?

— Dlatego przyszłaś pół godziny wcześniej?

— Tak, popływam wtedy, gdy sama zechcę, nie ty.

— W porządku.

Chciałem zaproponować, żebyśmy popływali razem, ale doszedłem do wniosku, że lepiej z tym parę dni poczekać. Chciałem też być przy telefonie na wypadek, gdyby zadzwonił Patrick.

— Po prostu włożę kostium, szlafrok i klapki, zjadę windą i przejdę przez hall.

— Całkiem jak zwykła turystka, jakaś pierdzielonanadzianajankeska.

— Takiego języka nie używamy podczas pracy, prawda? — Wsunęła się do łazienki i zamknęła za sobą drzwi.

— Tak, proszę pani! — zawołałem za nią.

Kilka minut później wyszła w szlafroku, tak nim okutana, żeby się nie rozchylił. Uniosłem wzrok znad „Herald Tribune”.

— Nie przezięb się, Nualo Anne.

Roześmiała się, raz wreszcie pozwalając mi mieć ostatnie słowo.

Odłożyłem gazetę i podszedłem do okna. Było już wtedy ciemno, ale w świetle lamp otaczających basen uda mi się nacieszyć widokiem Nuali w kostiumie kąpielowym, co wydało mi się niezwykle kuszącą perspektywą.

Za parę minut młoda kobieta, nadal otulona obszernym szlafrokiem, podeszła do basenu i schyliła się nad nim, by zbadać temperaturę wody. Nawet z wysokości czwartego piętra wyczuwało się jej zdziwienie. Basen był solidnie podgrzewany. Dziewczyna szybkim ruchem odrzuciła szlafrok i skoczyła do wody.

Marie Nuala Anne McGrail w bikini godna była podziwu, nawet widziana z wysokości czwartego piętra. O rany — powiedziałem do siebie. — O rany!

Jak mogłem się spodziewać, jej kraul był lepszy od mojego — płynny, mocny i zdecydowany. Jakżeby inaczej?

Wstrząśnięty, powiedziałbym wręcz: wstrząśnięty w sposób widoczny, wróciłem do lektury. Po czym odłożyłem gazetę, włączyłem Compaq i dotarłem do opowiadania znajdującego się w pliku Nuala.doc.

Na pierwszej stronie napisałem grubą, trzydziestopunktową czcionką:

ABSOLUTNIE
ŚCIŚLE TAJNE —
DOTYCZY CIEBIE,
NUALO ANNE!

Następnie pogрузyłem się w komponowaniu pieśni pochwalnej o pływaczce, ulegając niejakiemu wpływowi poematu Seamusa Heaney'a o pływającej wydrze. Wydra, oglądana w muzeum na pustyni w Tucson, przypomina poecie o żonie, która oczekuje go w domu, w Irlandii.

Czy Nuala doceni ograniczenia, jakie sobie narzuciłem?

Trudno powiedzieć, zresztą nie ma to większego znaczenia. Jeśli rzeczywiście przeczyta ów tekst, jest wystarczająco bystra, by w nim

rozpoznać list miłosny, nawet jeśli ma on charakter klinicznie opisywy.

Zorientuje się też, że podkradłem co nieco Seamusowi.

Do diabła, biorę od najlepszych!

Zadzwoił telefon.

— Dermot Coyne.

— Witaj, Dermocie. Mówi Patrick. Jestem przyjacielem Anthony'ego.

— Miło mi cię słyszeć, Patricku. Przyjaciel Anthony'ego jest moim przyjacielem.

Roześmiał się.

— Cieszę się... Wiesz, gdzie jest Bray?

— Jasne.

— Dasz radę dojechać tam publicznym transportem?

— Dlaczego nie? Czyż reklamy miejskich środków komunikacji nie przypominają sonetów?

Patrick zachichotał. A więc znam dublińską kolej podmiejską.

— Wsiądziesz na stacji Bray, potem skręcisz w prawo i pójdziesz wzdłuż torów aż do ulicy, gdzie znajduje się Martello Tower. Przez jakiś czas mieszkał tam młody Joyce z rodziną — ale uważaj, nie chodź o tę w Black Rock. Znowu skręć w prawo, przetnij tory i podejdź do nabrzeża. Idąc wzdłuż niego skręć jeszcze raz w prawo, aż dojdiesz do Harbor Bar, otynkowanego na biało z czerwonym szlaczkiem. Będę siedział w rogu przy oknie. Myślisz, że mogę ci tam postawić kufelek albo dwa koło pół do szóstej?

— Absolutnie.

— I, Dermocie, żadnych wystrzałowych ciuchów ani sportowych strojów.

— Mam wyglądać trochę jak włóczęga?

— Jak na twoje wymagania, tak.

— W porządku.

— Aha, jeszcze jedno. Przyjdź sam, dobrze?

— Tak właśnie zamierzałem!

— Wspaniale!

— No, to do zobaczenia! Cześć, Dermocie!

Odłożyłem słuchawkę.

Po głosie mego rozmówcy można było poznać, że jest on czystej krwi dziećciem amerykańskiego Środkowego Zachodu. Raczej nie Chicago. Na pewno nie St. Louis. Może Minneapolis. Może Milwaukee, o którym nieszczęsnej pamięci Angela Smythe nie miała pojęcia.

A więc Środkowy Zachód; z pochodzenia prawdopodobnie Irlandczyk i z poczuciem humoru.

Słyszając, że Nuala otwiera drzwi, szybko schowałem plik Nuala.doc i zamknąłem komputer.

— Przebierz się, kobieto, bo zaziębisz się na śmierć.

Wybuchnęła śmiechem.

— Mówisz jak rodowity Irlandczyk, Dermocie Michaelu.

— Czy przez całe lata nie miałem najlepszych wzorców?

Opadła na to samo krzesło, które zajmowałem wczoraj.

— Jest to co najmniej grzech powszedni, a może nawet śmiertelny. — Westchnęła z zadowoleniem. — Muszę zapytać księdza, kiedy następnym razem pójdę do spowiedzi. Albo księdza George'a, jeśli odbiorę telefon, gdy znów zadzwoni.

— Lepiej niż w północnym Atlantyku, co?

— Ach, nie ma porównania! — Pochyliła się do przodu, tak by szlafrok się nie rozchylił i nie odsłonił najmniejszego skrawka jej ciała, okrytego tylko bikini. — Podgrzewany basen to bezwzględnie największy wkład pierdzielonychnadzianychjankesów do cywilizacji.

— Próbowwałaś masaży podwodnych?

— Oczywiście, że nie. — Ciasno spowiła się w swoją cnotę i szlafrok. — To już z pewnością grzech śmiertelny.

— Czuję się upokorzony twoim kraulem, Nualo. Jest o niebo lepszy od mojego.

Wyprostowała się w słusznym gniewie.

— Zszedłeś i gapiełeś się na mnie, tak?

— Skądże znowu, kobieto! — Zrobiłem gest w stronę okna. — Myślisz, że mógłbym cię podglądać?

Przygryzła wargę, zarumieniła się i roześmiała.

— Jesteś beznadziejny, Dermocie Michaelu Coyne, przybyszu zza wielkiej wody, synu tajemniczego nieznajomego, zupełnie beznadziejny.

— Podziwiałem nie tylko twój kraul, Nualo.

— Ha! — Wstała, by się przebrać.

— Masz na sobie ten niemoralny kostium, gdy pływasz w północnym Atlantyku? Ze swoją mamą?

— A dlaczego nie? — zapytała wyniośle. — Żebyś miał o co zaczepić swoje lubieżne szczeniackie fantazje, Michaelu Dermocie Coyne, powiem ci, że czasem pływam w północnym Atlantyku zupełnie bez niczego.

W srogim gniewie, w dużej mierze udawanym, majestatycznie wkroczyła do łazienki i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Ach, do jakich to manewrów zmuszają nas popędy rozrodcze. Poszedłem do sypialni i przebrałem się w spodenki do pływania. Gdy wyszedłem, Nuala siedziała już przy komputerze.

— Szybki prysznic?

— A mogę tu wziąć prysznic?

— Możesz.

— Nigdy w życiu nie brałam prysznica.

— Tylko pamiętaj, żebyś miała na sobie kostium kąpielowy.

Rzuciła we mnie irlandzkim słownikiem, ale niezbyt silnie, tak że wylądował na tapczanie. Wyszedłem bezszmerowo. Po powrocie z basenu nałożyłem starą kurtkę i dzinsy.

— Idę sobie, kobieto. Nie wiem, kiedy wrócę, ale dokładnie zapamiętam liczbę wypitych kufli.

— Przynajmniej będę mogła popracować w spokoju, bo czyż mogę teraz? — Wpatrywała się w dziennik, marszcząc brwi. Albo nie podobą się jej to, co czyta, albo szukała właściwego słowa.

— A więc do jutra.

— Nie podnieć się za bardzo.

— Postaram się.

GŁOS NUALI

Cóż, Neli Pat.

Jedno ci powiem: ty i jego matka dobrze wychowałyście tego chłopca i chwala wam za to. Pewien mój nauczyciel mawiał, że da się przewidzieć, jak mężczyzna będzie traktował kobiety, na podstawie jego stosunku do matki i jej do niego. Umie robić do dziewcząt słodkie oczy i tak dalej, ale nigdy nie spotkałam młodego człowieka, który zachowywałby się z takim szacunkiem. Jestem trochę przerażona, gdy pożera mnie oczami, ale nie boję się go, wcale a wcale. Na pewno nic niewłaściwego nie przyjdzie mu do głowy, chyba że sama go zachęcę.

I tu właśnie tkwi problem, Neli Pat, nie uważasz? Czy napalałam się tak w życiu na kogoś, chociaż prawie go nie znam? Gdy go widzę, nogi robią mi się miękkie, a serce wali jak szalone.

Wiem, że po prostu mnie wzięło, nic poza tym. Jestem za młoda, by wychodzić za mąż, zwłaszcza za chłopaka, który już dwa razy paskudnie się sparzył, a ja raczej go nie uzdrowię, chyba że sam będzie się chciał uzdrowić.

Może za pięć lat.

Aleja teraz się na niego napalam, nie za pięć lat. Nigdy nie znałam nikogo, kto by był do niego podobny. I to właśnie ty mnie w to wpędziłaś, doskonale o tym wiesz.

Dlaczego? Nie mogłaś po prostu zostawić mnie w spokoju? Nie jestem taka jak ty, a on nie przypomina twojego męża.

I kiepski z niego detektyw, no nie? Jest marzycielem, poetą, gawędziarzem — i to wszystko jest cudowne. Ale gdyby mnie nie zatrudnił, spartaczyłby całą sprawę, jeszcze nim ją rozpoczął.

Nie ucieszysz się, wcale a wcale, gdy odkryje, ile jego pomyłek będą musiała zatuszować. Powiedzmy sobie, że jego męskie ego jest dość słabe, i to bez żadnego wyraźnego powodu.

Ach, Neli Pat, czy mimo wszystko już się prawie w nim nie zakochałam? No bo czy nie jest taki słodki i delikatny?

22

Patrick do złudzenia przypominał Micka Collinsa — był przystojnym, skorym do uśmiechu Irlandczykiem o kręconych włosach i iskrzących się błękitnych oczach.

— Jak się masz, Dermocie. — Energicznie uściśnął mi dłoń.
— Witaj w Harbor Bar.

Przez chwilę zupełnie zgłupiałem. Mick Collins nie żyje. O ile wiadomo, umarł bezdzietnie. Ten mężczyzna nie może być przecież jego potomkiem.

Jak we wszystkich irlandzkich pubach, również w tym było ciemno od dymu, tak gęstego jak mgła spowijająca Bray, nadmorski kurort w czasach wiktoriańskich, a teraz elegancką dzielnicę podmiejską zamieszkaną przez japiszonów z Dublin 4, jak niewątpliwie nazwałaby ich Nuala.

W Harbor Bar, jak w wielu porządnym irlandzkich barach, rozmawia się szeptem, niczym w domu nieboszczyka, gdzie ciało jest wystawione w odkrytej trumnie, albo w bibliotece, gdy wiadomo, że tuż obok siedzi jej kierownik. Do Harbor Bar nie przychodzi się, by wlewać w siebie alkohol — można całą noc przesiedzieć nad kuflem piwa — ale by serio porozmawiać.

Szybko otrząsnąłem się z szoku wywołanego podobieństwem Patricka do Michaela Collinsa. Świat pełen jest sympatycznych, dowcip-

nych Irlandczyków o uroczym uśmiechu — nawet jeśli ten mężczyzna jest też barczysty i mocno zbudowany, zupełnie jak Wielki Facet.

— Cześć, Patricku. Harbor Bar wygląda inaczej, niż się spodzie wałem. To nie żadna speluna, a przyzwoity bar.

Rozejrzał się.

— Latem dla bogatych właścicieli jachtów. Zwróć uwagę na prze różne akcesoria żeglarskie, poutykane we wszystkich kątach, i beczki na zewnątrz, przy których pije się w sezonie. Teraz tych gości tutaj nie ma. Dookoła siedzą sami miejscowi. Nad każdym kuflem spędzają sporo czasu, bo ich kobiety uważnie liczą skonsumowane napitki.

— Poznałem już ten zwyczaj.

— Obaj się rozeźmieliśmy.

— Napijiesz się?

— Najwyżej jeden kufelek.

— Przyniosę. Moja firma lubi, żeby jej ludzie płacili rachunki. To robi dobre wrażenie.

Stacja szybkiej kolei miejskiej przy Landsdowne Road mieściła się w dziwnym starym budynku, gdzie przed stuleciem odbywały się pokazy koni. Odcinek Dublin—Kingstown (jak nazywało się wówczas Dun Laoghaire) zbudowano jako drugi na świecie. Opłata za półgodzinną jazdę do Bray wynosiła 98 pensów, co naprawdę nie jest ceną wygórowaną.

Jadąc malowniczym wybrzeżem Zatoki Dublińskiej — gdy świeci słońce (co podczas mego pobytu zdarzało się jedynie wyjątkowo), zatoka przypomina swą neapolitańską odpowiedniczkę — myślałem o Nuali.

Popijaliśmy z Patrickiem piwo i rozmawialiśmy o Irlandii. Słuchałem uważnie, doszukując się aluzji do spraw poufnych, o których miałem się rzekomo dowiedzieć. W ciągu pierwszego kwadransa rozmowy nie doszukałem się jednak żadnych tego rodzaju wzmianek.

— Niektórzy są zdania, że cała ta historia była pomyłką.

— Powstanie, wojna, Wypadki?

— Właśnie. Gdyby Brytyjczycy przyznali Irlandii autonomię na początku dziewiętnastego wieku albo nawet jeszcze w następnym stuleciu, przed Wielką Wojną, cała wyspa nadal stanowiłaby część Zjednoczonego Królestwa, ludzie byłiby zadowoleni, a problem Ulsteru w ogóle by nie powstał.

— To bardzo prawdopodobne.

— Co więcej — ciągnął, trzymając rękę na kufli — skoro granice w obrębie Europy tracą rację bytu, Stany Zjednoczone Wyp Bry-

tyjskich wydają się znacznie rozsądniejszą koncepcją aniżeli istnienie dwóch odrębnych państw.

— Być może.

— Z historycznego punktu widzenia niezależna irlandzka państwowość, pozbawiona sześciu północnych hrabstw, może być postrzegana jako aberracja, nacjonalistyczne odchylenie od internacjonalistycznego kursu.

— Coś w tym jest.

Sprawił wrażenie wygadanego profesorka specjalizującego się w długofalowej analizie procesów historycznych, może geopolityka z Georgetown.

Niewykluczone, że właśnie taką miał posadę.

— Ale weź pod uwagę, że nie takie były plany irlandzkich przywódców. Z początku naród myślał, że zupełnie poszaleli. Koniec końców to Brytyjczycy pchnęli ludzi w ramiona IRA. A jednak aż do 1916 roku większości Irlandczyków żyło się całkiem wygodnie pod berłem dwoistej monarchii będącej wariantem cesarstwa austro-węgierskiego. Niektórzy uważają, że nadal byłoby to całkiem niezłe.

— Chcą powrotu Irlandii pod panowanie brytyjskie?

— Uchowaj Boże, nie w dawnym znaczeniu tego słowa, ale w ramach federacji. Parlament federacji mieściłby się wówczas w Westminsterze, a parlamenty regionalne w Dublinie, Cardiff, Edynburgu i być może w Belfaście. Byłoby to znacznie sensowniej sze.

— Może.

— Źródłem dzisiejszych problemów jest likwidacja niezależnego parlamentu irlandzkiego, który został rozwiązany Aktem Unii z 1800 roku. Z czasem, zwłaszcza przy postępującej emancypacji katolików, mógłby się on przerodzić w parlament faktycznie irlandzki, związany z Anglią poczuciem lojalności wobec Korony oraz wspólnymi interesami.

— To tylko gdybanie.

— Jasne, Dermocie, snujemy luźne rozważania. — Uśmiechnął się dobrodusznie. — Część ludzi jednak skłania się ku opinii, że wraz z wykluwaniem się zjednoczonej Europy można by rozważyć nowy układ stosunków między obiema Wyspami Brytyjskimi. Gdy do tego dojdzie, stanie się zarazem jasne, że dzisiejsze nacjonalistyczne roszczenia do utrzymywania dwu odrębnych państwowości stanowią w istocie przykrywkę dla tych samych problemów, żywotnych kwestii i interesów. W Zjednoczonej Europie nowa unia między Brytanią a Irlandią jest prawie nieunikniona — jej urok zaś polega na tym, że niemal w jednej chwili rozwiązuje problem Ulsteru.

— Może i rzeczywiście.

— Irlandczycy, którzy wcale nie czują, jak dobrze wiesz, nienawidzą do Anglików, odnieśliby się z entuzjazmem do ponownego zjednoczenia, zwłaszcza gdyby prowadziło do rozwiązania wielu obecnych problemów ekonomicznych. Spójrzmy prawdzie w oczy: gospodarczo Republika Irlandzka nie jest zdolna do życia i nigdy nie będzie. Lecz jako część większego, tak to nazwijmy: Związku Brytyjskiego, wyspa ta będzie prosperować.

— Jak w 1849 roku?

Patrick zignorował moją aluzję do Wielkiego Głodu.

— Źródłem owej idei jest założenie, że Anglicy nauczyli się czegoś na popełnionych błędach.

— Nie zawsze tak było.

— A czy anglo-irlandzka inicjatywa pokojowa nie jest znakiem, że czasy się zmieniają?... Niestety, większość współczesnych irlandzkich przywódców politycznych jest ślepo oddana symbolom z 1916 roku. Nawet jeśli nie traktują ich poważnie. Nikt nie ma odwagi wystąpić i powiedzieć: słuchajcie, musieliśmy być przez jakiś czas niezależni, by zrozumieć, na czym polega współzależność. Przyłączmy się teraz do Wielkiej Brytanii jako pełnoprawni partnerzy.

Wymyślał rzeczy nie do pomyślenia, głosząc je tak, jakby były rozsądne i nieuchronne.

— Tutejsze trudności ekonomiczne nie zmniejszą się. Za parę lat, najpóźniej pod koniec stulecia, nowe pokolenie przywódców politycznych w tym kraju, a także na Północy, zacznie głosić pogląd, że trzeba zerwać z tą głupią niezależnością i powrócić do współzależności. Obietnica lepszych warunków ekonomicznych pogrzebie wspomnienia roku 1916, które dla młodzieży i tak nie znaczą wiele.

— Brzmi to bardzo rozsądnie.

— W latach 1919—1920 Wielka Brytania była zanadto zmęczona wojną, a w Irlandii panowało zbyt silne poczucie zrozumiałego gniewu i bezsilności, żeby można było stworzyć nowy wzajemny układ, oparty na zdrowym rozsądku. Jest bardzo prawdopodobne, że w nadchodzącym stuleciu tamte lata pójdą w niepamięć, a przywódcy i ludność po obu stronach zrozumieją możliwości, jakie stworzy ponowny związek, oparty na zasadach mniej lub bardziej partnerskich.

— Mniej lub bardziej?

— Wielka Brytania jest większą wyspą, w każdej więc unii będzie większym i bogatszym uczestnikiem. To chyba oczywiste, że byłaby bardziej wpływowym partnerem.

Czyżby Patrick wierzył w ten kit, który wciskał mi z takim przekonaniem? Czy może usiłował dać mi do zrozumienia, że są ludzie, którzy w to wierzą?

— Chyba tak.

— Niemniej jednak wszelkie ekonomiczne korzyści zyskiwałby partner irlandzki.

— Można tak zakładać.

— Przyniosę jeszcze po kufelku. Żadna kobitka nie liczy.

— Będę przesłuchiwany na tę okoliczność.

— Ja też.

Obaj roześmieliśmy się. Czy Patrick jest żonaty z Irlandką? Albo z Amerykanką irlandzkiego pochodzenia? Nie ma to wprawdzie większego znaczenia, gdy chodzi o liczbę wypitych „dzbanów”.

— Na czym to skończyłem? — Postawił przede mną kufel guinnessa. — A tak, pożytki płynące z unii. Najpoważniejszą przeszkodą w osiągnięciu zjednoczenia jest brak wiary brytyjskich przywódców, a także zwykłych ludzi w korzyści, które w dłuższej perspektywie będzie czerpał zarówno silniejszy, jak i słabszy partner. W chwili obecnej Anglicy są, jak by to powiedzieć, nieco zmęczeni Irlandczykami.

— Naprawdę? — Wszystko to stek bzdur.

— Odpowiedzialni ludzie po obu stronach uważają jednak, że to pieśń przyszłości, w istocie zawsze uważali, że jest to pieśń przyszłości. Postanowili przyczać się, póki nie nadejdzie właściwa pora, by wystąpić publicznie z planem unii politycznej i ekonomicznej, która dla obu partnerów będzie nie do odrzucenia.

— Ach tak!

— Cały dowcip polega na tym, żeby przekonać obydwie narody, iż plan ten nie przewiduje powrotu do dawnych stosunków, lecz zakłada utworzenie całkowicie nowego układu w ramach zjednoczonej Europy, co za jednym zamachem rozwiązałoby kwestię Ulsteru.

— Jeśli pójdą na to nasi chłopcy i protestanci.

— Może się zdarzyć, że nie będą mieli wyboru. Świat ma już dosyć tej wstrętnej siedemnastowiecznej wojenki religijnej.

— Przez całe lata nic ich nie obchodziło, co świat sobie pomyśli.

— Nie da się ukryć. Paradoks polega na tym, że im bardziej konflikt się zaognia, tym bliżej jesteśmy dnia, w którym owi odpowiedzialni ludzie będą mogli wystąpić ze swoim planem.

— Rozumiem.

Może więc ci „odpowiedzialni ludzie” nie zawahaliby się przed pogorszeniem sytuacji w sześciu hrabstwach. Lepiej nie pytać. Reguły gry nie przewidują zadawania pytań, lecz tylko słuchanie.

— Pewnie zdajesz sobie sprawę — Patrick położył przed sobą szcuple i kształtne dłonie — że ci odpowiedzialni ludzie niekoniecznie muszą być przedstawicielami swych rządów, chociaż, mogą to chyba powiedzieć, utrzymują z tymi rządami niejakie kontakty.

— W zupełności w to wierzę.

— Chciałbym oświadczyć z całą mocą — gdy to mówił, jego oczy pozbawione były wyrazu, a twarz nie wyrażała jakichkolwiek uczuć — że owi ludzie żywią niezmierny szacunek wobec Irlandii i dołożą wszelkich starań, by nie dopuścić do odrodzenia się imperializmu, choć Bogiem a prawdą, imperializm nie stanowi już żadnej siły, o czym przekonują się obecnie nasi przyjaciele z byłego Związku Radzieckiego. Powtarzam jeszcze raz: nikt nie zamierza pozbawić Irlandczyków niepodległości. Marzeniem ludzi, o których mówię, jest utrzymanie niepodległości w nowym związku z Anglią przy jednoczesnym doprowadzeniu do poprawy sytuacji gospodarczej na tej wyspie.

— Oczywiście.

— W istocie — powiedział ściągając brwi — gdyby nie pewne nieszczęsne okoliczności, nowe stosunki można było ustanowić już w połowie lat dwudziestych naszego stulecia. Wiele doświadczonych osób po obu stronach Morza Irlandzkiego nie liczyło na powodzenie eksperymentu z Wolnym Państwem. Wedle ich scenariusza powinien był tu zapanować taki chaos, że sami Irlandczycy mieliby prosić wojska brytyjskie o ponowne wkroczenie. Przez pewien czas mało do tego brakowało, ale w końcu przywódcy Wolnego Państwa, ku zdumieniu licznych obserwatorów irlandzkich i angielskich, zdołali zaprowadzić porządek. Jednakże, sam zapewne to zauważyłeś, eksperyment z Wolnym Państwem, Republiką Irlandzką, niezbyt się powiódł. Może byłoby lepiej, gdyby od razu spalił na panewce? Wtedy ten nowy związek, o którym mówiłem, mógłby dojść do skutku w pierwszej części bieżącego stulecia, a nie następnego.

— To już nie tak długo.

— Młodzi rewolucjoniści nie byli zdolni do rządzenia — to oczywiste dla każdego, kto choć trochę zna historię. Gdyby De Valera wytrzymał na zachodzie jeszcze przez rok, najwyżej dwa lata, Wolne Państwo upadłoby, w moim przekonaniu z wielką korzyścią dla Irlandii.

Musiałbym to jeszcze przemyśleć, ale zorientowałem się już, do czego zmierza Patrick. Nie bardzo mi się to podobało.

— Tak, rozumiem.

— Mogę powiedzieć, że te osoby — by użyć określenia, które może cię zainteresować: przyjaciele moich przyjaciół — uczyniły wiele, by ostatnie porozumienie anglo-irlandzkie doszło do skutku. Choć oficjalnie chwala się je jako zapowiedź rozwiązania kwestii Ulsteru, w istocie tworzy ono podwaliny pod administrację państwową Unii Brytyjskiej.

— Bardzo to sprytnie obmyślili przyjaciele twoich przyjaciół.

Tam skąd pochodzę, mówi się o nich jako Brygadzie, Tłumie, Chłopcach z Zachodu.

— Tak, prawda? — przytaknął życzliwie. — Byłem przekonany, że chciałeś poznać również ten sposób myślenia: racjonalny, rozsądny, w pełni uwzględniający dawne błędy i bieg historii oraz obecne możliwości.

— O tak.

Dopił guinnessa. Dlaczego Langley — czy ktokolwiek inny — chce, bym zapoznał się z tymi koncepcjami? Patrick jest uroczym człowiekiem, co nie znaczy, że powinienem ufać mu bardziej niż Angeli Smythe, przez „y” i „e”.

— Bardzo mi było miło porozmawiać z tobą na ten temat. Będę z tobą w kontakcie.

— Patricku — uniosłem się z krzesła jednocześnie z nim — to zupełnie nieprawdopodobna kupa bzdetów.

— Dlaczego? — roześmiał się pogodnie.

— Nie uwzględnia siedmiuset lat historii oraz przekonania Brytyjczyków, że są lepsi od Irlandczyków.

Z wolna podążaliśmy ku drzwiom.

— Naprawdę? — wyszczerzył do mnie zęby.

— A nie powiedziałem już?

Obaj wybuchnęliśmy śmiechem.

— A czy twierdziłem, że to nie są bzdety?

— No nie.

— Wszystko to kupa gnoju.

Wracając koleją do centrum Dublina — nawet o pół do dziesiątej pociągi kursowały co piętnaście minut — usiłowałem przeanalizować rozmowę z Patrickiem. Wiele kawałków układanki zaczęło do siebie pasować. Widziałem ogólny zarys, chociaż nie cały obraz. Nie bardzo mi odpowiadał.

Motyw przewodni był ten sam co zawsze: Irlandczycy nie potrafią sami dać sobie rady, muszą się więc o nich zatroszczyć Anglicy.

Jak powiedziałem Patrickowi, to bzdety!

Ale dlaczego obchodzi to CIA — czy kogokolwiek, kogo reprezentuje Patrick?

Głosy amerykańskich wyborców irlandzkiego pochodzenia? Być może. Ale czy jesteśmy aż tak ważni?

Porzuciłem te rozmyślenia, przejeżdżając obok pogrążonych w mroku willi, domków jednorodzinnych, pól golfowych South County Dublin i trzech klubów jachtowych w Dun Laoghaire. Pomyślałem natomiast o Nuali, mając nadzieję, że zastanę ją jeszcze po powrocie.

W moim apartamencie światła były wygaszone. Obok komputera leżał schludny wydruk z następującą notką na wierzchu:

Szanowny szefie,

Oto drugi fragment. Jest dość zaskakujący. Niech mnie Bóg ma w swojej opiece, ale doskonale rozumiem tę szaloną dziewczynę.

Nie wysłałam poza twoją ostrzegawczą notkę w Nuala.doc, choć bardzo mnie kusiło.

Dzięki za możliwość popływania. I za wszystko.

Ściskam i całuję
N.

23

9 marca 1920

Poznałam go wczoraj we własnej osobie. Wielkiego Faceta. Micka Collinsa. I on sam opowiadał mi o zdrajcach, którzy by chcieli obrócić nasze zwycięstwo na swoją korzyść.

Z początku nie zrobił na mnie wrażenia. No, właściwie z początku nie wierzyłam, że to on. Wtedy nie zrobił na mnie wrażenia. Potem zdałam sobie sprawę, że wszystko, co mój Liam o nim opowiada, jest prawdą.

Z początku wydaje się, że to jeszcze jeden wygadany, przystojny, czarujący drań z Cork, o falujących włosach i kasztanowych oczach, w których igra chochlik. Potem dostrzega się to spojrzenie, pochYLENIE głowy, które mówią, że to ktoś niezwykły, jeden z największych bohaterów, jakich miała Irlandia — a przy tym człowiek o uśmiechu chwytającym za serce.

Pod wieczór niosłam pranie ze strumyka do domu. a letnie słońce stało jeszcze wysoko na niebie, gdy natknęłam się na tego gościa, który szedł sobie drogą, ubrany w tweedowy garnitur, w czapce nasuniętej na twarz i z czarną laską w ręce.

— Niech Bóg i Najświętsza Panienska mają cię w swojej opiece — odzywa się do mnie po klandzku.

— Niech i ciebie Bóg, Najświętsza Panienska i św. Patryk mają w swojej opiece — odpowiadam.

— Mogę pomóc paniencie nieść te kosze?

— To byłoby bardzo miłe z pana strony.

— Mogę zapytać o imię panienki, przy której rudych włosach słońce traci blask?

— Jak wszyscy mężczyźni z Cork — powiadam — ma pan gadane, no bo czy nie nazywam się Neli Pat Malone?

— Ach, jest mi więc przeznaczone iść dzisiaj do domu Pat Malone. To chyba niedaleko?

— Nie bardzo... i nie dosłyszałam, jak się pan nazywa.

Roześmiała się, jakbym powiedziała coś bardzo zabawnego.

— Micheal O'Coileain — powiedział, wymawiając na sposób irlandzki.

— A ja jestem Kathleen Ni Houlihan — przedstawiłam się najbezcelniej jak umiałam.

Znowu się zaśmiała.

— Cóż, Irlandia nie mogłaby znaleźć lepszego symbolu niż ty, młoda panno.

— Nie jesteś Mickiem Collinsem od Irlandzkich Ochołotników, Wielkim Facetem, co?

— Przykro mi, że cię rozczaruję, Neli Pat Malone. — Znowu się roześmiała, lecz mierzył mnie wzrokiem, jego oczy dostrzegały każdy mój ruch. — Niestety, jestem właśnie tym nieszczęśliwym.

Gdy mówię, że mnie obserwował, nie chodzi o to, że patrzył na moje włosy, twarz i ciało, choć to też nie uszło jego uwagi. Taksował mnie jako człowieka. Przez chwilę miałam wrażenie, że nie tylko rozebrał mnie wzrokiem, lecz przeszywa też wzrokiem moją nagą duszę.

Było to przerażające. Lecz i bardzo miłe.

— Bogu niech będą dzięki! — wrzasnęłam. — Pobiegnę przodem i powiem mamie i tacie.

Przytrzymał moją rękę w stalowym uścisku.

— Ach, Neli' Pat Malone, niczego takiego nie zrobisz. Nieprzyjazne oczy nie powinny widzieć, jak twój tata i mama robią zamieszanie

z powodu biednego znużonego wędrowca. To ostatnia rzecz, jakiej nam trzeba.

Zarumieniłam się ze wstydu. Co za idyjotka ze mnie.

— Nie bardzo się znam na tajnych służbach, panie Collins — powiadam, straszliwie zawstydzona.

Znowu się roześmiał, jak zawsze śmiechem szczerym i porywającym.

— Nikt z nas się na tym za dobrze nie zna, Neli Pat Malone. Czy nie będzie wspaniale, kiedy te walki ustaną i wszyscy damy sobie z tym spokój?

— Tak jest — odparłam. — Czy nie to samo mówi mój Liam?

— Twój Liam?

— Kapitan Liam Tomas O’Riada, adiutant komendanta Daniela O’Kelly’ego z Brygady Galway.

— Ach, więc to jest twój Liam, tak? No proszę, a już myślałam, że być może spotykam miłość swojego życia, tymczasem słyszę, że już jest zajęta.

Czcza gadanina, lepiej nie brać sobie tego do serca.

— Ach, panie Collins — powiadam, a policzki znowu mi płoną. — Źle się wyraziłam. To jest mój Liam, ale on chyba jeszcze o tym nie wie.

Tym razem roześmiał się jeszcze głośniej.

— Ach, silna z ciebie kobieta, Neli Pat, i czy kapitan Tomas O’Riada nie jest szczęściarzem, choć jeszcze o tym nie wie? I na miłość boską, nie nazywaj mnie panem Collinsem. Jeśli pomagam młodej kobiecie zanieść pranie do domu, czy nie powinna mówić do mnie Mick?

— Nigdy bym się nie ośmieliła!

— A nie posłuchałabyś rozkazu? — puścił do mnie oko. Czy twarz znów mi nie zapłonęła? I czy Jim Tom O’Kelly, mający wszystkiego dwa i pół roku, nie leci jak wariat przez drogę, nie patrząc w żadną stronę, i nie wpada wprost na Wielkiego Faceta?

A on, czy nie zmiata chłopaka z ziemi i nie podrzuca go do góry, a czy Tom nie śmieje się jak idyjota, którym zresztą jest?

— Dzielnym młodym Irlandczykiem. — Mick Collins stawia go na ziemi, klepie po tyłeczku i odsyła do mamy. — Walczymy dla takich jak on, prawda? I za ich przyszłość.

— Wolni obywatele — włączyłam się — w wolnej republice!

— Ach — powiada — w wolnej republice, jeśli nie damy jej zabrać nieprzyjacielowi i jego kompanom w tym kraju, zakonspirowanym w tajnych stowarzyszeniach.

— Jak Irlandzkie Bractwo Republikańskie — powiadam śmiało, choć wiem, że on jest jego przewodniczącym.

Tym razem się nie roześmiał.

— Ach, Neli Pat, przejęli od nas ten pomysł. Niech wygrają wojnę, powiadają, i niech im się wydaje, że zdobyli niepodległość, a my dalej będziemy rządzić Irlandią.

Zupełnie nie wiem, co na to odpowiedzieć, wcale a wcale, więc powracam do Jima Toma.

— Lubisz dzieci, Micku? — powiadam, dumna, że jestem z generałem po imieniu.

— O tak — powiada ze smutkiem.

— A więc nie masz własnych?

— O nie. Ani dziecka, ani żony. Przynajmniej na razie.

— Ale masz narzeczoną, prawda?

Czy nie byłam strasznie bezczelna?

— Cóż — powiada, puszczając do mnie oko — czy w Granard, w County Longford, nie mieszka Kitty Kiernan, którą uważam za swoją Kitty. Tak jak ty masz swego Liama Tomasa? Kłopot w tym, że mój najlepszy przyjaciel Harry Boland uważa, że to jest również jego Kitty. Rozumiesz, na czym polega problem?

— Rozumiem. A kogo ona woli?

— Nie dasz człowiekowi spokoju, co, Neli Pat Malone? — I znowu puszcza do mnie oko. — Jeśli zapytasz Harry'ego, odpowie ci, że Kitty woli jego. Wszyscy wiedzą, że obaj powiemy to samo. Ale jeśli zapytasz samą Kitty, powie, że Mick Collins to straszny głupek i musi się nim zająć do końca życia.

— Uważam, że to bardzo szczęśliwa kobieta.

— A ja uważam, że Liam Tomas to straszny szczęściarz.

Nie miałam czasu, by się zarumienić, bo czy nie doszliśmy już do domu?

A więc wchodzimy, Mick stawia kosz z bielizną, a mama, tata, Tim i Liam czekają na nas. Liam jest strasznie wściekły na tego nieznanego, który gawędził ze mną po drodze. Może więc jestem jednak jego Neli?

— To jest Mick Collins — powiadam niedbale. — Spotkałam go po drodze. Ma sprawę do komendanta, Liamie, a do tego umiera z głodu, mamó, po tak długim marszu.

I czy wszyscy nie otworzyli szeroko oczu?

Ten drań Daniel O'Kelly pojawił się, gdy zapadł już zmrok, i razem z moim przyjacielem Mickiem poszli na plażę, gdzie długo rozmawiali.

Liam nie musiał stać na straży, czy nie wziął mnie więc za rękę i nie poprowadził na spacer nad jeziorem? Tato był niezadowolony, ale mama skinęła głową, że się zgadza, wiedząc, że jesteśmy młodzi i że Liam może jutro nie żyć, tak samo jak ja, jeśli dosięgnie mnie zbląkana kula Brunatnych.

Nie było jeszcze całkiem ciemno, zapadał letni zmierzch. Gdy Liam ujął mnie za rękę, podałam mu ją bez słowa.

— Za każdym razem, gdy cię widzę, wyglądasz ładniej, Neli Pat. A widuję cię za rzadko.

— Wyglądasz na okropnie zmęczonego i wykończonego, Liamie — mówię. — To strasznie ciężka praca, co?

— Gdybym pracował w polu na utrzymanie siebie i rodziny, praca byłaby jeszcze cięższa, tyle że bardziej sensowna. Ale to musimy robić.

— Wygrywamy, prawda, Liamie?

— Nie mam pojęcia, Neli. Brakuje nam kul, a nie mamy pieniędzy, żeby je kupić. Generał chce się dowiedzieć, czy nasz komendant nie wie, gdzie jest złoto, które Roger Casement przywiózł z Niemiec.

— A wie, Liamie?

Staliśmy teraz na brzegu jeziora, światła znad zatoki odbijały się w wodzie, księżyc wyglądał spoza skał, a nad nami rozpościerała się spokojna cisza niebios.

— Jeśli wie, powie generałowi, prawda?

Liam chyba nie bardzo wierzył w to, co mówił. Może przejrzał już trochę tego człowieka. A jednak nadal wszyscy go uwielbiają, a najbardziej mój brat Tim.

Szliśmy sobie w milczeniu, Liam kurczowo trzymał mnie za rękę.

— Strasznie się za tobą stęskniłem, Neli Pat — powiada. — Mało nie oszaleję z tego myślenia o tobie.

Spodziewał się, że umrę z radości? Ale chyba mam prawo tak się czuć, no nie? Nawet podczas wojny?

— Widać niewiele masz do roboty — powiadam, prychając i potrząsając głową — jeśli możesz myśleć tylko o tym, Liamie Tomasiu O'Riada.

Czy nie wziął mnie więc w ramiona i nie pocałował? Od zawsze miałam nadzieję, że to zrobi. Ale objął mnie znienacka, czy z początku więc trochę się nie opierałam?

— Za kogo ty mnie uważasz, Liamie Tomasiu?

— Za moją kobietę — powiedział bardzo żarliwie.

Wtedy zupełnie osłabłam. Pozwoliłam mu się całować tyle, ile chciał. Potem, żeby mu pokazać, że nie jestem bezwolną lalką, pocałowałam go trochę dłużej.

Było cudownie.

Mogłabym tak zostać z nim do rana, ale powiedział, że musi wracać. Razem z nim, Mickiem i mamą poszliśmy rano na mszę, zanim generał wyjechał do Dublina. Zastanawiałam się, czy nie popełniliśmy wczoraj wieczorem straszliwego grzechu, ale potem doszłam do wniosku, że Bóg nie będzie nam miał tego za złe, bo kocha nas tak, jak my kochamy siebie nawzajem.

Mszę odprawiał młody ksiądz. Rozpoznał Liama, a ponieważ nie jest głupi, wcale a wcale, najprawdopodobniej poznał też Micka Collinsa. Ale nie puścił pary z ust.

Gdy zapaliliśmy świece po mszy, Mick odezwał się do mnie:

— Jeśli po wszystkich modlitwach za Liama Tomasa znajdziesz choć chwilkę czasu, odmów krótki pacierz i za mnie.

— A także za Kitty Kiernan.

Wielki Facet roześmiał się i pocałował mnie w czoło, a czy Liam nie pali się cały, by zrobić to samo, ale nie może, bo mama przez cały czas patrzy?

Oto jak poznałam Michaela Collinsa i tego samego dnia po raz pierwszy się całowałam.

Gdy to piszę, myślę, że Daniel O’Kelly pewnie powiedział memu przyjacielowi Mickowi, że nie wie, gdzie jest złoto. Ciekawa jestem, czy Mick mu uwierzył. Jeśli tak, to niesłusznie.

Daniel ciągle się tu kręci, uśmiecha się do wszystkich i rzuca mi pożądlive spojrzenia, co mi się wcale a wcale nie podoba. Dziś wieczorem wyrusza na północ z jakąś tajną misją.

Mam w głowie dwie rzeczy.

Po pierwsze — kapitan Liam O’Riada może mnie mieć, kiedy tylko zechce.

I po drugie — wiem, jak się dowiedzieć, gdzie jest ukryte złoto.

— Przeczytam ci niektóre z tych listów — oznajmiła Nuala. Przyniosła *Great Haste*, zbiór korespondencji między Michaeliem Collinsem i Catherine Kitty Kiernan.

— Nie jestem analfabetą — przekonywałem.

— Niemniej jednak zechciej posłuchać.

To załatwiało sprawę.

— Ten napisał w październiku 1921 roku. Nieszczęśnik, jest śmiertelnie zmęczony.

Odczytując mi te listy, stawała się raz Michaeliem Collinsem, raz Kitty Kiernan. Było to niezwykle widowisko — Nuala przywróciła do życia młodą parę rozdartą między wojnę a miłość, kobietę nie mogącą zrozumieć zawiłości wojny i pokoju, a także mężczyznę, który jest nią coraz bardziej oczarowany, lecz nie ma dość czasu, by kochać ją tak, jak by pragnął i jak ona potrzebuje.

12 października 1921

Kit, kochanie,

Właśnie wróciłem z kaplicy Brompton. Spóźniłem się trochę na mszę, bo samochód nie przyjechał, a nie znałem zbyt dobrze drogi. Zapaliłem za Ciebie świecę, olbrzymią. To samo zrobiłem wczoraj rano.

Tak się cieszę, że spodobała Ci się karteczka z Gresham. Napisałem ją bardzo spontanicznie, pod wpływem wielkiej tęsknoty. Myślę, że nasz układ powinien być bardziej wiążący, ale będzie taki, jakiego sobie życzysz. Czuję, że nam to wyjdzie, i to wyjdzie dobrze.

Slan leat
M.

— Chyba się zakochał — zauważyłem

— Chyba! Ale czy nie był wierzący?

— Był.

Kit, najdroższa Kit,

Piszę w pośpiechu, przed pójściem na mszę. Wiem, że potem nie będę miał okazji, bo widzę już złowieszcze oznaki czekającej mnie pracy. Ciekaw jestem, czy w tej chwili śpisz smacznie, czy właśnie się obudziłaś i wspominasz mnie. Jest 7.50.

Co myślisz o tym dzisiejszego ranka? Naprawdę dobrze się wczoraj bawiłaś? Żałuję, że nie byłem dla Ciebie miłszy, ale może w sumie nie wypadło to tak źle. Właśnie odmówiłem za ciebie różaniec.

Slan leat na dzisiaj
Twój bardzo kochający
Micheal

— Więc pojechała do Londynu?
— Tak.
— Byli kochankami?
— Skądże — zachnęła się Nuala z pogardą. — Od tego listu zbiera mi się na płacz.

Ukochany Michealu,

Nic nie jest dla mnie ważne z wyjątkiem naszej miłości. Bo co jeszcze się liczy? I na tym polega tragedia. W przyszłości muszę być bardziej rzeczowa i rozsądna — zobaczę, jak Ci się spodobam w tej postaci. Jak już wiesz, bez względu na to, co się stanie albo co możesz mi dać, najbardziej na świecie pragnę Twojej miłości... Bóg dał nam najważniejszą rzecz w życiu... Ty pierwszy pozwoliłeś mi uwierzyć w miłość.

Twoja kochająca
Kit

Gdy Nuala skończyła, łzy płynęły jej z oczu — przez chwilę całkowicie utożsaiała się z Kitty.

— Biedaczysko, czyż on jej nie kocha? Ale jest taki zmęczony, a ona tego nie rozumie. Taki zmęczony.

Najdroższa Kitty,

Wróciłem, ale jestem tak skonany, że oczy same mi się zamykają. Piszę tę karteczkę, by o tym Ci powiedzieć i żebyś wiedziała, że bardzo wiele dziś o Tobie myślę i pragnę Ci przesłać chociaż tych parę słów.

Niech Cię Bóg zawsze błogosławi. Może niedługo się zobaczymy.

Twój
Micheal

— Czy to nie słodkie? — zapytała.
— Owszem, ale ona nie rozumie, o jaką stawkę idzie.

— Zupełnie, biedna kobieta. No bo i skąd? Czy list o tym nie świadczy?

Znowu stała się Kitty Kiernan.

— Teraz na pewno już śpią ze sobą — przekonywałem.

— Zachowaj dla siebie te świńskie męskie myśli — skarciła mnie.

— Absolutnie nie... a gdyby tak, to nie miałabym jej tego za złe. Ale czy nie widać, że jest szczęśliwy i dumny?

Najdroższa Kitty,

Jestem dziś najszczęśliwszym Irlandczykiem na świecie. Myślami jestem teraz przy Tobie, Tobie poświęcam wszystkie moje życzenia i uczucia. Właśnie przejąłem Zamek Dubliński i piszę tę karteczkę czekając na zebranie Rządu Tymczasowego. Co o tym myślisz? Widzę przed sobą najrozmaitsze trudności, ale to nieważne. Przyjedź jutro wieczorem — przyślij telegram. Jeśli Ci się nie uda, to w środę. Przekonałem się, że nie ma takiej drugiej jak Ty, i żałuję, że nie byłem dla Ciebie miłszy. To moja wina.

Twój bardzo kochający

Micheal

Nuala lkała w moich ramionach, ja zaś byłem zachwycony tą sytuacją, mimo solennych postanowień, że będę się opiekował tą wrażliwą istotą. Mając świeżo w pamięci proste i wzruszające listy miłosne dawno już nieżyjącej pary, jakże mógłbym odczuwać pożądanie?

Niestety, łatwo mi to przyszło.

25

— Zadowolony jesteś? — wypytywała Nuala, gdy przewijałem taśmę wideo z nagraniem *Shadow of Bealnablath*, miniseriału RTE (irlandzkiej telewizji) ukazującego okoliczności śmierci Michaela Collinsa.

— Absolutnie nie. A ty?

Zastanawiała się przez chwilę.

— Właściwie nie, Dermocie Michaelu. Nie uważasz, że wszystko tu za dobrze do siebie pasuje, za gładko leci?

— Jak na ślizgawce.

Znajdowaliśmy się w moim hotelowym apartamencie, był już późny wieczór dość pracowitego jak na mnie dnia.

Gdy wróciliśmy z basenu, Nuala już na mnie czekała. Miała w zanadru niespodziankę: książkę, którą kupiła w księgarni Freda Hanny'ego, *The Day Michael Collins Died* (Dzień, w którym umarł Michael Collins). Dołączone było do niej wideo, a Nuali udało się jakoś skombinować z telewizji film. Oczy dziewczyny płonęły.

Zerknąłem na książkę. Najważniejsze fragmenty podkreślone były żółtym mazakiem.

Książka powtarzała wersję, która obecnie uchodzi już niemal za oficjalną: Collins zginął od kuli dum-dum, wystrzelonej przez pochodzącego z Kerry Denisa „Sonny” Neilla, który jeszcze kilka godzin później nie wiedział, kogo zastrzelił.

Na pierwszy rzut oka widać było, że są to tylko poszlaki: teoria pasuje do danych, ale dane nie potwierdzają teorii w sposób niezbity.

— Później obejrzymy taśmy — powiedziałem Nuali. — Zaraz gdy się przebiorę, idziemy na przyjęcie do rezydencji burmistrza.

— Za nic w świecie tam nie pójde — opierała się.

— Ależ owszem. Przyjechał burmistrz Chicago wraz z małżonką. To sąsiedzi mojej rodziny z Grand Beach — takiego letniego kurortu na przeciwległym brzegu jeziora Michigan. Dostałem zaproszenie i muszę się z nimi zobaczyć.

— Czy to nie za wielkie szczyty dla kogoś takiego jak ja?

Nie miałem zamiaru jej mówić, że George na pewno dał cynk do biura burmistrza o mojej obecności w Dublinie i załatwił dla mnie zaproszenie. Chciał otrzymać sprawozdanie na temat Nuali od pierwszej rodziny w mieście. Sprytna sztuka, ten mój pobożny brat.

— Ależ skąd, Nualo Anne, to Irlandczycy i bardzo mili ludzie. Ona pochodzi z rodziny z Galway.

— Nie jestem odpowiednio ubrana na spotkanie z burmistrzem.

— Ależ owszem.

— Jesteś pewien?

— A mówiłbym tak, gdybym nie był?

Poszedłem do sypialni, by ubrać się na przyjęcie w swój najlepszy szary garnitur i krawat w trzech narodowych barwach Irlandii, na których w poprzek nadrukowano sztandar amerykański.

Żeby nie było najmniejszych wątpliwości.

Gdy wyszedłem, Nuala, w płaszczu, już na mnie czekała. Na jej twarzy malowało się powątpiewanie.

— Czy mam się im uklonąć?

— Na miłość boską, Nuala! Tylko jeśli masz zamiar wprawić ich w straszliwe zażenowanie. Ja wygrywam z nim w golfa, a ona wykańcza mnie na korcie. To moi przyjaciele.

Była rozdarta między chęcią ujżenia lorda burmistrza Chicago — jak go z uporem nazywała, chociaż jej tłumaczyłem, że to zwykły burmistrz — a nieśmiałością.

Nuala bez trudu potrafiła zachować zimną krew wobec anglo-irlandzkich arystokratów na ich własnym gruncie, lecz na myśl o Irlandczykach z Bridgeport wpadała w popłoch.

Może prawdziwa Nuala rzeczywiście była bardzo nieśmiałą istotką.

Takie właśnie wrażenie nieśmiałej istotki stworzyła na przyjęciu w Okrągłej Sali rezydencji przy Dawson Street — ślicznej, słodkiej, nieśmiałej dziewczynki. Daleyowie polubili ją od razu, czego zresztą można się było spodziewać.

George'owi zostaną przekazane dobre recenzje.

— Książd George — uśmiechnął się do mnie burmistrz tym szczególnie uśmiechem, który wydaje się skierowany tylko do ciebie — powiedział, że powinniśmy sprawdzić, jak się sprawujesz. Dobrze wyglądasz.

— O tyle, o ile to możliwe, skoro dostałem się w ręce kobiety z Galway — odparłem. — Rodzina pani Daley — zwróciłem się do Nuali — pochodzi z Galway. Wszyscy wiemy, że prawdziwa Irlandia zaczyna się dopiero od Shannon.

Oboje roześmiali się, Nuala uśmiechnęła się uroczo, ale nic nie odrzekła.

— Z której części Galway? — spytała pani Daley. — Nigdy tam nie byłam, ale może następnym razem.

— Connemara — wyszeptała i było to jedyne słowo przez nią wypowiedziane podczas całego spotkania.

Oczarowała ich zupełnie — czego się zresztą spodziewałem.

— To absolutnie wspaniali ludzie — poinformowała mnie później, gdy zśliśmy ku błoniom. — Tak się miło uśmiechają.

— Doniosą na ciebie George'owi.

— I co mu powiedzą? — wyglądała na zakłopotaną.

Nie na tyle jednak, by nie wsunąć paru szylingów do ręki młodego podróżnika — co jest politycznie poprawnym określeniem wędrownego druciarza, czyli irlandzkiego „Cygana”, jak nazywa się też tych biedaków — który żebrał na ulicy.

— Ze jesteś uroczą, słodką, nieśmiałą młodą kobietą, która bez wątpienia dobrze się o mnie zatroszczy.

— To chyba nieprawda? — uśmiechnęła się łobuzersko.

— Po waszej rozmowie telefonicznej George nie będzie już taki pewny. Z drugiej strony wie, że Daleyowie raczej dobrze znają się na ludziach, toteż po części w to uwierzy. Nie będę odzierał go ze złudzeń.

— Brutal — popchnęła mnie lekko, niezmiernie z siebie zadowolona.

W istocie George oceni ją właściwie i powiadomi rodziców, że naprawdę poznałem miłą dziewczynę, że kosa trafiła na coś cenniejszego niż kamień.

— Nie idziemy tędy — powiedziałem, gdy skręciła w lewo, w stronę mojego hotelu.

— A dokąd idziemy? — przystanąła i spojrzała na mnie podejrzliwie.

— Zabieram cię na kolację.

— Dokąd?

— Nieuprzejmie o to pytać.

— Wyglądam jak trzeba? — spytała, ogarnięta nagłą paniką.

— Pewnie nie, ale będę musiał się z tym pogodzić.

Znowu mnie szturchnęła, tym razem z jeszcze większą czułością. Podążaliśmy ku zachodowi, wzdłuż błoni i wyszliśmy akurat na nowe centrum handlowe, naprzeciwko Gaiety Theater.

— Muszę siostrzenicy w Ameryce posłać na urodziny krzyż św. Brygidy. Możemy tu wstąpić?

— Jasne, nie mówiłam ci, że jestem materialistką i sama bałam się tu wejść?

Bała się centrum handlowego?

— Zerknij w lewo — powiedziałem, gdy weszliśmy do budynku osłoniętego szklanym dachem. — Bielizna, której dwadzieścia lat temu nie włożyłyby nawet dziwki, teraz jest ortodoksyjna, a bogobojne matrony kupują ją i nakładają na siebie. To zguba Irlandii.

— Wodzi na pokuszenie — powiedziała nieszczęrze Nuala, uważnie przyglądając się wystawie. — Kompletny upadek.

— Spójrz na tę młodą kobietę. Pokazuje zakłopotanemu mężowi skandaliczny rąbek białej koronki, co wstrząsnęło nim do głębi. Powiadmam ci, Nualo Anne, że rasa irlandzka pójdzie przez te bezeceństwa na zatracenie.

— Ach, czy może być inaczej? Ale biedaczysko będzie miał uciechę, ściągając z niej te fatałaszkę.

— Nie taką jak ona, gdy będzie z niej to ściągał. Kobiety są siedliskiem zła.

— O tak, czy można zaprzeczyć?
— Biskupi powinni coś zrobić w sprawie takich gniazd rozpusty, nie uważasz?

— Na pewno coś poradzą. A co innego im pozostaje?

Wciąż chichocząc, weszliśmy do sklepu jubilerskiego, gdzie Nuala zajęła się kupowaniem krzyża św. Brygidy dla mojej siostrzenicy, Bridy Maeve Ready.

Niewiele miałem do powiedzenia w tej sprawie. Cenę poznałem dopiero wówczas, gdy wręczono mi rachunek, wcześniej nie ośmieliłem się zapytać.

— Takie miejsca zrobią ze mnie straszliwą materialistkę — westchnęła, nie mając najmniejszego poczucia winy.

Gdy wyszliśmy, znów pomknęła do sklepu z bielizną. Podniecony, poszedłem za nią.

— Miło byłoby to mieć, nie uważasz? — Podniosła srebrnoczerwoną szmatkę, która nie była całkowicie przezroczysta, ale niewiele jej do tego brakowało.

— Nualo...

— Sama to sobie kupię — nalegała. — Nie mam nic takiego, a kobieta nigdy nie wie, kiedy będzie czegoś podobnego potrzebować.

Zapłaciła za halkę — tak się to chyba nazywa — gotówką, wcisnęła paczuszkę pod pachę i z wysoko podniesioną głową wymaszerowała ze sklepu, ja nadal sunąłem za nią w charakterze osoby towarzyszącej.

W tej grze, którą prowadziliśmy ze sobą, przegrywałem sromotnie.

— Jak uważasz, Dermocie Michaelu — zapytała już na ulicy, gdy mijaliśmy Chicago Pizza Factory — dobrze mi będzie w tym nieprzyzwoitym stroju?

— Nie chcę nawet sobie tego wyobrazić, Nualo Anne.

Roześmiała się hałaśliwie, doskonale wiedząc, że już to zrobiłem.

— Czy tu wstępujemy, by złożyć cześć Chicago?

— Nie, kobieto.

Dała drobne kolejnemu małemu podróżnikowi.

Wydałem westchnienie ulgi, gdy wreszcie wprowadziłem ją do White'a na błoniach, jednej z najlepszych restauracji w Dublinie. Nuala rozejrzała się niepewnie, badając teren i chcąc się zorientować, jak powinna się zachowywać. Zdecydowała się na rolę wielkiej damy, może nie całkiem księżnej, ale kogoś, kto już tysiące razy jadał w lepszych restauracjach.

— Zamówisz coś dla mnie, Dermocie Michaelu? — błagała.
— Nie potrafię nawet przeczytać menu.

Spełniłem jej życzenie — grzyby z czosnkiem, a następnie wędzony pstrąg morski. I po kieliszku białego wina. Spałaszowała pstrąga.

— Mogę wypić jeszcze jeden kieliszek wina, Dermocie Michaelu?

— Chyba tak. — Westchnąłem, jakbym nie był absolutnie oczarowany towarzyszącą mi zachwycającą damą.

Przynajmniej nie kazała mi płacić za bieliznę.

— Jest pan dziwnym człowiekiem, panie Coyne. — Przyglądała mi się znad kieliszka. — Bardzo dziwnym.

— Naprawdę? — Stwierdziłem, że się rumienię.

— Nie patrz na mnie tak, jakbym sprawiła ci przykrość. Nie mam zamiaru cię krytykować. Nie znam zbyt wielu mężczyzn, ale z pewnością mało jest takich jak ty. Jesteś miły, słodki i dobry — jej oczy zaczęły lekko wilgotnieć — oraz pełen szacunku, a te twoje srebrzystozielone oczy widzą wszystko i chciałyby wszystko uleczyć. Sięgnęła po chusteczkę. — A teraz rozplączę się dlatego, że jesteś taki cudowny.

Wyciągnęła rękę, dotknęła mojej, a potem szybko cofnęła dłoń.

— Dzięki, Nualo — mój głos brzmiał ochryple.

Para sentymentalnych Irlandczyków, która rozkleiła się po wypiciu półtora kieliszka wina na głowę. Wróciliśmy do hotelu, przeczytaliśmy książkę Medy Ryan i obejrzelśmy taśmę, którą wyreżyserował Colum Connolly. On też był narratorem.

Od samego początku nie ulegało wątpliwości, że mamy do czynienia z próbą zatarcia śladów — nie było sekcji zwłok, dochodzenia, określenia rodzaju rany czy też ran. Nic dziwnego, że teorie spisku szerzyły się od tak dawna. Czy zginął z rąk kogoś z własnych ludzi czy od kuli Emmeta Daltona, obawiającego się wojny przeciw protestantom na Północy albo zbyt pospiesznego pokoju z Ochotnikami?

Ta teoria przestała już być prawdopodobna, ponieważ niektórzy bojownicy IRA, ongiś uczestnicy tamtej zasadzki, ujawnili prawdę przed śmiercią, po latach głoszenia kłamstw.

Ale czy rzeczywiście powiedzieli prawdę?

Skąd można mieć pewność?

Skąd oni mogli mieć pewność?

Wygląda na to, że po wycofaniu się z Cork grupa oficerów IRA spotkała się na strategicznej naradzie w Bealnablath. De Valera

był tam z rana, lecz wyjechał powiadomiony, że Collins jest w okolicy i zagraża mu śmierć w straszliwej zasadzce. Wyraził nadzieję, że Collins uniknie śmierci, gdyż jest silnym człowiekiem, silny człowiek zaś będzie w stanie zawrzeć pokój. Słabi ludzie dalej prowadziliby wojnę.

Długi Facet miał rację. Tysiące zginęły w wojnie, którą Collins mógłby zakończyć w owym tygodniu.

Tego ranka konwój Collinsa wyruszył z Crookstown (gdzie komendant spotkał się z „neutralnym” oficerem, rzecznikiem pokojowego wyjścia) i stamtąd podążał przez Bealnablath w kierunku Bandon i Clonakilty, gdzie Collins miał odwiedzić brata w domu rodzinnym — i porozmawiać z jeszcze jednym „neutralnym” wysłannikiem.

Motocyklista prowadzący konwój zatrzymał członka IRA (oczywiście nieumundurowanego), by go zapytać o drogę do Newcestown. Człowiek ten rozpoznał Collinsa i doniósł do pubu, gdzie trwała narada, że Collins jest na drodze do Bandon i potem najprawdopodobniej będzie wracał tą samą trasą.

Oficerowie rozważali przygotowanie zasadzki. Nie zależało im na śmierci Collinsa, ale też nie chcieli, by Cork zajęła Armia Narodowa, uznali więc, że trzeba walczyć.

Czy zdawali sobie sprawę, że jeśli urządzą zasadzkę, mogą go zabić?

Toczyła się wojna i mogli nie pomyśleć o takich rzeczach. Mogli również wierzyć, że kule się go nie mają, o czym on sam był najwyraźniej przekonany.

A więc przygotowali zasadzkę, zakładając zdalnie sterowaną minę. Czekali przez cały dzień, a potem, uznając, że konwój wraca do Cork inną trasą, stopniowo się porozchodzili. Gdy zaczynało zmierzchać, przy dróżce powyżej szosy zostało tylko czterech mężczyzn (oraz grupki ludzi z Kerry, wałęsających się po przeciwległym wzgórzu, o czym nikt poza nimi nie wiedział). Dwu z nich zeszło usunąć minę, by następnego ranka jakiś wieśniak nie padł jej ofiarą.

Potem ukazał się konwój. Dwóch zamachowców, którzy właśnie rozbroili minę, pobiegło na górę i zaczęło strzelać. Żołnierze odpowiedzieli ogniem.

Nikt nie strzelał zbyt celnie. Gdy żołnierze skierowali się ku drodze na wzgórzu, czterech Ochotników wycofało się, nadal strzelając. Część bojowników, która się przedtem wycofała, zaczęła teraz wracać na miejsce starcia. Przez kilka minut kule padały gęsto, ale nikt, po żadnej stronie, nie został ranny.

Potem nastąpiła cisza. Ogień Armii Narodowej osłabł. Collins wyszedł zza samochodu, gdzie dotąd się skrywał. Strzelanina wybuchła na nowo.

Zarówno wedle filmu, jak i książki Collins zginął od kuli wystrzelonej podczas odwrotu. Snajperem był „Sonny” Neill, niegdyś żołnierz armii angielskiej, pierwszorzędny strzelec. Przez pomyłkę załadował on broń kulami dum-dum, skradzionymi Brunatnym. Nie miał pojęcia, kogo trafił, bo celował ze znacznej odległości, w zmierzchającym świetle dnia, a w dodatku widok zasłaniał mu żywopłot przy drodze. Dopiero po paru godzinach Ochotnicy dowiedzieli się, że zabili Collinsa. Niektórzy otwarcie płakali.

W ponurej dolinie znalazły się cztery różne ugrupowania: Armia Narodowa, resztki zamachowców, bojownicy, którzy opuścili zasadzkę i ponownie tam pospieszyli na odgłos strzałów, oraz dwie grupy ludzi z Kerry, którzy wycofywali się skrajem wzgórz leżących naprzeciw miejsca, gdzie urządzono zasadzkę.

Każdy mógł wystrzelić śmiertelny nabój.

Sprawę komplikował jeszcze rodzaj rany — ciężki postrzał w kark spowodowany być może rykoszetem lub pociskiem z mauzera, który padł z tyłu, albo też szrapnelem z broni któregoś z uchodzących drogą czy kulą dum-dum, wystrzeloną z przeciwnego wzgórza.

Na taśmie zarejestrowano fragmenty przerażającej rozmowy między Medą Ryan a Columem Connollym na temat charakteru rany i kierunku, z którego padł pocisk.

Twierdzenie rodziny Collinsa (przedstawione na taśmie wideo), że w tej chwili nie ma znaczenia, kto go zabił, wydaje się rozsądne, tak samo jak ich sprzeciw wobec ekshumacji, która miałaby wykazać, czy śmiertelna rana ma charakter wlotowy czy wylotowy — chyba że ktoś byłby opętany teorią spiskową, tak jak ja. Kula dum-dum mogłaby stanowić rozwiązanie, które podsunięto w celu wyjaśnienia tajemnicy.

Fatalny pocisk mógł być wystrzelić „Sonny” Neill, ale i każdy z mężczyzn obecnych tam w dogasającym świetle późnego sierpniowego popołudnia.

Wywiad IRA niemal natychmiast stwierdził, że mordercą był „Sonny” Neill, a on sam najwyraźniej też tak uważał.

Lecz czy wersja z dum-dum nie była wytłumaczeniem, które wymyślili, by przekonać samych siebie, a przed całą resztą skrywali tajemnicę przez pół stulecia?

Nikogo, kto potrafiłby odpowiedzieć na to pytanie, nie ma już wśród żywych.

Tajemnica pozostaje niewyświetlona.

Program RTE był zrobiony umiejętnie i poruszał serca widzów. Rozpoczął się od rekonstrukcji zasadzki w Bealnablath, potem opowiedział historię krótkiego życia Collinsa i o jego wyjątkowych osiągnięciach, a wreszcie usiłował rozwikłać tajemnicę jego śmierci. Podobnie jak w książce Ryan, pokazano zdjęcia Kitty i przytoczono fragmenty ich korespondencji. Bezsprzecznie ukochana Collinsa była piękną — i czarująco się uśmiechała.

Nic dziwnego, że Mick się w niej zakochał mimo jej marnego zdrowia i niemożności zrozumienia wymogów życia publicznego, a zwłaszcza roli, którą przyszło odgrywać w nim Collinsowi.

Zauważyłem również, że nie była tak piękna jak Nuala.

Bo też niewiele dziewcząt mogło się z nią równać.

Ta godna szacunku młoda kobieta oglądała wideo — na odtwarzacz pożyczonym z dyrekcji hotelu (kierownictwo jadło jej teraz z ręki) — okazując wyraźne wzruszenie. Z podwinionymi nogami siedziała w saloniku na kanapie, trzymając chusteczkę w jednej ręce i mocno zaciśnięte palce drugiej.

Gdy rzuciłem jakąś uwagę, polecono mi ostro, bym siedział cicho. Natomiast ona wydawała z siebie westchnienia, sapnięcia, okrzyki protestu i szloch.

Gdy scenarzysta, któremu nie udało się napisać scenariusza do filmu o Michaelu Collinsie, stwierdził, że komendant zdradził Kitty w Londynie z kobietą o nazwisku Hazel Laverty (żoną artysty, urodzoną w Chicago) i przystępował do świętokradczej komunii, myślałam, że moja przyjaciółka przedrze się przez ekran telewizora, by wydrapać mu oczy. Na szczęście dla wszystkich zainteresowanych Colum Connolly przedstawił dowody, które zadały kłam tym oszczerstwom.

Kiedy taśma dobiegła końca i Nuala spytała mnie o zdanie, wyglądała żałośnie i bezradnie, choć nadzwyczaj uroczo.

— To przypomina śmierć Johna Kennedy'ego, Nualo. Pewnie nigdy nie dowiemy się prawdy. IRA uważa, że to ona ponosi odpowiedzialność za tę śmierć, lecz nie chce się przyznać, bo Collins był powszechnie tak bardzo lubiany. Nie oznacza to jednak, że powiedzieli wówczas prawdę ani że w ogóle znali prawdę. Dopasowali wyjaśnienie do faktów, jakimi dysponowali. Podobnie postąpili Meda Ryan i Colum Connolly. Przypuszczalnie mają rację. Jednak...

— Ale nim będziesz zupełnie pewien, że nie masz się czym przejmować, chciałbyś jednak wiedzieć, co twoja babcia pisze w dzienniku.

Jeśli chcesz, zerknę parę stron naprzód. Trochę to jednak trudne, bo pisze drobnym pismem, nie uważasz?

— Nie rób tego, Nualo. Nie ma pośpiechu. Chcę sprawiedliwie podejść do jej opowieści. Czytajmy ją tak, jak Ma pisała.

— Zgoda — skinęła głową.

— A więc załatwione jednogłośnie. A teraz, młoda kobieto, lepiej zbieraj się do Chapel Row, zanim wstanie słońce. Weź taksówkę na mój rachunek. Możesz wrócić rano i zabrać rower z tego miejsca, gdzie znajomi pozwolili ci zaparkować.

— Zrobi się — odparła, wstając powoli. — Człowiek jest strasznie kruchą istotą, nie uważasz, Dermocie Michaelu?

— Strasznie. Właśnie dlatego, że jest człowiekiem.

— Prawda?

26

Następnego dnia Nuala przyszła ubrana w niebieski kostium i jasnoniebieski sweter. Prawdopodobnie kupiła też jasnoszary sweter, pasujący do szarego kostiumu — czyli miała cztery stroje wyjściowe, niczym rzucający piłkę w baseballu. Ale ponieważ pracowała cztery dni w tygodniu, można uznać, że to wystarczy.

Nie przychodzi do pracy w dżinsach i bluzie. Jeszcze nie.

Czekałem na nią ubrany w spodenki kąpielowe i szlafrok.

— Nie masz nic przeciwko temu, że dziś z tobą popływam, Nualo? O pół do piątej muszę iść na przyjęcie do Royal Gallery.

— Przecież to twój basen, no nie? A poza tym będziesz zadowolony dopiero, jak mnie zobaczysz w bikini, chociaż jestem za gruba i za wysoka.

Udałem, że klepię ją po tyłku.

— Powiedziałem ci już, kobieto, żebyś przestała siebie nienawidzić.

Nieoczekiwanie nie uchyliła się, toteż moja ręka zetknęła się z jędrnym, jakże jędrnym pośladkiem. Rozbawiło ją moje zakłopotanie.

— Ale z ciebie brutal — zachichotała. — Może jesteś Olbrzymem?

— Może i jestem. Zbieraj się, kobieto, nie mogę czekać cały dzień.

Olbrzym. Czy któregoś dnia opowiedzieć jej o tej całej aferze?

Uznałem jednak, że nie ma sensu zawracać jej głowy tamtą zagmatwaną historią, póki nie będzie to absolutnie konieczne. Miałem nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie. Jeśli Ma rzeczywiście wiedziała, gdzie jest złoto, możemy być na dobrej drodze do rozwiązania tej zagadki — jeśli złoto ma jakiś związek ze śmiercią Collinsa, co jest bardzo prawdopodobne.

Czy nie zauważyłem, wcale a wcale, ostatnich słów z listu Nuali do mnie?

Jasne, że zauważyłem. Tłumaczyłem sobie jednak, że naprawdę wcale nie miała tego na myśli. Pewnie zawsze używa takiej formułki na zakończenie listu. Zgadza się?

Nuala wyłoniła się z łazienki ciasno owinięta szlafrokiem, który jeszcze mocniej przytrzymywała rękami.

— Gdy przepisuję dziennik twojej babci na komputerze, słyszę jej głos, mówiący mi wprost do ucha — powiedziała. — Zupełnie jakby siedziała tu w pokoju i rozmawiała ze mną. Bardzo dziwne.

— Dosłownie? — Staliśmy przy windach.

— Niezupełnie. Uważasz, że jestem szurnięta?

— Absolutnie nie. Jesteś jedną z najmniej szurniętych kobiet, jakie znam — w każdym razie w tym sensie.

Szturchnęła mnie w ramię.

— Nie interesuje mnie, pod jakimi względami twoim zdaniem jestem szurnięta... Czuję, jakby była tuż przy mnie i chroniła od złego, może gdzieś zapala za mnie świeczkę i cały czas mi się przypatruje.

— A nie chroni swego ukochanego wnuka?

— Och, czuwa nad nim cały czas.

— Powiedziała ci to? — Cofnąłem się, by mogła swobodnie wyjść z windy.

— Nie w tym sensie, bym słyszała dokładnie jej słowa, ale, och, Dermocie, powiesz, że jestem szurnięta, ale czuję to tak silnie jak nigdy.

— Czy będzie cię chronić przede mną, Nualo Anne McGrail?

— Nie powiedziałam już, że z tobą sama sobie poradzę? — Znów mnie szturchnęła. — Daj spokój, chodźmy lepiej popywać, żeby ci przeszły takie zachcianki.

— Czy nie staną się jeszcze gorsze?

— Sądząc z tego kawałka opowiadania, który przeczytałam, gorsze już być nie mogą. — Mimo szorstkich słów uśmiechnęła się do mnie czule. Może rzeczywiście brała poważnie ostatnie słowa listu.

Co mam w związku z tym robić?

— Może wskoczmy do basenu z wirami? — spytałem, gdy ze-
śliśmy do części sportowej hotelu.

— To byłby straszny grzech. — Podejrzliwie spojrzała na to nie-
przyzwoite urządzenie.

— Nie musisz.

— Nie bardzo umiem opierać się pokusom.

— To nic trudnego — zrzuciłem szlafrok. — Po prostu wchodzisz
do basenu i naciskasz guzik. — Zanurzyłem się w ciepłej wodzie.

— Nic tak dobrze nie robi w zimny jesienny wieczór w Dublinie.

— Hmm. — Zdjęła szlafrok, a we mnie zamarło serce. Nie byłem
pewien, czy jeszcze kiedyś znowu zacznę bić.

Jak powinienem był przewidzieć, Nuala Anne McGrail zsunęła
z siebie szlafrok, przykrywający mikroskopijny kostium, ze swobodą
kobiety, która na oczach mężczyzn robiła to już po tysiącokroć, a nie po
raz pierwszy.

W kwiecistym kostiumie, który uznano by za pruderyjny na plaży
w Copacabanie, przechodziła moje najśmielsze oczekiwania.

— No chodź — popędzałem ją. — Nic ci nie będzie.

Zanurzyła stopę, o przyzwoitej numeracji, żadną tam małeńką
stopkę.

— Święta Brygido, Patryku i Columcille! Chcesz ugotować mnie
żywcem?

Wyciągnąłem rękę i pomogłem jej wejść w wodny wir.

— Po chwili się przyzwyczaisz.

Zanurzyła się i westchnęła.

— A nie mówiłam, że to ciężki grzech?

— Wobec Boga, w którego nie wierzysz?

— Czy chciałaabym Ją rozgniewać, gdyby naprawdę istniała?

— Odrzuciła głowę i zamknęła oczy, na moment w harmonii ze świa-
tem i wszelkim stworzeniem.

Zauważyłem, że zajmuje sporo miejsca w basenie — miałem przed
sobą wysoką silną kobietę, bardzo zgrabną, aż zapierało dech w pier-
siach, ale w żadnym wypadku nie filigranową. Była szczupła, lecz
mocno zbudowana, o bardzo pociągających wypukłościach. Długie
kształtne nogi miały rozwiniętą muskulaturę. Nuala prezentowała się
nadmierzają atrakcyjnie, a znaczną część jej wdzięków mogłem podzi-
wiać bez przeszkód.

Mówiła mi, że jako smarkata grała z chłopakami w hokeja. Kiedy te
silne młode ramiona zamachnęły się kijem, mogły wyrządzić krzywdę.

Nie pasowało do niej porównanie z Dianą. Nie, była raczej Sionną lub Bionną albo jedną z tych atletycznych celtyckich bogiń, z którymi niebezpiecznie było zaczynać.

— Przystań o mnie myśleć w taki sposób. — Kopnęła mnie w stopę.

— Masz zamknięte oczy. Skąd wiesz, o czym myślę?

— Cicho bądź. — Zanurzyła się głębiej. — Przyszłam tu, żeby odpocząć, tak czy nie?

— Tak, proszę pani... Właściwie to zastanawiałem się, jaki sport uprawiasz w college'u?

Zarumieniła się.

— Gram trochę w irlandzki futbol, oczywiście w drużynie żeńskiej. A więc myślałaś, że wyglądam jak atletka?

— Tak naprawdę to usiłowałem sobie wyobrazić, jak wywijasz kijem do hokeja.

Otworzyła oczy i uśmiechnęła się.

— Mam jeden u siebie w pokoju, na wypadek gdybym musiała się przed kimś bronić. Pamiętaj o tym, Dermocie Michaelu.

— Będę pamiętał.

Ujęła mnie za rękę. Gdybym rzeczywiście był tym bohaterskim obrońcą, za jakiego się uważałem, delikatnie bym ją wycofał.

Powiedziałem sobie, że lepiej już, by moja ręka spoczywała w jej dłoni niż na jej piersi — gdzie naprawdę chciałem ją położyć. Robiłem co mogłem, by nie patrzeć na zarys jej sutków, wyraźny na tle stanika, i powstrzymać się od dociekań, jak też mogą smakować.

Pomyślałem, jak bardzo nienawidzę college'u, i to pomogło.

Nuala westchnęła. Co Ma szeptała jej do uszka na mój temat? Czy wydawało się jej, że to babcia kazała, by zakończyła list słowami dającymi tyle do myślenia?

— Ach — znów westchnęła, ciągle z zamkniętymi oczami — wmawiają mi, że nie ma to jak seks, ale taka kąpiel chyba jeszcze bardziej odpręży.

Sygnał dla potencjalnego kochanka, że jest dziewicą?

Czy zdawało się jej, że i to wyszeptano Ma?

A jeśli się jej nie zdawało?

Nuala naprawdę odznacza się dużą wrażliwością, nie mam co do tego wątpliwości. Wyczuła, odgadła czy w jakiś inny sposób się dowiedziała, że utraciłem na zawsze ukochaną kobietę. Ma również miała ten dar.

— Po prostu umie zgadywać — powiedziałaaby moja matka. — Lubi udawać, że jest trochę czarodziejką.

Dwie czarodziejki z tego samego miasteczka w zachodniej Irlandii
— czy mogłyby się rozumieć, mimo że jedna z nich już nie żyje?
Przejął mnie dreszcz, choć woda była gorąca.
Ma wciąż strasznie się martwiła, że „źle się ożenił”.
Mówiła o Kel, że jest „uroczą dziewczyną, ale nie wiem, czy doce-
nia to, co warto w tobie cenić, Dermocie Michaelu”.
Christina była „tą małą makaroniarą”.
Co powiedziałyby o mojej młodej przyjaciółce z Carraroe?
Nie może tu być wątpliwości. Żadnych, wcale a wcale.
Czy Ma powstałaby z grobu, żeby wtrącać się w moje życie miłos-
ne?
Gdyby mogła, niewątpliwie by to zrobiła.
Znowu zadrżałem.
— No i co? — Nuala otworzyła oczy i wpatrywała się we mnie.
— Z czym?
Czyżby ta mała wiedźma czytała moje myśli?
— Nie masz nic do powiedzenia na temat prawie nagiej kobiety?
Nie chcę się gapić, bo uznasz, że jestem źle wychowany.
— Ha!
— Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałem, Nualo
Anne McGrail. Nigdy się nie spodziewałem, że zobaczę kogoś tak
pięknego. Ale nie chciałem się na ciebie nachalnie gapić, jakbyś była
obiektem seksualnym.
— Nigdy mi się nachalnie nie przyglądałeś, Dermocie Michaelu
Coyne. Być może pożądliwie, ale nigdy nachalnie. Prawdę mówiąc
— uśmiechnęła się czule, a serce we mnie znowu zamarło — nie
sądzę, byś potrafił zmienić kobietę w obiekt seksualny, nawet gdybyś
chciał.
Z kolei ja się zarumieniłem.
— Mam nadzieję, że to prawda.
— Czuję się zakłopotana, kiedy tak na mnie patrzysz — znowu
przymknęła oczy. — Ale to miłe uczucie.
Gdy zdruzził się nam basen z wirami, wyskoczyliśmy z niego, po-
mknęliśmy do wewnętrznej części basenu i przepłynęliśmy pod ścianką
działową do części zewnętrznej. Padał deszcz i zabawa stała się jeszcze
lepsza. Ścigaliśmy się, dokazywaliśmy, walczyliśmy, mocowaliśmy się
i bawili w wodzie, co młodzi kochankowie czynią od czasów, gdy ludz-
kość odkryła, że woda nadaje się do czegoś jeszcze prócz picia.
Pływała szybciej i lepiej umiała się mocować, aż musiałem posłu-
żyć się chwytem dżudo, by ją unieruchomić.

Potem w ciemnościach, gdy nikt ani spośród gości, ani personelu nie mógł nas zobaczyć, pocałowałem ją, być może tak samo, jak Pa całował Ma siedemdziesiąt lat temu.

Nasze ciała, mokre i po większej części nagie, przylegały mocno do siebie, nie zważając na rozum ani rozsądek. Czułem na swoim ciele napór jej piersi, pieściłem jej plecy i pośladki i całowałem raz po raz, obsypując czułościami jej oczy, wargi i szyję.

Nareszcie przestaliśmy. Cały rozdygotany, pomogłem jej wyjść z basenu i nałożyć szlafrok.

— Nikt nigdy mnie tak nie całował — powiedziała spokojnie. — To bardzo ciekawe doświadczenie, nie uważasz?

— Obiecałem, że nie będę się do ciebie dobierał w pokoju — odparłem. — Basen nie jest w pokoju.

— Ach, oczywiście — westchnęła. — Więc powiedziałbyś, że na tym polega dobieranie się do dziewczyny? Nie pasuje to do moich kryteriów.

Wolałem nie pytać, jakie są jej kryteria.

W milczeniu, mając straszliwy zamęt w głowie (ja w każdym razie miałem), wróciliśmy do naszego apartamentu i przebraliśmy się w odpowiednie ubrania (spieszę dodać, że w osobnych łazienkach). Gdy wychodziłem na przyjęcie do National Gallery, Nuala, której długie proste włosy opadały na niebieski sweter, z zapamiętaniem stuknęła w Compaq.

Skoro tak mnie podniecała i najwyraźniej była chętna, dlaczego nie usiłowałem zaciągnąć jej do łóżka w ramach przelotnej znajomości lub, biorąc pod uwagę kim i jaka jest, trwałego związku?

Co jest ze mną nie w porządku?

Przypuszczam, że po części cnota. Nuala była młoda, naiwna i niewinna — w każdym razie tak wówczas myślałem — i prawdopodobnie zadurzyła się we mnie, co jest przypadłością powszechną u nastolatek.

Częściowo zaś, a przyznaję teraz, że w przeważającej mierze, u źródeł mojej powściągliwości leżał strach.

Gdy wróciłem, na stoliku obok zdjęcia Ma i Pa, zrobionego tuż przed ich wyjazdem z Carraroe, leżał następny wydruk z kolejną notatką.

Długo wpatrywałem się w fotografię — dwoje przystojnych dzieciaków, objętych ramionami. Zdjęcie zrobił „ten belfer”, jak często mówiła Ma. Kazała je pokolorować. Czy Carraroe na fotografii rzeczywiście wygląda jak tło Spokojnego człowieka?

Czy Ma naprawdę nie żyje?

Czy może wpływać na Nualę i na mnie, nawet jeśli nie żyje?
Spojrzałem na notatkę, którą skreśliła Nuala:

Dowiedziała się, gdzie jest złoto.

N.

27

Wrzesień 1920

No więc wiem, gdzie jest złoto.

Nie mam pojęcia, co z tym zrobić. Boję się powiedzieć Liamowi Tomasowi, że szpiegowałam komendanta. Strasznie by się na mnie wściekł. Gdybym mu powiedziała, że złoto, którego potrzebuje generał Collins, by kupić kule i uwolnić naszą starą biedną Irlandię, ukryte jest w zasięgu wzroku w naszej wiosce, spytałby o to Daniela O'Kcley'ego, bo mój Liam Tomas to człowiek szczery i otwarty — często myślę, że aż za szczery. Doszłoby do bójki. Człowiek, który ukrył złoto przed Irlandią, zabije, by je chronić. Gdyby wiedział, że śledzę go i szpieguję używając do tego lornetki dziadka z czasów wojny burskiej, mógłby mnie zabić — a jeszcze przedtem wyprawiać ze mną jakieś straszne rzeczy.

A więc muszę zachować sekret, póki nie będę mogła bezpiecznie go wyjawić — jeśli wyjawienie go w ogóle będzie kiedykolwiek bezpieczne.

W każdym razie jestem pewna, że choć Daniel O'Kelly ma gębę pełną pięknych słówek, a jego ludzie go podziwiają, jest on złodziejem i zdrajcą. Poczekam do dnia, kiedy będę mogła powiedzieć Liamowi, a on mi uwierzy.

Gdy O'Kelly obudził się i wypił herbatę, spakował plecak i zaczął przygotowywać się do wyjazdu. Nie miał przy sobie lee-enfielda, nikt z IRA nie nosi go za dnia. Ale pod płaszczem chował wielkiego mauzera.

— Ta armata załatwiła Rodericka McClory'ego. — Wyciągnął tę straszną rzecz i wymachiwał mi nią przed oczyma.

A dopiero co wrócił z mszy.

Podawałam mu herbatę, bo rodzice poszli na stypę do Spiddal, Tim zaś wrócił do swojej Brygady, gdziekolwiek ona stacjonuje, a Moire wypłakiwała za nim oczy.

Wydaje mi się, że jest w ciąży, niech ją Bóg błogosławi.

— Był zdrajcą, Neli Pat Malone, w służbie imperializmu angielskiego. Zasługiwał na śmierć.

— Miał żonę i dwóch chłopaczków.

— Jest wojna.

— Strzeliłeś mu w plecy.

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się do mnie złośliwie.

— On też by mnie zastrzelił, gdyby miał okazję. Robimy to dla Irlandii.

— Lubisz zabijać — odpaliłam. — Zabijasz, bo ci to sprawia przyjemność. Wolisz strzelić mężczyźnie w plecy niż mieć kobietę.

— Dużo wiesz — szydził — co to znaczy, że mężczyzna cię wziął.

— Wiem tyle, że z taką samą łatwością zabiłbyś kobietę co i mężczyznę.

— Jesteś bezczelnym dzieciakiem, Neli Pat Malone. — Wstał zza stołu. — Chyba muszę dać ci nauczkę, skoro twój ojciec nie chce tego zrobić, a Liam O’Riada nie może.

Serce waliło mi jak oszalałe, w gardle miałam sucho. Mówił poważnie. A potem wrzucił moje ciało do zatoki i rozpuścił pogłoskę, że zrobił to jakiś Brunatny albo rządowy policjant.

— Jeśli się do mnie zbliżysz — cofnęłam się parę kroków — rozwałę ci czaszkę pogrzebaczem i nie uronię ani jednej łzy.

Gdy mama i tata wychodzili na stypę i kazali mi podać komendantowi herbatę, przyniosłam zza domu wielki pogrzebacz i położyłam go tuż przy piecu. Przez cały czas miałam go na oku i w zasięgu ręki.

— Nie mogłabyś mnie uderzyć. — Zbliżył się z ręką na broń, którą miał za pasem. — Mnie, komendanta Brygady?

— Jeśli tylko weźmiesz broń, zamachnę się tym.

A przez cały czas modliłam się do Najświętszej Panienki, by dała mi odwagę, żebym rozwalila łeb temu draniowi, jeśli powstanie taka konieczność.

Staliśmy tak, mierząc się wściekle wzrokiem, on z ręką na kolbie rewolweru, a ja z tym diabelskim pogrzebaczem, uniesionym wysoko nad głową.

Potem roześmiał się i odwrócił ode mnie.

— Któregoś dnia cię poskromię, ty mała wiedźmo.

— Zabieraj swój plecak i wynoś się stąd, bo tak czy inaczej rozwałę ci łeb! — krzyknęłam za nim, wiedząc już, że jest tchórzem, którego może nastraszyć przerażona dziewczyna.

Znowu się zaśmiał, wziął plecak i wyszedł z wolna, jakby był królem całej Irlandii we własnej osobie.

Drząc niczym dębowy listek, spadający jesienią z drzewa, patrzyłam, jak idzie ścieżką do drogi.

Potem odłożyłam pogrzebacz na miejsce i zaczęłam sprzątać.

Postanowiłam, że zrobię to, co już przedtem chodziło mi po głowie.

Znalazłam stary myśliwski nóż taty, którego już nie używa, i wsunęłam go, ciągle byłam mała, brałam ją (nie mówiąc mamie ani tacie), by oglądać statki wypływające z zatoki Galway, z domu, osiodłałam Dotty, mojego kucyka, i pojechałam za komendantem.

Potem przypomniałam sobie starą zakurzoną lornetkę na półce w saloniku.

Skierowałam Dotty z powrotem ku domowi i wbiegłam po lornetkę do środka. Gdy byłam mała, brałam ją (nie mówiąc mamie ani tacie), by oglądać statki wypływające z zatoki Galway.

Doszłam do wniosku, że mogę śledzić komendanta przez kilka godzin, bo moi rodzice nie wrócą przed północą, a może nawet jeszcze później, jeśli na stypie będzie zajmująco.

Dotty i ja przemykałyśmy się bardzo cichutko jakieś dwieście jardów za O'Kellym, na tyle daleko, by nas nie zobaczył, i na tyle blisko, żebym mniej więcej co pięć minut mogła spojrzeć na niego przez lornetkę.

Pojechał w górę ku Maam Cross, po czym skręcił w lewo, w boczną drogę. Zapadał zmierzch i zaczynałam się martwić, że mama i tato wrócą do domu przede mną. Ale w ciemności nie mógł widzieć, co się dzieje tak daleko z tyłu, toteż udało mi się podejść bliżej, przez cały czas wyobrażając sobie — jak szalona — że skalne występy, nagie góry i groźne bagna Connemary tylko czekają, by pochwycić mnie w pułapkę. Po prostu boję się chodzić sama po ciemku.

Obejrzał się kilka razy, by sprawdzić, czy ktoś za nim nie idzie. Dwa razy przestraszyłam się śmiertelnie, bo zdawało mi się, że mnie zobaczył, ale odwrócił się i maszerował dalej.

Jasno wynika z tego, jakimi głupcami są mężczyźni. Gdybym była generałem Mickiem Collinsem, kazałabym komuś śledzić Daniela O'Kelly'ego. Podejrzewałabym, że jest to typ człowieka, który by ukradł milion funtów w złocie, przysiągł, że ich nie ma, a potem poszedł, żeby się nimi nacieszyć.

Tak jak mały chłopiec napawa się widokiem szklanych kulek, które ukradł kolegom.

No bo czy nie pojawił się na ścieżce dla bydła z boku góry Mame? Ukryłam się za dębem i obserwowałam go w świetle księżyca. Nawet przez lornetkę jego sylwetka, gdy wspinał się w górę, wydawała się mikroskopijna.

Wiem, że na szczycie znajduje się święte miejsce, zwane całą św. Patryka. Jest to grotta wysoko w zboczu góry, gdzie podobno święty Patryk we własnej osobie spędził noc, śpiąc na gołej skale.

Młody ksiądz powiedział mi kiedyś, że jeszcze wcześniej było tam pogańskie święte miejsce, a w czasach przed Wielkim Głodem w świąteczne dni urządzano na górze wspaniałe festyny, ze śpiewami, tańcami, opowieściami snutymi bez końca, walkami mężczyzn, którzy w grupach w straszliwych starciach okładali się pałami, no i z morzem bimbru. „Siedem beczulek samogonu — powiedział, przewracając pięknymi piwnymi oczyma. — Było to miejsce nawet bardziej czczone niż Cro-Patrick w archidiecezji w Tuam. Kiedyś, gdy Irlandia będzie wolna, odbudujemy to sanktuarium i znowu będą tam przychodzić pielgrzymki”.

[Uwaga tłumaczki: Święte miejsce zostało niedawno odrestaurowane przez mojego kuzyna, który jest jezuitą i uczy w Maynooth. Znowu przychodzą tam pielgrzymi. Nie ma bimbru ani walczących ze sobą band. Przynajmniej na razie].

— Bez bimbru — powiadam.

Młody ksiądz wybuchnął śmiechem.

— Z ust mi to wyjął, Neli Pat Malone.

A więc drząc teraz z radości, jaką sprawia mi śledzenie tego człowieka, patrzę, jak wchodzi do małej szczeliny, tuż pod ruinami świętego miejsca, i znów się z niej wyłania.

Tu są ukryte pieniądze, powiadam do siebie. Tuż za całą biednego, starego świętego Patryka. Wrócę tu któregoś dnia, by się upewnić, czy dobrze pamiętam, o którą szczelinę chodzi.

Chyba nigdy nie zbliżę się do samego złota. Taka góra pieniędzy przeraża mnie. Ludzie wyrządziliby jeden drugiemu straszliwe krzywdy za milion angielskich funtów.

— Chodź, Dotty — powiadam do niej. — Nie powinnyśmy tu być, wcale a wcale.

Dojechałyśmy do domu ledwie na parę minut przed mamą i tatą. Byłam zupełnie pewna, że po stypie tato nie zajrzy już do Dotty. Przytuliłam ją, ona trąciła mnie nosem i poszłam do domu, by to wszystko opisać.

Boję się zasnąć, bo wiem, że przyśni mi się Daniel O’Kelly, jak przychodzi po mnie z tą straszliwą strzelbą w ręce i wstrętym uśmiechem na paskudnej gębie.

GŁOS NUALI

Och, Neli Pat!

Nigdy nic podobnego w życiu mi się nie przydarzyło. To prze-rażające i cudowne, byłam zachwycona każdą sekundą. Chciałabym wiedzieć więcej o seksie i mężczyznach. Niektóre moje koleżanki chwala się, że coś wiedzą, ale przypuszczam, że są tak samo zielone jak ja.

Czy w basenie tylko tak się zabawialiśmy, czy znaczyło to coś po-ważniejszego? A może jedno i drugie? Nie mówił o tym później, chyba więc nie chodziło mu o miłość.

Nie wiem, o czym myśli. To taki skomplikowany człowiek — do-bry, kochany i uprzejmy, lecz bywa zaskakujący, a czasami wydaje się nie bardzo mądry. Jestem taka na niego napalona, że już z tego głu-pieję. Może powinnam rzucić tę pracę u niego i wrócić do domu, do Galway.

Wiem, że to ci się nie spodoba, ale się boję. Nie jego, lecz siebie.

Taki z niego idyjota. Nic ma pojęcia, jak się zabrać do tych poszu-kiwań. Odpowiedzi wprost rzucają się w oczy, a on nic nie widzi. Sama będę musiała się tym zająć, co już właściwie zaczęłam robić.

Nie mam też zamiaru tego ukrywać. Nie rzucę mu się na szyję, biedactwu. Ale też nie będę udawać innej, niż jestem w istocie. Jeśli chce głupiutkiej i potulnej kobietki, to pomylił adres.

Co prawda niewiele wskazuje, że chce mnie albo kogokolwiek in-nego. Głównie zajmujemy się pracą. Tylko czasami nie.

Ale, Neli Pat, tak strasznie go kocham.

28

— Zadziwiająca!

— Ja, basen czy twoja babcia?

— Wszystko razem — poklepałem jej nagie ramię. — I nie mam zamiaru wybierać pomiędzy tą trójcą. — Ale chodziło mi o nią.

— Wyobrażasz sobie tę dziewczuskę, jak jedzie na kucyku wiejską dróżką w świetle księżycy, z dala od Boga i ludzi? Czy nie ścisnęło mnie w gardle, gdy to czytałam, wiedząc, że długie lata spędziła w Chicago?

— A jak groziła temu cymbałowi pogrzebaczem? Nie wątpię w to ani przez moment. Cała Ma!

— Wiesz, o czym myślę? Na pewno zostawiła te dzienniki w nadziei, że dasz je do przetłumaczenia. Czy nie chciałaby, żeby ktoś się dowiedział o złocie?

Było poniedziałkowe popołudnie i siedzieliśmy w basenie z wirami. Nie widziałem się z Nualą podczas weekendu. Wydawała się odprężona, a w jej stosunku do mnie nie czułem skrepowania.

Co dobitnie świadczy, jak mało rozumiem kobiety tego gatunku — a do diabła cały ten gatunek, obojętne, czy w odmianie męskiej czy żeńskiej.

W każdym razie siedziała obok mnie w basenie, nasze nagie ramiona dzieliła odległość ledwie dwóch cali, a ona nie sprawiała zupełnie wrażenia onieśmiałej czy niespokojnej. Moglibyśmy być rodzeństwem albo długoletnim małżeństwem, ale nie kochankami czy dwojgiem ludzi, którzy mają wdać się ze sobą w romans.

Powiedziałem sobie, że to mi odpowiada.

— To możliwe, Nualo. Nie zastanawiałem się nad taką ewentualnością. Lubiła gry i kawały. To może być gra... Nadal wydaje ci się, że ją słyszysz?

Gdy poruszyła w wodzie stopą, jak już wspominałem, całkiem sporą, rozeszły się drobne falki.

— Wiesz, że jestem szurnięta.

— Oboje jesteście szurnięci.

— No nie? Zauważyłeś, że na początku posługiwałam się poprawną angielszczyzną. Uważałam na zaimki i usunęłam większość manierizmów, przez które uważacie nas za obcą rasę.

— Nigdy tego nie mówiłem.

— Przestań mnie przedrzeźniać... W każdym razie już po pierwszym dniu nie mogłam tego robić. Moje tłumaczenie powinno brzmieć tak, jakby to ona mówiła po angielsku. Tak jakoś, hmm... czułam, że ona tego właśnie by chciała. Tak jakby była we mnie albo ja w niej.

— Poznałaś już dość dobrze jej osobowość i charakter, jak pisarz, który tworzy jakąś postać i musi jej pozwolić, by mówiła własnym językiem.

Skinęła głową.

— Możliwe, że o to właśnie chodzi. Może dlatego, że bywam aktorką, czasami lub — jak ty uważasz — bez przerwy, i chyba wyobrażam sobie, że jestem nią i gram rolę Neli Pat Malone. Ale, och, Dermocie, później to się wydaje takie przerażające! Gdy tłumaczę,

wszystko wygląda normalnie. Potem wyłączam komputer i rozglądam się, jakby trochę oczekując, że stoi za mną z płomiennorudymi włosami i z uśmiechem na twarzy, pochwalającym to, co zrobiłam. Mam wrażenie, że idzie ulicą albo kłęczy za mną w kościele, i śni mi się w nocy. Czy nie powtarzam sobie, że to moja głupia zachodnioirlandzka wyobraźnia? Ale — potrząsnęła głową, jakby chcąc odpędzić te obrazy — czy ona się ze mnie po prostu nie naśmiewa?

— Z pewnością. Jesteś tak przerażona, może chcesz zrobić przerwę na kilka dni?

— Och — kurczowo chwyciła mnie za ramię. — Boże przenajświętszy, Dermocie. Myślisz, że bym się ośmieliła? Czy nie byłaby na mnie wściekła, gdybym sobie na to pozwoliła?

— Popływajmy, zanim przerażisz mnie na śmierć.

Pływanie potraktowaliśmy wyłącznie sportowo, żadnych figlów ani swawoli z myślą o łóżku.

I tak powinno być, przekonywałem sam siebie. Może później, gdy wyjaśni się ta gmatwanina, zastanowię się, do czego ewentualnie mogłoby dojść między mną a Nualą. Jest bardzo młodzianka, no i wywodzimy się z bardzo odmiennych kultur.

To właśnie ciągle sobie powtarzałem. I chyba nawet wtedy tak do końca w to nie wierzyłem. Ale wierzyłem na tyle, że łapy trzymałem od niej z daleka.

Po powrocie do apartamentu Nuala znów zabrała się do pracy, a ja zagłębiłem się w moim zbiorze książek o irlandzkiej wojnie domowej — i w myślach, co robić dalej.

Nuala odpowiedziała na moje pytania, jeszcze nim zdążyłem je zadać.

— Czy mogę zrobić małą propozycję?

— Oczywiście... jeśli istotnie jest mała, w co wątpię.

— Może — odetchnęła głęboko — powinniśmy pojechać do Galway i odwiedzić Carraroe? Po drodze obejrzelibyśmy Cork i dolinę, w której zginął Michael Collins? Zobaczylibyśmy miejsca zdarzeń, które opisuje Neli Pat. Moglibyśmy nawet wspiąć się na Mamene i poszukać złota. Te sztaby warte byłyby teraz ze dwadzieścia milionów funtów.

— Do kogo ono należy, Nualo?

— Prawnie chyba do narodu irlandzkiego. Jak myślisz, ile dzieci można by za to wykształcić? I ile stworzyć nowych miejsc pracy?

— To ciekawy pomysł — oznajmiłem roztropnie. — Muszę się nad tym zastanowić.

Dlaczego nie przyszło mi to do głowy wcześniej?

Może poznam też rodzinę Nuali. Nie, to nieprawda. Poznam ich na pewno, nie będę miał wyboru. Niewykluczone, że z dzieciństwa pamiętają opowieści o Brygadzie Galway. A może znają kogoś, kto żył w tamtych czasach i zdołam uzupełnić kilka szczegółów z wydarzeń rozgrywających się podczas Wypadków.

A jeśli złoto rzeczywiście tam jest?

Będę się nad tym zastanawiał, gdy przyjdzie pora.

Nuala zakłada, że pojedzie ze mną.

A właściwie po co? Do czego będzie mi potrzebna przy badaniu góry, w której może być ukryte złoto?

Czy grozi nam jakieś niebezpieczeństwo?

Strona przeciwna miałaby na mnie oko, gdybym pojechał do Cork i Galway. Mogliby nie być zachwyceni. Nie mam prawa narażać Nuali na niebezpieczeństwo. To nie jej walka. Jednakże tak się utożsamia z Ma, że nie będzie chciała pozostać w Dublinie.

Będę musiał jej opowiedzieć całą historię. Musi wiedzieć o ewentualnym niebezpieczeństwie. Jest tak szalona, że będzie chciała naśladować Neli Pat Malone i podejmie to ryzyko.

Czy mogę narażać jej życie?

— To nie moja sprawa. — Nie odwróciła się od compaqa.

— Co nie jest twoją sprawą, Nualo Anne?

W jej głosie pojawił się tonik sprytnej gosposi, która niełatwo da się wykiwać.

— Oczywiście nie mam prawa pytać, no bo skąd, ale czy masz zamiar opublikować tę historię, gdy ją skończymy?

— Muszę zobaczyć, jak się rozwinie. Jeśli dalszy ciąg jest równie fascynujący jak kilka początkowych zapisów, może zainteresować czytelników. Z pewnością spodoba się mojej rodzinie, zwłaszcza siostrzenicom i siostrzeńcom.

— Jaki dasz jej tytuł?

Zastanawiałem się przez chwilę.

— Może po prostu Neli Pat.

— Myślisz, że to by jej przypadło go gustu?

— W tłumaczeniu Nuali Anne McGrail, pod redakcją Dermota Michaela Coyne'a.

— Nie może być!

Była zachwycona perspektywą ujrzenia swego nazwiska na okładce książki. To tylko dzieciak, napominałem siebie, nieśmiały dzieciak. Nie zrób jej krzywdy.

— Ależ owszem.

Zadzwoił telefon. Nie zdążyłem podnieść słuchawki, gdy już sięgła do drugiego aparatu.

— Biuro pana Coyne'a... Ach, to wasza wielbność? Naturalnie, że nic nie robi. Nie jest bardzo pracowity, o czym wcale nie muszę mówić, bo ksiądz sam doskonale wie. Cały dzień siedzi rozwalony w basenie ze sztucznymi wirami, co jest strasznie grzesznym urządzeniem, jeśli ksiądz chce znać moje zdanie, a jestem pewna, że ksiądz wcale nie chce... Chce ksiądz z nim porozmawiać? Zobaczę, czy można zakłócić mu spokój, ksiądz wie, jaki on jest... To pański brat, ksiądz, panie Coyne!

— Przestań dokucać mojej pomocnicy — powiedziałem do George'a.

— Za dobra jest dla ciebie, głupku — poinformował mnie wielbny brat. — Jestem tego pewien, chociaż nie widziałem jej na oczy.

— To świetna dziewczyna — przyznałem. — Kłopot w tym, że mijają się nieco z prawdą. Możesz już odłożyć słuchawkę, Nualo.

Z wyrazem pogardy odrzuciła długie włosy, mokre jeszcze po basenie, ale bardzo delikatnie położyła słuchawkę.

— W domu wszystko w porządku, George?

— Wszyscy chcą ją poznać, ale poza tym nic szczególnego się nie dzieje. Nie mógłbyś wyjść po zakupy czy coś w tym rodzaju i przy okazji zadzwonić do mnie?

— Chyba tak. Sweter rozmiar czterdziesty, tak?

— Świetnie — powiedział. — Mam dobre wiadomości. A przynajmniej tak mi się wydaje.

Wyjaśniłem rzecz Nuali, która tylko skinęła głową, i wyszedłem z pokoju.

— Zrobiłeś wrażenie na Patricku — zaczął George naszą transatlantycką rozmowę. — Jego ugrupowanie chce cię wesprzeć.

— Dlaczego?

— Głupku, jesteś wystarczająco bystry, by znać jedną z odpowiedzi na to pytanie.

— Nie powiesz mi, że rządowi zależy na głosach Amerykanów irlandzkiego pochodzenia.

— Lepiej uwierz, że tak. Co więcej, i tu zacytuję Tonyego... nie, nie zacytuję, przetłumaczę na normalny język jego biurokratyczne uniki. Nie lubią amatorskich grupek krążących na obrzeżach stowarzyszeń wywiadowczych sprzymierzonych narodów. Trudno ocenić, jakich szkód mogłyby narobić jakieś ciemne typy mające dostęp do naszych danych.

- I?
- I domyślam się, że w swoich wzajemnych zagrywkach nie miałoby nic przeciwko uzyskaniu haka na przeciwników.
- Zastanowiłem się nad tym. Może i mówili George'owi prawdę, ale niecałą.
- Jaka jest cena tego wsparcia?
- Z tego co wiem, bez żadnych zobowiązań. Twierdzą, że będą tylko mieli na ciebie oko, żeby nic się nie pochrzańiło.
- A co się ma pochrzanić?
- Żeby ci się nic złego nie stało.
- Nic mi się nie stanie.
- Chcą tego dopilnować.
- A jeśli nie zyczyłbym sobie ich ochrony?
- Jeśli dobrze zrozumiałem, i tak ją dostaniesz.
- Więc dlaczego chcieli, żebyś do mnie zadzwonił?
- Żebyś wiedział, że będą się koło ciebie kręcić. Po prostu mam cię o tym poinformować i zawiadomić Tony'ego, że to zrobiłem. Zapewnił mnie osobiście, że tym razem nie będą robić żadnych numerów.
- Jak myślisz, George, o co tu chodzi? Orientujesz się w tych sprawach lepiej ode mnie.
- Domyślam się, że chcą skompromitować kogoś w rządzie brytyjskim do tego stopnia, by podał się do dymisji, i uznali, że właśnie nadarza się im okazja.
- Urocze.
- W naszym żalonym starym świecie nie obejdziemy się bez Operacji wywiadowczych. Może akurat w obecnej postaci nie są niezbędne. Ale ta sprawa jest chyba w porządku.
- I będą mnie chronić, czy chcę czy nie?
- Zdaje się, że nie masz wyjścia. Ciebie i twój zespół, co oznacza, jak rozumiem, tę młodą damę.
- Nie chcę, żeby płątali się koło niej jacyś federalni.
- Głupku, będę szczerzy. Dowcip polega na tym, żeby cię wy dostać w cholerę z Irlandii, z dziewczyną czy bez niej. Znając twoje gusta, rozumiem, że jest rewelacyjna...
- Jest brzydka jak grzech. Mówiłem, że nie przywiozę jej do domu.
- Jak sobie życzysz. — Moje zarzekania się najwyraźniej nie zrobiły na nim wrażenia. — Aha, Tony powiedział, żeby ci przekazać, że Patrick ponownie się z tobą skontaktuje.

— Fantastycznie, po prostu fantastycznie.

A jednak po tym telefonie poczułem się lepiej. Nie ufam zbyt niu naszym federalnym, ale już bardziej im aniżeli nadinspektorowi Conlonowi.

Możemy więc chyba bezpiecznie pojechać do Cork i Galway.

Idąc przez ponury Dublin, rozszony kapuśniaczkami i spowity w gęstą mgłę, mogący stanowić tło do pierwszych scen filmowego horroru, zastanawiałem się nad punktami, których mogłem być pewny:

1. W górach Connemary znajduje się złoto, stanowiące ogromną fortunę.

2. Tajemnicze pozarządowe ugrupowanie być może od dziesiątków lat knuje spisek mający doprowadzić do zjednoczenia Anglii i Irlandii. Przypuszczalnie CIA chce z jakichś powodów doprowadzić do rozpadu tego ugrupowania.

3. Śmierć Michaela Collinsa najprawdopodobniej jest związana z punktem pierwszym lub drugim, lub z obydwojoma.

4. Powodem ucieczki moich dziadków, możliwe że naglej i w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa, był któryś z trzech wymienionych czynników, a może wszystkie naraz.

Nikt jednak nie wie, że mam pamiętniki Ma. Może się w nich kryć klucz do drzwi, za którymi znajdę wyjaśnienie całej zagadki. A wreszcie: nie mają pojęcia, że znam miejsce, gdzie jest złoto, a przynajmniej było w 1920 roku.

Długo krążyłem po ulicach, usiłując przetrwać te pomysły, wizje i obrazy. Miałem uczucie, że wiem więcej, niż mi się wydaje, ale też, że nagle uświadomię sobie, iż właściwie nie mam o niczym zielonego pojęcia.

Lecz ogólny obraz, jakkolwiek on jest, czał się tuż za progiem mojej świadomości. Kilka razy wydało mi się, że już go dostrzegłem, niczym statek w dublińskich dokach spowity mgłą, ale potem zniknął.

Dałem sobie wreszcie z tym spokój i żwawo wracałem do hotelu i najnowsze fragmenty tłumaczenia Nuali.

Po drodze usłyszałem smętne zawodzenie syreny, jakby kogoś opłakiwała.

Ledwo mogę uwierzyć, że to się rzeczywiście zdarzyło. Wiem, że to lament i za żywych, i za umarłych.

Jakby to stanowiło jakąś różnicę.

Liścik przewodni Nuali nic nie mówił o uściskach ani pocałunkach.

Poczułem się trochę zawiedziony.

Co za kobieta!

N.

29

15 listopada 1920

Tej nocy znowu nie zmrużę oka. Ciągłe czuję na sobie łapy tego drania. Zawsze będę widziała, jak O'Kelly mierzy ze swej broni w głowy tych dwu ludzi. Było to tak straszne, że nie chcę o tym pisać.

A jednak muszę, bo mam już teraz dowód, że nasz dzielny Daniel O'Kelly jest agentem brytyjskim. Nie uwierzyłyby w to Liam Tomas, ten idyjota, ale jak na mój gust dowód jest wystarczająco mocny.

Dwa tygodnie temu moja ciotka Mary, której mąż Joe prowadzi knajpę przy skrzyżowaniu w Oughterard, przysłała liścik do mojej mamy z zapytaniem, czy mogliby mnie wypożyczyć na tydzień, bo ich pomoc wyjeżdża odwiedzić matkę w Sligo.

Lubię ciotkę Mary i wujka Joego, toteż chętnie tam pojechałam, zwłaszcza że niektórzy bojownicy z lotnej kolumny ukrywają się na farmach za Oughterard, a ja już prawie od miesiąca nie widziałam Liama Tomasa.

Na moje nieszczęście Liam Tomas nie mógł przyjechać do miasta, bo zakazano mu pokazywania się publicznie, póki IRA nie przejdzie do następnej akcji. Mój przyjaciel Mick Collins bez dwóch zdań zmusza Brytyjczyków do ucieczki, choć ludzie powiadają, że sam też jest do tego zmuszony, bo naszym chłopcom kończy się amunicja.

Chciałabym, żeby wojna się skończyła, Irlandia była wolna, Brytyjczycy wrócili do domu, a my z Liamem Tomaszem bylibyśmy ze sobą na zawsze.

Ale pobożne życzenia niczego nie załatwią. Modłę się też i zapalam co rano świece w czasie mszy. Może to pomoże.

Wczoraj był wspaniały letni dzień, tylko parę chmur na błękitnym niebie, a my w pubie konałyśmy z upału, we dwie, bo wujek Joe pojechał na targ do Galway. Późnym popołudniem, gdy było cicho

i spokojnie, a w pubie siedziało tylko parę osób, usłyszałam, że przed budynkiem zatrzymuje się samochód. W tej części hrabstwa Galway nie jeździło wiele samochodów, bo wszyscy czuli się niepewnie z powodu naszych chłopców i Brunatnych. Zerknęłam więc przez okno i, niech Bóg nas ma w swojej opiece, kogo widzę, jeśli nie Brunatnych, w czarnych portkach i brązowych płaszczach, z takimi minami, jakby mieli całą Irlandię na własność.

— To Brunatni — wyszeptałam do ciotki Mary, która jest tylko dziesięć lat starsza ode mnie i z byle powodu wpada w popłoch.

— Wszyscy święci, miejcie nas w swojej opiece! — pisnęła. — Wymordują nas.

— Musimy zachować spokój — przytuliłam ją. — Niech Joe Pete wymknie się od tyłu, pobiegnie do lasu nad jeziorem i powie chłopcom, że napadli na nas.

Daniel O'Kelly powiedział im, żeby nie atakowali, póki nie otrzymają nowego planu akcji, chyba że zdarzy się jakaś prowokacja. Powiedziałam sobie, że jaka może być większa prowokacja niż napad Brunatnych na Oughterdard.

Zabijają niewinnych cywilów w całej Irlandii, nawet z katolickiego seminarium, a innych palą żywcem.

Nie weszli od razu do pubu. Przeszli przez ulicę do sklepiku z wyrobami tytoniowymi Maeve McManus, udając chojraków, jakby byli ze Straży Obywatelskiej albo z pułku górali szkockich, a nie bandą najemników, kryminalistów i sprzedawczyków.

Patrząc na nich byłam pewna, że już mieli w czubie. Bez dwóch zdań, Oughterdard czeka długa noc.

Jeden z nich wyjmuje rewolwer i kolbą rozbija okno sklepu Maeve. Potem idą do środka, a za chwilę wychodzi biedna stara Maeve, wali się prosto na ziemię i leży, jakby bała się poruszyć. Sięgam do szuflady, by się przekonać, czy w razie potrzeby będę mogła szybko wyciągnąć nóż.

Potem wyrzucają małego Tommy'ego, wnuczka Maeve, który jej pomaga, w kurz i pył na drodze, a jeden z nich wychodzi i kilka razy kopie Tommy'ego, chociaż to mały dzieciak, ledwie dziesięcioletni.

Zaczęłam się modlić jak szalona do Najświętszej Pani, żeby czym prędzej przysłała naszych chłopców.

Brunatni szli z wolna ulicą, tłukąc szyby, bijąc sklepikarzy, kradnąc, ile dusza zapagnie.

— Matko Boża, miej nas w swojej opiece! — wrzasnęła ciotka Mary, gdy roztrzaskali nam okno. Potem wtoczyli się do pubu.

Pierwszą rzeczą, która zwróciła moją uwagę, było to, że oni wszyscy — z wyjątkiem jednego, sierżanta czy innej ważnej figury — to straszne szczeniaki, żaden nie był starszy od naszych chłopców kryjących się w polach i po lasach. Nie miałam czasu o tym myśleć, ale naprawdę zastanawiam się, co wojna robi z młodymi chłopakami, że wstępują do Brunatnych, skoro już jest po wszystkim. Wujek Joe powiada, że nie mogą dostać innej roboty.

— Przynieś nam najlepszej whisky! — krzyczy sierżant. — Nie te irlandzkie szczyzny.

Wszyscy wybuchają śmiechem i rozsiadają się wokół dwóch dużych stołów. Ciche i potulne jak dwie gołąbeczki, czy nie przynosimy im dwu butelek szkockiej, ostatnich, jakie mamy?

— Spójrzcie no tylko... — jeden chciał mnie pochwycić. — Dwie irlandzkie dupy, ładniutki, co?

Tym razem mu umykam, zastanawiając się, do czego tu dojdzie, jak jeszcze sobie popiją. Mary już płacze.

— Gdzie są wasi mężczyźni?! — krzyczy do mnie inny. — Na polach z tymi skurwysynami, partyzantami?

— Wujek Joe pojechał do Galway na targ — powiadam na tyle pewnie i śmiało, na ile tylko mogę się zdobyć, choć jestem jak skamieniała ze strachu.

— Czy to nie miło z jego strony? — I wszyscy wybuchają śmiechem.

— Widzicie, jakie ma cycki? — Sierżant pokazuje na mnie. — Przyjemnie się będzie z nią zabawić, co, chłopaki?

Znów wybuchają śmiechem. Na razie to tylko gadanie, ale myślę sobie, że jeśli dalej będą tak gadać, to coś sobie wmówią. A cały czas modłę się tak gorąco, jak tylko umiem.

— Starsza dupa ma ładny tyłeczek — szydzi młody blondynek, usiłując uszczypnąć nieszczęsną Mary. — Jak myślicie, wypieprzymy ją?

Wszyscy wyją z uciechy, a Mary szlocha.

W żadnym z nich nie ma krzty litości. Powtarzam to sobie do dzisiaj. Nie okazali litości, to i dla nich nie będzie litości.

Dalej pili i rujnowali pub, tłukli szklanki i butelki, rozlewali wódkę i whisky na podłogę, rozwalali bar i roztrzaskali na milion kawałków lustro, z którego wujek Joe był taki dumny. Mary jest już bliska hysterii. Nie chce słuchać, kiedy jej powtarzam, że nie możemy stracić nerwów.

Upewniłam się, że w razie potrzeby dam radę naprawdę błyskawicznie wyciągnąć nóż.

Zauważyłam też, że sierżant co chwila spogląda na zegarek. Czekają jeszcze na kogoś. Na regularne oddziały brytyjskie? Niewiele jest ich w okolicy, a do tego boją się zasadzek. Na wsparcie policji? Ci jeszcze bardziej się boją egzekucji IRA za współpracę z Brunatnymi.

Gdy o tym pomyślałam, serce we mnie zamarło. Czy nie splądrowali już kilku miasteczek, by dać dzikim Irlandczykom nauczkę?

— Jak pan uważa, sierżancie? — powiada blondynek. — Chyba już dość dopieprzyliśmy tym mieszczuchom. Może się trochę zabawimy z tymi dwiema dupami? Szkoda ich dla Irlandczyków, którzy nie wiedzą, co zrobić z kobietą, nawet jak ją mają gołą z rozkraczonymi nogami.

— Albo — naśmiewa się inny — jak leży na brzuchu z dupą do góry.

Mary zaczyna ich błagać, by nie robili jej krzywdy, a ja sięgam po nóż.

— Porządnie się dzisiaj napracowaliście, chłopaki — mówi sierżant. — Trochę rozrywki wam nie zaszkodzi. — Spogląda na zegarek. — Ale uwińcie się z tym raz-dwa.

Po dwu chwyciło każdą z nas. Mary wrzeszczy, a ja ich odpycham, kopię i sięgam po nóż.

— Idźcie z nimi na dwór — powiada sierżant — niech ci ludzie, co wyglądają zza drzwi, zobaczą, co żołnierze Jego Królewskiej Mości wyprawiają z irlandzkimi dupami.

Wywlekają nas na zewnątrz, a ja mrużę oczy przed jaskrawym słońcem, kopię i opieram się, jak mogę. Nie daję rady pochwycić noża.

Zdzierają spódnice z ciotki i ciskają Mary na ziemię, a ona wrzeszczy jak przerażona foka.

Jeden z nich, młody blondynek, trzyma mnie, a drugi rozrywa mi bluzkę i ściąga koszulę. Chłopak, który mnie przytrzymuje, jedną ręką stara się pochwycić moją pierś, tak że w końcu wyciągam nóż i z całej siły wbijam w żołądek tego drugiego. Wrzeszczy ze zdziwienia i chwyta za nóż.

— Dziabnęła Harry'ego! — wrzeszczy sierżant. — Zabijcie tę dupę.

Wtedy słyszę strzały i wydaje mi się, że mnie zamordowali, a nawet nie zdążyłam odmówić aktu skruchy.

Twarz człowieka, którego pchnęłam nożem, wybucha masą kości, krwi i kawałeczków ciała, a krew rozpryskuje się na moją twarz i spódnice. Chłopak z tyłu tak jakoś wzdycha i puszcza mnie. Oglądam się i widzę wielkie plamy krwi na jego brunatnym mundurze.

Obrzyguję wszystko dookoła i nawet tego nie zauważam. Staram się zaczerpnąć głęboko powietrza, ale dławię się dymem z prochu i wymiotuję jeszcze bardziej.

Potem czuję, że obejmuję mnie ramię Liama Tomasa, który szepcze mi jakieś czułe słówka.

— Nie za bardzo się spieszyłeś — powiadam i znowu rzygam. A on delikatnie okrywa mnie moim poszarpanym ubraniem i powiada:

— Chwała Bogu, kobieto, nie żartowałaś z tym nożem.

Chciał dobrze, biedaczek, ale przez to znowu zwymiotowałam, aż w żołądku nic mi już nie zostało.

Po paru minutach wzięłam się w garść na tyle, żeby się zorientować, co dzieje się wokół.

Trzech Brunatnych nie żyje, dwóch, którzy zabawiali się ze mną, i jeden z tych, którzy usiłowali wejść na ciotkę Mary. Mary tuli się do Maeve McManus i rozpaczliwie szlocha. Sierżant i drugi Brunatny są związani, mając wycelowane w siebie trzy lee-enfielidy. Liam Tomas rozgromił ich, mając do pomocy zaledwie trzech chłopców.

— Co z nimi zrobimy, Liamie? — pyta mój brat Tim, zdaje się, że bardzo zdenerwowany, bo pierwszy raz z bliska strzelił do człowieka.

— Poczekamy na komendanta — powiada mój mężczyzna z całkowitym spokojem. — Potem odbędzie się sąd wojenny. Złapano ich podczas napastowania cywilów. Za to grozi kara śmierci.

Widzę, że obaj Brunatni są przerażeni. Sądząc z ich oczu, wiedzą, że muszą umrzeć, ale wciąż liczą na jakiś cud.

A wtem kto nadchodzi wolnym krokiem, śpiewając piosenkę z rewii, jak nie nasz Daniel O’Kelly we własnej osobie?

— No cóż, kapitanie O’Riada — powiada z szerokim uśmiechem, który zawsze wydawał mi się fałszywy. — Podczas mojej nieobecności podjął pan działania godne pochwały. Dobra robota, kapitanie O’Riada.

— Dziękuję, komendancie. — Liam salutuje mu, jakby był na paradzie na Sackville Street w Dublinie, choć nigdy nie widziałam parady na Sackville Street i nigdy nawet nie byłam w Dublinie.

[Od tłumaczki: Neli Pat skreśliła potem „Sackville” i zamiast tej nazwy napisała „O’Connell”. Musiała to jednak zrobić po wyemigrowaniu do Ameryki, bo kiedy pisała swój dziennik, ulica nazywała się właśnie Sackville. Sprawdziłam to. Dowiedziałam się jednak, że dublińscy nazywali ją O’Connell od dwudziestu lat, bo rada miejska zmieniła tę nazwę, rząd natomiast przywrócił poprzednią. Ale wieść

o tym najwyraźniej nie dotarła do zachodnich hrabstw. To też sprawdziłam, lecz nie żądam dodatkowej opłaty].

Dostrzegłam na twarzy sierżanta wyraźną ulgę, kiedy zobaczył komendanta. O'Kelly unikał wzroku Brunatnego.

A więc na niego czekali! Daniel O'Kelly jest po stronie Brunatnych! Przybyli tu, żeby się z nim zobaczyć! Nie mogli się powstrzymać, by nie narozrabiać w mieście ani nie leżeć na nas z łapami, i zepsuli całe spotkanie.

— Co mam zrobić z tymi dwoma, kapitanie? — zapytał sam O'Kelly.

— Powinniśmy zorganizować sąd wojenny, jak trzeba, komendancie. Są winni zbrodni popełnionych podczas wojny, za które grozi kara śmierci.

— Ma pan zupełną rację, kapitanie. — Wyciąga swego wielkiego mauzera i macha nim w kierunku sierżanta, dręcząc go widokiem tej armaty. — Teoretycznie rzecz biorąc, rozumuje pan absolutnie prawidłowo. Ale sytuacja nie jest teoretyczna, jeśli rozumie pan, o co mi chodzi. Lotny oddział będzie musiał lecieć — celuje mężczyźnie między oczy — bo Regularni zaraz tu będą, jak tylko się dowiedzą, co się stało, chyba że dostaniemy rozkaz z kwatery głównej, by ich zatrzymać. Podsumowując, trzeba więc podjąć działania, nie uważa pan?

— Tak jest — odpowiada Liam, trochę niepewnie.

— Ale, O'Kelly, nie możesz! — krzyczy sierżant.

O'Kelly uśmiecha się i pociąga za spust. Brunatny pada na ziemię jak cielę uderzone w łeb.

— Owszem, mogę. — Zwraca broń w kierunku drugiego mężczyzny. — Zgodzicie się, kapralu, że mogę?

Również jego rozstrzeliwuje.

Sądząc z wyrazu jego twarzy sprawiło mu to większą przyjemność, niż gdyby kochał się z kobietą.

— No dobra — włożył pistolet z powrotem do kieszeni — zabierajmy się stąd. — Podnosi głos. — Wy, mieszczuchy, niczego nie widzieliście ani nie słyszeliście. Policja zada parę pytań i zostawi was w spokoju. — Drzwi domów wokół rynku puchylały się z lekka. — Jeśli usłyszycie, że nadchodzą wojska regularne, wynoście się z miasta i ukryjcie na polach, na farmach albo nawet nad jeziorem. Spalą kilka domów, ale nie będą was ścigać, bo się nas boją.

— Panie komendancie — powiada Liam, bardzo uprzejmie — czy mogę prosić o pozwolenie odwiezienia Neli Pat z powrotem do rodziny?

O'Kelly rzuca na mnie okiem, jakby był bardzo zdziwiony widząc mnie tutaj, a ja stoję, ciągle drżąc i przyciskając do siebie strzępki ubrania.

— Jasne, nie powinnaś tu zostać, Neli Pat — powiada, patrząc na mnie lubieżnie. — Któregoś dnia wpakujesz się w poważne kłopoty, jeśli nie będziesz na siebie uważać. Odmawiam, kapitanie. Toczy się wojna i mamy rozkaz przygotować się do nowej kampanii. Jak znam życie, dzisiejsza akcja sprowadzi oddziały regularne, co stworzy nam wspaniałą okazję, nie uważa pan?

— Tak jest — mówi Liam z cierpieniem w oczach.

— Sama dam sobie radę! — wrzasnęłam na nich obu. — Dajecie ładny przykład irlandzkiej rycerskości.

— Ależ, Neli — prosi mój Liam.

— Idź za swoim pierdzielonym komendantem! — krzyknęłam, używając słowa, którego nigdy przedtem w życiu nie powiedziałam głośno, choć często wypowiadałam je w myślach. — Nie pokazuj mi się więcej na oczy.

Później, gdyjechałam do domu na moim kucyku w świetle księżycy, modliłam się do Najświętszej Pani, żeby wybaczyła mi to, co powiedziałam. Jakże byłoby strasznie, gdyby to były ostatnie słowa, które by ode mnie usłyszał, i już nigdy więcej bym go nie zobaczyła!

A więc płakałam w objęciach mamy i próbowałam zasnąć, ale nie mogłam. Wstałam więc z łóżka i zrobiłam te zapiski.

Jutro rano podczas mszy zapalę świecę za duszę człowieka, którego wczoraj zabiłam. Czy nie miał śmierci w oczach, jeszcze zanim go trafiłam?

Będę prosić o wieczny odpoczynek dla niego do końca moich dni.

Teraz muszę rozejrzeć się i znaleźć sobie nowy nóż.

30

— Czy to nie są ostatnie listy Micka i Kitty? — poinformowała mnie następnego dnia moja pani.

— A są?

— A nie powiedziałam, że są? I przestań mnie przedrzeźniać!

— Nie mogę się powstrzymać!

— Zastrany gnojek — odparła, zdecydowanie odrzucając ten argument na moją obronę. — Posłuchaj tego...

— Chcesz mi go teraz przeczytać?

Zrobiła gest, jakby chciała dosunąć mi w szczękę, ale w ostatniej chwili cios przerodził się w krótką pieszczotę. Serce podskoczyło mi parokrotnie. Boże, ależ jest piękna!

— Odpierdzieliś się wreszcie? — Przynęła książkę i zaczęła czytać. — Napisał go na początku kwietnia. Widać, jak przemęczenie daje mu się we znaki.

Najdroższa Kitty,

Wszystko układa się jak najfatalniej, wcale niewykluczone, że najgorsze jest jeszcze przed nami. Paru szaleńców może doprowadzić do katastrofy. Już widać, że sięgają po coraz ostrzejsze środki — od pocięcia opon po odcięcie linii kolejowej, od ostrzelania koszar po ostrzelanie ciężarówki i tak dalej. Ale Bóg wie, że nie chcę, byś się zamartwiała.

Wyjeżdżasz na Wielkanoc do Nobber? A czy w ogóle gdzieś wyjeżdżasz? Straszenie chciałbym się z Tobą zobaczyć, chociaż na krótką chwilkę, ale sądząc z tego, jak się rzeczy mają, ten tydzień będzie dla mnie ciężki. Niepokoję się o Ciebie. Napiszesz jeszcze dzisiaj — tak? nie?

Niech Cię Bóg ma w swojej opiece.

Pozdrawiam Cię z całego serca.

Micheal.

— Napisał do kogoś, że podpisując traktat, podpisał wyrok śmierci na siebie — powiedziałem. — Wiedział, co się święci.

— Biedna kobieta, mogła tylko marzyć o spokojnym życiu u jego boku, gdy wszystko wróci do normy. Gdyby żył, nie byłoby chwili spokoju. Ale ona tego nie rozumiała. Następny list jest z lipca, ledwie na miesiąc przed jego śmiercią.

Najdroższy Michealu,

Położyłam się wczoraj koło dziewiątej i oczywiście nie mogłam zmrużyć oka, więc rozmawiałam z tobą i aż serce mnie bolało z tęsknoty, by mieć Cię przy sobie. Byłam „szaleńczo, namiętnie w tobie zakochana”, by użyć twoich własnych słów, a teraz czuję, że się rumienię, bo Ci o tym mówię. Ale z pewnością o tym wiesz, oboje o tym wiemy i pamiętamy Greystones oraz inne cudowne chwile.

Potem przemyślałam wszystkie przyszłe etapy, aż dotarłam do okresu rzeczowości, kiedy już tak się do siebie przyzwyczaimy, że bę-

dziemy się czuć nieswojo, odczujemy chłód i niepokój, jeżeli jednego przy drugim nie będzie. Może nie przyznamy się do tego, ale będzie to naturalne uczucie. Obudzimy się w środku nocy i nie będziemy mogli spokojnie zasnąć, bo poczujemy coś, czego nie można do końca wytłumaczyć. Z pewnością nie buduję w tych marzeniach zamków na lodzie. Czyż tak się nie stanie? Zapomniałam ci powiedzieć, że doszłam do wniosku, iż chyba ten etap najbardziej lubię.

Chyba w gruncie rzeczy ciągnę dalej romansik z ostatniej nocy. Nie mogę Ci oczywiście powtórzyć tutaj wszystkich miłych rzeczy, które szeptałam do Ciebie wczoraj wieczorem, całej mojej miłości i wszystkiego, co Ci dałam i jeszcze dam. Obiecywałam Ci też uroczyście, że nigdy nie zrobię Ci prawdziwej awantury ani się nie odkocham w Tobie (i nie śmieję się, bo naprawdę mówię poważnie), jeśli nie będziesz dla mnie nadto szorstki i nie sprawisz mi przykrości, gdy tylko sobie żartujemy, tylko figlujemy, i jeszcze parę innych małych „jeśli”.

Mam nadzieję, że niebawem się zobaczymy. Wczoraj minęły trzy tygodnie. To strasznie długo, ale Bóg jest dobry

Kocham Cię.
Twoja
Kit”

— Była niepoprawną romantyczką — powiedziałem.

— Tak jak ty. — Nuala usiłowała powstrzymać łzy. — To ostatni list, który od niego otrzymała. Napisał go ósmego sierpnia. Jest taki smutny.

Najdroższa Kitty,

Wczoraj nabazgrałem do Ciebie kilka słów — chyba nigdy nie pisałem w takim pośpiechu — przynaglany pod każdym względem, a Bóg widzi, że dziś wcale nie jest lepiej. Wczoraj zaraz po napisaniu do Ciebie wyruszyłem w bardzo długą podróż, z której wróciłem strasznie późno w nocy. Odwiedziłem Maryleborough, Curragh i tak dalej. Zziębłem straszliwie i gdy wróciliśmy do koszar, byłem zupełnie zeszytywniały. Ale od razu położyłem się do łóżka i dziś rano czuję się świetnie.

Przeżyliśmy tu ciężkie chwile — podczas wczorajszej mszy za dziewięciu żołnierzy zabitych w Kerry działały się rozdzierające sceny. Nieszczęsne kobiety oplakiwały zmarłych synów, a niektóre głośno lamentowały. Były tam również siostry, jedna żona i kilkoro małych dzieci. Naprawdę serce się krajało.

Nie dostałem listu od Ciebie. Może nie wróciłaś w poniedziałek — wątpię zresztą, czy list dotarłby tak szybko. Ale napiszesz, prawda?

Kiedy znowu przyjedziesz? Powiedziałaś, że w przyszłym tygodniu. A właśnie mamy przyszły tydzień. Naprawdę. Więc kiedy przyjedziesz?

Kitty, nie gniewaj się, że robię to, co robię. Nic na to nie poradzę, a gdybym miał postępować inaczej, nie byłbym sobą i doprawdy nie mógłbym tego znieść. I wydaje mi się, że tak jak robię, jest lepiej. I błagam, nie denerwuj się.

Pozdrawiam Cię z całego serca
Micheal.

Przez chwilę siedzieliśmy z Nualą w milczeniu.

— Musiała uważać ten list za największy skarb.

Nuala skinęła głową, przyłożyła chusteczkę do oczu i usiłowała sprawiać wrażenie opanowanej komentatorki telewizyjnej.

— Ostatni list, który od niej otrzymała, datowany jest na piętnasty sierpnia, na dzień przed pogrzebem Arthura Griffitha i na tydzień przed śmiercią samego Michaela. Jest piękny.

Najdroższy Michealu,

W wyobraźni spędziłam z Tobą wczoraj wspaniały wieczór. Gdy trwał, wydawał mi się całkiem rzeczywisty.

Najpierw nasmażyłam góry dzemu i byłam kompletnie wykończona. Potem, koło jedenastej, kiedy wszyscy wyszli, zrobiłam sobie przyjemną gorącą kąpiel, a gdy poczułam się świeża i czysta (i wyglądałam chyba dość ładnie), doszłam do wniosku, że chciałabym, żebyśmy spotykali się tylko wtedy, gdy jestem wykąpana i ładnie wyglądam. To chyba zbyt piękne i zupełnie nierealne.

Później poszłam do swojego pokoju. Czulałam się trochę samotna, ale pełna energii, więc pomyślałam, że trochę się dla Ciebie poprzebieram. Po prostu wyobraziłam sobie, że tu jesteś. Najpierw włożyłam różowofioletkową jedwabną piżamę i spytałam, jak Ci się w niej podobam? Potem następna różowa piżama — i jeszcze nocna koszula. Zdecydowaliśmy wspólnie, że koszula nocna jest najładniejsza. Uścisnęłam Cię i poczułam, że Ty też chciałbyś mnie uścisnąć. Głowę miałam pełną najpiękniejszych myśli, a potem zrobiło mi się zimno i doszłam do wniosku, że chyba zwariowałam, i położyłam się do łóżka, myśląc o Tobie i życząc, życząc mnóstwa różnych rzeczy.

Nie potrafię Ci opisać tej nocy, była niemal tak wspaniała, jakbyś był tu ze mną. Mam dla siebie całą górę domu i mogę biegać od lustra do lustra i od pokoju do pokoju.

Dziś znowu spróbuję śnić o Tobie. Trudno jednak będzie przewyższyć poprzednią noc.

Kocham Cię
Kit
Całuję i ściskam.

- Nie jest źle wziąć ze sobą do rajy takie wspomnienie, Nualo.
- Czy raj istnieje, Dermocie Michaelu?
- Istnieje, kobieto.
- Spotkamy ich tam? — Łzy strumieniem spływały jej po policzkach.
- Kit i Micka? Dlaczego nie?
- Czy pochwalą to, co teraz robimy?
- Mam nadzieję, że tak, Nualo Anne. Mam nadzieję, że tak.

31

Podobnie jak Ma w nocy po masakrze w Oughterard ja też nie mogłem zmrzyć oka, bo w głowie wirowały mi wyraziste obrazy z jej dziennika. Gdy ją znałem, była słodką i łagodną kobietą — namiętą, godną zaufania, czasem nieco zwariowaną. Ale szalona dziewczyna z nożem w ręce... czyż to mogła być babcia Neli?

Tak, jak najbardziej; jedyną osobą w Galway, która zdawała sobie sprawę, że Daniel O'Kelly zdradził, również mogła być Ma.

— Ma nie przeoczy niczego, to pewne — powtarzała mi moja własna matka, gdy byłem szczeniakiem. — I boi się chyba tylko zrobić przykrość Pa, a poza tym niczego na świecie.

Jakie wrażenie ta szalona i barwna opowieść wywarła na Nuali? Skoro ja nie mogę zasnąć, co dopiero mówić o tak wrażliwej dziewczynie, której wręcz wydaje się, że sama jest Neli Pat Malone?

Może też zacząć nosić przy sobie nóż.

Roześmiałem się, widząc ten obraz oczyma duszy.

Ciągle sobie mówiłem, że Nuala jest dzieckiem, przecież była tylko półtora roku starsza niż Kel w chwili śmierci. Ponieważ jest tak

piękna, tak inteligentna, utalentowana i no cóż, tak wrażliwa na moje cierpienie, łatwo można by pomyśleć, że liczy sobie przynajmniej dwadzieścia pięć lat.

Ma prawo dojrzeć, odkryć siebie, rozwinąć swoje talenty, stworzyć własny świat. Na to wszystko trzeba czasu.

Czyż nie?

Wychodząc teraz za mąż, Nuala popełniłaby straszliwy błąd. Wykluczyłaby bogate możliwości, które się przed nią otwierają, nawet jeśli nie dostrzega ich zbyt wyraźnie.

Ułagodziwszy w ten sposób własne sumienie, zapadłem w drzemkę, a potem w głębszy, lecz niespokojny sen.

Obudziło mnie pukanie do drzwi, ciche i delikatne. Leżałem w łóżku zastanawiając się, czy mi się tylko wydaje. Nie, znowu się rozległo.

Nie byłem pewien, która to godzina ani gdzie jestem. Chwiejnym krokiem wyszedłem z łóżka, ubrany tylko w spodenki, potykając się dobrnąłem do saloniku, a stamtąd do drzwi apartamentu.

— Tak — powiedziałem ochryple, zdając sobie już teraz sprawę, że jestem w pokoju hotelowym, lecz nadal nie wiedząc, gdzie ani dlaczego.

— Angela.

Głos kobiety. O tej porze. A właściwie która jest godzina? Czy znam kobietę o imieniu Angela?

Byłem umówiony z jakąś Angellą? Jak udało mi się zdobyć na odwagę?

Uchyliłem nieco drzwi, poznałem Angellę Smythe, przez „y” i „e”, i w nagłym olśnieniu przypomniałem sobie, kim jestem i kim jest Angella.

— Mogę wejść, Dermocie? — spytała bez tchu.

Jak mogłem jej odmówić?

Otworzyłem drzwi i wpuściłem ją. Uświadomiłem sobie, że jestem w spodenkach, i przez chwilę czułem się zakłopotany.

— Wyglądasz pięknie — powiedziała. — Mam mało czasu. — Objęła mnie i nie puszczała. — Wyjeżdżam, bo przydzielono mi nowe zadanie, w Stanach. Musiałam się z tobą zobaczyć.

— Masz kłopoty, Angello? — Obejmowałem ją mocno, czując nacisk jej piersi i szalone bicie serca.

— Kłopoty? Nie, właściwie nie. Moi koledzy nie byli mną zachwyceni, ale biorąc pod uwagę charakter sprawy, nie bardzo mogli poskarżyć się w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Zaproponowali, żebym poprosiła o przeniesienie.

— Nie nazywasz się Angela Smythe?

— Oczywiście, że nie. I nie pytaj o moje prawdziwe nazwisko. Cała reszta z tego, co ci powiedziałam, jest prawdą.

— A więc?

— Nie zadzwoniłam do ciebie i nie odwołałam Angeli z ambasady, bo stwierdziłam, że nie będę mogła dotrzymać mojej części umowy. Rozumiesz, co mówię, Dermocie?

— Chyba tak.

Zrozumiałem też, że chciała się ze mną kochać.

— Błagam cię, bądź ostrożny. Moi koledzy są nieszkodliwi, może zdążyli przejść już na twoją stronę. Zdziwili się tak samo jak ja, kiedy się dowiedzieli o Konsorcjum.

— Konsorcjum?

— Świętego Jerzego i świętego Patryka. Ci są naprawdę niebezpieczni, przynajmniej niektórzy. Uważaj na nich. I nie zawał wszystkiego, jeśli dowiesz się całej prawdy. Gra idzie o dużą stawkę, Dermocie. Porozumienie to dopiero pierwszy krok, lecz niczym innym nie dysponujemy.

Byłem ułamek milimetra od pójścia z nią do łóżka. Chyba mam prawo do drobnych przyjemności. Czy komuś by się przez to stała krzywda? Chciała się kochać, pewnie tego potrzebowała. Ja również.

Dlaczego więc nie wykorzystałem sytuacji, w której wielu mężczyzn chciałoby się znaleźć?

Tak do końca tego nie wiem. Może powstrzymała mnie obecność dziennika z tyłu na stole, może niezachwiana pewność Nuali, że Ma kryje się gdzieś w pokoju.

Ma nie pochwaliłaby tego. Zdecydowanie nie.

— Dzięki za ostrzeżenie, Angelo... I za twoją prawość. Będę pamiętał o wszystkim, co powiedziałaś — delikatnie uwolniłem się z jej objęć — i jeśli nie masz nic przeciw temu, zajrzę do ciebie w Waszyngtonie, gdy wrócę do domu, co nastąpi niebawem.

Zrozumiała — i przyjęła to z klasą.

— O tak, bardzo cię proszę, Dermocie. Będę w sekcji handlowej ambasady. Wystarczy, że wejdiesz do biura, a na pewno mnie znajdziesz.

— Do widzenia, Angelo.

— Do widzenia, Dermocie. — Pocałowała mnie szybko. — Uważaj na siebie.

Gdy znalazłem się na powrót w łóżku, teraz już kompletnie rozbudzony, przepełniało mnie poczucie żalu, a nie cnoty.

Jestem, jak nazywała mnie Ma w chwilach irytacji, safandulą. Nie umiałem pokierować swoim życiem ani talentami. Zawiodłem Kel. Pochrzaniłem wszystkie sprawy w szkole. Wdawszy się teraz w głupie i być może niebezpieczne poszukiwania, zawiodłem dwie kobiety, piękniejsze nawet niż Kel.

Idyjota!

Konsorcjum? Co znów za konsorcjum? — pytałem sam siebie.

Święty Jerzy i święty Patryk? Patronowie dwóch Wysp Brytyjskich. To niesprawiedliwe wobec świętego Andrzeja i świętego Dawida, którym przydzielono, odpowiednio, Szkocję i Walię.

Patronowie Anglii i Irlandii. Czy ci dwaj chociaż rozmawiają ze sobą w niebie?

Nie ma to żadnego sensu. W ogóle nic nie ma sensu.

Jesteś durniem, powiedziałem sobie.

W końcu zasnąłem, ale już o dziewiątej obudzono mnie, przynosząc odroczenie napisany liścik od lorda Longwooda-Jonesa, który zapraszał nas oboje z Nualą na lunch do siebie na następny dzień.

Co szykuje tych dwoje przystojniaków?

32

— W następny weekend po tym, który będzie w bieżącym tygodniu, miałaś, zdaje się, odwiedzić rodziców — odezwałem się do Nuali. — Pewnie strasznie za tobą tęsknią?

Z włosami mokrymi jeszcze po basenie siedziała nad tłumaczeniem. Teraz przyszła moja kolej, żebym sobie popływał.

Za milczącym porozumieniem, a przynajmniej tak mi się wydawało, zaprzestaliśmy wspólnych kąpeli.

— Znowu dajesz mi wolny weekend?

— Tego nie powiedziałem, no nie?

Odwróciła się od compaqa, by na mnie spojrzeć. Serce — i inne moje kluczowe organy — zalała fala miłości do niej. Wyglądała tak ślicznie i tak krucho w jasnoniebieskim swetrze i rozpiętej ciemnoniebieskiej koszuli.

W tej chwili pragnąłem jej bardziej niż Angeli, gdy trzymałem tamtą kobietę w ramionach, a ona opierała się o moją nagą pierś.

— Owszem — przyznała. — A właściwie o co ci chodzi?

— Chodzi mi o to, że chciałbym poznać twoich rodziców.

— Nie — odparła natychmiast z ogniem. — O tym nie ma mowy. wcale a wcale.

— Wstydzisz się mnie, tak?

— Nie! — Obróciła się na krześle i zaczęła wściekle stukać w klawisze.

— Ich się wstydzisz?

— Nie chcę, żebyś z nich szydził.

Ta reakcja, rozważałem w duchu, jest dowodem niedojrzałości, która uzasadnia mój brak odzewu na jej uroczyste zapewnienia o miłości.

Przeszedłem przez pokój, ująłem twarz Nuali w obie ręce i zmusiłem ją, by na mnie spojrzała.

— Naprawdę już czas zaprzestać tych bzdur, Nualo Anne McGrail. Czy kiedykolwiek zrobiłem albo powiedziałem coś takiego, z czego mogłabyś wysnuć wniosek, że wyśmiewam się z twoich rodziców?

Błyskawica gniewu przemknęła przez jej twarz, po czym przeleciała dalej, do Morza Irlandzkiego.

— I mają taką wredną córkę — powiedziała ze smutkiem.

— Podobno umówiliśmy się, że w czasie pracy autoagresja jest zabroniona.

Uśmiech wykrzywił jej usta.

— Nie dasz biednej kobiecie najmniejszej szansy, tak?

Moje ręce chciały ją pieścić. Zabrałem je więc z jej twarzy.

— Na następny weekend jedziemy do Galway.

— Tak, szefie. — Zamrugwała, usiłując powstrzymać łzy. — Zamówię ci hotel w Salt Hill, tylko będziesz mi musiał powiedzieć, jak zrobić rezerwację.

Przysiadłem na chwilę na kanapie obok biurka. — Zadzwoń do recepcji i poproś, by to zrobili. Zamów też dwa pokoje z łazienkami w Imperia! Hotel w Cork. Wyjedziemy w czwartek rano, a na noc zatrzymamy się w Cork. Potem piątek, sobota i niedziela w Galway. Chyba nic się nie stanie, jak przez dwa dni opuścisz zajęcia.

— W Cork, tak? — Jej ręce zastygły nad klawiaturą. — Będziemy przejeżdżać przez Bealnablath?

— Owszem.

— Co spodziewasz się tam znaleźć? Ducha Michaela Collinsa?

— Chcę zobaczyć to miejsce.

— A więc to nie jest zwykły turystyczny wypad?

— Nie.

— W Galway będziesz chciał obejrzeć miejsca opisane w dzienniku?

Podniosłem się. Czas popływać.

— I zapytaj rodziców, czy mają jakieś pamiątki z tamtych lat.

Skinęła głową.

— Sama jestem ciekawa.

Czy tam, na miejscu zdarzeń opisanych w dzienniku, jeszcze głębiej będzie przekonana o obecności Ma? Będę musiał na nią uważać.

Sięgając myślą wstecz przyznaję, że było to głupie postanowienie. Nikt nie miał oka na Nualę Anne, zwłaszcza na jej własnym podwórku.

— Przede wszystkim chciałbym się wspiąć na Mamene.

— Nie uważasz chyba, że złoto nadal tam jest? — Gdy się odwróciła, by ponownie na mnie spojrzeć, oczy miała szeroko otwarte.

— Może być. W książkach o Rogerze Casemencie nigdzie nie jest powiedziane, że ktokolwiek je znalazł.

— A co z nim zrobisz, jak je znajdziesz?

— Dwadzieścia milionów funtów w sztabach? Oddam Irlandii. A do kogo jeszcze należy?

— Wspaniale. — Skinęła głową z aprobatą i uśmiechnęła się czule. — Nie powinnam była o to pytać, prawda?

Wynoś się stąd, Coyne, zanim zrobisz coś, czego oboje będziecie żałować.

— I, Nualo, powiedz recepcjonistce, żeby zamówiła ten samochód, co zawsze... Masz prawo jazdy?

— Ja? W życiu nie prowadziłam samochodu.

— Możesz w samochodzie tłumaczyć.

— Dzięki temu będę bezpieczna.

Poszedłem do publicznego telefonu, zadzwoniłem do George'a i powiedziałem mu o planowanej podróży na zachód Irlandii. Nic nie wspomniałem, że był to plan Nuali.

— Z nią? — zapytał.

— Z kim?

— Osobą, która odbiera telefony. Udaje się z tobą na pielgrzymkę na zachód?

— Chcę poznać jej rodzinę. Mogą pamiętać dawne opowieści o Ma i Pa.

— Rzeczywiście, mogą.

— Nic między nami nie ma, George.

— Prześlij mi jej zdjęcie, dobrze?

— Nie mam jej zdjęcia.
— Zepsuł ci się aparat fotograficzny?
— Nie.
— Pewnie zabierzesz go ze sobą do Carraroe?
— Chyba tak.
— Więc przyslij mi jej zdjęcie.
— Jesteś gorszy niż mama.
— My, księża, mamy niezbywalne prawo interesowania się przedłużaniem gatunku... oraz ludzką miłością, która daje nam przecucie miłości Bożej.
— Jasne — powiedziałem i odwiesiłem słuchawkę.
George jest miłym facetem i dobrym księdzem, ale powinien pilnować własnego pierdzielonego nosa.
A jednak miał rację, zdjęcie Nuali powinienem nosić przy sobie do końca życia.
Opuściła mój apartament, zanim do niego wróciłem, tak właśnie, jak chciałem. Jak zwykle zostawiła wydruk tłumaczenia. Tym razem była do niego dołączona inna notka.

Dziś dwie sztuki za cenę jednej, Dermocie Michaelu. Nie wiem, czy spodoba ci się drugi tekst. Mnie tak.

N.

33

24 lipca 1921

Dowiedzieliśmy się dzisiaj, że weszło w życie zawieszenie broni między rządem brytyjskim a irlandzkim. Rozkaz zaprzestania walk nie dotarł jeszcze do Galway, lecz powszechnie mówi się, że zacznie tu obowiązywać za dzień lub dwa. IRA jest wykończona wojną. Podobnie Brytyjczycy. Mick Collins wygrał swoją walkę. Powiadają, że Collins i Dev, Wielki Facet i Długi Facet, oraz Arthur Griffith jadą do Londynu, by negocjować traktat, dzięki któremu Irlandia stanie się wolna.

A więc wygraliśmy.

Ale tu, w naszym domu w Carraroe, nie ma nastroju do świętowania. Wczoraj pochowaliśmy Tima. Został zastrzelony w potyczce z Brunatnymi, prawdopodobnie gdy w Dublinie zdążyli się już porozumieć w sprawie zawieszenia broni.

Pokój, wolność i zwycięstwo nie są warte utraty mego jedyne-
go brata, który miał zaledwie dziewiętnaście lat, tyle samo co Liam
Tomas, szalejący z żalu, bo byli z Timem przyjaciółmi od kołyski.

Wszyscy jeszcze szlochają, a zwłaszcza Moire, która lada dzień
urodzi; wszyscy prócz mnie. Ja na razie nie mogę płakać. Rozplącę
się niebawem, może dziś, może jutro, ale teraz jestem odrętwiała, zo-
bojętniała i rozgniewana na Boga. Dlaczego obdarza nas takimi męż-
czyznami jak Tim, by ich potem zabrać, zanim zdążą zobaczyć własne
dzieci?

Dlaczego pozwala Brytyjczykom na tak długie panowanie w na-
szym kraju? W dodatku są przecież protestantami. Dlaczego nasi męż-
czyźni muszą umierać, by Irlandia była wolna? To niesprawiedliwe.

Zawsze martwiłam się o Liama Tomasa. Uważałam, że Timowi nie
się nie stanie, choć Bóg wie, że za niego też się modliłam — tyle że
jakby dopiero po namyśle.

Obudziłam się przekonana, że nadal żyje i że był to tylko strasz-
liwy sen. Potem usłyszałam cichy płacz mamy i wiedziałam już, że
koszmar jest prawdziwy, a fałszywy był mój sen.

Czy mój Liam będzie następny? Tato mówi, że mimo zawieszenia
broni potyczki nie skończą się i że nie wszyscy nasi chłopcy zaakceptują
każdy traktat, jaki wyszykują nam Anglicy. Czy dalej będą do siebie
strzelać? Czy zbłąkana kula trafi także Liama w tył głowy?

Nadal się kochamy, ale tak trudno nam ze sobą rozmawiać. Wie,
że nie ufam Danielowi O'Kelly'emu. Nie rozumie dlaczego. Powiada,
że jestem jedyną osobą w hrabstwie Galway, która nie czci ziemi, po
której stąpa jego komendant czy pułkownik, czy jak tam on siebie na-
zywa. A ja mu mówię, że jeśli jego słowa są prawdziwe, w co wątpię, to
jestem jedyną osobą w Galway, która nie zgłupiała do szczytu.

W głębi serca uważam, że to nie kula Brunatnych zabiła Tima. My-
ślę, że strzelił mu w tył głowy Daniel O'Kelly, o którym dowiedział się
czegoś strasznego.

Gdy ostatnim razem Tim przyjechał do domu, potajemnie nocą jak
zawsze, powiedział: „Siostrzyczko, może nie całkiem się mylisz co do
pułkownika”.

Nie chciał mi nic więcej powiedzieć. Teraz już nigdy nie powie.

Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie. A światłość wiekuista
niechaj mu świeci na wieki.

Przyrzekam Tobie i jemu, że sprawiedliwości stanie się zadość.
Morderstwo nie ujdzie Danielowi O'Kelly'emu na sucho.

Nie pozwolę mu zabić też mojego Liama.

Boże Ojcze w niebiesiech, proszę Cię, pomóż nieszczęsnej Moire. Nie ma jeszcze dwudziestu lat, a już jest wdową.

I niedługo urodzi dziecko.

Jest śliczna, dobra z kośćcami i ma ładny kawałek ziemi, tak że na pewno otrze łzy i w końcu znajdzie sobie innego zanego męża, o co wcale się na nią nie pogniewam. Zawsze będzie miała maleństwo, które jej przypomni Tima. Ale teraz jest w rozpacz i potrzebuje siły i wiary. Więc może zechcesz łaskawie jej pomóc. Słyszysz, co mówię?

Co będzie, jeśli stracę również Liama, nawet się przecież nie pobraliśmy i w ogóle o tym nie myśliłyśmy. W każdym razie nie napomknęliśmy o tym nawet słówkiem.

Nie będę miała nawet o czym pamiętać z wyjątkiem paru ukradkowych pocałunków nocą na plaży — i wielu ostrych słów, gdy byłam zła na tego kochanego biedaka.

Nie chcę go stracić w ten sposób. Jeśli go zabiją, jeżeli ten drań strzeli mu w tył głowy, muszę mieć więcej wspomnień.

Mam nadzieję, że nie gniewasz się na mnie za te straszne myśli. Wiem, że księża, nawet ten młody ksiądz, który jest taki dobry i wyrozumiały, powie, że chcę popełnić grzech śmiertelny.

Ja wcale nie jestem tego taka pewna. Chcę wierzyć w Twoją miłość do mnie.

Widzisz, dobry Boże mego serca, kocham go tak, jak Ty kochasz mnie. Zawsze będę go kochać. Moja miłość nigdy nie ustanie. Wierzę, że Ty zawsze będziesz mnie kochał i Twoja miłość do mnie nigdy nie ustanie.

A więc cokolwiek zrobię albo co będę próbowała zrobić, lepiej kochaj mnie i Liama. Wiem, że zawsze będziesz miał nas w swojej opiece, nawet gdy wszystkich nas ciągle masz w swojej opiece. Przepraszam, że byłam zła na Ciebie z powodu Tima. Rozumiesz o wiele więcej niż ja.

Panie Boże, uczciwie Cię ostrzegam. Ta opieka nie przyjdzie Ci łatwo — to Twoja wina, że stworzyłeś mnie taką upartą i kłótniową.

A Ty, jak Liam Tomas, kochasz mnie taką, jaka jestem.

Czerwiec 1922

Ci, którzy powiadają, że miłość to straszliwy ciężar, kłamią jak najęci!

To najwspanialsza rzecz na świecie, nawet jeśli stawia się dopiero pierwsze kroki w tej grze, tak jak my z Liamem.

[Od tłumaczki: Nie wierzę, że to zrobiła, choć cały czas wiedziałam, że ma taki zamiar. Nie uważam też, że to grzech, skoro tylu ludzi ginęło dookoła i tak się wzajemnie mordowano. Wiem, że ta opowieść ma szczęśliwe zakończenie, ale czytając jej słowa miałam przeczucie, że Liam zginie, a ona zostanie, tak jak Moire, sama z dzieckiem, a nie jest to dziewczyna, która znalazłaby sobie drugiego męża. Mogę powiedzieć jedno: gdy słucham tych słów, to sądząc z tonu jej głosu, wcale się nie wstydzi ani nie jest jej przykro. Ale nie pochwaliliby takiego postępowania córek czy wnuczek!

Po wydrukowaniu usunę to z dysku. Wiem, że umierasz z ciekawości, co taka wariatka jak ja powie o całej tej historii!]

W okolicy kręci się grupa Brunatnych. Ciągłe jeszcze są wściekli z powodu incydentu w Oughterard, kiedy żołnierze regularnej armii wpadli w zasadzkę, zorganizowaną przez lotne oddziały z Clare i Galway, gdy podążali do miasta, by je spalić. Chcą zabić paru niewinnych ludzi, zanim rząd brytyjski wycofa ich i pośle do Palestyny.

Nie mogą znaleźć żadnych kozłów ofiarnych, bo ludzie znikają na wieść o zbliżaniu się Oddziałów Pomocniczych. Nasi chłopcy idą ich śladem i przestrzeliwiają im opony. Mają rozkaz, żeby ich nie zabijać, dopóki nie atakują ludności cywilnej.

Poprzedniej nocy Liam i jeszcze dwóch naszych chłopców wysadziło samochód Brunatnych, przestrzeliwując z mauzerów zbiorniki paliwa na Salt Hill. Podobno buchał wspaniały ogień.

Chłopcy używają teraz mauzerów, choć mają do nich tylko po kilka kul, bo do lee-enfieldów w ogóle zabrakło już amunicji.

A więc wczoraj rano, jeszcze przed wschodem słońca, kto jak nie Liam Tomas wślizguje się do domu? Ma rozkaz, powiada, skryć się tutaj, póki chłopcy nie upewnią się, że Brunatni odjechali z powrotem do Dublina.

— Szczęśliwej drogi — powiadam.

— Dziwisz się pewnie, dlaczego ich po prostu nie zastrzelimy?

— Wcale nie. Czy Wielki Facet nie mówił, żeby nie naruszać zawieszenia broni?

— To ty powinnaś być teraz w Londynie i negocjować traktat razem z Mickiem, Artem i Eamonem. — I uśmiecha się do mnie tym swoim cudownym uśmiechem.

— Lepiej bym się tam nadała niż cała ta banda osłów, oczywiście z wyjątkiem mojego przyjaciela Micka.

Oboje wybuchamy śmiechem i znowu jesteśmy przyjaciółmi. Reszta dnia przeszła bardzo przyjemnie; gryzłam się w język, by nie wszcząć kolejnej kłótni. Moire przyprowadziła małą Neli Tim, która jest, muszę powiedzieć, trochę niesforna, prawie tak samo nie do wytrzymania jak jej matka chrzestna, a mama i tata kochają Liama prawie tak samo jak biednego Tima.

Wspominam go codziennie. Oplakuję go niemal na każdej mszy. Młody ksiądz powiada, że jestem bardzo uczuciowa.

[Od tłumaczki: Zadzwoiłam do sklepu w Carraroe, gdzie zostawiam wiadomości dla moich rodziców. Gdy oddzwonią, poproszę, by sprawdzili, czy proboszcz mógłby poszukać w księdze parafialnej zapisu dotyczącego ewentualnego ślubu Neli Tim Malone. Moglibyśmy się dowiedzieć, gdzie mieszka. Ciekawa jestem, czy twoi rodzice utrzymują z nią jakieś kontakty. Zastanawiam się, czy jestem kompletną idiotką, skoro uważam, że to niemożliwe, by zupełnie stracili z oczu jej chrzestną córkę, niezależnie od tego, gdzie mieszka].

Gdy Liam ucinął sobie popołudniową drzemkę, zabrałam trochę pościeli, koców i kilka świec do starego zrujnowanego domu nad jeziorem i przygotowałam łóżko, na którym dwoje ludzi może przespać się przez kilka godzin.

Po podwieczorku, gdy zaczęło się ściemniać, mama i tato wyjechali na stypę do Oughterard, zabierając ze sobą kucyka i wózek. Powiedzieli, że wrócą najdalej koło północy i na pewno nie będą się ociągać, bo nie bardzo im się podoba, jak się do siebie z Liamem śmiejemy.

Na ich miejscu też by mi się to nie spodobało. Nie wiadomo, co może wpaść do głowy dwojgu szalonym dzieciakom, gdy dookoła toczy się wojna.

A więc wychodzimy z Liamem na spacer na plażę.

— Mam nadzieję, Neli Pat, że będzie pokój — powiada, znużony i kompletnie wykończony. — Jeżeli ta wojna potrwa jeszcze dłużej, zniszczy nas wszystkich.

— Tak, to straszne — mówię i otaczam go ramieniem.

— Wydawało mi się, że jestem dzielnym żołnierzem. — Jakby mnie nie zauważał. — Ale wychodzi na to, że nie. Nie zostałem stworzony do zabijania.

— Myślę, że to prawda... Ale przecież teraz mamy zawieszenie broni, nie?

— Komendant mówi, że Mick Collins jest zdrajcą, on i Art Griffith, i Bill Cosgrave, i Kevin O'Higgins, i że sprzedali nas Anglikom. Więc może nie będziemy przestrzegać zawieszenia broni.

— A czym nie będziecie go przestrzegać — gumowymi piłeczkami?

— Aach, to prawda, jakżeby nie? To już chyba nie robi żadnej różnicy. Jasne, że nie mamy amunicji, by walczyć z Armią Narodową nawet gdybyśmy chcieli, a ja wcale nie wiem, czy chcę, skoro Wielki Facet powiada, że powinniśmy uznać traktat.

— A ja myślę, że gdy to wszystko się skończy i Irlandia wreszcie odzyska wolność, będziemy mieli ze sobą wiele do obgadania.

— Aa, to bardzo możliwe.

I zaczyna mnie całować tak szaleńczo, że zabrakło mi tchu.

Tym razem nie udaję nawet, że nie chcę. Odwzajemniam jego pocałunki tak samo gwałtownie.

Potem zaczął mnie pięścić, czego nie robił jeszcze żaden mężczyzna oprócz tego biedaka, którego zabiłam w Oughterard. Wiedziałam, że do tego dojdzie, i nie byłam pewna, czy mi się spodoba. Ale kiedy Liam robi to ze mną, po prostu umieram z radości.

A więc przechadzamy się po plaży, księżyc właśnie wschodzi, jakby sam Pan Bóg załatwił nam światło, całujemy się jak szaleni, a Liam mnie pięści i zanim się zorientowaliśmy, już byliśmy w opuszczonym domu.

Szepczę prośbę do Najświętszej Pani, żeby dziś w nocy nie było deszczu.

Biorę mego mężczyznę za rękę, prowadzę do domu i zapalam świece. Staję w drzwiach, spogląda na czystą pościel, kwiaty i kubek samogonu, który ukradłam tacie, i wie, o co mi chodzi, ale sam czuje się niepewnie i chyba jest trochę przerażony.

Wszystko jest teraz w moich rękach, czego się zresztą spodziewałam. A więc zeszytniała ze strachu, lecz także, prawdę mówiąc, nieprzytomnie ciekawa, w okamgnieniu zdejmując bluzkę i spódnicę i staję przed Liamem w samej koszuli.

— Neli Pat — mówi, ciągle strasznie niepewny — nie powinniśmy...

— Owszem, powinniśmy — odpowiadam, choć nie wiem dokładnie, co powinniśmy robić, ale przecież Bóg wie, że zdążyłam się natrzeć, jak to robią zwierzęta, a chyba tak bardzo się od nich nie różnimy.

Nie rusza się, choć jestem pewna, że mu się podoba to, co widzi, a właściwie dlaczego nie?

Wzięłam głęboki oddech i zsunęłam koszulę, tak że stałam teraz w samych majtkach. Drętwieję z miłości, wstydu i niepewności. Ale teraz nie mogę się już wycofać, prawda?

A więc zrzucam majtki i stoję z wyciągniętymi ramionami, ofiarowując całą siebie mojej miłości. Pochłania mnie oczami, jakbym była szklanką zimnej wody pod koniec męczącego dnia.

Potem podchodzę do Liama, ujmuję jego ręce i kładę na moim łonie, gdzie jak wiem, chciałby je położyć, i rozpinam mu guziki koszuli.

Więcej na ten temat nie napiszę, prócz tego że to była wspaniała noc, oboje spędziliśmy cudowne chwile i nie mogliśmy się sobą dość nacieszyć, bo musieliśmy zdążyć do domu przed rodzicami.

A czy mój mężczyzna nie wślizgnął się do mojego pokoju, Gdy mama i tata już spali, by znowu się ze mną kochać?

I to była najlepsza zabawa.

GŁOS NUALI

Neli Pat, jesteś cudowną kobietą!

To zrozumiałe, że chciałaś opowiedzieć tę historię. Bo po co zostawiałabyś dzienniki? A czemu sprawiałaś, że mnie tu ściągnął?

Nigdy nie rozwiąże tej zagadki bez mojej pomocy, za nic, za nic.

Czasami myślę, że wie o tym, a czasami, że nie. Chciałabym go lepiej zrozumieć. Czy jest taki tajemniczy, bo to jankes, oj, Amerykanin irlandzkiego pochodzenia, czy dlatego, że to mężczyzna, czy że właśnie taki mężczyzna?

Mogę zrobić to, co Ty zrobiłaś, by zdobyć go dla siebie?

Chyba nie. To był czas wojny i śmierci, teraz nie ma takiej sytuacji. Kobiety mają więcej możliwości niż wtedy. Muszę przecież myśleć o swojej przyszłości, prawda?

Wiem, że chciałybyś mi powiedzieć, że my dwoje nie powinniśmy naśladować ciebie i twojego mężczyzny. Nie jestem nawet pewna, czy mój mężczyzna, jeśli on jest moim mężczyzną, bo nie jestem o tym przekonana, wcale a wcale, ulegnie tak jak Twój. Prawdopodobnie nie.

No więc ja chyba też nie.

A jednak któregoś dnia go sprowokuję.

Istnieje mnóstwo powodów, żebym tego nie robiła, ale nie dbam o nie. Nie pozwolę mu prysnąć, zanim nie dowie się, co o nim myślę.

Nie wiem, czy moja miłość będzie trwała całe życie, tak jak Twoja, ale to też mnie nie obchodzi. Wygarnę wszystko mojemu mężczyźnie, ot i tyle.

Nieszczęsny jełop nie ma pojęcia, co znajdziemy w Galway. Będę musiała dobrze go pilnować. W przeciwnym razie popełni jakiś straszliwy błąd.

Kocham go. Tak ogromnie go kocham.

Gdy skończę do Ciebie pisać, usunę to wszystko z dyskiety.

35

— Nie uprzedziłeś mnie, że mamy zjeść lunch w eleganckim świecie.

— Nawet idealny szef niekiedy o czymś zapomina.

Siedzieliśmy w rollsie jego lordowskiej mości, przedzierając się przez rzędy samochodów i strugi ulewnego deszczu.

— Na przykład gdy przedwczoraj zapomniałeś zadzwonić do George'a i on sam później dzwonił strasznie zmartwiony, biedaczek.

— Ale przypuszczam, że go uspokoiłeś.

— Nie zapomniałbyś głowy, gdyby nie była przytwierdzona?

— Najprawdopodobniej.

— No i siedzę w ich pier..., w tym wspaniałym rollsie i wyglądam jak ekspedientka, a miałam dziś zrobić bardzo dużą porcję tłumaczenia.

Nuala jęczała dla zasady. W gruncie rzeczy była zadowolona z zaproszenia na lunch do państwa Longwoodów-Jonesów, teraz już zupełnie pewna, że doskonale potrafi stawić czoło miejscowej elicie.

Dzisiaj miała na sobie swój szary komplet, do tego jasnoszary sweter i srebrny krzyż celtycki na szyi — był to najnowszy dodatek do jej garderoby.

Nie miała oporów przed wydawaniem pieniędzy, nie żałowała ich też na jałmużnę dla podróżnych żebrzących na ulicach.

A jednak byłem pewien, że gdzieś tam kryje się komputer rejestrujący każdego wydanego pensa.

Nie wzięła ze sobą płaszczka od deszczu.

— Z pewnością ten twój Arthur będzie niósł nade mną parasol, no nie? Naprawdę nie masz pojęcia, jak to się robi w eleganckim świecie, Dermocie Michaelu?

— Jeśli zechcesz, możesz wyglądać jak hipiska — powiedziałem do niej w rollsie, gdy szofer spuścił szklaną zasłonę między nim a nami — Nualo Anne, ale nigdy jak ekspedientka.

— Po prostu szukasz sposobów, żeby mnie całkiem zawstydzić. — Uśmiechała się szeroko i widać było, że sprawia jej to wielką frajdę.

Ona nigdy człowiekowi nie odpuści.

— Nie zrobię ci wstydu zataczaniem się na schodach po lunchu.

— Może poczekamy i przekonamy się, co? A dlaczego codziennie dzwonicz do domu?

Zerknąłem na nią. Jak przypuszczałem, na jej twarzy malowała się przebiegłość przekupki.

— Rodzina się o mnie niepokoi.

— Nie powinienesz zadzwonić do matki?

— Ma wiele pracy z pacjentami. George odgrywa rolę centrum komunikacyjnego.

Nie zadowolili jej moja odpowiedź, postanowiła jednak na razie zaprzestać drażenia tej sprawy. Będę jej musiał opowiedzieć o całej tej historii za parę dni, przed naszym wyjazdem do Cork i na zachód. Co sobie o tym wszystkim pomyśli, zwłaszcza biorąc pod uwagę jej dziwaczne utożsamianie się z Ma?

— Nie powiedziałeś, czy byłeś zaszokowany tym, co Ma zrobiła w opuszczonym domu?

Jasne, że nie.

— Każde pokolenie myśli, że wynalazło seks, Nualo, i czuje się zakłopotane, a nawet bardzo niezadowolone z odkrycia, że jego poprzednikom również sprawiał on frajdę.

— To brzmi jak cytat z któregoś z twoich opowiadań.

— To nie jest żaden cytat ze mnie, ale skoro tak uważasz, na pewno gdzieś to umieszczę.

— I nigdy ci się nie chce zachować na dysku tego, co napisałeś — zaczęła na inną nutę. — Co by się tu działo, gdybym nie była tak odpowiedzialna?

— Dlatego właśnie cię zatrudniłem, Nualo.

— O nie, wcale a wcale — roześmiała się. — Myślisz, że nie zapytałam biednego księdza, czy nie zrobił kopii dziennika twojej babci na wypadek, gdyby w hotelu ni z tego, ni z owego wybuchł pożar?

— A zrobił?

Sam miałem się tym zająć. Dobra pamięć nigdy nie należała do moich atutów.

— Wspaniale, Dermocie Michaelu, po prostu wspaniale. Naprawdę się dziwię, że tak długo zdołałeś przeżyć bez niani.

— Czy George zrobił kopie? — warknąłem.

— Czy papież jest katolikiem? — odparowała.

— Wykończysz mnie, kobieto — pożałowałem się. — Świętego wprowadziłybyś z równowagi.

— Co ty powiesz... A co myślisz o niej w chatce bez dachu, голуśienkiej, jak ją Pan Bóg stworzył?

Tego tematu nie dało się uniknąć, mimo że byliśmy na końcu FitzWilliam Street, zaledwie parę domów od miejskiej rezydencji Longwoodów-Jonesów.

Utożsamia się z Ma tak dalece, że teraz będzie czuła się zmuszona wypróbować tę samą taktykę na mnie, czego się poważnie obawiałem. Czy zdołam się jej oprzeć?

Gdyby była równie wyzywająca jak Ma, to jestem bez szans. Jeśli Nuala pragnęłaby mnie równie mocno, poddałbym się walkowerem.

Nie jest jednak Ma, w każdym razie nie do końca. Odebrała lepsze wykształcenie i mimo całej swojej nieśmiałości stała się bardziej wyrafinowana, a także, w co żarliwie pragnąłem uwierzyć, nabrała zahamowań.

— Pragnęła go, Nualo. — Wzruszyłem ramionami. — I bała się, że go zabiją, tak jak jej brata. Trwała wojna, a niebezpieczeństwo i śmierć czaiły się wszędzie. W czasie pokoju uganiałaby się za nim równie skutecznie, choć może mniej widowiskowo. Jeśli chcesz znać moje zdanie, to biedaczek od czasu swych dziesiątych urodzin nie miał szans.

— Więc tak naprawdę nie czujesz się zaszokowany?

— Tak naprawdę to nie. Z początku może trochę zdziwiony, ale niezaszokowany. Ma do końca życia była bardzo namiętna.

Nuala udawała, że jest obiektywna i usiłuje tylko poznać moje zdanie na ten temat — gdybym chciał uwierzyć akurat w tę maskę, co mi się oczywiście nie zdarzyło.

— I nie uważasz, że popełnili straszliwy, śmiertelny grzech?

— Lepiej zostawmy to Bogu, który, jak by powiedział twój przyjaciel probaszcz George, nie jest ani katechetą, ani teologiem moralnym.

— Chwała Bogu — westchnęła.

Ma i Pa byli ludźmi namiętymi, pożądlivymi nie tylko seksualnie. Ta para przez całe życie szła za swymi najsilniejszymi instynktami i nigdy żadne z nich tego nie żałowało. Odrobina wykształcenia wysysa to z człowieka. Staje się skłonny do rozważań, co jest często słuszne, ale nie zawsze.

Na Merrion Square Arthur z szacunkiem otworzył parasol i przeprowadził lady Nualę Anne aż na werandę, ja zaś ubezpieczałem tyły. Przy drzwiach jednakże ujęła mnie pod ramię. Dziś dla eleganckiego świata będziemy parą kochanków.

— Jak miło, że przyjechaliście. — Martin snuł się po salonie, do którego zaprowadził nas kamerdyner. — Spędziliśmy z wami tak uroczy wieczór, że razem z Liz zapragnęliśmy pogadać w ee... węższym gronie.

— Znacznie bardziej lubię nieobowiązujące lunche niż oficjalne kolacje — zgodziła się Liz.

Brak oficjalności przejawiał się u niego w formie ciemnoszarego garnituru z kamizelką, u niej zaś w długiej jasnoszarej sukni. W mundurku młodego człowieka sukcesu — ciemnoniebieski blezer i spodnie khaki — byłem jedynym dysonansem w symfonii szarości tego szarego dublińskiego dnia.

— Sherry? — Martin machnął ręką w kierunku pełnej butelki na stoliku. — Jest dość wytrawne, ale mam nadzieję, że będzie ci smakować.

— Owszem, dziękuję — odparła Nuala. — Lubię właśnie wytrawne.

Byłem pewien, że ta mała szachrajka nie odróżnia słodkiego od wytrawnego.

— Bierz, co dają, i proś o jeszcze, jak mawiała moja babcia.

— Była z Galway? — rzucił mi od niechcenia Martin. Czy jest w to wplątany? Czy ma coś wspólnego z Konsorcjum św. Jerzego i św. Patryka? A może mu przewodzi?

— Istotnie, zapalczywa kobietka Neli Pat Malone, Pat chyba po ojcu, by odróżnić ją od innej Neli, Neli Mike czy Neli Joe, a może jeszcze jakoś inaczej.

— Nie mówiłeś, że musieli wyjechać podczas Wypadków?

— Istotnie, o ile zdążyłem się zorientować, dziadek należał do najbardziej radykalnego skrzydła IRA, jak nazwano Irlandzkich Ochotników Collinsa. W czasie wojny domowej znajdował się chyba po stronie przeciwników traktatu, to znaczy występował przeciw Collinsowi. Potem wyjechali, i to dość nagle, najwyraźniej ratując głowy.

Sherry było znakomite. Postanowiłem, że wypiję dwa kieliszki, potem dwa kieliszki wina — i ani kropli więcej. Moja pani bez mrugnienia oka pozwoliłaby mi paść na bruk w ten deszcz.

— Gdy nadszedł wreszcie pokój, pozostało wiele wrogości — westchnął Martin. — Wiele niezalutwionych porachunków. Mnóstwo ludzi wówczas wyjechało, mając po dziurki w nosie walk i nienawiści. Utrzymywało się milczące porozumienie, że emigracja zwalnia od egzekucji.

— Czy po wyjeździe twoi dziadkowie utrzymywali jakieś kontakty z rodziną pozostałą w Irlandii? — spytała Liz.

— Nigdy nie mówili wiele o Irlandii ani o swoich rodzinach. Wiem, że Ma miała brata, Tima, którego bardzo kochała i który umarł młodo, ale nigdy nie wspominała, jak to się stało. Teraz zastanawiam się, czy nie został zabity podczas wojny.

— Biedny chłopak — Liz napełniła mi kieliszek.

— Czasami opowiadali o krewnych w Stanach. Możliwe, że nawet ich odwiedzali. Ale z tego, co sobie przypominam, po przyjeździe do Ameryki wymazali z pamięci dawne sprawy i rozpoczęli zupełnie nowe życie.

— To musiało być dla nich trudne.

— Emigracja nigdy nie jest łatwa — rzekła ponuro Nuala. — To jak rozwód z własnym krajem i narodem.

— Bardzo słusznie, moja droga — Martin przybrał profesorski ton. — Chyba jednak jesteś niesprawiedliwy wobec swego dziadka, Dermocie, określając go jako radykała. W tamtych czasach podziały nie były tak wyraźne. Osobista lojalność wobec dowódców była znacznie ważniejsza aniżeli z góry ustalone stanowiska wobec traktatu.

Mówił z pewnością siebie człowieka przekonanego, że rozmowa zesłała na właściwe tory. Ale jakie to były tory?

— Tak też i mnie się wydaje.

— Patrząc na to z perspektywy — wykład toczył się teraz gładko — za cud trzeba uznać, że Irlandczycy w ogóle przetrwali jako naród. Wielu sądziło, że jest to niemożliwe, zwłaszcza po zastrzeleniu Collinsa. Widzicie, większość ludzi była bardzo zadowolona z traktatu, przynosił bowiem wolność i niepodległość — jeśli rozumiecie, o co mi chodzi. Co więcej, w Kwaterze Głównej IRA w Dublinie wiedzieli, że nie mają amunicji, by dalej prowadzić wojnę. Jednakże wśród przywódców politycznych dochodziło do ostrych kontrowersji, choć żaden chyba w gruncie rzeczy nie chciał doprowadzić do wojny domowej ani nie przypuszczał, że do niej dojdzie. Po obu stronach liczone na zała-

manie się tej drugiej. Tacy mężowie stanu jak Brugha mieli nadzieję, że ich śmierć poruszy Irlandię, tak jak śmierć męczenników z 1916 roku. Najzupełniej błędnie odczytali powszechne reakcje. Ludzie mieli już dosyć męczenników.

Do czego u diabła zmierzał?

— Idioci — stwierdziła lapidarnie Nuala, po czym skinęła głową w stronę Liz na znak, że owszem, chętnie wypije jeszcze odrobinę sherry.

Przy eleganckich szychach nie mówiła „idyjoci”.

— Nie możesz ich tak ostro potępiać, moja droga. Czasy były szalone i niepewne. Może rewolucje nie powinny wybuchać, ale gdy już do tego dochodzi, rewolucjoniści niemal zawsze kłócą się między sobą o zasady. Tak właśnie się stało. Nieszczęsny Michael Collins był jedynym człowiekiem w kierownictwie, który usiłował zadowolić obie strony. Zadziwiające jest nie to, że przegrał, ale że niemal mu się powiodło. Griffith nie miał złudzeń co do De Valery i jego frakcji. Chciał ich rozbić do szczytu. Dev źle ocenił sytuację, co zdarzyło mu się tylko parę razy w życiu, lecz po kilku latach naprawił swój błąd, składając przysięgę i dołączając do rządu. Wówczas jednak był śmiertelnym wrogiem traktatu. I nigdy nie przebaczył do końca Wielkiemu Facetowi tego, że stworzył Irlandię, jak napisał o nim w swej książce Tim Pat Coogan.

— Czasem się mylił, ale nigdy nie miał wątpliwości? — wymamrotałem pod nosem.

— To właśnie mówi o tobie twój brat książd — zachichotała bez troski Nuala.

— Wiosną, latem i jesienią 1922 roku, kiedy — jak sądzę — wyjechali tvoi dziadkowie...

— Zgadza się. Jesienią.

Wiedział zastanawiająco dużo na temat Ma i Pa. Widocznie i jemu zakłócali spokojny sen.

— W owym czasie — ledwo zwrócił uwagę na moje stwierdzenie — w kraju panował chaos. Być może połowa dowództwa IRA zaakceptowała traktat nie tyle z przekonania, co ze względu na lojalność wobec Collinsa. Druga połowa odrzuciła go. Wielu, jeśli nie większość zwolenników tej decyzji nie walczyła zbyt gorliwie podczas wojny anglo-irlandzkiej. Nowa Narodowa Armia Wolnego Państwa, którą zorganizował Collins, nie przeszła próby walki. Jak zapewne pamiętasz, dysydenci z Dublina, Rory O'Connor i Cathal Brugha, tak zwany minister obrony republiki, opanowali budynki Czterech Trybu-

nałów i hotel Gresham. Obaj byli przyjaciółmi Collinsa, tak samo jak inny dysydent Harry Bolland.

— I jego rywal o względy Kitty Kiernan — zauważyła Nuala.

— Właśnie. Dobrze znasz historię, moje dziecko.

— Interesowałam się tamtą epoką.

Kłamstwo!

— A więc Collins wahał się i prosił. Jego przyjaciele byli pewni, że zdradził. Podobno ostatnie słowa Bollanda, nim zmarł podczas próby aresztowania go przez Armię Narodową w Skerries, brzmiały: „Czy mają już Micka Collinsa?”

— Nim zmarł na stole operacyjnym — poprawiła go Nuala.

W naturze irlandzkich kobiet leży poprawianie omyłek popełnianych przez mężczyzn, nawet drobnych szczegółów. Zwłaszcza drobnych szczegółów.

— Nareszcie Griffith, O’Higgins i Cosgrave, nowi nieprzejednani, zaczęli domagać się wszczęcia stanowczych kroków. Armaty zniszczyły Cztery Trybunały, a wraz z nimi większość archiwów irlandzkiej historii. Brugha został zabity, O’Connora i Childersa stracono później i zaczęła się wojna domowa.

— Straszne czasy.

Tak, i oboje z Nualą wykazaliśmy już, że to rozumiemy, przy czym ona wykazała się lepszą znajomością szczegółów niż jego lordowska mość. Po cóż więc ta lekcja historii?

— Nikt się nie spodziewał, że do tego dojdzie. Wszyscy blefowali. W końcu bluff wykryto i Irlandia pogrążyła się w chaosie. Jednostki IRA opanowały większość kraju, lecz było to słabe panowanie. Tymczasem żołnierze brytyjscy nadal atakowali, Armia Narodowa nie sprawdziła się jeszcze w boju, a Rząd Tymczasowy z Collinsem jako przywódcą, ministrem obrony i ministrem finansów — a tak, prócz innych talentów, które wykazywał, był też geniuszem finansowym — nie miał dość siły, by przywrócić porządek, choć uzyskał przytłaczające zwycięstwo w wyborach do Dail, które miały być czymś w rodzaju plebiscytu na temat traktatu.

— A więc ludność była po jego stronie? — zapytałem, doskonale wiedząc, że tak, ale chciałem pobawić się z nim w ciuciubabkę.

— A tak, oczywiście. Prócz tego biskupi i część duchowieństwa.

— Powiedział kiedyś — zauważyła kostycznie Nuala — że w głębi duszy wolałby, żeby biskupi nie byli po jego stronie.

Ta kobieta nigdy nie będzie trzymać języka za zębami. Nie ma siły.

— W istocie tak było. Musiałaś nieźle poznać tę epokę. Większość młodych ludzi nie interesuje się tym... Niemniej jednak Westminster nie kwapił się z dostarczeniem broni i amunicji, której potrzebowała Armia Narodowa. Pamiętajmy o aktach przemocy, do których dochodziło w poprzednich latach. Collins podczas jednego ataku zmiotł z powierzchni ziemi całą angielską jednostkę wywiadowczą. Potem Brunatni strzelali do tłumu w Croke Park podczas meczu piłki nożnej, zabijając czterdzieści osób. Miasto Cork spalili do cna. Irlandczycy zniszczyli kilka konwojów żołnierzy angielskich i strzelali do Brunatnych, gdzie tylko ich spotkali. Potem, na rozkaz Collinsa, zamordowali sir Henry'ego Wilsona, poprzedniego brytyjskiego szefa sztabu. Obawiam się, iż w Anglii panowało powszechne przekonanie, że Irlandczycy to dzicy ludzie.

— Okupujący cudzy kraj?

Martin uśmiechnął się bez śladu rozbawienia.

— Właśnie, Dermocie. Co więcej, wielu tutejszych ludzi miało dość przemocy i śmierci. Zaryzykowałbym tezę, że gdybyś siedział w tym domu z moim własnym dziadkiem i grupą jego znajomych w roku 1922. pijąc sherry przy tym samym stole, tak jak my w tej chwili, przyznałbyś, że Rząd Tymczasowy upadnie i że krwawą łaźnię może powstrzymać tylko przywrócenie brytyjskiego panowania, choćby na jakiś czas.

— Pomyliliśmy się.

— Nie tak bardzo. Churchill nakazał generałowi McCready'emu wzięcie szturmem Czterech Trybunałów i mógłby przy tym obstawać, gdyby oddziały Wolnego Państwa nie zaatakowały pierwsze. Dziadek, chciałbym dodać, był irlandzkim patriotą, który wierzył w autonomię i pokój. Bolał nad tymi krwawymi zajściami i oczywiście popierał traktat, chociaż jego powodzenie w owym czasie było wątpliwe. Dysponujemy okazałą korespondencją z jego przyjacielem z czasów wojny burskiej, Winstonem Churchillem, w której dziadek tłumaczy nieszczyśnemu staremu Winstonowi, jak słabo rozumie irlandzkie sprawy.

— Winston nigdy nie rozumiał Irlandii — zauważyła Liz, jakby osobiście znała Churchilla.

— Imperialista aż do smutnego końca.

— O tak — przyświadczyła Nuala, wykazując mi, że naprawdę przejęła się swoim zadaniem. — Wygłosił mowę, w której przestrzegwał Rząd Tymczasowy, że jeśli nie zmiotą buntowników w Czterech Trybunałach z powierzchni ziemi, Brytania uzna traktat za niebyły. Wywołało to niemalże przeciwny efekt. Collins powiedział, że Churchill powinien przyjechać do Irlandii i sam odwalić tę brudną robotę.

Wyszło to z ust młodej kobiety, która przed dwoma tygodniami nie była pewna, kim był Michael Collins, i mało co słyszała o Winstonie Spencerze Churchillu.

— Przepraszam, że przerywam tę dyskusję — rzekła Liz, podnosząc się — ale lunch jest już chyba gotowy. Tylko zimne przekąski — mam nadzieję, że to ci odpowiada?

— Lubię zimny bufet — Nuala uniosła się z wdziękiem, stawiając kieliszek po sherry ręką pewniejszą niż moja, choć wypita trzy kieliszki, a ja tylko dwa. — Po ciepłym lunchu człowiek po południu staje się senny, zwłaszcza jeśli pomogło się opróżnić butelkę sherry.

Jej akcent był tak bardzo dubliński, że można się było założyć, iż jest także Irlandką angielskiego pochodzenia.

— Rzeczywiście, skończyliśmy ją. — Martin udawał zaskoczenie. — Coś takiego!

— Obaliliśmy całą flacę — zgrywałem się na mieszkańca zachodniej Irlandii, co mocno rozbawiło całe towarzystwo.

— Jako jankes — westchnęła Nuala — Dermot nie jest przyzwyczajony do picia sherry podczas lunchu.

Jeszcze głośniejszy śmiech.

Suka.

Zimne przekąski okazały się w sumie wielkim posiłkiem, zaserwowano bowiem bogaty zestaw pasztetów, galaretek, sałatek oraz zimnych mięs i wędzonej ryby. Ogromne błękitne oczy Nuali płonęły z zachwyty.

Nie muszę dodawać, że podano też białe wino. Dwie butelki.

— Omyłka, jaką byśmy mogli popełnić, gdybyśmy znajdowali się tu, powiedzmy, wiosną 1922 roku — mówił Martin, wracając do wykładu — polegałaby na niedocenianiu roli organizacji i administracji, nawet w wojnie partyzanckiej. Collins był przecież geniuszem, uniknął tego błędu. Panował nad swym aparatem. Gdy doszedł do wniosku, aczkolwiek z niechęcią, że konflikt jest nieunikniony, wziął w nim udział z taką samą zrećznością i determinacją, jaką odznaczały się wszystkie jego działania.

Czy dotrze wreszcie do sedna? Spojrzałem na moją panią. Zmarszczyła brwi, jakby ostrzegając, bym nie ponągał gospodarza.

— Był niezwykle skomplikowanym człowiekiem — zauważyła Liz.

— O tak, bardzo — ciągnął jej mąż. — W Brytanii uważano go za rewolwerowca, terrorystę, lecz terrorystę romantyka, a gdy umarł, zyskał sławę wielkiego człowieka, geniusza, którego śmierć dotknęła

obydwie strony. W gruncie rzeczy wyróżniał się znacznie ważniejszymi zaletami: wymagającego administratora, który doglądał każdego szczegółu, a także sumiennego finansisty, który rozliczał się z każdego wydanego pensa. Postrzegał rzeczywistość nieporównanie wyraziściej niż otaczający go romantyczni rewolucjoniści. Był doskonałym matematykiem i jeszcze w 1915 roku chciał wyemigrować do Ameryki, by kształcić się na inżyniera. Przed samym powstaniem pracował w Anglii jako urzędnik w banku. Gdy powiedział swemu przełożonemu, że zaciągnął się do wojska, szef był przekonany, że wstąpił do armii brytyjskiej, i dał mu premię. Trzy lata później ten były urzędnik bankowy, ciągle jeszcze dwudziestoparolatek, siedział przy stole konferencyjnym naprzeciw Davida Lloyda George'a jako przedstawiciel Irlandii.

— Powstaniec bankowiec?

— Otóż umysłowość urzędnika bankowego pozwoliła mu właśnie zbudować struktury, jeśli rozumiecie, o co mi chodzi, które przetrwały jego tragiczną śmierć. Spoglądając z perspektywy, nie powinny były istnieć żadne wątpliwości co do ostatecznego wyniku, wbrew wszelkim ówczesnym zastrzeżeniom. Armia Narodowa dość szybko wyniosła się z Dublina i innych miast. Cork na przykład miało być twierdzą IRA, lecz Emmet Dalton opanował je po jednodniowej potyczce.

— Ta wojna składała się z samych potyczek.

— Właśnie. Zupełnie jak wcześniej wojna angielsko-irlandzka. Nie powinniśmy o niej myśleć w kategoriach bardziej współczesnej wojny totalnej. Ci ludzie nie byli marksistowskimi ideologami dążącymi do obalenia całego porządku społecznego. Walczyli raczej o kierowanie społeczeństwem, którego podstawowe zasady wszyscy akceptowali. Wyobraźcie sobie na przykład miasto tuż przed atakiem na Cztery Trybunały. Pokaz koni odbywał się normalnie.

— Kitty Kiernan przyjechała go obejrzeć, chociaż była kiepskiego zdrowia — wtrąciła Nuala

Ona mogła dążyć do nadania rozmowie charakteru lekcji historii, mnie to się wcale nie uśmiechało.

— Bez zakłóceń działały również szkoły, teatr, redakcje gazet i przedsiębiorstwa, a statki swobodnie krążyły po wodach portu. Bitwy w Gresham i Czterech Trybunałach to były krótkie walki, których od głosy mogliśmy posłyszeć w jadalni i skwitować je uwagą, że przez tydzień lub dwa może nie będziemy pijać herbaty u Greshama. Mężczyźni nadal chodzili na kieliszek do pubów czy klubów. Regaty jachtów w Cork odbyły się zgodnie z planem, choć Emmet Dalton bił się z partyzantami w samym sercu miasta. Większość tamtejszych irlandz-

kich przedsiębiorców dyskutowała na temat walk, choć się do nich nie zbliżali. Życie toczyło się mniej więcej tak samo jak dziś w Belfaście.

— I Wolne Państwo wygrało — rzekła Liz, ponownie napelniając mi kieliszek. — Cieszę się, mój drogi, że smakuje ci wędzony łosoś z Galway.

— Lubię wszystko, co pochodzi z Galway.

— Weźcie pod uwagę, że śmierć Collinsa była ciężkim ciosem dla Wolnego Państwa. W naszych archiwach mamy list od Winstona, w którym pisze, że jest absolutnie przeciwny dalszym wysyłkom broni dla Armii Narodowej i że przywrócenie rządów brytyjskich wydaje się nieuniknione.

— Zrobiliby to bez przykrości — powiedziała Liz z nutą goryczy. — Jak wam wiadomo, jeśli go czytaliście, całe życie wierzył, że Irlandczycy nie są zdolni do samodzielnych rządów.

— Ale jak się okazało, Kevin O'Higgins i Richard Mulcahy odznaczali się nie mniejszą determinacją, a większą bezwzględnością niż Collins — dopowiedziałem koniec tej historii.

— Właśnie. O'Higgins zginął później w wyniku zamachu, być może w odwecie za stracenie Rory'ego O'Connora, lecz wówczas Wolne Państwo odniosło już zwycięstwo. Generał porucznik Mulcahy dożył podeszłego wieku — on i Dev byli ostatnimi przywódcami. Nigdy się nie lubili. Znałem Dicka, oczywiście, godzinami słuchałem w klubie jego dykteryjek.

— Czy kiedyś wspomniał, kto jego zdaniem zabił Michaela Collinsa?

— Nigdy o tym nie mówił, Dermocie. Moim zdaniem uważał, przynajmniej oficjalnie, że zupełnie przypadkowo dokonała tego zdraziecka banda partyzantów niemających pojęcia, kogo zabili. Dlaczego pytasz?

— Niewykluczone, że to mój dziadek nacisnął spust, by oddać ten śmiertelny strzał.

36

— Uroczą kobietą, prawda? — Nuala wyciągnęła się na tapczanie, jak sama przyznała, kompletnie wykończona.

— Owszem.

— Ładne cycki. I dama w każdym calu, nie uważasz?

— W każdym calu.

— Tylko już trochę stare pudło, nie?

Nuala mówiła matowym, pozbawionym emocji głosem, stwierdzając po prostu oczywisty fakt. Uważałem, że najlepiej będzie trzymać buzię na kłódkę.

— A on to dobry, przyzwoity i szlachetny człowiek, co?

— Takie sprawia wrażenie.

— A skądinąd kupa gówna!

— Ach!

— Kazały nas posiekać za jakąś dobrą i świętą sprawę, zgodną z jego zasadniczym poczuciem przyzwoitości.

— Myślisz, że zrobił coś podobnego?

Zamilkła na chwilę.

— Możliwe. Jak myślisz, dlaczego nas zaprosił?

To pierwsza wzmianka, która wskazuje, że ta wspaniała kobieta jest też detektywem. Jako zupełny idiota, wcale nie zwróciłem na to uwagi.

— Nie jestem pewien. Muszę się nad tym zastanowić.

— Nad wszystkim musisz się zastanawiać, co? Zareagowałeś kiedy spontanicznie na coś czy na kogoś?

Pod wpływem alkoholu stała się kłótniwa.

— Pewnie.

— A gdy już przemyślisz sprawę, zawsze decydujesz się na coś wręcz przeciwnego?

— Tylko czasami.

— Albo powinnam się zdrzemnąć, albo popływać. — Ziewnęła.

— W każdym razie nie zataczam się.

— Ja też nie.

— Nie wypieś nawet połowy tego co ja.

— Dwie trzecie... Oboje mamy słabe głowy, Nualo Anne.

— No nie? Naprawdę uważasz, że twój dziadek zastrzelił Micka Collinsa?

— Mam takie przeczucie. Bo inaczej dlaczego mieliby wyjeżdżać z kraju?

— Myślisz, że wiedział, kogo zabił?

— Wątpię. Najwyraźniej partyzanci nie wiedzieli, że Collins jest w konwoju. Wprawdzie ten twój Tim Pat Coogan mówi, że wiedzieli, ale tak naprawdę nie zamierzali go zabić. Może z dziennika Ma dowiedziemy się więcej.

— Jasne, powinnam zabrać się do roboty, zamiast się oddawać po-
gańskim rozkoszom w basenie.

— Popływaj najpierw, a ja tymczasem pomyślę.

Podniosła się.

— Co to za facet, ten Winston Churchill?

— Winston Churchill? — powtórzyłem z niedowierzaniem.

— Wiem, że miał coś wspólnego z którąś wojną, ale nie pamię-
tam z którą. — Wcale nie wydawała się zażenowana swoją przeraźliwą
ignorancją. Ale w końcu przecież nie studiowała historii, no nie?

— Z obiema wojnami światowymi. Nualo. Był pierwszym lordem
Admiralicyj w wojnie numer jeden i premierem w wojnie numer dwa.
Zrezygnował z pracy w Admiralicji po katastrofalnej próbie inwazji
na Turcję w 1916 roku i poszedł na front do Francji. Ale był ministrem
stanu do spraw kolonii podczas negocjacji w sprawie traktatu anglo-
irlandzkiego. Rząd Lloyda George'a upadł kilka miesięcy później,
między innymi dlatego, że zdaniem wielu Brytyjczyków Irlandia zy-
skała zbyt wiele. Do władzy doszedł w 1940 roku, gdy na czas wojny
został angielskim premierem. Pamiętasz jego słynne przemówienie
„Nigdy się nie poddamy”?

— Mgliście. — Przygryzła wargę. — Lepiej o nim też sobie po-
czytam.

— Najpierw idź popływać, słyszysz?

Przeciągnęła się leniwie, jej wspaniałe piersi zarysowały się bardzo
wrażnie pod swetrem, a cycki miała o niebo bardziej kuszące niż lady
Liz.

— Jak pan każe, milordzie. Ale powiem ci jedno: im wszystkim
chodzi o złoto, nie o twoją babcię i dziadka.

— Możliwe. Ciągle zapominam o złocie.

— To do ciebie podobne.

Znowu się przeciągnęła, doprowadzając mnie nieomal do szaleń-
stwa. Umierałem z chęci, by dotknąć tych piersi i pieścić je, całować
i chwycić wargami, czuć, jak sutki twardnieją pod moimi palcami, ba-
wić się nimi bez końca.

Nie powinienem wywoływać w wyobraźni tych obrazów. Tak samo
nieskutecznie mógłbym przekonywać przypiływ, by wziął sobie wolny
dzień.

Zadzwoił telefon i natychmiast przeobraziła się w idealną sekre-
tarkę.

— Biuro pana Coyne'a... To ty, mamó? Dzięki Bogu, że do mnie
zadzwoiłaś.

Jej twarz rozjaśnił uśmiech pełen zachwytu, przeszła na irlandzki i sięgnąwszy po notatnik poczęła zapisywać słowa matki.

— On? — zerknęła na mnie i znów tokowała po irlandzku. Bez trudu można było się domyślić, o czym mówi. Pełen rozbawienia uśmiech i ton mamusi opowiadającej o małym synku rozmyślnie zdradzał sens jej wypowiedzi.

— Ależ skąd, jest zupełnie nieszkodliwy. Bogaty jankes, który pisze opowiadania i chce, żeby wszyscy go lubili. Nie, nie przystawia się do mnie, niestety. Jasne, pewnie mu brak hormonów, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Czy mi się podoba? W pewnym sensie, ale to chyba strata czasu. Czy coś z tego będzie? Poczekajmy do soboty, kiedy przyjedziemy do Carraroe i obejrzyj go sobie. Ach, Boże drogi, kobieto, na pewno nie będzie u nas nocował. On jest z tych, co zatrzymują się w szarych hotelach w Salt Hill.

Masz szczęście, Dermocie Michaelu Coyne.

— Zdaje się, że spotkała mnie śmierć cywilna — mruknąłem, gdy odłożyła słuchawkę.

— Nie przetłumaczę ani jednego słowa z tego, co jej powiedziała — oznajmiła z triumfem. — To nie twój pier... cholerny interes.

— To mój interes, bo cały czas mówiłaś o mnie, i nie musisz tego tłumaczyć, bo — jak doskonale wiesz — domyśliłem się mniej więcej, o co chodzi.

— No, w każdym razie dowiedzieliśmy się paru rzeczy o twojej rodzinie, chociaż nie na wiele chyba nam się zdadzą. Twój dziadek był sierotą i nie ma o nim żadnych zapisków ani w jego parafii, ani w naszej z wyjątkiem aktu zawarcia małżeństwa z niejaką Mary Anne Malone we wrześniu 1922. Jest też notatka o chrzcie drugiej Mary Anne Malone, córce Timothy'ego Malone'a (zmarłego) i Marie czy też Moire Hurley oraz wzmianka o ślubie Moire Hurley Malone z Jamesem Flanaganem w roku 1924. Druga Mary Anne Malone wyszła za Johna Sheerina w San Francisco w maju 1942. Musieli zatem wyemigrować, bo nic więcej nie wiadomo ani o Moire, ani o jej rodzinie. Nie ma też żadnej informacji na temat pogrzebu rodziców twojej babci. Albo wyemigrowali, albo przenieśli się z Carraroe w inne strony Irlandii jak mnóstwo innych ludzi, bo przecież nie można najeść się krajobrazem, no nie? Mama powiada, że bardzo nieliczni pamiętają Wypadki, bo mnóstwo potem wyemigrowało. Ma nadzieję, że stary Mike Sean Cussack coś pamięta, ale jest za stary, żeby można mu całkiem zaufać. Zadowolony?

Nigdy Nuala nie wydała mi się tak ożywiona ani tak piękna jak w czasie jej rozmowy z matką. Czy takie było prawdziwe oblicze

ur-Nul, kryjące się za tyłoma maskami? Jeśli tak, to była jeszcze niebezpieczniejsza, niż mi się zdawało.

— To też muszę przemyśleć.

— No to myśl sobie. — Zrzuciła buty. — Idę popływać.

— Świetnie.

Usiadłem na kanapie, próbując nie tyle dopasować do siebie wszystkie kawałki układanki, co pochwycić obraz, który przemyka mi przez głowę, po czym znika jak irlandzkie słońce, nim zdołam ów obraz sobie uzmysłwić.

Wiedziałem na pewno, że była to czyjaś twarz. Ale czyja i gdzie ją widziałem?

Nuala wyłoniła się ponownie, zza rozchylonego szlafroka łyskało bikini. Ach, jakże szybko zniknęła skromność, a ponadto — pomyślałem przelotnie — jak solidnie jest zbudowana, o mięśniach wyretrowanej atletki. Czy jest coś, w czym Nuala nie celuje?

Czy byłaby dobra w łóżku, zastanawiałem się znowu, z początku niedoświadczona, lecz podniecająca, pewnie tak jak Ma?

Głupie pytanie. Nuala nałoży maskę mistrzyni w sztuce kochania i odegra tę rolę popisowo.

Przepęniała mnie tęsknota za nią: jej piersiami, brzuchem, udami, a także sercem, umysłem i duszą. Ale moje pożądanie nie było tak natarczywe jak zwykła żądza. To coś znacznie subtelniejszego i o wiele bardziej niebezpiecznego. Nuala Anne McGrail może stać się nałogiem, od którego nie będzie ucieczki.

Zastanawiałem się, czy nie rzucić jakiegoś dowcipnego powiedzonka na temat możliwości zawiązania szlafroka, nim się wyjdzie na korytarz, ale postanowiłem nie ryzykować.

— Baw się dobrze, Nualo.

— Czy nie po to tam idę? — Zamaszyście opuściła pokój niczym galeon pod rozwiniętymi żaglami i z armatami gotowymi do strzału.

Wyobraziłem sobie, jak biega nago po lesie, czarne włosy unoszą się z wiatrem i deszczem.

Naga w deszczu?

Gdybyś była boginką, wiele czasu spędzałabyś nago, czyż nie? Co oznacza, że gdybyś była irlandzką boginką, musiałabyś przywyknąć do biegania nago po deszczu, nieprawdaż?

Może za dużo wypilem na Merrion Square, z pewnością za dużo. Powinienem podnieść się z kanapy, zaniechać lubieżnych myśli na temat mojej pracownicy i wziąć się poważnie do czegoś, jeśli tylko przypomnę sobie, co mam zrobić.

Pozostałem w saloniku jeszcze przez jakiś kwadrans, rozmyślając o Nuali i moim życiu. Jest za młoda i zbyt utalentowana, bym wchodził jej w paradę, nie pozwalając wykorzystać wszystkich szans, jakie ma przed sobą. Gdybym tak postąpił, marnując jej przyszłość, nigdy by mi tego nie wybaczyła.

Jestem dla niej atrakcyjny, bo odnoszę się do niej z szacunkiem i reprezentuję świat, którego dotąd nie znała. Ale gdy się otrząśnie z młodzieńczego zaślepienia, dojdzie do wniosku, że marnuje swe talenty i możliwości.

W tej sytuacji nigdy nie będziemy szczęśliwi.

Prawda?

Uspokoiwszy w ten sposób własne sumienie, włożyłem płaszcz przeciwdeszczowy i wyszedłem z hotelu, udając się na spacer w kierunku Grand Canal. Deszcz padał z przerwami, z nieba to lały się strugi wody, to znów mknęły po nim chmury, a od czasu do czasu ukazywało się słońce: dublińska pogoda bawiła się z nami w kotka i myszkę, udając, że deszcz zaraz ustanie, a za chwilę wylewając na nas całe wiadra.

Dublin to zdradziecki kochanek, obiecuje piękne chwile i odpływa w siną dal, gdy chcesz go pochwycić.

Czy Nuala odpłynie w siną dal?

A czy odpłynęła Neli Pat?

Irlandczycy, przyzwyczajeni do życia na wyspie, która chłonie wodę jak gąbka, mają filozoficzny stosunek do deszczu. Pomyślałem o sonatinie barw w River Forest o tej porze roku i ogarnął mnie gwałtowny przypływ nostalgii.

Czy Nuali spodoba się w River Forest?

Czy papież jest Polakiem?

Czy moja rodzina ją polubi?

Czy papież jest katolikiem?

Im szybciej wyjadę do domu, tym lepiej dla nas obojga.

Gdy już znajdziemy złoto w Mamene, zgadza się?

Sporym wysiłkiem woli porzuciłem rozmyślania na temat domu i Nuali — oraz bardzo niebezpieczną wizję Nuali ze mną w domu — i usiłowałem skupić się na mojej tajemnicy, jeżeli jest to dla niej właściwa etykieta.

I znowu wyjaśnienie, obraz całości, klucz do zagadki, twarz, której szukałem, przepływały przez mój umysł, zamglone niczym koszary Cathal Brugha widziane z oddali i niknące w deszczu, tak samo niedosiężne jak kobieta — możliwa do zdobycia, choć jeszcze nie zdobyta.

Do diabła, nie chcę myśleć o Nuali. Dlaczego obsesyjnie pojawia się w moich metaforach? Dlaczego zakłóca mój proces myślowy, podobnie jak wirus w programie komputera?

Obraz jej nagiej na łóżku — bladej, bezbronnej i chętnej, by mnie przyjąć — spalał mi mózg. Aż skrzywiłem się z tej bolesnej rozkoszy.

Smignął mi przez głowę figlarny błysk ostrzegający, że nie będę w stanie myśleć konstruktywnie o Konsorcjum św. Jerzego i św. Patryka, póki nie zdobędę Nuali. Mądrzejsza refleksja uświadomiła mi, że jeśli ją zdobędę, wówczas ona zdobędzie mnie, a wtedy o niczym nie będę w stanie myśleć konstruktywnie.

Powracając zatem do Martina Longwooda-Jonesa. Po co ten lunch? Po co ten wykład? Czy cny lord jest członkiem Konsorcjum? A może mu przewodzi? Skąd mogę mieć pewność, że takie tajne ugrupowanie naprawdę istnieje? Wiem o nim tylko od Angeli Smythe, aczkolwiek ponętnej, to nie do końca godnej zaufania.

Patrick wspominał o istnieniu tej samej grupy, zgadza się? A Patrickowi chyba można wierzyć, tak czy nie?

Nie wierzę nikomu, jeśli już o tym mowa. ale mogę przyjąć hipotezę roboczą, że po obu stronach Morza Irlandzkiego istotnie działa grupa, która cierpliwie czeka na okazję ponownego połączenia obu Wysp Brytyjskich w jedno państwo, rządzone w ostatecznym rozrachunku z Westminsteru. Niewykluczone, że grupa ta istnieje od czasów traktatu. Mogli z nią być związani ojciec i dziadek Martina. Być może członkostwo przechodziło z ojca na syna.

Martin i Liz najwyraźniej jednak odrzucali pogląd, że Irlandczycy nie są w stanie rządzić się sami. Oboje zdawali się akceptować i pochwalać istnienie niepodległej Irlandii. Czemu więc miał służyć długi lunch i wykład o niejasnych okolicznościach zdarzeń czasu Wypadków?

Pretekst do wygłoszenia wykładu dały Martinowi moje uwagi na temat Pa i Brygady Galway, przeciwstawiających się Collinsowi. Może celem lunchu było ustalenie, ile wiem.

Wszystko wygadałem mówiąc, że to Pa mógł być tym człowiekiem, który zabił Micka Collinsa. Oboje, i Martin, i Liz, byli wstrząśnięci, przerażeni. Czy popierali Collinsa? Oczywiście, że tak, przecież byli zwolennikami traktatu, zgadza się? Wiedzieli, jak długo jeszcze po jego śmierci trwała wojna domowa i jak była bezwzględna.

— Przecież po tylu latach nie ma sposobu, by ustalić z jakąś dozą pewności, czy oddał ten strzał — wymamrotał pod nosem Martin.

Jest sposób: dzienniki Ma. Nadal były moim czarnym koniem.

— Zresztą to chyba już nie ma znaczenia, nie uważacie? — powiedziała Liz z ponurym grymasem na ślicznej buzi. — Powinieneś już chyba „pozwolić umarłym grześć umarłe swoje”, co, Dermocie?

Liz wiedziała, że uważam ją za atrakcyjną seksualnie, i ta wiedza sprawiała jej przyjemność. Ścisłe biorąc nie flirtowała ze mną ani też mnie nie prowokowała, a jednak w jej stosunku do mnie krył się co prawda leciusieńki, lecz mimo wszystko cień zaproszenia.

Wygląda już co prawda trochę na stare pudło, jak bystro zauważyła Nuala. Rozbawione spojrzenie szarych oczu Liz dawało do zrozumienia, że deszczowe popołudnie ze mną w łóżku nie jest zupełnie wykluczone.

To świństwo, powiedziałem sobie. Nie masz prawa uważać, że nie jest absolutnie wierna mężowi.

Fakt. A poza tym nie miałeś rozmyślać ojej dojrzałych wdziękach. Miałeś zastanowić się nad Konsorcjum św. Jerzego i św. Patryka.

A jeśli zadzwoni i zaproponuje tete-a-tete, lunch albo lampkę wina, może u niej w domu? Przyjmiesz zaproszenie?

By dowiedzieć się nieco więcej w mojej sprawie, jasne.

Komu chcesz zamydlić oczy, Dermocie Michaelu Coyne?

To Nuala wywołała te absurdalne fantazje. Ona spowodowała napływ hormonów do twojej krwi.

Nuala i Bóg, który przede wszystkim umieścił tam hormony.

Może i powinienem „pozwolić umarłym grześć umarłe swoje”. Szukam złota i jest to jedyny powód, dla którego ktokolwiek mógłby się mnie obawiać. Może Konsorcjum, lub cokolwiek by to było, płaciło złotem swoje wydatki — złotem imperium germańskiego Drugiej Rzeszy, które miało przysłużyć się sprawie wolności Irlandii — a teraz podejmuje na nowo dawny, nieco zwariowany spisek, by tej wolności zagrozić.

Zwariowany... Tak, to właściwe słowo. Cała ta historia jest zwariowana. Plan, który przedstawił Patrick, to — jak mu powiedziałem — kupa gówna. Lęk w oczach Martina i Liz jest absurdalny. Tajna organizacja, o której napomknął Patrick, przypominała tło komedii filmowej.

Więc po co zwracać sobie głowę?

Z powodu złota, jak powiedziała Nuala?

Jeśli nadal spoczywa w grocie, warte jest teraz około dwudziestu milionów funtów. Fakt, że to mnóstwo monet, ale wszystkie razem ledwie pokryłyby koszt klucza maszynowego do naprawy B-2, bo tyle przeznaczają się na tę inwestycję w budżecie Pentagonu.

Coś przepuściłem.

Moje kłopoty zaczęły się z chwilą, gdy zadałem pierwsze pytanie na temat Brygady Galway Ochotników Irlandzkich, przemianowanej potem na Irlandzką Armię Republikańską. Najwyraźniej ktoś się obawiał, że wpadnę na ślad złota.

Co ma z tym wspólnego śmierć Michaela Collinsa? A może nic? Złoto jest ważniejsze niż od dawna nieżyjący patriota, nawet jeśli był geniuszem.

Coś przepuściłem.

Przez chwilę już to miałem. Zorientowałem się, jakie jest zasadnicze pytanie i dlaczego odpowiedź może być porażająca. Ujrzałem twarz, której szukałem.

Potem wszystko zniknęło.

— Myślisz, że się nie zastanawiałem, czy jeszcze będziesz tędy przechodził?

Ze zdziwieniem uniosłem wzrok. Był to staruszek, który twierdzi, że znał Ma i Pa. Siedział na tej samej co poprzednio ławce na brzegu Grand Canal. na czarne ubranie miał narzucony płaszcz od deszczu a w dłoniach krzepko dzierżył drewnianą łaskę.

— Czekał pan tu codziennie?

Tak byłem pochłonięty kotłowaną myślą i fantazji, że nie zauważyłem nawet, jak niezaprzeczalnie, choć tylko na chwilę, pojawiło się późne popołudniowe słońce, a ulice Dublina załśniły złotem i czerwinią, jakby ktoś umieścił nad miastem kolorowy diapozytyw, kanał zaś wyglądał niczym ciemnoróżowa wstęga, usiana błyszczącymi rubinami. Dublin zachwycił ostatnią dzisiaj sztuką.

Jakimś cudem zawróciłem przed koszarami i poszedłem z powrotem ku Pembroke Street.

— Nie — powiedział staruszek. — Ale myślałem sobie, że zaczekam tu któregoś popołudnia, w razie gdybyś tędy przechodził. Wspaniały dzień, prawda?

— Kapitalny.

I w ten sposób zaliczyliśmy dwa kluczowe dublińskie słowa.

Usiadłem obok niego.

— A więc nie wypędzili cię z Irlandii, jak Neli i Liama?

— Nie.

— Zuch z ciebie. — Z zadowoleniem skinął głową.

— Czy mój dziadek zabił Micka Collinsa? — zapytałem prosto z mostu.

Staruszek uśmieł się tak, że aż się rozkaszał.

- Widać, że nic a nic nie rozumiesz, jeśli zadajesz takie pytania.
- No to kto?
- To tajemnica, nie? — W jego wyblakłych błękitnych oczach pojawił się chytry błysk.
- Był pan tam?
- Gdy zabili Micka, niech go Bóg ma w swojej opiece, może bohatera, a może zdrajcę, kto ma to rozsądzić?
- Był pan tam?
- Nie mówiłem już, że nie?
- Czy mój dziadek zabił Daniela O'Kelly'ego?
- Nie rozumiesz, że zupełnie nie o to chodzi?
- Zabił O'Kelly'ego? — Pochyliłem się i wbiłem wzrok w twarz starego. Owionął mnie silny odór tytoniu.
- Co to ma za znaczenie, czy zabił, a czy ja mówię, że to zrobił?
- Czy O'Kelly zdradził?
- O, czy teraz nie jesteś na właściwym tropie?
- Był pan tam, gdy go zabito?
- Zasłużył na śmierć za to co nam wyrządził, nie?
- Chyba tak.

Nie otrzymam od staruszka konkretnej odpowiedzi, choć potwierdził niektóre moje podejrzenia. Po raz kolejny prawda wychynęła z mgieł w głębinach mojego mózgu i dopadła mnie jednym susem.

Przegapiłem ją, a potem zniknęła w wodach Grand Canal, które nabrały teraz barwy głębokiej purpury.

— Rzecz jasna — westchnął głośno staruszek — czy ci, dla których pracowałem, nie byli gorsi?

- Ach, czy to nie święta prawda?
- Politycy, wiesz?
- A nie mówiłem?
- Czy twoja babcia nie wywahała o nich wszystkiego?
- Nie była naiwnym dziewczątkiem.
- Wcale a wcale.

Kolejna długa pauza.

— A czy nie chciałaby, żeby prawda wreszcie wyszła na jaw? — spróbowałem znowu.

— To jest pewne tak samo jak to, że słońce wstanie jutro z rana.

Stanowcze stwierdzenie w ustach tego człowieka!

Kolejna przerwa.

— Tak czy tak, myśleli o wyjeździe do Ameryki, ale uratowali Irlandię — czy wygnanie to nie była dla nich straszna rzecz?

Uratowali Irlandię! Ma i Pa!

O, do diabła!

— Czy to nie oni — usiłowałem doprowadzić jego grę do końca — byli prawdziwymi bohaterami Wypadków w Galway?

Oczy staruszka, zazwyczaj zmetniała i nieruchome, zabłysły przez chwilę na wspomnienie wielkich wydarzeń i wielkich ludzi.

— Sprytny jesteś, skoro na to wpadłeś, no nie? Gdyby nie oni, ni gdy nie dostalibyśmy broni, no bo skąd?

Broni?

— Wcale, nic a nic!

— Ano. — Staruszek z trudem podniósł się na nogi. — A ja się ostatnio zamartwiałem, że tak naprawdę nie jesteś jej wnukiem i nie połapiesz się w tym wszystkim. Teraz możemy spać spokojnie, nie-prawdaż, Liamie? Rozpracowaliśmy to wreszcie, prawda? Ty, Neli i ja?

Starzec mnie objął — mało nie udusiłem się od odoru tytoniu — i potem odszedł, niepewnie stawiając kroki, lecz żwawo wymachując laską.

— Dermot, nie Liam — mruknąłem pod nosem.

Zmrok napływał gwałtownie znad Morza Irlandzkiego i skrył za kurtyną przedstawienie, które Dublin prezentuje późnym popołudniem. Pospieszyłem do hotelu nieco podniesiony na duchu. Moi dziadkowie uratowali Irlandię! Ma pragnęła, by historia ta wreszcie ujrzała światło dzienne! A więc niech się dzieje co chce, wszystko wyjdzie na jaw!

W tym uniesieniu zapragnąłem kobiety — każda by się nadała. Nie, to nieprawda. Tylko jedna, zresztą ostatnio sama się naprasza. No cóż, przekonajmy się, jaka jest w łóżku, dlaczego nie? A potem zobaczymy, czy będzie w stanie zaciągnąć mnie do ołtarza, tak jak Neli Pat zaciągnęła Liama.

Pierwszego Liama.

Czy sam siebie nie oszukuję? Czy naprawdę kochałbym się z Nulą, gdybym zastał ją jeszcze w moim apartamencie?

Czy też podejrzewam, że już wyszła, i dlatego moje wspaniałe i cudowne wizje są tylko niespełnionymi rojeniami?

Czy papież mieszka w Rzymie?

Oczywiście nie zastałem jej.

Byłem rozczarowany, choć w głębi duszy spodziewałem się, że będę rozczarowany.

Dermot Michael Coyne atakujący dziewicę, nawet najbardziej chętną dziewicę?

Czy papież jest baptystą?
Znalazłem jednak, jak zawsze, notatkę i wydruk, idealnie sporządzony przez moją idealną tłumaczkę:

Dermocie Michaelu,

Przydarzą się im straszne rzeczy. Przewidziała to wszystko, choć nie jestem pewna, o co dokładnie chodzi. Albo o kogo. Jest niezmiernie z siebie zadowolona, bardzo silna z niej kobieta. Uwielbiam ją.

Ale nie jestem Neli Pat. Więc nie bój się, nie będę próbowała Cię uwieść, tak jak ona uwiodła Twojego dziadka.

Nie starczyłoby mi odwagi, choć taki pomysł przychodzi mi do głowy od czasu do czasu.

Ściskam i całuję
Nuala Anne.

37

17 sierpnia 1922

Może to prawda, co zakonnice o mnie mówią — że jestem strasznie zmysłowa. No bo czy nie lubię się kochać?

Myślę o tym właśnie dziś, kiedy mam tyle strasznych zmartwień. To miłość mnie trzyma i daje mi nadzieję, to myśl o nim, jak ściąga ze mnie ubranie i pieści mnie jak nie wiem *co*, potem jest we mnie, a ja wrzeszczę z rozkoszy.

Nie powinnam zapisywać takich myśli, wcale a wcale. Wspaniały dzień mamy dzisiaj, tylko tydzień po święcie Matki Boskiej Żniwnej, a pola są już puste. Niebo jest czyste i błękitne, a wyspy Aran wydają się odległe ledwie o parę jardów od Galway Bay, surowe i skaliste jak starodawne fortece, pragnące za wszelką cenę połączyć się z lądem, by nie stały osamotnione przez całą zimę.

Tak samo jak ja chcę się połączyć z Liamem na zimę i na resztę życia.

Domy Carraroe lśnią w słońcu, a większość z nich jest świeżo pomalowana, tak że wyglądają jak domki z bajki, gdy błękitne, różowe i białe ciągną się wzdłuż zatoki i jezior. To dzień, kiedy powinnam marzyć o sobie i Liamie, a nie przejmować się draniem i zdracjami.

Ach, Liamie, czy wiesz, jak bardzo cię kocham? W tej chwili chcę być w twoich ramionach!

Niektóre kobiety mówią, że miłość szybko przestaje być zabawą, jeśli w ogóle kiedykolwiek nią była. Ale ze mną i z moim mężczyzną tak nie będzie. Kocha mnie dziko i ja tak samo go kocham. Ach, robimy ze sobą tak cudowne rzeczy, a przecież dopiero co zaczęliśmy.

Obiecałam, że nigdy w życiu nie przestanę dawać mu tyle przyjemności, ile chce i potrzebuje. To poważna obietnica, bo wiele kobiet chwytą się wszystkiego, by dać swoim mężczyznom jak najmniej przyjemności.

Idyjotki, jak nic.

Dlaczego skąpić tego mężczyznom, skoro sprawia im to tyle przyjemności? Co jest złego w tym, że się chłopca uszczęśliwi?

Liam uważa, że naturalną kolejną rzeczą pobierzemy się, gdy tylko będzie już po Wypadkach, choć nigdy mi się nie oświadczył, a jest strasznie nieśmiały, jakkolwiek nie wtedy, kiedy mnie całuje, liże albo delikatnie kąsa po całym ciele i pompuje we mnie jak traktor parowy.

Powiada również, że powinniśmy koniecznie przenieść się do Ameryki, bo jakie możliwości ma ambitny człowiek tu w Irlandii?

Wyjechałabym w jednej chwili, gdyby tak powiedział, chociaż strasznie tęskniłabym za mamą, tatą, moim kochanym kucykiem i małą Neli Tim. Ale idziesz tam, jak mówi mama, dokąd cię wzywa twoja miłość.

Też mogą przyjechać do Ameryki, bo orientują się, że po wojnie Irlandię czekają ciężkie czasy. Za wygraną czegokolwiek musi się słono płacić, mawia tata.

Liam jest bardzo sprytny. Tata uważa, że byłby z niego świetny pośrednik w handlu nieruchomościami, a sam zna wartość ziemi lepiej niż ktokolwiek w całej Connemarze. Za te pieniądze nie będę pracował na roli, powtarza tata.

Tata jest teraz bardzo za mną i za Liamem. Oboje udają, że nie widzą, jak się do siebie czulimy, i bardzo chwala Liama, jakby dając mi poznać, że powinnam traktować go poważnie.

A ja udaję, że nie obchodzą mnie takie bzdury. Czy w Irlandii nie ma innych mężczyzn poza kapitanem Liamem Tomasem O'Riada?

A ciągle spędzamy takie cudowne chwile w opuszczonej chatce!

Czy moi rodzice o tym wiedzą?

Myślę, że zabraniają sobie o tym myśleć.

A ja chodzę każdego ranka na mszę, bo Bóg na pewno nie ma nic przeciwko temu, skoro toczy się wojna, a Liamowi codziennie grozi śmierć.

Och, tak strasznie go kocham! Chciałabym płakać i śmiać się, i modlić! Odmówię za niego różaniec i znowu powrócę do dziennika.

No więc odmówiłam różaniec i otarłam łzy.

I wcale nie jesteśmy ze sobą tak często. Fakt, że traktat podpisano i Dail go ratyfikował, ale teraz chłopcy walczą między sobą. Cholerni idyjoci.

Straszne rzeczy opowiadają o biednym Micku Collinsie. Że jest zdrajcą, mordercą i że pozwolił Lloydowi George'owi i Churchillowi wystrychnąć się na dudka, bo chodził tylko na dziwki na East End i uwodził Hazel Lavery, a do niczego innego nie miał głowy. Nie wierzę w ani jedno słowo. Wiem od niego samego, że kocha Kitty Kiernan, i tak samo może być jej niewierny, jak mój Liam byłby niewierny mnie.

Armia Narodowa, o której Daniel O'Kelly powiada, że wcale nie jest lepsza od Brunatnych i Królewskiej Policji, powoli przejmuje kontrolę nad krajem. Czyż generał Dalton w tych dniach nie wypędził republikanów z miasta Cork? Mówi się, że przejdą przez Limerick i stoczą straszliwe walki w Clare — czy świat widział większych durniów niż mężczyźni z Clare? Potem mają przyjść do Galway, choć niektórzy mówią, że nie warto zwracać sobie tym głowy, bo w Galway nie ma o co walczyć, wcale a wcale.

Biedny Liam ciągle zastanawia się, czy Mick jest zdrajcą.

— Czyż to nie jedyny człowiek w całym Irlandzkim Bractwie Republikańskim — powiadam — który nie jest kompletnym idyjotą? Czyżby tylko on jeden wiedział, że nie można walczyć z Imperium Brytyjskim, nie mając amunicji?

— Aach, to prawda — wzdycha Liam. — Zostało nam tylko parę kul.

— A ty przez cały rok maszerujesz co noc po hrabstwie Galway, udając, że zostały tu jeszcze jakieś oddziały zdolne do walki!

— Pułkownik powiada, że musimy być gotowi, gdy wojska Wolnego Państwa przyjdą, by nam zabrać nasz kraj.

— Wierzysz w to? Myślisz, że będziesz walczył z wojskiem Wolnego Państwa? Strzelisz do drugiego Irlandczyka?

Milczał dłuższy czas.

— Nie jestem pewien, Neli Pat — powiada wreszcie. — Wierzę, że do tego nie dojdzie, Bóg mi świadkiem.

Już prawie chciałam mu powiedzieć, że jeśli to robi, może o mnie zapomnieć, ale to oczywiście nieprawda.

Wyjechał dzisiaj, tylko z O'Kellym, w jakiejś tajnej misji, która wedle słów tego drania przyniesie pokój Irlandii, a Liam cały aż puchł ze szczęścia, że zrobi coś wspaniałego, choć jeszcze nie wie co.

Strasznie się o niego martwię, bo teraz już wiem na pewno, że O'Kelly to zdrajca. Czy nie przekonałam się o tym na własne oczy? Nie miałam czasu, by wytłumaczyć to Liamowi, ale gdy wróci, opowiem mu o wszystkim i zabiorę go na górę, by mu pokazać złoto. (Byłam już tam i wiem dokładnie, gdzie je ukryto, tylko trzydzieści kroków od świętego miejsca, ale nikt się nie domyśli, że jest tam zgrabna mała grotka, z wyjątkiem tych, którzy wiedzą, gdzie szukać).

Potem opowiem mu, co widziałam w Lettermullen ledwie parę dni temu, z trudem wierząc własnym oczom.

Była to sobota, dzień po święcie Matki Boskiej Żniwnej, i czy całe hrabstwo Galway nie spało aż do południa, jak to zwykle po żniwach?

A więc postanowiłam wziąć rower i przejechać się kawałek. Pomyślałam, że w taki dzień, gdy drogi są suche, podjadę do Golam Head i popatrzę na Ocean Atlantycki, bo tam najbardziej lubię rozmyślać i marzyć — na tym kawałku lądu wbijającym się w morze, gdzie z tyłu mam jezioro, a do plaży prowadzi wąska droga, wzdłuż której rosną krzewy rododendronu, tak że nie widać jej od strony pubu stojącego nieopodal.

Siedziałam jakiś czas na brzegu i marzyłam o Ameryce, jak stanę się tam wielką damą, otoczoną dużą rodziną i słodkimi wnuczętami, a mój Liam będzie przy mnie.

Doszłam do wniosku, że już czas wracać do domu, a z nieba ciągle lał się żar. Potem znad małej zatoczki, nad którą siedziałam, zobaczyłam, jak spokojny jest ocean, a że było mi strasznie gorąco, zaczęłam się zastanawiać, co by się takiego stało, gdybym wskoczyła do chłodnej wody.

Nikogo nie było w pobliżu, więc zdjęłam z siebie, mała diablica, całe ubranie i zanurzyłam się.

Ochłodziłam się błyskawicznie!

Wyszłam z wody szybko i położyłam się w słońcu na brzegu. Leżałam tak, póki całkiem nie wyschłam, i zupełnie się nie wstydyłam, ale to wcale a wcale.

Widzicie, co miłość robi z człowieka!

Marzę o tym, byśmy oboje z Liamem całe wieki przeleźli razem na piasku. Amen. Musiałam chyba przysnąć, niech mnie wszyscy święci mają w swej opiece, bo ni z tego, ni z owego usłyszałam samochód na drodze. Błyskawicznie przekreśliłam się i przykryłam

koszulą, ale właściwie nie musiałam tego robić, bo z samochodu ledwie widać brzeg.

Co ma do roboty samochód na tej małej wysepce, którą z łądem łączy tylko jeden drewniany most, a następna parafia jest na zachodzie, aż na Long Island?

To nie mój interes, powiadam sobie. Ale, Najświętsza Panienko, miej mnie w swojej opiece, jestem strasznie wścibską idyotką. A więc ubieram się i jest mi znów gorąco — pewnie, czy nie chciałabym latem jak najczęściej chodzić nago, zwłaszcza gdy mój Liam jest przy mnie? Myślę o samochodzie i jestem pewna, że jedzie do pubu, który stoi na końcu wyspy, jakieś pół mili dalej, gdzie jak wspomina mama, kiedy była młodą dziewczyną, przyjeżdżali angielscy turyści.

Wiem, że zachowuję się jak ostatnia kretynka, ale wsiadam na rower i pedałuję drogą, która jest strasznie wyboista. Za zakrętem, tuż przed pubem, rośnie ogromna kępa fuksji, teraz akurat w pełnym rozkwicie, a pszczoły uwijają się jak szalone, jakby wiedziały, że już niewiele im zostało takich dni. Przystaję, chowam rower w żywopłocie i zerkam za zakręt.

Pub mieści się w zrujnowanym budynku o dachu krytym słomą, w oknach stoją zasuszone kwiaty w wazonach, a na zewnątrz wystawiono parę stolików i krzeseł, gdyby w tak upalny dzień miał się tu przybłąkać jakiś turysta.

No więc ten człowiek, ubrany w szykowny garnitur, siedzi przy stoliku mniej więcej dwadzieścia jardów ode mnie i pije wódkę. Już gdzieś widziałam jego twarz, ale nie w Carraroe ani nawet w Galway, w mieście. Jest tak odstawiony, że nie pasuje do żadnego z tych miejsc.

Tę twarz znam z gazety, którą tata przywozi czasem do domu z targu z Galway. Szukam w pamięci nazwiska, z którym się ona łączy, i wreszcie je znajduję.

Mało nie umarłam z przerażenia, bo to oznacza straszliwe kłopoty dla hrabstwa Galway. Potem zdaję sobie sprawę, że podejmuje on straszliwe ryzyko, przyjeżdżając tutaj sam, tylko z kierowcą, wielkim czarnym samochodem terenowym.

A potem myślę sobie, że wcale niekoniecznie. Na pewno ma mnóstwo przyjaciół w całej Irlandii.

Nikt też nigdy nie mówił, że brak mu odwagi.

Wtem kto to wychodzi z pubu z dwoma wielkimi kuflami, jak nie nasz Daniel O'Kelly.

Widziałam już dosyć. Nie, widziałam o wiele za dużo. Myślę teraz, że moja idyjotyczna ciekawość przywiodła mnie w bardzo niebez-

pieczne miejsce. Jeśli mnie zobaczy któryś z tych dwu albo kierowca, jestem trupem — to oczywiste.

Ale dalej ich obserwuję — to z powodu mojej idyotycznej ciekawości. Śmieją się i rozmawiają, a ja nic nie słyszę, bo zagłusza ich brzęczenie pszczoł.

Widzę, jak facet w szykownym garniturze wyjmuje portfel i wręcza O'Kelly'emu pieniądze, kupę pieniędzy. Kelly przelicza je bardzo uważnie, jakby właśnie zrealizował czek w banku, co w pewnym sensie uczynił.

Zdrada, szepczę do siebie.

Wtem jedna z pszczoł dochodzi do wniosku, że już za długo przebywam na jej terytorium, i wbija mi żądło w ramię. Ukąszenie nie boli mnie jakoś szczególnie, ale podskakuję ze zdumienia. Przestają rozmawiać i wpatrują się w żywoplot. Staram się nie poruszać, wcale a wcale.

O'Kelly macha ręką i znów zaczyna mówić — nic tam nie ma, powiada, to tylko wietrzyk szumi w krzakach.

Drugi mężczyzna ciągle jest nieufny. Wciąż gapi się w moją stronę. Czuję, jak jego wzrok przenika przez fuksję i wbija się w żywoplot. To twarde, zdecydowane, śmiertelne spojrzenie. Jestem pewna, że widzi, jak moje przerażone zielone oczy wpatrują się w niego, a w ten gorący sierpniowy dzień nie mam przy sobie noża.

Potem wzrusza ramionami i znowu zabierają się do liczenia pieniędzy.

Cichutko jak myszka w sklepie z serami, która wie, że kot jest w pobliżu, wysuwam się spomiędzy fuksji i ześlizguję do rowu za żywoplotem. Mówię sobie, że będę tu czekać tak długo, jak będzie trzeba, nawet jeśli potrwa to całe popołudnie i noc.

Ale nie muszę czekać długo, bo po chwili słyszę warkot zapuszczanego silnika.

Modłę się do Matki Bożej, której oktawa trwa nadal, by nie zauważyli mojego roweru.

Samochód ryczy głośno, niczym przypływ podczas burzy, i okrywa mnie chmurą kurzu. Nie ruszam się, dopóki całkiem nie ucichł. Potem przyszło mi do głowy, że ten szykowny gość nie wzięłby ze sobą O'Kelly'ego do samochodu. Jak go znam, to nadal siedzi w pubie, wychylając jedną wódkę po drugiej.

Jak on się tam dostał? Konno? Czy ktoś podwiózł go innym samochodem, który przyjedzie po niego później? A może przyśedł sam, by nie zwracać niczyjej uwagi?

Tak sobie myślę, że jeśli jest zdrajcą, tak mi dopomóż Bóg, na pewno nie zrobiłby tego co ja. Czeka prawdopodobnie, aż słońce zajdzie i będzie mu łatwiej się wymknąć, tak by nie widzieli go inni, którzy jak pewna ruda idyiotka, mogliby się zastanawiać, po co też samochód przejechał taki szmat drogi w głąb Connemary.

Jak skończona kretynka wypełzam z rowu i zerkam zza krzaków. Tak jak się spodziewałam. O'Kelly dalej pije, a przed nim stoi już cała butelka wódki.

Gdybym miała choć trochę rozumu, zaczętałabym w kryjówce do zmroku. Ale bałam się, byłam zgrzana, chciałam się stamtąd wynosić, a może do tego czasu trochę mi już padło na mózg. Bardzo ostrożnie więc przemykam wokół żywopłotu, wyciągam rower i gramolę się z nim na drogę, najciszej jak mogę, aż odeszłam jakieś pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt jardów od zakrętu. Nawet z tej odległości dostrzegłby kurz, jaki wznoszę na drodze, gdyby nie był kompletnie ubzdryngolony, a moim zdaniem do tej pory zdążył się już nieźle zaprawić.

A ponadto, nawet gdyby mnie zobaczył, jestem na rowerze i nie doścignie mnie, chyba że upadnę.

Cała mokra od potu, jakby złapała mnie burza, i śmierdząc gorzej niż obora z rana, wskakuję na rower i pedałuje jak szalona.

Zerkam przez ramię, by się przekonać, czy za mną idzie. Na drodze nie ma nikogo!

Jestem tak szczęśliwa, że zauważam skałę dopiero wtedy, kiedy w nią walnę.

Przerzuca mnie przez kierownicę i z hukiem ląduję w kurzu.

Już po mnie, myślę. Ale dziwnym trafem nadal żyję, choć boli mnie całe ciało, mam startą skórę na kolanach, podrapaną twarz i nieprzyzwoicie rozdartą spódnicę.

Gramolę się z powrotem na rower, powiadam sobie, że nic się nie stało i że muszę pedałowac tak szybko jak przedtem, nie zwracając uwagi na ból.

Minęły chyba całe lata, nim dotarłam do domu, i mama skrzyczała mnie, że taka ze mnie niezdara.

Gdy Liam wrócił po ciemku następnej nocy, nie miałam okazji powiedzieć mu, co widziałam. O'Kelly nie odstępował go ani na krok.

Wiem, że mojemu chłopcu grozi straszliwe niebezpieczeństwo, ale gdybym próbowała teraz mu o tym powiedzieć, w obecności O'Kelly'ego, zamordowałby nas oboje na miejscu.

Matko Boża, sprowadź go bezpiecznie do domu i uchroni od złego!

I żebym nie zaszła w ciążę, w każdym razie nie zaraz.

Relacja generała majora Emmeta Daltona o śmierci generała Michaela Collinsa:

Jakieś trzy mile za Clonakilty droga została zablokowana ściętymi drzewami. Oczyszczenie jej zajęło nam około pół godziny. Generał Collins, który nigdy nie tracił głowy w kryzysowej sytuacji, czy to błażej czy poważnej, kierował pracą i włączył się do niej. Odnaczając się aktywnością oraz siłą ducha i ciała, posługiwał się siekierą i piłą tak samo energicznie jak w kierowaniu sprawami państwowymi — zarówno wojskowymi, jak i cywilnymi.

Po odblokowaniu drogi dotarliśmy wreszcie do Clonakilty, rodzinnego miasta generała Collinsa. Spotkał się tutaj z dowódcą miejscowego garnizonu, rozmawiał także z licznymi znajomymi. Przyjemnie było patrzeć, z jaką radością i jak serdecznie odnosili się do niego. Przed wyruszeniem do Roscarbery zjedliśmy lunch w zaprzyjaźnionym domu.

Można tu wspomnieć, że po naszym przyjeździe do Clonakilty całe miasto wyległo, by go powitać...

Tuż za miastem Bandon generał Collins wskazał mi kilka gospodarstw, które udzielały pomocy naszym chłopcom w dawnych czasach terroru. Pokazał mi dom swego szczególnie bliskiego przyjaciela, mówiąc przy tym: „Szkoda, że już się przeniósł na tamten świat, bo był doskonałym żołnierzem”. Po czym dodał w zamyśleniu: „Chyba w moim własnym kraju nie urządzi na mnie zasadzki”.

Było już kwadrans po siódmej i zaczynało się ściemniać. Jechaliśmy pustą drogą do Macroom. Nasz wywiadowca na motocyklu znajdował się jakieś pięćdziesiąt jardów przed ubezpieczającym crossleyem, za którym jechaliśmy samochodem terenowym w takiej samej odległości. Konwój zamykał wóz opancerzony.

Dotarliśmy właśnie do odcinka drogi, gdzie po obu jej stronach ciągnęły się wzgórza. Sama droga była płaska i wolna. Z prawej wznosiły się strome wzgórza, z lewej — skrajem, wysoki na jakieś dwie stopy — ciągnął się mały nasyp. Dalej rozpościerało się błotniste pole, zamknięte niewielkim strumykiem, za którym widać było kolejny stromy pagórek.

W połowie drogi na ten pagórek biegnie ścieżka równoległa do drogi, na której myśmy się znajdowali, lecz osłonięta murem i masą drzew i krzewów. Właśnie wyjechaliśmy szerokim łukiem drogi, gdy odcinek

przed i za nami przecięła seria z karabinu maszynowego oraz strzelb, rozbijając przednią szybę naszego samochodu.

Krzyknąłem do kierowcy: „Daj gazu i wal naprzód!”, ale głównodowodzący położył mu rękę na ramieniu, mówiąc: „Stop! Wyskakujemy i pokażemy im!”

Wyskoczyliśmy z samochodu i znaleźliśmy jaką taką osłonę za gliniastym nasypem po lewej stronie drogi. Największe natężenie ognia pochodziło z niewidocznego dla nas miejsca po lewej. Wóz opancerzony blokował teraz drogę i rozpoczął ostrzał napastników z broni maszynowej.

Można tu nadmienić, że karabin maszynowy w wozie opancerzonym wkrótce się zatkał, a obsługujący go żołnierz, MacPeake, niedługo po opisywanych wydarzeniach zdezerterował do partyzantów, zabierając ze sobą wóz.

Pierwszy strzał trafił w crossleya, którym dowodził komendant O'Connell. Drogę barykadowała stara furmanka, którą załoga crossleya szybko usunęła na bok. Po paru minutach napastnicy skupili ogień na Collinsie i pozostałych pasażerach samochodu terenowego. Przybiegł i dołączył do nas Sean O'Connell.

Generał Collins i ja leżeliśmy obok siebie na wyciągnięcie ręki. Kapitan Dolan ulokował się na tyle wozu opancerzonego, razem z naszymi dwoma kierowcami, i znajdował się teraz kilka jardów z mojej prawej strony.

Generał Collins i ja wespół z kapitanem Dolanem otworzyliśmy gwałtowny ogień karabinowy w kierunku naszych mało widocznych wrogów. Słyszeliśmy, że obsługa karabinu maszynowego oraz strzelcy, znajdujący się jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt jardów dalej na drodze i z tyłu za zakrętem, również wzięli ich pod ciężki ostrzał.

Wymianę ognia prowadziliśmy około dwudziestu minut nie ponosząc żadnych strat, po czym atak nieprzyjacielski wyraźnie osłabł. Generał Collins poderwał się i pobiegł do wozu opancerzonego, najpewniej po to, by mieć lepszy widok na pozycje nieprzyjaciela.

Pozostał tam, oddając pojedyncze strzały i wykorzystując samochód jako osłonę. Nagle usłyszeliśmy, jak woła: „Dalej, chłopcy! Są tam, widzę, jak biegają drogą!” Natychmiast dałem ognia do dwóch sylwetek, które ukazały się na przeciwległej drodze.

Następnie, gdy odwróciłem się, wódz naczelny opuścił swą pozycję za samochodem i pobiegł jakieś piętnaście jardów z powrotem w górę drogi. Tu złożył się do strzału i wypalił do uchodzących przeciwników.

Dolan, O'Connell i ja zajęliśmy pozycje dalej na drodze. Niebawem strzały ze stanowiska, gdzie był Collins, ucichły. Usłyszałem, albo tak mi się przynajmniej wydawało, słaby okrzyk: „Emmet!” Sean O'Connell i ja pobiegliśmy tam z sercami ściśniętymi straszliwą obawą. Ujrzyliśmy naszego ukochanego dowódcę i przyjaciela, jak leży bez ruchu, w pozycji gotowej do strzału, mocno ściskając karabin, na którym spoczywała jego głowa.

U podstawy czaszki za prawym uchem miał straszną, otwartą ranę. Natychmiast zorientowaliśmy się, że generałowi Collinsowi nie można już pomóc. Nie miał siły, by się odezwać.

Nieprzyjaciel musiał się zorientować, że po naszej stronie nastąpiło coś, co spowodowało nagłe przerwanie ognia, ponieważ wzmógł ostrzał.

O'Connell klęczał teraz obok umierającego, lecz wciąż jeszcze przytomnego wodza, którego szeroko otwarte oczy spoglądały świadomie i wyszeptał do ucha szybko gasnącego człowieka akt skruchy. Nagrodą za to był mu słaby uścisk ręki.

Ukląknęłam obok nich i podtrzymywałam ogień gwałtownymi seriami, podczas gdy O'Connell przeciągnął wodza przez drogę za wóz opancerzony. Później, z sercem rozdartym smutkiem i rozpaczą, pobiegłem do wodza. Bardzo delikatnie położyłem sobie jego głowę na kolanach i usiłowałem zabandażować ranę, lecz było to nadzwyczaj trudne z powodu jej straszliwych rozmiarów.

Nie skończyłem jeszcze ponurego zadania, gdy wielkie oczy zamknęły się i zimny całun śmierci okrył twarz generała. Jakże mogę opisać swoje uczucia w tej posępnej godzinie, gdy klęczałem w błocie wiejskiej drogi, niespełna dwanaście mil od Clonakilty, a krwawiąca głowa bożyszczka Irlandii spoczywała na moich rękach?

Serce miałem złamane, a umysł odrętwiały. Nie zauważałem kul, które wciąż świstały wokół i ryły ziemię. Cios był tak dotkliwy, że pewnie postradałbym zmysły, gdybym nie dostrzegł zalanej łzami twarzy O'Connella, pełnej rozpacz. Należało mu się moje wsparcie i współczucie.

Zatrzymaliśmy się na chwilę, by odmówić krótką modlitwę, po czym dotarło do nas, że ogień nieprzyjaciela znacznie osłabł, jakby napastnicy wycofali się, toteż we dwóch i z pomocą porucznika Smitha, zwiadowcy na motocyklu, który przybył teraz na miejsce, udało się nam podźwignąć rosłe ciało Michaela Collinsa na tył wozu opancerzonego.

Wówczas ponieśliśmy drugą stratę: porucznik Smith został trafiony w szyję. Zdołał jednak utrzymać się na nogach i pomógł nam

przenieść beczenny ciężar przez zakręt drogi, pod osłoną wozu opancerzonego.

Po umieszczeniu zwłok naszego dowódcy w samochodzie terenowym, gdzie usiadłem, opierając jego głowę na swoim ramieniu, nasza groźą przejęta gromadka wyruszyła do Cork.

Mrok nocy spowił nas niczym całun. W milczeniu, z ciężkim sercem dumaliśmy o straszliwym ciosie, który spadł na nasz nieszczęsny kraj i wszystkich Irlandczyków na całym świecie. Opuściliśmy dziś rano Cork pełni wiary i radości, z zamiarem poprawy funkcjonowania tego rządu, który jako jedyny mógł przynieść pokój naszemu boleśnie doświadczonemu i od dawna cierpiącemu ludowi.

Mieliśmy ze sobą człowieka, któremu lud Irlandii zawierzył swój los, człowieka, który ze sto razy ryzykował życie dla swego narodu, człowieka, którego przyjaciele uwielbiali, a wszyscy wrogowie — szanowali.

Nasz dzień stanowił serię triumfów. A teraz, gdy dobiegał końca, zmuszono nas do walki. Walczyliśmy z powodzeniem — lecz zwycięstwo to stało się niczym w zestawieniu z porażającym ogromem straty. Michael Collins opuścił nas!

Obdarzony miłością i bezgranicznym zaufaniem Wielki Facet — zarazem mąż stanu i żołnierz — spoczywał teraz w ciemnościach oparty o mnie, zeszywniały, martwy, a krew sącząca się z jego głowy, krew Irlandii, odcinała się na moim mundurze ciemniejącą smugą, ilekroć samochód trafiał na wyboje. Pamięć o tym koszmarze będzie mnie przesładować do końca życia.

39

Dorwali nas w niedzielę wieczorem, na tydzień przed planowaną wycieczką na zachód, gdy odprowadzałem Nualę do domu z randki.

Randka z Nualą, powiadasz? Dlaczego zaryzykowałeś randkę z Nualą?

Zaprosiła mnie na drugie śniadanie po mszy o pół do dziesiątej na Clarendon Street, gdzie ją spotkałem. (Oznajmiła mi z triumfem, że w kaplicy Trinity College członkowie kościoła narodowego uczestniczą w eucharystii, a katolicy w mszy). Przecież nie mogłem odmówić, prawda? I tak od jednego poszło do drugiego.

W każdym razie nie odmówiłem.

Czy spodziewałem się, że ją spotkam, gdy zaszedłem do kościoła św. Teresy, by wysłuchać niedzielnej mszy?

Skąd wiedziałem, na którą mszę chodzi?

Czy była jakaś szansa, że ją spotkam?

Czy skorzystałem z tej szansy?

To nie twój interes, wcale a wcale.

Czy spodziewała się, że przyjdę na tę samą mszę? Dlatego tak szybko zaproponowała mi wspólne zjedzenie drugiego śniadania, gdy razem wychodziliśmy z kościoła?

Zwłaszcza że, jak mi powiedziała, zdążyła już zarezerwować miejsca?

Co mogę powiedzieć?

Przyznaję, że rozglądałem się po tłumie wiernych, zgromadzonych na mszy o pół do dziesiątej, w poszukiwaniu ciemnoniebieskiej kurtki z kapturem.

Może dlatego, że mszę o pół do dziesiątej odprawia się w języku irlandzkim.

Kurtkę znalazłem bez trudu, w ławce od brzegu — olśniewająco czysta, stanowiła jeszcze jeden zakup z pensji, którą jej wypłacałem.

— Czy zajmuje pani całą ławkę, młoda kobieto? Czy też biedny grzesznik może się przysiąść?

Nuala podskoczyła, wyrwana z modłów do Boga, którego istnienia ani intencji nie była pewna. Miała tam swoje stałe miejsce.

— Idyjota. — Uśmiechnęła się do mnie. — Masz być cicho w kościele.

— W sakramenckim kościele — wyszeptałem jej do ucha.

— Ciii... — z wyrzutem uderzyła mnie po ręce. — Modłę się.

— Za mnie też?

— Bóg wie, że by się przydało, aby ktoś się za ciebie pomodlił.

— Odwróciła się, prychając wzgardliwie.

Pomyślałem, że nie mówimy już różańców, jak odmawiali je za siebie Liam i Neli, a także Michael i Kit. Wszyscy oni byli nieśmiałyymi dzieciakami, podobnie jak ja i Nuala.

Teraz śpiewaliśmy pieśni i odpowiadaliśmy kapłanowi. Msza, nazywana teraz eucharystią (wszędzie z wyjątkiem Trinity College), odprawiana była w języku irlandzkim, kapłan zaś stał przy ołtarzu zwrócony do nas twarzą, a nie tyłem. Nuala prawdopodobnie nigdy nie uczestniczyła we mszy według obrządku łacińskiego. Ja ledwie to pamiętam.

Ponownie na nią zerknąłem. Myliłem się pod jednym względem — różaniec miała owinięty wokół długich palców, nie na tyle jednak, by go odmawiać, ale tak na wszelki wypadek.

Gdybym coś napomknął na ten temat, odpowiedziałyby, że chce mieć Matkę Bożą po swojej stronie.

Bardzo słusznie.

Msza, tfu, eucharystia była odprawiana w języku irlandzkim, czego się zresztą spodziewałem, z uroczymi rytmicznymi zaśpiewami, które słyszało się w pieśni i słowach. Wprawdzie ich nie rozumiałem, lecz wprawiły mnie w stan quasi-religijnego upojenia. Rozejrzałem się po tłumie wiernych. Przeważała młodzież, podobnie jak Nuala wygnana z Gaeltacht, szukająca szczęścia albo przynajmniej możliwości zarobkowania w dalekim mieście z odległą kulturą.

Bliżej do domu niż z Bostonu i lepszy status aniżeli nielegalnego imigranta. Tyle że wszystko za mniejsze pieniądze.

— Nie powiedziałaś mi, że msza nie jest po łacinie — wyszeptąłem.

— Cicho! — nakazała.

Wychodząc z kościoła ujęła mnie mocno pod ramię.

— Zabieram cię na drugie śniadanie — oznajmiła stanowczo, wykluczając sprzeciw. — I żeby mi nie było dyskusji, kto stawia, rozumiesz, Dermocie Michaelu Coyne?

— Tuż po eucharystii?

— Pojedziemy do Królewskiego Szpitala w Kilmanhaim, tak że będziesz musiał skorzystać z publicznego transportu, co pewnie będzie dla ciebie strasznie przykre, no nie?

— Wedle pani życzenia. — Posłusznie powlokłem się za nią.

— Chciałbym jednak zauważyć, że drugie śniadanie to okropna nowość, którą wymyślili jankesi.

— Cicho! — poinstruowała, popychając mnie w kierunku autobusu 78A. — W niedzielny poranek nie jestem w nastroju do kłótni.

Był pogodny rześki dzień, słońce świeciło jasno, wiał lekki wietrzyk — idealna pogoda na weekendowy mecz futbolu w Notre Dame, której drużyna grała wczoraj z USC, a ja nie znałem wyniku.

— Nawet by mi do głowy nie przyszło, żeby kłócić się z tobą w niedzielny poranek, Nualo Anne... Tym bardziej że ciągniesz mnie do więzienia.

— To nie więzienie, jełopie. Stoi naprzeciwno. To szpital, coś w rodzaju Królewskiego Szpitala w Chelsea. Znajduje się tam dom we-

teranów, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi, a przy tym jest to arcydzieło architektury georgiańskiej. Dochód ze śniadania pójdzie na jego renowację.

— Jestem zbudowany.

— A do tego nigdy tam nie byłam — zachichotała.

Szpital Królewski był w istocie arcydziełem architektury georgiańskiej, chociaż szczerze mówiąc, nie takim, gdzie chciałbym zamieszkać, gdybym został weteranem wojskowym — nie zastąpiłby mi rancho w Tucson czy w San Diego.

Drugie śniadanie podano na parterze, w nisko sklepionej sali przypominającej nieco kryptę, o grubych murach i łagodnych łukach. Nie było to prawdziwe jankeskie drugie śniadanie, gdyż nie podano najważniejszego według mnie składnika, jakim jest ciastko z dżemem malinowym, którego powinno być tak dużo, żeby oblepiał palce. Jak większość irlandzkich posiłków, tak odmiennych od jankeskiej kuchni w moim hotelu, i ten był ciężki i niespecjalnie odżywczy. Ciemny chleb smakował jednak wybornie.

Musiałem udawać, że smakuje mi każdy kęs. Jadłem, bo moja pani uważnie mi się przypatrywała, pilnując, bym pochłoniął wszystko do ostatniej okruszyny.

Była tam również działalność rozrywkowa. W Irlandii zawsze prowadzi się działalność rozrywkową. Dziś śpiewali i tańczyli studenci pierwszego roku. Nie byli źli. Wcale a wcale.

Prawdziwej rozrywki dostarczyli mi jednak inni goście: rodziny, młode małżeństwa, flirtujące pary, nieodmiennie hałaśliwe nastolatki i dzieci — tony dzieci, jak powiedzieliby moi dorastający siostrzeńcy i siostrzenice.

Z jakichś powodów dzieci do mnie lgną. Małe dziewczynki flirtują ze mną. Chłopaczki gapią się na mnie i uśmiechają. Berbecie wpadają na mnie, uciekając od matek. Miałem więc niezłą zabawę z dziećmi — a moja pani uśmiechała się z aprobatą.

Czyż ten wielki jełop nie jest cudowny dla dzieci? Sam zresztą jest przerośniętym dzieciakiem.

Gdy poszedłem do bufetu, by przynieść sobie jeszcze ciemnego chleba, mała księżniczka z rodu wikingów, o najpiękniejszych błękitnych oczach w całej Irlandii, przewróciła się o mnie podczas rozpaczliwej, chociaż pełnej chichotów ucieczki od matki, ciemnowłosej, młodszej ode mnie kobiety z niemowlęciem na rękę.

Podniosłem małą Maeve i zakołysałem w powietrzu — wiedziałem, że ma na imię Maeve, bo tak wołała za nią matka.

— Ach, Maeve, najdroższa, czyż nie masz najpiękniejszych błękitnych oczu w całej Irlandii? Może uciekniemy razem na południowy Pacyfik?

Zdawała się zachwycona tą propozycją.

— Czyż nie jest nieznośna? — Matka z promiennym uśmiechem patrzyła na dziewczynkę. — Nie wiem, dlaczego w ogóle ją tu przyprowadzamy.

— Widzę, że ma włosy po ojcu. — Znowu obróciłem Maeve, wywołując paroksyzmy pisków pełnych zachwytu.

— A tak, jak również jego poczucie odpowiedzialności. — Jej matka roześmiała się. — Maeve Anne, czy przypadkiem nie przeskadasz temu miłemu jankesowi?

Postawiłem uroczą dziewczynkę na ziemi, a ona przywarła do mojej nogi.

— Amerykanina irlandzkiego pochodzenia — poprawiłem ją, zdecydowany rozprawić się z tym nonsensem o jankesie.

— Moja siostra mieszka w Ameryce, w Chicago, z tymi wszystkimi gangsterami, wie pan?

Nuala, która z ogromnym rozbawieniem obserwowała całe przedstawienie, uznała to za bardzo zabawne.

— W którym miejscu?

— W parafii Wniebowstąpienia — odparła natychmiast, udzielając charakterystycznej dla Chicago odpowiedzi. — Boże przenajświętszy, pan też z Chicago?

— Prawie z sąsiedniej parafii. Maeve, odwiedź mnie, jeśli przyjedziesz do Chicago, prawda? Obronię cię przed wszystkimi gangsterami w mieście, ja i burmistrz, którego rodzina pochodzi z Dungarvin.

A więc wymieniliśmy poglądy i Maeve dała się przekonać do powrotu do stolika, gdzie dumnie uśmiechnięty ojciec trzymał jeszcze jedno dziecko, tym razem chłopca, może z rok starszego od Maeve.

— Wy, Irlandczycy, macie duże rodziny — powiedziałem do Nuali, gdy dołączyłem do niej z zapasem ciemnego chleba.

— Nie takie duże jak kiedyś. Po prostu pobieramy się młodo i wcześniej rodzimy dzieci, żeby mieć to z głowy... Więc teraz jesteście Amerykaninem irlandzkiego pochodzenia, tak?

— Jankesi to biali protestanci pochodzenia anglosaskiego z Nowej Anglii i ewentualnie z Nowego Jorku.

— Czego ja nie zrobię, żeby to zapamiętać? — Uśmiechnęła się.

— Zjedz ciemnego chleba.

— Masz podejście do dzieci, Dermocie Michaelu... i do matek.

- W jakim wieku twoim zdaniem była ta dziewczyna?
- Matka? Mogła być z pięć lat starsza ode mnie.
- I już trójka dzieci?
- Założę się, że twoja babcia w tym wieku też pewnie miała troje.
- Ma? — Rozsmarowałem wielką porcję kwaśnej śmietany na ciemnym chlebie, po czym dołożyłem dżemu truskawkowego — co nie do końca było lepkiem ciastkiem z malinami, lecz wcale źle nie smakowało. — Chwileczkę, tak naprawdę to czworo, z czego pierwsze nieślubne.
- Biedactwo.
- Przecież jej tego nie wypominam. — Wsunąłem kromkę do ust. — A ponadto teraz jest biskupem.
- Pierwsze jej dziecko jest prawdziwym biskupem? — Nuala była wstrząśnięta.
- Tajemnica rodzinna, której staramy się nie rozpowiadać. — Rozkoszowałem się chlebem i dżemem, z pewnością smaczniejszymi niż masło orzechowe i galaretką. — William T. Ready. z łaski Boga i tolerancyjnej nieuwagi Stolicy Apostolskiej, biskup Alton w Illinois.
- Sakramencki biskup — wyszeptła Nuala. — Czy wie, że został poczęty w chatce bez dachu nad brzegiem Lough Carraroe?
- Nie! I chyba niewiele by go to obeszło. To całkiem fajny facet jak na biskupa.
- Dziwnie się to wszystko składa, co? — Nuala nagle wpadła w stan filozoficznej zadumy.
- Moim zdaniem to wszystko sprawiły świece, które zapalali w kościele parafialnym, i różańce, jakie odmawiali. Uważaj na różaniec, Nualo Anne. Nigdy nie wiadomo, co się stanie.
- Wiesz, wpadłeś kobiecie w oko.
- Czy myśli o sobie, czy też o młodej matce, której spodobał się mój uroczy uśmiech?
- Jakiej kobiecie?
- Lady Elizabeth.
- A, jej... Tak, zauważyłem.
- Naprawdę? — Była zdumiona.
- Uważasz mnie za kompletnego jełopa?
- Tylko częściowo... A więc co zrobisz, jeśli zadzwoni i zaprosi cię na kieliszeczek?
- Myślisz, że to zrobi?
- Tego nie powiedziałam, nie? A jeśli zadzwoni?

Nuala za wszelką cenę chciała sprawić wrażenie ciekawskiej, nie zazdrosnej. Błysk w jej cudownych błękitnych oczach raczej wskazywał na rozbawienie niż gniew.

— Skłamałem.

— Skłamałeś?

— Owszem.

— Komu? — Zmarszczyła brwi, ostrzegając, że byłoby dla mnie lepiej, gdyby to nie o nią chodziło.

— Jej.

— Lady Liz?

— Uważasz mnie za kompletnego idyotę, kobieto? Czy nie miałem na myśli Maeve Anne? I czy nie skłamałem, mówiąc jej, że ma najpiękniejsze błękitne oczy w całej Irlandii? Bo czy to nie ty masz najpiękniejsze błękitne oczy na całych Wyspach Brytyjskich, a właściwie w całej zachodniej Europie?

— Och, daj spokój. — Nuala oblała się uroczym rumieńcem i poklepała mnie po ręce. — Mamy gadane, co?

— A co do lady Liz, choć możemy snuć różne przypuszczenia na temat innych odpowiedzi, będę zajęty po południu przez cały ten tydzień i większą część następnego, jeśli mnie złapiesz... jeśli łapiesz, o co mi chodzi.

Przypatrywała mi się tak, jak sędzia przypatrywałby się sprytnemu świadkowi.

— Odmówiłbyś jej?

— Nie pochwalam cudzołóstwa, Nualo, niezależnie od tego jak ponętna by była kobieta. A ty?

Pochyliła głowę i oparła na dłoni cudowny podbródek.

— Jesteś dziwnym i interesującym człowiekiem, Dermocie Michaelu Coyne.

— Może tylko dumnym, Nualo Anne McGrail. Jeśli jest z tych, co lecą na obcych facetów, nie byłbym pierwszym ani ostatnim. Może nie chcę być na cudzej liście podbojów, zwłaszcza na środkowych pozycjach?

Ponownie skinęła głową.

— Muszę ci wyznać coś strasznego, Dermocie.

O co tu może chodzić? Ma gdzieś kochanka czy chłopaka? No i co z tego?

— Moim penitentom rozgrzeszenie daję z góry.

— Udziela mi go mój spowiednik... No więc strasznie się wstydzę i trudno mi się do tego przyznać, ale przeczytałam twoje opowiadanie

do końca, chociaż zastrzegłeś, że jest ściśle tajne, jeśli więc mnie wyrzucisz — czy nie otrzymam tego, na co zasłużyłam?

— Myślisz, że cię wyrzucę?

— Jeśli interesuje cię, co myślę, to uważam, że zrobiłeś to zastrzeżenie, by mnie dręczyć, bo chciałeś, żebym przeczytała twoją imitację Seamusa, i byłeś zdziwiony, że jeszcze się od tego powstrzymałam.

Uściskałem ją i pocałowałem w policzek.

— Marie Fionnualo Anne McGrail, jesteś cudowna.

Oparła się o mnie.

— A więc to było twoje opowiadanie. O kobiecie, wodzie, życiu i żywotności, o tajemnicy i cudownościach. Gdyby było o mnie, czyby mi strasznie nie pochlebiali? Ale oczywiście nie jest o mnie. A może jest?

Pod jej bluzą (błękit i złoto barw Notre Dame) wyczuwałem materiał, z którego miała uszyty stanik.

— A jeśli tak?

Westchnęła.

— Pewnie bym uważała, że jestem bardzo ważna, a przecież wcale nie miałabym racji, prawda? Uwolniłem ją z uścisku.

— Nie powiedziałem, że jesteś ważna, tylko cudowna.

— Mogę zrobić jeden wydruk dla siebie?

— Panie Boże na wysokościach i wszyscy święci Irlandii, ale chyba nie pokażesz tej lubieżnej historyjki twojej mamie?

— Nie jest lubieżna, a moja mama nie ma w sobie nic ze świętoszki.

— Ale czy w ogóle wpuści mnie w przyszłym tygodniu do swego domu, gdy się dowie, że snuję takie obleśne myśli o jej córce?

— Nie są obleśne, Dermocie. Ja też nie jestem bigotką. — W jej oczach błysnęły łzy. — Są piękne.

O rany, ale wpadłem! Jak się z tego wy motać?

— Cieszę się, że ci się podoba moje opowiadanie, Nualo, i oczywiście pokaż je mamie. Mam nadzieję, że jej również się spodoba... Mówiłaś zdaje się, że musimy zwiedzić ten Królewski Szpital?

— Tak, i trzeba się pospieszyć, bo inaczej cała wycieczka przepadnie.

Nasza przewodniczka była tylko o parę lat starsza od Nuali. Znała na wylot wszelakie fakty o architektach, królach, książętach, namiastnikach królewskich i wszystkich ważnych osobistościach, których portrety wisiały w wielkiej sali, gdzie weterani jadali posiłki — pomiesz-

czeniu równie ciepłym i przytulnym jak Katedra Świętego Imienia bez witraży. Nie chciałym tu rano spożywać śniadania.

Pod koniec wycieczki Nuala stała się niespokojna. Odczekała, aż padło kilka pytań, po czym skromniutko i niepewnie podniosła rękę.

— To była wspaniała wycieczka — zaczęła — i świetnie pani przedstawiła wszystkich monarchów i możnowładców, którzy płacili za to imponujące miejsce. Ale czy w tym samym czasie w Irlandii nie rozwijała się inna kultura — gestem wskazała portrety królów, wiszące wysoko ponad naszymi głowami — nie tylko tych panów, ale i inna tradycja, w istocie nieco starsza i nieco bardziej katolicka, i czy to nie wstyd, że nie ma jej śladu w tej wspaniałej sali? Najmniejszego śladu?

— Czy nie ma pani absolutnej racji? — Młoda kobieta, rozpoznawszy bratnią duszę, uśmiechnęła się radośnie. — Absolutnej. Ale czy rząd Republiki Irlandzkiej nie postanowił przywrócić tej starodawnej budowli do dawnej świetności? I czy wszędzie tutaj jedyną irlandzką rzeczą nie jest błękit świętego Patryka na dywanie?

Parsknąłem śmiechem, obawiam się, że głośnym. Wszyscy pozostali również się roześmieli, także Nuala, która zorientowała się, że spotkała godną siebie przeciwniczkę, a jako równa babka, zwłaszcza że miała do czynienia z kobietą, nie chciała robić scen.

— Cudowne — szepnęła przy wyjściu do przewodniczki. — Wspaniałe.

— Kapitalne — dorzuciłem, oddając w ten sposób honory podstawowym przymiotnikom dublińskim.

Cóż, jak na wstępie wspomniałem, jedno prowadzi do drugiego. Kolejną pojechaliśmy do Howth, gdzie spacerowaliśmy i przyglądaliśmy się morzu, po którym biegły grzywiaste fale, tłoczące się przy brzegu niczym rzędy uczniów ciągnących do szkółki parafialnej. Kilko dzieciaków, z których część miała przodków wikingów, a część była pochodzenia celtyckiego, wpadło na mnie, domagając się tym samym mojej uwagi.

Zaproponowałem wtedy, byśmy poszli na film Okruchy dnia, którego Nuala, jak sama przyznawała, jeszcze nie obejrzała.

— Rzadko mam czas na kino.

Czas albo pieniądze, pomyślałem.

Moja propozycja wprawiła ją w zachwyt.

Randka z Nualą była bardzo przyjemna, bardzo wesoła. Dziewczyna nie narzekała, nie smęciła ani nie wyklócała się ze mną, jak to bywało z innymi moimi partnerkami. Cieszyła się każdą chwilą

z uroczą wylewnością i zabawiła mnie historyjkami o swojej rodzinie, znajomych, nauczycielach i kolegach ze studiów.

Nuala żyła w świecie zachwycających idyotów.

Przed filmem zjedliśmy kanapki u O’Neilla, a Nuali udało się wykręcić od śpiewania, choć wszyscy w pubie ją znali, bo w niedzielę — jak oświadczyła — nie śpiewa za darmo.

Po filmie, który uznała zarówno za wspaiały, jak i kapitalny, namawiałem ją, byśmy poszli na herbatę do Shelbourne, tłumacząc, że dzinsy i bluza nie są niestosowne nawet w niedzielę, bo wezmą ją tam za jankeską turystkę, zwłaszcza że bluza ma nadruk Notre Dame, a turystom jankeskim przecież wszystko wolno, no nie?

— Amerykanom irlandzkiego pochodzenia, Dermocie Michaelu... i czy nie starałam się znaleźć bluzy z nadrukiem Marquette, ale nie mieli ani jednej w pięknym mieście Dublinie.

Pozwolono mi na „jeden łyczek sherry”, który urósł do dwóch kieliszków. Szkło jest tak małe, tłumaczyłem mojej pani, że dwa powinny liczyć się za jeden.

— Zabrałbyś mnie do Abbey Tavern w Howth, żeby pośpiewać?
— zapytała nagle.

— Kobieto, zabrałbym, choć to tylko wątpliwa turystyczna atrakcja dla jankesów, och, przepraszam, Amerykanów irlandzkiego pochodzenia.

— Nigdy tam nie byłam.

— Więc idziemy.

Mimo że Nuala zaklinała się, iż nie śpiewa w niedzielę za darmo, w tawernie śpiewała donośnie i zachwycająco. Niebawem dyrygowała śpiewami. Zaczęła od Molly Malone, czemu towarzyszył szelmowski ruch głowy w moją stronę.

Tum klaskał entuzjastycznie. Potem moja Nuala opanowała salę. Goście oszaleli, gdy zaśpiewała Danny Boy po irlandzku, czyli Maidin i mBeara, poinformowano mnie później, jakby każdy idyjota powinien to wiedzieć.

Po tym triumfie nic nie mogło jej powstrzymać.

— Znasz każdą piosenkę, jaką kiedykolwiek napisał Percy French
— powiedziałem.

Kierownik zapytał, czy nie chciałaby tu śpiewać dwa wieczory w tygodniu. Nuala odparła, że ma już pracę, a także studiuje w Trinity College, ale gdy praca się skończy...

Kierownik powiedział, że powinna być z nim w kontakcie. Bardzo mu zależy.

Czy spodziewała się, że otrzyma propozycję pracy?

Oczywiście, a dlaczego nie?

Przecież jest sprytna, co? Tak samo jak Ma.

Gdy o pół do dwunastej wyszliśmy z Abbey Tavern, stwierdziliśmy, że chmury, które zebrały się, gdy byliśmy w Howth, stanowią zapowiedź straszliwej burzy. Błyskawica rozdarła nocne niebo strzępiastymi zygzakami, po czym lunęły strugi deszczu.

Zdążyliśmy przemoknąć do suchej nitki, nim znaleźliśmy wreszcie taksówkę, która nas zabrała do Irishtown Road i za róg jednej z bocznych uliczek za stacją benzynową, po drugiej stronie rzeki Dodder, naprzeciwko elektrowni. Gdy zatrzymaliśmy się przed mieszkaniem Nuali, deszcz ustał, ale niebo nadal było czarne i groźne.

— Mam nadzieję, że nie gniewasz się na mnie, że poszłam szukać pracy, o niczym ci nie mówiąc?

— Wcale a wcale — powiedziałem. — A skoro jesteśmy przy tym, twoje tłumaczenia są doskonałe, już w obecnym stanie w pełni nadają się do druku. Po wycieczce na zachód w następny weekend odlatuję do domu. Pożyczę ci mój Compaq i zostawię kopię dzienników. Możesz codziennie przysyłać mi je do Chicago. Niewykluczone, że wrócę na wiosnę, by wszystko wykończyć. Do tego czasu możesz liczyć na pracę. Nie pali mi się, więc skoro chcą cię zatrudnić w Abbey Tavern, nie zawracaj sobie głowy tłumaczeniami. Zresztą jestem pewien, że uda ci się pogodzić jedno i drugie.

Piękna romantyczna mowa na zakończenie miłej randki, co?

— A więc jedziesz do domu w przyszłym tygodniu, tak?

Wyglądała na zdziwioną, bo w ogóle jej o tym nie uprzedziłem. Prawdę mówiąc, sam się dopiero w tej chwili zdecydowałem.

— Owszem.

Chciała, bym podał jej powód. A więc go wymyśliłem.

— Chcę porozmawiać z wydawcami na temat książki.

— Aha — powiedziała bez przekonania.

Zapłaciłem taksówkarzowi, bo stąd mam krótką drogę do Lansdowne Road, a potem do hotelu.

— Zaziębisz się na śmierć, jeśli znów będzie padać — ostrzegła mnie rutynowo Nuala, zupełnie jak Ma i mama, które przez całe życie przestrzegały mnie przed deszczem.

— Tak, proszę pani — odpowiedziałem formułką, która zawsze je satysfakcjonowała.

A może, pomyślałem, ta uspokojona i szczęśliwa kobieta jest prawdziwą Nualą, ur-Nualą, która kryje się za wszystkimi maska-

mi? Miła dziewczyna, bardzo zabawna na randce, trudno jej nie lubić.

U drzwi jej mieszkania schyliłem się i pocałowałem ją.

Miał to być nieobowiązujący pocałunek na dobranoc. Tak to się zaczęło. Zapomniałem, że gdy młody mężczyzna i młoda kobieta spędzają wspólnie długi i miły dzień, ich hormony zaczynają wariować. Nasze przypadkowe uczucie stało się namiętne, gwałtowne, nagłe. Moje ręce dostały się pod jej bluzę i zawędrowały wyżej, ku piersiom, do których tęskniłem, odkąd ujrzałem ją po raz pierwszy. Poddawała się moim pieszczotom nie mniej chętnie, niż ją pieściłem.

— Kocham cię, Dermocie — jęknęła.

To przesądziło sprawę. Muszę albo przestać, albo odpowiedzieć, że i ja ją kocham. Zmusiłem się do przerwania pieszczot.

— Przepraszam — wyrzuciłem.

— Nie ma za co — odparła.

I wtedy nas dorwali.

Od tego momentu odnosiłem wrażenie, że śnię jakiś surrealistyczny sen, który się przeżywa mając wysoką gorączkę; błyskawice, grzmoty, olbrzymie niezdarne potwory elektrowni majaczyły na rozpłomienionym niebie, a ogromni faceci okładali mnie pięściami, zwalając z nóg.

Po pierwszym uderzeniu poczułem się tak, jakby przejechała po mnie ciężarówka, najpierw przednimi, a potem tylnymi kołami. Nuala krzyknęła. Byłem oszołomiony naporem dwóch zwalistych ciał, a niespodziewany atak i panująca wokół głęboka ciemność kompletnie mnie poraziły.

Gdy osunąłem się na chodnik, znowu zaczęło padać. Zygzak błyskawicy oświetlił miejsce zajścia: leżało na mnie dwóch facetów, trzeci trzymał Nualę, a czwarty stał obok niej z nożem.

— Potniemy ci trochę dziewczynkę, skurwielu — powiedział szyderczo mężczyzna z nożem, gdy znów zapadła ciemność — żebyś się nauczył nie wtykać nosa w nie swoje sprawy, pierdzielony frajerze.

W nagłym olśnieniu, jaskrawym jak błyskawica, uświadomiłem sobie, że choć skasowałem wszystkie dyskiety zawierające tłumaczenie dziennika, każdy mógł wejść do mego apartamentu i przeczytać pliki na komputerze.

Tym razem wpadliśmy w poważne tarapaty, skoro jest ich czterech, a sądząc z wprawy, z jaką mnie powalili, nie mam do czynienia z amatorami.

A jednak nie docenili mnie, jak to zwykle bywa, gdy dochodzi do bójki.

Z tego właśnie powodu dochodziło do nieporozumień z trenerem z Fenwick.

A poza tym musiałem ratować Nualę.

Zdzieliłem z całej siły jednego z napastników. Mruknął coś, ale nie puszczał.

Mieli nad nami przewagę liczebną i siłową.

Musiałem ratować Nualę.

Nuala sama się o siebie zatroszczyła. Mówiła zresztą, że w razie czego da sobie radę.

Drugi okrzyk, jaki usłyszałem, wydała nie ona, lecz któryś z zajmujących się nią.

— Dziabnęła mnie, Paddy! Krew mi leci! Ma pierdzielony nóż!

Potem znów wrzasnął.

Aha, pierdzielony nóż, więc to tak?

Uwagę obu mężczyzn, którzy mnie pilnowali, odwrócił krzyk kumpla. Rozluźnili nieco chwyt. Kopnąłem, pchnąłem, rąbnąłem. Gdzieś tam złamała się ręka, kolejny mężczyzna wrzasnął z bólu. Kropnąłem nadgarstkiem w miejsce, gdzie moim zdaniem powinien być kark, po czym usłyszałem głośny jęk towarzyszący utracie przytomności.

Z trudem podniosłem się na nogi, gdy jeszcze jeden wąż błyskawicy rozdarł niebo tuż za stacją benzynową. Ujrzałem jak Nuala — biały dół jej kurtki był poplamiony krwią — ciska koszem na śmieci w mężczyznę z nożem. Uderzył go w głowę z głuchym łomotem dokładnie w chwili, gdy błyskawica zgasła.

Kto twierdzi, że mają przewagę liczebną?

Rzuciłem się na mężczyznę z nożem.

Ryk grzmotu, oddalonego o jakąś sekundę, zagłuszył pod koniec ryk faceta. Po chwili palnąłem go ponownie, wbijając mu głowę w brzuch. Opaść z potężnym „uuf” gdy powietrze uchodziło mu z trzewi.

Pogmerałem w ciemnościach i znalazłem jego nóż. Chwyciłem go i przycisnąłem mu do szyi.

— Odwołaj swoich koleśków, skurwysynu, bo podetnę ci gardło od ucha do ucha!

Ale nie było kogo odwoływać. Facet, którego dźgnęła Nuala, nadal wrzeszczał, że wykrwawi się na śmierć. Dwaj usiłovali chyba wstać i zorientować się, co jest grane.

Właściciel noża był jednak chętny do współpracy.

— Wynośmy się — wykrztusił — bo ten skurwysyn mnie zabije!
Potem usłyszałem zatrzymujące się samochody, trzask otwieranych drzwi i odgłosy biegu przez chodnik.

— Siódma Kawalerska, Dermocie! — zawołał Patrick. — W samą porę.

— Trochę późno — wyrzęziłem.

Kolejna eksplozja błyskawicy — tuż nad nami, po której niemal od razu rozległ się grzmot — ukazała Nualę znowu wymachującą koszem, teraz w kierunku ciemnej postaci, którą bez wątplenia był Patrick.

— Auu — krzyknął. — Dermocie, powstrzymaj tę Grace O'Malley.

— Ten skurwiel jest po naszej stronie, Nualo! — wrzasnąłem.

— To jankes!

Rzeczywiście, wykapaną Grace O'Malley. Cały incydent rozegrał się najwyżej w pół minuty, znacznie krócej, niż trwało opowiadanie o nim. Ktoś włączył reflektory samochodu.

— Boże święty, Dermocie, nieźle tu narozrabiałeś! — Patrick był wyraźnie wstrząśnięty.

Chodnik spływał krwią przemieszana z deszczem.

— Henry, zawiąż temu facetowi nadgarstek. Żywy sprawi nam mniej kłopotu niż martwy... Joseph, podwieź Dermota i Grace O'Malley do hotelu i zabezpiecz. Dermocie, spokojnie możesz nam zostawić resztę. Nie sądzę, by twój przyjaciel z nożem przy tętnicy chciał dyskutować z moim uzi.

— Spóźniłeś się. — Starąłem się podnieść.

— Najmocniej przepraszam. To z powodu złej pogody.

Objęła mnie kolejna para rąk, ale nie były to ramiona kolejnego napastnika. Nuala, alias Grace O'Malley, przywarła do mnie, jakby miało to uratować jej życie. Serce dziewczynie waliło, a trzęsła się jak dziecko w ataku konwulsji.

— Ona kazała mi wziąć nóż — wykrztusiła. — Nie chciałam, ale mnie zmusiła.

— Kto, Nualo, kto? — Objąłem ją mocno i głaskałem łagodnie, starając się uspokoić przerażone stworzenie.

— Twoja babcia! Powiedziała, że może mi się przydać!

— To coś wspaniałego, naprawdę. — Nuala wypila potężny łyk Bushmill's Single Malt (z zieloną etykietką, czyli Green Label). — Słowo daję, nie wiedziałam, co tracę.

Siedziała owinięta w hotelowy szlafrok kąpielowy, włożony na mikroskopijną bieliznę, lecz dobrze spełniającą swe funkcje. Dżinsy da się jeszcze uratować, ale biała kurtka była pocięta i poplamiona krwią, podobnie jak bluza z nadrukiem Notre Dame, którą obiecałem zastąpić jedną z moich z Marquette. Napaść oszołomiła ją i wprawiła w stan odrętwienia, lecz nie doprowadziła do hysterii ani płaczu.

Wykapana Grace O'Malley.

Kilkakrotnie pytała, czy nie zamordowała „biedaka”, którego ciachnęła nożem i którego krew zniszczyła jej kurtkę.

Zapewniałem ją, że nie. Zajmą się nim Patrick i jego znajomi

To ją zadowoliło.

Gdy Joseph podjechał pod hotel, na tyle już odzyskała panowanie nad sobą, by się ze mną spierać.

— Nie zostanę na noc w twoim pokoju.

— Nie kłóć się ze mną, kobieto. Zostaniesz, jak najbardziej. Nie pozwolę ci wrócić do Irishtown po tym, co się stało.

— Nie zostanę! — Wysiadła z samochodu, potykając się przeszła kilka kroków i oparła się o mnie ciężko. — Och, Dermocie, zaopiekuj się mną.

To załatwiło sprawę.

— Kim byli ci ludzie — zapytała, przełykając drugi haust Green Label.

— Napastnicy? Nie mam pojęcia.

— Nie. — Gwałtownie złapała powietrze, gdy whisky doszła do żołądka. — Patrick i jego kumple?

— Pracują dla amerykańskiego rządu, ale nie staraj się dociec, dla której agencji.

— Ty też dla nich pracujesz, Dermocie?

— Nie. Ale obiecali mnie chronić.

— Nie będę pytała dlaczego — westchnęła — bo po jeszcze jednym kuflu tego — skierowała ku mnie szklaneczkę — nie bardzo będę wiedzieć, jak się nazywam.

- Rano wszystko ci wyjaśnię. Przepraszam cię za to zajście.
- Nic mi nie jest — zapewniała. — Całkiem dojdę do siebie, jak się porządnie wyśpię. — Zerknęła na mnie znad szklaneczki. — Teraz wiem, jak się zachowuję w sytuacji podbramkowej.
- Jak Grace O'Malley?
- Strasznie zawzięta i niebezpieczna kobieta. — Pociągnęła jeszcze trochę whisky. — Sama siebie się boję.
- Strasznie cię przepraszam za to, co się stało, Nualo. To wszystko moja wina.
- Jesteś dobrym człowiekiem, Dermocie Michaelu Coyne. — Oblizała wargi, by nie uronić ani kropelki cennego napoju. — I powiadasz, że musisz jeszcze wszystko przemyśleć?
- Nie chciałem narażać cię na niebezpieczeństwo. Sądziłem, że nie dowiedzą się o tłumaczeniu. Nie przyszło mi do głowy, kompletnemu idyjocie, że mogą się tu wślizgnąć i zajrzeć do komputera.
- Nie ma o czym mówić. Czy nie pojawił się Patrick z przyjaciółmi? — Skończyła szklaneczkę i znów ją napelniła
- Powinienem był ci powiedzieć.
- Jutro rano, Dermocie.
- Nadal byłem wściekły — na siebie za niepotrzebne ryzyko, na Nualę za to, że nosiła przy sobie nóż, na Patricka, bo się spóźnił, a najbardziej na przeciwnika, który naraził moją kobietę na niebezpieczeństwo. Zajmę się tym rano.
- Skąd wzięłaś nóż?
- Hmm? — Zakołysała się lekko w fotelu. — Pożyczyłam od jednej z moich współlokatorek. — Zachichotała. — Powiedziałam jej, że mogę go potrzebować przeciwko tobie.
- Dlaczego go pożyczyłaś?
- Mówiłam ci już, Dermocie — westchnęła, zirytowana głupim pytaniem. — Twoja babcia wyszeptala mi do ucha, że w swych dziennikach pisze o różnych niebezpiecznych rzeczach i że podobnie jak ona, powinnam przedsięwziąć środki ostrożności.
- Czyżby, czyżby?
- Owszem. Teraz idę spać, a rano okaże się, że to był tylko głupi sen, prawda?
- To nie sen, Nualo. — Podniosłem się, by ją odprowadzić do drzwi sypialni.
- A czy właśnie tego nie mówi się w snach?
- Dobranoc, Nualo. Niech cię Bóg błogosławi.

— I ciebie niech Bóg błogosławi, Dermocie — pocałowała mnie szybko. — Jasne. To musi być senne marzenie. Tylko w marzeniach mogłabym spać w twoim łóżku, prawda?

Zapaliłem światło i zaprowadziłem ją do łóżka, pomogłem jej zdjąć szlafrok, delikatnie ją położyłem i otuliłem kołdrą.

— Strasznie miękki materac — wymamrotała. — Aż grzech.

Pocałowałem ją w czoło.

— Śpij dobrze.

Kiwnęła głową i niemal natychmiast zapadła w sen.

Na palcach wyszedłem z sypialni, zgasilem światło i zamknąłem drzwi.

Potem nalałem sobie dużą szklankę z drugiej butelki Green Label, schowanej, jak sobie powiedziałem, na czarną godzinę — która jeśli zważyć moją sytuację, może nadejść w każdej chwili.

Piękna, skąpo odziana dziewczyna śpi w moim łóżku, a ja jestem tak pozbawiony pożądania jak nigdy w swoim dorosłym życiu.

Wielki ze mnie Sean Connery.

Wykończylibyśmy ich i bez pomocy Patricka. Nuala to przerażająca kobieta, jedna wielka groza. Z nią nie ma co walczyć.

Mimo wszystko ktoś będzie musiał zapłacić za zaatakowanie Nuali. Od tego zacznę jutro rano.

Lekkie stukanie do drzwi.

— Kto tam?

— Patrick.

Spojrzałem przez wizjer. Istotnie był to Patrick, odziany w przepi-sowy trencz i czarny golf.

— Green Label. — Uśmiechnął się, gdy zobaczył w mojej ręce butelkę. — Twoja pani śpi?

— Tak, przy pomocy tego. Łykniesz sobie?

— Nie śmiałbym uszczknąć... Nic jej nie jest?

— W zasadzie nie.

— A tobie?

— Jako Seanowi Connery'emu, coś takiego przytrafia mi się codziennie.

— Gdybyś był 007, leżałbyś tam z nią.

— I tak samo ryzykowałbym życie jak jej znajomek z nożem.

— A właśnie. Przynieśliśmy jej narzędzie mordu. — Wręczył mi złowieszczo wyglądający nóż sprężynowy. — Lepiej, żeby był u ciebie niż u mnie.

— Policja się tym zainteresuje?

— Raczej nie, a na pewno nie zwyczajni stróże porządku.
— A Conlon?
— Z pewnością bardzo go to zaciekaWi, aczkolwiek nie na tyle, by wychylić nos z tajnego biura w Dublin Castle i odwiedzić czterech przyjaciół w szpitalu, gdzie ich połatali po bójce z konkurencyjnym gangiem w Liberties.
— Nie w Irishtown?
— Jasne, że nie. — Patrick uśmiechnął się lekko. — Tworzycie dość groźną parę. Cieszę się, że jestem po waszej stronie. Będziemy czuwać całą noc. Śpij dobrze, jeśli możesz.
— Nie mogę. I nie chcę.
— Dlaczego?
— Planuję jutro atak na Dublin Castle. Tego im nie odpuszczę.
Patrick wpatrywał się we mnie przez chwilę, rozważając koszty ochrony irlandzko-amerykańskiego szaleńca.
— Nie będę cię od tego odwoził. Nie gadaj za wiele.
— Nie ma mowy.
Powiedział mi, jak znaleźć biuro Conlona na tyłach kompleksu budynków Dublin Castle.

41

— Śniadanie, Nualo. — Załomotałem w drzwi jej — mojej — sypialni.

Zamówiłem do pokoju dwa olbrzymie śniadania: sok, owsiankę, bekon, naleśniki z syropem klonowym (których Irlandczycy nie robią dokładnie tak, jak trzeba), ciemny chleb, placuszki jęczmienne i mnóstwo dżemu.

Nasłuchiwałem. Doszedł mnie szum prysznica. Uchyliłem nieco drzwi i na wewnętrznej gałce zawiesiłem niebiesko-złotą bluzę z Marquette oraz pulower z wysp Aran, wraz z czapką i szalikiem, który kupiłem dla mojej siostry Lindy, lecz nabycie podobnego kompletu nie nastęrcza kłopotów w Dublinie.

Szum prysznica ucichł. Zamknąłem drzwi.

— Śniadanie, Nualo.

— Już idę.

Przejrzałem „Herald Tribune”. Zarówno Notre Dame, jak i Bears wygrali. Wspaniały weekend. Kapitalny.

Mówiła prawdę. Nie spędzała całego ranka na zabiegach toaletowych.

— Pachnie smakowicie — powiedziała.

Odłożyłem gazetę. Nuala wyglądała nieco mizernie, lecz w bluzie z Marquette było jej niewątpliwie bardziej do twarzy niż w ciuchu z Notre Dame.

— Wyglądasz wspaniale w błękitie i złocie Marquette... Masz ochotę coś zjeść?

Z wolna podeszła do stołu, gdzie się przysiadłem, zdjawszy przedtem przykrywkę z naczyń.

— Zawsze mam ochotę coś zjeść, Dermocie Michaelu... Ten człowiek nie umarł, co?

— Nie.

Usiadła i jednym haustem wychyliła sok pomarańczowy.

— Dobre. — Westchnęła z zadowoleniem.

— Jak się czujesz, Nualo?

— Nieźle, Dermocie, choć nie wspaniale. — Uśmiechnęła się blade. — I z pewnością nie kapitalnie. Ale zaraz dojdę do siebie... Gdzie wczoraj w nocy dzwoniły dzwony?

— U świętego Bartłomieja w Clyde Row. Świątoszkowate zatrucie atmosfery hałasem. Po jakimś czasie można się przyzwyczaić.

— Można? — W jej oczach pojawił się błysk.

— Jesteś silną kobietą, Nualo Anne McGrail.

Znowu się uśmiechnęła.

— Mówiłam, że dam sobie radę... Czy to amerykańskie naleśniki? Polewa się je syropem?

— Tak. Po śniadaniu pojedziemy do Dublin Castle i wyjaśnimy parę spraw, a później opowiem ci o wszystkim.

Skinęła głową, przełykając potężny kęs naleśnika.

— Nie spieszy się. Aa, to dobre. Wy, jankesi, przepraszam, amerykańscy Irlandczycy, potrafiliście wymyślić parę smacznych rzeczy.

— Przepraszam za wczorajszy wieczór.

Machnęła ręką na moje przeprosiny.

— Przecież to nie twoja wina i nikomu żadna straszna krzywda się nie stała.

Dlaczego się na mnie nie wścieka?

— Byłeś taki dobry i miły — ciągnęła. — Zdjąłeś ze mnie to pokrzwawione ubranie, dałeś mi cudowną whisky i położyłeś mnie do łóżka tak łagodnie i delikatnie. Jesteś wspaniałym człowiekiem, Dermocie.

cie Michaelu Coyne. Wiele razy nie mogłam cię zrozumieć, ale jesteś dobrym człowiekiem.

Zamiast zrobić awanturę, chwali mnie.

— Nie jestem tego taki pewien, Nul, ale w każdym razie dziękuję.

— Przyjemnie ci było mnie rozbierać? — Nie uniosła wzroku znad bekonu, który zaczęła pałaszować.

Nie było sensu zaprzeczać.

— Cudownie. Rozbieranie, choćby częściowe, pięknej i bezbronnej kobiety, którą mężczyzna się opiekuje, to bardzo przyjemne przeżycie, choć prawdę mówiąc, nie odczuwałem wczoraj wielkiego pożądania.

Spojrzała na mnie z uśmiechem.

— Wcale a wcale?

— Tylko troszeczkę. — Czuję, że oblewam się rumieńcem. Kurczę, to ona powinna być zażenowana.

— I podobałam ci się?

— Wiesz, jak cię podziwiam. Na twój widok w białej bieliźnie człowiek zaczyna się zastanawiać, czemu tak długo tkwi w kawalerskim stanie.

— Aha — znowu zajęła się bekonem — a więc to nie była kompletna strata czasu, co?... Jedz śniadanie, Dermocie, i przestań się na mnie gapić. Jedziemy do zamku, a potem muszę pójść na zajęcia, żeby nie pomyśleli, że wróciłam do Galway.

— Jak wytłumaczysz, gdzie byłaś wczoraj w nocy?

— To żaden kłopot... — Podebrała mi z talerza trochę naleśników.

— Właściwie są całkiem niezłe... A dlaczego im nie powiedzieć, że spędziłam noc w twoim łóżku?

— Nualo!

Roześmiała się i teraz wyjadała mi bekon.

— Nie powiem przecież, że spędziłam ją w łóżku z tobą. Chyba rozumiesz, o co mi chodzi?

Zjadłem śniadanie i usiłowałem sobie wmówić, że wcale nie czuję wściekłego pragnienia, by zabrać ją z powrotem do sypialni i wziąć jak swoją, nawet gdyby miało to oznaczać, że będę musiał uwieźć ją z sobą do Ameryki.

Weszliśmy z Nualą do Dublin Castle, jakbyśmy byli jego właścicielami, co wcale nie znaczy, że na znajdującym się w opłakanym stanie dziedzińcu nie ma w ogóle żadnych strażników. Jedynymi pozostałościami po dawnym zamku jest wieża, w której trzymane są akta, a także brama i fragment murów. Reszta to mieszanina brzydkich

osiemnasto- i dziewiętnastowiecznych budynków oraz współczesnych konstrukcji, jeszcze brzydszych.

Strażnik na parterze starego budynku, gdzie skrył się Conlon, był dość uprzejmy. Włożyłem najlepszy garnitur i wyglądałem, wypisz, wymaluj, jak bogaty jankes, tfu, amerykański Irlandczyk. Nuala niepewnie trzymała się za mną, pragnąc mieć możliwie jak najmniej do czynienia z policją.

— Chodzi panu o nadinspektora Conlona, czy tak?

— Zgadza się. Chcę się z nim widzieć. Moje nazwisko Dermot Michael Coyne.

— Zadzwoń do niego.

Był jeden z tych pięknych jesiennych poranków, kiedy Dublin roztacza wszystkie swe czary, by mnie przekonać, że może dorównać świetnością sobotnio-niedzielnym meczom w Notre Dame.

Czy Conlon mnie przyjmie? Prawdopodobnie, choćby tylko po to, by się przekonać, czy ostatnia bójka wystarczająco mnie nastraszyła.

Byłem spięty i podniecony, gotów do szybkiego starcia, jeśli już ogłoszono wojnę błyskawiczną. Zamierzałem zgnoić nadinspektora Conlona. Potem mogą mi wymierzyć grzywnę za ordynarne zachowanie, choć wydawało mi się to mało prawdopodobne.

— Proszę wejść. — Strażnik odłożył słuchawkę i wytłumaczył, jak trafić do biura Conlona, mieszczącego się na zapleczu starej fortecy.

— Nie podoba mi się tu, wcale a wcale — kaprysiła Nuala. — Diabelskie miejsce.

— Wyegzorcyzmowanie całego zła, którego dopuszczono się wobec Irlandii, potrwałoby wieki.

Po raz pierwszy w ponad dziewięćsetletniej historii miasta zamkiem przestały rozporządzać władze okupacyjne, gdy Mick Collins, zaledwie na parę miesięcy przed śmiercią, przejął tę budowlę od Brytyjczyków.

— Generale Collins, spóźnił się pan siedem minut — powiedział Brytyjczyk, prychając lekceważąco i spoglądając na zegarek.

— Nie, generale — odparł Collins. — To pan się spóźnił. O siedem stuleci.

W sekretariacie Conlona siedziały dwie policjantki, obie pogrążone w pracy. Musi być spora szychą. Sunąłem wprost przed siebie, nie zwracając na nie uwagi, niczym piłkarz, który zamierza strzelić decydującego gola.

— Chwileczkę! — krzyknęła jedna z nich. — Nie może pan wejść do szefa!

— Już wszedł — poinformowała ją moja towarzyszka.

Z hałasem otworzyłem drzwi. Biuro Conlona było ciasne, zakurzone i zastawione podniszczonymi meblami. Światło ledwie się sączyło przez maleńkie okienko, ostatni raz myte chyba w czasach króla Billy'ego. Za starym biurkiem, bez płaszcza, nadinspektor wyglądał akurat na tego, kim był: otyłego urzędasza od przekładania papierków.

Sięgnąłem przez biurko, podniosłem go na nogi i zacisnąłem mu rękę na gardle.

— Nie ma pan prawa... — wyrzęził.

— Akurat!

— Zawołać strażników, szefie? — wbiegła za mną policjantka.

— Na pani miejscu nie robiłabym tego — poradziła Nuala.

— Proszę bardzo — wzmogłem ucisk. — Opowiemy im rewelacyjną historię, co?

— Niech nas pani zostawi — poprosił. — Wszystko będzie dobrze.

— Akurat — powiedziałem, gdy zamknęła drzwi. — Posłuchaj mnie, Conlon, i to słuchaj uważnie. Jeszcze jeden taki numer jak wczoraj i złamię ci kark. Nie tak trudno złamać gliniarzowi kark. Po prostu przytrzymam tak jak teraz i trochę przekręcę, o tak, widzisz?

— Uszkodzi mi pan coś! — wrzasnął.

— A zatem wielki mafioso jest także tchórzem? Tak właśnie przypuszczałem.

— Niech mnie pan puści!

— Słuchaj, ty pierdzielony gnojku! Nie dość, że cię zabiję, to tak posiekam twoją żonę i córki, by już żaden mężczyzna nigdy na nie nie spojrział, chyba że z obrzydzeniem. Zrozumiano?

Nie wiedziałem, czy ma córki, ale nic mnie to nie obchodziło.

— Niech im pan nie robi krzywdy! — zaskrzeczał. — Są niewinne!

— Są spokrewnione ze zdrajcą, to dla mnie wystarczająca wina! Chciałeś zranić moją kobietę, więc twoje kobiety też są w niebezpieczeństwie, rozumiesz?

Jeszcze mocniej zacisnąłem uścisk.

Prawdę mówiąc, nie miałem pojęcia, jak złamać komuś kark, choć najprawdopodobniej zdołałbym udusić go na śmierć. Tego też nie miałem zamiaru robić. I oczywiście nie żywiłem żadnych złych zamiarów wobec jego żony i córek — biednych kobiet uwiązanych do takiego gnojka.

— Nie — błagał. — Nie.

Kwicział teraz ze strachu, tak jak kwiczą obrońcy, gdy naciera na nich Richard Dent.

Z kieszeni garnituru wyjąłem nóż sprężynowy Nuali i przyłożyłem Conlonowi do gardła.

— Twoje zbiry miały ją pociąć wczoraj wieczorem. Może trochę cię posiekam, żebyś pamiętał o moim ostrzeżeniu?

— Nie — zaskomlił znowu. — To już się nie powtórzy.

Aha, wyznanie, o to mi właśnie chodziło.

— Taak — przytknąłem mu ostrze do ucha — jak myślisz, a może tylko odetnę ci ucho?

— Nie mieli zrobić jej nic poważnego, tylko trochę pociąć! Proszę!

Czubkiem noża dotknąłem jego ciemienia, a on zaczął się mazać. Cisnąłem nim w kąt biura, gdzie opadł jak worek na śmieci.

— To tylko na początek, Conlon, żeby dać ci poznać, co ci mogę zrobić, jak mi się spodoba. I nigdy, przenigdy nie próbuj mnie terroryzować, jasne?

— Nie, na pewno nie — szlochał. — Zaszła straszliwa pomyłka!

— Lepiej, żeby tak było! Chodź, Nul, wychodzimy z tej gnojowni!

Posłusznie podążyła za mną.

Dwie policjantki łkały w sekretariacie.

— Nie ujdzie ci to na sucho! — wrzasnęła za mną jedna z nich.

— Ależ owszem — rzekła lekceważąco Nuala.

Boże drogi, w jej osobie rzeczywiście chyba zmartwychwstała Grace O'Malley, nie Ma, lecz królowa piratów.

Większość kobiet czyniłaby mi wyrzuty z powodu takiej napaści. Nuala najwyraźniej nie wzięła sobie tego do serca.

— Czy to było konieczne? — zapytała, gdy wyszliśmy na dziedziniec.

— Tak, Nualo. Próbowali mnie zastraszyć. Teraz gdy wiedzą, że w wyniku takich działań robię się tylko jeszcze bardziej upierdliwy, zostawią nas chyba w spokoju.

Nigdy w życiu nie pomyliłem się bardziej.

— Umiesz blefować, Dermocie Michaelu Coyne — powiedziała, gdy wymaszerowaliśmy z Dublin Castle. — Wystraszyłeś tych gnojów na śmierć.

— Uważasz, że blefowałem?

— Jasne, ale świetnie ci poszło, nie sądzisz? Chyba już nie będzie sprawiał nam kłopotów.

Nie próbowałem jej nawet tłumaczyć, dlaczego usadziłem Conlona.

Patrick czekał na nas, oparty o ścianę.

— Dzień dobry, Dermocie — powiedział radośnie. — Przyjemny poranek, co?

— Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, dość przyjemny.

— Miło mi to słyszeć. — Uśmiechnął się. — Zdaje się, że wczoraj w nocy spotkałem tę młodą kobietę po niewłaściwej stronie pojemnika na odpadki. Jestem Patrick, Nualo Anne. Cieszę się, że mogę cię widzieć w świetle dziennym.

— Kosza na śmieci — wymamrotała.

— Słusznie, dwa narody rozdzielone wspólnym językiem, jak powiedział inny Irlandczyk, a przy tym protestant, niech mu Bóg wybaczy.

— Pan jest Mickiem Collinsem. — Nuala rzuciła mu płochliwe spojrzenia niczym figlarna dzierlatka.

Twarz Patricka stężała.

— Micka Collinsa trafiła w kark pojedyncza kula powodując jego śmierć w dniu 22 sierpnia 1922 roku.

— Wygląda pan zupełnie jak on. — Wyciągnęła palec w jego kierunku. — Jakby skórę zdjął.

— Mnóstwo Irlandczyków i Amerykanów irlandzkiego pochodzenia jest do niego podobnych, Nualo. Mam na imię Patrick.

— Jeśli nie jesteś Mickiem Collinsem, musisz być jego krewnym. — Ciągle staliśmy w pobliżu wejścia do zamku. Nuala nadal wskazywała palcem na Patricka.

— Nawet nie urodziłem się w Irlandii. — Ponownie zdobył się na uśmiech. — Jestem Amerykaninem irlandzkiego pochodzenia, jankesem, jak wy mówicie.

— Wróciłeś, by zemścić się na tych, którzy cię zabili? — Nuala była wyraźnie przerażona.

— Nualo — powiedziałem. — Chyba za bardzo cię ponosi.

Prawie nie zwracała na mnie uwagi.

— Co wiem, to wiem.

— W mojej pracy nie mamy czasu na osobiste porachunki, moja droga.

— Nie mam nic przeciwko temu, że się zemścisz — powiedziała. — Rzecz w tym, że mnie przerażasz.

Wziął ją pod ramię i poprowadził Dame Street, byle jak najdalej od zamku.

— Jak twój towarzysz Dermot dobrze wie, Nualo, reguły naszej gry zakładają, że nie zadajecie mi żadnych pytań, póki nie dam do zrozumienia, że jestem gotów na nie odpowiedzieć. Jasne?

Spojrzała mi w twarz, jakby widząc mnie po raz pierwszy.

— Tak, Patricku — rzekła powoli. — Strasznie jestem skonana. Przepraszam.

— Ależ nie ma za co, moja droga. — Puścił jej ramię. — Wczorajszy wieczór miałaś pełen mocnych wrażeń.

A więc przeżyliśmy szczęśliwie to dziwaczne interludium.

Patrick rzeczywiście do złudzenia przypominał Michaela Collinsa. Może był jego krewnym. Nigdy nie zdołałam przekonać Nuali, że tak nie jest. Jeśli instynktownie czuje, że chodzi tu o zemstę, nie wybije jej tego z głowy.

A może i ma rację.

— Zapewniam cię — Patrick znów promieniał pogodą — że nasi przeciwnicy mają przed tobą porządnego pietra, Dermocie. Są teraz przekonani, że na każde zawołanie dysponujesz dużą grupą bardzo zdolnych agentów, co w pewnym stopniu się zgadza, nieprawdaż? Obecnie nie chcą mieć z tobą nic do czynienia, w czym jak sądzę, znacznie umocni ich twoje małe tete-a-tete z szefem.

— Macie tam wtykę?

— Właśnie, ale nie należy do organizacji. Płatna pomoc, tak bym to określił. W każdym razie gdyby w ich planach nastąpiły jakieś zmiany, dowiemy się o tym i prześlemy ci informację. Oczywiście nadal będziemy, hm, w pobliżu, jeśli to oddaje istotę rzeczy.

— Zamierzaliśmy na weekend pojechać do Cork i Galway.

— Naprawdę? — Uśmiechnął się uśmiechem Micka Collinsa, co do tego nie miałem wątpliwości. — Nie widzę przeszkód. Nie wiadomo, na kogo tu możemy trafić, choć nic złego się nie stanie, jeśli będziemy uważać. Wyjeżdżacie w piątek?

— W czwartek rano.

— Długi weekend, co? Bawcie się dobrze... Przy okazji, Dermocie, oto koperta, w której zawartością może będziesz chciał się zapoznać przed wieczorem... A teraz, Nualo Anne, wybacz, ale muszę pędzić. I tak na pożegnanie: dobrze wiesz, że zmarli nie ukazują się za dnia, zgadza się?

— To prawda — przytaknęła. — Przepraszam, Patricku, źle się wyraziłam.

— Nic nie szkodzi. Zobaczymy się, jak się zobaczymy.

Gdy zniknął w bocznej uliczce, zdążając w kierunku Liffey, Nuala wyszeptała:

— Zazwyczaj nie ukazują się za dnia.

— Nie będę się spierał, Nul. Ale on pracuje dla rządu amerykańskiego.

— A co to ma z tym wspólnego?

— W każdym razie jest po naszej stronie.

— I powinien, kurczę, być!

Przez chwilę szliśmy w milczeniu Dame Street, a ja rozważałem tę wielką prawdę, że nie tylko nie można przewidzieć, co zrobi Nuala, ale że nie da się też jej rozszyfrować. Jak sama przyznała tylko na poły z ironią, należy do ostatniej rasy, która przetrwała w Europie od czasów epoki kamiennej.

— Wpadniemy do Bewleya na herbatę, dobrze, Dermocie Michaelu? I powiesz mi prawdę o tych dziwnych sprawach, ale całą prawdę.

— Czy ci tego nie obiecałem?

— I zrobisz to teraz.

— Tak jest. a do tego ma pani ochotę na następny posiłek po tym śniadaniu, które spałaszowała pani w hotelu.

— Najwyżej jeden placuszek. — Ujęła mnie za rękę i poprowadziła Grafton Street.

W istocie zjadła dwa placuszki, jak zawsze grubo posmarowane masłem i dżemem. Ja wsunąłem cztery. Spieraliśmy się o marmoladę, która moim zdaniem stanowi grzech przeciw naturze, a według Nuali jest „absolutnie wspaniała”.

Wtem odezwała się krótko:

— Teraz, Dermocie Michaelu.

A więc opowiedziałem jej o wszystkim, pomijając tylko sprawę mojego stosunku do Angeli Smythe, a także wizytę tej damy późno w nocy, co zmieniłem na rozmowę telefoniczną.

Słuchała beznamiętnie, chłonąc każdy szczegół.

— Pierdzieleni idyjoci — podsumowała, gdy skończyłem.

— Kto, Nualo? Mnie to też dotyczy?

— Święci Pańscy, miejcie nas w opiece, nie! — Dotknęła mojej ręki. — Jasne, czy mimo wszystko nie jesteś Seanem Connerym z falującymi blond włosami? Chodzi mi o idyotów, którzy uważają, że Irlandczycy kiedykolwiek zgodzą się znowu zostać częścią Anglii, niezależnie od tego jak fantastycznie korzystny byłby to związek. Większość z nas nie jest rewolucjonistami, ale uważam, że taki spiszek w ciągu jednej nocy zrobiłby z nas wszystkich członków Sinn Fein!

- Mnie też się tak wydawało.
- Więc co jest w kopercie?
- W jakiej kopercie?
- Tej, co ten twój facet dał ci na Dame Street, a niby w której?

Zapomniałem o kopercie od Patricka.

Sięgnąłem do kieszeni kurtki. Zwykła biała koperta, niezbyt wytworna, żeby nie powiedzieć — tania.

Gdy ją otwierałem, Nuala zaglądała mi przez ramię, trzymając jeszcze w ręce kawałek placuszka. 007 ma teraz asystentkę, która wykorzysta najmniejszą szansę, by przejąć dowodzenie — czego kobiety nigdy nie robiły w przypadku Seana Connery'ego.

No, ale byłbym chociaż asystentem.

Wyciągnąłem pojedynczy zwitek papieru i rozłożyłem go. Był to odbity na ksero ręcznie napisany dokument ze schludnym nadrukiem ugory:

KONSORCJUM ŚW. JERZEGO I ŚW. PATRYKA

- O święta Brygido. Patryku i Columcille! — wybuchnęła Nuala.
- I cała reszta irlandzkich świętych.

Spojrzałem na listę liczącą może z pięćdziesiąt nazwisk, angielskich i irlandzkich, wiele wybitnych: dziennikarzy, pisarzy, artystów, działaczy społecznych, polityków — wszystkie starannie ułożone w porządku alfabetycznym.

Znajdował się na niej Brendan Keane, przy którego nazwisku widniały literki T.D. — co oznacza, że jest członkiem Dail, irlandzkiego parlamentu. Podobnie oznakowanych było jeszcze pięć czy sześć nazwisk, a także kilkanaście, którym towarzyszyły literki M.P., czyli że ich właściciele są posłami do parlamentu brytyjskiego. Wydawało mi się, że kilku z nich pochodzi z sześciu hrabstw Irlandii Północnej, a jeden jest członkiem rządu premiera Majora. Keane był jedynym wysokim urzędnikiem obecnego rządu irlandzkiego, którego nazwisko widniało na liście, ale jeden z parlamentarzystów był mi znany jako wybitny rzecznik opozycji.

- Longwoodowie-Jonesowie są na liście — powiedziałem Nuali.
- Jasne, dlaczego by nie?
- Ciekawe, z jakiego powodu tylu wybitnych ludzi poszło na coś tak bezsensownego?

— Założę się, że ojciec i dziadek naszego wysoko postawionego przyjaciela również byli w to wmieszani. A inni, cóż, czy niektórym nie chodziło wyłącznie o pieniądze?

- Jakie pieniądze, Nualo?
- Złoto Rogera Casementa. Czy nie wykorzystaliby go na sfinansowanie tego interesu? Daniel O’Kelly powiedział temu nieznanemu, gdzie jest złoto?
- Albo co bardziej prawdopodobne, szpiedzy tego faceta śledzili O’Kelly’ego, tak samo jak Ma.
- Głupie i niebezpieczne, Dermocie... Dlaczego Patrick ci to dał? Czy nie lepiej przekazać taki dokument rządowi irlandzkiemu?
- Jej umysł pracował za szybko, o wiele za szybko. W końcu to ja byłem Seanem Connerym, no nie?
- Nie za bardzo.
- Co w związku z tą listą nie dawało mi spokoju? Do diabła, to twarz, która pojawiała się „przed oczyma mojej duszy”, a potem mi umykała, czając się w mgłach skłębionych tuż za progiem mej świadomości. Niebezpieczna twarz. Problem z listą nie był może tak istotny jak ta właśnie zamysłona twarz, lecz mimo wszystko sprawą listy trzeba się zająć.
- Może Patrick nie chce, by ci z listy dowiedzieli się, że jego ludzie przyglądają się im tak dokładnie.
- A może nie jest pewien, kto jeszcze z rządu irlandzkiego jest w to wplątany.
- Albo... albo chodzi jeszcze o coś innego, czego musimy się dowiedzieć. Czy nie byłoby dobrze, gdyby CIA, tfu, rząd amerykański znalazł złoto, nie uważasz? — Usiłowałem gwałtownie coś wymyślić, by dotrzymać kroku błyskawicznemu biegowi myśli Nuali.
- Czy powinniśmy to komuś przekazać?
- Zwróćcie uwagę na to „my”.
- Komu, Nul? Jak powiedziałaś, nie wiadomo, komu z rządu irlandzkiego można by zaufać.
- A więc wyjeżdżamy na weekend do Cork i Galway, tak?
- Nie jestem pewien...
- Jeśli nie, to myślisz, że nie wsiądę do pociągu i sama nie wdramię się na Mamene? — ucięła. Napęłniła mi filizankę. — Sądzisz, że z dziennika nie wiem wystarczająco dokładnie, gdzie jest, a w każdym razie — gdzie było? Nie ma mowy, żebyśmy się teraz wycofali. Nie jestem jakąś pierdzieloną patriotką, ale nie pozwolę, by moje dzieci znowu stały się częścią pierdzielonej Anglii.
- Myślałem, że nie chcesz mieć dzieci?
- Jej twarz oblała się purpurowym rumieńcem zażenowania.
- A gdybym zmieniła zdanie?

— Czy złoto jeszcze tam jest?

— Gdyby go nie było, czy tak by się obawiali, że na nie natrafisz, szukając prawdy o Neli Pat i Liamie? Czyż teraz byłoby trudno załadować je na statek? Czy zostałby jakiś ślad w dokumentach przewozowych? Sztabka złota, wręczona temu i owemu, mogłaby zatkać niejedną gębę, nie uważasz? Może tylko jedna osoba wie, gdzie ono jest To by pasowało do tej zwariowanej historii, no nie?

Miała rację. Muszę to wszystko przemyśleć. A może gdyby Nuala się tym zajęła, nie musiałbym myśleć, robiłbym tylko to, co mi powie.

— Na pewno chcesz...

— Nie powiedziałam, że nie ma o czym mówić? — Podniosła się. — Skończ herbatę i placuszki, a ja pędzę na zajęcia. W tym tygodniu mam mnóstwo do przetłumaczenia. Chcę się dowiedzieć, co zaszło, zanim pojechali do Ameryki, a ona, biedactwo, w ciąży... Aha, Dermocie Michaelu, czy mogę dostać swój nóż z powrotem?

— To podobno nóż przyjaciółki?

— Pożyczyła mi, no nie?

Oddałem nóż, nie próbując jej nawet przestrzegać, by nie nosiła go więcej. Byłoby to zwykłą stratą czasu.

I poszła z podniesioną głową, wyprostowana, wyzywająco kręcąc tyłkiem.

Ogarnęło mnie przygnębienie, nie dlatego, że Nuala przejęła sprawę. Nie widzę w tym nic złego. Pomijając moje szowinistyczne impulsy, skoro jest bystrzejsza ode mnie, ona powinna objąć kierownictwo.

W głębi serca nie wierzyłem w to oczywiście. Ale w tej chwili należało w to uwierzyć.

Gdyby tylko dała mi trochę czasu na przemyślenia.

Nie, ogarnęło mnie przygnębienie, bo uświadomiłem sobie, jak bardzo będę za nią tęsknił, gdy odleczę do Chicago.

Powrócił do mnie jej obraz w skapej białej bieliźnie. Zeszłej nocy, wobec wszystkich przerażających przeżyć, nie wzbudził we mnie erotycznych myśli, ale teraz wydawał się bardzo kuszący.

Czy naprawdę mogę ją porzucić? — pytałem sam siebie, przygotowując ostatni placuszek do konsumpcji. Czy kiedykolwiek mógłbym ją porzucić?

Wieczorem 23 sierpnia 1922 roku rozmawiałem z innymi więźniami (w więzieniu w Kilmanhaim), gdy nadeszła wiadomość, że Michael Collins został zastrzelony w zachodnim Cork. W całym więzieniu zapadła grobowa cisza, a dziesięć minut później z zewnętrznego korytarza u szczytu więzienia ujrzałem niezwykle widok: około tysiąca republikańskich więźniów na kłęczkach spontanicznie odmawiało na głos różaniec za spokój duszy zmarłego Michaela Collinsa... Nie znam większego hołdu, który by złożono komukolwiek za rolę, jaką odegrał w walce z Anglikami o niepodległość Irlandii.

Tom Barry

Jak inni więźniowie republikańscy, również Tom Barry był przeciwnikiem Michaela Collinsa w irlandzkiej wojnie domowej.

23 sierpnia 1922

Mick Collins nie żyje.

Szlocham straszliwie, pisząc te słowa. Zabili go. Modłę się z nadzieją, że mój Liam nie ma z tym nic wspólnego.

Ale gdzież on mógł się znajdować, jeśli nie tam?

Liam nigdy nie zastrzeliliby generała, gdyby wiedział, że to on. Ten diabeł wcielony, Daniel O'Kelly, nigdy by mu nie powiedział. Wrociłby go w to, a potem pewnie zabiłby Liama i zrzucił na niego winę.

Jeśli rzeczywiście z broni Liama padł ten strzał, to praktycznie jest on trupem. Zwolennicy Wolnego Państwa zabiją go, jeśli nie uczyni tego O'Kelly. A jeśli przeżyje, do końca swoich dni będzie nienawidził samego siebie za to, że dał się namówić do naciśnięcia spustu. A tyle razy go przestrzegałam, by nie ufał zbyttnio O'Kelly'emu. Przez to będzie się czuł jeszcze bardziej winny.

Co się wtedy stanie z naszą miłością?

Teraz już wiem na pewno, że jestem w ciąży.

Boże przenajświętszy, co my teraz poczniemy?

Na dzisiejszej porannej mszy kościół był pełny, a wszyscy płakali, szlochali z żalu po generale Collinsie, choć nasza okolica popiera republikę.

Odmówiłam dwa różańce za niego i jeden za nieszczęsną Kit Kieran.

Teraz jest dla mnie jasne, że gość w szykownym garniturze zapłacił za śmierć Michaela Collinsa. Muszę opowiedzieć o tym Liamowi, jak wróci do domu, i zabrać go do groty, gdzie jest ukryte złoto.

Jeżeli wróci do domu.

Będę się modlić za niego i za generała Collinsa.

Matko Boża, miej nas w swojej opiece.

Czy spada na mnie wina za to, że nie powiedziałam Liamowi, co zobaczyłam przed pubem? Czy tak samo przyczyniłam się do śmierci Michaela Collinsa jak człowiek, który nacisnął spust, i ten również, który mu za to zapłacił?

Nie wiem! Nie wiem!

Może powinnam porozmawiać o tym z młodym księdzem? Jest taki łagodny i wyrozumiały.

Ale czy da mi rozgrzeszenie?

Jeśli mój biedny Liam już nie żyje, czy to nie będzie moja wina?

44

30 sierpnia 1922

Liam przyszedł do domu zeszłej nocy.

Leżałam w łóżku, odkryta i w samej koszuli, bo ostatnio konamy z upału i jest pełnia księżyca.

Słyszę stukanie w okiennice i szept, zastanawiam się, czy to sen.

A więc otwieram okiennice, widzę Liama z wielką blond brodą i mało nie wariuję z radości. Matko Boska, myślę sobie, przynajmniej jeszcze żyje i możemy zacząć od początku.

— Neli — powiada łagodnie, lecz spojrzenie ma strasznie wygłodniałe — tęskniłem za tobą.

— Jestem tu — powiadam — więc możesz przestać tęsknić. Jeśli twój mężczyzna rozpaczliwie cię potrzebuje, będziesz kompletną idiotką, jeśli mu się nie oddasz.

Ściąga ze mnie koszulę, bardzo gwałtownie, więc wiem, że naprawdę mnie pragnie.

Jestem strasznie szczęśliwa i pragnę go prawie tak samo jak on mnie.

Mówię mu, żeby nie robił zbyt wiele hałasu, bo obudzi mamę i tatę, zachowuje się więc bardzo cicho.

A choć jest tak strasznie wygłodniały, całuje mnie i pieści, i rozpala w świetle księżycy, tak że mało nie oszaleję.

— Patrząc na ciebie, Neli Pat, to prawie tak samo wspaniale, jak cię posiadać.

— Weź mnie teraz, Liamie, mój ukochany, bo będziesz miał w łóżku zupełnie oszalałą kobietę.

— Naprawdę? — uśmiecha się. — Chyba nic złego się nie stanie, jak jeszcze trochę cię podręcę.

Nic złego się nie stało, chociaż myślałam, że umrę z rozkoszy, nim skończył.

Leżeliśmy obok siebie, spoceni, ciężko dysząc i trzymając się za ręce, a ja wiedziałam, że umrę bez niego.

A potem, gdy zaczął szeptem opowiadać o dziwnej misji, na którą wyruszył z O'Kellym, zrozumiałam, że nic nie wie o zamordowaniu generała Collinsa.

Liam niesie swego lee-enfielda, a komendant, jako oficer, trzyma mauzera w futerale.

Długo podążali okrężną drogą pieszo na południe, przez jakiś czas konno, później — od Ennis — samochodem, od Limerick znów pieszo, konno przez Kerry, znowu pieszo w górach, tak że Liam już nie wiedział, gdzie się znajduje.

W Cork, myślę sobie, między Crookston i Bandon, nie tak znowu daleko od Sam's Cross, gdzie urodził się generał.

Robiło się późno, zapadał zmrok, gdy komendant zostawił go przy żywopłocie i poszedł z kimś się spotkać. Po czym wrócił i obaj wspięli się na wysokie wzgórze od wschodniej strony szosy, gdzie ukryli się za stodołą. Po drodze i na wzgórzu kręciło się mnóstwo naszych chłopców — których jak powiedział mojemu mężczyźnie O'Kelly, Armia Narodowa wypędziła z Cork.

Wtedy Liam dowiedział się po raz pierwszy, że Armia Narodowa znajduje się w Cork.

Daniel zabiera Liamowi strzelbę i daje mu mauzera. Wyjmuje z niego naboje i wkłada inne, z nacięciem w kształcie krzyża — dum-dum, które rozrywają się przy zetknięciu z celem.

Spoglądają na drugą drogę, która biegnie przez ponurą dolinę. Po jej zachodniej stronie, na ścieżce ponad drogą, Liam dostrzega grupkę żołnierzy czyhających w zasadce.

— Idyjoci — powiada O'Kelly. — Co oni tu robią?

Podczas gdy Liam i O'Kelly czekają, większość żołnierzy — którzy nie noszą mundurów, a więc prawdopodobnie są w partyzantce — rozchodzi się. Nie mają pojęcia o dyscyplinie, mówi Liam. To przekleństwo ochotników.

Gdy dzień dobiegał końca, na dróżce zostało ich tylko czterech. Wiatr niósł lekkie mgiełki, pod koniec tego upalnego letniego dnia może zacząć padać.

Wtem zupełnie niespodziewanie zza zakrętu wyłania się konwój: na czele motocykl, potem żółty samochód i kilka crossleyów, a całą kawkadę zamyka wóz opancerzony. Brytyjczycy, myśli Liam, ciekaw, co się tu szykuje. Wie, że partyzanci nadal walczą z Brytyjczykami, atakując równocześnie Armię Narodową. Armia Narodowa na pewno nie ma jeszcze samochodu opancerzonego. Może to być potężna zasadzka, choć tam niżej nie ma dość ludzi, by zatrzymać taki samochód.

Wybucho gwałtowna strzelanina, ale nikt nie został trafiony. Jest teraz tak ciemno, że nie widać nawet koloru mundurów żołnierzy z konwoju. Mój mężczyzna ciągle sądzi, że to Brytyjczycy.

Potem kanonada ustaje, a Liam słyszy, jak partyzanci uciekają. Nie mają pojęcia o dyscyplinie, myśli.

Nagle słyszy wybuch tuż obok siebie i dochodzi do wniosku, że to O'Kelly wystrzelił.

W odpowiedzi pada trochę strzałów, ale dość daleko. O'Kelly wciąż strzela, a oni odpowiadają ogniem, lecz pociski idą w przeciwnym kierunku. Później zaczyna się rozlegać więcej strzałów u podnóża wzniesienia. To reszta partyzantów, którzy przybyli już po potyczce. Panuje teraz taka ciemność, że Liam ledwo widzi zarysy postaci, lecz wydaje mu się, że dostrzegł kogoś leżącego twarzą do drogi. Sądząc z wyglądu, jest to oficer. Liam myśli, że chyba zabili generała McCready'ego z armii brytyjskiej.

W końcu gdy zabrakło im amunicji, O'Kelly powiada:

— Wyośmy się stąd, Liamie, mój chłopcze. Odwaliliśmy kawał dobrej roboty.

Biegną w górę, ku szczytowi wzniesienia, a żołnierze strzelają teraz do nich, lecz nie trafiają żadnego.

Potem Daniel rzuca Liamowi lee-enfielda i zabiera z powrotem mauzera.

— Lepiej się teraz rozdzielmy — mówi. — Spotkamy się w Galway.

I odchodzi w noc, zostawiając Liama z karabinem, lecz bez amunicji, tylko z kulami dum-dum, którymi jego broń jest załadowana.

Mój mężczyzna wie, że będą go szukać, i chociaż nie chce stracić broni, zdaje sobie sprawę, że jego los byłby przesądzony, gdyby naprawdę zastrzelono generała. Łebski chłopak zrzuca więc karabin ze stoku i ucieka w góry.

Tak sobie myślę, że jest sprytniejszy, niż sądzi O'Kelly.

Dopiero wiele dni później, gdy wychodzi na Mallow, orientuje się, gdzie jest, i zaczyna długą drogę do Galway.

— Z tobą pierwszą rozmawiam od czasu zasadzki.

Cieszę się, bo nie jest winien morderstwa.

— Powiem ci, kogo zabił ten drań, Liamie Tomasie. Generała Michaela Collinsa. Zostawił cię, żebyś to ty był aresztowany i oskarżony o tę zbrodnię. A twój komendant dostał jeszcze za to pieniądze.

45

Rankiem wyruszył z Dublina parowiec, by przywieźć zwłoki. Minął inny parowiec, z flagą nowego państwa opuszczoną do połowy masztu. Krążyły bezsensowne pogłoski o masakrze więźniów tytułem represji. Mulcahy, słusznie interpretując intencje zmarłego, podjął negocjacje w punkcie, w którym przerwała je śmierć generała. Ale uczynił to bez wiedzy kolegów. Epoka wzniosłych ideałów minęła.

Życie nie będzie już takie samo. Zwalił się najpotężniejszy dąb w lesie; powszechnie sądzono, że upadając, musi zniszczyć wszelkie życie. W istocie zniszczył ruch Sinn Fein i wszystkie wzniosłe nadzieje, jakie w nim pokładano, a także całe pokolenie młodych kobiet i mężczyzn, dla których ruch ten był ośrodkiem duchowym. Zniszczył perspektywę, którą jak dopiero zaczynaliśmy sobie uświadamiać, narkreśliło życie Collinsa; piętnaście lat, piętnaście lat — może więcej, może mniej — ciężkiej pracy, eksperymentów, entuzjazmu, aktywności i dumy, zrodzonych z przywództwa człowieka, którego geniusz urzeczywistnia najlepsze cechy narodu... Collins wyniósł je na wyżyny, gdzie nie sięgają ludzie mniejszego kalibru.

O'Higgins powiedział kiedyś: „Cokolwiek robię, zawsze zastanawiam się, jak w danej sytuacji postąpiłby Michael Collins — tak jakbym pisząc zastanawiał się, co w tym miejscu napisałby Szekspir”.

Frank O'Connor, *The Big Fellow* (1937)

Frank O'Connor, wielki irlandzki twórca opowiadań, w wojnie domowej walczył po przeciwnej stronie. Swoją książkę traktuje, jak sam powiedział, „jako akt zadośćuczynienia”.

46

— Bardzo chciałabym pogawędzić z tobą prywatnie, Dermocie. Dzwoniła lady Liz, jak się tego z Nualą spodziewaliśmy. Głos miała niski, dyskretny, chrapliwy.

O rany!

— Ja też bym bardzo tego pragnął, Liz.

Moja wyobraźnia rozbuchała się. Szalony numer ze starszą atrakcyjną kobietą to najśłodsze marzenie młodzieńca!

— Może umówimy się na kieliszeczek w twoim apartamencie albo u mnie w domu.

— Wolałbym tam — starałem się grać na zwłokę.

— Wspaniale. Wiesz chyba, że Martin wyjechał na weekend do Londynu?

— Nie, nie wiedziałem.

— Bardzo mi zależy, żeby z tobą porozmawiać od serca.

— Ja również chętnie bym się z tobą spotkał, Liz, ale niestety na sobotę i niedzielę wyjeżdżam. Wracam w poniedziałek. Może wtedy do ciebie zadzwonię.

— Strasznie mi przykro.

— Mnie również, ale już jestem umówiony.

— Nieodwoalnie?

— Nieodwoalnie.

— O Boże.

— Zadzwonię do ciebie w poniedziałek z samego rana.

— W poniedziałek będę zajęta. Zadzwonię do ciebie w ciągu dnia.

— Czekam z utęsknieniem na nasze tete-a-tete. — Odłożyłem słuchawkę, spocony i wykończony.

Niech to diabli wezmą. Zachowałem się cnotliwie.
Mam dosyć cnotliwości.
Pierdziel cnotę, prawdopodobnie powiedziałyby Nuala.
Ta godna irlandzka boginka wbiegła do mojego apartamentu w szlafroku.
— Przepraszam za spóźnienie — sumitowała się. — Przeptynęłam dodatkowo ćwierć mili. Boże kochany! Co ci jest?
— Nic.
— Zadzwoiła Liz?
— Pilnuj swojego pierdzielonego nosa, do cholery!
Wcale się nie obraziła. Wręcz przeciwnie, nim weszła do łazienki, by się przebrać w strój służbowy, pocałowała mnie w czoło.
— Zadziewasz mnie, Dermocie Michaelu. Ostatni džentelmen.
— Jej łóżko to obóz nieprzyjacielski!
Drzwi łazienki zatrzasnęły się. Nuala nie szła przez życie, ona przez nie galopowała.
Potem uświadomiłem sobie, co mi nie pasowało na liście Patricka. Wyjąłem ją z teczki i uważnie przestudiowałem.
Tak, to właśnie nie dawało mi spokoju.
Szalona historia! Więc o to chodzi!
Nuala na to nie wpadła.
Na razie.

47

1 września 1922

Zeszłej nocy widzieliśmy złoto i teraz Liam wierzy mi całkowicie. Musimy zabezpieczyć się przed O'Kellym, póki nie udowodnimy, że jest zdrajcą.

Liam obmyślił wspianiały plan, choć naraża się na straszne ryzyko.

Jesteśmy pewni, że zdrajca będzie się ociągał z powrotem do Galway. Myślę, że niebawem opuści Irlandię i najprawdopodobniej będzie chciał załatwić porachunki ze mną.

Opowiedziałam Liamowi całą historię o zlocie i człowieku w wozie terenowym, a także o spotkaniu w Lettermullen. Słuchał naprawdę uważnie i przez moment się nie odzywał.

Potem wzdycha i mówi:

— Nauczyłem się przynajmniej jednej rzeczy.
 — A to czego?
 — Żeby słuchać uważnie, co mówi moja kobieta — uśmiecha się raczej smutno. A potem ściska mnie, całuje, aż mi dech zaparło.
 — Bogu niech będą za to dzięki — powiadam i też wzdycham.
 Siedzimy na plaży, przypatrując się fokom i zwałom chmur, które przed wieczorem przyniosą deszcz. To ostateczny koniec lata. Za parę dni zatęsknimy do letnich upałów.

Liam jest smutny. Tłumaczę mu, że nie zabił Micka Collinsa i że jest niewinną ofiarą, tak samo jak on. Na poły mi wierzy, za parę dni uwierzy całkiem, ale na razie musi cierpieć. A więc współczuję mu i co chwila gryzę się w język, żeby nie palnąć jakiegoś głupstwa.

— Zamorduje cię, Liamie, tak jak zabił mojego biednego Tima.
 Mój mężczyzna rzucił mi wściekle spojrzenie.
 — Tak uważasz?
 — Jestem pewna.
 Znowu się zamyślił.
 — Jedno ci powiem: mnie nie zabije.
 — A co zrobisz?
 — Będę go unikał, póki nie wyjedziemy do Ameryki.
 — Więc to już postanowione?
 — Tak. Jeśli pojedziesz ze mną.
 — Wszędzie za tobą pojedę.
 — Tak sobie myślę — znowu rzuca ponure spojrzenie, głęboko się nad czymś zastanawiając — że człowiek, który dał mu pieniądze, jeszcze wróci. Przecież mu chyba nie wypłacił całej sumy przed popełnieniem morderstwa.
 — Nie, jeśli choć trochę zna Daniela.
 — Powiem paru chłopakom — brygada liczy już i tak ledwo garstkę ludzi — co się stało, i będą mieli na niego oko. W Galway jest warsztat, który naprawia wozy terenowe i trzyma dla nich benzynę. Pracuje tam jeden z moich kumpli. Zwróci uwagę na samochód. Wtedy złapiemy tego faceta, Daniela też — i będziemy mieć dowód.
 Uważam, że mamy już dosyć dowodów.
 — Możemy poprosić młodego nauczyciela, który robi zdjęcia tym swoim dużym aparatem, żeby pstryknął ich obu, co?
 Uśmiecha się, zadowolony ze mnie.
 — Mam nadzieję, że zawsze będziesz po mojej stronie, Neli Pat.
 — A po czyjej stronie mam być? — Otaczam go ramionami i mocno przyciskam, a on, biedaczek, szlocha w moich objęciach. Ja

też płacę — z żalu za tymi wszystkimi nieszczęśnikami, którzy zginęli w czasie Wypadków. Płacę i modłę się za nich. Także za Brunatnych i Brytyjczyków.

I myślę, jaka to straszliwa ironia, że Mick Collins, który wypędził Brytyjczyków z Irlandii, zastawiając na nich coraz to nowe zasadzki, sam też zginął w zasadzce. Kto mieczem wojuje, powiedział ponuro młody ksiądz, ten od miecza ginie. To nie prawo Boże, Neli Pat, po prostu sprawy tak się układają między nami, nieszczęsnymi śmiertelnikami.

Ach, czy to nie święta racja?

— Powinniśmy pójść i zobaczyć złoto — powiadam do Liama.

Zawahał się.

— Po co mamy je oglądać, Neli Pat? Wierzę, że tam jest.

— Chcę, żebyś je zobaczył na własne oczy.

A więc osiedliśmy Dotty, Liam pożyczył dla siebie kucyka z sąsiedniej farmy i jedziemy do Maam Cross, po czym przywiązujemy kucyki przy drodze, poniżej ścieżki prowadzącej do groty. Nic nie mówiąc Liamowi znowu wzięłam ze sobą nóż, na wypadek gdyby pojawił się Daniel, choć uważam, że na razie będzie się trzymał z daleka — przynajmniej dopóki się nie dowie, czy Liam jeszcze żyje.

Nie wspinać się już do groty tak szybko jak za pierwszym razem. Chłopak czy dziewczynka we mnie zaczyna mi ciążyć. Absolutnie jednak nie jestem z tego powodu nieszczęśliwa. Kocham tę małą istotkę niemal tak samo, jak kocham jej ojca.

— Nie jesteś już tak zwinna jak wtedy, gdy byłaś dzieckiem — powiada Liam.

— Jasne. Pomyślałam, że będę wspinać się wolniej, byś mógł dotrzymać mi kroku, a do tego niosę tornister z latarkami.

Tornister przyda mi się jeszcze na coś, ale to sekret i nie zdradzę go, póki nie znajdziemy się w Ameryce. Rozmyślałam o moim planie i doszłam do wniosku, że jest słuszny i właściwy. Liam mógłby się nie zgodzić, póki mu tego nie wytłumaczę, więc z wyjaśnieniami będę musiała trochę poczekać, racja?

Mój mężczyzna jeszcze nie wie, że noszę jego dziecko. Powiem mu wkrótce, żebyśmy się pobrali, choć co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości. Wcale nie dostaję porannych mdłości i mamie też jeszcze nie powiedziałam.

Gdy docieramy do groty, jestem kompletnie wykończona, tak że siadamy na chwilę i odmawiam różaniec do świętego Patryka, który pozostanie naszym patronem, nawet gdy wyjedziemy do Chicago, do kąd zdaniem mego mężczyzny powinniśmy się udać.

— W Ameryce — powiada — możesz ciągle być Irlandką, a do tego Amerykanką.

— Jasne, jak mogę przestać być Irlandką, Liamie Tomasie? Potem idziemy do szczeliny w skale, zapalam dwie latarki i wślizgujemy się do groty.

— Młody ksiądz powiedział mi, że prawdopodobnie wyżłobili tę dziurę w skale, by przechowywać tam samogon przed świętami ku czci świętego Patryka.

— Z bimbrem byłby mniejszy kłopot niż z tym złotem — śmieje się, zerkając na skrzynie spiętrzone pod ścianami.

— Trochę mniejszy — przytakuję, choć Liam nie pije tyle, co inni mężczyźni w jego wieku.

— Boże przenajświętszy! — powiada, gdy jego wzrok przyzwyczaił się już do ciemności. — To jest majątek!

— Milion funtów, Liamie Tomasie, minus to, co nasz znajomy zabrał sobie z tej otwartej skrzyni.

— Jak oni to tutaj wnieśli?

— Władowali chyba wszystko jednej nocy.

— Potrzeba było do tego kilkunastu mężczyzn, a i tak pracowaliby całą noc.

Muszę się pilnować, żeby mój mężczyzna nie zaczął uważać mnie za mądralę — chociaż tak to się przedstawia.

— Zdaje się, że sir Roger Casement, niech w Bogu spoczywa, członek Rady Najwyższej Irlandzkiego Bractwa Republikańskiego, chciał ulokować złoto w dwu miejscach: w Kerry, dokąd Niemcy mieli przywieźć broń i amunicję, i tutaj, w pobliżu zatoki Galway. Ufa Danielowi O'Kelly'emu, toteż zleca mu, by dopilnował lądowania tutaj. Daniel, który już wtedy był kapusiem, donosi Brytyjczykom o lądowaniu w Kerry, ale nic nie wspomina o Galway.

— Boże Wszechmogący! To i Casementa zdradził?

— Nie jestem zupełnie pewna — mówię, łagodnie dotykając jego ramienia — ale to wszystko razem pasuje, no nie? Wiemy, że ktoś donosił i że było więcej złota, o czym już wtedy krążyły pogłoski, i wiemy, że tylko nasz znajomy wie, gdzie jest złoto, a poza nim wyłącznie my...

— Zdradził powstańców z 1916... — szlocha Liam. — Gdyby mieli broń...

— Nawet gdyby mieli broń, Brytyjczycy i tak rozbiliby ich w proch i pył. Byli idyotami, Liamie Tomasie. Tylko ci młodszy, jak Mick Collins, niech Bóg ma go w swojej opiece, wiedzieli, jak walczyli z Brytyjczykami.

— A teraz ani ci, co są za Wolnym Państwem, ani republikanie nie mają dość broni.

— Wiesz, o czym myślę, Liamie Tomasi O’Riada?

— O czym, Neli Pat Malone? — Otacza mnie ramieniem i opiera mi głowę na piersiach, tak że mocniej się w niego wtulam.

— Myślę — wzdycham jak umiem najczulej, choć moje nieszczęsne ciało aż płonie z pożądania — że powinniśmy tutaj zostawić całe złoto.

— Naprawdę?

— Liamie, nikomu w Irlandii nie przyniesie niczego dobrego. Jeżeli republikanie je znajdą, przeznaczą je na broń, a jeśli zwolennicy Wolnego Państwa, to również kupią za to broń. Wojna domowa jeszcze bardziej się przeciągnie.

— Masz rację, kobieto — powiada. — Lepiej, żeby je znaleziono kiedyś w przyszłości.

— Jestem w ciąży, Liamie Tomasi — odzywam się zupełnie spokojnie.

— Chwała Bogu na wysokości — krzyczy — i wszystkim świętym! Będę ojcem!

— Jak najbardziej!

— Czy chcesz mnie poślubić, jak tylko ogłoszą zapowiedzi?

— Szybciej. Młody ksiądz powiada, że czasami nie trzeba ich ogłaszać.

— Bałem ci się oświadczyć, Neli Pat, przez te wszystkie miesiące, bo myślałem, że mnie nie będziesz chciała.

— Dlaczego miałabym cię nie chcieć? — Biedny idyjota, myślę sobie.

— Taki ze mnie idyjota.

— Fakt, ale to nie przeszkadza, że cię strasznie kocham... Myślisz, że kobieta, z którą się kochałeś ostatniej nocy, może żyć bez ciebie?

— Wiem — przyciska mnie bardzo mocno i pieści — że ja nie mogę żyć bez ciebie. A nasze dziecko urodzi się w Ameryce jako wolny człowiek.

— Tak będzie.

Liam bawi się moimi piersiami, a ja odchodzę od zmysłów z miłości. Zaczyna zdejmować mi bluzkę.

— Liamie — powiadam, cała napalona.

— Chcesz, żebym przestał? — pyta ten nieszczęsny idyjota. — Fakt, że kochalibyśmy się w dziwnym miejscu.

— Będę się z tobą kochać, Liamie Tomasi — powiadam — wszędzie, gdzie chcesz, kiedy chcesz, póki nas śmierć nie rozłączy.

No cóż, niełatwo jest się kochać w skalistej grocie na szczycie góry, gdzie panują egipskie ciemności, ale prawdę mówiąc ani mnie, ani mojemu mężowi, bo teraz bezsprzecznie nim jest, wcale a wcale to nie przeszkadza.

Czy mówiłam poważnie, gdyśmy rozmawiali, zanim zaczęliśmy się kochać?

Absolutnie, tak mi dopomóż Bóg i Najświętsza Panienko. Należę do Liama, ciałem i duszą, już na zawsze.

Gdy skończyliśmy, biedak zasnął. Naga, jak mnie Pan Bóg stworzył, wymykam się więc do otwartej skrzyni, wydaję sztabkę złota i wkładam do tornistra. Zabierzemy ją ze sobą do Ameryki, żebyśmy nie pomarli z głodu, a mój mężczyzna nie musiał kopać rowów.

Pieniądze, tłumaczę sobie, nie należą już do nikogo. Nie ma sensu trząść się nad nimi tu, w rozwalonej grocie, w hrabstwie Galway. Tylko kompletny idyjota nie uszczknałby z tego trochę na dobry początek w Ameryce.

I czy nie pytałam o to młodego księdza?

No, może nie akurat o złoto, biedaka.

Powiedziałam coś w tym rodzaju:

— Przypuśćmy, że znajdę skarb, wasza wielbność, na przykład banknot dwudziestofuntowy leżący przy drodze, i nie wiem, do kogo należy ani komu go zwrócić. Czy muszę dać go na kościół?

Śmieje się ze mnie jak zwykle.

— Wielka z nas kazuistka, co, Neli Pat?

— Nie wiem, co to jest kazuistka, ale skoro wasza wielbność tak powiada...

Znowu się roześmiał.

— To ktoś, kto rozważa głęboki problem moralny. Odpowiedź brzmi tak: oczywiście nie musisz oddawać tego na kościół, chyba że sama chcesz, a pewnie potrzebujesz tego bardziej niż kościół, co?

— Nie znalazłam dwudziestofuntowego banknotu, wasza wielbność.

Znalazłam milion funtów w złocie i przecież nie powierzę tego kościołowi, no nie?

Jak to podobno powiedział Mick Collins, gdy zwolennicy Wolnego Państwa zwyciężyli republikanów w wyborach: „Wygraliśmy chyba wszystko. Żeby chociaż biskupi byli przeciwko nam”...

— Możesz zatrzymać wszystko, co znajdziesz w takich okolicznościach, Neli Pat.

— Ale to nie będzie moje?

— Ależ będzie. Jak mówi się po łacinie: Res nullius fit primi occupantis.

— Naprawdę? — Udaję, że wiem, o czym mówię.

— To znaczy — przejrzał moją gierkę — że coś, co nie należy do nikogo, staje się własnością pierwszego znalazcy.

— Kto pierwszy, ten lepszy?

— Można by to tak ująć.

Zapisuję łacińskie słowa, by później powtórzyć je Liamowi.

Tak naprawdę to uważam, że jeśli młody ksiądz ma rację (a niby dlaczego nie?), cały skarb należy do mnie, tak że jestem bardzo powściągliwa, zwijając tylko jedną sztabkę złota.

Bardzo mi ciąży w tornistrze, gdy wracamy razem z moim mężczyzną do Carraroe, by powiedzieć młodemu księdzu, że mamy zamiar się pobrać.

A co robi ten idyota o pięknych piwnych oczach?

Śmieje się i mówi:

— Czy już nie jest trochę po czasie?

48

— Nie pierdzieliłabyś się w grocie pełnej złota, Nualo Anne McGrail?

Trzepnęła mnie po ramieniu.

— W moim gabinecie nie używamy takiego języka. Czyj to jest właściwie gabinet?

— Tak, proszę pani. — Zacząłem ponownie czytać ostatni rozdział zdumiewającego dziennika Ma.

— Obiecujesz, że nie będziesz się tak odzywał w obecności mojej mamy?

— Nie poczuje się dotknięta fantazjowaniem o tobie w opowiadaniu, a urazi ją moje słownictwo?

— Nie rozmawiamy w domu w ten sposób, Dermocie Michaelu. Możemy tak myśleć, ale tak nie mówimy.

— A więc zaczęłaś używać takiego języka po przyjeździe do Dublinu, żeby nikt nie wziął nieśmiałej dziewczyny z Carraroe za żółto-dzioba?

Rzuciła mi wściekle spojrzenie, po czym uśmiechnęła się.

— Rozebrałeś mnie psychologicznie... W każdym razie usiłuję przestać, bo chcesz, żebym zachowywała się jak dama.

— Nigdy tego nie powiedziałem!

— Ale tak myślisz! — Ciągłe uśmiechając się, szturchnęła mnie lekko.

— Czy twoja przyjaciółka Neli Pat wreszcie cię zaszokowała?

— Nie. — Uniosła się z krzesła stojącego za biurkiem i ujęła słuchawkę. — Noro, czy mogłabyś przysłać dwie herbaty do pokoju pana Coyne'a? Earl grey, zgadza się, jest bardzo wybredny pod tym względem, biedaczysko... Nie, dziękuje za sherry. W ogóle pewnie tak, ale o tej porze dnia chyba mu nie posłużyło, prawda? Do tego podwójna porcja placuszków, podwójna bita śmietana i dżem malinowy... Och, z pewnością, Noro, nie jest jeszcze najgorszy...

To załatwiało sprawę, choć na inne słodczyce miałem większy apetyt...

— Tak się zastanawiam... — Nuala rozważała dalej sprawę postępowania Ma. — Nie wykluczam możliwości pier..., tfu, kochania się w grocie pełnej złota, gdybym była w ciąży, a ten mężczyzna miałby mnie poślubić za dwa tygodnie. Ale nie wyobrażam sobie takiej sytuacji.

— Przyznasz, że nieczęsto nadarza się taka możliwość, no nie?

Będę musiał bardzo uważać w tej grocie w sobotę rano.

— Twoja babcia jest... była szaloną kobietą, co? Podziwiam ją, ale nie jestem znowu tak bardzo do niej podobna, jak mi to wmawia.

— Naprawdę?

— Tak. — Nuala z powagą skinęła głową. — Lubi mnie i uważa za miłą dziewczynę, ale powiada, że w porównaniu z nią jestem spokojnym stworzeniem, co właśnie się jej podoba.

— Aha.

— Niczego nie żałuje. Wcale a wcale. Nadal uważa, że słusznie postąpiła uwodząc swego mężczyznę i zabierając złoto.

— To nie w jej stylu. Zawsze zastanawialiśmy się, skąd wzięli kapitał na wynajęcie dwóch mieszkań obok siebie już w pierwszym roku pobytu w Ameryce.

— Uważasz, że mam świra, co, Dermocie Michaelu?

— Uważam, że jesteś bardzo wrażliwą kobietą, a przy tym dobrą aktorką, i tak mocno utożsamiasz się z autorką dziennika, że możesz sobie wyobrazić jej myśli i sposób postępowania.

— Tak, chyba o to chodzi — przyznała. — Jest twoja herbata.

— Nasza herbata.

— A nie tak powiedziałam?

Włożyłem odbitkę do koperty Federal Express. Za poradą Nuali zrobiłem wydruk wszystkiego, co dotychczas przełożyła, i wysłałem George'owi, który zna parę osób w świecie wydawniczym. Teraz codziennie wysyłał mi kolejne fragmenty.

— To zabezpieczenie — powiedziała — na wypadek utraty oryginału albo zniszczenia twardego dysku.

— Albo działalności naszych przyjaciół, którzy nie będą mogli powstrzymać publikacji tej historii, gdy już znajdzie się w rękach George'a.

— O tym nie pomyślałam.

Oczywiście, że o tym pomyślała. Jane Bond. Mądrała, tak jak Ma.

— Czy nie będzie się wstydziła, że jej życie miłosne stanie się publicznie znane? — zapytałam ją.

Spojrzała na mnie jak na ostatniego idyotę.

— Czy papież jest buddystą?

— Niewiarygodne! — wybuchnął George w rozmowie telefonicznej, gdy przeczytał pierwsze fragmenty tłumaczenia. — Co za kobieta!

Czy nikt nie poczuje się zgorszony poczynaniami tej szalonej rudej dziewczyny o zielonych oczach i niezależnym umyśle?

— Chcesz pokazać je mamie albo biskupowi?

— Dlaczego nie? Neli Pat była w końcu ich matką, czy nie tak? Do diabła, głupku, wcale nie będą zaskoczeni. Lepiej ją znają niż my.

— Ale biskup?

— Wujkowi Willy'emu pewnie będzie przyjemnie, że został poczęty jako nieślubne dziecko w namiętym miłosnym uniesieniu. Nie jest świętoszkiem.

W moim otoczeniu najwyraźniej nie było świętoszków. Chyba tym gorzej dla mnie.

— Wypij łyżeczek sherry — naląła mi pół kubka. — Do tego wytrawne. Musisz dojść do siebie po szoku, w jaki wprawiło cię wyuzdanie twojej babki.

— Gdzieś to dostała, kobieto?

— Kupiłam je za resztę z twoich dyskietek. Doszłam do wniosku, że pewnie nam się przyda.

— Na czarną godzinę.

— Może wybić w każdej chwili.

Jej nie przegadasz.

Burza od północnego wschodu grzmociła Dublin niczym pijany duch. Potop z nieba łomotał w okna, które już trzeszczały pod naporem wiatru. Ciemno było jak w sądny dzień.

Boże kochany, chciałem wracać do domu.

Nuala nałała sobie łyczek i posmarowała mi placuszek.

— Widzę, że wstrząsnęło tobą, Dermocie Michaelu, co? — Do-
tknęła mojej ręki. — Naprawdę uważasz, że była intrygantką i krę-
taczką?

— Nie... szkoda, że jej lepiej nie znałem. Wstrząsnęło mną odkry-
cie, że była tak cudownie niepohamowana — czego dotąd w gruncie
rzeczy nie doceniałem.

— A kto znał ją lepiej i bardziej doceniał niż ty, z wyjątkiem jej
męża? Tylko ty stale nosisz przy sobie jej fotografię, zgadza się?

— Owszem.

— Rozumiem, Dermocie Michaelu. — Triumfującym gestem wy-
ciągnęła oskarżycielsko palec w moim kierunku. — Myślisz, że już
nigdy nie ujrzysz Neli Pat i nie będziesz mógł jej powiedzieć, jak bar-
dzo ją kochasz, chociaż wierzysz w życie pozagrobowe, a ja wcale nie
jestem tego taka pewna, ale wiem, że ona nadal żyje i opiekuje się
nami, żeby wszystko dobrze się skończyło.

Nie chciałem prosić o rozwinięcie ostatnich słów. Czy Neli Pat pra-
gnie, bym przywiózł Nualę do domu, jeśli nie samolotem za parę dni, to
przynajmniej, gdy skończy studia?

Czy jezuici to zakon katolicki?

— Jej pomoc może nam się przydać podczas tego weekendu na
zachodzie.

— Daj spokój. — Wręczyła mi kolejny placuszek z nieprawdopo-
dobną ilością dżemu malinowego, nałożonego na kwaśną śmietaną.
— Wszystko pójdzie jak z płatka.

Bardzo w to wątpiłem. W odróżnieniu od niej bałem się naszej
podróży do Cork i Galway. Na pewno przytrafią się nam straszliwe
rzeczy.

8 września 1922

Teraz jestem panią Liamową Tomasową O’Riada.

Młody nauczyciel zrobił nam zdjęcie ślubne i już mamy kilka od-
bitek. Zapakuję negatyw do naszego bagażu, gdy będziemy wyjeżdżać
z Cork.

Oboje wyglądamy strasznie młodo.

Nic mnie to nie obchodzi. Nigdy niczego nie będę żałować. Nigdy.

Mieszkamy w moim domu, w pokoju, który kiedyś był mój. Jest okropnie ciasno i brak nam własnego kąta. Mama i tato są cudowni, ale potrzebujemy własnego domu — tymczasem w Irlandii większość ludzi nie może się go dorobić nawet wiele lat po ślubie.

Zastanawiam się, czy przez to złoto nie jestem trochę rozpaskudzona. Ciekawe, czy Liam będzie na mnie zły, gdy powiem mu o sztabce. Jest dobrym człowiekiem, ciężko pracuje i ma głowę do interesów. Ale nigdy nie wiem, co robi, może dlatego, że jeszcze nie miałam czasu, by dobrze go poznać. Nie ma mi za złe, że ciągle główkuję i coś kombinuję. Powiada, że jestem dwa razy sprytniejsza niż wszyscy mężczyźni, jakich zna.

Nie chcę mieć przed nim żadnych tajemnic. Pragnęłabym mówić mu o wszystkim. Ale na razie nie wiem, jak to zrobić.

Jeśli będzie na mnie zły, powiem mu prawdę — że nie wiem, jak mówić mu całą prawdę.

Tylko z tego powodu nie jestem najszczęśliwszą kobietą na świecie.

I jeszcze dlatego, że wyjeżdżamy do Ameryki. Raz nie mogę się doczekać, a za chwilę strasznie się boję emigracji.

Wiem, że wszystko pójdzie dobrze, ale będę tęsknić jak szalona za kochanym starym Carraroe.

Później.

Jestem przerażona. Nauczyciel, który ma ten cholerny aparat fotograficzny, przyszedł do nas przed paroma minutami z wiadomością, że dzwonił na pocztę z garażu w Galway. Czarny wóz terenowy wrócił i zatrzymał się tam na noc. Kierowca powiedział właścicielowi warsztatu, że jutro jadą do Connemary.

Liam chce dostać się wcześniej do pubu i pochwycić pułkownika, jak ciągle go jeszcze nazywa, zaraz gdy się pojawi. Potem, trzymając swego dowódcę na muszce, zmusi go do konfrontacji z człowiekiem w samochodzie. Fotograf zrobi zdjęcie w chwili, gdy obcy będzie dawał pułkownikowi pieniądze. Potem Liam aresztuje ich obu i przekaże władzom Wolnego Państwa.

— To wspaniały plan — powiadam, trzęsąc się ze strachu — ale nie jestem pewna, czy aresztować tego człowieka w samochodzie.

— A dlaczego nie?

— Po co on Wolnemu Państwu? Nie będą wiedzieli, co z nim zrobić. Na pewno nie pójdzie pod sąd.

— No tak — powiada mój mężczyzna. — To prawda.

— Zdjęcie może im się bardziej przydać aniżeli sam facet.

Liam bacznie mi się przygląda.

— Masz głowę, Neli Pat Malone.

— Chyba się na mnie nie gniewasz, Liamie Tomasiu — mówię bliska też.

Bierze mnie w ramiona i mocno tuli.

— Kobieto, nie wiem, co bym bez ciebie zrobił. Nigdy by mi to nie przyszło do głowy, ale teraz uważam, że inteligentne kobiety są niezwykle pociągające.

A więc oblewam się rumieńcem i robi mi się bardzo przyjemnie.

Liam jest zajęty przygotowaniami na jutro. Kiedy wróci, z jego spojrzenia wyczytam, że mnie pragnie.

W tym względzie nie napotka z mojej strony oporu, bo ja też go pragnę.

A później, gdy skończymy się kochać, powiem mu, że chcę być z nim jutro na samym krańcu Galway.

Może się stawiać, że tam niebezpiecznie i że to nie miejsce dla kobiet.

A ja go zapytam, czy przypadkiem nie kobieta wywahała, kto jest zdrajcą?

Przyzna mi rację, a potem zapyta, dlaczego chcę tam być, a ja mu na to, że muszę pilnować, żebyście, jełopy, nie zrobili jakiegoś głupstwa, jak zabicie człowieka w samochodzie.

A prawda wygląda tak, że chcę jechać na to spotkanie, żeby Daniel O'Kelly nie próbował zabić mojego męża, tak jak wcześniej zabił mi brata.

Osobiście zabiję zdrajcę, a nie pozwolę mu skrzywdzić mojego Liama Tomasa.

Nie pragnę zemsty. Zostawiam ją Bogu. Chcę tylko chronić mego Liama Tomasa. Modlę się teraz do Najświętszego Serca Jezusowego i Matki Boskiej z Knock, by pomogli mi chronić mego mężczyznę.

Słyszę, jak wchodzi do domu. Będziemy sami, a krew tak we mnie buzuje, jakby do ognia dołożyć torfu.

— Boisz się trzeciego uderzenia, Dermocie Michaelu?

— Skąd znasz to wyrażenie? Z baseballu?

Siedzieliśmy w restauracji hotelu Imperial w Cork, na South Mail, tuż nad rzeką Lee. To tutaj generał major Emmet Dalton założył swą kwaterę główną, gdy przechrztył partyzantów i zdobył Cork. Tutaj również Michael Collins spędził ostatnią noc swojego życia. Nie chciałem pytać, w którym pokoju spał. Nadal zastanawiałem się, czy pochwaliliby nasze poszukiwania.

Byliśmy spóźnieni w stosunku do planu, lecz zadowoleni po wspaniałym dniu zwiedzania południowo-wschodniej części Irlandii. W staroświeckiej atmosferze jadalni, połyskującej mosiądzem i ciemną czerwienią, łatwo sobie wyobrazić, że czas się cofnął i znaleźliśmy się na powrót w erze edwardiańskiej, w pogodnych latach przed wybuchem Wielkiej Wojny. Być może byłem bogatym amerykańskim kochankiem anglo-irlandzkiej arystokratki, a tu spożywaliliśmy obfitą, choć przygotowaną raczej bez polotu kolację i wypijaliśmy dość trunków, by zapomnieć o jutrze, nim nas pochłonie noc i oddamy się sekretnej miłości.

Światło w restauracji było łagodne i przyćmione, a my oboje odczuwaliśmy przyjemne znużenie po wypiciu paru kieliszków wina i zjedzeniu porządnych porcji rostbefu. W sali znajdowało się tylko kilka osób, a kobieta, grająca na irlandzkiej harfie, śpiewała głosem miłym i kojącym. Naprawdę jest wspaniała — oceniła Nuala. — Kapitalna!

Idealne tło do snucia romantycznych marzeń, choć w nocy nie oddamy się sekretnej miłości, to mam jak w banku.

— Twój brat powiedział coś o trzecim uderzeniu i wyjaśnił mi, o co chodzi.

— Mówił o mnie?

— Nie. Ja to odniosłam do ciebie. — Bacznie mi się przypatrywała, bez wątplenia starając się mnie rozgryźć, pewnie tak samo jak Ma usiłowała rozgryźć swego męzczyzną siedemdziesiąt lat temu.

Tyle że ja nie byłem męzczyzną Nuali.

— Więc co to znaczy?

— To znaczy — odstawiła kieliszek bordo — że skoro pomyliłeś się co do dwóch kobiet, czy boisz się teraz, że do trzech razy sztuka?

Tego się właśnie obawiałem.

— Dlaczego tak uważasz, Nuala?

— Wiem, że bardzo ci się podobam.

— Można to wyczytać z mojego opowiadania, jeśli nie z zachowania.

— Od pierwszej chwili, gdy zobaczyłeś mnie u O’Neilla?

— Mniej więcej.

— Ale mnie nie chcesz? — Wydawała się raczej zbита z tropu niż zaniepokojona.

Zmieszany, poruszyłem się w krześle.

— Nul, jesteś najbardziej niezwykłą kobietą, jaką spotkałem w życiu... atrakcyjną pod każdym względem, pod jakim kobieta może być atrakcyjna. Spędzenie z tobą reszty życia to sama rozkosz.

— Ale?

— Ale jesteś za młoda.

— Na Boże Narodzenie skończę dwadzieścia lat.

Wiedziałem, że powinienem być rozpocząć z nią tę rozmowę przed wyjazdem z Dublina. Moja niechęć do omawiania naszych wzajemnych stosunków świadczy o tchórzostwie i braku odpowiedzialności — tak samo jak zwlekanie z wyjaśnieniem zagadki złota i śmierci Michaela Collinsa.

A teraz ten cudowny dzień zakończy się awanturą.

Wyjechaliśmy z Dublina wczesnym rankiem jaskrawoczerwonym mercedesem, który podstawiła agencja wynajmu samochodów.

— Popatrz no tylko! — Nuala wskazała na samochód z radosnym zdumieniem. — Czy to nie auto w sam raz dla kochanki?

— Zwykły benz 250, trzymałbym go najwyżej dla utrzymania.

Nuala znowu miała na sobie dzinsy i nową niebieską kurtkę, którą jej kupiłem, bluzę z nadrukiem Marquette oraz szalik i czapkę z wyspy Aran, które jej dałem następnego dnia po napaści w Irishtown. Wyglądała, wypisz, wymaluj, jak studentka, która podczas weekendu ma zamiar oglądać mecze piłkarskie — w Notre Dame, gdyż Marquette nie ma już niestety drużyny piłkarskiej. W istocie wyglądała jak jedna z kilkudziesięciu młodych kobiet z okolicy, tyle że była wyższa i piękniejsza niż którakolwiek z nich bez wyjątku.

— Włóż torbę do kufra, kobieto, i nie utrudniaj mi życia.

— U nas to się nazywa bagażnik, a jeśli nie mam ci utrudniać życia, to po co ta cała wycieczka?

— Wsiadaj, kobieto! — Delikatnie popchnąłem jej tyłeczek. — Świętego wyprowadziłabyś z równowagi.

— Niby ty masz być tym świętym, tak?

Włożyła walizkę — jakby prosto spod igły — do bagażnika i wsiadła do samochodu.

— Do Carraroe, Arthurze. Przez Cork, jeśli łaska.

— Tak jest, proszę pani — skłoniłem się uprzejmie.

Mimo że Nuala honorowała swe uroczyste zapewnienie o utrudnianiu mi życia, okazała się miłą towarzyszką podróży. Nie narzekała, nie

zrzedziła, nie wypytywała, jak długo jeszcze będziemy jechać. Przeciwnie, podróżowanie sprawiało jej przyjemność.

— Nigdy nigdzie nie podróżowałam, tylko pociągiem do Dublina i z powrotem.

— Nawet nie do Cork?

— Nawet nie do Kilarney.

Pogoda znowu była idealna, błękitne niebo, po którym szybko przesuwały się puszyste chmurki — rześki, słoneczny futbolowy weekend, pasujący do mojej rześkiej słonecznej towarzyszkii futbolowego weekendu.

Południowo-wschodni region Irlandii — Wicklow, Waterford, Wexford, East Cork — jest łagodny i spokojny niczym olbrzymi koc w zieloną kratę, na którym przyjemnie byłoby zażyć wytchnienia wespół z wybranką serca, kochając się

I odpoczywając przez całą noc (lub dzień).

Zamierzałem przejechać przez Cork, a potem skierować się do Clonakilty i doliny, gdzie zginął Collins. Jednak dość wcześnie okazało się, że nie wyjedziemy poza Cork. Nuala, znowu czując się swawolną dzierlatką, często zatrzymywała się i biegła po wzgórzach, polach i plażach hrabstw Wicklow i Wexford.

— Przynieś aparat, Dermocie! — krzychała. — Zrobię ci zdjęcie, a ty sfotografujesz mnie.

Krajobraz bez ludzi uznała za nudny, a zatem nie do przyjęcia.

Będę mógł wysłać George'owi nie jedno jej zdjęcie, lecz kilka rolek: irlandzka modelka w zrobionej na drutach czapce i w szaliku, doskonale nadająca się może nie do „Vogue'a” czy „Bazaaru”, ale na pewno do „Irish of the Welcomes”.

Każdy mężczyzna zjechałby do Irlandii, żeby zobaczyć tak promienną, szczęśliwą młodą piękność.

— Któregoś dnia będzie ze mnie wspaniały obieżyświat, Dermocie! — zakrzyknęła po lunchu w Rosslare (w bok od głównej drogi do Cork, lecz „grzechem byłoby tam nie wpaść”). — Czy to nie piękna i zadziwiająca okolica, a ty jako pisarz sam dobrze o tym wiesz, bez mojego kłapania dziobem.

Patrzyliśmy, jak fantastyczne giganty fal rozbijają się o nabrzeże: ciemnopurpurowy masyw wody przerzuca! przez mur błyszczącą w słońcu białą pianę.

Pocałowałem ją wówczas, całkiem cnotliwie. Odpowiedziała równie niewinnie.

Wędrowka na krańce ziemi z tą beztroską młodą osobką byłaby wielce radosna.

Gdy przy kolacji, nad herbatą i ciastem, zapytała mnie o nasze wzajemne stosunki, zastanawiałem się, czy swawole towarzyszące naszej jeździe z Dublina do Cork nie były częścią starannie obmyślnego planu działania, przygotowującego grunt do tej rozmowy.

Czy jezuita to zakon czysto męski?

Ten miły, choć wyczerpujący dzień zakłócały mi jedynie krótkie, nachodzące mnie od czasu do czasu próby uchwycenia widoku i zapamiętania twarzy, która niewątpliwie rozwiąże zagadkę sprowadzającą nas do Cork i Galway. Oblicze to unosiło się w mojej wyobraźni, mgliste, bardzo ogólnie zarysowane, dręczyło mnie przez ułamek sekundy, po czym wolno odpływało.

Kto to jest? Tajemniczy mężczyzna, na którego Ma i Pa czatowali w Lettermullen? Ktoś, kogo znałem ze współczesnej Irlandii albo współczesnej Ameryki? Może to Martin Longwood-Jones lub Brendan Keane?

Nie mogłem go dokładnie umiejscowić, lecz byłem więcej niż pewien, że jeśli moja podświadomość pozwoli mi popatrzeć na tę twarz nieco dłużej, rozwiążę zagadkę.

Pod koniec kolacji Nuala uniosła wzrok z nad kieliszka porto i spojrzała na mnie lekko onieśmiewiona.

— Wiesz, co przypada w ten weekend, Dermocie?

Ma często zadawała mi to pytanie. Zacząłem się zastanawiać. Czyżby urodziny? Nie. Jakieś święto kościelne?

— Wszystkich Świętych?

— I Zaduszki.

— W Stanach trzeba się wykupić, bo inaczej płatają ci figle.

— Tak jest wszędzie, myśmy to wymyślili, w Irlandii. Mówi się, że zmarli spacerują w Sahmain.

Wymówiła to, jakby się pisało „Saurain”.

— To stare celtyckie święto, Kościół go nie uznaje, ale jest całkiem nieszkodliwe.

— Myślę, że to przerażająca pora roku, nawet dla chrześcijan. Świat staje się mroczny i niebezpieczny, nie uważasz?

— Wierzysz, że zmarli chodzą sobie po Sahmaintide, Nualo?

— Po Dublinie jasne, że nie. Po Carraroe — pół na pół.

— Żaden szanujący się duch i tak by nie chodził po Dublinie.

— Tu żyją inni ludzie. Świat jest tajemniczy, a czasem groźny. Dobro i zło kryje się tam, gdzie człowiek najmniej się spodziewa.

Nie chciałem podważać jej zachodnioirlandzkich wizji mistycznych.

— Myślisz, że zmarli będą chodzić po Carraroe, gdy tam przybędziemy?

Potrząsnęła głową.

— Myślę, że już tam są i czekają na nas.

Poczułem, że drzę.

— Wracamy do Dublina?

Oczy jej się rozszerzyły.

— Nie możemy ich zawieść, Dermocie Michaelu, prawda? Przecież na nas czekają?

— Mówisz poważnie, Nualo?

— A jak mówiła twoja babcia? Pół żartem, pół serio?

— Naprawdę jesteś przesądna?

— Gdybyś się wychował w Gaeltacht, może byś był niewierzący, ale na pewno byłbyś przesądny.

Potem zapytała mnie o trzecie uderzenie.

— Nie chcesz mnie, bo jestem prostą dziewczyną z Gaeltacht, która nigdy przedtem nie brała prysznicu, póki nie znalazła się w twoim apartamencie.

— Czy kiedykolwiek powiedziałem albo zrobiłem coś takiego, co pozwoliłoby ci sądzić, że jestem snobem?

Odpowiedziała natychmiast:

— Nie, Dermocie Michaelu, i wstyd mi, że w ogóle o tym pomyślałam. Ale nie rozumiem. Podobam ci się, chyba nawet trochę się we mnie podkochujesz, a jednak wracasz do Ameryki...

W powietrzu zawisło niewypowiedziane „beze mnie”.

— To nie twoja wina, Nualo. — Znowu poruszyłem się na restauracyjnym krześle. — Jesteś młodą kobietą o ogromnych uzdolnieniach i możliwościach. Przed tobą otwiera się bogate, twórcze i niezwykle ciekawe życie.

— Jako księgowej? — zmarszczyła brwi.

— Jako śpiewaczki, aktorki, kim tylko zechciałabyś zostać.

— No cóż — wypła potężny łyk czerwonego wina, opróżniając kieliszek. — Brakuje mi talentu, a już na pewno odpowiednie wykształcenia, by odnosić wspaniałe sukcesy czy jako śpiewaczka, czy aktorka.

— Wykształcenie można zdobyć.

— Pewnie tak. W Dublinie jest mnóstwo bezrobotnych śpiewaczek i aktorek, Dermocie Michaelu. A skoro nad Liffey otwierają nowe centrum finansowe, chyba będzie potrzeba dużo księgowych? Może będę występować jako śpiewaczka i aktorka w wolnych chwilach, ale nie mam w sobie materiału na gwiazdę w stylu

Hollywood ani nie jestem w tym typie.

— Będę szczerzy, Nul. Jesteś zbyt młoda na małżeństwo, a nawet na poważny związek. Potrzebujesz czasu, by się rozwijać, odnaleźć, by twoje talenty i możliwości rosły i rozkwitały, by odkryć swój całkowity potencjał, odstąpić prawdziwą Nuala.

Westchnęła hałaśliwie.

— Nie przeczę, że mówisz prawdę, choć miejscami wydaje mi się trochę oklepana. Nie rozumiem tylko, jakie to ma znaczenie.

— Bądźmy ze sobą szczerzy, Nualo. Rozmawiamy o małżeństwie, tak czy nie? Ludzie naszego pokroju nie bawią się ani swoimi, ani cudzymi uczuciami. Miłość to małżeństwo.

— Im szybciej, tym lepiej — przytaknęła.

Nuala Anne McGrail nie uznaje gadki-szmatki, w każdym razie nie dzisiaj.

— Z początku bylibyśmy szczęśliwi, tego jestem pewien, bo tak łatwo się przystosowujesz. Ale to by nie trwało wiecznie. Odkryłabyś, jaka naprawdę jesteś, zdałabyś sobie sprawę, że masz wielkie i liczne talenty i że nie możesz ich rozwijać z powodu małżeństwa i dzieci — chcesz mieć dzieci, prawda?

Energicznie skinęła głową.

— Może nie siedmioro, ale troje lub czworo.

— Potem — rozwijałem swój ponury scenariusz — poczułabyś się sfrustrowana i niespełniona, zaczęłabyś mieć dosyć małżeństwa, które uważałabyś za pułapkę, i mnie za to, że cię w nią schwytałem.

— Nigdy nie miałabym ciebie dosyć, Dermocie.

— Może i nie. — Dotknąłem jej ręki. — Ale byłabyś nieszczęśliwa, a ja nie mógłbym tego znieść... Wierz mi, widziałem wiele kobiet w takiej sytuacji. Ale nie tylko małżeństwo tak na nie działa. Poważny i długotrwały związek ma taki sam wpływ.

— Rozpatrzmy inny scenariusz. — I ona ciągnęła ten wątek, spokojnie i niewymuszenie, jakbyśmy byli parą lekarzy omawiających przypadek nieobecnego pacjenta. — Ze względu na dobro dyskusji przyjmuję, że jestem rzeczywiście taka wybitnie utalentowana. Założmy, że warunkiem rozwoju moich talentów jest posiadanie kochającego męża i kupy dzieciaków, które starałabym się utrzymać w ryzach.

Niełatwo się poddaje, co?

— To chyba mało prawdopodobne.

— No dobrze... Tak, oboje możemy jeszcze wypić po odrobinie porto, dziękuję bardzo... Na czym stałam? Aha. A wystarczyłoby, gdybym miała dwadzieścia pięć lat?

— Niewątpliwie postawiłoby to sprawy w zupełnie innym świetle.

— Więc zaczekam do tego czasu.

— Daj spokój, Nualo, to byłoby równie fatalne jak małżeństwo, a może nawet gorsze.

Podano porto. Nuala skosztowała napoju, jakby była jego znawczynią.

— Ach, wyśmienite!

Gdy kelner od win odszedł, uszczęśliwiony jej pochwałą, kontynuowała swój wywód:

— Nie rozumiem. Chyba wolno mi zdecydować, czy chcę być wykorzystywana czy nie? W ogóle nie mam prawa głosu?

— Możesz być wykorzystywana, Nualo, w ogóle o tym nie wiedząc, w każdym razie nie od początku. Potem się zorientujesz i będziesz miała straszny żal do świata.

— Myślisz, że poczułam do ciebie taką cielecą miłość, która mi przejdzie, jak tylko wsiądziesz do samolotu i odleciś do Jankeslandu?

— Byłaś kiedyś zakochana, Nualo?

— Nie. Nigdy nie spotkałam takiego człowieka jak ty.

— Nie należy ufać pierwszej miłości.

Przytaknęła.

— Może masz rację. Ale chciałam mieć w tej sprawie coś do powiedzenia. Traktujesz mnie jak niedoświadczone dziecko, jakbym potrzebowała opiekuna chroniącego mnie przed sobą samą.

— Formalnie jesteś jeszcze nastolatką, Nualo.

— To naprawdę dobre porto, co? Nie znam się na tym — znowu pociągnęła łyżeczek — ale smakuje wspaniale, nie uważasz?

— Owszem.

— Jesteś dobrym, kochanym i cudownym człowiekiem, Dermocie Michaelu Coyne. — Westchnęła. — Drugiego takiego już nigdy nie spotkam. Kocham cię z całego serca. Ty chyba też mnie kochasz. A jednak odkąd zatrudniłeś mnie do pracy nad dziennikiem twojej babci, uciekasz ode mnie.

— Nie chcę wykorzystywać bezbronnej kobiety.

— Ile razy mam ci powtarzać — teraz była rzeczywiście poirytowana — że sama umiem o siebie zadbać? Czy ci tego nie udowodniłam tamtej nocy w Irishtown? Nie pozwoliłabym ci nawet dotknąć mojej

ręki, jak to zrobiłeś przed chwilą, gdybym tego nie chciała. Jeszcze nie znasz mnie na tyle? Czy jestem taką kobietą, która poszłaby z tobą do łóżka tylko po to, żeby utrzymać się na posadzce? Kochałabym się z tobą, gdybym nie chciała? Wiesz wszystko o moich uzdolnieniach, Dermocie Michaelu Coyne, ale mnie nie znasz, wcale a wcale.

— Nul...

— Nie musiałeś składać idyotycznych obietnic, że nie będziesz się do mnie przystawiał. Pozwól, że jedno ci powiem: to by się nigdy nie powtórzyło, gdybym od początku nie chciała, żeby do tego doszło.

— A co by się stało? — Nie mogłem powstrzymać uśmiechu, widząc mój hiszpański galeon pod pełnymi żaglami, dający ognia ze wszystkich armat.

— Widziałeś, co zrobiłam twojemu Patrickowi w Irishtown?

— Spałabyś ze mną w moim apartamencie, gdybym cię o to poprosił?

— Zrobiłabym wszystko, żeby cię zatrzymać, wszystko. — Łzy zaczęły napływać jej do oczu. — Próbowałabym cię złapać tak samo, jak twoja babcia złapała swojego męża. chociaż nie wiem, czy z tobą to by zadziało, a zresztą ona powiedziała, że nie powinnam.

Czy to by zadziało? Czy naga Nuala Anne dziś w nocy w moim pokoju sprawiłaby, że ta dyskusja stałaby się bezcelowa?

Tak byłoby w istocie, ale nie miałem zamiaru jej o tym mówić.

— Słuszna rada.

— Chyba tak... A jednak ciągle mi się zdaje, że się mnie boisz. Próbowałeś dwa razy i nie chcesz cierpieć po raz trzeci, o co, Bóg mi świadkiem, nie mam do ciebie pretensji. Ale czy nie będziesz miał takich odczuć wobec każdej kobiety, która zaczyna ci się podobać? Powiedz mi uczciwie, Dermocie Michaelu, czy spotkasz jeszcze w życiu taką kobietę jak ja?

— Wątpię.

— Nie jestem Kelly Anne ani Christiną! — Krzyknęła tak głośno, że dwie znajdujące się jeszcze w jadalni pary zaczęły się w nas wpatrywać. — Jestem Nualą. Nigdy cię nie skrzywdzę. Nigdy cię nie zdradzę. Jeśli uważasz, że byłabym do tego zdolna, jesteś straszliwym idyotą, a do tego skończonym osłem.

— Martwię się o ciebie, nie o siebie.

Czy to prawda? Czy Nuala nie jest uczciwsza ode mnie? Czy nie lękam się ponownego cierpienia? Czy nie obawiam się, że Nuala w gruncie rzeczy nie jest tak wspaniała, za jaką chce uchodzić?

Czyż nie jestem kompletnym idyotą?

A do tego skończonym osłem?

Muszę to przemyśleć.

Po długim zastanowieniu, pisząc teraz te słowa, dochodzę do wniosku, że chyba rzeczywiście wyszedłem na idyję, a w dodatku na skończonego osła.

Jednakże w jadalni w Cork, słuchając w przyćmionym świetle dźwięków harfy, przepełniony byłem poczuciem cnotliwości, które miało swój początek w romantycznym poświęceniu.

— Nie chcę, żeby to zabrzmiało protekcjonalnie ani szowinistycznie, Nualo, ale za rok, może nawet za pół roku przekonasz się, że mam rację.

— Może i tak — przyznała wzruszając ramionami. — Czy sama też w jakimś stopniu nie uważam, że masz rację? Wiesz co? — Przybrała wyraz twarzy chytrej przekupki. — A jeśli za rok nie będę całkiem pewna, że masz rację, czy możemy na nowo podjąć tę rozmowę?

To zgrabny kompromis zamykający dyskusję.

— Zawsze chętnie z tobą porozmawiam. Nualo

No i tyle. Dokończyliśmy porto i rozeszliśmy się do swoich pokojów. Nuala oznajmiła, że przed pójściem spać przetłumaczy następny wpis do dziennika.

— Nie musisz.

— Chcę zarobić na utrzymanie... A poza tym czy nie umieram z ciekawości, co zdarzyło się tamtego dnia w Lettermullen?

— Wiemy, że O'Kelly został zastrzelony, a jego ciało porzucano w Maam Cross, wcale nie przekazując go przedstawicielom Wolnego Państwa.

— A czy to nie oni mogli go zastrzelić?

— Ma się rozumieć. Rozprawa przed sądem mogłaby tylko pogorszyć sprawę dla ówczesnych władz, bo wielu republikanów uważałoby go za bohatera.

Wyszliśmy z windy na naszym piętrze.

— Dobranoc, Dermocie.

— Dobranoc, Nualo.

Nie pocałowaliśmy się, głównie dlatego, że czym prędzej się odwróciłem. Tak byłem poruszony naszą kłótnią — no, powiedzmy, rozmową — że nawet króciutka chwila roztkliwienia obudziłaby we mnie szaloną burzę namiętności.

W pokoju rozebrałem się do kalesonów i nałożyłem szlafrok. Musiałem wiele przemyśleć przed pójściem spać.

Nie bardzo mi szło, bo miałem za wielki mętlik w głowie — i byłem zbyt podniecony. Gdyby przyszła do mnie w nocy, nie miałbym wyboru.

Czy naprawdę obawiam się dłuższego intymnego związku z kobietą? Czy dlatego, że dwukrotnie zostałem zraniony, nie jestem teraz w stanie ryzykować trzeciego uderzenia i pudła?

Z drugiej strony, o czym Nuala nie wiedziała, bo nie jest szczególną miłośniczką baseballu, przy serii dwóch i trzech rzutów można zostać wywołanym do uderzenia, jeśli po prostu stoi się na swoim stanowisku i obserwuje przelatującą piłkę.

Czy nie tracę życiowej szansy? Ostatniej wielkiej okazji? Zdumiewający dar fortuny, który pozwolił mi odnieść triumf w Standard and Poors wygląda przy niej jak wygrana na loterii parafialnej.

Może i tak. Ale gdy uczucie Nuali to tylko cielece zaślepienie, nierozsądna pierwsza miłość, czyż nie przemienie ona za rok? A jeśli wówczas nadal będzie chciała rozmawiać o małżeństwie, czy będę mógł z nią dyskutować w pełni przekonany, że jej nie wykorzystuję?

Gdzie kończy się dżentelmeński szacunek, a zaczyna obawa przed trzecim uderzeniem, rzutem i pudłem?

Nie wiedziałem. Potrzebowałem więcej czasu do namysłu.

Idyjota?

Chyba tak.

Znow przewinęła się przez mój umysł twarz człowieka w samochodzie terenowym. Ale teraz przesuwała się wolniej, toteż mogłem ją wyraźniej zobaczyć.

Do diabła, znowu mi umknęła.

Będę ją miał przed końcem weekendu.

Powróciłem do tematu Nuali, zawsze przyjemnego, zawsze dręczącego.

Gdyby przyszła do mnie dziś w nocy, wpuściłbym ją. Kochalibysmy się i sprawa zostałaby załatwiona. Pierwsza faza naszego romansu i małżeństwa byłaby wspaniała. Kapitalna!

Może następne lata nie wypadłyby tak tragicznie, jak się obawiałem. Może radości przeważąłyby nad rozczarowaniami i zawodami.

Potem zapragnąłem, żeby przyszła. Do diabła ze wszystkimi moimi obawami. Nigdy już nie spotkam takiej kobiety, to mam jak w banku.

Moja wyobraźnia zaczęła snuć obrazy pieszczot, którymi bym ją obdarzył, gdyby do mnie przyszła. W swych fantazjach doprowadziłem już do sytuacji, gdy była na pół naga, po czym zmęczenie wzięło górę nad świadomym pożądaniem i zapadłem w drzemkę.

Czy mógłbym przejść ciemnym korytarzem do jej pokoju znajdującego się zaledwie o trzy numery dalej i podjąć inicjatywę?

Czy byłbym mile widziany?

Jasne.

Czy to nie byłoby wykorzystywanie?

Czy wykorzystuje się kobietę, jeśli ona pragnie cię tak samo jak ty jej?

Nie, jeśli jest na tyle dojrzała, by znać całe ryzyko i wszystkie koszty.

Nuala była niewinnym i nieśmiałym dzieckiem z Gaeltacht. Zakochała się pierwszy raz. Nie miała pojęcia o ryzyku i kosztach intymnego związku. Muszę ją chronić przed nią samą.

Gdyby jednak stała się agresywna i spróbowała mnie uwieść, czy nie byłbym zwolniony ze swych obowiązków strażnika i obrońcy?

Wtem ktoś zapukał do drzwi. Przestraszony i zdziwiony, wyskoczyłem z łóżka szalejąc z podniecenia i pożądania.

— Kto tam?

— Nuala.

Zacisnąłem mocniej pasek szlafroka i otworzyłem drzwi. Była całkowicie ubrana. W ręce trzymała kilka kartek poliniowanego papieru i kopertę z nadrukiem Federal Express.

— To następny wpis, sądzę, że powinienes go zaraz przeczytać. Mam niezbyt wyraźny charakter pisma, więc zostanę z tobą, póki będziesz czytał. Jutro wyślę go przez Federal Express.

— Jest aż tak źle?

— Wyjaśnia chyba całą tajemnicę.

GŁOS NUALI

Neli Pat, mam złamane serce. Tak się pewnie kończą wszystkie miłości nastolatków, a to tylko moja wina. Odrzucił mnie. Nie rzuciłam mu się na szyję, tak jak ty rzuciłaś się swojemu mężczyźnie. Po prostu nie mogłam. Ale niezależnie od tego, co mi radzisz, zrobiłabym to, gdybym miała dość odwagi.

A jeśli to nie jest tylko zaślepienie? A jeśli to wielka miłość mojego życia?

Nawet jeżeli tak, to straciłam go i chyba będę płakać, dopóki nie usnę. Ale nigdy nie dam mu poznać, że zламаł moje nieszczęsne serce. Pokażę mu, że nie jest jedynym mężczyzną na świecie i że świetnie dam sobie radę bez niego!

Nie jestem nawet pewna, że nie ma racji. Może rzeczywiście nie powinnam się tak naprawdę zakochać, póki nie skończę dwudziestu pięciu lat. Jak nic pozostanie irlandzkim kawalerem i pewnie nie będzie z niego żadnego pożytku. Ale i teraz żadnego pożytku z niego nie ma, a kocham go całym sercem i duszą.

Wściekła jestem na niego, a nigdy tak bardzo go nie kochałam. Naprawdę troszczy się o mnie i o moją przyszłość, nawet jeśli to tylko wymówka. Moglibyśmy dojść w tym punkcie do porozumienia. Może powinniśmy, a może nie.

Nadal nie rozumie, kto naprawdę zabił. Czasem jest już zupełnie blisko, a po chwili prawda mu umyka — chociaż rzuca się w oczy jak nos na mojej twarzy.

Ten pierdzielony drań to kompletny idyjota.

I zawsze będę go kochać!

51

15 września 1922

A więc mam to już za sobą. Nigdy tego nie zapomnę. Nie chcę o tym pisać, ale muszę, póki wspomnienia są jeszcze świeże, a my szykujemy się do wyjazdu do Ameryki.

Brygada — to znaczy ja, Liam i jeszcze trzech chłopaków, których nazwisk nie chcę ujawniać nawet w tych prywatnych zapiskach, oraz nauczyciel z aparatem fotograficznym — zajęła dziś rano pub. Szykarz, jego brat i ich żony byli potwornie wystraszeni, choć ich zapewniliśmy, że nic im się nie stanie, jeśli nam pomogą.

Nieszczęśnicy nie wiedzieli, która strona jest która, i chyba uważali, że nie zrobili nic złego, współpracując z Danielem O'Kellym.

Znalazłam sobie pogrzebacz, tak na wszelki wypadek.

Niebo było zachmurzone, ale nie padało, a gdy wiatr ustał, zimno wcale się tak nie dawało we znaki jak na tę porę roku.

Mieliśmy złapać Daniela, gdy wejdzie do pubu, i powiedzieć mu, że w jego głowę będzie wycelowana broń, kiedy przyjdzie człowiek z samochodu terenowego. Nie zobaczy fotografa, skrytego za barem. Gdy tamten człowiek wejdzie do środka i wręczy Danielowi pieniądze, fotograf na mój sygnał wstanie i zrobi zdjęcie postępując się tą sztuczną lampą.

Jednocześnie któryś z chłopców wymknie się i rozbroi kierowcę samochodu.

Uważałam, że to dość ryzykowny plan, ale przynajmniej złapiemy O'Kelly'ego i będziemy mieć dowód jego spotkania z mężczyzną z samochodu. Fotografię prześlemy władzom Wolnego Państwa, które same zajmą się Kellym, brygada się rozwiąże, a my z Liamem wyjedziemy do Ameryki.

W końcu wyszło słońce, z początku ukradkiem i trochę nieśmiało, a potem w całym swym blasku, i przegnało chmury z nieba.

Koło południa ktoś to idzie drogą, gwizdząc Dzielnym Fenian, jeśli nie sam zdrajca?

Krzyżuje nam plany, bo siada na zewnątrz i głośno domaga się kufelka. Ale myślę, że może to i dobrze. Posyłamy szynkarkę, by go obsłużyła, i ostrzegamy, że będzie z nią krucho, jeśli choć słówkiem o nas piśnie człowiekowi, który zamordował Michaela Collinsa. Nauczyciela ustawiamy przy oknie za zasłoną i umożliwiamy mu ustawienie aparatu.

Szynkarka na wieść, że chcemy dopaść zabójcę generała, stanęła po naszej stronie. Niech ją Bóg ma w swojej opiece, gdy tak śmiała się i żartowała z tym draniem.

Wypił już trzy kufle, a samochód nie nadjeżdżał, zaczęliśmy się więc zastanawiać, czy spotkanie nie zostało odwołane.

Wtem słyszymy, że wali drogą, i wszyscy się szykujemy: nauczyciel nastawia aparat, chłopak, który ma się zająć kierowcą, wymyka się tylnymi drzwiami, ja chowam się za zasłoną z pogrzebaczem w dłoni, a Liam i dwóch innych chłopaków stają w gotowości, by wypaść przez drzwi i aresztować tych zbrodniarzy.

Myślę sobie, że wszystko idzie dobrze. Za dobrze. Na pewno coś nawali.

I Bóg świadkiem, że tak się stało. O'Kelly okazał się szybszym draniem, niż się spodziewaliśmy.

Podjeżdża samochód, jego pasażer, ubrany w brązowy tweedowy garnitur i płaszcz, wysiada i podchodzi do siedzącego przy stoliku O'Kelly'ego. Nie uśmiecha się, bo pewnie uważa, że O'Kelly jest gorszy niż krowie placki, ale musi mu zapłacić za zdradę biednej starej Irlandii.

Wymieniają szybki uścisk dłoni i przybysz siada. O'Kelly krzyczy, by go obsłużono, szynkarka więc przynosi jeden kufel dla niego i drugi dla nowego gościa.

Ona, jej mąż i pozostała dwójka kryją się za barem, bo wiedzą, że będzie gorąco.

Tamci dwaj popijają przez chwilę i rozmawiają o polityce. Najwyraźniej są zdania, że Wolne Państwo jest skończone, bo nie dostaje dość broni z Anglii, by zapanować nad sytuacją na prowincji.

Potem człowiek z samochodu wyjmuje portfel i odlicza banknoty. O'Kelly bierze je, przelicza i uśmiecha się.

— Teraz! — mówię do nauczyciela i odciągam zastonę.

Wybucha płomień z lampy. O'Kelly i ten drugi zrywają się na równe nogi.

Liam z dwoma chłopakami wypadają ze środka.

— Aresztuję was obu! — krzyczy Liam, mierząc z mauzera (w którym są tylko dwie kule) w O'Kelly'ego — za zamordowanie generała Michaela Collinsa.

I wtedy właśnie zdrajca pokazał, jaki jest szybki. Skacze na mojego męża, odsuwa jego pistolet i mierzy ze swego wprost w głowę Liama, umieszczając mu wylot lufy tuż za uchem.

Liam nie strzela, chyba dlatego, że w głębi duszy nadal żywi resztkę szacunku dla człowieka, za jakiego uważał swojego pułkownika. Nie zamierzał osobiście zastrzelić O'Kelly'ego.

— Jeśli któryś z was się ruszy — powiada ten zdrajca — zabiję waszego przyjaciela. Teraz wolno i spokojnie idę do samochodu. Powiedzcie temu facetowi, który trzyma kierowcę na muszce, żeby się wycofał, a mój kolega i ja wyjedziemy bez żadnych awantur.

Akurat, myślę. Zabije Liama i może powystrzelać też innych chłopaków, jeśli tylko będzie miał możliwość.

— Uważaj, O'Kelly — powiada ten drugi tak zimno, że przejął mnie dreszcz, jakbym była na biegunie północnym. Albo na dnie piekieł.

Nic się nie da zrobić. Stoję za drzwiami, tak jak mi kazał Liam. O'Kelly nie ma pojęcia, że tu jestem.

— Durmie, nic nie rozumiecie! — wrzeszczy na nas Daniel. — Zrobiłem to dla Irlandii! Nie potrzebuję tej pierdzielonej forsy! Te jełopy w Dublinie nie potrafią rządzić państwem! A ja potrafię! I będę tu rządził! Zrobię z Irlandii wspaniały kraj! Szkoda tylko, że nie będziecie mogli się przekonać, o ile jestem lepszy od Micka Collinsa, bo już tego nie dożyjecie! Niech żyje republika!

Uniósł broń, żeby wystrzelić.

Niewiele myśląc, wychodzę zza drzwi i z całej siły uderzam go pogrzebaczem w tył głowy.

Rozwaliłam mu czaszkę.

Niech Bóg się zlituje nad duszą tego biedaka. Jakie mam prawo, by uważać się za lepszą od niego?

Boże, zlituj się nad nami wszystkimi.
Nie mogę więcej pisać.

52

— Nie jesteś morderczynią, Neli Pat — powiada młody ksiądz.

— A nie mówiłem ci tego, kobieto? — włącza się Liam, ściskając mnie mocno za rękę.

— Wiem, ale...

— Zabiłaś pierwszego człowieka, jeżeli on rzeczywiście nie żyje, by obronić siebie i swoją ciotkę przed napastowaniem seksualnym. Zabiłaś Daniela, by uratować męża od niechybnej śmierci.

— Ale...

— Nie ty zaczęłaś tę wojnę, Neli Pat. — Jego śliczne piwne oczy spoglądają twardo i gniewnie. — Uwikłałaś się w to nie z własnej winy, jak tylu innych ludzi w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Więc zamiast się dręczyć, dziękuj Bogu, że oboje z Liamem jeszcze żyjecie.

Nie było większego sensu dyskutować z księdzem ani z moim panem i władcą. Obaj z Liamem mają chyba rację, mówiąc, że z czasem dojdę do siebie. Nigdy nie odczuję satysfakcji z tego powodu, że zabiłam Brunatnego czy Daniela O'Kelly'ego, niech ich Bóg ma w swojej opiece. Ale zawsze będę się cieszyć, że uratowałam mego męża.

Nienawidzę Daniela O'Kelly'ego za to, że zabił mi brata, a tam, w Cork, chciał zabić mojego męża, zrzucając na niego winę za zabójstwo generała Collinsa. Nie pragnęłam jego śmierci. Nie chciałam go zabijać.

Ale musiałam — i tyle. Może któregoś dnia w niebie wszystko to sobie wyjaśnimy.

Gdy rozwaliłam mu łeb, upuściłam pogrzebacza i zarzygałam cały stół, na którym stały kufle.

— Nie żyje — powiedział Liam. — Pułkownik nie żyje.

— Niech Bóg ma w opiece tego parszywego sukinsyna — powiada jeden z chłopaków.

Szofer próbował się wyrwać, ale chłopak, który go pilnował, podstawił mu nogę i facet padł na twarz.

Angol, który zapłacił O'Kelly'emu, stał i patrzył na nas z pogardliwym uśmiechem. Byliśmy dla niego nie ludźmi, lecz irlandzkimi dzikusami.

— Załatwmy tych dwóch sukinsynów — odzywa się jeden z chłopaków. — Też są mordercami.

— Jeśli to zrobimy — odpowiada Liam — będziemy nie lepsi od nich.

— Nie możemy ich przekazać Wolnemu Państwu, Liamie.

— Ani przekazać, ani zabić — powiadam. — To byłaby katastrofa dla Irlandii. Zdjęcie wystarczy — przekonuję ich. — W rękach właściwych ludzi będzie oznaczać wolność dla Irlandii.

— Jakich ludzi? — pyta chłopak, który wyraził chęć przeprowadzenia egzekucji.

— Generała Richarda Mulcahy'ego i Kevina O'Higginsa.

— A, to prawda — przytakuje.

Ten facet patrzył na mnie z jeszcze większą pogardą, jak na brudną głupią dzikuskę, zbyt prostą i prymitywną, by mogła chociaż opróżniać nocniki w jego zamku. Wtem uśmiechnął się lekko.

— Bardzo bystry z ciebie polityk, młoda kobieto.

— Nie jesteście wrednymi mordercami — mówię. — Zostawiam cię niebiosom, jeśli mogę zacytować poetę.

— Nie przeczę — głos miał dźwięczny i głęboki — że zabijam za swoją sprawę. Collins też zabijał za swoją. Jestem wrednym mordercą tak samo jak on. Ale wolę uważać nas obu za żołnierzy — walczących za sprawę, w którą wierzą.

Powiedział jeszcze parę rzeczy, których tu nie zapiszę, lecz nie zapomnę do końca życia.

— Wyośmy się stąd do diabła — powiada w końcu Liam. — A jeśli kiedykolwiek tu wrócisz, załatwimy cię jak O'Kelly'ego.

Mężczyzna ciężkim krokiem podąża w kierunku auta. Szepczę Liamowi do ucha.

— Chwileczkę! — woła. — Musisz nam pomóc pozbyć się ciała swojej wtyki. Chłopaki, wrzucmy je do bagażnika i odprowadźmy naszych przyjaciół do Maam Cross, a potem puścimy ich wolno.

— Tak jest — odpowiadają.

I tak to wyglądało. Liam mówił, że opróżnili magazynki, strzelając w ciało pułkownika, żeby policja myślała, że to wewnętrzne porachunki IRA.

Spotkali się zeszłej nocy i formalnie rozwiązali brygadę. Tak że w Galway Wypadki dobiegły końca.

Młody nauczyciel przyniósł dziś rano zdjęcia i kliszę. Są doskonałe. Widać na nich stoliki przed pubem, duży samochód, zatokę Galway i człowieka płacącego O'Kelly'emu. Liam zaniósł jedno zdjęcie znajo-

memu w Galway, który oddaje Dickowi Mulcahy'emu z wiadomością, że ci dwaj to mordercy Michaela Collinsa, a jeśli będzie chciał dowiedzieć się czegoś więcej, są ludzie, którzy opowiedzą mu o wszystkim.

Nauczyciel, który nie potrafi skłamać, nawet gdyby chciał, dał nam kliszę i wszystkie zdjęcia i powiedział, że więcej nie ma.

Wszyscy inni — trzech chłopców, dwie pary w pubie, nauczyciel — zaprzysięgli dochować tajemnicy. W miarę upływu lat zaczną się plotki. W końcu ludzie dowiedzą się prawdy, kiedy nie będzie już miała znaczenia. Może ktoś nawet przeczyta mój dziennik.

Już po wszystkim.

Mam nadzieję, że Mick Collins spoczywa w spokoju. Mam nadzieję, że Irlandia zawsze będzie pamiętać, jak wysoką cenę młodzież z naszych lat zapłaciła za wolność — Mick, Kit Kiernan, Tim, Moire, a nawet ja i Liam, i wielu takich jak my. Bez względu na to co przyniesie przyszłość i jak szczęśliwi będą ci, którzy przeżyli, nigdy nie zapomnimy tych strasznych czasów — ani ludzi, którzy nie dotrwali. Boże, zlituj się nad nimi i miej nas w opiece.

Jestem zmęczona, mam wszystkiego dosyć, chcę uciec z tego straszego kraju i zacząć nowe życie w Ameryce, gdzie nie trzeba zabijać innych, by być wolnym. Tam właśnie chcemy z Liamem wychować nasze dziecko i wszystkie przyszłe.

53

Następnego ranka w Cork powitało nas słońce, a na niebie iskrzył się błękit, zwiastujący raczej wiosnę aniżeli jesień, co w Irlandii jest zwodniczym sygnałem. Jechaliśmy przez Banton do Clonakilty, gdzie Collins chodził do szkoły średniej. Na mapie sztabowej nie mogłem odnaleźć Sam's Cross, choć przeczytałem, że to jakieś siedem mil za Clonakilty.

— Zaraz znajdziemy. — Moja pani wyskoczyła z benza. — Zawsze trzeba pytać na poczcie.

Za chwilę była z powrotem, niosąc w rękach dwa bukiety.

— Kobieta na poczcie powiedziała, że niewiele osób o to pyta. Mamy jechać prosto na Skibbereen. Cztery mile stąd jest wioska Lisavaird. Tam skręcamy w prawo i to jest czwarte skrzyżowanie. Mówi, że jest to oznakowane, ale w Irlandii jest tylko jeden taki znak

— z wyjątkiem drogowskazu do groty w Mamene. Tu wszędzie są znaki, zgadza się?

— W Lisavaird chodził do szkoły podstawowej.

— Jezuicka czy zakon Braci Szkolnych nie wchodziły w rachubę?

— Wyłącznie szkoły państwowe. W tym świetle jego osiągnięcia wydają się jeszcze wybitniejsze. Był najmłodszym z dziewięciorga dzieci. Gdy się urodził, jego ojciec przekroczył już siedemdziesiątkę — w wieku sześćdziesięciu lat poślubił dwudziestotrzyletnią sierotę.

— Niemożliwe.

— Możliwe. Z ksiązek wynika, że byli bardzo szczęśliwi.

— Można kochać w każdym wieku, co, Dermocie Michaelu?

— Mam nadzieję, że tak.

Wspomniany znak wskazywał drogę do Grobu Collinsa. Znaleźliśmy się na czwartym skrzyżowaniu — po lewej widać było pobielony pub z nazwiskiem „O’Cullean” na białym szyldzie. Zatrzymałem samochód.

— To musi być tam, po prawej — powiedziała Nuala. — Widzę maszt.

Za nim znajdował się mały grobowiec — kolumna z wrytym na niej krzyżem celtyckim, nazwiskiem i datami. Dom z masztem to stara kamienna chata, dostatnia jak na czasy, w których żył Collins. Później jego matka pobudowała jeszcze okazalszą siedzibę, którą jednak spalili Brunatni. Spontanicznie uklękliśmy na kamiennym stopniu grobowca i cicho odmówiliśmy modlitwę. No, powiedzmy, dziesiątek różańca; nie miałem zamiaru przestać się modlić, póki ona nie skończy. Położyła przed grobowcem jeden z bukietów.

— Zastępuje na coś więcej od Irlandii — wyszeptalem.

— Prawda?

— Pub stoi w miejscu, gdzie szukając pokojowych rozwiązań, w dzień swojej śmierci spotkał się z bratem, kilkoma znajomymi i podobno z jakimś „neutralnym” oficerem.

— Nieszczęsny dzielny idyjota — skomentowała Nuala.

— Zgadza się. Nieszczęsny dzielny idyjota o wielkim sercu.

Wróciliśmy do Clonakilty, a potem do Brandon, gdzie — jak poinformowałem moją panią — nie wolno było pozostawać katolikom po zachodzie słońca. West Cork bowiem to jedno z miejsc, gdzie Elżbieta i Cromwell „wsadzali” protestanckich osadników niczym drzewa, lecz z mniejszym powodzeniem niż w Ulsterze. Stali się oni takimi samymi, jeśli nie bardziej gorliwymi Irlandczykami niż rodowici mieszkańcy — „czarnymi” protestantami z opowiadań Somerville i

Ross, kompletnie zwariowanymi w czasie gdy te dwie kobiety uwieczniały poczynania klanu Knox ze Skibbereen — „Skibawn” z ich opowieści.

— Czy to nie ja uczestniczę w seminarium doktoranckim na temat historii i literatury irlandzkiej podczas tej wycieczki? — Mówiła nieobowiązującym tonem, nie chcąc znów mnie obrazić, gdyż w naszej walce milcząco zgodziliśmy się na zawieszenie broni.

Roześmiałem się głośniejszym, niż to było konieczne.

— Kobieto, ja ci kiedyś pokażę.

— Nie ośmieliłbyś się. — Ona też się roześmiała.

Miała rację — nie ośmieliłbym się.

Już nie warczeliliśmy wzajemnie na siebie.

Z Bandon do Bealnablath (Doliny Kwiecia) pojechaliśmy niewłaściwą drogą i podskakiwaliśmy na wybojach brukowanej, wąskiej wiejskiej drożki pośrodku lasu, gdzie tylko z rzadka widać było jakieś domostwo. Nadal niezamieszкана okolica. Siedemdziesiąt lat temu musiała być jeszcze bardziej odludna. Nic dziwnego, że bojownicy IRA bez trudu znajdowali tu kryjówki.

Nuala, bardziej pewna niż ja, że pojechaliśmy niewłaściwą lub boczną drogą, nalegała, by się zatrzymać i zapytać, gdzie właściwie jesteśmy, dzieci, które najwyraźniej czekały na szkolny autobus.

Jak to Irlandczycy, cała czwórka odpowiedziała jednocześnie. Nuala wypróbowała na nich swą znajomość miejscowego języka i z ich ust natychmiast popłynął potok słów. Jeden z chłopców przejął inicjatywę i udzielił jej szczegółowych wskazówek. Wręczyła im banknot funtowy, by się między sobą podzielili, i w rezultacie bez trudu mogłaby zostać wybrana z tego okręgu do Dail.

Wróciliśmy do Bandon i spróbowaliśmy po raz drugi. W czasie przejazdu przez las pogoda się zmieniła. Znad zatoki napływały chmury, przynosząc ze sobą mgły i deszcz. Harmonizowały one z moim nastrojem.

Ostrożnie jechałem nową drogą, uznając, że jest to ta sama, którą widziałem na filmie telewizyjnym. A jej z pewnością nie wybrukowano w roku 1922.

— Trudno, żeby zrywali bruk tylko dla filmu, no nie?

Potem zaczęło padać.

Dojechaliśmy już prawie do Crookston, gdy skręcając trafiliśmy nagle na inne uświęcone miejsce, większe niż to w Sam's Cross: niski mur z cegły, podtrzymujący betonową płytę, na której stał duży kamienny krucyfiks, tym razem z napisem w języku irlandzkim.

W pierwszej chwili nie mogłem uwierzyć, że to miejsce zasadzki. Wyglądało jak kolejny zakręt na drodze. Potem, gdy się rozejrzałem, stwierdziłem, że tu rozgrywała się akcja filmu telewizyjnego i że jest to idealne miejsce na zasadzkę.

— Co roku odprawia się tutaj coś w rodzaju rocznicowej mszy — powiedziałem z powagą.

— Którą moje pokolenie lekceważy, nawet po obejrzeniu tego filmu.

— Mogę to zrozumieć — odparłem.

— Przed paroma tygodniami powiedziałabym, że byli banda idyotów. I chyba nawet chlapnęłam coś w tym stylu, co, Dermocie Michaelu? Dzięki listom zmieniłam zdanie.

— Pa i O'Kelly musieli być tu. — Wskazałem zboczne wysokiego pagórka. — Nad tą drogą. Konwój Armii Narodowej znajdował się dokładnie w tym miejscu, gdzie teraz jesteśmy, a partyzanci zorganizowali zasadzkę z drugiej strony, jakieś dwieście jardów w tym kierunku. Ścieżka musiała przebiegać za tymi żywopłotami.

Nuala skuliła się pod naszym jedynym parasolem.

— Nie podoba mi się to miejsce. — Zadrzała. — Wyczuwa się w nim zło.

— Zginął tu wielki człowiek, Nualo.

— Nawet przedtem. — Znowu zadrzała i oparła głowę na moim ramieniu. — Tu od wieków czaiło się zło. To miejsce jest złowieszcze nie dlatego, że on tu umarł. Umarł tutaj, bo tu nagromadziło się zło. Tu kryje się śmierć.

Poprzedniej nocy, gdy czytałem jej ręcznie napisane tłumaczenie, dosłownie odebrało mi mowę. (Nawiasem mówiąc, styl miała doskonały. Jakżeby inaczej?) Opis ostatniej zasadzki pod piórem Ma był prosty i surowy, ale i pełen udręki. Przeżyła całe życie, mając w pamięci te gorzkie i okropne wydarzenia, lecz jakoś zdołała je przewyciężyć. Nie rzuciły cienia ani na jej wiarę w Boga, ani na miłość do męża.

To niesprawiedliwe, że dwoje tak niewinnych młodych ludzi, dwoje tak nieśmiałych dzieciaków, jakich ze świecą szukać, musiało porzucić rodzinne strony i unieść ze sobą aż tak przytłaczający ciężar.

Fakt, że była to nieugięta para, toteż im się powiodło. Fakt, że oni przeżyli, a Mick Collins nie. Fakt, że Ma jeszcze przez lata miała swego mężczyznę, a Kit Kiernan nie. Jednakże cała ta okropna historia w ogóle nie powinna się była wydarzyć.

Czy w dwudziestym wieku były gorsze wydarzenia? Tak, do diabła. W porównaniu z Auschwitz Wypadki nie wydają się takie znowu straszne. Ale...

Szkoda, że nie mogę oplakać tej młodej pary i ich cierpień. Czy ktokolwiek nad nimi płakał? Może jej rodzice i Moire. Może jeszcze młody ksiądz o ślicznych piwnych oczach.

Oni pewnie nad sobą nie płakali. Przeżyli, a ci, co uchodzą cało, nie płaczą. To dalekie spojrzenie, które czasami widywałem w promiennych zielonych oczach Ma, musiało sprowadzać ją z powrotem do Carraroe i lat młodości, którą tak szybko przecięła wojna i napiętnowała śmierć.

— Dobrze się czujesz, Dermocie Michaelu?

— Doskonale. — Wręczyłem Nuali tłumaczenie, które miała włożyć do koperty Federal Express.

Wsunęła tekst do koperty i zakleiła ją.

— Wysyłamy to, a nie wydruk?

— Pierwszy zeszyt skończę jutro w czasie jazdy. Czy nie powinniśmy jak najszybciej wysłać tłumaczenia wielebnemu?

— W razie gdyby coś się nam przytrafiło?

— To zabezpieczenie, Dermocie. — Pilnie mi się przypatrywała.

— Twój brat będzie miał całą historię. Wtedy nic nam nie zrobią.

— Masz rację, jak zwykle.

— Chcesz o tym porozmawiać? — Jej miękki, łagodny głos był jak pieszczota. Tak, chcę o tym porozmawiać.

— Nic mi nie jest, Nualo. Muszę się trochę przespać.

Wiedziałem, że nie będę mógł zasnąć.

— Na pewno?

— Tak, do diabła — warknąłem. — Daj mi spokój.

Przestraszyłem ją.

— Przepraszam, jeżeli...

— Gdybym potrzebował matczynej opieki, mam matkę w Chicago. Teraz wynoś się stąd, do cholery!

Wyszła cicho i bez protestu.

Mężczyzna ma prawo do chwili spokoju, gdy czuje taką potrzebę, tak czy nie?

Nawet gdyby była moją żoną, czy nie powinna wykazać dość rozsądku, by wynieść się do diabła, zamiast mi dokuczać?

Żona nie powinna pozwolić tak się traktować. Wiedziałem o tym nawet wtedy.

Nie zmrúżyłem oka. Nuala najwyraźniej zasnęła dopiero nad raniem. Zasnęła. Czekałem niecierpliwie w jadalni do dziewiątej, żując hotelowe ciemne pieczywo, które było takie sobie.

Potem zadzwoniłem do jej pokoju.

— Jest dziewiąta. Mamy już godzinę opóźnienia.
— Przepraszam.
— Gdyby nie sprawiło ci to zbytniego kłopotu, czy mogłabyś zaraz wstać?

Położyła słuchawkę — na co, zdaje się, w pełni zasługiwałem.

Przez całą drogę do Clonakilty narzekałem na ciężarówkę, irlandzkie drogi albo tak bardzo opóźniony wyjazd.

Nuala warczała i odgryzała się, od czasu do czasu pociągając nosem, nie wiem, czy z powodu kataru czy też powstrzymywanych łez, wcale mnie to jednak nie obchodziło.

— Nie wyprzedzaj tutaj, idyjoto. A jeśli z naprzeciwnika wyjedzie na nas inna ciężarówka?

— Ten samochód ma tylko jednego kierowcę i to ja nim jestem.

— I zachowujesz się jak pierdzielony jełop.

— Chcesz iść pieszo stąd do Galway?

— Lepiej, niż żeby mnie nieśli w pudełku.

I tak to wyglądało aż do Clonakilty, gdzie na mocy milczącego porozumienia znowu staliśmy się wobec siebie uprzejmi.

Następnie podjechaliśmy do ponurej doliny Blath — Beal na mBlath po irlandzku. Dzień zrobił się teraz ponury, deszcz tłukł w dach, chmury zakrywały wierzchołki wzgórz po obu stronach kotliny. Wyłączyłem zapłon. Na drodze nie było żadnego ruchu.

— Nie podoba mi się to miejsce, Dermocie — powtórzyła moja towarzyszką. — Wcale a wcale. Co spodziewasz się tu znaleźć?

— Chcę je obejrzeć i wczuć się w jego atmosferę.

— A musimy?

— Ja tak. A ty jak sobie chcesz.

Wyszedłem z samochodu i nie bacząc na deszcz, usiłowałem wchłonąć smak i zapach tego kawałka ziemi. Nuala stanęła obok, trzymając mi nad głową parasol, a w drugiej ręce pozostały bukiet.

— Nie powinno się tu przebywać podczas Sahmain, Dermocie — powiedziała, informując mnie pierwej, że w tym miejscu czai się zło. — Zmarli są tu wszędzie.

— Rozumiesz teraz, dlaczego Pa nie wiedział, co się dzieje.

— Rozwinałem moją sztabową mapę West Cork. — Konwój wracał do Cork przez Crookston. Stracił wszelkie poczucie kierunku. Jeśli dojechał tak daleko, zapadał zmrok, słońce miał więc z tyłu i znalazł się w głębokim cieniu. Dolinę zasnuwała mgła, zaczynało trochę padać. Nie można było odróżnić, czy mundury mają kolor khaki czy ciemnozielony. Pa nie sądził również, że Armia Narodowa może mieć wóz

opancerzony. Był to długi strzał, toteż jego kula nikogo nie zraniła. O'Kelly musiał być znakomitym strzelcem albo miał niesamowite szczęście.

— Twój dziadek nie zabił Michaela Collinsa.

— Wróg, ktokolwiek nim był, musiał dzień po dniu informować O'Kelly'ego o trasie przejazdu Collinsa. Może nawet uprzedzał po cichu bandę partyzantów, która spowalniała posuwanie się konwoju. Równie dobrze mógł jednak pojechać inną drogą.

— Biedna Kit Kiernan.

— Wszyscy biedni.

Po raz kolejny przez mój umysł przesunęła się tajemnicza twarz, spowita mgłami doliny. De Valera? Czyżby spowodował zabójstwo człowieka, który zorganizował jego ucieczkę z więzienia?

Wielu przez lata powtarzało, że Dev ma na rękach krew Collinsa. Może posłużył się też złotem na kampanie wyborcze, które z czasem zapewniły mu władzę polityczną, jakiej by nie mógł zdobyć siłą. Nie wykluczone, iż rząd Irlandii, złożony teraz z jego politycznych spadkobierców, obawia się wyjawienia prawdy narodowi, którego Michael Collins był legendarnym bohaterem, choć młodzież pokroju Nuala Anne McGrail nie jest całkiem pewna, czego dokonał.

Czyż Dev nie żalił się czasem, że nigdy nie będzie tak kochany przez lud irlandzki jak Mick Collins?

Co zatem ma z tym wspólnego Konsorcjum? Czy jego cel nie jest przeciwieństwem zamierzeń Deva i jego następców?

Polityka kojarzy dziwne małżeństwa, czyż nie?

— Zostawmy zmarłych w spokoju — powiedziała płacząco Nuala.

— Ma?

— Ona nie umarła.

— Nie żyje, tak samo jak Michael Collins i Daniel O'Kelly.

— Nie, to nieprawda.

— Wsiadaj do samochodu, chcę się trochę przejść drogą.

Odwrociłem się i poszedłem do miejsca, w którym zamachowcy podłożyli minę, dokładnie tam, gdzie wedle moich wyliczeń Michael Collins zmarł, być może szepcząc imię Emmet.

Nie Kit.

A może? Te dwa imiona zabrzmiałyby bardzo podobnie.

— Obserwują nas. — Nuala poszła za mną, trzymając parasol nad swoją gołą głową; sama miała na sobie płaszcz od deszczu.

— Zmarli? — zapytałem z niedowierzaniem.

- Nie.
- Patrick i jego ludzie?
- Nie.
- Ta banda, która na nas napadła przed twoim domem?
- Możliwe.

Wzdrygnąłem się, bardziej z powodu wrażliwości Nuali, szóstym zmysłem wyczuwającej śmierć, niż z obawy przed Konsorcjum. Można przyjąć, że nas śledzą, lecz byłem przekonany, że Patrick z kolei ich śledzi.

A przecież wierzę Patrickowi, no nie?

Pomyślałem, że nie jestem już tego tak pewien.

Poprzez mgły starałem się wypatrzeć miejsce, gdzie czekał Pa. Czy tam, na wzgórzu, czai się ktoś z bronią wymierzoną we mnie?

Tym razem ja zadrzałem.

— Byli zalani — powiedziała z namysłem Nuala, wciągając powietrze. — Zalani w trupa. Wszyscy co do jednego.

— Poważnie?

Nadal pociągała nosem, jakby wyczuwała zapach alkoholu. Powiniennem był wówczas się zorientować, że mam do czynienia z detektywem o niesłychanych, wręcz przerażających uzdolnieniach.

— To były szczeniaki, młodsze od ciebie. Jeździli po wsiach na rowerze w upalny letni dzień i zatrzymywali się w pubach, by napotkać przyjaciół i bliskich Wielkiego Faceta. Przecież nie byłiby Irlandczykami, gdyby od czasu do czasu nie wypili po kropelce, no nie? A tych kropelek w ciągu dnia mogło się sporo nabierać, z wiadomym skutkiem, zgadza się? A czy główna kwatery tych tam młodych idyotów — kiwnęła głową w kierunku ścieżki — nie znajdowała się w pubie Longa? Czy przez cały długi dzień nie musieli co jakiś czas przepłukiwać gardziółek? Gdy zapadł zmierzch i zaczęli do siebie strzelać, czy nie byli strasznie roztrzęsieni? Czy nie dlatego właśnie nikt więcej nie zginął?

Kusiło mnie, by ją zapytać, czy naprawdę czuje bimber, ale szczerze mówiąc, nie bardzo chciałem wiedzieć.

— To brzmi rozsądnie, Nualo — przyznałem.

Z powagą skinęła głową i nadal węszyła w powietrzu.

Znowu zadrzałem.

Znaleźliśmy wejście na ścieżkę i poszliśmy nią w górę po lewej stronie drogi. To miejsce idealnie nadawało się na urządzenie zasadzki, bo za żywopłotami można się było doskonale ukryć, ponadto ścieżka biegła równoległe do drogi, lecz powyżej niej, koło rowu melioracyjnego.

Droga znajdowała się na tyle daleko, że czterej mężczyźni, którzy strzelając szli ścieżką, mogli nie widzieć, kogo trafili.

Nie mogli również dostrzec nikogo, kto ukrywałby się po przeciwnej stronie, na wyższym wzgórzu, choć tamta kryjówka nie była aż tak dobra.

Zatrzymałem się nad krzyżem upamiętniającym miejsce, w którym zmarł Mick Collins. Z drugiej strony, wysoko na wzgórzu, rosła kępa drzew i krzewów — tam właśnie ukryli się Pa i O'Kelly.

— Chodź, Nul, zabierajmy się stąd.

Wielkimi krokami poszedłem do samochodu, teraz tak samo jak ona pragnąc uciec z Beal na mBlath. Dreptała obok mnie, starając się trzymać mi parasol nad głową.

— Chwileczkę, Dermocie. — Wepchnęła mi parasol do ręki, po mknęła do pomnika i u podnóża krucyfiksowi złożyła bukiet nasiąknięty wodą. Przeżegnała się pospiesznie i wróciła pod osłonę parasola.

Otworzyłem drzwi, wzięłem od niej parasol i delikatnie wepchnęłem ją do środka. Potem przebiegiem na drugą stronę i wskoczyłem do samochodu. Natychmiast włączyłem silnik, ostrożnie przejechałem na koniec doliny i dalej w kierunku miasteczka Clonakilty, leżącego w pobliżu miejsca urodzenia Collinsa — Sam's Cross.

Nuala chwyciła mnie za ramię. Drżała.

— Grozi nam jakieś niebezpieczeństwo? — zapytałem, gotów teraz uwierzyć, że dolina roi się od złych duchów, żywych i umarłych.

— Nie w tej chwili — odparła. — Ale nie czują do nas sympatii.

— Jest tu Mick Collins?

— Nie. Wraz z innymi on czeka na nas w Carraroe.

Trzymała się mojego ramienia, póki nie dojechaliliśmy do pierwszych budynków na skraju Crookston. Wtedy westchnęła, puściła mnie i odprężyła się.

Zatrzymałem samochód. Musimy skończyć naszą sprzeczkę.

— Dzięki, że trzymałaś nade mną parasol, Nualo. Myślę, że to miejsce jakoś tak na mnie podziałało.

Oparła mi głowę na piersi, jej czarne włosy miałem tuż pod brodą.

— Przepraszam, że się z tobą kłóciłam, Dermocie Michaelu. Kiedy się złościsz, robię się bardzo nieprzyjemna. Mama powiada, że żadne jej dziecko tak się okropnie nie dąsa.

— To moja wina, Nualo. Te dwa wczorajsze tłumaczenia wytrąciły mnie z równowagi.

— Mama powiada, że przynajmniej nigdy nie dąsam się dłużej niż jeden dzień i jest to jedyna dobra rzecz w tym wszystkim.

— Przepraszam. — Objąłem ją.

— Ja też.

— Znowu jesteśmy przyjaciółmi, Nualo Anne?

— Czy nie powiedziałam tego, Dermocie Michaelu? — wyprostowała się i uśmiechnęła do mnie. — Może w Crookston napijemy się herbaty, a potem dojedziemy już do Killarney i zjemy przyzwoity lunch?

— To było straszne miejsce — powiedziałem, gdy jedliśmy po pierwszym placuszku.

— Nie zwracaj na mnie uwagi, gdy popadam w takie upiorne nastroje — odparła. — Zachowuję się wtedy jak wariatka. Twoja babcia też była taka?

— Tego akurat nie pamiętam.

— Ale naprawdę uważam, że ktoś nas śledzi. Mam takie uczucie, odkąd opuściliśmy Dublin.

— Chyba powinniśmy się byli tego spodziewać.

— Fakt. Mam nadzieję, że ten twój Patrick zna się na swojej robocie.

— Powinien, jeśli jest jakimś krewnym Micka Collinsa.

— O, jest na pewno. Nie ma na imię Patrick Michael?

— Nigdy tego nie mówił.

— Wszystko jedno, ale tak ma na imię. A czy miałbyś coś przeciwko temu, żeby zamówić następny talerz placuszków?

Czy jezuita uczyłby w szkole, do której uczęszczał?

Patrick Michael, tak?

A mój wujek Micky, drugie z dzieci Ma i Pa, psychiatra (ten sam, który poznał moją mamę z moim ojcem), czy otrzymał imię po Michaelu Collinsie? Nazywał się Michael C. Ready, tak?

W jaki sposób trzeźwy, rozsądny były makler odróżnia rzeczywistość od fantasmagorii na zachodzie Irlandii podczas Sahmain, zwłaszcza gdy jego przewodniczka i zarazem osoba trzymająca nad nim parasol przekracza dzielącą je granicę (która o tej porze roku jest dość niewyraźna) z zadziwiającą łatwością?

Czy wujek Mike wiedział o znaczeniu swego imienia? Ma opowiadała mu pewnie o Wypadkach, ale założę się, że niewiele.

I ja także drugie imię mam po nim.

W pewnym sensie nadano mi więc imiona po człowieku, który zaniósł jej kosz z praniem do domu w Carraroe.

Człowiek ten, wedle nawiedzonej chwilami Nuali, będzie czekał na nas w Carraroe.

Okolice Skibbereen w zachodnim Cork i dalej w kierunku zatoki Bantry, Kenmare i Ring of Kerry są wedle wszystkich przewodników turystycznych najpiękniejsze w całej Irlandii. Nie dostrzeżliśmy wiele z ich uroków, bo gdy jechaliśmy krętymi drogami, deszcz bębnił w samochód, a wiatr nim kołysał. Robiliśmy jednak zdjęcia i próbowaliśmy sobie wyobrazić, jak wygląda ten krajobraz w słońcu.

Nuala w pośpiechu kończyła tłumaczenie ostatniego wpisu w pierwszym zeszyty dziennika Ma, rozmawiając jednocześnie o naszej famigliówce.

Wyjawilem jej moją teorię o De Valerze.

Zastanawiała się nad nią przez chwilę.

— Rząd nie musi stosować wobec ciebie takich podstępów. Nie mogliby po prostu wyrzucić cię z Irlandii na podstawie jakichś dętych zarzutów?

— Mam wrażenie, jakbym przeniósł się ze świata lana Fleminga do powieści szpiegowskich Johna Ic Carré.

— Jest znacznie większym realistą, nie uważasz? W jego książkach mnóstwo kompletnych jełopów popełnia idyotyczne błędy.

— Możemy chyba wykluczyć współczesną IRA. Nie widzę powodu, by miała ich obchodzić śmierć Michaela Collinsa albo w ogóle cokolwiek, w co się zaangażowaliśmy.

— Są szurnięci, trudno więc przewidzieć, co im przyjdzie do głowy. Ale teraz bardziej ich interesuje wysadzanie brytyjskich koszar i zabijanie kobiet i dzieci.

— Atakowanie brytyjskich żołnierzy w koszarach to strategia, którą wymyślił Michael Collins.

— Ale miał dość rozumu, by przestać w odpowiednim czasie.

— IRA może zależeć na złocie.

— To prawda. — Poruszyła się niespokojnie. — Tylko tego brakuje, żeby ci idyjoci zaczęli na nas polować.

— Co wiemy o naszej układance? — Zwolniłem, by przepuścić motocyklistę, który mijał ciężarówkę na wzgórzu.

— Idyjota! — wykrzyknęła Nuala, bacznie śledząca ruch na szosie. — No cóż, wiemy, kto zabił Michaela Collinsa. Wiemy, kto zabił zabójcę Michaela Collinsa. Wiemy po części, dlaczego twoi dziadkowie nie mogli wrócić do Irlandii, a będziemy wiedzieć wszystko, gdy skończę tłumaczenie tego fragmentu dziennika twojej babci. Jest teraz na statku i opowiada o Dicku Mulcahym.

— Wiemy, gdzie jest złoto, a przynajmniej — gdzie było. Wiemy dość dokładnie, jak się tam znalazło i kto je ukradł.

— Nie wiemy na pewno, kim był mężczyzna w samochodzie. Czy może wiesz?

— Często widzę jego twarz, Nualo, ale potem mi umyka.

Nie odezwała się, ciągnąłem więc dalej:

— Nie wiem, co jeszcze należy ustalić z wyjątkiem tego, czy złoto nadal znajduje się w świętej grocie w...

— Mamene.

— O czym, z tego, co wiemy, oni nie wiedzą, że wiemy?

— To już naprawdę brzmi jak cytat z Johna le Carre.

Oboje roześmialiśmy się i bardzo ostrożnie powróciła przyjaźń.

Jak długo zdołam opierać się urokowi tej kobiety?

— Musimy założyć, że zakradli się do hotelu podczas mojej nieobecności i przeczytali tłumaczenie na dysku.

— Wcale nie.

— Jak to nie, Nul?

— Może i jestem głupia, ale nie rób ze mnie skończonej idyotki. Czy nie zapisuję każdego tłumaczenia na dwóch małych trzycalowych dyskietkach i sprytnie kasuję tekst na dysku?

— I co robisz z tymi dyskietkami?

— Nie wysyłam przypadkiem jednej wielebnemu razem z tłumaczeniem, a drugiej nie wkładam do hotelowej skrytki?

— Od dawna to robisz?

— Od tamtej nocy w Irishtown.

— Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? — zapytałem sztywno.

— Czy to nie drobny szczegół mojej pracy, którym nie warto było zwracać ci głowy?

A czy ja nie byłem skończonym idyotą, skoro nie uświadomiłem sobie wtedy, że Grace O'Malley o całe lata świetlne wyprzedza Jamesa Bonda?

— Mogliby wejść do apartamentu i przeczytać dziennik babci, gdyby przyprowadzili ze sobą kogoś, kto zna irlandzki.

— Jasne, że tak. Czy nie byłabym więc kompletnie palnięta, gdybym codziennie przed pójściem do domu nie zanosila też dzienników do skrytki?

— Robiłaś tak?

— A nie powiedziałam przed chwilą?

Zahamowałem gwałtownie, by umożliwić przejście przez drogę stadu bydła, którego strzegł pies. Wydawał się znudzony swym zaję-

ciem i nie zdradzał oznak zainteresowania światem zewnętrznym. Gdy nas usłyszał, zaczął szczekać, jakby nas chciał przekonać, że robi, co do niego należy.

Bydło wcale nie przyspieszyło.

— Ten kundel zachowuje się jak typowy Irlandczyk — powiedziałem.

— Ale czy nie jest energiczniejszy od większości z nas?

Stado wreszcie przeszło i pojechaliśmy dalej. Kundel pozdrowił nas przyjacielskim szczekaniem.

— I do tego jest sympatyczny.

— Ale i tak nie możemy skorzystać i zabrać ze sobą nawet jednej sztuki.

— Przypuszczam, że bez kłopotów wytłumaczyłaś temu miłemu dyrektorowi, co wkładasz do skrytki?

— Czy nie powiedziałam mu szczerą prawdę? Nie pokazałam nawet kilku uroczych fragmentów, które napisała na temat krajobrazu?

— A on nie mógłby tego przeczytać?

— Musiałby naruszyć kawałek wosku, którym zaklejałam kopertę, zanim włożyłam ją do kasetki, a on osobiście dawał mi klucz.

Nuala prawdopodobnie mogłaby pracować dla Patricka i jego bandy idyotów.

— A więc nie wiedzą, że znamy tajemnicę śmierci Collinsa.

— Prawdopodobnie nie.

— I nie mają pojęcia, że wiemy o odwiedzinach w Lettermullen. Mogą nawet nie wiedzieć, że coś takiego w ogóle się zdarzyło.

— Jak sądzisz — Nuala pomachała do chłopca, który skinął w naszym kierunku widłami — wiedzą chyba, że ten mężczyzna, kimkolwiek był, kazał zamordować Collinsa? Nie chcą, żebyśmy się o tym dowiedzieli.

— Dlaczego nie, Nualo? Na miłość boską, dlaczego? To było tak dawno. Ten człowiek z pewnością już nie żyje.

— Jeśli mnie zapytasz — roześmiała się — a znając cię wiem, że to zrobisz, czy ci nie odpowiem, że tamci ludzie nie są mordercami, bo zabiliby cię już na samym początku? Nie chcą, żebyś się dowiedział ani kto zabił Michaela Collinsa, ani gdzie jest złoto. Znają wydarzenia z tamtych lat i orientują się, że twoi dziadkowie byli w nie wplątani. Gdy zacząłeś więc szukać powodów ich wyjazdu z Irlandii, by już nigdy do niej nie wrócić, tamci zlekli się, że się dokopiesz i do innych spraw. A jeśli tak się stanie, czy nie będą usiłowali cię przekonać, byś trzymał to wszystko w sekrecie dla dobra obu krajów?

- A więc mogę się spodziewać rozmowy po wyprawie po złoto?
- Jeśli nie wiedzą, gdzie jest, albo ukryli je gdzie indziej, nie będzie żadnej sprawy. Ale gdy je znajdziemy i stwierdzimy, że z niego korzystali, strasznie się wkurzą.
- Z pewnością. A skąd się dowiedzieli o udziale moich dziadków w tej aferze albo o złocie?
- O Neli Pat i Liamie dowiedzieli się od człowieka z samochodu. Przypuszczam, że był przyjacielem dziadka twojego kumpla Martina. Być może ten z samochodu wiedział o złocie i zostawił je im jako zapłatę za wykonaną robotę?
- Jest to bardzo wiarygodny scenariusz.
- Nie wiedzą, że mam listę członków.
- Nie, chyba że powiedziałaby im ten twój Patrick Michael, co jest mało prawdopodobne, bo on chce się mścić.
- Nie miałem zamiaru się o to spierać. Nie zdradziłem jej jednak mojego małego sekretu, związanego z tą listą. Nie miało to znaczenia.
- Wcale nie muszą tworzyć ściśle zorganizowanej grupy, Nul. Trudno byłoby utrzymać łączność między tymi wszystkimi ludźmi. Być może tylko niewiele osób zna nazwiska członków. Niewykluczone, że część działa niezależnie od reszty.
- Więc naprawdę nie są zawodowymi szpiegami jak twój kumpel?
- Musimy się dowiedzieć, czy w Mamene jest złoto i kim był facet w samochodzie.
- I wtedy sprawa będzie załatwiona.
- Może lepiej dam ci spokój, żebyś mogła skończyć tłumaczenie.
- Gdy dojedziemy do Killarney, chcę zobaczyć jeziora.
- Na pewno ci nie uciekną, jedziemy tuż koło Lady's View.
- Wszystko się zgadzało, niestety chmury deszczowe skłębiły się tak gęsto w punkcie widokowym, że jezior w ogóle nie było widać.
- Dojechaliśmy do Killarney i zatrzymaliśmy się na parkingu Great Southern Railway Hotel położonym naprzeciw dworca.
- Umieram z głodu — powiedziała Nuala. — Rozpaskudziło mnie to życie w stylu pierdzielonegonadżianegojankesa.
- Oboje roześmieliśmy się serdecznie, nasza przyjaźń powróciła już bez reszty.
- Myślałem, że po opuszczeniu południowego hrabstwa Dublinu nie będziemy używać takiego języka?
- To jedyny wyjątek.

Weszliśmy do jadalni Great Southern, gdzie panowała wilgoć, która brała się z deszczowej pogody, ale nie była bardziej mokra niż my. Zanim kierownik sali zdążył nas doprowadzić do stolika, usłyszeliśmy jowialny głos:

— Dermocie! Nualo! Ależ wybraliście sobie dzień na wycieczkę na zachód! Zapraszam was na lunch. A ty, młoda kobieto, czyż nie zwodziłaś mnie i wszystkich pozostałych gości lorda Martina?

Brendan Keane.

54

— Zwodziłam pana, panie ministrze? — Nuala roztaczała wszystkie swoje uroki. — Czyż mogłabym zwodzić członka rządu irlandzkiego?

Siedzieliśmy przy stole, czekając na sherry — dla mnie tylko jeden kieliszek, bo prowadzę. Minister przybył na otwarcie wystawy dzieł sztuki w Tralee i wieczorem wracał pociągiem do Dublina.

— Pewnie, że długo się jedzie, ale rozumiecie, dlaczego dziś wolałem się trzymać z dala od autostrady?

Zachowywał się tak rozbrajająco, że z łatwością można było zapomnieć obecność jego nazwiska na ręcznie napisanej liście członków Konsorcjum, między Peterem B. Joyce'em a Johnem H. McMahonem.

Znów zacząłem się mimowolnie zastanawiać, jakim sposobem Patrick wszedł w posiadanie tej listy i czemu dał ją mnie.

Co więcej, członek gabinetu republiki z pewnością ma do swojej dyspozycji limuzynę, gdy wyjeżdża z oficjalną wizytą. Toteż opowieść o pociągu jest mało prawdopodobna. Co zatem robił w Killarney? Czekał na nas? A dlaczego nie w Galway? Skąd wiedział, że zatrzymamy się w Great Southern, skoro my sami zdecydowaliśmy się na to zaledwie pół godziny wcześniej? Czy też czekał na kogoś innego?

Nuala prowadziła z nim błyskotliwą konwersację, ja zaś bacznie mu się przypatrywałem.

— Cóż — ciągnął minister, uśmiechając się dobrotnie — powiedziałaś nam, że z przyjemnością patrzyłaś na dziewczynę, która grała Pegeen Mike. A jak człowiek może sam sobie się przypatrywać?

— A nie przypatruje się pan sobie oczyma duszy? — powiedziała ta mała oszustka z najbardziej zniewalającym ze swych uśmiechów. — Każdy artysta w ten sposób ogląda swoje dzieło.

— Martin i ja byliśmy bardzo zdziwieni, gdy zadzwonił do nas amerykański attache, by nam powiedzieć, że jego żona widziała sztukę i zorientowała się, kim jest nasz młody gość, ale nie chciała o tym mówić przy stole, żeby cię nie stawiać w niezręcznej sytuacji.

Martin nie wspomniał o tym podczas lunchu. Kłóciło się to prawdopodobnie z jego zasadniczym rozkładem tematów do konwersacji.

— Gdybym po tylu komplementach przyznała, że to ja, nie zrobiłoby to przypadkiem okropnego wrażenia?

— Słusznie, młoda damo. Chylę czoło przed twoją skromnością. Co więcej, z czasem odkrylibyśmy prawdę, gdy o twoim talencie scenicznym zaczęłoby się robić głośno. Żałuję tylko, że przepuściłem to przedstawienie. Kiedy przeczytałem recenzje, było już za późno.

— To bardzo miło z pana strony, panie ministrze. Ale studiuję księgowość.

— Cóż to za straszliwe marnowanie talentu! — Podniósł kieliszek, by wypić zdrowie nas obojga. — Dermocie, czy zdołałbyś ją przekonać, żeby zmieniła zdanie?

— Ma własne — powiedziałem. — Ani mi w głowie je zmieniać.

Brendan Keane sprawiał wrażenie gładkiego i wymuskanego w garniturze, który wypadało nosić przed południem — politycy irlandzcy pokazywali się w nich, gdy tylko znaleźli po temu pretekst. Wyglądał w tym ubraniu na ciężko pracującego ambitnego polityka, wspinającego się po szczeblach kariery. Jednakże tutaj, w mrocznej jadalni tego starego hotelu w królestwie Kerry, zauważyłem w nim jakąś wewnętrzną słabość, której nie dostrzegłem w romantycznej georgiańskiej atmosferze rezydencji przy Merrion Square.

Zmarszczki w kącikach ust, rozbiegany wzrok, wymuszona wesołość, rwący potok słów, nerwowe ruchy palców — oznaki te składały się na obraz człowieka podstępnego.

Niczym amerykański polityk usiłujący w niedzielnym programie telewizyjnym wytłumaczyć swój błąd, wydawał się człowiekiem inteligentnym, czegoś mu jednak nie dostawało. Albo był trochę za sprytny.

Czy może patrzyłem na jego zachowanie przez pryzmat swojej wiedzy o Konsorcjum?

Nie, jednak nie. Był draniem — i to może za wielkim, by osiągnąć szczyty władzy w Irlandii. Polityk irlandzki może być spryciarzem — tego się wręcz od niego oczekuje. Ale nie powinien wyglądać na zbyt sprytnego.

W tej chwili działał w napięciu. Wiedział, że jesteśmy na tropie tajemnic, których wyjaśnienie może w dużym stopniu zagrozić jego karie-

rze. Czy pochlebstwami usiłował nas odwieść od dalszych poszukiwań? Czy starał się nas przekonać, że jest miłym facetem i żebyśmy nie stawiali go w niezręcznej sytuacji? Czy też wyrzucał z siebie miłą słów na minutę, uśmiechając się jak Richard Nixon, bo leżało to w jego naturze?

Jak Daniel P. Moynihan powiedział kiedyś o Henrym Kissingerze: „Zwodzi nie dlatego, że leży to w jego interesie, ale dlatego, że leży to w jego naturze”.

W naturze Brendana Keane'a leżało paplanie.

— W Dublinie jest mnóstwo młodych aktorek i śpiewaczek — Nuala tłumaczyła, czym kierowała się przy wyborze zawodu — lecz większość pracuje jako sprzedawczynie, a jeśli potrafią obsługiwać komputer — jako sekretarki. Nie mam powodu uważać, że jestem od nich lepsza.

— Recenzja w „Timesie” daje do zrozumienia, że masz wyjątkowy talent.

— Prawdopodobnie jestem dość dobra — trzeźwo oceniała swe zdolności, prosząc gestem o następny kieliszek sherry i rzucając mi ostrzegawcze spojrzenie — by występować w przedstawieniach amatorskich, co mi najzupełniej wystarczy. Więcej zarobię jako księgowa w Financial Services Center, ale gdyby jakiś teatr zaproponował mi rolę, chętnie bym się jej podjęła.

Czy muszę podkreślać, że odmówiłem drugiego kieliszka sherry? I tak miałem zamiar to zrobić. W każdym razie tak mi się wydaje.

— Nie zamierzasz emigrować do Ameryki?

— W tej chwili nie mam takich planów — odparła po króciusieńkim milczeniu.

Ja się nie odezwałem.

Dręczyła mnie pewna myśl. Przypuśćmy, że w pogoni za mną Nuala przyjechałaby do Stanów. Tu połączyłaby siły z moją matką, z moimi siostrami, szwagierkami, moim bratem księdzem i z całą resztą rodziny. Byłbym załatwiony, czy mi się to podoba czy nie.

Czy chwyciłaby się takich metod?

Czy papież jest biskupem Rzymu?

Czy św. Ignacy założył zakon jezuitów?

Święta Brygido, święty Patryku i Columcille!

A także Fintanie, Finbarze i Finianie — dla równego rachunku.

— Mógłbym oczywiście — paplał Keane — szepnąć słówko komu trzeba. Zrobiłbym to z przyjemnością.

— Byłabym panu ogromnie wdzięczna, panie ministrze, ale nawet nie widział mnie pan nigdy na scenie.

Niedbale machnął ręką.

— Wystarczy, że pokażę znajomym tę recenzję w „Timesie”.

— Po skończeniu studiów na wiosnę znajdą mnie w Financial Services Center.

— Masz już załatwioną tam posadę?

— Niezupełnie. — Uśmiechnęła się do kelnerki, która postawiła przed nią wędzonego łososia z Galway. — Ale czy mnóstwo firm nie zainteresowało się już moją kandydaturą?

— Na przykład jakie?

— Na przykład Saatchi and Saatchi czy Arthur Andersen.

Arthur Andersen to firma z Chicago o ogromnym zasięgu i wpływach. Nie muszą chyba importować zdolnych pracowników z Irlandii?

Zabraliśmy się do dania mięsnego (rozgotowany, lecz smaczny rostbef), podczas gdy minister perorował na temat możliwości rozwijania talentów dramatycznych i wokalnych tutaj, w kraju. Nuala spokojnie, lecz twardo obstawała przy swoim: byłaby szczęśliwa, występując na scenie, ale będzie pracować jako księgowa.

W Financial Services Center budowanym na brzegu Liffey? Czy mi nie mówiła, że zamierza pracować w mieście Galway, by być bliżej rodziców?

Może po prostu chce tu popracować kilka lat, nabrać doświadczenia i dopiero wrócić do Galway.

W szalonym świecie międzynarodowych interesów inteligentna, piękna i naiwna młoda dziewczyna łatwo padłaby ofiarą szalbierzy.

Co, ja zazdrosny?

A ponadto czy nie dowiodła prawdziwości twierdzenia, że sama potrafi o siebie zadbać?

Gdy kończyłem rostbef, minister zwrócił się do mnie:

— A jakie ty masz plany, Dermocie Coyne? Jesteś tak stanowczy jak Nuala?

— Obawiam się, że wręcz przeciwnie. — Staralem się, by mój śmiech zabrzmiał niefrasobliwie, podczas gdy gorączkowo szukałem odpowiedzi, i w końcu zdecydowałem się mówić prawdę, w każdym razie tyle, ile się da.

— Czyżby?

— Mniej więcej w połowie przyszłego tygodnia zamierzam polecieć do Chicago. Zgromadziłem tu tyle wrażeń, ile dałem radę wchłoniąć. Teraz chyba przysiądę fałdów i zimą napiszę kilka opowiadań.

Czyżbym w jego rozbieganych oczach dostrzegł wyraźną ulgę?

— Ale wrócisz do Irlandii?

— Chyba tak. Jednakże nie byłem w domu przez dwa lata. Na razie wystarczy tej włości.

— A więc to pierwsze i ostatnie spojrzenie na zachodnią Irlandię? Szkoda, że pogoda jest taka fatalna.

— Do jutra może się poprawić. Rodzina mojej matki pochodziła z Galway, nawet z twojego okręgu wyborczego. Chcę odwiedzić miejsca, gdzie się wychowali. A że to akurat w okolicy, gdzie mieszka rodzina Nuali, w czasie tego weekendu upieczemy dwie pieczenie przy jednym ogniu.

— Nasycić się miejscową atmosferą? — Bębnił palcami po stole, gdy kelnerka uprzątała talerze.

— I zrobić trochę zdjęć. Moi dziadkowie nigdy tu nie wrócili, o czym już chyba wspominałem. Chociaż moi rodzice i całe rodzeństwo w różnych okresach przyjeżdżali do Irlandii, z tego co mi wiadomo, żadne z nich ani razu nie odwiedziło Connemary. Przyda się więc parę zdjęć do archiwów rodzinnych.

— Bardzo chwalebne. — Zatarł ręce. Zauważyłem, że nosi za dużo pierścionków. — Mam nadzieję, że jutro i w niedzielę pogoda będzie wam sprzyjać.

— Ja też na to liczę.

— Mogę cię poprosić o ogromną osobistą przysługę? — Nie przedstawiał zacierać rąk. — Czy w wyniku odwiedzin tutaj opublikujesz jakieś opowiadania?

— Mam taką nadzieję.

— Czy po wydrukowaniu zechciałbyś przysłać mi odbitki? Jestem zdania, że powinno się je tutaj spopularyzować. Zwróciłem uwagę, że Amerykanie pochodzenia irlandzkiego chętnie przyznają się do irlandzkich wpływów w swoich pracach. Tutaj ten wpływ się odrzuca, jakby Amerykanie, w których żyłach płynie irlandzka krew, nie mieli prawa być Irlandczykami, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Sądzę, że to bardzo niepomysłne zjawisko. Rząd naszego kraju rozważa sprawę ustanowienia nagrody dla amerykańskich pisarzy i artystów, którzy mieli irlandzkich przodków. Finansowo to nic wielkiego, ale chcemy ich uhonorować. Chyba nie będziesz miał nic przeciwko temu, że zgłosimy twoją kandydaturę?

— Ależ skąd.

Nalegał, by zapłacić za nas rachunek.

— Budżet ministerialny. Zrewanżujesz mi się, gdy przyjadę do Chicago.

Nie oponowałem.

— Gówniarz! — wybuchnęła w samochodzie Nuala. — Wiem, że łamię własny zakaz, i nie zrobię tego więcej przed powrotem do Dublina, ale ten facet to kompletny gówniarz.

— Myślisz, że dał się nabrać?

— Byłeś fantastyczny, Dermocie, a mówisz, że to ja jestem wielką aktorką. Chyba go uspokoiłeś, ale jest tak roztrzęsiony, że nikt nie zdoła do końca go uspokoić... Teraz daj mi parę minut, a skończę tłumaczenie fragmentu, jak Ma wchodzi na statek. Ciekawe, czy nam powie, kim był ten facet w samochodzie.

55

4 października 1922

W życiu tak się nie pochorowałam.

Statek potwornie kołysze, a maleńka kabina, w której nas ulokowano, śmierdzi węglem i wymiocinami (moimi i jego), a także wieloma innymi zapachami, o których wolę nie myśleć.

Jestem chora przez ten ocean, jestem chora przez moje dziecko i jestem chora z tęsknoty za Irlandią.

Powiedziałam Liamowi o sztabce złota. Był zaskoczony, ale nie gniewał się na mnie, wcale a wcale. Śmiał się, gdy z zachwytem opowiadałam mu, co powiedział młody ksiądz, a potem wziął mnie w ramiona i wyszeptał:

— Nigdy się nie bój, Neli Pat, robić tak, jak uważasz. Nigdy cię nie skrytykuję ani nie będę się wściekał, że jesteś o tyle sprytniejsza ode mnie.

Czy to nie cudowne?

— To nieprawda, Liamie, wcale a wcale. Czy mój nieszczęsny ojciec nie mówił, że jesteś najbardziej rozgarniętym młodzieńcem w całym hrabstwie Galway?

— To możliwe, Neli Pat, ale i tak nie jestem taki sprytny jak ty, za co dziękuję Bogu, i jestem szczęśliwy, że zesłał mi tak wspaniałą żonę, a jeszcze do tego piękną.

— Zaczynam tyć—jęcę.

— Zawsze będziesz piękna — powiada całując mnie.

Mało się nie rozplakałam na wzmiankę o moim tacie, którego najprawdopodobniej już nigdy nie zobaczę. Tak samo jak mojej mamy ani

Moire, ani jej słodkiej małej córki, mojej chrześniaczki, która może nigdy nie pozna swych kuzynów.

A my oboje wiemy, że nie ma wyboru, musimy opuścić Irlandię, i że grozi nam śmiertelne niebezpieczeństwo, jeśli kiedykolwiek tu wrócimy.

— No i dobrze — powiada mój mąż. — Po tym wszystkim, co się tu wydarzyło, Neli Pat, wcale nie będę chciał tu wracać. Musimy zamknąć drzwi za tą częścią naszego życia.

— Ano tak. — Zgadza się z nim, bo wiem, że to wszystko prawda, zwłaszcza po naszej rozmowie z generałem Mulcahym.

Zupełnie nie przypomina Micka Collinsa. Jest drobny, raczej niewysoki, włosy nosi gładko zaczesane do tyłu, a z twarzy przypomina ministranta. Z początku może się wydawać, że to jakiś szczeniak, który chcąc udawać generała, nałożył ciemnozielony mundur, wysokie czarne buty i gruby skórzany pas z wielkim pistoletem. Czerwone wypustki przy kołnierzu i szpicrutę ma dokładnie takie, jak mają oficerowie brytyjscy. Przywodzi na myśl ołowianego żołnierzyka, który ożył. Jest również trochę sztywny i oficjalny, a nie bezpośredni, jak był nasz Mick.

Po krótkiej z nim rozmowie człowiek jednak zmienia zdanie. Jest bystry i zdecydowany, wierzy w Irlandię i pokój tak samo jak generał Collins.

— Nikt z nas nie przeboleje nigdy straty, którą ponieśliśmy tam tego sierpnia. — Wzdycha, uderzając szykowną szpicrutą w szykowny czarny but oficerski. — Ale zdradzilibyśmy Micka, gdybyśmy pozwolili, by jego marzenie zginęło wraz z nim. Ludzie, którzy wywołali wojnę domową, byli bardzo nierozważni, ale to Irlandczycy i nasi dawni towarzysze broni. Musimy jak najszybciej zawrzeć z nimi pokój.

Siedzimy w pokoju hotelowym w Galway. Miasto pozostaje teraz w rękach zwolenników Wolnego Państwa, dość spokojnie jest również na Północy, chociaż ci idjoci w Clare ciągle sprawiają trudności — w regionie, z którego wywodzi się Dev.

— A nieszczęsna Kit Kiernan?

— Mick powiedział pani o Kit? — Potrząsnął głową. — Biedna kobieta! Inteligentna, śliczna i bardzo wesoła. Ale jest słabego zdrowia — zdaje się, że to u nich rodzinne. Mick straszy się o nią martwił. Gdy się źle czuje, jest trochę niezrównowazona, ale Mick kochał ją z całego serca. Nadal jest w rozpacz, myślę jednak, że mimo słabego zdrowia i całej reszty dojdzie do siebie. Opiekuje się nią generał Felix Cronin, a to bardzo zdolny człowiek. W końcu wróci do normy. Micka jednak nie zapomni do końca życia.

— Biedactwo.

— Spełnimy jego marzenie, pani O’Riada, na pewno. Byłoby bardziej świetlane, gdyby to on je urzeczywistnił, i bardziej radosne, ale — tak mi dopomóż Bóg i Najświętsza Panienko — to będzie jego marzenie. Jego śmierć nie pójdzie na marne.

— Cieszę się, że to słyszę — powiada mój mąż.

— Nie wiem, czy zdajecie sobie sprawę, jak szalenie ważny jest wasz udział w spełnieniu wizji Micka Collinsa?

Patrzymy na siebie z Liamem.

— Raczej nie — powiada on.

— Wcale a wcale — mówię.

— Zdjęcie — uderza w nie szpicrutą — oraz historia, którą mi opowiedzieliście, przyczynią się do zakończenia niebawem wojny domowej. Obawiałem się, że będzie trwała całymi latami. Widzicie, Armia Narodowa jest marnie uzbrojona, źle wyposażona i słabo wyszkolona. Możemy zająć miasta i regiony, które popierają traktat. Brakuje nam broni i amunicji, żeby objąć rządy w całym kraju. Republikańskie oddziały partyzanckie mają raczej kiepskie wyposażenie, ale wiedzą, że i my nie dysponujemy lepszym. Dalej mogliby więc organizować od czasu do czasu zasadzki i w ten sposób opanować znaczną część Irlandii. Nie możemy po prostu zająć należnego nam miejsca w rodzinie narodów bez wewnętrznego spokoju. Co więcej, są w Anglii siły, które wciąż jeszcze żywią nadzieję na ponowną okupację Irlandii. Siły te nakazały zabicie Micka, sądząc, że był on jedyną osobą zdolną do zapobieżenia wiecznemu chaosowi w kraju.

— Mylili się — powiada mój mąż.

— Wierzę w to z całego serca, kapitanie. — Wzdycha i znowu uderza szpicrutą w but. — Mylili się co do Irlandczyków wielokrotnie w naszej całej wspólnej historii. Ale zawsze wygrywali. Niektórzy jeszcze i teraz nie tracą pewności, że znów powrócą.

Myślę sobie, że Irlandia będzie wreszcie wolna, ale już wolę żyć w innym miejscu, gdzie ludzie tak się nie zabijają w imię wolności.

— A zatem kontroluje pan prowincję? — pyta Liam, w którym na chwilę znów obudził się żołnierz.

— Tak jest, chociaż nie całą, ale dość, by przekonać co bardziej umiarkowanych republikanów, na przykład Deva — nigdy nie przekonamy nieszczęsnego Liama Lyncha — że kraj pragnie traktatu i że nigdy nie wygrają. Strategia małych potyczek, którą stosował Mick, jest skuteczna tylko w bardzo specyficznych okolicznościach, o czym sam zresztą mówił wszystkim, ale nikt go nie słuchał.

— Potrzebujecie więcej broni i amunicji? — spytałam.

— Właśnie, pani O’Riada, i podczas gdy mamy amerykańskie pieniądze, by kupić broń — choć nie tyle, co kiedyś — możemy ją sprowadzić tylko przez Morze Irlandzkie. Dotychczas nie nadchodziła. Myślę, że sytuacja niebawem się zmieni... Dość paradoksalny jest fakt, że samo posiadanie broni zapobiegnie konieczności jej użycia.

— A dlaczego uważa pan, generale, że broń teraz nadejdzie? — pyta Liam.

— Z powodu tego zdjęcia — stuka w nie szpicrutą — i historii, którą mi opowiedzieliście.

— Będą się bali, że wyjdzie na jaw?! — wykrzyknęłam. Dick Mulcahy uśmiecha się, jedyny raz podczas naszej rozmowy.

— Tak mi się zdaje, pani O’Riada. Byłoby to dla nich niezmiernie kłopotliwe. A choć nie orientują się zbyt dobrze w kwestii irlandzkiej, ten dokument będzie dla nich aż nadto jasny.

Duma mnie rozpira i mam nadzieję, że Wolne Państwo będzie wiedziało, co zrobić ze zdjęciem.

— Bez przesady więc można powiedzieć, że odegraliście istotną, doniosłą rolę w walce o wolność Irlandii.

— Zawsze będę z tego dumny — powiada mój mąż.

— Prawda? — dodaje.

— Dlatego jest mi tak przykro, że nie mogę was namawiać do pozostania. Zaslugujecie na hojną nagrodę za pomysłowość i odwagę. Należy się wam tytuł bohatera i bohaterki kraju, który tutaj usiłujemy zbudować. Może kiedyś, po wielu latach, będziemy mogli uhonorować was za dzielność. Teraz... — wzrusza lekko ramionami i jeszcze raz uderza szpicrutą w but. — Niewątpliwie rozumiecie, że wartość tej fotografii i opowieści, którą zapisałem tak, jak mi ją opowiedzieliście, w pełni zależy od waszej gotowości do utrzymania jej w sekrecie, przynajmniej do śmierci tego człowieka.

— Rozumiem — powiada Liam.

Ja nie rozumiem, ale nie ma to dla mnie znaczenia, poza tym nie chcę być bohaterką Irlandii.

— Decyzja o emigracji jest bardzo trafna i rozsądna. Wszystkie strony porozumiały się nieoficjalnie, że nie podejmą żadnych kroków przeciw tym, którzy opuścili kraj. Gdybyście pozostali, dla rozmaitych grup po różnych stronach byłoby dogodniej, żeby zabrakło pana wśród żywych, kapitanie, a być może pańskiej małżonki również. Ludzie na tej wyspie są pamiętliwi.

— No, tak czy tak, wyjeżdżamy — stwierdza mój mąż.
— Rozumiem, jest mi przykro, ale pochwalam waszą decyzję. Szkoda, że nie może być inaczej.
— Może wrócimy któregoś dnia, gdy to wszystko się skończy — powiadam.
Generał patrzy na mnie tymi swoimi łagodnymi niebieskimi oczkami.
— Odradzałbym to, pani O’Riada, jeszcze długo. Minie wiele czasu, może dziesiątki lat, nim będziecie mogli bezpiecznie wrócić do kraju, który pomogliście wyzwolić. Mówiąc szczerze, choć z wielkim bólem, najrozsądniej byłoby w ogóle nie wracać.
No i tak to się odbyło. Uścisnęliśmy sobie ręce, jeszcze raz podziękował nam za wszystko, cośmy zrobili, i odjechał samochodem, a my wsiedliśmy do wagonu trzeciej klasy, którym pojedziemy do Cork, by już nigdy nie wrócić do Irlandii.
— No i dobrze — mówi Liam. — Wcale nie jestem pewien, czy chciałbym wracać.
Oboje wiemy, że to nieprawda, ale musimy udawać i będziemy mu sili udawać tak długo, aż w to uwierzymy.
— Mamy siebie — biorę go za rękę — i nasze przyszłe wspólne życie.
— Ano. — I klepie mnie po brzuchu. — No i nasze małe.

56

Nuala szlochała, siedząc obok mnie w samochodzie. Zaczęła łkać, kiedy czytała ostatni zapis w notatniku Ma. Znając już całą opowieść, dała upust łzom bólu, smutku i wściekłości.

Pozwoliłem jej się wyplakać.

— Przepraszam za histerię, Dermocie — wreszcie pociągnęła nosem. — Nie jestem nerwową kobietą.

— Kobietą jesteś, Nualo Anne McGrail. Nerwową — nie. Te stronice skłaniają do łez. Moje też z czasem popłyną.

— Kiedy będziesz miał czas się nad tym zastanowić — zachichotała mimo pociągania nosem.

— Właśnie.

Oboje roześmialiśmy się.

— To jednak straszne, że tych dwoje dzieciaków poszło na wieczne wygnanie. Irlandia nie jest tego warta.

— Nie uwalnia to ostatniego wpisu od przejmującego cierpienia, ale jak powiedziałem, doszli do siebie. Doskonale im się powodziło aż do Wielkiego Kryzysu, lecz i te czasy jakoś przeżyli. Mama mówiła, że nigdy nie wyrzucili żadnego lokatora z powodu niepłacenia czynszu, a nawet wszystkim go obniżyli. W tym okresie Pa kupił mnóstwo ziemi, wychowali dzieci, posłali je na uczelnie i bardzo się wzbogacili w czasie dobrej koniunktury po wojnie.

— To nie łagodzi cierpień tamtych dni.

— Ani nie zaciera wspomnień. Ale nawet w najcięższych chwilach byli szczęśliwi i znacznie bogatsi, niż mogli sobie wymarzyć. Gdy zajęci byli dziećmi i interesami, Carraroe musiało im się wydawać młodzięcym snem.

Znowu przedzieraliśmy się między sznurami samochodów pędzących w piątkowe popołudnie przez starodawne miasto Limerick nad rzeką Shannon. Strugi deszczu, rzęsiste, mroczne i monotonne, nadal zalewały okolicę. W tym tempie do Galway dotrzemy późną nocą.

Widoczne za ścianą wody miasto, które w przekonaniu Nuali było wspaniałe, choć nigdy go nie zwiedzała, sprawiało wrażenie scenerii futurystycznego filmu ukazującego świat po wojnie nuklearnej: było szare, brzydkie, rozpadające się, chore.

— Nie wiesz, czy kiedykolwiek zobaczyli jeszcze kogoś z rodziny?

— Wycierała twarz ligninową chusteczką, przygotowana na porządny płacz przy czytaniu ostatnich stron.

— Z pewnością, jeśli wyemigrowali do Ameryki. Odnajdę ich, jeżeli w Carraroe natrafię na jakieś świadectwa chrztu.

— Może z upływem lat ich drogi się rozeszły. Tak jest z mamą i tatą oraz moimi siostrami i braćmi. Nadal się kochają, ale nie bardzo mają o czym rozmawiać.

— Nie powiedziała nam nazwiska człowieka w samochodzie, co, Nul?

— Nie. I chyba nie powie. Masz jakiś pomysł?

— Nie ufałbym Mulcahy'emu. Bezsprzecznie on sam nie jest człowiekiem z samochodu. Wydaje mi się jednak trochę za gładki — mały człowieczek z wielkim pistoletem. Wiele zyskałby na śmierci Collinsa. Mógłby przejąć dowództwo i prowadzić wojnę na swój sposób — a mówiło się, że bardziej mu było po drodze z republikanami niż Collinsowi. W końcu Kevin O'Higgins, który był ostoją Wolnego Państwa do czasu, gdy go zastrzelili, wyrzucił Mulcahy'ego, bo wydawał

mu się za miękki. Jeśli na tym miała polegać intryga, pozbycie się Liama i Neli było zręcznym posunięciem.

— Nie pomyślałam o tym — przyznała. — Mnie pan generał też się nie bardzo podoba.

— Jak na mój gust, był za układny — ciągnąłem. — Nie bardzo widzę, dlaczego tych dwoje dzieciaków, ledwie dorosłych na tyle, by iść na uniwersytet, miałyby znaleźć się w tak wielkim niebezpieczeństwie, zwłaszcza w przyszłości. Może więc historyjka, że za pomocą tego zdjęcia zmusi się Brytyjczyków do sprzedaży broni, została wymyślona, by pozbyć się Liama i Neli, a przy tym wpoić im poczucie, że przysłużyli się Irlandii.

— Bystry jesteś, Dermocie Coyne.

— To moja specjalność!

— Może to wszystko prawda. Ale jeśli nawet tak, nie umiem powiedzieć, czy kiedykolwiek zdołamy to udowodnić.

— Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek poznamy całą historię. — Zatrzymałem się na czerwonym świetle, tworzącym rozmazaną plamę w wirujących, kołujących, płasających strugach deszczu.

— Nie sądzisz, że to byli Brytyjczycy? — spytała Nuala.

— Generał McCready z armii brytyjskiej wściekł się z powodu zamordowania jego przyjaciela, marszałka polnego Wilsona, i podejrzewał Collinsa o wydanie rozkazu tej egzekucji. Mógł pragnąć zemsty. Jednakże był zwolennikiem wycofania się z Irlandii, bo wiedział, że wojna jest już nie do wygrania. Gdyby próbowali znowu narzucić angielskie rządy, kurek otwierający dopływ irlandzko-amerykańskich pieniędzy odkręciłby się ponownie, republikanie mogliby kupić więcej broni i sytuacja wróciłaby do stanu sprzed rozejmu.

— A Westminster? — spytała, jakby nie zdążyła sama już przemyśleć tych pytań.

— Rząd cywilów, Lloyda George'a i Churchilla, nie chciał oddać Irlandii, ale nie pragnął też ponosić kosztów ciągłych starć. Historycy są zgodni, że Churchill nie mówił poważnie, gdy groził powtórna okupacją. Ten krwawy imperialista chętnie znowu zająłby kraj, lecz zdawał sobie sprawę, że koszty byłyby za wysokie. Wcale to nie oznacza, iż nie udzielał ostrożnego poparcia moralnego tym kręgom, którym się nadal marzyło jedno królestwo na obu wyspach.

— Twoi znajomi z Konsorcjum? Może dziadek twojego przyjaciela?

— Z pewnością istnieje taka możliwość, Nul, co wyjaśniałoby obecność Martina Longwooda-Jonesa na tej liście, chociaż — gdy się

nad tym zastanowić — to raczej nie w jego stylu. Być może wciśnięto mu ten honorowy obowiązek, przekazywany z ojca na syna.

— To dziwni ludzie, ale — gotowa była bronić potomków założycieli Trinity College — są Irlandczykami tak samo jak my.

— Albo nawet bardziej.

— Taką teorię wolisz?

— Nie wiem. Jak mówię, ani na jotę nie wierzę generałowi Mulcahy'emu. Nie wierzę, by wieczne wygnanie naprawdę było konieczne.

— My, Irlandczycy, jesteśmy pamiętliwi.

— Coś podobnego!

— Czy istnieje powiązanie między złotem Casementa a śmiercią Collinsa — Nuala poczuła się detektywem i postanowiła dać temu upust — prócz tego, że Neli i Liam znali prawdę o tych obu wydarzeniach?

A może po prostu chciała się zorientować, jak dalece ja okaże się sprawny w roli detektywa.

— Jeśli w ogóle coś z tego rozumiem, to powiązanie może się kryć w tym, co zataili przed nami. Nie jestem pewien, czy akurat tuje znajduję. Jak wiemy, Daniel O'Kelly był zamieszany w obie sprawy, ale od dawna gryzie ziemię i wątpię, czy ktokolwiek chciałby chronić jego reputację.

— Czy więc wszystko może sprowadzać się do tożsamości mężczyzny w samochodzie?

— Długo nad tym myślałem, Nualo. Może nigdy się nie dowiemy, kim był. A jeśli nawet, to po siedmiu dziesiątkach lat sprawa ta może nie mieć żadnego znaczenia. A może nigdy o nim nie słyszeliśmy? Mógł być znany w Galway w 1922 roku, ale dla nas pozostanie nikim. Albo mógł być dalekim kuzynem Longwooda-Jonesa, człowiekiem, który już zupełnie teraz się nie liczy.

— Może. — Nie była przekonana.

— A jak ty uważasz, Nul?

— Uważam, że mamy do czynienia z idyotami, którzy nie zdają sobie sprawy z ryzyka, jakie podejmują, przywołując zmarłych, zwłaszcza w Sahmaintide.

Zjedliśmy podwieczorek — ze wspianiałymi placuszkami domowej roboty — w Old Ground Hotel w Ennis, dziwnym i uroczym miejscu, gdzie podobno w minionych latach spotykali się chłopcy z Brygady Clare („Ci idyjoci z Clare” — Nuala lekceważąco potraktowała całe hrabstwo i jego obywateli). Było już ciemno, późną jesienią w północnej Europie noc wcześniej zapada.

— Na drogach będzie luźniej, przecież ludzie wrócili już z pracy — usiłowałem wprowadzić jakąś optymistyczną nutę.

— Mammy chyba jeszcze kawał drogi do miasta Galway i dalej, do Carraroe?

— Możesz przenocować w hotelu St. Catherine.

Poważnie, tak nazywał się „szykowny hotel w Salt Hill”, gdzie Nuala chciała mnie ulokować. Podejrzywałem, że jej wyobrażenie szyku może się nieco różnić od mojego.

— Nie mogę. Skoro jestem tak blisko rodziców, przenocuję u nich. Z Salt Hill mogę pojechać autobusem do Carraroe.

— Nie, póki pracujesz u mnie.

— Nie możesz jechać drogą na Connemare w nocy i podczas takiej burzy — upierała się. — Do tego cały dzień siedziałeś za kierownicą, a odgłos wycieraczek działa na ciebie tak usypiająco.

Wyjście — pomyślałem sobie, zaprzestając dyskusji — byłoby takie, że Nuala zatrzyma się w Salt Hill, willowej dzielnicy na przedmieściach Galway na drodze do Connemary. Będę przekonywał i nalegał, póki nie przyzna, że mam rację.

Z Nualą zawsze będą dyskusje, w których przyzna mi słusność jedynie wtedy, gdy już absolutnie nie będzie miała racji, co nie zdarza się zbyt często.

Gdy mozolnie toczyliśmy się przez hrabstwo Clare, minęliśmy Burren — skalisty teren opadający do Atlantyku — o którym poeta laureat John Betjeman mówi, opisując skalistą ziemię: „Gdzie ludzie epoki kamiennej płodzą ostatnie plemię epoki kamiennej”, co jest metaforą o wydzwiku tak bardzo imperialistycznym, jak tylko można sobie wyobrazić.

Tyle że Irlandczycy, lud utrzymujący bezpośrednią więź ze swymi archaicznymi korzeniami, są dzięki temu bardziej, a nie mniej ważni dla świata. Żaden brytyjski imperialista nie jest w stanie tego pojąć.

Widziałem tylko autostradę do Clare, a i to niewyraźnie, bo wycieraczki na próżno się trudziły, aby usunąć deszcz z szyby. Nuala obok mnie spała; gdy spojrzałem na nią przelotnie, wyglądała niewiarygodnie młodo. Mimo całej swej werwy i inteligencji jest to nieśmiałe dziecko.

Chcę zaznaczyć, że choć byłem śpiący, nie przysnąłem. Mogę spać niemal wszędzie, w każdych okolicznościach i dowolnie długo — od paru minut do paru godzin.

Nigdy jednak nie usnąłem za kierownicą. Nigdy.

Choć kilka razy niewiele mi brakowało podczas owego długiego, mrocznego i ponurego dnia.

W pełni zdawałem sobie sprawę z tego, co robię, chociaż nie miałem może szczególnie wyostrzonej uwagi.

Znajdowaliśmy się na drodze między Dramore i Galway, prawie na skraju tego miasta. Ruch znacznie się zmniejszył i tylko od czasu do czasu jakaś para reflektorów raziała mnie w oczy, gdy usiłowałem w strugach deszczu utrzymać się po właściwej stronie jezdni.

Pomyślałem, że powinienem być stanowczo nakazać zatrzymanie się na noc w Old Ground w Ennis. Byłoby to rozsądne i przezorne. Nuala jednak chciała spać we własnym łóżku.

Uparta, swarliwa kobieta.

Późniejsze wydarzenia następowały bardzo szybko, trwały krócej niż napisanie pierwszej połowy tego zdania.

Potem wiele razy usiłowałem sobie odtworzyć, co się właściwie stało. Zawsze byłem pewien, że dwa razy zarzuciło samochodem i dwukrotnie traciłem panowanie nad kierownicą.

Opony tak z niczego nie wybijają w sobie potężnych dziur podczas deszczu na drodze z Dramore do Galway, no nie?

Jeśli dochodzi do dwóch wybuchów, to nie jest przypadek, który może spowodować ostry kamień na drodze, lecz musi to być usiłowanie morderstwa.

— Opona! Opona! — wrzasnąłem.

— Dermocie! — Nuala obudziła się i zarzuciła mi ramiona na szyję.

Benz przechylił się na jedną stronę, uderzył w coś, po czym zawisł i wpadł przodem do rowu. Zapamiętałem na koniec, że pochylił się na bok niczym żagłowiec przy silnym wietrze.

Potem wszystko zniknęło.

57

— Nic ci nie jest, chłopcze? — Spojrzała na mnie z niepokojem najbardziej irlandzka twarz, jaką tylko można sobie wyobrazić: okrągła, ruchliwa, wyrazista twarz człowieka, który niedawno przekroczył sześćdziesiątkę; w ułamku sekundy może się na niej odmalować wesołość lub smutek, śmiech bądź pociecha, pochwała albo potępienie.

Zamrugalem. Nie na długo straciłem przytomność, ale gdzie się znajdowałem i kim jest ten człowiek o irlandzkiej twarzy, w czarnym płaszczu przeciwdeszczowym i berecie?

Opona! Poszła mi przednia opona!

— Nuala! — wrzasnałem.

— Jeszcze żyję — westchnęła. — Tu jestem, obok ciebie, i odmawiam różaniec z wdzięczności.

— Spałaś, kobieto!

— Nie spałam!

— Chyba nic nam nie jest — powiedziałem do mężczyzny w berecie.

— Mów mi Ed, mów mi Ed! No więc nie ma się czym przejmować, wcale a wcale. Pierwsza rzecz, to musimy otworzyć drzwi — oznajmił. — Sprawdź, czy możesz poruszać wszystkimi członkami. Jeśli jesteś ranny, nie chcę ci jeszcze bardziej zaszkodzić. W razie potrzeby wyweź karetkę. Tylko się nie denerwuj. Wszystko będzie dobrze. Chryste Panie, wasi aniołowie stróże wyrabiają nadgodziny, co?

Samochód przechylił się na stok rowu, przy czym jedne drzwi się roztrzaskały, a drugie wygięły o rów. Podczas wywrotki rozbiły się szyby i rozleciał rozsuwany dach. Do środka przedostawały się strugi deszczu, byliśmy przemoczeni na wylot.

Bolało mnie wszystko. Ale ręce i nogi miałem chyba nie uszkodzone i oddychałem bez kłopotu.

— Mogę chyba żeglować dalej. A ty, Nualo?

— Ja jestem kompletnie rozbita. Ale nic mi się nie połamało.

— Masz paskudnie rozciętą głowę, ale tym się nie martw. — Z całej siły pociągnął za drzwi. — Nie ma się czym denerwować. Zaraz się wszystkim zajmiemy. Szpital jest całkiem blisko. A teraz pchnij drzwi z całej siły, jeśli możesz. Jeszcze raz. No, w porządku. Zobaczmy, czy dam radę was stąd wyciągnąć.

Podał mi rękę, a potem obaj pomogliśmy wyjść Nuali, która skarżyła się tylko na to, że jej nowiutka kurtka jest zupełnie zniszczona.

— Wypiłeś coś, chłopcze? — zapytał Ed, gdy zrobiłem parę kroków i stwierdziłem, że mogę chodzić.

— Nie — odparłem — z wyjątkiem kieliszka sherry podczas lunchu w Killarney.

— Zgadza się — wsparła mnie Nuala. — Czy choć na chwilę spuściłam go z oczu?

Roześmiał się gromkim, schrypniętym, zaraźliwym śmiechem.

— Nie wiem, jak to jest u was, jankesów, ale tu nie nazywamy tego picciem. Byłem ciekaw, przepaszam, że zapytałem, bo to nie moja sprawa, nie jestem policjantem, wcale a wcale. Widziałem, że nagle skręciliście, i czy zaraz nie odmówiłem modlitwy i nie zacząłem się zastanawiać, czy kierowca przypadkiem sobie nie wypił?

— Poszła nam opona, Ed. Dobrze, że się pomodliłeś, bo to musiało obudzić anioły, które mają patrolować tę drogę w burzliwe noce.

Zatrząś się ze śmiechu.

— Czy nie są to najbardziej zapracowane anioły na świecie? Zróbcie teraz po kilka kroków, żeby się upewnić, czy z wami wszystko w porządku. Niczym się nie martwcie. Z samego rana odholujemy wasze auto, a ja zadzwonię do agencji wynajmu samochodów, żeby dostarczyli wam inny wóz. Nic ci nie jest, dziewczyno?

— Mój anioł lepiej się starał niż jego. Nawet się nie skaleczyłam.

— No to dobrze. Pojedziemy do szpitala, żeby rzucili na was okiem, a potem będziemy się martwić, gdzie się zatrzymacie na noc. Tym się nie przejmujcie. Wszystkim się zajmujemy.

— Chyba nie mamy po co jechać do szpitala, Ed.

— To nic nie zaszkodzi, wcale a wcale. Zadzwonię na policję i opowiem im o wypadku. Macie straszną dziurę w oponie, co? Michelin powinien być na to odporny, czy tak? Ale nie były zaprojektowane na nasze kamienie w Galway, co, dziewczyno? A teraz wsadzimy was do mojego samochodu, jesteście całkiem przemoczeni, i pojedziemy do szpitala, co?

— Dobrzy samarytanie z Galway z pewnością są skuteczni — powiedziałem.

Znowu ryknął śmiechem, zaskakująco tubalnym i żywiolowym.

— Jak na jankesa masz poczucie humoru.

— Amerykanina irlandzkiego pochodzenia — poprawiła Nuala naszego nowego znajomego.

— Czy nie wiedziałem tego od pierwszej chwili, gdy spojrzałem na jego twarz, całą zalaną deszczem? I dokąd to jechaliście tak późną nocą, w czasie najgorszej burzy, jaka rozszalała się nad zachodnią Irlandią chyba od pięciu lat?

— Carraroe — powiedziałem. Wlekliśmy się w stronę jego samochodu — dużej czarnej lancierki, która stała na poboczu z włączonymi światłami i otwartymi drzwiami niczym wytęskniony port w czasie burzy.

— Czy to nie jest jedno z najpiękniejszych miejsc w świecie? Musiałbyś długo podróżować, zanim byś znalazł ładniejszą okolicę i miłszych ludzi. To jedno z najwspanialszych irlandzkich miast.

— Moja pani stąd pochodzi, tak samo jak moi dziadkowie.
— A więc muszę się wami szczególnie zaopiekować. Ludzie z Carraroe to nie byle kto, racja?

Podejrzewam, że znalazł pretekst do okazania nieszczęsnym podróźnym swojej dobroci, której i tak by nam nie szczędził.

Kim do diabła jest ten samarytanin, mówiący zachodnio-irlandzką gwarą z prędkością karabinu maszynowego?

— Musimy zabrać z samochodu nasze torby i drobiazgi — powiedziała Nuala.

— Czy już o tym nie pomyślałem? Nie martwcie się ani przez chwilę. Wsiadajcie, nie stójcie już na tym zimnie, a rzeczami zaraz się zajmujemy.

Ed przypilnował, byśmy się wygodnie usadowili, po czym podpreptał do naszego samochodu, nie bacząc na deszcz.

Po chwili przybiegł z naszymi torbami, torebką Nuali, moją kamerą oraz papierami i mapami z przedniego siedzenia.

— To chyba wszystko. Jeśli coś zostało, czy policja nie zabierze tego jutro rano? Nie martwcie się ani przez sekundę. Wszystkim się zajmujemy.

Wsiadł do samochodu i zamknął drzwi. Siedziałem na przednim fotelu, Nuala z tyłu. Ciągle jeszcze wydawała się trochę oszołomiona.

— Gdybyście nie mieli zapiętych pasów, mogło być już po was.

— On mi kazał — oznajmiła Nuala.

Nieprawda. Po prostu zapiąłem swój, a ona postąpiła tak samo.

Ed przeżegnał się.

— Chwała Bogu. Muszę powiedzieć, że znacznie mniej ludzi ginęłoby w wypadkach drogowych, gdyby wszyscy byli tak przezorni.

Włączył zapłon.

Nuala odezwała się po irlandzku.

Wyłączył zapłon, najwyraźniej zaskoczony, i odpowiedział w tym samym języku. Rozmawiali szybko i na poły żartobliwie, każde z nich spojrzało na mnie i skinęło głową, Nuala wruszając przy tym ramionami, a Ed śmiejąc się w głos.

— Jak mogłabym nie mówić po irlandzku — Nuala powróciła do angielszczyzny — skoro jestem z Carraroe?

— To najpiękniejsze miasto w całym hrabstwie Galway, żadne nie może się z nim równać — stwierdził stanowczo Ed. — Tylko się na mnie nie powołujcie, bo będę miał straszne kłopoty.

— Niech Bóg broni... Wasza ekscelencjo, czy mogę przedstawić Dermota Michaela Coyne z Chicago, Illinois, na którego nie mogę

powiedzieć złego słowa, chociaż to pisarz. Jego brat jest księdzem, a wujek Bill biskupem w Alton, w Illinois.

— Miło mi cię poznać, Dermocie — zgniótł mi rękę swoim wielkim łapskiem.

— Dermocie, to jest doktor Edward Patrick Hayes, biskup Galway i Kilmacduff, a także administrator Kilfenory z ramienia Stolicy Apostolskiej.

— Znam twojego wujka Billy'ego, który jest wspaniałym człowiekiem, wywodzi się z Galway i bardzo się troszczy o los biednych i uciśnionych. Cudowna dusza, doskonały teolog i strasznie dumny z młodego księdza w rodzinie.

— Cieszę się, że poznałem waszą ekscelencję, księżę biskupie — powiedziałem, gdy udało mi się trafić na chwilę przerwy w potoku jego słów.

— Skoro twój wujek jest moim znajomym, a do tego również biskupem, dalej mów do mnie Ed. Dziewczyna niestety nie może, skoro jest z Carraroe, bo czy przeszłoby jej to przez gardło?

Głośny wybuch śmiechu.

— Na pewno nie, wasza ekscelencjo — rzekła posłusznie Nuala i wtedy po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że klerykalizm nie jest jej obcy.

— Czyż Matka Boża nie okazała się łaskawa, kierując mnie właśnie na tę drogę i tuż za wami po powrocie z bierzmowania, które odbywało się dalej nad Shannon, kiedy poszła wam opona? Nie macie się czym przejmować, wcale a wcale. Wszystkim się zajmujemy, a jutro z samego rana będziecie w drodze do Carraroe. Czyż nie powinienem się upierać, by siostrzeniec Billy'ego Ready'ego przenocował u mnie, zwłaszcza gdy cudem wyszedł z wypadku?

— Doprawdy nie możemy... — zacząłem.

— Ani słowa więcej! Ani słowa! Podjedziemy tylko na chwilę do szpitala, a potem znajdziemy wam jakieś suche ubrania, łóżka i trochę kropelek na rozgrzewkę.

Biskup. Irlandzki biskup. Jak powiedziałyby pewnie Nuala w innych okolicznościach: sakramencki irlandzki biskup!

— Co mu o mnie powiedziałaś, jak rozmawialiście w tym pogańskim języku? — zapytałem Nuali Anne McGrail, gdy biskup wyszedł z saloniku, by zrobić jeszcze trochę kawy po irlandzku.

Dom biskupa to duże wiktoriańskie gmazyszko z przestronnym podwórzem i widokiem na zatokę Galway w oddali, „ale w deszczu nic nie widać”.

Nuala, owinięta w szlafrok, ręczniki i koce, od godziny śpiewała piosenki irlandzkie i angielskie i była bardzo z siebie zadowolona.

— A nie pytał mnie, czy jesteś moim narzeczoną albo kochanką, i nie musiałam mu odpowiedzieć, że jesteś dobrym człowiekiem i dżentelmenem, ale nic między nami nie ma, więc tym gorzej dla mnie?

Twarz, i tak rozgrzana od ognia buzującego na kominku, rozplamiła mi się jeszcze bardziej.

— A co on na to?

— Powiedział, że wyglądasz na porządnego chłopaka i że mam szczęście, skoro poznałam tak dobrego człowieka, na dodatek jankesa. Powiedziałam, że chcesz, by cię uważano za Amerykanina irlandzkiego pochodzenia. A on na to, że jesteś podobny do wujka, tylko wyższy, a ja mu mówię, że straszny z ciebie jełop, no nie, i...

— Dosyć. Dosyć... Czy kiedykolwiek idzie się spać w tym domu?

— Powiadają, że jego ekscelencja przez całą noc śpiewa i dyskutuje ze swymi gośćmi, a następnego dnia wstaje rano rześki jak skowronek, bez śladu znużenia.

— A jego goście?

— Ledwo trzymają się na nogach, co?

— Wcale bym się nie zdziwił.

— Kawa po irlandzku. — Biskup Hayes, w czarnym golfie i spodniach tego samego koloru, wpadł do pokoju. — Zrobiłem ją według własnego przepisu. Czy nie wymyślił jej w San Francisco rodak z Limerick, bo ja też jestem z Limerick? Wypijcie, póki gorąca. Czy nie będzie wam po niej łatwiej zasnąć, kiedy za jakiś kwadrans pójdziecie do łóżka?

Nie byłem pewien, bo kawa raczej nie ułatwia zasypiania, a za kwadrans do łóżka szliśmy już od półtorej godziny.

Na nogach trzymał nas istny festiwal pieśni. Sącząc kawę (z dużą ilością śmietanki i jak mi się zdaje jeszcze większą ilością whisky),

doszedłem do wniosku, że biskup i moja Nuala mają pewnie zamiar wyśpiewać wszystkie znane im piosenki. Nuala bawiła się jak nigdy w życiu. Prosta wiejska dziewczyna z Carraroe współzawodniczyła w śpiewie z jego ekscelencją biskupem Galway (nie trzeba też zapominać o Kilmacduff i Kilfenory, gdziekolwiek te dziury mogą się znajdować). Wszystko mnie bolało, mimo irlandzkiej kawy, a powieki same mi opadały.

Zaczynała mi świtać pewna myśl. Biskupowi Hayesowi możemy zaufać. Jeśli opowiem mu o naszej zagadce, prawdopodobnie będzie wiedział, co robić i do których członków rządu irlandzkiego zwrócić się o pomoc.

— Nie zastanawiajcie się nad tym ani chwili dłużej. Może zadzwonię po paru chłopaków, którzy się wszystkim zajmą? To już ustalone, nie będziemy więcej mówić na ten temat.

Właściwie to niezły pomysł. Biskup sprawia wrażenie człowieka znacznie mniej tajemniczego i nawiedzonego niż Patrick, niech będzie Patrick Michael, i na pewno lepiej zna swój kraj. Rozejrzymy się trochę po okolicy w czasie weekendu, a w poniedziałek rano wrócę tu i wszystko mu opowiem.

Przewalił się przez sympatyczny senny szpital niczym dobrotliwe tornado.

— Ach, to wasza miłość biskup Galway — powiedziała na cały głos młoda pielęgniarka w izbie przyjęć — z dwojgiem jankesów, którzy omal nie zginęli w wypadku. Spokojnie, zaraz się nimi zajmiemy.

— Jedna osoba jest Irlandką, a druga Amerykaninem irlandzkiego pochodzenia — wymamrotała Nuala, ciągle jeszcze oszołomiona i roztrzęsiona.

Niemal natychmiast opadło nas mrowie lekarzy, pielęgniarek i laborantów. Odniosłem wrażenie, że nie brak im kwalifikacji, ale w normalnych warunkach nie odczuwają szczególnej chęci do pracy. Jednakże w obecności wielebnego biskupa Galway i czego tam jeszcze personel nabrał niespotykanej energii — o, będą opowiadać o jego odwieczinach jeszcze przez cały następny tydzień.

— Ach, czy jankes z Chicago nie wyglądał jak wielki blond jełop, piłkarz, dacie wiarę, ale taki miły i kochany, że wprost się w głowie nie mieści?

— A ona jest z Carraroe, śliczna jak z obrazka, do tego studentka Trinity College i tak sympatyczna, że aż miło, i mówi po irlandzku, i zgrywa się ze swojego chłopaka, a także z samego biskupa, co mu się strasznie podoba.

— Czy są kochankami? Trudno powiedzieć, może nie w technicznym sensie, jeśli rozumiecie, o co mi chodzi, ale zapamiętajcie moje słowa, zagięła na niego parol i nie można się jej dziwić, wcale a wcale.

— Czy z Gaeltacht nie pochodzi parę ładnych kobiet? Ta miała zupełnie niesamowite cycki, możecie mi wierzyć.

— Nie, nic im nie jest, wcale a wcale. Jego ekscelencja po prostu dmucha na zimne. Przecież go znacie. Czy nasz jankes nie nazwał go miłosiernym samarytaninem z Galway, a to przecież święta prawda, zgadza się? Zatrzymaliśmy ich na chwilę, zrobiliśmy prześwietlenie, parę badań, założyliśmy opatrunek na jego skaleczenie i wypuściliśmy ich.

— Ta mała miała ładny tyłeczek, co?

— Jak ci nie wstyd, biedna dziewczyna mogła się przekręcić. Ale coś w tym jest, co mówisz.

Nie wiedzieli, że niżej podpisany zajmuje się pisaniem, i gdy błyskali mu w oczy latarką i uderzali metalowymi młoteczkami w kolana, chodziło mu po głowie opowiadanie z takimi właśnie dialogami.

To będzie wspaniałe opowiadanie. Kapitalne.

Tylko czy ktoś uwierzy, że tak oszałamiający człowiek jak biskup Edward Patrick Hayes w ogóle chodzi po tym świecie?

A kit im w ucho, jeśli nie uwierzą.

Gdy w szpitalu odprawiono już wokół nas wszystkie rytualne czynności, a kilka siostr i lekarek poprosiło biskupa o autograf, nie było mowy o żadnym Salt Hill czy Carraroe, w ogóle najmniejszej dyskusji.

— Czyż nie jest za późno? Hotele będą zamknięte, ciemno choć oko wykol, a szosa jest za mokra, żeby jechać do Carraroe, nawet gdybyście mieli samochód. I czy Billy Ready w życiu by mi wybaczył, gdybym pozwolił jego siostrzeńcowi i tłumaczce iść w taki deszcz? Nie, i to załatwia sprawę. Ty możesz spać w gościnnej sypialni, a twoja pani w służbówce przylegającej do pokoju gospodyni, która jest trochę głucha, tak że nie obudzi jej nasze przybycie. Czyli wszystko załatwione.

Naturalnie, wszystko zostało załatwione.

A potem śpiewaliśmy, no, powiedzmy — to raczej Nuala i biskup śpiewali do trzeciej w nocy.

A ja słuchałem opowieści biskupa o latach, które jako młody ksiądz spędził w Londynie, i wtedy właśnie doszedł do wniosku, że jego trzódka potrzebuje domów, więc „jak mi Bóg miły, zbudowałem dla nich domy”.

— Było to największe prywatne przedsięwzięcie w zakresie budownictwa mieszkaniowego w Londynie — dodała Nuala, najwyraźniej dobrze zorientowana w legendzie Eda Hayesa.

Wieczór trwał. Dyskutowaliśmy o Salwadorze i Nikaragui, Ronaldzie Reaganiu i wkładzie Amerykanów irlandzkiego pochodzenia w finansowanie IRA na Północy. Na próżno starałem się przekonać biskupa, że jestem demokratą, że nie znoszę Reagana i głosowałem przeciw poprzedniemu prezydentowi.

— Biedak, niedługo całkiem zaśnie — ulitowała się w końcu nade mną Nuala. — Może powinniśmy wysłać go do łóżka?

— Boże, naprawdę chcesz spać, Dermocie Michaelu Coyne? — uśmiechnął się od ucha do ucha. — Nie byłbyś dobrym biskupem, wcale a wcale. Czort z tobą. Idź sobie do łóżka, zepsuj całą zabawę, nic mnie to nie obchodzi.

— To był wspaniały wieczór. — Miałem nadzieję, że uda mi się go zapamiętać, by to wszystko potem opisać.

— Ani słowa więcej. Miło mi było spędzić czas w waszym towarzystwie. Spijcie, do której chcecie. Mieliście ciężki dzień. Pierwsza rzecz, jaką jutro zrobię, to zadzwonię do sklepu w Carraroe, Nuala, żebyś mogła porozmawiać z rodzicami. — Wymówił jej imię tak, że zabrzmiało jak czysta muzyka. — Zadzwoniłem już na policję, a jutro z samego rana skontaktuję się z agencją wynajmu samochodów. Podstawiają wam wóz, zanim się obudzicie.

Zaprowadził nas do naszych pokoi w przeciwległych krańcach budynku. Ja niosłem torbę Nuali, a on moją. Następnie biskup ruszył z powrotem po schodach, by „posprzątać po pracy i odmówić do końca brewiarz, nim pójde spać”.

Gdy usiłowałem nakłonić swój zamroczony umysł, by kazał mi się rozpakować i rozebrać, do moich drzwi zastukała Nuala.

Oparta o framugę, wygodnie owinięta najgrubszym szlafrokiem, przypominała dziewczęcego krasnoludka, lecz ten wymięty stworek nie wydawał się szczególnie uwodzicielski.

— Nie bój się, jego wielbność siedzi na dole i stuka w komputer. Przyszłam cię tylko pocałować na dobranoc i zapytać, czy będziesz snuł fantazje o kochaniu się w pałacu biskupa.

— Kobieto, gdybym nie był taki wykończony, wytracony z równowagi przez ten wypadek i zamroczony irlandzką kawą oraz twoim ukochanym biskupem, w ogóle całym tym dniem, i gdyby tu była odpowiednia kandydatka, to owszem, snułbym takie fantazje.

— Spodziewałam się, że powiesz właśnie coś takiego, ale co mogę na to poradzić? W innym wypadku, mówiąc szczerze, wcale bym nie zastukała. Więc będzie musiał nam wystarczyć pocałunek na dobranoc.

Pocałunek najpierw był gorący, a potem zrobił się namiętny. Chciałem trzymać ją w ramionach całą wieczność i jeszcze dłużej.

— Cieszę się, że cię nie straciłam na tej drodze do Dramore — powiedziała, gdyśmy przestali.

— I ja się cieszę, że ciebie nie straciłem, Nualo.

Dzisiaj powiadam sobie, że gdybym nie był tak krańcowo wykończony, pofolgowałbym fantazjom, które przede mną roztoczyła. Ale wiem, że to nieprawda.

— Kocham cię. — Wyrwała się z moich objęć i wymknęła z pokoju. — I, Dermocie Michaelu Coyne, witaj w hrabstwie Galway!

59

Nuala w Carraroe była prawdziwą Nualą, jaką w Dublinie przedstawiłem burmistrzowi Chicago: nieśmiałym dziecięciem, nie tylko w Bergmanowskim rozumieniu, jako nieśmiała kochanka, ale w znaczeniu dosłownym: młodą dziewczyną, tak samo cichą i zrównoważoną, jak jej uroczy i przystojni rodzice. Ta Nuala potulnie mówiła: „Tak, mamusiu”, gdy matka łagodnie ją strofowała: „Ach, kochanie, nie powinnaś mówić po irlandzku przy swoim młodemu przyjacielu, jeśli on nie zna naszego języka”.

Potem przepraszała mnie bez śladu ironii:

— Przepraszam cię, Dermocie, gdzie się podziało moje dobre wychowanie?

— My tu, w Carraroe, jesteśmy bardzo cichutcy — szeptała mi później.

— Nuala z Carraroe najbardziej mi się podoba.

— Naprawdę? — Wyglądała na zdziwioną. — A to dlaczego?

— Bo bardzo przypomina swoich cudownych rodziców.

Potrząsnęła głową, nie mogąc tego pojąć. Potem zarumieniła się.

— Może częściej powinnam się zachowywać tak jak ona — powiedziała.

W atmosferze Carraroe wydawała się jeszcze bardziej pociągająca. I jeszcze bardziej lękałem się naruszyć jej młodzieńczą niewinność.

Czy ja nie przesadzam z tą niewinnością?

Po upływie wielu miesięcy, z odległości tysiąca mil i po owej długotrwałej czynności, którą nazywam myśleniem, na pytanie to muszę odpowiedzieć przecząco. Była tak niewinna, jak się wydawała. Dubliński sposób bycia stanowił maskę, choć nie do końca nieautentyczną — żadna maska taka nie jest. Byłem jedynie przekonany, że niewinności obce są wszelkie sprytnie knowania, i na tym polegał błąd, jaki popełniłem w ten brzemienny w wydarzenia weekend.

A przecież po przeczytaniu dziennika Ma nie powinienem był się go dopuścić.

Tym razem to ja spałem do dziewiątej. Obudził mnie hałas na drodze przebiegającej obok biskupiego domu oraz błękit zatoki Galway w oddali, rozświetlonej promieniami triumfującego słońca. Chciałem odwrócić się na drugi bok i podjąć na nowo przyjemne marzenia, których erotycznych treści nie mogłem sobie przypomnieć. Potem uświadomiłem sobie, gdzie się znajduję i co to za dzień. Wskoczyłem z łóżka, wpadłem pod prysznic (lodowaty) i zbiegłem na dół, gdzie rozchodził się zapach śniadania.

Biskup Hayes, w księżowskiej koszuli bez koloratki, siedział z Nualą przy stole, paplając po irlandzku — przy czym większość paplaniny wzięła na siebie Nuala. Gdy wszedłem, przerzucili się, nieco zmieszani, na angielski i dałbym sobie głowę uciąć, że zmienili temat.

— Tłumaczyłem twojej pani — zaczął biskup — plan modyfikacji programów nauczania dorosłych w mojej diecezji. — Klepnął w leżące na stole papiery. — Czyż nie pracowałem nad tym od szóstej rano?

— Nie czekał więc ksiądz biskup na nas ze śniadaniem?

— Co rano odmawiam różaniec, odprawiam mszę i zjadam śniadanie, bym o pół do szóstej mógł już siedzieć przy biurku i skończyć pracę, nim zacznie dzwonić telefon. Ale teraz już siadaj i sam jedz śniadanie. Twoja pani coś ci zostawiła?

— Niewiele — spojrzałem na stół — ani kromki ciemnego chleba.

— Kucharka będzie zachwycona. — Ed Hayes wypadł do kuchni.

— Bardzo prawdopodobne. — Usiadłem i uśmiechnąłem się do Nuali. — Dzień dobry, koleżanko McGrail.

— Dzień dobry, kolego Coyne.

— Dobrze spałaś?

— Dość dobrze. — Uśmiechnęła się filuternie. — Ale mogłabym lepiej.

Nie zaryzykowałem riposty.

Wydawała się nadzwyczaj z siebie zadowolona, jakby dostała jakąś radę od biskupa, która bardzo przypadła jej do gustu.

Biskup Hayes wpadł z powrotem, niosąc olbrzymi talerz pełen świeżego ciemnego chleba.

— Fionna jest zachwycona. Jedźcie do syta, nic was nie goni... — z entuzjazmem zatarł ręce. — Wszystko już załatwione. Policja sporządziła raport z wypadku. Agencja wynajmu samochodów przesłała go do swojego towarzystwa ubezpieczeniowego. Samochód zostanie naprawiony tu, w Galway, choć zajmie to przynajmniej tydzień, a w ogóle nie powinniście zwracać sobie tym głowy.

— Wielkie dzięki — powiedziałem.

— Podstawili wam już renaulta. Nie jest taki wielki jak twój benz, ale to dobry, sprawny samochód, największy, jaki tu mają. Po weekendzie możesz go odprowadzić do Dublina albo zostawić tutaj i wrócić pociągiem — jedzie się trzy godziny. Dzwoniłem do hotelu St.Catherine w Salt Hill i powiedzieli mi, że trzymają waszą rezerwację. Zadzwoń do matki twojej pani, która nie bardzo chciała uwierzyć, że jestem biskupem Galway, ale spodziewają się was w porze lunchu. Co jeszcze mogę dla was zrobić?

— Załatwić wygraną w irlandzkim totolotku?

Ryknął śmiechem. Nawet nadobna Nuala uśmiechnęła się pobłażliwie.

— Po południu zadzwonię do jego ekscelencji z Alton w Illinois, co mi tam, i powiem mu, że ma kapitalnego siostrzeńca. A do tego wspianiale umiesz opowiadać.

Nie przypominam sobie, żebym o czymkolwiek opowiadał.

— Dzięki.

— Wybaczcie, ale teraz muszę was opuścić. Mam do załatwienia parę telefonów i spotkanie z dwudziestoma moimi proboszczami, co mi zajmie cztery godziny. Pamiętajcie, żeby tu wstąpić w drodze powrotnej do Dublina.

Jakby gnany wichrem wypadł z pokoju.

— Wszyscy święci, miejcie nas w opiece! — Nałożyłem na ciemny chleb grubą warstwę dżemu truskawkowego, bardzo przyzwoitą namiastkę dżemu malinowego. — Istny wulkan!

— Musisz wiedzieć, że uwielbiają go w całym hrabstwie Galway. Gdyby wszyscy księża na świecie byli tacy jak on, mielibyśmy wspinały Kościół, co?

— Rzeczywiście... Jak się czujesz?

— Trochę jestem obolała, ale poza tym nieźle. A ty?

— Tak samo.

— Pośpiesz się, żebyśmy mogli jak najwcześniej wyjechać do Carraroe.

— Nie ma co tak pędzić, ludzie epoki kamiennej mają inne poczucie czasu. Jeśli rodzice wiedzą o moim przyjeździe, nie musimy gnać.

Gdy wrzucaliśmy torby do renaulta, panował chłód, lecz niebo było czyste, od wczorajszego dnia pogoda odmieniła się zupełnie. Zatoka Galway promieniała niczym Zatoka Neapolitańska.

— Zupełnie jak w Neapolu — powiedziałem, wkładając torby do bagażnika.

— Widziałam tylko zdjęcia, ale dzisiaj jest ślicznie, co? Nie muszę ci chyba mówić, że nie zawsze mamy neapolitańska pogodę?

Nuala uśmiechała się z zadowoleniem, dumna, że jej rodzinne hrabstwo tak się dobrze stara. Potem zrozumiałem, dlaczego jest w takim wspaniałym humorze — jedzie do domu. Zrozumiałem też, dlaczego płakała tak gorzko nad końcowymi zapiskami Ma w pierwszym zeszyście.

Wiedziała, jak trudno żegnać tyle piękna, nawet jeśli słońce nie co dzień zachodzi nad zatoką Galway, chociaż tak chce piosenka.

— A czy w Neapolu też czasem nie pada?

— Ach, psujemy cię, Dermocie Michaelu, zaczynasz mówić jak miejscowy.

— To by dopiero było — powiedziałem, zapuszczając silnik.

Sztywniałem ze strachu, jechałem więc bardzo powoli i ostrożnie, podskakując na widok każdego samochodu, który mnie mijał — nie przestawałem kombinować, po której stronie drogi powinienem być w takiej chwili.

Sunąc ostrożnie brzegiem zatoki, martwiłem się jednak czymś jeszcze prócz pojazdów na szosie.

Byłem przekonany, że to nie ostry kamień, lecz kula rozerwała oponę na strzępy. Jak dotąd nikt nie usiłował nas zabić. Strzał w oponę niekoniecznie musi oznaczać próbę zabójstwa. Mógł być po prostu jeszcze jednym ostrzeżeniem. Gdyby chodziło im o morderstwo, strzelaliby do kierowcy, nie w koło. Z drugiej strony rozwalona opona mogła doprowadzić do śmierci nas obojga. Jakby chcieli powiedzieć: „Nie mamy zamiaru was zabić, ale jeśli zginiecie w wyniku spowodowanej przez nas katastrofy, to wasza sprawa”.

Gdybym jechał szybciej albo nie uderzył w rów pod odpowiednim kątem, policja mogłaby przypisać naszą śmierć nieszczęśliwemu wypadkowi — jankes jechał nieznaną sobie drogą podczas paskudnej pogody.

Czy to wiadomość od Brendana Keane'a? Czy minął nas na drodze, a potem czekał w zasadzce?

Albo, co bardziej prawdopodobne, czy działał z wyprzedzeniem? Czy było to zaplanowane od początku, bardziej brutalne i niebezpieczne ostrzeżenie z serii, która rozpoczęła się wizytą nadinspektora Conlona w hotelu Jury?

Nie podzieliłem się tymi rozważaniami z Nualą. Pewnie też już o tym myślała.

Hotel St. Catherine był dość wygodny, choć to nie to, co Jury. Obsługa sprawiała sympatyczne wrażenie, wszyscy znali Nualę, więc powiedziałem, że jest wspaniała, i pojechaliśmy wzdłuż brzegu zatoki autostradą L100.

Nuala nie przestawała mówić o krajobrazie. Wznowiła opowieść od opisu starej rybackiej wioski Claddagh, po drugiej stronie rzeki patrząc od Galway, której orkiestry, przygrywające na weselach, stały się słynne na cały świat.

— Czy nie padła ofiarą przebudowy miejskiej i nie stanowi jednej z obcych wam subkultur?

Usłyszałem wiele na temat katedry pod wezwaniem św. Mikołaja (należącej do Kościoła irlandzkiego), parku imienia Kennedy'ego naprzeciw hotelu przy stacji, potem o Łuku Hiszpańskim, o kupieckich rodzinach Galway — także O'Kellych — i ich zamkach.

— Daniel O'Kelly musiał być potomkiem jednej z tych rodzin, pragnącym odzyskać nieco z utraconej fortuny — powiedziałem.

— To było tak dawno temu.

Gdy jechaliśmy wzdłuż plaży w Salt Hill, pokazała mi pole golfowe.

— Jest podobno jednym z najlepszych w Irlandii. Przypuszczam, że taki wielki jełop jak ty nie gra chyba w golfa?

— Kobieto, gram.

— Pewnie z wysokim handicapem, co?

— Cztery.

— Cztery? — Wyraźnie zrobiło to na niej wrażenie.

Ile to już czasu upłynęło, nim zamachnąłem się, by uderzyć piłkę w Butterfield, rodzinnym klubie sportowym?

— A nie powiedziałem wyraźnie?

— No cóż — zaczerpnęła głęboko powietrza — powinieneś więcej ćwiczyć, żeby zejść do zera.

Oboje ryknęliśmy śmiechem.

— Trochę trwało, nim wyszłaś z tą ripostą.

— Czy babcia ci tego nie mówiła?

— A także moja mama, siostry, szwagierki i zakonnice, które uczyły mnie w szkole!

Opowiedziała mi o wszystkich jarmarkach i świętach, stanowiących wielkie wydarzenia w życiu Connemary.

— Może twoja babcia kupiła kucyka na jarmarku, gdy była dziewczynką.

— Miałś kucyka, Nualo?

— Ależ nie. Czyż nie byliśmy za biedni na kucyka? Dostałam później rower i czy to nie wystarczy?

Wyjechaliśmy za Spiddal (jak poinformowała mnie moja przewodniczka, odbywają się tu zawody sportowe — prowadzone w języku irlandzkim — w których zdobyła nagrodę w biegach) i dotarliśmy aż do najdalszego skrawka półwyspu Connemara, gdzie ląd i woda, wzgórze i dolina stapiają się w dramatycznej konfiguracji. W tej okolicy już dawno wycięte zostały lasy, a teren nie jest tak górzysty, by można było snuć porównania z norweskimi fiordami, jednakże połączenie oceanu, jeziora, tynkowanych na biało (albo niebiesko lub czerwono) domków na brzegach jezior, stromych ścieżek obramowanych kamiennymi płotkami, pobielonymi wapnem — to było niezwykle i oszałamiające.

— Cudowne, Nualo. Niewiarygodne.

— Prawda? — rzekła, promieniejąc z powodu bliskości domu.

— Ale, Dermocie, to uboga ziemia i my jesteśmy ubodzy, straszliwie wprost ubodzy.

— I ja mam być tym przerażony?

— Nie.

— A moi dziadkowie nie pochodzili stąd?

— Pochodzili.

— Muszę ci jeszcze raz powtarzać, że nie jestem snobem?

— Tylko świętoszkiem. — Roześmiała się radośnie. — Ach, Dermocie najdroższy, nie będę się dzisiaj z tobą kłócić. Taka jestem szczęśliwa, że wróciłam do domu, bo tu jest moje miejsce.

Istotnie tu jest jej miejsce, lecz porzuciłaby je dla mnie bez chwili wahania.

Jak Ma była gotowa porzucić je dla Pa.

Ja również w pewnym sensie wracałem do domu. Mama czasem opowiadała mi, jaki to piękny kraj, dodając jak Nuala niemal słowo w słowo: „i do tego straszliwie ubogi”.

W promiennym słońcu jesieni Carraroe wyglądało niczym korona wysadzana drogimi kamieniami: pasy zielonej i brązowej ziemi,

gospodarstwa i bagna tworzyły jej podstawę, a jeziora były wielkimi błyszczącymi klejnotami.

Miasto nie składało się ze skupiska budynków, lecz kilku ciągów chat na brzegach jezior, pomniejszych klejnocików wokół wielkich brylantów.

— Zupełnie jak w Wenecji. — Zatrzymałem samochód i wysiedliśmy oboje, by podziwiać widoki. Tak jakoś objąłem ją w talii.

— Nigdy tam nie byłam — oparła się o mnie — ale zimy w Wenecji chyba nie są tak ostre jak tu.

— No i ocean nie pochłonie Carraroe.

— Tak się tylko wydaje, gdy znad Ameryki Północnej nadciągają wichry i deszcze.

Odprowadziłem ją do samochodu.

— Ma nie odmalować tego widoku w dzienniku, co?

— Biedactwo nie miała go z czym porównać, a ja wiem, co się wtedy czuje. Wiadomo, że wioska jest piękna, ale nie umie się jej opisać.

Uruchomiłem silnik.

— Dermocie Michaelu — ścisnęła mnie za ramię — wydadzą dla ciebie wspaniały lunch. Nie bardzo ich na to stać, ale nie można było im tego wyperswadować, nic zatem nie mów ani nie próbuj zapłacić.

— Rozumiem. Kupiłem dla nich butelkę Green Label. Będę mógł im dać?

— Przechowają ją przez całą zimę, a pewnie i wiosnę.

Rodzina Nuali była bardzo biedna. Mieszkali w małej chatce krytej słomą. Na podwórzu pasła się jedna krowa i kilka owiec, a parę przybudówek służyło za stodoły. Jednakże słoma była starannie przycięta, ściany domku, świeżo pobielone, aż lśniły czystością, czerwono-czarne obramowania ładnie odmalowane, a zielono-pomarańczowy napis „Przekąski” na białym tle wyglądał zachęcająco i przyciągał wzrok.

Jej rodzice oczekiwali nas przed domem, siedząc objęci ramionami przy jednym ze stolików, gdzie podawali przekąski gościom, wysypującym się z turystycznych autokarów. Ojciec Nuali ubrany był w szary garnitur, który — jak się zdaje — stanowi uniform irlandzkiego chłopca, a matka miała na sobie bluzkę i spódnicę, jaką mogłaby chyba nosić Neli Pat.

— Witamy w Carraroe! — Sean McGrail wyciągnął dużą dłoń, pełną odcisków.

— Miło, że przyjechałeś nas odwiedzić — uśmiechnęła się do mnie Meg.

— Och — powiadam — po tak serdecznym powitaniu chyba nigdy nie wyjadę.

Oto jak należy radzić sobie z irlandzką przesadą — zdobyć się na większą!

Choć w innych irlandzkich rodzinach może i starają się skrywać uczucia, to Meg i Sean McGrail nie mieli tego zwyczaju. Z całej siły ściskali swoje najmłodsze dziecko. Przez większość czasu, który u nich spędziłem, tych dwoje starszych ludzi obejmowało się ramionami.

Oboje byli wysocy, szczupli i przystojni. Nuala odziedziczyła urodę i po mieczu, i po kądzieli. Ojciec miał siwe włosy, lecz ogorzałe oblicze tryskało energią. Włosy matki w większości były jeszcze czarne, a jej twarz promieniała radością. Podejrzewam, że obie mogłyby nosić identyczne ubrania.

Mężczyzna ożeniony z taką kobietą mógłby przez czterdzieści lat snuć o niej erotyczne myśli, i to wcale bez kłopotów.

— Niech Pan Bóg i Najświętsza Panienska błogosławią domownikom — odezwałem się, gdy wprowadzono mnie do środka.

— Niech Pan Bóg i Najświętsza Panienska i święty Patryk błogosławią naszym gościom — odparli chórem, radzi, że umiałem się znaleźć.

— Nie przypuszczam, żebyście wypijali choćby kropelkę od czasu do czasu. — Podałem pudełko zawierające butelkę Bushmill's Single Malt. — Ale może jacyś wasi goście będą potrzebowali się rozgrzać.

Meg przyjęła podarunek.

— Ach, Dermocie Michaelu, i my chętnie czasem pociągniemy łyczek, prawda, gospodarzu?

Wręczyła mu butelkę.

— Prawdę powiadasz, gospodyni, choć nasza najmłodsza córka może się czuć zakłopotana, słuchając tych słów.

Polubiłem ich od razu, co było z góry przesądzone. Ale oni też mnie polubili, czego nie byłem taki pewien, gdy przyjechaliśmy. Byłem jankesem, nadzianym facetem z wielkiego świata, a co więcej, z tego co im było wiadomo, mogę porwać ich najmłodszą córkę. Czy nie będą się wobec mnie zachowywać nieśmiało lub wręcz służalczo?

Może takie reakcje wystąpiłyby w innych chatach w Irlandii, a nawet w innych chatach w Carraroe. Ale nie u McGrailów. Dzięki swemu poczuciu godności bez śladu skrepowania witaliby każdego obcego, kimkolwiek by był.

Coraz lepiej rozumiałem ich córkę.

Lunch, którym mnie podjęto, przyniósłby zaszczyt każdemu domowi w Irlandii, a przecież podano go w chatce, gdzie podłoga była wyłożona kamieniem, na palenisku zaś płonęły cegiełki torfu. (Obok niego, być może nieuchronnie, stał mały telewizorek, okno Carraroe na szeroki świat.)

— Boże drogi, pani gospodyni! — wykrzyknąłem. — Upiekła pani ciemny chleb!

— Czy córka nie mówiła, że je go pan nałogowo, jeśli tak można powiedzieć?

— Moja mama — rzekła z dumą Nuala — piecze najlepszy ciemny chleb w całym hrabstwie Galway.

Poproszono, żebym odmówił modlitwę, o czym uprzedziła mnie moja pani. Wcześniej wyuczyłem się jej posłusznie i teraz wyrecytowałem po irlandzku.

Beal na gcuig ara agus an iase
A roinn Dia ar an gcuig mhile duine,
Rath on Ri a rinne an roinn
Go dtie ar ar gcuid is ar argcomhroninn.

Wszyscy byli zachwyceni moim wyczynem i robili co mogli, by ukryć rozbawienie straszliwym chicagowskim akcentem. Modlitwa głosi:

Błogosławieństwo pięciu chlebów i dwu ryb,
które Bóg rozdzielił między pięć tysięcy.
Niech szczodrość Króla, który dzielił,
udzieli się naszemu pożywieniu i wszystkim,
którzy będą je z nami dzielić.

Meg i Sean byli, przy swej serdeczności, cichymi ludźmi. Mówili łagodnie i spokojnie, powściągliwymi zdaniem pełnymi utajonych treści. W pokoju, w którym jedliśmy, panowała atmosfera czułości, tkliwej i delikatnej, okazywanej błyskiem spojrzenia czy dotknięciem ręki.

Na ich wargach zawsze kryła się obietnica uśmiechu, a co druga uwaga skrzyła się dowcipem, który rozmówca chwycił jedynie pod warunkiem, że uważnie wsłuchiwał się w każde słowo.

Jeśli to ostatnie plemię epoki kamiennej, chciałbym żyć w tej epoce.

Byli dumni ze swoich dzieci i wnucząt i pokazali mi ich zdjęcia podczas lunchu. Nuala pomagała matce, patrzyła i słuchała, a oczy jej błyszczały dumą z nich i — Boże zmiłuj się nad nami — ze mnie.

— Przykro, że wszyscy są tak daleko, prawda? — powiedziałem.

— O tak — westchnął Sean.

— Gdyby byli na miejscu, pewnie byśmy się kłócili. A tak, gdy przyjeżdżają do domu, wszyscy to świętujemy. Czasami — na ustach Meg pojawił się uśmiech i natychmiast zniknął — świętujemy też, kiedy wyjeżdżają, co, Sean?

— Cieszę się, gdy przyjeżdżają. — Otarł usta lnianą serwetką.

— I nie jest też źle, gdy zostawiają nas w spokoju.

Oboje rozptywali się w pochwałach nad swoją Nualą Anne.

— To wspaniałe dziecko, takie dobre i czułe.

— I ma swój rozum.

— Naturalnie — powiedziałem, puszczając oko — czasami ma jednak chandrę, prawda.

— O tak, nie da się zaprzeczyć.

— Ale to nigdy nie trwa aż do następnego dnia?

— Jak dotąd, nie.

Nuala wcale nie wyglądała na zakłopotaną.

— A nie byliśmy z niej dumni, gdy zdobywała wszystkie te nagrody?

— I czy nie uczyła się, kiedy nie śpiewała?

— Albo występowała na scenie?

— Albo tańczyła z chłopcami?

— Albo grała z nimi w piłkę?

— Iw hokeja, póki nie uznali, że jest dla nich za dobra?

— A czy z kijem nie była szatańska?

— I do tego wspaniała studentka, co?

— Tato! — Teraz Nuala oblała się rumieńcem. — Dermot Michael wie o moich chandrach, ale po tym wszystkim pomyśli sobie, że jestem strasznie narwana, no nie?

— Nigdy by mi to nie przyszło do głowy.

Roześmialiśmy się, a Nuala wstała, by posprzątać ze stołu, silnym uściskiem w ramię powstrzymując matkę, która zerwała się, by jej pomóc. Niech posiedzi z mężczyznami. W Dublinie Nuala nie tolerowałaby tego, ale to nie Dublin.

— Wypijesz kropelkę? — zapytał Sean.

— Ale tylko kropelkę, bo musimy jeszcze popracować po południu.

Przyniósł zwykłą butelkę napełnioną przezroczystym płynem.
— To bimber — powiedział z nabożnym szacunkiem. — Tylko trochę nielegalny.
— Odrobinę — przytaknęła żona.
Przezroczysty płyn rozlano do zwyczajnych szklanek.
Podniosłem swoją do ust. Nuala przyglądała mi się z szerokim uśmiechem.
Ostrożnie pociągnąłem tyk.
Elektryczność w płynie!
— Mocne — sapnąłem. — Ale smaczne.
Wszyscy roześmiali się, cicho i z sympatią.
Janek jest równym facetem.
Potrafił wypić do dna, choć jeszcze przez parę godzin kręciło mu się w głowie.
Potem zabraliśmy się do roboty.
Od miejscowego proboszcza wzięliśmy nowiutkie świadectwa chrztu, małżeństwa i zgonu. „Młody ksiądz”, o ślicznych piwnych oczach, został rektorem katedry w Galway i kanonikiem. Nadal cieszył się reputacją mądrego i świętego człowieka, choć „miał przegięcie nacjonalistyczne”.
Jedynym dokumentem, który miał jakieś znaczenie, była notatka na świadectwie chrztu Mary Anne Malone, córki Tima i Moire oraz chrześniaczki Ma, że w 1942 roku w Mission Dolores w San Francisco poślubiła mężczyznę nazwiskiem John Sheerin.
— Spróbuję to sprawdzić. Mógł być marynarzem i stacjonował tam podczas wojny. Trudno będzie wpaść na ich ślad.
— Nie ma prawie żadnych wspomnień o Wypadkach — powiedziała Meg. — I nic dziwnego, to były takie straszne czasy. Trochę starszych ludzi słyszało o Malone'ach, bo wyróżniali się w Carraroe i mieli najlepsze gospodarstwo w okolicy. Po południu pojedziemy obejrzeć ich dom, Dermocie Michaelu. Niewiele zostało ze starego budynku, bo został unowocześniony.
— Co mówią o Malone'ach?
— Powiadają, że sprzedali farmę i oboje wyjechali jeszcze przed rokiem 1930. Prawdopodobnie do Ameryki, ale dokąd, tego nikt nie wie dokładnie.
— Może wyczytamy to później w dzienniku, Dermocie. Na pewno coś o nich powie.
— Czy się nam nie poszczęściło, Dermocie Michaelu — mrugnął do mnie jej ojciec — że mamy taką biegłą tłumaczkę?

— Tłumaczy tak, jakbym słyszał własną babkę, jakby ona sama do nas mówiła.

— Ach — mrugnęła do mnie Meg — czy nasza mała Nuala nie ma głowy jak mało kto?

Nie ośmieliłbym się podać tego w wątpliwość.

Przy burzliwych protestach wszystkich obecnych pomogłem jednak w zmywaniu — używając do tego mydła i wody ze studni, którą zagrzało się na ogniu z cegiełek torfowych.

— Czy to nie miło, Nualo, że poznałaś mężczyznę wyszkolonego przez feministki?

Tym razem wysłano w moją stronę szereg mrugnięć.

— Owszem. A tata pomaga ci zmywać za każdym razem, gdy turyści przychodzą coś zjeść.

— A czy inaczej, Dermocie Michaelu — mrugnięcie w moim kierunku — nie wpadłbym w straszliwe tarapaty?

— A dajże ty spokój!

Turyści mieli przybyć lada chwila. Surowo zabroniono mi pomagania przy ich obsłudze.

— Musielibyśmy cię nauczyć, jak uprzejmie odnosić się do Niemców.

Pozwolono mi jednak pomóc przy nakrywaniu do stołu.

Przyjechał autokar, z którego wysypali się Niemcy, zuchwali i hałaśliwi jak na mój chicagowsko-irlandzki gust. Zaprowadzono ich do stołów i podano herbatę z placuszkami. Goście pochłonęli je z głośnymi oznakami ukontentowania.

Kilku mężczyzn zaczęło zaczepiać Nualę, lecz zgromieni jej spojrzeniem, zamilkli.

Oparty o ścianę chatki, niczym miejscowy dziedzic, zaciskałem pięści. Jeśli ci cholerni...

Nuala spiorunowała mnie wzrokiem. Ani mi się waży, sama dam sobie radę.

Co to, to na pewno.

Turyści wyjechali.

— Biedni Niemcy, ci to sobie żyją, co? — westchnął Sean McGrail.

— A jak podróżują, to nic nie robią, prawda, Dermocie?

— Podróżują w taki sam sposób, w jaki wygrali wojnę — powiedziałem, wywołując kolejny wybuch śmiechu.

Sprzątnięto resztki posiłku. Ponownie zaoferowałem pomoc.

— Czy twoja matka nie wychowała cię na wspaniałego młodzieńca?

— Może jej to pani napisze! Absolutnie nie uwierzy, jeśli sam jej powiem.

Znowu szmerek śmiechu.

Potem wyszliśmy z Nualą, by obejrzeć dawne domostwo Malone'ów i odwiedzić Mike'a Seana Cussacka.

Szliśmy trzymając się pod rękę — wydawało się to naturalnym i jedynym sposobem spacerowania — drózkami, wzdłuż których biegiły kamienne murki, do dużego, ozdobionego sztukaterią domu w pobliżu jeziora. Dom pomalowany był na żółto, a framugi okien pociągnięto na czerwono i niebiesko. Nad dachem, pokrytym dachówką, unosiły się dwie anteny telewizyjne.

— Jest własnością kupca z Galway City. To mili ludzie. Na pewno cię wpuszczą.

— Zdaje się, że niewiele zostało z domu Ma?

— Mało co.

— Więc nie warto zwracać sobie głowy.

Jedyną pozostałością po domku, w którym został poczęty wujek Billy, był ledwo widoczny w trawie kamienny fundament w pobliżu jednego z jezior.

Zacząłem kopać kamienie.

— Jesteś rozczarowany, Dermocie?

— To piękne miejsce, Nuala, jak ci już mówiłem. Uwielbiam twoich rodziców...

— I oni cię uwielbiają.

— Ale nie widzę Ma, Pa ani ich rodziny i przyjaciół. To nie jest sceneria dla takich namiętności, energii i entuzjazmu.

— Wpisała swoją namiętność w otoczenie, Dermocie.

— Nie wątpię w to.

— Bóg wie, że tu kryją się namiętności. — Nuala westchnęła.
— Jak wszędzie na świecie.

— Myślisz, że nie widziałem ich w twoim domu?... Czuję taką pustkę, bo nie mogę odnaleźć śladów kobiety, która napisała ten dziennik.

— Wyjechała do Ameryki, Dermocie, a świat, który zostawiła, zmienił się.

— Chyba tak.

— Ale taka kobieta, jak Neli Pat, odciska swoje piętno, nawet jeśli go nie widać.

— Powiedziała ci to?

— Nie musiała... Odwiedzmy teraz Mike'a Seana Cussacka. Zawsze twierdził, że walczył w partyzantce.

Starzec, palący fajkę przed rozpadającą się chatą, niewiele mi pomógł. Pamiętał, że Daniela O’Kelly’ego zastrzelono za zdradę „koło Maam Cross, na rozkaz samego generała Collinsa”.

Twierdził też, że pamięta Liama O’Riade, „i czy to nie okropne, że strzelono mu w tył głowy akurat wtedy, gdy jego żona spodziewała się dziecka?”

Neli Pat Malone była śliczną dziewczyną o blond włosach, która później stała za barem w szynku w Galway.

Wsunąłem staruszkowi banknot dziesięciofuntowy, podziękowałem mu, a nawet chwaliłem jego wspaniałą pamięć.

— Niewiele nam pomógł, co, Dermocie?

— Ale też niewiele się po nim spodziewaliśmy, prawda? Staruszek na ławce koło Grand Canal miał lepszą pamięć.

Pomyślałem o tym człowieku, kim prawie na pewno był, i omal nie powiedziałem Nuali. Potem doszedłem do wniosku, że nie ma po temu powodu.

— Przykro mi, Dermocie.

— To nie twoja wina.

Wracaliśmy ścieżką do jej domu. Słońce zaczęło już zapadać na zachodzie, rzucając czarodziejskie cienie na surową piękną ziemię.

— Dziś są Zaduszki, tak, Nualo?

— Owszem — westchnęła.

— Ale żadne duchy jeszcze się nie pojawiły?

Przyjrzała mi się dziwnie.

— Są wszędzie wokół.

Nie rozwijałem tego tematu.

— Myślę, że powinniśmy odłożyć wizytę w Mamene — zerknąłem na góry w oddali — do jutra rana.

— Mogę coś zaproponować? — spytała nieśmiało.

— Czy kiedykolwiek się nie zgodziłem?

— Jutro będzie tam mnóstwo ludzi, bo to Wszystkich Świętych... Idziesz rano na mszę?

— Owszem, a potem zaproszę twoich rodziców na lunch do dobrej restauracji.

— Wspaniale! Będą zachwyceni! Zarezerwuję miejsca!

— W takim razie w góry pójdziemy po lunchu.

— Nie. Jutro, mniej więcej o tej porze, pojedziesz z powrotem do Salt Hill. Załatwię w agencji wynajmu samochodów, żeby niedaleko St. Catherine podstawili ci małego forda i zostawili kluczyki. Kiedy się ściemni, wymkniesz się tylnymi drzwiami do auta i podjedziesz

tutaj. Potem w nocy udamy się do Maam Cross. Jeśli ktoś będzie obserwował hotel, zobaczy, że samochód stoi, i pomyśli, że spokojnie sobie śpisz.

— Kapitalne!

Siobhan Connery!

— Pewnie myślisz, że pozjadałam wszystkie rozumy — rzekła z powątpiewaniem.

— Myślę, że to dobrze, że jesteś ze mną.

Pomyślałem jednak, że istotnie pozjadała wszystkie rozumy.

Tak jak Ma.

60

Nie było widać księżycy, o czym mogłem wiedzieć, gdyby zechciało mi się sięgnąć do gazet. Co gorsza, droga do celki św. Patryka była stroma i kamienista.

Mamene (czyli Maumeán), Ptasia Przełęcz, nazwana tak od przepływających nad nią chmur, to przejście przez góry Maaturk, gdzie hulają wiatry. Znajduje się jakieś trzy mile na zachód od Maam Cross na drodze T71 i łączy hrabstwo Galway, gdzie ścieżka się zaczyna, z hrabstwem Mayo rozciągającym się w połowie drogi w góry. Wspinając się tędy do świętego miejsca, ma się za sobą zatokę Galway. Ze szczytu widać w oddali jezioro Corrib. Na fotografiach sprawia wrażenie miejsca dzikiego i groźnego. W nocy wygląda jeszcze groźniej.

Lataką ostrożnie oświetlałem ścieżkę tuż przed sobą. Moja przewodniczka śmigała po szlaku niczym górska kozica.

— Pomyśl tylko, Dermocie Michaelu — mówiła z uniesieniem. — Pielgrzymi wędrowali tą ścieżką, by oddawać cześć Bogu, już w czasach Abrahama.

— W ciemne noce?

— Jeśli na tę porę roku przypadała pielgrzymka, wspinali się do świętego miejsca, nie zważając na brak księżycy. Boso. Nie widzisz tysięcy pochodni, nie słyszysz, jak śpiewają swoje pogańskie hymny?

— Niezupełnie.

Uderzyła mnie w ramię.

— Bo nie chcesz. A może cię namówię, żebyś zdjął buty, jak przywoity pielgrzym?

— Zdejmę, jeśli i ty zdejmiesz.

— Nie chcę, żebyś się głupio czuł.

Byliśmy na mszy odprawianej po irlandzku w tym samym parafialnym kościółku, gdzie wzięli ślub Ma i Pa, a przed nimi — rodzice Ma. Potem podjechaliśmy do hotelu w Costelloe na lunch. Restauracja nie wyglądała zachęcająco, ale jedzenie okazało się wspaniałe.

— Nie takie dobre jak twój lunch, Meg — zapewniłem matkę Nuali.

— Czy twój młody człowiek pocałował kamień, gdy przejeżdżaliście przez Cork?

— Och, mamó, obejdzcie się. Już się taki urodził.

Nie byłem młodym człowiekiem Nuali i nigdy nie będę, lecz jej rodzice najwyraźniej nie mieliby nic przeciwko temu, wcale a wcale.

Tej nocy odbyłem długą i męczącą wspinaczkę. Cieszyłem się, że nie musiałem tego robić na bosaka.

— Czy to to? — zapytałem, gdy dzięki latarce dotarliśmy na płaskie miejsce.

— Przypadkiem nie pytasz zupełnie jak dziecko? Nie przeszliśmy jeszcze nawet połowy.

— Chyba nie jestem stworzony na pielgrzyma, Nualo Anne.

— No, w końcu to noc.

— Naprawdę?

Roześmiała się i na nowo podjęliśmy wędrowkę. Aż wreszcie, chyba po latach, dobrnęliśmy do kolejnego płaskiego miejsca.

— Już prawie jesteśmy — powiedziała. — Dermocie, czy ze chciałbyś obejrzeć się na zatokę?

Widok zapierał dech w piersiach. Można by pomyśleć, że każda gwiazdka z nieba złapała się w sieć zatoki Galway.

— Nic dziwnego, że uznali to za święte miejsce.

— Teraz naprawdę uważaj. Czy nie ma tu mnóstwa luźnych kamieni?

— A jeśli skręcę nogę w kostce?

— To zawsze lepsze niż złamanie, nie sądzisz?

Potyając się, doszliśmy do wierzchołka góry. Na szczycie, z miną jakby do niego świat należał, siedział św. Patryk we własnej osobie, wyrzeźbiony w granicie dłutem współczesnego artysty, który żywił przekonanie, że święty winien być silny, postawny i robić wrażenie — jak dobry pasterz strzegący swych owieczek.

W skale wyrębana była ścieżka, którą obchodziło się stacje Drogi Krzyżowej, każda z czternastu stacji oznaczona była celtyckim krzyżem.

— Ładny posąg.

— Prawda? Odnowieniem całego świętego miejsca zajmował się mój kuzyn Mihail, zresztą jezuita... Jest tu występ w skale, gdzie św. Patryk podobno sypiał. Musimy odmierzyć trzydzieści kroków i rozejrzeć się.

— Raczej nie chciałbym spać na takim łóżku.

— I to sam, jak jakiś mnich. — Uznałem tę uwagę za niepotrzebną.

Tuż za przełęczą znajdowało się małe jezioro, bardzo zimne i złowieszcze. Nuala wskazała na pogańską „stację”, świętą studnię kryjącą wielką moc.

— Studnia na tej wysokości?

— To tylko zbiornik... Musimy ją teraz obejść siedem razy, wrzucając do niej za każdym okrążeniem siedem kamyków. Zbierz parę kamyków, Dermocie Michaelu.

— Pogańskie przesady.

— Niekoniecznie, jeśli za każdym okrążeniem odmówisz siedem zdrowasiek.

— Po ciemku?

— Po ciemku... żeby Przenajświętsza Panienska się nami zaopiekowała.

— Myślałem, że w nią nie wierzysz.

— Tu w górze, tak.

Więcej niż godzinę kręciliśmy się w odległości trzydziestu kroków od Małej Celki.

Byłem już dość zmęczony, by położyć się na łóżku św. Patryka.

— Nualo, nie ma go tu — powiedziałem znużony.

— Przecież nie miał kobiety, żeby mu posłała.

— A może celkę wypełniono kamieniami już dawno temu?

— Po co mieliby to robić? Nikt tu nie przychodził, póki święte miejsce nie zostało odrestaurowane, a wtedy czyby się nie bali, że ktoś ich zobaczy, jak będą wynosić złoto. Wiem, że tu jest, Dermocie, wiem na pewno.

— W nocy go nie znajdziemy. — Oparłem się o skały. — A nawet jeśli, to cóż to za różnica?... Hej!

Kamień, o który się opierałem, wyslizgnął się i spadł na ziemię.

— Tu jest, Nualo! Poukładali kamienie, żeby zasłonić wejście!

Pospiesznie podsuwaliśmy kamienie i skierowali światło latarek w wążutką szczelinę.

— Jest, Dermocie! Popatrz, jak błyszczący!

— Złoto!

— Irlandzkie złoto, Dermocie, nie transakcje terminowe.
Chichotaliśmy histerycznie i obejmowali się.
— Pięć skrzynek — powiedziałem. — I trochę w szóstej. Połowa złota nadal tu jest! Dziesięć milionów funtów szterlingów!
— Za ciasno, żeby się kochać, co?
— Nie, jeśli zaraz ma się wziąć ślub.
Tylko tyle powiedzieliśmy sobie na ten temat.
Poukładaliśmy kamienie na miejsce.
— Co teraz, Dermocie?
— Nie wiem. Muszę się zastanowić.
Zeszliśmy z bocznej góry. Odwiozłem Nualę do Carraroe, a sam, kompletnie wykończony, wróciłem do Salt Hill.
Zasnąłem, wiedząc, że następnego dnia będę musiał powziąć ważne decyzje — po uprzednim wnikliwym ich przemyśleniu.
Tuż przed zaśnięciem przemknęła mi myśl: „Znaleźliśmy złoto, Ma! Mamy je! Dokładnie, jak powiedziałaś!”

61

Gdy się obudziłem następnego ranka, przypominałem sobie nazwisko człowieka z samochodu. Oczywiście. A któż by inny? Kim tak by się przejmowali? Ależ ze mnie idyjota, że nie uprzytomniłem sobie wcześniej, czyja to twarz.

Grzmotnąłem pięścią w łóżko. Do diabła, dlaczego tak długo się z tym nosiłem? W tym punkcie pobiłem Nualę.

Na dworze znowu lało, a od morza dął wicher — nic, tylko wiać do Ameryki, jak powiadają miejscowi.

Ułożyłem się wygodnie i zacząłem rozmyślać. Nie mogę udowodnić swoich wniosków, przynajmniej na razie. Może w późniejszych zapiskach, z okresu po drugiej wojnie światowej, Ma przyda nazwisko tej twarzy.

A nawet jeśli nie, mam dość dowodów, by poprosić biskupa Hayesa o pomoc. Sięgnąłem nawet po słuchawkę, by zadzwonić do ekscelencji, lecz zreflektowałem się. Lepiej uważać z telefonami. Wskoczę w samochód i podjadę do jego domu w Galway City.

Spojrzałem na zegarek. Czas na szybkie śniadanko przed wyjazdem. Teraz jest już po wszystkim. Dziś po południu wrócimy pocią-

giem do Dublina. Jutro się spakuję, ustalę ostatecznie z Nualą sprawę dotyczące ukończenia przekładu i w środę wsiądę do samolotu do Chicago.

Wrócę akurat na mecze Notre Dame — Southern Cal i Bear — Packer.

Wziąłem prysznic, zszedłem do jadalni, pochłonałem chyba wszystko ciemny chleb, który znajdował się w polu widzenia, i wróciłem do pokoju, by spakować rzeczy. Po spotkaniu z biskupem zabiorę Nualę i wczesnym popołudniem wsiądziemy do pociągu.

Rozległo się pukanie do drzwi. Otworzyłem je.

Nadinspektor Conlon wtargnął do środka, wciskając mi w żołądek dziewięciomilimetrową beretkę. Za nim wpadło jeszcze dwóch mężczyzn. Jeden z nich założył mi kajdanki.

— Idziemy, chłopcze. Mamy kilka rachunków do wyrównania. Nie lubię, jak robią ze mnie szmatę w moim własnym biurze, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Drugi facet poklepał mnie po głowie i straciłem przytomność.

Doszedłem do siebie na opuszczonej farmie.

— Oprzytomniał — uśmiechnął się Conlon. — Czas zabrać się do roboty.

Wziął potężną gumową pałkę i tłukł mnie, aż znowu straciłem przytomność.

Ktoś chlusnął mi w twarz kubek zimnej wody. Conlon był czerwony z wysiłku, z jego rozwartych szeroko oczu wyzierała rozkosz, z twarzy spływał mu pot. Bił mnie raz po raz. Radował się zemstą.

Na koniec wywlekli mnie z domu i rzucili na tylne siedzenie samochodu.

— Jedziemy do kościoła — zachichotał Conlon. — Czy twoja dziewczyna nie będzie tam na ciebie czekać?

62

— A więc, moja droga, przywozimy ci kochanka, tak jak obiecałem. Jest może troszkę sfatygowany, co? Niech pan mu zdejmie kajdanki, nadinspektorze, porozmawiamy sobie po przyjacielsku.

W oczach Brendana Keane'a migotał gorączkowy błysk szaleństwa.

— Mimo wszystko może być niebezpieczny — ostrzegł Conlon.

— Rób, co mówię! — krzyknął historycznie Keane. — Jestem ministrem! Wydaję polecenia! A poza tym co może zrobić, jeśli pistolet automatyczny jest wycelowany w śliczne cycuszki jego panienki?

Niechętnie, wykręcając mi trochę obolałe ręce, zdjął kajdanki. Pomyślałem sobie, że to błąd.

Znajdowaliśmy się w dawnej kaplicy klasztornej. Pomieszczenie to miało jakieś czterdzieści pięć stóp wysokości i dwadzieścia szerokości, niskie łuki, na pół zapadnięty dach, okna bez szyb i resztki kamiennego ołtarza w małym prezbiterium. Tak wiele podobnych do tej ruin zaśmiało pola, że w czasie jazdy praktycznie nie zwraca się na nie uwagi.

Niech szlag trafi Olivera Cromwella.

Kaplica dawała pewne schronienie przed deszczem, choć i tak zaczynał w nawie przez rozbite okno w kształcie rozety. Nie zabezpieczała jednak ani przed zimnem, ani przenikliwym wichrem. Z powodu zimna ból w różnych częściach mej anatomii dokuczał mi jeszcze bardziej.

Conlon umiał torturować po mistrzowsku. Dopiekl mi porządnie, ale nadal byłem w stanie chodzić, myśleć, mówić, przetrwać jeszcze większe cierpienie, gdyby postanowił mi je zadać, a także spodziewać się dalszych cierpień.

Przypomniałem sobie, co japoński mistrz, który uczył mnie wschodnich sztuk walki, mówił o panowaniu nad bólem, i skupiłem się na ćwiczeniach, w które mnie wtajemniczył.

Byłem znacznie trzeźwiejszy, niż sądził Conlon, i zdolny do walki, gdybym tylko miał okazję.

— Dermocie, przedstawiam ci moich przyjaciół, profesora Nolana i doktora Hughesa. O ile wiem, rozmawiałeś z profesorem Nolanem na temat pewnych wydarzeń z irlandzkiej historii, jeszcze zanim się poznaliśmy. Wiemy, że chciałeś się dowiedzieć, jak doszło do powstania naszej małej grupki. Interesuje ich wynik twoich poszukiwań. Ale najpierw musimy dopełnić pewnego rytuału.

W kaplicy znajdował się jeszcze jeden mężczyzna, jasnowłosy olbrzym w czarnej kurtce. Oceniając na oko, trzymał AK-47 wymierzony prosto w Nuale.

— Wy dwaj, wynocha — warknął Conlon na swoich ludzi. — Zajmijcie się ich przyjaciółmi, gdyby się pokazali.

Keane ułożył dzienniki Ma w stosik przed ołtarzem.

— Myślę — powiedział z zadumą — że to odpowiedni przybytek do spełnienia naszej małej ofiary. Nie grozi tu deszcz ani wiatr,

prawda? Szkoda, że musieliśmy wybrać miejsce tak pełne przeciągów, Dermocie, ale goniła nas konieczność.

Znowu mnie nie docenili, a raczej możliwości wchłaniania bólu przez człowieka, który się broni i jest doprowadzony do ostateczności. Japoński mistrz nauczył mnie takiej koncentracji, która eliminuje ból. W starej kaplicy znajdowało się pięciu mężczyzn. Conlon nadal trzymał gumową pałkę, a olbrzymi strażnik wiedział, jak posługiwać się AK-47. Nolan i Hughes nie byli chyba uzbrojeni i wyglądali na przerażonych. Keane prawdopodobnie nie miał żadnej broni.

Chyba dałbym sobie z nimi radę, mimo obtłuczonych żeber i obolałego brzucha, gdyby rosyjska armata nie była wymierzona w Nuala.

Wyglądała na spiętą, lecz opanowaną. Co tam teraz szykuje?

Nie prowokuj tego oprycha, kobieto.

— Poznajesz te dokumenty, prawda, Dermocie? To dzienniki twojej babci, zgadza się? Niestety, musieliśmy je nielegalnie usunąć z hotelowego sejfu. Jako wyjaśnienie podamy rabunek, którego dopuściła się IRA. Sprytne, co? Chcemy je ofiarować wszelakim bóstwom zamieszkującym to święte miejsce. Połóży to kres poszukiwaniom zakopanego skarbu, prawda?

Owszem, gdyby nie było kopii w Chicago.

— Odpowiedz ministrowi. — Conlon wbił mi pałkę w żołądek.

— Chyba tak.

Plomieniem zapalniczki dotknął jednego z zeszytów. Stary papier zajął się błyskawicznie.

— Widzisz, jak szybko się palą? — Twarz Keane'a rozświetlił demoniczny uśmiezek. — Teraz koniec z przeszłością, co?

Trzeba czegoś więcej, by spłonął szalony duch Ma.

— Chyba tak.

Oczy Nuali ostrzegały: Ani słowa o kopiach.

Wspaniale.

Tuż nad głową mężczyzny z automatem stał posąg jakiegoś dawno zapomnianego świętego. Na brzegu postumentu, w połowie wysunięty, leżał kamień, odprysk skały, z której zbudowany był klasztor. Pewnie już dawno temu odpadł z dachu. Gdyby się poruszył choć o ułamek cała, runąłby na głowę rewolwerowca.

Nie należy wiązać z tym wielkich nadziei. Kamień prawdopodobnie spoczywa na tym miejscu od pół tysiąca lat.

Mimo wszystko starałem się siłą woli doprowadzić do tego, by zleciał.

— Piękny ogień, co, ślicznotko?

— Pierdzielony idyjota — odparła spokojnie.

— Musimy nauczyć cię dobrych manier, nim skończy się ten mały spektakl.

— Obiecał pan, że do niczego takiego nie dojdzie — prosił doktor Hughes.

Miał typową oksfordzką wymowę. Nobliwy siwowłosej mężczyzna o twarzy ściągniętej napięciem. Może mógłby się na coś przydać.

— Właśnie, Brendanie — błagał profesor Nolan, człowiek, który pierwszy mnie zdradził. — Tylko tyle przemocy, ile jest absolutnie konieczne.

Niski, pulchny i rumiany, wyglądał na jowialnego irlandzkiego naukowca, który wplątał się w grę o wiele dla niego za chytrą.

— Naturalnie. Tyle, ile jest absolutnie konieczne. Ale kto ma decydować, ile jest konieczne, jeśli rozumiecie, o co mi chodzi?

Gdzie podziewa się Patrick? Chyba nas nie zostawili na pastwę losu?

W chwili ostatecznej rozpaczy będę musiał pogonić faceta z bronią automatyczną. Muszę poczekać, by coś odwróciło jego uwagę — jeśli to w ogóle możliwe.

— A więc — ciągnął leniwie Keane — może opowiecie nam dokładnie, o jakich to starożytnościach dowiedzieliście się w toku tych waszych idiotycznych poszukiwań. No, Dermocie, chyba nie chcesz, by twoja młoda przyjaciółka doświadczyła tych samych, hm, niedogodności, które stały się twoim udziałem?

Nie mogą się dowiedzieć, co odkryliśmy. Może puszcza nas wolno i zapomną o całej sprawie. To właśnie Nuala usiłowała mi przekazać.

— Wiemy, kto zabił Michaela Collinsa — zacząłem nieobowiązująco. — I kto ukradł złoto Casementa.

Nuala lekko skinęła głową.

— Wiemy też, że zabójca i złodziej to ta sama osoba. Wiemy, jak umarł. Ale nie wiemy, kto go opłacił i gdzie ukryte jest złoto.

— Nie powiedziałam wam tego samego? — odezwała się z pogardą Nuala. — Przecież czytał pan tłumaczenie na twardym dysku komputera.

Jakie tłumaczenie? Czy sama nie mówiła, że je wykasowała?

Później, gdy usiłowałem poukładać sobie to wszystko w głowie, doszedłem do wniosku, że zostawiła na dysku zmienione tłumaczenie, by zmylić każdego, kto chciałby się do niego dostać.

Boże, co za kobieta!

— Rozumiem, moja droga. Skąd jednak mogę mieć pewność, że to dokładne tłumaczenie?

— Przecież pan sam pali oryginał jak ostatni idyjota!

Uderzył ją.

— Uważaj, do kogo mówisz, ty łajzo!

— No, no — zaprotestował Hughes. — To zupełnie niepotrzebne.

— Potrzebne jest to, co uważam za potrzebne! — ryknął Keane na swego kolegę. — Będę robił, co chcę.

— Uspokój się, Brendanie — błagał tłuściutki profesor Nolan. — Dzienników już nie ma. Nawet jeśli tłumaczenie zostało ocenzone, a tym dwojgu głupkom nie starczyło sprytu, by na to wpaść, i tak niczego nie mogą udowodnić. Dajmy sobie z tym spokój i zabierajmy się stąd.

Nie spalili pierwszego dziennika. Znajdował się w moim pokoju w Salt Hill.

— Spokojnie, Seamusie, mój drogi przyjacielu. A czy przypadkiem nie ma dalszych tłumaczeń w ślicznej główce panny McGrail? Czy i tego, hm, twardego dysku nie należałoby wykasować?

— Nie! — błagali tamci dwaj.

— Nie mamy wyboru — Conlon przyznał rację szefowi. — Ale najpierw trochę się z nią zabawimy. Szkoda byłoby zmarnować taki towar, co?

Nadal zachowywałem się, jakbym był oszołomiony i zdeorientowany, co biorąc pod uwagę mój stan, nie przedstawiało większych trudności. Kamień nad głową rewolwerowca przesunął się o ułamek cala. Prawdopodobnie w mojej wyobraźni.

Nuala podniosła się z wolna, oprych unosił wylot lufy w ślad za jej ruchami.

Na zewnątrz wiatr wył jeszcze głośniej, a deszcz zaczął jeszcze gwałtowniej.

— Dobrze, panie ministrze — rzekła spokojnie. — Powiem panu całą prawdę. Kopie tych dzienników bezpiecznie spoczywają w innym kraju. To, co pan przeczytał na komputerze, to wersja ocenzonego. Ale wierne tłumaczenie, razem z dyskietkami, znajduje się w rękach biskupa Galway.

Czyżby zatem nagrała trzy zapasowe dyskietki?

— Bardzo sprytnie, moja droga — szydził Keane. — Ale nie przypuszczasz chyba, że w to uwierzę, co?

— Jak pan chce, panie ministrze. Wiemy oczywiście, gdzie jest złoto i kto kazał zabić Michaela Collinsa. Wie też o tym jego eminen-

cja, biskup Hayes. W tej chwili znajduje się w grocie razem z pańskimi dobrymi znajomymi, ministrem sprawiedliwości i komendantem policji.

— Świetnie to odegrałaś, Nualo, naprawdę wspaniale. Ale na nie szczęście dla ciebie i twego zmaltretowanego przyjaciela — nie ma to nic wspólnego z prawdą.

— Jego ekscelencja przekaze tłumaczenie ministrowi i komendantowi. Pan i pańscy przyjaciele będziecie skończeni.

— Seamusie, LeMont, sami powiedzcie, czy nie jest cudowna? — zachichotał szyderczo Keane.

— A jeśli mówi prawdę? — wybełkotał zdenerwowany Hughes. Facet z AK-47 był wyraźnie skonfundowany. O ułamek cała obniżył wylot lufy. Sprawa toczyła się błyskawicznie, a chodzi o łupy.

— Ależ kłamie jak najęta. Nualo, przyznaj się tym miłym panom, że odgrywasz komedię, i skończmy z tym wreszcie.

— Zajrzyjcie do mojej torebki. — Wskazała gestem dużą torbę na ramię, leżącą na podłodze. — Znajdziecie w niej sztabkę złota.

Keane rzucił się jak szalony na torebkę i otworzył ją gwałtownie. I rzecz jasna znalazł sztabkę złota.

— Dziwka! — wrzasnął jak obłąkany. — Suka!

— Jesteśmy skończeni! — jęknął Nolan. — A minister sprawiedliwości nienawidzi cię jak zarazy.

Wylot lufy jeszcze się obniżył. Spiałem się do ataku. Keane odwrócił się ze sztabką w dłoni, jakby chciał nią uderzyć Nualę.

Cofnęła się.

— Wśród dokumentów, jakie biskup przekazał ministrowi i komendantowi, znajduje się jeden, o którym pan nie wie: to lista członków Konsorcjum św. Jerzego i św. Patryka. Są na niej wasze nazwiska. A także obojga Longwoodów-Jonesów. Inne też znacie: MacCarthy, Waldron, Rollins, Harcourt, Crawford, McMahon, Clifford, Jackson, Smithers, Clinton, O'Meara, Nicholson, Joyce, Tierney, Clancy, Roberts... Nie ma tam wzmianki o panu, panie nadinspektorze, więc przypuszczam, że został pan po prostu przekupiony. Ale o panu też wiedzą.

Keane odsunął się od niej, jakby była czarownicą albo demonem. W jednej ręce trzymał sztabkę, w drugiej torebkę Nuali.

— Kłamiesz! Nie ma w tym słowa prawdy!

Wylot lufy znajdował się już prawie w takim położeniu, że gdybym rzucił się na bandziora, miałbym pięćdziesięcioprocentową szansę przeżycia.

— Owszem, to prawda, panie ministrze, najprawdziwsza — ciągnęła Nuala z niezmaconym spokojem. — Nawiasem mówiąc, na pewno zainteresuje pana fotografia, która również jest w mojej torebce. To tylko odbitka ksero, którą jego ekscelencja zrobił z oryginału, lecz jest wystarczająco wyraźna.

Keane upuścił sztabkę i nerwowo wyciągnął z torebki kawałek papieru.

— O mój Boże! — krzyknął, przykładając rękę do czoła. Dwaj po zostali członkowie Konsorcjum skoczyli, by zajrzeć mu przez ramię.

Za moment ja skoczę na faceta z automatem.

— Tak jest! — oznajmiła triumfująco Nuala. — To człowiek, który kazał zabić Michaela Collinsa. Wasz wielki pierdzielony bohater narodowy Winston Spencer Churchill!

63

[Od tłumaczki: Ten wpis, pochodzący ze stycznia 1950 roku, był przytwierdzony do ostatniej stronicy pierwszego dziennika, właściwie przyklejony do okładki, i sporządzony na bardzo cienkim papierze, tak że nikt by się nie domyślił jego istnienia, gdyby specjalnie go nie szukał. Napisany został po angielsku, nie po irlandzku jak pierwszy zeszyt, ponadto w stylu amerykańskim, a nie w dawnej irlandzkiej gwarze, jaką posługiwała się we wczesnych latach. Nie jestem pewna, kiedy przeszła na angielski. Ale odpowiedź na to pytanie znajduje się w kopiach, które ksiądz George Coyne przechowuje w Ameryce].

Opiszę teraz pozostałą część rozmowy, którą prowadziłam z tym człowiekiem owego dnia w pubie koło Lettermullen, skoro „Time” uznał go za Człowieka Półwiecza, którym najprawdopodobniej jest, choć Franklin Delano Roosevelt byłby chyba lepszym kandydatem. Nigdy nie zapomnę ani słowa z tej rozmowy.

— Był gotów umrzeć za Irlandię — powiada. — Ja jestem gotów umrzeć za Anglię. Wy, Irlandczycy, uważacie pewnie, że macie monopol na patriotyzm. Zapewniam, że się mylicie, tak samo jak w wielu innych sprawach.

— A co patriotyzm ma wspólnego z morderstwem?

— Rozkazał zamordować mojego przyjaciela, sir Henry'ego Wilsona, tak samo jak ja kazałem zamordować jego... Wy, Irlandczycy, na dłuższą metę nie jesteście zdolni do samodzielnych rządów. Najlepiej świadczy o tym ta idiotyczna wojna domowa. Zaproponowaliśmy wam najlepszą możliwą ugodę. Wygląda na to, że nasz rząd niebawem upadnie z tego powodu. Collins był jedynym człowiekiem, który przez jakiś czas mógłby utrzymać ten kraj w garści, ale i jemu w końcu powinęły się noga. Potem zapanowałyby anarchia i w końcu do władzy by doszła jakaś wroga Anglii dyktatura wojskowa.

Miał ładny głos, który znają teraz wszyscy na świecie, i potrafił przemawiać.

— Ach tak! — Nadal mam w ręce pogrzebacz i zastanawiam się, czy powinienam go użyć również na niego.

— Nie wyobrażaj sobie, że przybyliśmy do Irlandii, by tutaj zdobyć jakieś niewiarygodne bogactwa. W różnych okresach parę osób zbiło tu fortuny, a inni prowadzili wygodne życie. Anglia jednak nie potrzebuje do tego Irlandii. Od króla Jana nasze cele zawsze były obronne.

— Obronne! — prychnęłam.

— Nie jesteś dość wykształcona, dziecko, nie możesz więc tego pojąć. Anglia nie jest bezpieczna, gdy rząd irlandzki ma do niej wrogie nastawienie. Czy w czasie wojny wasi buntownicy nie sprzymierzili się z Hunami? I z Bonapartem przed stu laty? Musimy mieć władzę nad Irlandią, musimy utrzymać tu pokój nawet siłą, jeśli to konieczne dla naszego bezpieczeństwa; jest to wręcz kwestia przeżycia.

— Doprawdy?

— Tak, doprawdy! Pewnie jeszcze za mojego życia wybuchnie następna wojna z Hunami. Jeśli nie będziemy panować nad Irlandią, Hunowie podłączą się do poglądów każdego demagoga, który akurat będzie tu u władzy, i Anglia znajdzie się w trudnej sytuacji. Nie mogę na to pozwolić!

— Dlaczego uważa pan, że staniemy po stronie Niemców?

— Bo wykorzystają wasze słabości, które zna cały świat. Nawet jeśli jakimś cudem nie zajmą całej Anglii, wasz rząd, ktokolwiek by w nim był, nie pozwoli nam używać waszych portów, co gwarantuje traktat. Zorientowałem się w tym od razu, gdy tylko przeczytałem sprawozdanie z tej bzdurnej debaty w Dali. U-Booty znowu będą grasować jak wilki, pochłaniając wszystko, co się da. Zginą tysiące Anglików i Amerykanów, a także, owszem, Irlandczyków, z powodu irlandzkiego oporu. Nie mogę do tego dopuścić.

Możecie sobie wyobrazić dramatyzm pobrzmiwiający w jego głosie. Naprawdę krew, pot, znój i łzy.

— Więc dlaczego Collins musiał umrzeć?

— Bo kiedy wasi młodzi durnie rozdierają ten kraj na strzępy, jak to się stanie teraz, gdy zabrakło Collinsa, cały świat i większość Irlandczyków zobaczy na własne oczy, że ten naród nie potrafi się sam rządzić, i bez większego oporu przywrócimy tu porządek.

Mylił się, w każdym razie do pewnego stopnia, prawda?

Ale prawie trzydzieści lat później, gdy dochowałam się już kilkorga wnucząt, niejednego się też chyba nauczyłam. Bóg wie, że jest angielskim patriotą, i trudno upatrywać w tym coś złego. Miał też rację co do Niemców. I portów wymienionych w traktacie. Twierdził nawet, że w czasie wojny chciał je opanować, ale nie zdecydował się na taką akcję, bo nie tolerowaliby tego Amerykanie. Mogę zrozumieć jego punkt widzenia. Mick był zabójcą i on też, chociaż Mick nigdy by nie wydał rozkazu uśmiercenia i zniszczenia stu tysięcy ludzi podczas bombardowania Drezna pod sam koniec wojny tylko po to, by sprawić przyjemność Stalinowi. To wszystko idioci — mówiłam wtedy i powtarzam teraz.

Ale założmy, że wielu nieszczęsnych chłopców rzeczywiście zginęło, bo De Valera nie chciał oddać portów wymienionych w traktacie, choć mąż mi mówił, że w wielu innych przypadkach rząd irlandzki ściśle współpracował z Brytyjczykami i z nami.

Sama już nie wiem, kto ma rację, a kto nie. Przypuszczam, że wszyscy robimy to, co naszym zdaniem jest konieczne, i może sami siebie oszukujemy twierdząc, że mamy całkowitą rację, a inni (kimkolwiek by byli) z gruntu się mylą.

Ale największa ironia tkwi w tym, że gdyby zamiast Długiego Faceta żył i rządził w Dublinie Duży Facet, uszanowałby postanowienia traktatu i otworzył porty dla Brytyjczyków i dla nas. Czyli to ten angielski mądrała winien jest, że tak wielu marynarzy zginęło.

Ciekawe, czy kiedykolwiek to sobie uświadomił.

64

— Zadaszę cię, ty dziwko. — Keane jednym skokiem znalazł się przy Nuali i zatopił palce w jej gardle. — Wszystko zniszczyłaś!

Facet z AK-47 ocknął się i wymierzył broń we mnie. Nie tak łatwo będzie go łupnąć. Zabije mnie prawie na pewno.

Gdzie jest Patrick?

Kamień nad głową rewolwerowca lekko się przechylał. Pewnie mam przywidzenia z bólu.

Nuala wrzeszczała i wrywała się gwałtownie. Kopała, okładała pięściami i próbowała uderzyć Keane'a kolanem, ale ten już doszczętnie postradał zmysły i nadal ścisnął ją za gardło.

— Przestań, Keane — błagał Nolan. — Oskarżaj nas o morderstwo.

— Giń, dziwko!

Tak czy owak muszę powalić oprycha.

Kamień na występie nad jego głową zachybotał się niebezpiecznie.

Głęboko zaczerpnąłem powietrza. Nuala robiła się czerwona, a jej krzyki słabły coraz bardziej. Dalejże!

Kamień runął, waląc olbrzyma w łeb. Facet upuścił broń i osunął się na ziemię.

Nie zważając na dziesięć tysięcy igiełek bólu, które przeszły mi ciało, rzuciłem się po automat. Conlon przyskoczył do mnie z pałką.

Odrzuciłem się i zaatakowałem. Nie miałem hełmu, ale twarda irlandzka głowa potrafi dobrze przywalić w brzuch.

Conlon upadł na plecy, tracąc oddech. Wyrwałem mu pałkę z ręki. Sięgnął do kurtki po broń. Trzasnąłem go pałką w ramię. Zawył z bólu i zwinął się w pół.

Załatwiony.

Cóż, miał pecha. Prawie nie zwracałem uwagi na przeszywające fale bólu.

Pchnąłem Conlona w żołądek, by się upewnić, że jeszcze przez parę chwil będzie nieczynny.

Z tyłu, za mną, Nuala słabła. Za chwilę znajdzie się na progu śmierci.

Nie ma mowy!

Z wściekłością dzieliłem Keane'a pałką w ramię. Zaskrzeczał z bólu i puścił swoją ofiarę. Usiłował wyjąć coś, co trzymał w kurtce, więc złamałem mu drugie ramię.

Nie będziesz się dobierał do mojej kobiety, jasne?

Hughes i Nolan kulili się w kącie. Jeden z dwu policjantów, którzy pozostawali na zewnątrz, stanął w drzwiach, zwabiony krzykami dwu zmaltretowanych mężczyzn.

Nim zdołał się zorientować, co się dzieje, i unieść rewolwer, grzmotnąłem go pałką w twarz. Opuścił broń, osunął się na kolana i trzymając ręce przy twarzy, po której spływała krew z rozbitego nosa, wrzeszczał z bólu.

Rozejrzałem się za dwoma pozostałymi członkami Konsorcjum. Nuala mierzyła w nich z AK-47.

— Jeden ruch i pośle was wszystkich do piekła, gdzie jest wasze miejsce.

Głos Grace O'Malley brzmiał całkiem normalnie. No, może był trochę ochrypły.

Ruszyłem na nich, mając nie całkiem sprecyzowany zamiar dołożenia im pałką. Tak, żeby mieli nauczkę. Potem przypomniałem sobie o drugim strażniku. Miałem z nim pewne porachunki.

Ale było już za późno na ten ostatni akt zemsty.

Z zewnątrz dochodził odgłos biegnących ludzi. W świątyni pojawiło się nagle czterech ubranych na czarno mężczyzn w kominiarkach. Wymachiwali uzi, jakby wiedzieli, jak się nimi posługiwać.

— Dzień dobry, Dermocie. Znowu Siódma Brygada Kawalerii. Widzę, że narozrabiałeś po raz kolejny. Mnóstwo dziwnych ludzi strasznie wrzeszczy.

— A facet na zewnątrz?

— W porządku, unieszkodliwiliśmy go... i, och, Nualo, dziecko drogie, oddaj łaskawie tę broń któremuś z moich kolegów. Możesz komuś zrobić krzywdę.

— Dobrze, Patricku Michaelu... i nie gniewaj się na mnie, Dermocie! To ona kazała mi powiedzieć wszystko biskupowi!

65

[Bez daty]

To już chyba mój ostatni wpis. Popatrzyłam na pierwszy, sprzed siedemdziesięciu lat. Ależ to dziecko było głupiutkie i uczuciowe. Mimo wszystko mam dla niej wiele czułości. Pragnęła szczęścia, chwyciła je, gdy nadarzyła się okazja, i nigdy nie oglądała się za siebie.

Czasami myślę, że moglibyśmy zaryzykować i wybrać się do domu przynajmniej w odwiedziny. Ale właściwie po co? Siedem ósmych mo-

jego życia spędziłam tutaj. Teraz jestem jankeską i pochodzę z Chicago, nie z Carraroe.

Oboje z Dickiem Coyne wiemy, że niedługo umrę, a on jest przeciw lekarzem. Wie również chyba Monica, tym bardziej że jest pielęgniarką, ale za nic mi nie powie, moje biedactwo. To najmilsze z moich dzieci, najłagodniejsze, nawet bardziej niż biskup Billy, nieszczęśnik poczęty bez ślubu w chatce w Connemarze. Nigdy mu o tym nie opowiedziałam. Ale może sam się domyślił. Ten chłopak ma głowę na karku.

Monica bardziej jest podobna do mojego Liama niż do mnie. Czasami jest tak miła, że chce mi się na nią wrzasnąć, ale to by jej sprawiło przykrość, staram się więc trzymać gębę na kłódkę, co nigdy łatwo mi nie przychodziło, bo lubię sobie pozrzedzić.

Dick chce wezwać Dermota Michaela do domu, by był ze mną przy końcu. Wie to, czego nikt inny głośno nie powie: że Dermot jest moim ulubieńcem spośród wszystkich dzieci i wnuków. Ale nie chce przerywać biedactwu wędrówki po Europie. To dobry chłopak i będzie wspaniałym człowiekiem, jeśli sobie pozwoli pomarzyć i rozmyślać, tak jak tego pragnie.

Nie wiem, dlaczego tak bardzo go kocham. Jest podobny jak dwie krople wody do mojego Liama, gdy był chłopakiem — a w wieku Dermota miał już czwórkę dzieci.

Z charakteru nie przypomina ani Liama, ani mnie. Ma w sobie bardzo wiele ze swojej matki. I coś niecoś z Dicka. Nie jest taki wygadany jak George, który bardzo przywodzi na myśl młodego proboszcza z domu. To znaczy z Carraroe. Jak skończę, zadzwonię do George'a, żeby się wypowiedzieć. Wiem, że Bóg mnie kocha i że po śmierci połączę się z Liamem, gdy tylko odbędę swoje w czyścicu. Ale jak zawsze powtarzam, nie ma co ryzykować, tym bardziej że w swoim czasie prowadziłam dość szalone życie, a do tego mam niewyparzony język.

W każdym razie Dermot Michael jest wyjątkowym młodzieńcem, co zauważyłam, gdy tylko Monica przywiozła go ze szpitala. Cieszę się, że na drugie imię dali mu Michael, bo to mi przypomina Micka Collinsa, którego dawno temu poznałam na drodze w Carraroe. W ogóle nie jest do niego podobny. Biedny chłopak, nie potrafiłby zaprowadzić bandy wampirów do banku krwi. I nie ma talentów organizacyjnych ani administracyjnych, wcale a wcale. Mick mógł być ministrem finansów, lecz Dermot w roli sekretarza skarbu doprowadziłby do katastrofy.

Ale ma ten sam błysk w zielonych oczach, taki sam łobuzerski wdzięk i wyrozumiałość, a niech tam, powiem i to — geniusz.

Przesadzam, bo tak kocham tego smarkacza?

Nie mam pojęcia. Może to tylko majaczenia staruszki. Oprócz niego jednak nie spotkałam w życiu nikogo tak podobnego do Micka.

Biedny Mick, już siedemdziesiąt lat, jak nie żyje. Ciekawe, czy ocalałabym mu życie, gdybym ostrzegła Liama przed O'Kellym. Pewnie nie. Wykonał swoją robotę i Bóg pozwał go do siebie.

W każdym razie gdy odnajdę Liama w niebie, poszukamy Micka i Kitty, by serdecznie sobie porozmawiać.

I znowu będziemy młodzi.

A może to wszystko podstęp? Czasami tak mi się wydaje. Ale nieczęsto. Wierzę, że jest wręcz przeciwnie, lecz powiadam sobie, że nawet jeśli nic więcej nie ma, jestem wdzięczna za to, co otrzymałam.

Czy powinienam spalić wszystkie zeszytiki tego dzienniczka? Czasami myślę, że tak. „Pozwólmy umarłym grześć umarłe swoje” —owiada Pismo Święte. Tak mi się wydaje, że to chyba z Pisma.

Co to ma za znaczenie? Wszyscy już nie żyją z wyjątkiem mnie, a ja też niedługo umrę.

A może je zostawić? A nuż któregoś dnia ktoś je znajdzie i prawda nabierze znaczenia. Może natknie się na nie Dermot Michael i napisze opowieść o nas wszystkich i o życiu w Carraroe podczas Wypadków. Może on potrafi zdecydować, czy przysła już pora, by wyjawić prawdę.

Dermot Michael będzie wielkim człowiekiem, lecz tylko gdy spotka odpowiednią kobietę. Dobry Bóg wie, ile się o to modliłam, a on uganiał się za jakimiś spódniczkami całkiem nie dla niego. Gdy się Tam dostanę, osobiście z Nim porozmawiam na ten temat.

Chyba muszę szybko zdecydować, co robić z tymi dziennikami?

A co z człowiekiem, który wydawał rozkazy i płacił O'Kelly'emu? Czy spotkam go w niebie?

To chyba zależy teraz od Boga, czyż nie?

Z początku nie zapisałam jego nazwiska, bałam się, że jeżeli ktoś je kiedyś odnajdzie, coś strasznego może spotkać mnie i moją rodzinę. Ale skoro umarł, już nic nam chyba nie grozi.

Nie zmienił się bardzo przez te lata: wciąż uwielbiał dramat i sensację. A jego zasady moralne określało wyłącznie to, czy coś jest złe czy dobre dla Anglii. Jeśli było dobre, prowadził do tego, niezależnie od cierpień ludzi. Po przeczytaniu wszystkich jego książek dochodzę do wniosku, że owego upalnego dnia przed laty mówił prawdę. Uwa-

żał, że Anglia musi mieć bezpieczną bazę w Irlandii, a gdyby Wolne Państwo przetrwało, zabrakłoby tej bazy.

Mick też zabijał — dla nas, ale w końcu zabijanie to zawsze zabijanie, prawda?

Bóg go osądzi. To nie moja sprawa.

Ciekawa jestem, co się stało ze złotem.

Niekiedy wydaje mi się, że ten człowiek o nim wiedział. Przypuśćmy, że całe zniknęło. A jeśli nie? Czy wykorzystywano je przez te wszystkie lata, by wzniecać ruchawki, czy nadal tam spoczywa, blisko świętego miejsca na Ptasiej Przełęczy?

Ciekawe.

Przypuszczam, że jeśli w ogóle jest czyjąś własnością, to jest własnością Irlandii. Chyba niewiele jestem jej winna. Jeśli już, to raczej odwrotnie. Ale jak się pomyśli o wszystkich nieszczęsnych dzieciakach po studiach, dla których nie ma pracy... Może te pieniądze pomogłyby przynajmniej niektórym.

No, a jeśli nie spalę tych zeszyków, Dermot Michael je znajdzie i uzna, że warto by poszukać złota, a ono jeszcze tam będzie, niech sam decyduje, co z nim zrobić.

Niezbyt dobre zakończenie opisu szalonego życia, co?

Cóż jeszcze mogę powiedzieć?

Chętnie umrę. Zbyt tęsknię za Liamem.

Kocham ich wszystkich.

Bill, wiem, że jesteś w pobliżu. Słyszę niemal, jak nadchodzisz, tak samo jak słyszałam cię pod oknem w Carraroe tyle, tyle lat temu.

Chodź prędzej!

66

— Dżem malinowy? — spytała pani prezydent Irlandii, podając mi talerz placuszków.

— Dżem — potwierdziłem.

Tu, w jej oficjalnej rezydencji, aras an'tUachtairan — uachtairan to dosłownie: główny pastuch — właśnie zawiesiła nam na szyi po medalu na zielonej, białej i pomarańczowej wstędze, a potem nalała herbaty.

Czułem się okropnie, jeszcze gorzej niż w szpitalu. Dudniło mi w głowie. W nocy dręczyły mnie koszmarne sny. Snułem się niczym we mgłę, jakbym miał potwornie przedłużonego kaca. Gdy wreszcie wrócę do domu, poproszę ojca, żeby mnie przebadał. Nie powierzę mego zdrowia irlandzkiemu lekarzowi.

— Posąg O’Kelly’ego został już usunięty — westchnęła pani prezydent. — I rozpoczęto pracę nad pomnikiem pańskich dziadków.

— Z przyjemnością pokryję część wydatków, pani prezydent.

— Ależ nie ma mowy, Dermocie, nie ma mowy. To i tak drobny dowód wdzięczności od narodu dla dwojga dzielnych ludzi, a właściwie czworga.

— No, może trojga.

— I jeśli mogę tak się wyrazić — zignorowała moją skromną samoocenę — genialnym posunięciem było ujawnienie historii skarbu jednocześnie z historią zdradzieckiego zamordowania Michaela Collinsa. Dziesięć milionów funtów na edukację jest ważniejsze dla kraju aniżeli zabójstwo sprzed lat. Pragniemy zrobić wszystko, by chronić anglo-irlandzkie inicjatywy pokojowe.

— Może to i było genialne posunięcie, pani prezydent, lecz wykonała je panna McGrail, nie ja.

— A właśnie — Uachtairan odwróciła się do niej — biskup Hayes obiecał nam, że zaśpiewa pani kilka piosenek. Byłabym bardzo szczęśliwa, gdyby pani się zgodziła... — Wskazała gestem celtycką harfę w rogu salonu.

Zauważyłem, że: a) na początku naszej wizyty pani prezydent zamieniła z Nualą parę słów po irlandzku (byłem pewien, że rozmawiają o mnie) oraz b) zachodnioirlandzki akcent pani prezydent (pochodzi z Mayo) w toku naszej rozmowy stawał się coraz silniejszy.

Oczywiście, że Nuala dla nas zaśpiewa. Ciągłe odgrywając nieśmiałe dziewczęcę z Gaeltacht, które stanowi jej publiczny wizerunek, Nuala nastroiła harfę, a potem przy akompaniamencie mruzcanda w wykonaniu Eda Hayesa zaśpiewała gaelicką kołysankę. Po raz pierwszy usłyszałem ją w pubie O’Neilla na początku naszej znajomości.

Dyskretnie biliśmy brawo, dziki hałas wszak nie przystoi oficjalnej rezydencji prezydenckiej w Phoenix Park.

Potem, rzuciwszy mi spojrzenie najprzelotniejsze z przelotnych, zaczęła znów:

*W pięknym mieście Dublinie,
słynnym z dziewcząt prześlicznych,*

*po raz pierwszy ujrzałem
słodką Molly Malone.
Przez dzień cały krążyła
po ulicach, wołając:
— Małże, małże na sprzedaż!
Świeże małże kupujcie!...
Każdy żywy, o tak!*

*Nic dziwnego, że Molly
handlowała małżami —
wszak robili to też jej rodzice.
Przez dzień cały krążyli
po ulicach, wołając:
— Małże, małże na sprzedaż!
Świeże małże kupujcie!...
Każdy żywy, o tak!*

*Wreszcie zmarła na febrę;
nikt nie umiał jej pomóc
i na zawsze odeszła słodka Molly Malone.
Lecz jej duch ciągle krąży
po ulicach, wołając:
— Małże, małże na sprzedaż!
Świeże małże kupujcie!...
Każdy żywy, o tak!*

Nie jestem dumny z mego zachowania się wobec Nuali w czasie między naszą ucieczką a moim wyjazdem do Ameryki. Na swą obronę pragnę powiedzieć, że prawie bezustannie dokuczały mi bóle głowy, że byłem fizycznym wrakiem, że cierpiałem z powodu ran na całym ciele i że często widziałem podwójnie — nie jedną Nualę, lecz dwie. Dwie spiskujące konspiratorki w miejsce jednej. Co więcej, teraz widzę, że moje męskie ego doznało uszczerbku, Nuala bowiem rozwiązała zagadkę wcześniej niż ja. Choć te wymówki są prawdziwe (zwłaszcza jeśli chodzi o bóle głowy), szczerą prawdą jest taka, że teraz straszliwie boję się tej kobiety.

— Dlaczego mi nie powiedziałeś? — zapytałem w dwa wieczory po bitwie w klasztorze. Wypuszczono mnie ze szpitala i na parę dni rekonwalescencji ukryto przed irlandzkimi mediami w Ashford Castle — choć potem czułem się gorzej niż po opuszczeniu szpitala. Doktorzy biskupa Eda chcieli się upewnić, że

właściwie zadbano o moje żebra i że nie doznałem poważnych obrażeń wewnętrznych.

Ashford jest jednym z wielkich światowych hoteli (zbudowanym wokół średniowiecznego zamku) i leży zaledwie pięć mil od rodowej siedziby Coyne'ów (którzy co do jednego już dawno ją opuścili).

Hotel podzielał onieśmielająco na Nualę, gdy przyszła mnie odwiedzić po raz pierwszy, odkąd przywieźli mnie tu ze szpitala w Galway.

— To rzeczywiście szykowny hotel — przyznała z nabożnym podziwem. — Wymarzone miejsce na miodowy miesiąc, co? Kiedy wyjdę za mąż, pewnie za jakieś dziesięć lat, może tu przyjadę.

— Pytam jeszcze raz, dlaczego mi nie powiedziałaś?

— Wiedziałam, że chcesz poprosić biskupa Hayesa o pomoc.

— Oczy miała rozszerzone troską o mnie. — Taki byłeś zmęczony długą jazdą i obolały po wypadku, że mogłeś chcieć to odłożyć na dzień lub dwa. Nie byłam pewna, czy słyszałeś strzały, które zniszczyły oponę. Skoro nie powiedziałeś mu nic wieczorem w domu, po myślałam, że lepiej sama to zrobię rano, nim zjedziesz na dół. Potem kiedy już wiedzieliśmy na pewno, gdzie jest złoto, zadzwoniłam do niego ze sklepu w Carraroe. Po prostu wyprzedziłam cię o dzień lub dwa.

— Gdybym wiedział, że wie — głowa bolała mnie straszliwie — nie musielibyśmy wspinąć się do groty i nie ścigaliby nas.

— Ależ oni nie wiedzieli, że tam byliśmy, Dermocie Michaelu! Zresztą i tak by nas dopadli. Jasne, że ten twój Patrick by nas wyratował, ale czy to niedobrze, że na koniec trochę ich postraszyliśmy?

My?

— Mogli cię zabić.

— Nie oberwałaś bardziej niż ja?

— Gdzie znalazłaś fotografię Churchilla?

— A nie leżała w jednej z paczek? Nie znalazłam jej, gdy przeszukiwałam pudła, by się upewnić, czy mamy wszystkie dzienniki?

— Grzebałaś w nich?

— Noo... — urwała, absolutnie nie chcąc skłamać. — Myślałam, że może znajdę tam jakąś poszlakę, którą przeoczyłeś.

— Powinnaś mi była powiedzieć, Nualo, powinnaś mi była o wszystkim powiedzieć.

— Chciałam, Dermocie — uniosła splecione dłonie gestem pełnym rozpaczy — ale tak jak twoja babcia wobec dziadka, ja też nie wiedziałam, jak to zrobić.

— Czy kiedykolwiek miałem pretensje, gdy opowiadałaś mi o tej łamigłówce? Czy gniewałem się o to, że jesteś bystrzejsza i inteligentniejsza ode mnie?

— Nie chciałam ci psuć zabawy, zwłaszcza że byłeś tak bliski rozwiązania.

— Nie muszę się zabawiać rozwiązywaniem zagadek, Nualo — warknąłem z irytacją.

— Jesteś wspaniałym człowiekiem, Dermocie Michaelu Coyne, najcudowniejszym mężczyzną na świecie. Nigdy się nie spodziewałam, że poznam kogoś tak miłego, dobrego i łagodnego. Ale naprawdę trudno cię rozszyfrować.

— To ciebie trudno rozszyfrować, nie mnie.

— Może dlatego, że jestem prostą dziewczyną z zachodniej Irlandii, a ty obracasz się w wielkim świecie, masz jednak tyle różnych nastrojów, że nigdy nie wiem, jak z tobą rozmawiać, chociaż staram się ze wszystkich sił. Zawsze się zastanawiam: jaki Dermot dzisiaj będzie i jak z nim postępować?

— Nie bądź śmieszna, Nualo. — Teraz naprawdę poczułem się niepokojony. — To ty masz tysiąc masek.

Zawahała się.

— Nie chcę się z tobą kłócić, Dermocie Michaelu, zwłaszcza że niedawno wyszedłeś ze szpitala, ale w porównaniu z tobą jestem przeczysta.

— Wykończyło mnie to, Nualo, głowa mi pęka i wszystko mnie boli. Mogłabyś zostawić mnie w spokoju?

W milczeniu skinęła głową i podniosła się. Wiedziałem, że łamię jej serce, ale jakoś to przeżyje. A poza tym łatwiej jej będzie o mnie zapomnieć.

— Widziałeś, jak spada kamień? — Odwróciła się od drzwi, jej twarz okrywała maska smutku.

— Owszem. Jak do tego doszło? Ty do tego doprowadziłaś?

— Nie.

— Więc kto?

— Czy to nie on, wracając po ostateczne zwycięstwo?

— Czy nie kto?

— Wielki Facet, a któż by inny?

Ból głowy nasilił się.

— Proszę cię, Nualo, nie mam zdrowia dłużej tego słuchać.

Wyszła. I to by było na tyle.

Wesołych Zaduszek, Dermocie Michaelu Coyne.

— Mówi Angela Smythe, Dermocie. Dzwonię z Waszyngtonu.

— Dzień dobry, Angelo.

Byłem w swoim apartamencie w Jury, gdzie zaczynałem się pakować przed powrotem do Ameryki, choć nadal czułem się, jakby przez moją klatkę piersiową przejechała ciężarówka.

— Chciałam ci tylko pogratulować nagrody i sprytu, z jakim utajniłeś nazwisko Winstona. W końcu kiedyś wyjdzie, że maczał palce w zamachu na Collinsa, lecz gdyby ujawniono to teraz, byłby to poważny cios dla porozumienia.

— Dzięki, Angelo. Prawdę mówiąc, to pomysł panny McGrail, nie mój.

— Jestem pewna, że razem na to wpadliście. Zadzwoń do mnie, gdy będziesz w Waszyngtonie.

Powiedziała mi swoje prawdziwe nazwisko.

Kiedy odłożyłem słuchawkę, zacząłem się zastanawiać nad nową zagadką. Nuala wyjaśniła tajemnicę i uratowała sytuację. To ona ze spokojną godnością wystąpiła w telewizji, by podać starannie spreparowaną wersję wydarzeń. Ale to ja zgarniałem wszystkie pochwały.

Gdy idealnie przez cały czas zrównoważona wyrecytowała fakty (choć nie wszystkie), zapytano ją, czy ona i ranny bohater są kochankami.

— Ależ nie — odparła, uśmiechając się skromnie. — Tłumacząc tylko dzienniki jego babki.

Chwała Bogu, nie dodała: „Tym gorzej dla mnie”.

— Opowiem panu dziwną rzecz, panie Coyne. — Bystry młodzieniec z Ministerstwa Spraw Zagranicznych wyrzwał na St. Stephen's Green, przerywając na chwilę swe wysiłki, by wytłumaczyć mi irlandzką wojnę domową. — Otóż dzieci Kevina O'Higginsa i wnuki człowieka, który go zabił, uczestniczą co roku w tej samej mszy za dusze ich obydwu.

Był kolejny szary, dżdżysty dzień. Chciałem wracać do domu. Klatka piersiowa bolała mnie bardziej niż głowa. Musiałem jednak wysłuchać jeszcze kilku irlandzkich opowieści, nim gospodarze dojadą do wniosku, że spełnili swój obowiązek wobec mnie.

— To ładnie.

— Widzi pan, nie byli pewni, czy go zabili. Podeszli więc do miejsca, gdzie leżał, i chcieli jeszcze raz do niego strzelić. Wtedy zobaczyli, że umiera. Otwiera oczy, poznaje ich i uśmiecha się. „Wszystko w po-

rządki — powiada. — Rozumiem, dlaczego musieliście to zrobić. Nie martwcie się. Przebaczam wam”. Potem umiera.

— Jak Gandhi.

Młodzieniec spojrział na mnie ze zdziwieniem.

— Można by się tego spodziewać po Collinsie, co? Ale nie po O’Higginsie.

— Dlaczego nie? Przecież był Irlandczykiem, zgadza się? A więc miałem opowieść, deszcz, błonia, pękającą głowę i obolałą klatkę piersiową. Irlandczycy mnie wykończą. Wykończą ze szczętem.

— Nie miałem pojęcia, że zastosowano wobec was siłę — wymamrotał lord Longwood-Jones. — Błagałem Brendana, by do tego nie dopuścił. Obawiam się, że jest bardziej niezrównoważony, niż mi się zdawało.

Sączyliśmy z Martinem porto w jego klubie przy FitzWilliam Street i patrzyliśmy na deszcz, który nieubłaganie smagał piękny duśliński gród.

— Ambicja go roznosi. — Oddychanie przychodziło mi z co raz większym trudem.

— Bez wątpienia. I dobrze wie, że przy obecnych układach nie awansuje. Dlatego właśnie tak pochłonęła go idea Konsorcjum, które jest zupełnie zwariowanym przedsięwzięciem, jeśli można się tak wyrazić. Bezsprzecznie w miarę jednoczenia się Europy między obu wyspami zapanują stosunki partnerskie — jeśli uda się zaprowadzić spokój w Ulsterze. Ale mam nadzieję, że geniusz obu krajów utrzyma to porozumienie w ramach nieformalnych. Szansa na wszelkie inne ugody zniknęła raz na zawsze w 1912 roku, gdy nie przyznano nam autonomii.

— Istotnie.

— Zwróciłeś zapewne uwagę, że w ciągu ostatnich kilku dni parę osobistości w obu krajach dyskretnie wycofało się z życia publicznego. Jest wśród nich także Brendan.

— Owszem.

— Podejmę kroki, by nie ucierpiały na tym jego żona i dzieci.

— To bardzo szlachetnie z twojej strony.

— Musisz zrozumieć, mój drogi Dermocie — przymknął oczy, jak człowiek niewypowiedzianie znużony życiem — że przez większość ostatnich siedemdziesięciu lat Konsorcjum było — jak by to ująć — bardziej klubem dyskusyjnym czy grupą studyjną niż aktywną organizacją. Tylko przewodniczący — moi przodkowie i ja — oraz

skarbnik, w tym wypadku nieszczęsny pan Keane, wiedzieli, gdzie przechowuje się złoto. Nie chcieliśmy go stamtąd zabierać. Bardzo łatwo by nas złapali. Co więcej, gdyby na rynek irlandzki rzucono zwiększoną ilość złota, trudno by było wytłumaczyć, skąd się ono wzięło.

— Nie dałoby się go wypruć?

— Właśnie. Ponadto moi przodkowie uważali, a ja podzielałam ich zdanie, że lepiej zachować pieniądze do czasu, gdy będą rzeczywiście potrzebne. Niekiedy, zwłaszcza podczas wojny, wykorzystywano je na cele dobroczynne.

— Skąd twój dziadek się o nich dowiedział?

— Obawiam się, że był łącznikiem między Winstonem a O'Kellym. Nie mogę tego oczywiście dowiedzieć, ale mam takie wrażenie. Pewnie podstępem wydobyl z O'Kelly'ego, co się stało ze złotem Casemonta. A może poszedł za nim, tak jak zdaje się, uczyniła to twoja babka. Dziadek uchodził za bardzo sprytnego i inteligentnego człowieka, niestety ani mój ojciec, ani ja nie odziedziczyliśmy po nim tych cech.

— A więc podtrzymywałaś istnienie tej grupki, zjednoczonych wiarą w ponowne połączenie w perspektywie lat?

— Tak. Właśnie. Cieszę się, że użyłeś słów „ponowne połączenie”. Szczycę się, Dermocie, że jestem irlandzkim patriotą, niezależnie od tego kim mogli być mój dziadek i ojciec. Wierzę w dobrowolny związek wolnych państw, jeśli pozwolisz postużyć się tym określeniem — Wysp Brytyjskich. Nie jest konieczne, przynajmniej jeśli o mnie chodzi, by parlament federalny miał siedzibę w Westminsterze lub by związkowi przewodził dom Windsorów albo w ogóle brytyjski monarcha. W naszej erze nowych związków na całym świecie jest to ideał, który da się pogodzić z irlandzkim poczuciem wolności.

— Być może.

— Ani mój ojciec, ani ja — potrząsnął głową, jakby chciał usunąć ze świadomości jakiś obraz — nie pochwalamy tego, co zrobił Winston. Obawiam się, że nie dotrzymał ściśle zasad kodeksu moralnego. A jednak na swój sposób wierzył w niepodległość Irlandii.

— Daj spokój, Martinie.

— Ależ to prawda. Zawsze był zdecydowanym zwolennikiem autonomii i bardzo niechętnie porzucił wizję zjednoczonej Irlandii. Sądził jednak, że Irlandczycy nie są zdolni rządzić się samodzielnie. Walki między protestantami i katolikami w Ulsterze, a także partyzantka przeciw Wolnemu Państwu na południu potwierdzały tylko jego uprzedzenia. Obawiał się, że Collins przedłuży te zmagania, a jeśli się go wyeliminuje, rozmaite frakcje doprowadzą do takich za-

mieszek, iż ludność Irlandii zacznie się domagać przywrócenia angielskich rządów. Wówczas ustanowiłby nowy parlament, który pod jego kierunkiem miał uchwalić konstytucję jednoczącą obie części Irlandii w federację pod przewodnictwem i kierownictwem Londynu.

— To znaczy, że kazał zabić Collinsa, by zaostriżyć walki w Irlandii?

— Dziadek powiedział mojemu ojcu, że zdaniem Winstona chaos zapanuje nieuchronnie, być może już w ciągu sześciu miesięcy. Gdyby Collins żył, zamieszki byłyby gwałtowniejsze, bardziej wyniszczające dla Irlandczyków i trudniejsze do opanowania dla Anglików, chyba że za cenę ogromnych kosztów.

— Jednakże w konsekwencji zapobiegł zakończeniu wojny domowej i doprowadził do śmierci jeszcze tysięcy Irlandczyków.

— Miał dobre intencje... Nie staram się bronić Winstona, chcę tylko wytłumaczyć, czym się kierował.

— Musiał być zdziwiony, że Wolne Państwo jednak stłumiło partyzantkę.

— Winston nigdy w życiu nie przyznał się do najmniejszego błędu. Ale chyba nigdy nie wybaczył Irlandii tego, że udowodniła mu, jak głęboko się mylił... Pamiętaj również, że rząd Lloyd'a George'a wkrótce upadł. Bonar Law zajął miejsce Lloyd'a George'a, który już nigdy więcej nie sprawował funkcji ministra. Poniósł klęskę głównie dlatego, że co bardziej konserwatywni torysi oskarżali go o utratę Irlandii. Obaj z Winstonem mieli niewiele większe pole manewru niż Collins, Griffith i Cosgrave.

Dość już się nasłuchałem o kłopotach Lloyd'a George'a i Churchilla.

— Konsorcjum przyznało rację Churchillowi?

— Zdecydowanie nie. — Zacerwienił się z lekka. — Jak już usiłowałem cię przekonać, jesteśmy irlandzkimi patriotami. Ubolewaliśmy nad śmiercią Collinsa, który był również naszym bohaterem. Wierzymy, że gdyby żył, nasz projekt federacji uznałby za sensowny.

— Naprawdę w to wierzycie?

— Oczywiście. W Konsorcjum dostrzegłby naturalną kontynuację Irlandzkiego Bractwa Republikańskiego.

Oczy Martina załśniły na chwilę ogniem prawdziwej wiary. Potem światelko zagasło. Jest trochę szalony, pomyślałem. Zresztą jak oni wszyscy. Jak wszyscy Irlandczycy, doszedłem do wniosku, gdy zaczynałem już trochę majaczyć.

— W każdym razie nasze marzenie, może i do zrealizowania w roku 1921, stało się zupełnie nierealne w 1923. Dziadek zdawał sobie

sprawę, że teraz jest to kwestia odległej przyszłości i że Winston odegrał już swoją rolę. A więc przez lata zebrał grono ludzi cicho i bez głośno oddanych realizacji tej wizji, realizacji bez żadnych ograniczeń czasowych. Ojciec, a potem ja kontynuowaliśmy to dzieło. Wydaliśmy trochę pieniędzy, od czasu do czasu wyjmując sztabkę, by ułatwić spokojne badania i analizę tego tematu.

— Renowacja kapliczki musiała przysporzyć panu zmartwień?

— Z początku. Potem pan Keane zwrócił uwagę, że pielgrzymki ułatwią przeniesienie złota w jeszcze bezpieczniejsze miejsce.

— Gdzie miałby oko na całość.

— Tak. Właśnie. Ufając mu, popełniłem straszny błąd. W istocie niewybaczalny. Jak już mówiłem, nie dane mi było odziedziczyć bystrości mojego dziadka. Brendan jest człowiekiem wielkich zdolności i ma ogromny urok. Niestety, przeholował. Jak już się pewnie zorientowałeś, jego polityczna kariera jest skończona. Był trochę za sprytny, nawet jak na irlandzkiego polityka, choć nasze normy w tej mierze nie są wygórowane. Gwałtowne ruchy mające doprowadzić do unii uznał za sposób na mocne osadzenie się w siodle. Resztę znasz albo możesz się domyślić.

— Kiedy twoim zdaniem to ponowne połączenie się będzie możliwe?

— Żartujemy z żoną, że nastąpi to w Dniu U plus dwadzieścia lat, przy czym Dzień U to data znalezienia takiego rozwiązania problemu Ulsteru, które byłoby do przyjęcia dla katolików i dla republiki. Dopóki nie znajdzie się wyjścia dla kwestii sześciu hrabstw, związek jest nie do pomyślenia. Pan Keane nie dostrzegł tej prostej prawdy.

— Chciwość go zaślepiła.

— Obawiam się, że nasza największa nadzieja w tym stuleciu zmarła w Bealnablath.

— Doprawdy?

— Jestem przekonany, że gdyby Collins żył, już dawno doszłoby do zbliżenia między dwiema wyspami. Mógł być bezwzględny zabójcą podczas wojny, mój drogi Dermocie, ale nie czuł w sercu nienawiści.

— Ja myślę, że zmarła w roku 1800, gdy Akt Unii skończył nawet z fikcją niepodległej i zjednoczonej Irlandii.

— Może masz rację. — Z przygnębieniem potrząsnął głową. — Przyznaję, że w obecnej chwili to marzenie jest zupełną utopią. Szkoda.

— Szkoda, że świat jest taki, jaki jest.

— Tak, istotnie. Mam tylko nadzieję, że przez mój głupi błąd, ja kim było zaufanie do Brendana Keane'a, wizja ta nie oddali się jeszcze bardziej.

Cóż, może to nie jest takie nierealne marzenie. Tylko przyszłość może pokazać.

— Chyba zdajesz sobie sprawę, Dermocie — westchnął — że odziedziczyłem przewodnictwo Konsorcjum. Możesz sobie wyobrazić, biorąc pod uwagę moją orientację polityczną, jaki byłem przerażony, gdy ojciec powiedział mi o tym na łożu śmierci. Usiłowałem ograniczyć Konsorcjum do wymiarów grupy dyskusyjnej. Niestety, nie kontrolowałem wydatków. To zadanie wziął na siebie Brendan. Liz raz po raz mnie błagała, bym to zostawił. Dlatego jesteśmy wdzięczni, bardziej niż możemy wyrazić, że usunąłeś moje nazwisko z listy, nim przekazałeś ją biskupowi Hayesowi i rządowi.

Dobra robota, co? Czego jeszcze dokonała ta kobieta?

— To był pomysł Nuali.

— Liz i ja jesteśmy wam obojgu bardzo wdzięczni.

A zatem nie będzie uhonorowana również za ten akt wielkoduszności.

— Cieszę się, że wszystko dobrze się skończyło.

— Nie masz pojęcia, jakie przeżywałem rozterki w związku z tą idiotyczną sprawą.

— I dlatego przekazał pan listę nazwisk CIA?

Spojrzał na mnie zdumiony.

— Skąd o tym wiesz?

— Dostałem kopię ksero. Poznałem pański charakter pisma, porównałem je z zaproszeniem na lunch.

— Nieśłychane — wymruczał. — Rozumiesz, że za sprawę honoru uznałem umieszczenie na niej własnego nazwiska?

— O tak.

— Wiadomość o moich kontaktach z CIA zachowasz przy sobie?

— Oczywiście.

Czy moja pani też poznała charakter pisma?

Czy papież mieszka w Watykanie?

— Do końca życia będę wdzięczny za to, co dla nas zrobiliście.

— To nic takiego.

Uchroniliśmy inicjatywę pokojową, uchroniliśmy Churchilla, uchroniliśmy Longwoodów-Jonesów. To dopiero z nas cwaniaki!

Ależ, Dermocie, czy sam o tym wszystkim nie pomyślałeś? Czy nie robiłam tylko tego, co chciałeś?

Gówno prawda.

Nadal nie rozumiem mnóstwa rzeczy, zwłaszcza w jakim celu telefonowała jego żona, związków między Angellą Smythe i Longwoodami-Jonesami oraz skąd się wziął Patrick i jakie są jego cele.

W prawdziwym życiu zawsze pozostają jakieś niewyjaśnione sprawy.

Jej lordowska mość, pomyślałem ze smutkiem, to bardzo atrakcyjna niewyjaśniona sprawa.

Spekulując na temat tych trzech pań można by założyć, że jej lordowska mość może i chciała zaciągnąć mnie do łóżka, lecz tylko pod warunkiem, że zdołałaby sobie wmówić, iż czyni to, by uchronić męża. Angella nie wiedziała o Konsorcjum, lecz któryś z jego członków, może właśnie mój przyjaciel Martin, nakłonił ją, by użyła swego wpływu na mnie. Niewykluczone, że Patrick jest krewnym Collinsa, łączącym interes ze spuścizną rodzinną, i to go skłoniło do ukręcenia fba operacji, która budziła niepokój jego przełożonych z im tylko znanych powodów.

Krewni Ma w Ameryce, jeśli w ogóle jacyś się znajdują? Może wyjaśni się to w dalszych częściach dzienników.

A więc, Seanie Connery jako 007, uganiają się za tobą trzy piękne kobiety, możliwe, że każda z własnych pobudek — jedna z potrzeby, druga ze strachu.

A trzecia?

Z miłości?

Czymże jest miłość?

Czybym ją rozpoznał, gdybym wpadł na nią na ulicy?

— Brawo, Liamie — powiedział staruszek, siedzący na ławce nad Grand Canal. — Zrobiłeś to dla nich, co? A nie mówiłem, że ci się uda?

— Zrobiliśmy wszystko.

— I postawią im pomnik w Oughterard?

— Tak.

— Chwała Bogu!

— To pan był młodym nauczycielem z aparatem fotograficznym, tak?

Na ten jeden sekret Nuala nie wpadła — przynajmniej z tego, co wiem.

— Ja. — Jego oczy zaszkliły się łzami.

— Pomyślałem, że może chciałby pan mieć którąś z tych fotografii. W końcu to pan je zrobił.

Dałem mu odbitkę ślubnego zdjęcia Ma i Pa.

— Nie mówiła, że jest pan najuczciwszym człowiekiem, jakiego znała?

Może to lekka przesada, ale w Irlandii dopuszczalna. Przycisnął zdjęcie do piersi i rozplakał się.

— Wiesz, nie ożeniłem się. Całe życie ją kochałem.

— Kto by nie kochał? — przytaknąłem z westchnieniem.

Gdy oszołomiony i zdezorientowany wlokłem się z powrotem do hotelu, by do końca spakować rzeczy przed wyjazdem, który miał nastąpić później tego samego dnia, tracąc zmysły ze strachu uświadomiłem sobie, że starałem się ukryć przed Nualą trzy błahe sekrety: strzałę w samochód, pochodzenie listy członków Konsorcjum i tożsamość starszaka, znajomego z ławki nad kanałem.

Tak czy tak dwa z nich odgadła. Może odgadnie i trzeci. Nie ona jedna próbuje mieć sekrety. Ten skrupuł uznałem za nieistotny.

— Podarowałem odbitkę ślubnej fotografii człowiekowi przeziadającemu na ławce nad Grand Canal. Mamy jeszcze kilka odbitek w Chicago — odezwałem się, gdy wysiedliśmy z taksówki na lotnisku w Dublinie.

— Ach, Dermocie, to bardzo szlachetnie z twojej strony, ale czy to nie on robił zdjęcie i prawdopodobnie kochał ją całe życie?

Zastrajkuj, Dermocie Michaelu Coyne.

Ustaliliśmy warunki reszty tłumaczenia dzienników i ich ewentualnej publikacji. Nowy Compaq, który kupiłem do pracy, spisywał się doskonale. Powiedziałem, że duże nowojorskie wydawnictwo przesłało już George'owi umowę wraz z niemłą zaliczką. Przekonywałem, że nie ma pośpiechu z kończeniem tłumaczenia, byleby tylko można było wysłać je wydawcy późną wiosną. Absolutnie może śpiewać w Abbey Tavern.

Z walącym sercem i pulsowaniem w głowie przeszedłem przez kontrolę paszportową i większość bagażu oddałem Aer Lingus. Wziąłem ze sobą tylko podręczny bagaż i Compaq. Niosła je Nuala, bo jeszcze trochę bolały mnie żebra — choć nie tak bardzo, powiedziałem sobie, jak ramiona niektórych ludzi.

Pragnąłem ponad wszystko położyć się do łóżka i spać przez miesiąc.

Głowa znowu zaczęła mnie boleć, ktoś walił mnie w mózg potężnymi pałeczkami od perkusji. Bóle głowy mogą trwać jeszcze przez miesiąc albo dwa.

— Jeśli pozwolisz, zaniosę ci je do samolotu, Dermocie. Znowu była ubrana w swój studencki mundurek: dzinsy i kurtkę — a także moją niebiesko-złotą bluzę z nadrukiem Marquette.

— Będę ci bardzo wdzięczny.

Westchnęła głośno i głęboko zaczerpnęła tchu.

— Może odwiedzę cię w Chicago, Dermocie Michaelu Coyne.

— Co takiego?

— Czy nie wygrałam na amerykańskiej loterii wizowej — nie patrzyła na mnie — i czy Arthur Andersen nie zaproponował mi dobrej posady w Chicago, gdy skończę studia?

— Kiedy to się stało?

— Ee... nie zaraz, jak zaczęłam u ciebie pracować?

— I nic mi nie powiedziałaś?

— A nie bałam się, że będziesz na mnie zły, jak ci powiem? A teraz, kiedy ci już powiedziałaś, jesteś na mnie zły?

— Dobrze to sobie wszystko obmyśliłaś, co, Nualo? Przyjadę po ciebie na lotnisko, zabiorę cię na kolację do rodziców, zatrzymasz się tam, póki nie znajdziesz własnego mieszkania i połączysz siły ze wszystkimi kobietami z rodziny przeciwko mnie. Nie o to ci chodzi?

— Nie, Dermocie. — Zdawało się, że za chwilę wybuchnie płaczem. — Wcale o tym nie myślałam... Chyba że ty byś tego chciał.

Akurat, nie myślała. Mała intrygantka myślała o wszystkim. W tym bez wątpienia o paru nocach w okresie miodowego miesiąca spędzonych w Ashford Castle.

— Nie ma w tobie ani odrobiny prawdy, kobieto! — krzyknęłam na nią. — Ani odrobiny.

— Bardzo mi przykro, Dermocie, naprawdę.

Stanęliśmy przy stanowisku kontroli bezpieczeństwa.

— Daj mi te torby. Nie ma potrzeby, żebyś szła do samolotu... Teraz posłuchaj mnie, Nualo, i to uważnie. Doprowadzimy do końca sprawy tego tłumaczenia, bo mi na tym zależy.

— Tak, Dermocie.

— Co do spotkania w Chicago, nie zobaczysz się ze mną dopóty, dopóki ja nie porozumiem się z tobą, jasne?

Kiedy wzięłam od niej torby, ból w żebrach nasilił się. Nieważne. I tak będę je musiał nieść w Chicago.

— Tak, Dermocie... Przykro mi, Dermocie.

— Jesteś niepoprawną konspiratorką i intrygantką!

Wrzuciłem Compaq i podręczną torbę na pas maszyny sprawdzającej bagaże i czując łomot w głowie, przeszedłem przez barierkę.

— Nie gorszą niż twoja babcia! — krzyknęła za mną. — A kochałeś ją!

Zupełnie jak Ma, musi mieć ostatnie słowo.

W samolocie skuliłem się w fotelu i spałem, aż dolecieliśmy do Shannon, gdzie mnie obudzili, by załatwić formalności imigracyjne. Urzędnik powiedział, że służy w Irlandii już dwa miesiące, a choć to piękny kraj, kiedy pokaże się słońce, to z niecierpliwością jednak wygląda powrotu do domu.

— Proszę mi o tym opowiedzieć — zgodziłem się.

Znowu opadłem bezwładnie na fotel pierwszej klasy boeinga 747. O Boże, czułem się strasznie. Co się ze mną dzieje? Jasne, że miała rację. Ma była straszną intrygantką i niepoprawną konspiratorką. Kiedy jej to raz powiedziałem, odparła zadzierając nos, że takie właśnie kobiety lubią irlandzcy mężczyźni, włącznie ze mną.

Zdawałem sobie sprawę, że gra się jeszcze nie skończyła: w którymś momencie będę musiał przyznać, że niesłusznie się jej obawiałem. W przeciwieństwie do mojej pierwszej miłości, Nuala mnie nie zdradzi. Powiedziałem sobie, że wszystko się ułoży, byleby tylko przeszły mi bóle głowy.

Przespałem większą część drogi do Chicago, dręczony szalonymi pijackimi snami, choć od paru dni nie tknąłem niczego mocniejszego. W tych snach trzy kobiety: Ma, Kel i Nuala ciągle zmieniały się jedną w drugą.

Nie pamiętam, jak wysiadłem na lotnisku Kennedy'ego ani jak przeszedłem przez kontrolę celną, nie pamiętam, kiedy wsiadłem do samolotu do Chicago. Mama i tata wyszli po mnie na O'Hare. Tata tylko na mnie spojrzał, zapakował do samochodu i rozwijając dużą prędkość zawiózł do Loyola Medical Center.

— Obustronne wirusowe zapalenie płuc — powiedział, gdy rozkładali nade mną namiot tlenowy.

— Dlaczego nie poszedłeś do irlandzkiego lekarza? — zapytał. — Mają najlepszych diagnostów na świecie. To obezwładniająca głupota lecieć do domu w takim stanie.

— Chyba — rzucił George, ksiądz mądrała — że ktoś od kogoś ucieka.

— Gówno prawda — wymamrotałem zapadając w niebyt.

Odzyskałem zmysły po dwu tygodniach. Jeszcze miesiąc upłynął, zanim uświadomiłem sobie, jaki ze mnie dureń. Ojciec ostrzegł, że po wyjściu z zapalenia płuc jeszcze przez parę miesięcy będę cierpiał na depresję.

I popadłem w depresję. Za późno, powtarzałem sobie. Przepuściłem życiową okazję. Straciłem jedyną wielką miłość mego życia.

Potem któregoś dnia pracowałem na dyskietkach, które przysłała mi Nuala z dalszą częścią tłumaczenia niewiarygodnych dzienników Ma. Przez pomyłkę wykasowałem rozdział na jednej z dyskietek. Posłużyłem się programem przywracającym wykasowany tekst i odkryłem na tej dyskietce jeszcze cztery inne wykasowane pliki. Przywróciłem je również — i oto miałem przed sobą rozmowy Nuali z Neli Pat.

Bzdury nie z tej ziemi!

Zapłakałem nad moją stratą i jej bólem. Rozczulałem się nad sobą mniej więcej przez tydzień — to jeden z najpopularniejszych irlandzkich sportów, uprawianych pod dachem.

Po czym pewnego pogodnego, rozświetlonego słońcem marcowego dnia obudziłem się z szerokim uśmiechem na ustach.

67

Jak już wspominałem, przed powzięciem decyzji muszę mieć czas do namysłu. W ciągu ostatnich miesięcy miałem mnóstwo czasu do namysłu.

Odkryłem, że są gorsze udręki niż poczucie winy. Na przykład żal. I świadomość straty. A także uczucie, że się jest straszliwym idyjotą i do tego skończonym osłem.

Dziś wysłę całość pierwszej wersji Neli Pat, przetłumaczonej przez Nualę McGrail, pod redakcją Dermota Coyne'a. Sprawdziłem wartość złota, które zakupiłem za naszą zaliczkę. Mój makler, najwybitniejszy specjalista od notowań metali szlachetnych, powiada, że już podwoiło swą wartość. Ładna sztabka złota dla świeżego przybysza do Ameryki.

Marie Fionnuala Anne McGrail przybędzie na międzynarodowe lotnisko O'Hara o siedemnastej dwadzieścia pięć dzisiejszego pięknego wiosennego popołudnia samolotem American Airlines (informację tę zawdzięczam uprzejmości jego ekscelencji biskupa Galway i Kilmacduff). Pół godziny później, po załatwieniu formalności imigracyjnych, wolnym krokiem wejdzie do sali przylotów. Wytwornie ubrana, niosąc dwie imponujące walizki, będzie kroczyć z pewnością siebie doświadczonej podróżniczki.

Nawet gitara w pokrowcu, niedbale przewieszona przez ramię, nie zakłóci jej wizerunku bywałej, światowej damy. Ta piękna kobieta to nie żółtodziób, pomyśli przyglądający się jej z boku przypadkowy obserwator.

Niemniej jednak Chicago nie jest przygotowane na jej przyjazd. Nie wie jeszcze, jaka to wielka chwila w jego historii. Bo niby skąd. Niebawem Nuala zacznie pomagać chicagowskim policjantom w najtrudniejszych sprawach. Gdybym chciał, mogę się u niej zaangażować w charakterze doktora Watsona.

W żaden sposób nie da po sobie poznać, że obrzuca wzrokiem tłum oczekujących, mając nadzieję, że ktoś może jednak przywitają w Chicago, a nawet zawiezie do domu i przedstawi matce. Ale jej bystre, wścibskie oczy dostrzegą wszystko; nieśmiałe dziecko zerkające na Boga, który też jest nieśmiałym dzieckiem.

I będzie się zastanawiać, czy w Chicago też są do rozwiązania jakieś zagadki, przy czym udałoby mi się może odegrać jakąś pomocniczą rolę.

A potem mnie zobaczy.

Rzuci walizki i pomknie, niczym dziewczyna z Connemary, w me nienasycone, wyczekujące objęcia.

Będę ją błagał o przebaczenie. W odpowiedzi usłyszę, żebym się nie zachowywał jak idyjota, bo wcale nie muszę się kajać, a do tego zważyło mnie zapalenie płuc. Skąd wie o zapaleniu płuc? Od George'a oczywiście. Powiem jej, że ją kocham i zawsze ją będę kochał. A ona przytuli mnie mocno i odpysknie — jasne, nie wiedziałam tego od pierwszego wieczora u O'Neilla? I wreszcie zabiorę ją do domu, do mamy.

Żywy, żywy, o tak!

UWAGI KOŃCOWE

Opowieść ta jest próbą historycznej spekulacji. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Michael Collins zmarł w wyniku tragicznego wypadku, do których tak często dochodzi podczas wojny. Nie mam dowodów na to, że Winston Churchill istotnie maczał palce w zamachu na Collinsa. Jednakże w biografii Collinsa jej autor Tim Pat Coogan stwierdza, że w owym czasie w Irlandii powszechne było przekonanie o odpowiedzialności Churchilla. Moje domniemania uzasadnione są stosunkiem brytyjskich przywódców, dawnych i obecnych, do narodu irlandzkiego. Możliwe, że Churchill nie był spośród nich najgorszy, wszelako jego antyirlandzkie zapatrywania były niegodziwością. Aby chronić brytyjską władzę, gotów był dopuścić się względem Irlandczyków każdego zła.

W ogólniejszym sensie na rządzie brytyjskim, a zwłaszcza na Churchillu i Davidzie Lloydzie George'u, spoczywa odpowiedzialność nie tylko za śmierć Michaela Collinsa, lecz także wszystkich, którzy zginęli w wojnie domowej oraz padli ofiarą ataków terrorystycznych trwających po dziś dzień. Ich nieugięty sprzeciw wobec przyznania Irlandii całkowitej niepodległości, do której miała prawo w roku 1922 (i w poprzednich stuleciach), jak też nieprzejednane obstawanie przy zachowaniu odrębności sześciu hrabstw okrojonej prowincji Ulsteru, ostatniej pozostałości imperializmu angielskiego w Europie, przygotowały grunt dla późniejszych aktów przemocy.

Niechętnie ustępstwo, jakim było przyznanie Wolnemu Państwu ograniczonej niepodległości, stanowiło gwarancję, że Irlandia jeszcze przez lata będzie boleśnie odczuwać skutki całych wieków imperialistycznego angielskiego kolonializmu.

Lecz by oddać sprawiedliwość Lloydowi George'owi i Winstonowi Churchillowi — tak jak to w późniejszych latach uczyniła Neli Pat — najprawdopodobniej ustąpili oni na tyle, na ile się dało. Jednym z powodów upadku ich rządu, do czego doszło wkrótce po podpisaniu traktatu, były właśnie owe „ustępstwa” na rzecz Irlandczyków. A zatem wina za śmierć wszystkich poległych od tamtych czasów po dzień dzisiejszy spada nie tylko na rząd Lloyd George'a.

Podobnie jak ojciec Winstona Churchilla, lord Randolph Churchill, również on popierał przyznanie Irlandii autonomii, lecz w takich ramach, by nadal w znacznym stopniu była podporządkowana Westminsterowi. W przemówieniu, wygłoszonym w roku 1912 w celu poparcia autonomii, wywodził, podobnie jak Patrick w tej opowieści (choć on bez wątpienia czynił to ironicznie): „Po cóż ta czczy i głupia gadanina o rozdzieleniu? Oddzielenie Irlandii od Wielkiej Brytanii jest absolutnie niemożliwe. Interesy obu wysp są na zawsze splecione. Wszelkie tendencje wskazują na konieczność jeszcze ściślejszego związku, do tego zmierza cały nieubłagany bieg wydarzeń. Gospodarka Irlandii jest całkowicie uzależniona od Anglii. I zupełnie niezależnie od interesów marynarki wojennej, wojskowych czy konstytucyjnych, od kwestii imperialnego parlamentu, flagi oraz Korony, pod którymi to względami wzajemne więzi nie doznają najmniejszego uszczerbku, oba narody są wzajemnie ze sobą związane mocą naturalnych okoliczności aż po kres czasu” (*Speeches of Winston Churchill: The Young Tribune*, str. 235).

Na nieszczęście dla tej imperialnej wizji autonomii Irlandczycy chcieli więcej i nadal przy tym obstają.

Churchill pozostawał pod urokiem Michaela Collinsa, jak większość ludzi, którzy się z nim zetknęli, i raz po raz udzielał mu protekcyjnych rad. Collins ze swej strony nie darzył Churchilla uznaniem, lecz zachował tę opinię dla siebie. („Poświęci wszystko dla politycznej korzyści. Nadęty facet. Pełen eksficerskiego szowinizmu czy temu podobnych przekonań. W gruncie rzeczy nie ufam mu”).

Z prywatnych pism Churchilla przebija bezlitosna wzdarga dla Irlandczyków. Oto na przykład list do żony z kwietnia 1920 roku: „Jakież diaboliczne rysy kryją się w ich charakterze! Przypuszczam, że właśnie owa zdradziecka, skrytobójcza skłonność, ów pociąg do spiskowania doprowadził ich do zguby w minionych wiekach i sprawił, że nie stali się wielkim odpowiedzialnym narodem, rozwijającym się stabilnie i pomyślnie” (*Martin Gilbert, Winston S. Churchill*, t. IV, str. 449).

Pięćset lat uciemiężenia przez obcy naród najwyraźniej wcale nie przyczyniło się do obecnych problemów Irlandii!

Najlepszą dotychczas książką o Collinsie jest wspomniana tu biografia pióra Tima Pata Coogana *The Man Who Made Ireland*. Przychylając się do teorii Sonny'ego Neilla, autor przytacza anonimową opinię, jakoby w owym czasie Neill opuścił już pole walki, i napomyka o rewelacjach, które jeszcze nie zostały ujawnione. Powątpiewa też w zasadność oskarżenia scenarzysty Eoghana Harrisa, głoszącego, iż w czasie negocjowania traktatu w Londynie Collins miał romans z pochodzącą z Chicago Hazel Laverty. Coogan daje do zrozumienia, że jest niemożliwe, by chodziło o coś więcej niż flirt (potwierdzając tu zdanie Neli Pat i Nuali). Coogan zdecydowanie też odrzuca twierdzenie Harrisa, jakoby Collins był homoseksualistą, co miałyby stanowić główną tezę filmu, nad którego realizacją zastanawia się Kevin Costner.

Otwarcie w 1993 roku archiwów rządu brytyjskiego ujawniło dokumenty, które najwyraźniej potwierdziły pogłoski, że w roku 1923 pewne kółka rządowe poważnie rozważały plany przywrócenia panowania brytyjskiego w Irlandii.

Kuzyn Nuali, ksiądz Michael McGrail, domaga się, bym powiadomił czytelników, że nigdzie w pobliżu świętego miejsca w Mamene nie ma złota. Jednoznacznie dodaje, że zawsze można się wspiąć na wzgórze i odmówić modlitwę.

Burmistrz Chicago odwiedził Irlandię kilka lat wcześniej, niż rozegrały się opisane tu wydarzenia.

Co do Nuali i Dermota — jak Bóg da, pojawią się w kolejnych opowieściach, zatytułowanych *Irlandzkie koronki*, *Irlandzki len*, *Gulasz po irlandzku*, a może nawet *Irlandzka whiskey*. Czy Dermot przyjmie rolę doktora Watsona, gdy Nuala będzie szukać rozwiązań amerykańskich zagadek? Czy uporządkują swoje stosunki, a może nawet się pobiorą (co z pewnością powinni uczynić, i to wedle mego księżowskiego rozżnienia, możliwie jak najprędzej)? Czy tytuł *Irlandzkie koronki* nasuwa myśl o ślubnej sukni?

Ach, to dopiero będą opowieści, co?

Chicago—Grand Beach—Dublin—Tucson

1989—1994

KALENDARIUM WYPADKÓW

21 kwietnia 1916 (Wielki Piątek) — w ślad za denuncjacją konfidentów sir Roger Casement zostaje aresztowany w Kerry po zejściu na ląd z niemieckiego U-Boota. Brytyjczycy przechwycili wówczas transport broni oraz złota. Casementa stracono w sierpniu.

24 kwietnia 1916 (Poniedziałek Wielkanocny) — mimo pewnych niepowodzeń (z powodu straty niemieckiej broni) Ochotnicy Irlandzcy opanowują budynek Poczty Głównej oraz inne strategiczne punkty w Dublinie. Brytyjczycy bez trudu tłumią powstanie i wykonują wyroki śmierci na jego przywódcach. Srogie zrodziło się piękno! (Yeats).

14 grudnia 1918 — Sinn Fein (My Sami) wygrywa pierwsze powszechne wybory. Członkowie tej organizacji odmawiają uczestnictwa w sesjach parlamentu brytyjskiego i tworzą Dail Eireann — własny parlament w Dublinie. Prezydentem zostaje De Valera.

1919—1921 — wojna anglo-irlandzka. Taktyka nagłych ataków, po których napastnicy błyskawicznie rozpraszają się, trzyma w szachu armię brytyjską. Michael Collins zostaje de facto głównodowodzącym irlandzkiej wojny partyzanckiej.

1921 — generał McCready, dowódca sił brytyjskich, informuje Londyn, że tej wojny nie da się wygrać. Collins zdaje sobie sprawę, że zaczyna brakować mu broni, a powszechne dotąd poparcie słabnie wobec krwawych walk. W czerwcu zostaje ogłoszone zawieszenie broni. W lipcu rozpoczynają się negocjacje.

6 grudnia 1921 — Collins, wciągnięty w skład delegacji przez De Valerę, który nie chciał być odpowiedzialny za kompromis, podpisuje traktat ustanawiający Wolne Państwo (jak sam przyznaje, zarazem wyrok śmierci na siebie). Uznaje go za najlepszy układ, jaki w ówczesnych warunkach Irlandia może zawrzeć. De Valera oraz stanowiący mniejszość w Dail zagorzali przeciwnicy traktatu odrzucają go.

16 czerwca 1922 — ugrupowania popierające traktat zdobywają większość w wyborach do Dail; siły przeciwne mu obsadzają strategiczne punkty w Dublinie i innych miastach.

28 czerwca 1922 — pod presją brytyjską nowo utworzona Armia Narodowa ostrzeliwuje budynek Czterech Trybunałów nad rzeką Liffey, gdzie ukryli się przywódcy sił przeciwnych traktatowi (przybrali oni miano Irlandzkiej Armii Republikańskiej, natomiast Wolne Państwo nazwało ich partyzantami). Rozpoczyna się wojna domowa.

28 lipca 1922 — armie Wolnego Państwa zajmują Limerick i Waterford.

12 sierpnia 1922 — umiera Arthur Griffith, nominalny przywódca państwa. Jego miejsce zajmuje Collins, który staje się głową Wolnego Państwa i naczelnym dowódcą sił zbrojnych. Po jednodniowej bitwie Emmet Dalton zajmuje Cork.

22 sierpnia 1922 — Collins, zdążający do Cork być może w misji pokojowej, zostaje zabity w Bealnablath, w pobliżu swego domu w Cork. Wojna domowa szaleje jeszcze przez rok.

13 maja 1923 — „zawieszenie broni” i zakończenie wojny domowej.

Wydawnictwo „Książnica” Sp. z o.o.
Al. W. Korfantego 51/8
40-160 Katowice
tel. (032) 203-99-05, 254-44-19
faks (032) 203-99-06
Sklep internetowy:
<http://www.ksiaznica.com.pl>
e-mail: ksiazki@ksiaznica.com.pl

Wydanie pierwsze
katowice 2006

Skład i łamanie:
mplusm-pracownia